



*Somnia, terrores magicos, miracula, sagas,*

*Nocturnos lemures, portentaque...*

*(Sny, straszydła magów, cuda, wróżki,*

*Nocne duchy, cudowne znaki...)*

Horacy, „Listy”, II 2, 208-209.

## Uwiedomienie



Pierwszy pomysł tego romansu nasunęła mi „Historia Santona Barsisa”, opowiedziana w „Guardianie”<sup>[1]</sup>, „Dzieje broczącej krwią mniszki” są opowieścią utrzymującą się w ustnej tradycji, która wciąż znajduje wiare w wielu częściach Niemiec. Powiedziano mi, że ruiny zamku Lauenstein, w którym ponoć owa mniszka straszy, można jeszcze teraz oglądać na granicy Turynгии. – „Król Wód”, od trzeciej do dwunastej zwrotki, jest fragmentem oryginalnej duńskiej ballady. – Wiersz zatytułowany „Belerma i Durandarte”<sup>[2]</sup> przełożony został z kilku strof znalezionych w zbiorze starej poezji hiszpańskiej, który zawiera również znaną piosenkę „O Gajferosie i Melisendrze”<sup>[3]</sup>, wspomnianą w „Don Kiszocie”. – Przyznałem się oto szczerze do wszystkich plagiatów, o których mi wiadomo, nie wątpię jednak, iż w mojej powieści będzie można znaleźć znacznie więcej zapożyczeń, choć obecnie jestem ich zgoła nieświadomy.

<sup>[1]</sup> „The Guardian” – czasopismo moralno-obyczajowe założone przez Richarda Steele’a w marcu 1713 roku. (Wszystkie przypisy, z wyjątkiem autorskich, oraz tłumaczenia poezji, jeśli nie podano autora przekładu, pochodzą od tłumaczki.)

<sup>[2]</sup> Durandarte jest bohaterem poezji ludowej francusko-hiszpańskiej; imię swe wziął od miecza zwanego Durandal, który nosił Roland, główny bohater bitwy w Roncesvalles w r. 778.

<sup>[3]</sup> Gajferos i Melisendra – bohaterowie starych romanc hiszpańskich, należących do cyklu o Karolu Wielkim.

## Przedmowa

Naśladowanie z Horacego

(„Listy”, Ks. I, list 20)

*Zda mi się, książko, zerkasz z chętką nie tajoną*

*Na tę uliczkę w City<sup>[1]</sup> szeroko wstawioną,*

*Co zwą ją Paternoster Row<sup>[2]</sup>, gdzie zyskać można*

*Lub stracić reputację. Gniewnaś, że ostrożna*

*Więzi ciebie szuflada, żeś nie znana wcale,*

*I wzdychasz do tej chwili, kiedy pan Stockdale*

*Lub Hookham albo Debrett<sup>[3]</sup> w oknie cię umieści*

*I wśród ludzi o tobie rozniosą się wieści.*

*Idź więc, przekrocz księgarni próg, tę groźną bramę,*

*Skąd nigdy żadnej książki cofnąć się nie dane,*

*A kiedy cię wyśmieją, poszarpią, wyszydzą,*

*Orzekną, że nic w tobie dobrego nie widzą,*

*Albo jeśli nie znajdziesz wcale czytelników*

*I pogarda cię spotka, gorsza od przytyków -*

*Żałując, iż się dobrej nie trzymałaś rady,*

*Tęsknić będziesz na próżno do mojej szuflady.*

*Teraz haust niech zaczerpnę z. proroczego źródła*

*I przyszłość twą przepowiem bez myłki i pudła,*

*Kiedy blask twej nowości zetrze Czas zachłanny*

*I ucieknie twa młodość, krótka jak u panny,*

*W kącie cię cisną pomiędzy szpargały, rupiecie.*

*Gdzie pleśń, zgniła wilgoć i pajęczne siecie,*

*Abyś kartami swymi pasta tam robaki,*

*Albo, co gorsze jeszcze, weźmie cię jaki*

*Sklepiarz. – wtedy w hańbie i niewonnym wstydzie*

*Jako papier pod śledzie dni skończyć ci przyjdzie!*

*Gdyby się jednak kiedy to przytrafić miało,*

*Żebyś się, książko moja, spotkała z. pochwałą,*

*Mógłby cię ktoś zapytać, kontent z. tej lektury,*

*Jaki też jest twój autor? – Na to mówię z. góry:*

*Anim ja biedny, ani bardzo też majątny,*

*Mały wzrost mój, a wygląd wcale nieponętny.*

*Na drugich ja nie baczę, własną krocząc drogą,*

*Mało kto mnie pochwali, a ja mało kogo.*

*Żywe moje odczucia – wcale się nie wstydzę,*

*Że równie mocno kocham, jak i nienawidzę:*

*Gdy kogo raz. polubię – uwielbiać go muszę,*

*Gdy nie lubię – z ohydą wraz. się nań obruszę,*

*Sąd mój feruję szybko – zazwyczaj fałszywy;*

*Przyjaciół ze mnie wierny, stały i cierpliwy,*

*Chociaż mnie nigdy w życiu wiara nie opuści,*

*Że ludzie głównie zdrajcy są oraz oszuści*

*I że przyjaźń prawdziwa czasy obecnymi!*

*Czcą jest chimera albo dawno uszła z ziemi.*

*Nie znajdzie się ode mnie nikt bardziej gorący:*

*Jestem dumny, krzywd nigdy nie wybaczący,*

*Ale jeśli mi kiedy kto serce okaże -*

*W sam ogień już za niego skoczyć się odważę.*

*Gdyby zaś kto zapytać chciał, książko, w tej dobie,*

*Ile to lat twój autor liczy teraz, sobie -*

*Twoje błędy już same będą odpowiedzią.*

*Dzisiaj, kiedy na tronie Jerzy Trzeci<sup>[4]</sup> siedzi,*

*Ledwie mi rok dwudziesty ubiegł swoim torem,*

*Za co rękę solennym słowem i honorem.*

*Idź więc, moja książeczko, w niebezpieczną drogę,*

*Adieu! – bo ja już więcej pomóc ci nie mogę.*

*M.G.L.*

*W Hadze, 28 października 1794.*

[1] City – najstarsza część Londynu, siedziba handlu i mieszczaństwa.

[2] Paternoster Row – wąska uliczka w City tuż koło katedry Św. Pawła. Ośrodek handlu książkami.

[3] John Stockdale (1749-1814) i John Debrett (zm. 1822) – znani wydawcy londyńscy.

[4] Jerzy III panował w latach 1760-1820.

## Rozdział I

*Angelo, człowiek sumienny, surowy*

*I zawsze baczny na zawistnych sądy,*

*Ledwo chce przyznać, że ma krew w swych żyłach,*

*Ze kawał chleba nad kamień przenosi.*

Szekspir, „Miarka za miarkę”, I, 4, 50-53  
(przekł. L. Ulricha).



Dzwon opactwa<sup>[1]</sup> bił ledwie od kilku minut, a już kościół Kapucynów wypełniła ciżba słuchaczy. Nie przypuszczajcie, iż tłum zebrał się tu powodowany pobożnością lub głodem wiedzy. Owe dwie przyczyny skłoniły do przybycia tutaj tylko bardzo nielicznych; w mieście, gdzie zabobon dzierży tak despotyczną władzę jak właśnie w Madrycie, szukanie rzetelnej pobożności byłoby, zaiste, bezowocnym usiłowaniem. Słuchacze zgromadzeni obecnie w kościele Kapucynów zebraли się w świątyni z różnorodnych przyczyn, lecz wszystkie z nich obce były pobudkom okazywanej rzekomo nabożności. Niewiasty przybyły, aby się pokazać, mężczyźni zaś, aby ujrzeć niewiasty. Niektórych przyciągnęła ciekawość usłyszenia tak wstawionego mówcy, niektórzy przyszli, bo nie mieli lepszego sposobu spędzenia czasu przed rozpoczęciem teatru, a poniektórzy znów dlatego, że ich zapewniono, iż nie sposób będzie znaleźć w kościele dogodne miejsce. Tak więc połowa Madrytu ściągnęła tutaj przewidując, iż spotka się z drugą połową. Jedynymi osobami, którym rzetelnie zależało na wysłuchaniu kaznodziei, było kilka podstarzałych dewotek i z pół tuzina zawistnych oratorów; ci postanowili surowo osądzić i wyszydzić kazanie. Jeśli zaś idzie o resztę słuchaczy, to kazanie mogłoby się zgoła nie odbyć, i to z pewnością bez rozczarowania z ich strony, a bardzo możliwe:

I bez postrzeżenia przez nich, iż się nie odbyło.

Jedno przynajmniej było pewne, i to niezależnie od tego, co skłoniło ludzi do przybycia: nigdy kościół Kapucynów nie oglądał bardziej tłumnego zebrania. Każdy kął był pełny, każde krzesło zajęte. Nawet posągi, które przyozdabiały długie nawy, zostały wciągnięte w służbę wiernych. Chłopcy uwiesili się na skrzydłach cherubinów; zarówno św. Franciszek, jak św.



Marek trzymał na ramieniu po jednym spektatorze, a św. Agata została zniewolona do dźwignia podwójnego ciężaru. Skutkiem tego, mimo całego pośpiechu i obrotności, nasze dwie nowo przybyłe damy próżno rozglądały się za miejscem po wejściu do kościoła.

Jednakowoż stara dama wciąż uparcie posuwała się naprzód. Na nic zdały się okrzyki nieukontentowania, które padały ku niej ze wszystkich stron; na próżno zwracano się do niej ze słowami:

– „Zapewniam was, *signora*<sup>[2]</sup>, że nie ma tu ani jednego miejsca”.

– „Proszę, *signora*, nie pchajże się na mnie tak niemiłosiernie!” „Signora, żadną miarą tędy nie przejdiesz”. „Mocny Boże, jacy to ludzie bywają natrętni”. Stara dama była uparta i wciąż posuwała się naprzód. Dzięki wytrwałości i przy pomocy dwóch krzepkich ramion uczyniła sobie wśród ciżby przejście i udało się jej wepchnąć w sam środek kościoła, w niewielkiej tylko odległości od ambony. Towarzyszka damy postępowała za nią nieśmiało i w milczeniu, korzystając z wysiłków swej przewodniczki.

– Święta Dziewico! – wykrzyknęła stara niewiasta pełnym zwątpienia głosem, rzucając wokół siebie badawcze spojrzenie.

– Święta Dziewico! co za upał! co za tłumy! Ciekawa jestem, co to wszystko ma znaczyć. Przyjdzie nam chyba zawrócić; w żaden sposób nie znajdziemy tu czegoś na kształt krzesła, a nikt nie wydaje się dość uprzejmy, aby nam posłużyć swoim.

Owa wyraźna przymówka przyciągnęła uwagę dwóch kawalerów, którzy zajmowali stołki po prawej stronie i opierali się plecami o siódmy filar, licząc od strony ambony. Obaj byli młodzi i bogato przyodziani. Posłyszawszy ten apel do ich grzeczności wypowiedziany niewieścim głosem, przerwali pogawędkę, aby spojrzeć na mówiącą. Dama, pragnąc baczej rozejrzeć się po katedrze<sup>[3]</sup>, odrzuciła z twarzy zasłonę. Włosy miała rude i zezowała. Kawalerowie odwrócili się i dalej wiedli swoją rozmowę.

– Na wszystko cię proszę – rzekła towarzyszka leciwej niewiasty – na wszystko cię proszę, Leonello, wracajmy natychmiast do domu; straszliwie tu gorąco i przeraża mnie ta cała ciżba.

Słowa te wypowiedziane zostały tonem niezwykłej słodyczy. Kawalerowie znowu przerwali rozmowę, lecz tym razem nie zadowolili się spojrzeniem wzwyż; obaj bezwiednie podnieśli się z krzesel i zwrócili w stronę mówiącej.

Głos pochodził od kobiety, której delikatna i wykwintna postać wzbudziła w młodzieńcach najżywszą ciekawość i chętkę ujżenia liczka należącego do takiej ósóbki. Los odmówił im wszakże tej satysfakcji. Rysy damy skrywała gęsta zasłona, lecz przedzieranie się przez tłum wprawiło ją na tyle w nieład, że odsłoniła się szyjka, której piękno i proporcje mogłyby współzawodniczyć z szyją Wenery Medyceuszów. Były to szyjka i karczek najbardziej olśniewającej białości, a wdzięku przydawały im długie jasne loki, które w pierścieniach opadały do pasa dziewczyny. Wzrostu była mniej niż średniego, a postać miała drobną i zwiewną niby jakiejś hamadriady. Pierś dziewicy była starannie zasłonięta. Miała na sobie białą sukienkę przepasaną błękitną szarfą; spod szatek wyglądała maleńka nóżka o najbardziej subtelnych proporcjach. Różaniec o grubych ziarnach zwiślał z jej ręki, twarz zaś przysłaniał welon z gęstej czarnej gazy. Tej właśnie dziewczynie młodszy z kawalerów już podsuwał krzesło, gdy drugi młodzieniec uznał za właściwe zdobyć się na ten sam gest uprzejmości wobec jej towarzyszki. Stara dama wiele zapewniając o swej wdzięczności, bez zbytnich ceregieli przyjęła ofiarowane jej miejsce i zaraz na nim usiadła. Młódka poszła w jej ślady, lecz podziękowała za grzeczność tylko skromnym i wdzięcznym ukłonem. Don Lorenzo (bo tak się zwał kawaler, którego miejsce przyjęła) stanął koło dziewczynki, ale najpierw szepnął przyjacielowi do ucha kilka słów, a ten natychmiast pojął, o co chodzi, i usilnie starał się odciągnąć uwagę staruchy od jej nadobnej

wychowanki.

– Pewien jestem, żeś pani niedawno przybyła do Madrytu – rzekł Lorenzo do swej powabnej sąsiadki. – Nie sposób bowiem przypuścić, by takich ponęt przez tak długi czas nie zauważono

O gdyby nie było to, pani, twe pierwsze pojawienie się w świecie, zawiść kobiet i admiracja mężczyzn uczyniłaby cię już dostatecznie znaną.

Przerwał w oczekiwaniu odpowiedzi. Ponieważ jednak słowa jego nie wymagały natychmiastowej repliki – dama milczała. Po chwili kawaler podjął rozmowę.

– Nie myślę się chyba przypuszczając, iż jesteś pani gościem w Madrycie?

Dama zawahała się i w końcu głosem tak cichym, że ledwo dosłyszalnym i z pewnym ociąganiem odrzekła:

– Nie, *signor*.

– Czy zamierzasz przez czas niejaki zabawić tutaj?

– Tak, *signor*.

– Miałbym się za wybrańca losu, gdyby leżało w mojej mocy przyczynić się, pani, do umilenia ci pobytu. Jestem dobrze znany w Madrycie, a rodzina moja ma pewne wpływy na dworze. Gdybym ci się mógł w czymś przysłużyć, to nie mogłabyś pani niczym tak mnie zaszczyścić i zobowiązać – jak dozwalając mi, bym ci był pomocny. Z pewnością – rzekł sobie w duchu – nie może odpowiedzieć na to tylko bąknięciem; teraz musi się już do mnie odezwać.

Nadzieje Lorenza zawiodły, albowiem dama odpowiedziała tylko skinieniem głowy.

Lorenzo odkrył już, iż jego sąsiadka nie była zbyt rozmowna, lecz jeszcze nie potrafił orzec, czy przyczyną jej milczenia była duma, roztropność, nieśmiałość czy też głupota.

Po paru minutach dodał:

– Z pewnością dlatego, żeś pani obca w naszym mieście – rzecze – i jak dotąd nie obznajomiona z naszymi obyczajami, nosisz jeszcze ten welon. Dozwól, bym go usunął.

Jednocześnie wysunął rękę w stronę woalu, dama zaś uniosła w górę dłoń, by mu w tym przeszkodzić.

– Nigdy nie zdejmuję welonu w miejscu publicznym, *signor*.

– A cóż w tym złego, jeśli łaska? – przerwała słowa dziewczyny jej towarzyszka, i to nieco szorstko. – Czy nie widzisz, że inne damy, wszystkie co do jednej, odłożyły na bok welony, a to bez wątpienia dla uczczenia świętego miejsca, w jakim się znajdujemy. Jużem zrzuciła swój i nie wątpię, że jeśli ja wystawiam oblicze na widok publiczny, ty, moje dziecko, nie masz powodu wpadać w tak dziwaczny popłoch! Matko Boska! tyle hałasu i zamieszania z racji liczka jednej smarkatej! No, no, moje dziecko! Odstońże twarz. Ręcę, że nikt ci jej nie porwie.

– Droga ciotko, w Murcji nie ma takiego obyczaju.

– A to dobre! w Murcji! Święta Barbaro! a cóż to ma za znaczenie? Ustawicznie przywodziś mi na myśl tę obrzydłą prowincję. Jeśli taki jest obyczaj w Madrycie, to winnyśmy mieć na uwadze tylko tutejszą modę i dlatego rozkazuję ci, abyś natychmiast zrzuciła welon. Posłuchaj mnie, Antonio, nie zwlekaj, bo wiesz, że nie mogę ścierpieć sprzeciwu.

Siostrzenica damy milczała, lecz nie stawiała już oporu usiłowaniom Lorenza, który, mając przyzwolenie ciotki, spiesznie usunął welon. Cóż za główka serafina ukazała się jego pełnym podziwu oczom! A przecież była to główka raczej pełna uroku niżli piękna; powab jej zasadzał się nie tyle na regularności rysów, co na słodyczy i wrażliwości malującej się na fizjonomii dziewczyny. Przypatrując się rysom i liczkowi Antonii można było dostrzec, iż niektórym z nich daleko było do nadobności, ale gdyś się przyjrzał całej twarzyczce – była zachwycająca. Płeć dziewczyny, choć bardzo jasna, nie pozbawiona była piegów, oczy miała nie nazbyt duże, a rzęsy nie odznaczały się szczególną długością. Lecz za to usta dziewczeczki pełne

były różanej świeżości, zaś jasne i kędzierzawe włosy, przytrzymane zwyczajną wstążką, spływały jej poniżej pasa bogactwem pierścieni. Szyjkę miała pełną i piękną nad wyraz, rączki i nóżki uformowane z najdoskonalszym wycuciem proporcji; łagodne błękitne oczy dziewczyny wydawały się niebem słodczy, a kryształ, w którym się poruszały, lśnił całym blaskiem diamentów. Wyglądała na lat najwyżej piętnaście; filuterny uśmiezek igrał na jej wargach i zdradzał, iż obdarzona była żywością, przytłumioną teraz przez nieśmiałość. Rzuciła wokół siebie trwożliwe spojrzenia, a ilekroć oczy jej przypadkiem napotkały oczy Lorenza, spuszczała je pospiesznie na różaniec. Policzki dziewczyny oblał rumieniec i jęła odmawiać swoje paciorki, choć sposób, w jaki to czyniła, niechybnie wskazywał, że nie bardzo wie, co robi.

Lorenzo spoglądał na nią ze zdumieniem pomieszany z podziwem, lecz ciotka uznała, iż trzeba przeprosić kawalera za *mauvaise honte*<sup>[4]</sup> Antonii.

– Młode to stworzenie – rzekła – i całkiem nie obznajomione ze światem. Wychowała się w starym zamku w Murcji i tylko w towarzystwie matki, która, niech Bóg mają w swojej opiece, nie ma więcej rozumu, zacna dusza, niżli potrzeba, aby donieść do ust łyżkę z zupą. A przecież jest moją rodzoną siostrą, i to z jednego ojca i matki.

– I tak mało ma rozgarnięcia? – rzekł don Christoval z udanym zdziwieniem. – Nie do wiary!

– Masz świętą rację, *signor*. Jest się czemu dziwować. A przecie prawdę mówię; jakie to niektórzy ludzie mają szczęście! Młody szlachcic, i to z najprzedniejszej familii, wbił sobie do głowy, że Elwira ma niejake pretensje do piękności. Co prawda, miała tych pretensji pod dostatkiem, ale co do piękności! Gdybym sobie tylko zadała połowę tego trudu co ona, aby się wydać przed ludźmi! Ale to nie należy do rzeczy. Jak już rzekłam, *signor*, młody szlachcic zakochał się w niej i poślubił ją bez wiedzy ojca. Związek ich pozostał w tajemnicy przez prawie trzy lata, ale w końcu wieść o nim doszła do uszu starego markiza, który, jak łąco możesz przypuszczać, nie nazbyt był kontent z nowiny. Spiesznie przybył końmi pocztowymi do Kordoby z postanowieniem pochwylenia Elwiry i odesłania jej w takie czy inne miejsce, gdzie by słuch o niej zaginął. Święty Pawle! jakież gromy ciskał, gdy odkrył, że Elwira mu umknęła, połączyła się z małżonkiem i wraz z nim wsiadła na okręt płynący do Indii. Przeklinał nas wszystkich tak, jakby go zły duch opętał; wtrącił mego ojca do więzienia, a drugiego tak uczciwego i pracowitego szewca nie znalazłbyś w całej Kordobii. Kiedy zaś odjeżdżał, był na tyle okrutny, że zabrał od nas małego chłopaczka, synka mojej siostry, który ledwo ukończył dwa latka, a którego siostra moja z racji nagłej ucieczki musiała u nas zostawić. Mniemam, że biedny mały nieszczęśnik spotkał się ze strony dziadka ze złym i złośliwym traktowaniem, bo w kilka miesięcy później otrzymaliśmy wiadomość o śmierci dziecka.

– Signora, cóż to za okropny starzec!

– Ach, obrzydły staruch! A przy tym człek tak całkowicie pozbawiony gustu! Czy dasz wiarę, *signor*, że gdy usiłowałam go ugłaskać, wyzwał mnie od czarownic i wieszował sobie, aby dla pokarania hrabiego siostra moja stała się równie szpetna jak ja. Szpetna, zaiste! Lubię go za takie gadanie!

– Co za brednie! – zawołał don Christoval. – Nie wątpię, że hrabia uważałby się za wybrańca losu, gdyby mu dozwolono zamienić jedną siostrę na drugą.

– Chryste Panie! to doprawdy zbytek dworności. Raduję się przecie z całego serca, że hrabia był innego mniemania. Nie ma co, śliczny profit wyciągnęła Elwira z tego całego interesu! Po smażeniu się i prażeniu w Indiach przez długie trzynaście lat jej małżonek umiera, a ona powraca do Hiszpanii i zostaje bez dachu nad głową i bez pieniędzy, za które mogłaby go sobie sprawić. Ta oto Antonia była wtedy jeszcze niemowlęciem i jedynym dzieckiem, jakie Elwirze pozostało. Siostra dowiedziała się, że teść jej powtórnie się ożenił, że był nieprzejednany, jeśli

chodzi o hrabiego, i że druga żona markiza porodziła syna, który, jak powiadają, jest bardzo udanym młodzieńcem. Stary markiz odmówił widzenia się z moją siostrą lub jej dziecięciem, lecz powiadomił ją, iż pod warunkiem, że nigdy więcej o niej nie posłyszysz, wyznaczy jej skromną pensyjkę i dozwoli na zamieszkanie w starym zamku w Murcji, będącym jego własnością. Była to ulubiona rezydencja jego starszego syna, ale od czasu ucieczki męża Elwiry z Hiszpanii stary markiz nie mógł ścierpieć tego miejsca i dozwolił, by popadło w ruinę i zaniedbanie. Siostra przyjęła propozycję teścia, usunęła się do Murcji i pozostawała tam aż do końca ubiegłego miesiąca.

– A co sprowadzają do Madrytu? – zapytał don Lorenzo, którego podziw dla nadobnej Antonii skłaniał do żywego zajęcia się opowieścią starej gaduły.

– Niestety, *sigñor* Teść jej niedawno zmarł, a burgrabia jego folwarków w Murcji odmówił dalszego wypłacania pensyjki. Siostra przybyła więc do Madrytu z zamiarem ubłagania syna markiza, aby ją nadal wspomagał, ale zda mi się, że mogła sobie oszczędzić tego kłopotu. Wy, młodzi panowie, zawsze macie na co wydawać pieniądze, a niezbyt często jesteście skłonni trwonić je na stare niewiasty. Doradziłam siostrze, aby wysłała Antonię ze swoją petycją, ale nawet o tym słyszeć nie chciała. Okrutnie uparta! Co robić; źle na tym wyjdzie, że nie posłucha mojej rady: dziewczyna ma wcale powabne liczko i niechybnie mogłaby wiele zdziałać.

– Ach, *signora* – przerwał jej don Christoval udając, iż spogląda na nią ogniem, jeśli piękne liczko załatwiłoby całą sprawę, to dlaczego siostra nie odwołała się do ciebie?

– Jezusie Nazareński! Mój panie, klęę się, że całkiem podbiła mnie twoja galanteria. Zapewniam cię jednak, iż nazbyt jestem świadoma niebezpieczeństw płynących z takiego pośpiechu, bym mogła ufnie oddać się w moc młodego szlachcica. Nie, o nie; jak dotąd zachowałam swą reputację bez zmazy i zawsze umiałam trzymać mężczyzn w przystojnej odległości.

– Nie mam co do tego, *signora*, ani cienia wątpliwości. Dozwól jednak, bym ci zadał pytanie... Czyżbyś, pani, powzięła jakiś wstręt do stanu małżeńskiego?

– To mi pytanie, co trafia w sedno. Muszę wyznać, iż gdyby jakiś gładki kawaler miał się zdeklarować...

Tu miała rzucić don Christovalowi tkliwe i znaczące wejrzenie, ale ponieważ nieszczęściem dla niej obmierzła zezowała, spojrzenie padło wprost na jego towarzysza. Lorenzo przyjął komplement i odpowiedział nań głębokim ukłonem.

– Czy mogę zapytać – rzecz – o nazwisko markiza?

– Markiz de Las Cisternas.

– To mój bliski znajomy. Nie ma go teraz w Madrycie, ale z dnia na dzień oczekujemy jego powrotu. Jest on jednym z najzacniejszych ludzi i jeśli nadobna Antonia przyzwoli, bym stał się u niego jej rzecznikiem, nie wątpię, iż będę mógł w korzystnym świetle przedstawić markizowi jej sprawę.

Antonia spojrzała nań niebieskimi oczyma i milcząco, uśmiechem pełnym niewypowiedzianej słodyczy podziękowała mu za tę propozycję. Zadowanie Leonelli było znacznie bardziej donośne i słyszalne. Ponieważ siostrzenica zazwyczaj milczała w jej towarzystwie, ciotka uważała za swój obowiązek mówić za dwie; przychodziło jej to bez trudności, albowiem rzadko kiedy brakło jej słów na języku.

Och, *sigñor* – zawołała – zobligujesz sobie tym niepomiernie całą naszą rodzinę! Przyjmuję twoją propozycję z całą wdzięcznością, na jaką mnie tylko stać, i składam ci tysiączne dzięki za twą wspańiałością. Antonio, dlaczego się nie odzywasz, moje dziecko? Kawaler prawi ci tyle uprzejmości, a ty siedzisz jak kołek i nie wykrztusisz z siebie ani jednego słowa podziękowania... niechby to było choć słowo – dobre, złe czy obojętne.

– Droga ciotko, wiem dobrze, że...

– Pfe, siostrzenico! Ileż razy ci powiadałam, abyś nigdy nie przerywała mówiącej osobie. Czyś kiedykolwiek widziała, abym ja to robiła? Czy takie obyczaje przywiozłaś z Murcji? Boże, zlituj się nade mną! Nigdy nie zdołam uczynić z tej dziewczyny czegoś podobnego do dobrze ułożonej osoby. Ale proszę, *signor* – ciągnęła dalej zwracając się do don Christovala – objaśnij mi, dlaczego taka ciżba zebrała się dzisiaj w katedrze?

– Czy to możliwe, abyś nie wiedziała, że Ambrozjo, opat tego klasztoru, wygłasza w tej właśnie świątyni kazanie każdego czwartku? Cały Madryt rozbrzmiewa jego pochwałami. Jak dotąd, kazał tylko trzy razy, lecz wszyscy, którzy go słyszeli, są tak zachwyceni jego wymową, iż równie trudno jest zdobyć miejsce w kościele, jak w teatrze na pierwszej prezentacji nowej komedii. Sława Ambrozja musiała z pewnością dotrzeć do twoich uszu?

– Niestety, *signor* aż do wczoraj nigdy nie miałam szczęścia oglądać Madrytu, a w Kordobie tak mało wiemy, co się dzieje w reszcie świata, iż o imieniu Ambrozja nigdy nie wzmiankowano w obrębie mojego rodzinnego miasta.

– Znajdziesz to imię na ustach wszystkich mieszkańców Madrytu. Zda się, że człek ten rzucił jakiś urok na jego mieszkańców, a jako że sam nie słyszałem dotąd jego kazania, dziwię się zapałowi, jaki rozbudził. Cześć, jaką mu składają zarówno młodzi, jak starzy, mężowie, jak i niewiasty, jest zgoła bezprzykładna. Grandowie obsypują go podarkami, ich żony nie chcą mieć żadnego innego spowiednika i w całym mieście znany jest pod imieniem Męża Świątobliwego.

Niechybnie, *signor*, pochodzi on z jakiegoś znacznego rodu?

– Ten punkt pozostał jak dotąd nie rozstrzygnięty. Ostatni opat kapucynów znalazł go jeszcze jako niemowlę u drzwi opactwa. Wszelkie zabiegi, by odkryć, kto go tam pozostawił, spełzły na niczym, a samo dziecko nie mogło nic rzec o swych rodzicach. Chłopiec odebrał edukację w klasztorze i tam przebywał aż do tej pory. Wcześniej okazywał wyraźne skłonności do nauki i zamiłowanie do ustronnego życia, a skoro tylko osiągnął stosowny wiek, złożył śluby zakonne. Nikt nigdy nie pojawił się, by uznać go za swego potomka lub by wyjaśnić tajemnicę, która skrywała jego pochodzenie, a mnisi, którzy dobrze profitują z łask okazywanych klasztorowi właśnie z szacunku dla Ambrozja, nie wahali się rozgłosić, iż podarowany im został przez Świętą Dziewicę. I zaprawdę, osobliwie surowy tryb życia, jaki wie dzie Ambrozjo, niemało podtrzymuje owe pogłoski. Ma on teraz trzydzieści lat, a każdą godzinę, która się na te lata złożyła, przepędził na naukach, w zupełnym odosobnieniu od świata i w umartwieniu ciała. Dopiero trzy tygodnie temu został wybrany opatem swego zgromadzenia i wyszedł po raz pierwszy poza mury klasztorne. Nawet teraz opuszcza je tylko w czwartek, kiedy to wygłasza kazanie w katedrze, a cały Madryt zbiera się tam, żeby go słuchać. Powiadają, iż wiedza jego jest najgłębsza, zaś wymowa najbardziej przekonująca. W ciągu całego życia nigdy ponoć nie wykroczył przeciw jednej jedynej regule swego zakonu. Na reputacji jego nie odkryjesz najmniejszej plamki i powiadają, iż tak ściśle obserwuje cnotę czystości, że nie wie, na czym polega różnica między mężem a niewiastą. Z tej przyczyny spóółstwo uważa go za świętego.

– Czy to wystarczy, aby zostać świętym? – spytała Antonia.

– Mój Boże! a więc ja też jestem święta.

– Święta Barbaro! – wykrzyknęła Leonella – co za pytanie! Pfuj, dziecko, pfuj! nie są to tematy stosowne do rozważań dla młodych panien. Nie wolno ci okazywać, że wiesz, iż istnieje na świecie taka rzecz jak mężczyzna, i winnaś wystawiać sobie, iż każdy jest tej samej płci co i ty. Ładnie by to wyglądało, gdybyś dawała ludziom do zrozumienia, iż wiesz, że mężczyzna nie ma piersi, bioder ani...

Szczęściem dla nieświadomości Antonii, którą to nieświadomość objaśnienia ciotki rychło by rozproszyły, rozszedł się po kościele ogólny szmer, zwiastujący nadejście kaznodziei.

Donna Leonella podniosła się z krzesła, by mu się lepiej przyjrzeć, Antonia zaś poszła za jej przykładem.

Był to mąż szlachetnej postawy i wzbudzającej poszanowanie prezencji. Postać miał wyniosłą, oblicze nader przystojne, orli nos, oczy duże, czarne i błyszczące, ciemne zaś brwi nieomal złączone razem. Płeć jego była mocno śniada, lecz nie szerniała, a zgłębianie wiedzy i nocne czuwanie pozbawiły jego lica rumieńca. Spokojność królowała na jego gładkim, nie pomarszczonym czole, zaś ukontentowanie, które wyrażał każdy rys jego twarzy, zdawało się oznajmiać, iż spoglądamy na człowieka nie znającego zarówno troski, jak i występku. Skłonił się z pokorą przed słuchaczami, wszakże w jego wyglądzie i ułożeniu była jakaś surowość, która budziła powszechną grozę i tylko niewielu mogło znieść blask jego oka. Tak wyglądał Ambrozjo, opat kapucynów, człowiek o przydomku Męża Świątobliwego.

Antonia wpatrywała się weń uporczywie i wraz poczuła, jak dziwna rozkosz rozlewa się w jej sercu; było to uczucie zgoła jej dotąd nie znane, które próżno starała się sobie wytłumaczyć. Niecierpliwie oczekiwała rozpoczęcia kazania, a gdy wreszcie przemówił, dźwięk jego głosu zdawał się przenikać do głębi jej duszy. Chociaż nikt ze spektatorów nic miał tak gwałtownych wrażeń jak młoda Antonia, to jednak każdy słuchał z uwagą i ze wzruszeniem. Nawet ci, którzy byli nieczuli na doskonałość i dostojeństwo religii, popadli w zachwyt nad sztuką oratorską Ambrozja. Podczas jego przemowy wszyscy uczyli, iż słowa jego nieodparcie przyciągają ich uwagę i najgłębsza cisza zapanowała w przepełnionych nawach.

Nawet sam Lorenzo nie mógł się oprzeć owemu urokowi; zapomniał, iż Antonia siedzi tuż koło niego, i przysłuchiwał się kaznodziei z pilną uwagą. Mnich w słowach żywych, jasnych i prostych rozwodził się nad powabami religii. Objasniał niektóre zawiłe partie Pisma Świętego w sposób, który trafiał do powszechnego przekonania. Gdy powstawał na występkę człowiecze i opisywał karę przeznaczoną dla grzeszników w przyszłym życiu, głos jego, głęboki i donośny zarazem, niósł z sobą całą grozę nawałnicy. Każdy ze słuchaczy spoglądał wstecz na swoje dawniejsze wykroczenia i drżał; zdało się wszystkim, iż huczy grzmot, a grom porazi ich z ręki przeznaczenia; mniemali, iż otchłań wiecznego zatracenia rozwiera się pod ich stopami. Lecz gdy Ambrozjo, zmieniając temat, mówił o zaletach nieskałanego sumienia, o wspaniałych obietnicach szczęśliwości, które wieczność gotuje dla duszy nie tkniętej hańbą występku, i o nagrodzie, jaką oczekuje sprawiedliwych w krainach wieczystej chwały – słuchacze jego poczuli, że powoli wstępuje w nich lepszy duch. Z ufnością zdawali się na miłosierdzie swego Sędziego, z rozkoszą chłonęli krzepiące słowa kaznodziei, a gdy jego głęboki głos przeszedł w śpiewne brzmienia, przeniesieni zostali do owych szczęśliwych krain, które odmalował przed ich wyobraźnią w kolorach tak świetnych i pełnych blasku.

Kazanie było dość długie, a jednak gdy się skończyło, słuchacze strapili się, iż trwało tak krótko. Chociaż mnich zamilkł, przecie nabrzmiała podziwem cisza panowała w całej świątyni. W końcu czar z wolna prysnął, tłum zaś głośno dał wyraz ogólnemu podziwowi. Gdy Ambrozjo schodził z ambony, słuchacze jęli się tłoczyć wokół niego, obsypywać go błogosławieństwami, rzucać mu się do nóg i całować skraj jego szaty. Przeszedł wolno, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, w kierunku drzwi wiodących do kaplicy opactwa, gdzie mnisi czekali na przybycie swego przełożonego. Wkroczył na schody, a później, zwracając się ku tłoczącym się za nim ludziom, skierował do nich kilka słów wdzięczności i zachęty. W czasie tej przemowy różaniec Ambrozja, złożony z grubych ziarn bursztynu, zsunął mu się z ręki i spadł między otaczającą go ciżbę. Pochwycono go łapczywie i natychmiast rozdzielono między obecnych. Ktokolwiek stał się posiadaczem paciorka, zachowywał go jak świętą relikwię i gdyby to był różaniec samego po trzykroć błogosławionego świętego Franciszka, nie spierano by się o paciorki tak zapamiętale. Opat spozierał z uśmiechem na ludzką żarliwość, pobłogosławił tłum i opuścił kościół; każdy rys

jego twarzy wyrażał przy tym głęboką pokorę. Czy jednak owa pokora mieszkała również w jego sercu?

Oczy Antonii z niepokojem śledziły postać Ambrozja, a gdy drzwi się za nim zamknęły, zdało się jej, iż utraciła kogoś, kto był jej nieodzownie potrzebny do szczęścia. Łza potoczyła się cichutko po policzku dziewczyny.

– Żyje z dala od świata – rzekła sobie w duchu – może go już nigdy nie ujrzę!

Gdy ocierała łzy, Lorenzo spostrzegł jej ruch.

– Czy jesteś pani kontenta z naszego mówcy? – zapytał. – A może mniemasz, iż Madryt przecenia jego talenty?

Serce Antonii tak pełne było podziwu dla mnicha, iż gorliwie skorzystała ze sposobności, by wieść o nim rozmowę; poza tym, nie uważając już Lorenza za człowieka obcego, czuła się mniej skrępowana przez swą zbytnią nieśmiałość.

– Och! przeszedł wszelkie moje oczekiwania – odrzekła. – Aż do tej chwili nie miałam wyobrażenia o potędze wymowy. Kiedy przemawiał, głos jego tak przyciągnął moją uwagę i taki wzbudził we mnie szacunek, i rzec mogę nieomal, taki afekt ku temu człowiekowi, iż sama dziwię się żywości moich uczuć.

Lorenzo uśmiechnął się posłyszawszy, jak silnych użyła wyrażen.

– Jesteś pani młoda i dopiero co wchodzisz w życie – rzekł. – Serce twoje nieznajome świata, a pełne żaru i czułości, skwapliwie chłonie pierwsze wrażenia. Sama jesteś pozbawiona chytryści i nie podejrzewasz innych o oszukaństwo, a gdy spoglądasz na świat oczyma twej własnej poczciwości i niewinności, zda ci się, że wszyscy, którzy cię otaczają, zasługują na ufność i szacunek. Jaka szkoda, iż te radosne wizje muszą się rychło rozproszyć! Jaka szkoda, iż rychło będziesz musiała odkryć podłość rodzaju ludzkiego i tak się mieć na baczności wobec swoich bliźnich, jak wobec wrogów!

– Niestety! *signor* – odparła Antonia – nieszczęścia moich rodziców ukazały mi już, i to aż nazbyt wiele żalonych przykładów przewrotności świata. A jednak pewna jestem, iż w tym przypadku nie mogło mnie zwieść ciepło gorliwości, jaką odczuwam.

– Przyznaję, iż w tym przypadku nie zwiodło cię, pani. Reputacja Ambrozja nie ma najmniejszej skazy, a człowiek, który przepędził całe życie w murach klasztoru, nie mógł znaleźć okazji do występku, nawet gdyby miał ku temu skłonności. Ale teraz, kiedy opat z racji obowiązków związanych z jego dostojenstwem musi co czas niejaki wejść między ludzi i napotkać na swej drodze czyhające nań pokusy, właśnie teraz przystoi mu okazać, jak wspaniała jest jego cnota. Niebezpieczna to próba; Ambrozjo znajduje się właśnie w tym okresie żywota, w którym namiętności są najsilniejsze, najbardziej nieokiełznane i despotyczne. Jego ustalona reputacja wyda go na cenny łup dla pokusy, nowość stanie się dodatkowym powabem dla nęcących rozkoszy i nawet talenty, którymi obdarzyła go natura, przyczynią się do jego upadku przez ułatwienie mu sposobów w osiągnięciu zamierzonego celu. Tylko nieliczni wyszliby zwycięsko z tak srogiemu boju.

– Och, pewna jestem, że Ambrozjo będzie właśnie jednym z tych nielicznych.

– I ja o tym nie wątpię; jest on ze wszech miar wyjątkiem pośród wszystkich śmiertelników i zawiść próżno by szukała skazy na jego reputacji.

– *Signor*, raduje mnie to zapewnienie i zachęca do pobłażania życzliwym skłonnościom, jakie ku niemu powzięłam; sam nie wiesz, panie, z jakim trudem przyszłoby mi stłumić ten sentyment! Ach! najmilsza ciociu! ubłagaj mamę, aby wybrała Ambrozja na naszego spowiednika!

– Ja mam ją ubłagać? – odrzekła Leonella. – Zapewniam cię, że ani mi to w głowie. Zgoła nie gustuję w tym waszym Ambrozju. Wygląda tak srogo, iż przyprawił mnie o drżączkę

od stóp do głów. Gdyby był moim spowiednikiem, nigdy nie miałabym odwagi wyznać mu ani połowy moich grzeszków, a wtedy ładnie bym wyglądała! Nigdy nie widziałam śmiertelnika o tak ponurym wyglądzie i mam nadzieję, że nigdy podobnego nie zobaczę. A jak to nam opisał szatana, Boże, zmiłuj się nad nami! Przestraszył mnie nieomal do utraty zmysłów; gdy zaś mówił o grzesznikach, to zdało się, że już gotów ich pożreć.

– Masz rację, *signora* – odparł don Christoval. – Powiadają, iż zbytnia surowość jest jedynym błędem Ambrozja. Sam będąc wolnym od słabostek, nie okazuje dostatecznego pobłażania dla wykroczeń bliźnich, a choć w swych decyzjach trzyma się ściśle litery prawa i nie kieruje uprzedzeniami, to przecie rządy Ambrozja nad mnichami dały już niejaki dowody jego nieugiętości. Co widzę, tłum się już rozszedł; czy dozwolicie, byśmy wam towarzyszyli w drodze powrotnej?

– Chryste Panie, *signor* – wykrzyknęła Leonella udając, że się rumieni. – Za skarby świata nie ścieriałabym czegoś podobnego. Gdybym wróciła do domu w kompanii tak okazałego kawalera, moja siostra, osoba o wielce delikatnym sumieniu, wygłosiłaby mi godzinne kazanie i nie byłoby końca jej gadaniu. A poza tym życzyłabym sobie raczej, byś się jeszcze teraz nie deklarował.

– Deklarował? Zapewniam cię, *signora*...

– Och, *signor* mniemam, iż wszystkie twe zapewnienia o tym, jak ci pilno, są ze wszech miar prawdziwe, ale doprawdy winnam prosić cię o chwilę wytchnienia. Nie nazbyt dobrze świadczyłyby to o mojej delikatności, gdybym przyjęła twą rękę przy pierwszym widzeniu.

– Przyjęła moją rękę? Jakem żyw i cały...

– Och, miły panie! nie nastawaj na mnie więcej, jeśli mnie tylko miłujesz. Posłuszeństwo uznaję za dowód twego afektu; usłyszysz o mnie jutro, a więc do zobaczenia. Ale proszę, moi kawalerowie, czy mogę spytać o wasze nazwiska?

– Mój przyjaciel zwię się hrabia d'Ossorio – odparł Lorenzo – ja zaś Lorenzo de Medina.

– Wystarczy. A więc, don Lorenzo, zaznajomię siostrę z twą łaskawą propozycją i jak najspieszniej powiadomię cię o wyniku naszej rozmowy. Dokąd mogę ci przysłać wiadomość?

– Zawsze można mnie znaleźć w pałacu Medinów.

– Możesz być pewnym, że nie zostawię cię bez wieści. Do zobaczenia, panowie. Hrabio, niechże cię ubłagam, byś hamował zbytnią gwałtowność twoich zapałów. Aby ci przecie udowodnić, iż nie jestem ci nieprzychylna, i nie dozwolę ci na pogrążenie się w rozpacz, proszę, przyjmij ten dowód mojego afektu i od czasu do czasu poświęć jedną myśl nieobecnej Leonelli.

Mówiąc to wyciągnęła ku niemu chudą i pomarszczoną dłoń, którą jej domniemany adorator ucałował z tak kwaśną miną i z tak widocznym przymusem, iż Lorenzo z trudnością powstrzymał chętkę do śmiechu. Potem Leonella spiesznie opuściła kościół; nadobna Antonia szła za nią w milczeniu, lecz gdy doszła do kruchty, odwróciła się mimo woli i rzuciła spojrzenie na Lorenza. Ten skłonił się jej, jak gdyby mówiąc: „Do zobaczenia”. Dziewczyna odwzajemniła jego uprzejmość i szybko odeszła.

– A więc, mój Lorenzo! – rzekł don Christoval, skoro tylko znaleźli się sami – wplątałeś mnie w rozkoszną intrygę. By wesprzeć twe zamysły względem Antonii, usłuźnie prawie cioci kilka słodkich słówek bez żadnego znaczenia, i po godzinie spostrzegam, iż jestem jedną nogą przy ołtarzu. Jakże nagrodzisz mi to, że ucałowałem zwiotczałą łapę tej przeklętej starej wiedźmy? Diavolo!<sup>[5]</sup> Pozostawiła na moich wargach taki zapach, iż cuchnąć będę czosnkiem przez cały miesiąc. W czasie przechadzki po Prado<sup>[6]</sup> wezmą mnie za chodzący omlet albo za jakąś przerośniętą cebulę!

– Przyznaję, hrabio, iż twoja przysługa narażała cię na niebezpieczeństwo; daleki przecie



jestem od mniemania, byś go nie mógł żadną miarą przetrwać, i mam nadzieję, że cię przypuszczalnie uproszę, byś jeszcze dalej posunął się w swoich amorach.

– Wnioskuje z tej petycji, że mała Antonia wywarła na tobie niejaki wrażenie.

– Nie sposób wyrazić, jak bardzo oczarowały mnie jej wdzięki. Od czasu śmierci mego ojca stryj, książe Medina, napomykał mi nieraz, iż pragnie widzieć mnie człkiem żonatym. Jak dotąd, nie dawałem ucha tym wzmiankom, udając, iż nie pojmuję, o co mu chodzi, lecz to, com ujrzał tego wieczora...

– Ha! a cóżeś ujrzał tego wieczora? Ejże, nie jesteś chyba, don Lorenzo, tak szalony, by myśleć o pojęciu za żonę wnuczki tak zacnego i pracowitego szewca, jakiego drugiego nie było w całej Kordobie!

– Zapomniałeś, iż jest ona również wnuczką zmarłego markiza de Las Cisternas. Nie wdając się jednak w dysputę o urodzeniu i tytułach, muszę cię zapewnić, iż nigdy nie oglądałem panny tak powabnej jak właśnie Antonia.

– Bardzo możliwe, ale nie myślisz chyba się z nią ożenić?

– A dlaczegoż by nie, drogi hrabio? Starczy mi bogactwa dla nas obojga, a wiesz, że stryj jest hojny w tym względzie. O ile znam Rajmonda de Las Cisternas, pewien jestem, że chętnie uzna Antonię za swą siostrzenicę. Urodzenie dziewczyny nie będzie więc przeszkodą do ofiarowania jej mej ręki. Byłbym ostatnim łotrem, gdybym mógł myśleć o zdobyciu jej jakimikolwiek innymi sposobami, a nie przez ołtarz, i zaprawdę wydaje mi się, iż jest ona obdarzona wszystkimi przymiotami, które nieodzownie pragnąłbym znaleźć w małżonce, bym zaznać mógł prawdziwej szczęśliwości: jest młoda, powabna, łagodna, roztropna...

– Roztropna? Ejże! nie wypowiedziała nic poza „tak” i „nie”.

– Muszę wyznać, że nie rzekła wiele więcej, ale zawsze mówiła „tak” i „nie” tam, gdzie potrzeba.

– Doprawdy? Och! jestem twym pokornym sługą! To się nazywa używać argumentów godnych kochanka; nie ośmielę się przeto spierać się dłużej z tak głębokim kazuistą. Gdybyśmy tak poszli na komedię?

– Jako żywo, nie mogę. Dopiero wczoraj wieczorem przybyłem do Madrytu i nie miałem jeszcze sposobności oglądania siostry. Wiesz pewnie, że klasztor jej położony jest przy tej ulicy, i właśnie do niego zdążyłem, gdy ciżba tłocząca się do kościoła roznieciła moją ciekawość i zapragnąłem dowiedzieć się, co przywiodło tu takie tłumy. Teraz spełnię swój poprzedni zamiar i być może przepędzę wieczór z siostrą w rozmównicy.

– Powiadasz, że siostra twoja w klasztorze? Ach, prawda, całkiem o tym zapomniałem. A jak się wiedzie *donnie* Agnes? Dziwię się, Lorenzo, jak mogłeś do tego dopuścić, by uwięziono tak ponętą dziewczynę w murach klasztornych!

– Jak mogłem do tego dopuścić, don Christovalu? Jakże możesz posądzać mnie o takie barbarzyństwo! Wiadomo ci chyba, że Agnes złożyła śluby z własnej woli i że jakieś szczególne okoliczności sprawiły, iż zapragnęła odgrodzić się od świata. Użyłem wszelkich sposobów, jakie leżały w mojej mocy, aby skłonić ją do zmiany postanowienia; wszystkie usiłowania okazały się bezskuteczne i straciłem siostrę!

– Tym lepiej dla ciebie; wydaje mi się, żeś znacznie zyskał na tej stracie. Jeśli dobrze pomnę, posag *donny* Agnes wynosił dziesięć tysięcy pistołów, z czego połowa wróciła do waszmość pana. Na świętego Jagona! wieszowałbym sobie pięćdziesięciu sióstr w takiej samej sytuacji; zgodziłbym się na utratę każdziutkiej z nich bez zbytniego bólu serca.

– Jakże to, mój hrabio? – rzekł Lorenzo gniewnym głosem. – Czy myślisz, iż podła chęć zawładnięcia jej fortuną mogła...

– Wspaniale! Odwagi, don Lorenzo! Aleś się, człowieku, rozjątrzył! Niechże Bóg sprawi,

by Antonia uśmierzyła te zapalczywe skłonności, bo w przeciwnym razie niechybnie poderżniemy sobie gardła przed upływem miesiąca. Aby jednak nie dopuścić teraz do tak tragicznej katastrofy, wycofuję się, pozostawiając cię zwycięzcą na placu boju. Zegnaj, mój rycerzu z góry Etny! Miarkuj swe zapalne skłonności i pamiętaj, że kiedykolwiek zajdzie potrzeba, bym zalecał się do tej wiedźmy, możesz liczyć na moje usługi.

Rzekłszy to wypadł z katedry.

– Co za szaleniec! – rzekł Lorenzo. – Szkoda doprawdy, iż przy tak złotym sercu tak mało ma rzetelnego rozumu!

Zmrok począł szybko zapadać. Jeszcze nie zapalono lampek. Mdłe promienie wschodzącego księżyca z trudem przebijały się przez gotyckie mroki kościoła. Lorenzo niezdolny był do opuszczenia tego miejsca. Pustka, jaką pozostawiło w sercu młodzieńca odejście Antonii, poświęcenie siostry, które mu właśnie przywiódł na myśl don Christoval, wzniciły w umyśle Lorenza melancholijne myśli, aż nazbyt dobrze idące w parze z nabożnym mrokiem, który go zewsząd otaczał. Lorenzo wciąż jeszcze wspierał się o siódmą kolumnę, dzielącą go od ambony. Wzdłuż pustych naw przeciągał łagodny i chłodny wietrzyk. Promienie księżyca, wpadając do kościoła przez witraże, barwiły leciutko zmurszałe sklepienia i potężne kolumny, przydając im tysiące różnorodnych odcieni światła i kolorów. Dookoła panowała zupełna cisza, przerywana tylko od czasu do czasu odgłosem zamykanych drzwi w przylegającym do kościoła opactwie.

Spokój owej godziny i odludne miejsce, w jakim się znajdował Lorenzo, przyczyniły się do rozbudzenia melancholijnych skłonności młodzieńca. Rzucił się na stojącą obok ławę i oddał się rojeniom wyobraźni. Rozmyślał o połączeniu się z Antonią, rozmyślał o przeszkodach, które mogą stanąć na drodze jego pragnieniom, i przed oczyma jego wyobraźni przesuwało się tysiące zmiennych wizji – żałosnych, to prawda, ale nie pozbawionych powabu. Niepostrzeżenie ogarnął Lorenza sen, a wzniosły spokój, który opanował jego umysł na jawie, kształtował przez czas niejaki senne marzenia młodzieńca. Zdawało mu się, że ciągle jeszcze znajduje się w kościele Kapucynów, ale nie był on już ciemny i pusty. Nieprzebrana mnogość srebrnych oliwnych lampek, umieszczonych w górze, rzuciła blask na cały kościół. W świątyni rozbrzmiewała muzyka organów, a towarzyszyły jej zachwycające ucho pienia odległego chóru. Ołtarz zdał się przyozdobiony jakby na jakiś znaczny odpust; otaczała go świetna kompania. Tuż obok ołtarza stała Antonia spowita w ślubną biel, a rumieniec jej gorzał wszelkimi ponętami dziewiczej skromności.

Lorenzo wpatrywał się w scenę, rozgrywającą się przed jego oczyma, na poły z nadzieją, na poły z obawą. Nagle otworzyły się drzwi wiodące do opactwa i Lorenzo ujrzał, jak kaznodzieja, któremu niedawno przysłuchiwał się z takim podziwem, kroczy w stronę ołtarza w towarzystwie długiego orszaku mnichów. Lorenzo zbliżył się do Antonii.

A gdzież jest oblubieniec? – zapytał ów urojony we śnie zakonnik. Antonia zdała się niespokojnie rozglądać po kościele. Mimowolnie Lorenzo postąpił kilka kroków naprzód, wychylając się z ukrycia. Antonia dostrzegła go i rumieniec zadowolenia ubarwił jej liczko. Wdzięcznym poruszeniem dłoni przyzywała go ku sobie. Skwapliwie usłuchał wezwania, skoczył ku Antonii i rzucił się jej do nóg.

Cofnęła się na mgnienie oka, a potem, wpatrując się w Lorenza z niewypowiedzianą błogością, wykrzyknęła:

– Tak, to mój oblubieniec, przeznaczony mi oblubieniec!

Rzekłszy to spiesznie rzuciła się młodzieńcowi w ramiona, lecz zanim Lorenzo zdołał ją objąć, wpadł między nich jakiś nieznamy. Był to człowiek olbrzymiej postaci, śniadej cery, o dzikim i straszliwym wzroku; z ust ziały mu kłęby ognia, a na czole wypisane miał wyraźnymi

głoskami: Pycha! Pożądliwość! Okrucieństwo!

Antonia wydała przeraźliwy krzyk. Potwór pochwyił ją w ramiona i skoczywszy z nią na ołtarz, począł dręczyć dziewczynę obmierzłymi pieszczotami. Na próżno usiłowała umknąć z jego uścisku. Lorenzo rzucił się jej na pomoc, lecz zanim zdołał do niej dotrzeć, posłyszal donośny huk gromu. Natychmiast zdało się, iż cała katedra rozpada się w gruzy; zakonnicy, krzycząc ze strachu, rzucili się do ucieczki, lampy pogasły, ołtarz zapadł się, a na jego miejsce rozwarła się otchłań rzygająca słupami ognia. Potwór wydał z siebie przeraźliwy okrzyk i skoczył w przepaść, spadając zaś usiłował wciągnąć za sobą Antonię. Próżne były jego starania. Dzieweczka, ożywiona nadprzyrodzoną mocą, wydobyła się z jego objęć, choć w posiadaniu potwora została jej biała szata. W tejże samej chwili u ramion Antonii wyrosły dwa wspaniałe i okazałe skrzydła; pomknęła ku górze, a unosząc się wzwyż, zawołała do Lorenza:

– Przyjacielu! spotkamy się ponad tym ziemskim padołem!

W tym momencie rozstał się strop katedry, sklepienie nawy napelniły się głosami pełnymi harmonii i chwała, do której przyjęta została Antonia, objawiła się Lorenzowi w promieniach tak olśniewającej jasności, iż nie zdołał wytrzymać jej blasku. Wzrok go zawiódł i młodzieniec osunął się na ziemię.

Gdy się obudził, spostrzegł, iż leży na posadzce kościelnej; świątynia gorzała od światła, z oddali zaś dochodził śpiew hymnów. Przez chwilę nie mógł sam siebie przekonać, iż to, co przed chwilą oglądał, było snem, tak silne wrażenie senna mara wycisnęła na jego wyobraźni. Powracające po trochu wspomnienia przekonały Lorenza, iż uległ ułudzie; lampy zapalono w czasie jego snu, a dźwięki, które słyszał, pochodziły z kaplicy opactwa, w której mnisi odprawiali nieszpory.

Lorenzo podniósł się z ziemi i gotował się do pójścia w stronę siostrzanego klasztoru, lecz umysł miał wciąż zaprzątnięty swym osobliwym snem. Już zbliżał się do kruchty, gdy zoczył poruszający się na przeciwległej ścianie cień, który przyciągnął jego uwagę. Rozejrzał się ciekawie dookoła i wraz dojrzał człowieka spowitego w płaszcz. Człek ów zdawał się pilnie baczyć, czy ktoś go nie śledzi. Tylko nieliczni ludzie wolni są od podszeptów ciekawości. Nieznajomy zdawał się troskliwie skrywać cel, który przywiódł go do katedry, i to właśnie sprawiło, iż Lorenzo zapragnął dowiedzieć się, ku czemu zmierzały poczynania owego człowieka, choć świadom był, iż nie miał żadnego prawa podglądania sekretów nieznajomego kawalera.

– Pójdę sobie – rzekł Lorenzo. I młodzieniec ani się ruszył z miejsca. Cień rzucany przez kolumnę skutecznie osłaniał go przed oczyma obcego przybysza, który wciąż ostrożnie posuwał się naprzód. W końcu wyciągnął spod płaszcza list i pospiesznie umieścił go pod ogromnym posągami świętego Franciszka. Potem raptownie zawrócił i ukrył się w części kościoła, która znajdowała się w znacznej odległości od miejsca, gdzie stała figura świętego.

– A więc tak! – rzekł sobie w duchu Lorenzo. – Jest to tylko jakaś błaha intryga miłosna. Zdaje mi się, że równie dobrze mogę sobie pójść, bo na nic się tutaj nie przydam.

I prawdę mówiąc, aż do tej chwili nigdy nie przyszło Lorenzowi do głowy, by miał się tu przydać, lecz uważał za stosowne sam się przed sobą usprawiedliwić za pofolgowanie ciekawości. Po raz drugi więc próbował wycofać się z kościoła. Tym razem dotarł do kruchty nie napotkawszy na żadną przeszkodę, ale los chciał, by ponownie odwiedził katedrę, i to jeszcze tego samego wieczora. Gdy Lorenzo zstępował ze schodów wiodących na ulicę, wpadł na jakiś kawaler, i to tak gwałtownie, iż obaj nieomal nie rozciągnęli się jak długi na ziemi na skutek tego zderzenia. Lorenzo przyłożył rękę do szpady.

– Jakże to, *signor!* – rzekł. – Cóż znaczy to grubiaństwo?

– Ha! to ty, Medino – odrzekł nowo przybyły, którego Lorenzo rozpoznał po głosie jako

don Christovala. – Jesteś najszcześniejszym człowiekiem we wszechświecie, żeś nie opuścił kościoła przed moim powrotem. Zawracaj! zawracaj, miły chłopcze! Tylko ich patrzeć!

– Kogo tylko patrzeć?

– Starej kwoki i wszystkich jej nadobnych kurczątek. Zawracaj, powiadam! a wtedy dowiesz się o całej sprawie.

Lorenzo podążył za don Christovalem do katedry i obaj ukryli się za figurą świętego Franciszka.

– A teraz – rzecze nasz bohater – czy wolno mi spytać o przyczynę tego całego gwałtu i gorączki?

– Och, Lorenzo! ujrzymy wspaniałe widowisko. Przeorysza klarysek i cały orszak jej mniszek właśnie tu nadchodzi. Powinieneś wiedzieć, że nabożny ojciec Ambrozjo (niech go Bóg za to wynagrodzi) nie chce żadną miarą ruszyć się spoza swoich murów. A ponieważ każdy modny klasztor uważa, iż koniecznie winien mieć ojca Ambrozja swoim spowiednikiem, skutek jest taki, że zakonnice zmuszone są do składania mu wizyty w jego opactwie. Skoro góra nie chce przyjść do Mahometa, Mahomet musi przyjść do góry. Przeorysza klarysek uważa tedy za stosowne doprowadzać do spowiedzi całe stadko swoich owieczek. Czyni to o zmroku, by łatwiej uniknąć spojrzeń nieczystych oczu, takich jak twoje i twego pokornego sługi. Mają je wpuścić do opactwa przez te oto drzwiczki, przeznaczone tylko dla mnichów. Odźwierna klarysek, zacna stara dusza, a moja szczególna przyjaciółka, właśnie mnie zapewniła, iż mniszki będą tu lada chwila. A to dopiero nowina dla ciebie, ty hultaju! Ujrzymy niektóre z najpowabniejszych liczek w Madrycie!

– Prawdę mówiąc, Christovalu, nie uczynimy tego. Mniszki są zawsze zakwefione.

– Nic podobnego! Już ja wiem lepiej. Gdy wchodzi do świątyni Pańskiej, zawsze zdejmują zasłony, a to z szacunku dla świętego, pod którego wezwaniem wzniesiono kościół.

– Zgoda! – rzekł Lorenzo sam do siebie. – Będę się mógł przekonać, do kogo skierował swoje wyznania ów tajemniczy jegomość.

Ledwie don Christoval zamilkł, ukazała się domina<sup>[7]</sup> klarysek, a wraz z nią długa procesja zakonnice. Każda z nich zdejmowała zasłonę przy wejściu do kościoła. Przeorysza złożyła ręce na piersiach, a przechodząc koło figury świętego Franciszka, patrona katedry, złożyła przed posągiem głęboki ukłon. Zakonnice poszły za jej przykładem i kilka z nich przesunęło się już koło posągu, nie zaspokajając jednak ciekawości Lorenza. Młodzieniec zwątpił nieomal, iż doczeka się wyjaśnienia owej tajemnicy, gdy jedna z mniszek, która właśnie składała świętemu hołd, upuściła różaniec. Gdy schyliła się, aby go podnieść, światło padło wprost na jej twarz. W tejże samej chwili mniszka zręcznie wyjęła list spod figury świętego, ukryła pismo na piersiach i spiesznie zajęła na powrót miejsce w orszaku.

– Ha! – rzekł don Christoval stłumionym głosem – bez wątpienia mamy tu do czynienia z jakimś miłosnym fortelikiem.

– Przebóg, Agnes! – zawołał Lorenzo.

– Co, twoja siostra? Diavolo! Ktoś więc będzie, jak mniemam, musiał zapłacić za nasze podglądanie.

– I zapłaci za to bezzwłocznie – odparł rozwścieczony brat.

Nabożna procesja właśnie wkroczyła do opactwa i drzwi się za nią zamknęły.

Nieznajomy natychmiast opuścił kryjówkę i pospieszył ku wyjściu, lecz zanim mógł wykonać swój zamiar, spostrzegł stojącego mu na drodze Medinę. Tajemniczy kawaler szybko zawrócił i nasunął kapelusz na oczy.

– Nie próbuj mi umknąć! – zawołał Lorenzo. – Chcę wiedzieć, kim jesteś i co zawierał ów list.

– Ów list? – powtórzył nieznajomy. – A jakimże prawem zadajesz mi takie pytanie?  
– Prawem, które napełnia mnie sromotą; lecz nie tobie przystoi brać mnie na spytki. Albo odpowiesz mi wyczerpująco na moje pytanie, albo odpowiesz mi swoją szpadą.

– Ostatni sposób będzie najkrótszy – odparł nieznajomy kawaler, wyciągając rapier. – Nuże, *signor bravo*<sup>181</sup> jestem gotów.

Gorzejąc gniewem, Lorenzo pospieszył do natarcia; przeciwnicy wymienili już kilka sztychów, nim don Christoval, który w tym momencie więcej miał rozsądku od nich obydwóch, zdołał rzucić się między ich szpady.

– Stój! Stój! Medino! – zawołał. – Pomnij na skutki rozlewu krwi w poświęcanym miejscu!

Nieznajomy natychmiast opuścił szpadę.

– Medina? – zawołał. – Wielki Boże, azali to możliwe! Lorenzo, czyż całkiem puścił w niepamięć Rajmonda de Las Cisternas?

Zdziwienie Lorenza wzrastało z każdą chwilą. Rajmond przybliżył się ku niemu, ale Lorenzo podejrzliwie spojrział na tego, który gotów był ująć jego prawicę, i cofnął rękę.

– Ty tu, markizie? Cóż to wszystko znaczy? Ty wdajesz się w potajemną korespondencję z moją siostrą, której uczucia...

– Zawsze należały i wciąż jeszcze należą do mnie. Niestosowne to jednak miejsce na wyjaśnienia. Chodź ze mną do mego pałacu, a dowiesz się o wszystkim. Z kimże jesteś?

– Z osobą, którą, jak mniemam, także już uprzednio oglądałeś – odparł don Christoval – chociaż przypuszczalnie nie w kościele.

– Hrabia d’Ossorio?

– We własnej osobie, markizie.

– Nie mam żadnych obiekcji, by powierzyć ci mój sekret, pewien bowiem jestem, iż mogę polegać na twoim milczeniu.

– Opinia twoja o mnie jest tedy lepsza od mego własnego mniemania o sobie i dlatego muszę cię prosić, byś nie dopuszczał mnie do twego sekretu. Idźże swoją drogą, a ja pójdę swoją. Markizie, gdzie można się z tobą spotkać?

– W pałacu de Las Cisternas, jak zazwyczaj; pamiętaj jednak, iż jestem tu incognito, i jeśli chcesz mnie widzieć, musisz zapytać o Alfonsa d’Alvarada.

– Dobrze! dobrze! Żegnajcie, kawalerowie! – rzekł don Christoval i natychmiast się oddalił.

– Ty, markizie – rzecze Lorenzo ze zdumieniem w głosie – ty jesteś Alfonsem d’Alvarada?

– Tak, mój Lorenzo; lecz jeśliś jeszcze nie słyszał mej historii z ust twojej siostry, wiele mam do opowiedzenia spraw, które wprawiają cię w zdumienie. Nie zwlekaj więc i chodź ze mną do mego pałacu.

W tej właśnie chwili zakrystian kościoła Kapucynów wszedł do katedry, by zamknąć na noc wszystkie drzwi i bramy. Obaj szlachcice natychmiast zabrali się do odejścia i jak najspieszniej ruszyli ku pałacowi de Las Cisternas.

– A więc, Antonio – rzekła ciotka, skoro tylko wyszły z kościoła – co sądzisz o naszych adoratorach? Don Lorenzo zda mi się być naprawdę wielce usłużnym i zacnym młodzieńcem; okazał ci pewne względy i nie wiadomo jeszcze, co może z tego wyniknąć. Ale co do don Christovala, to oświadczam ci, iż pod względem uprzejmości jest on feniksem; taki wytworny, tak dobrze ułożony, taki rozumny i taki tkliwy! Tak, jeśli kiedykolwiek jakiś człowiek przymusi mnie do złamania moich ślubów niewstępowania w związku małżeńskie, to człkiem tym będzie

właśnie don Christoval. Widzisz sama, siostrzeniczko, że wszystko przybiera dokładnie taki obrót, jaki przewidywałam. Wiedziałam, iż w tej samej chwili, w której ukażę się w Madrycie, otoczą mnie wielbiciel. A kiedy zdjęła welon, toś chyba postrzegła, Antonio, jakie wrażenie gest ten wywarł na hrabim? A gdy podałam mu dłoń, widziałas pewnie tę minę pełną żaru, z jaką ucałował mą rękę. Jeśli kiedykolwiek oglądała prawdziwą miłość, to widziałam ją wrytą na obliczu don Christovala.

Antonia postrzegła co prawda minę, z jaką don Christoval ucałował tę właśnie rękę, ale wysnuwszy ze swych obserwacji wnioski nieco odmienne od ciotczyńskich, była na tyle mądra, by trzymać język za zębami; ponieważ zaś jest to jedyny znany mi przykład, iż tak właśnie postąpiła niewiasta, uczynek ten został uznany za godzien zapisania na tym oto miejscu.

Prawiąc wciąż o tym samym, stara dama ciągnęła dalej przemowę do Antonii, aż doszły do ulicy, na której mieszkały. Tu ciżba zgromadzona przed drzwiami ich domu nie dozwoliła im przybliżyć się do bramy; stanęły więc na przeciwnej stronie ulicy i starały się odgadnąć, co przyciągnęło takie tłumy ludzi. Po kilku minutach ciżba ustawiła się w koło, Antonia spostrzegła pośrodku owego kręgu kobietę niezwyčajnego wzrostu, która bez przestanku kręciła się w koło, wykonując przy tym różnorakie najdziwniejsze gesty. Ubiór niewiasty składał się ze strzępów różnokolorowych jedwabi i płócien, upiętych z szaleńczą fantazją, a jednak i z pewnym smakiem. Głowę niewiasty okrywał rodzaj turbanu ozdobionego liśćmi winorośli i polnymi kwiatami. Zdała się bardzo spalona przez słońce i płeć miała barwy ciemnooliwkowej. Oczy jej rzucały ogniste i dziwne błyski, w ręce trzymała długą czarną różdżkę, którą w przerwach kreśliła na ziemi rozmaite dziwaczne znaki. Tańczyła potem wokół nich, przybierając najróżniejsze wymyślne pozy, które, zda się, zrodziło szaleństwo i obłąkanie. Nagle przerwała taniec, w mgnieniu oka zakreśliła się trzykrotnie dookoła i po chwili zaśpiewała tę oto balladę:

Piosenka cyganki

*Chodźcie, przynoszę ja wam w darze więcej,*

*niż zna śmiertelny człek!*

*Chodźcie, dziewczęta! Ja pokażę*

*Przyszłego męża kształt i wiek.*

*Mam bowiem dane sobie siły*

*Czytać z tajemnych Losu ksiąg,*

*Znać, co nam nieba przeznaczyły,*

*w przyszłych czasów patrzeć krąg.*

*Jest mi posłuszny księżyc blady,*

*Mój czar poskramia wiatrów szal*

*i sen pogrąża smocze gady,*

*Co skarbów strzegą pośród skał.*

*Kiedy na sabat ruszam w drogę.*

*Nie wiem się boję ni ich zrad;*

*Magiczny krąg rozerwać mogę*

*niczym dla mnie wężów jad.*

*Oto wierności talizmany,*

*By nie znalazł męża, co zdrada, kłam;*

*Ten lubczyk, nocą gdy podany,*

*Ogniem rozpali chłopca wam.*

*Jeśli zbyt hojna jest dziewica,*

*Ten odwar wianek wróci znów,*

*Ten – krasą barwi zbladłe lica,*

*A ten – siwiznę pędzi z głów.*

*Słuchajcie więc, gdy wam odkryję,*

*Co widać w mym zwierciadle tu,*

*A każdy, gdy wiek swój przeżyje,*

*Uzna, że prawdę rzekła mu.*

– Miła ciociu! – rzekła Antonia, gdy nieznajoma skończyła piosenkę – to chyba wariatka?

– Wariatka? Nie, moje dziecko, to tylko kobieta niegodziwa. Jest to Cyganka, prawie tyle samo co włóczęga, której jedynym zajęciem jest błąkanie się po kraju, opowiadanie łgarstw i okradanie tych, którzy uczciwą pracą doszli do swoich pieniędzy. Zdeptać trzeba takie robactwo! Gdybym była królem Hiszpanii, spaliłabym żywcem każdego i każdą z nich, jeśliby znaleźli się w moim państwie po upływie trzech tygodni.

Wypowiedziała te słowa tak donośnie, iż dotarły do uszu Cyganki. Kobieta natychmiast przedarła się przez tłum i skierowała ku naszym damom. Skłoniła się im po trzykroć na wschodni sposób, a potem zwróciła się do Antonii:

*Pani, rękę podać chcesz,*

*Ja twój los odczytam z niej.*

*Wróżb się nie bój, rękę daj,*

*Słuchaj mnie i przyszłość znaj!*

– Najmilsza ciociu! – zawołała dziewczyna – zrób mi jeden raz tę łaskę! Pozwól, aby mi powróżyła.

– Głupstwo, moje dziecko! Powie ci tylko same łgarstwa.

– Nie szkodzi, niechże przynajmniej posłyszę, co ma do powiedzenia. Ciociu kochana, zrób mi tę przyjemność, zaklinam cię!

– No cóż, Antonio, skoro się tak napierasz... Chodźże tu, dobra niewiasto; oglądniesz sobie dłonie jednej i drugiej z nas. Tu masz zapłatę, a teraz niechże posłucham wróżby.

Mówiąc to zdjęła rękawiczkę i wyciągnęła dłoń. Cyganka spoglądała w nią przez chwilę, a później odrzekła tymi słowy:

*Twa przyszłość, pani? Takeś stara przecie,*



*Żeś już ją całą przeżyła na świecie,*

*Lecz gdy mnie wspierasz tak hojną zapłatą,*

*Da ci Cyganka dobrą radę na to:*

*Wszyscy dokoła myślą, żeś szalona,*

*Takeś jest próżna i tak zaślepiona.*

*Przykro im patrzeć, jak zastawiasz sieci,*

*Czekając, czy w nie młodzian nie polecą.*

*Wierzaj mi, pani, w tym rzecz cała leży,*

*Ze lat pięćdziesiąt i jeden ci bieży I że mężczyźni nie chcą patrzeć na tę,*

*Co im wytrzeszcza oko zezowate,*

*Słuchaj więc rady i żegnaj się, pani,*

*Z błaszem i różem, dumą i żądzami,*

*Wspieraj ubogich, miast trwonić zasoby Na fatalaszki i próżne ozdoby.*

*Myśl o swym Stwórcy – nie chłopców miłości,*

*O dawnych grzechach – nie zaś o przyszłości,*

*Pomnij, że wkrótce zetnie ostrą kosą Czas resztki twoich farbowanych włosów!*

Słuchając przepowiedni Cyganki, ludzie zanosili się od śmiechu, a słowa: „pięćdziesiąt jeden”, „zezowata”, „ruda”, „blansz i róż” i tak dalej – podawano sobie z ust do ust. Leonella omal nie udławiła się z wściekłości i obrzuciła swą złośliwą doradczynię gorzkimi wyrzutami. Śniada prorokini przysłuchiwała się Leonelli przez czas niejaki ze wzgardliwym uśmiechem, w końcu coś jej krótko odrzekła i zwróciła się z kolei do Antonii:

*Teraz, panno, na cię czas;*

*Rękę daj – z tej ręki wraz Niebios znak odczytam ja.*

*Słuchaj, oto przyszłość twa!*

Idąc za przykładem Leonelli, Antonia ściągnęła rękawiczkę i podała białą dłoń Cygance, która wpatrywała się w nią przez czas niejaki z litością pomieszaną ze zdumieniem, a potem zaś wygłosiła swą przepowiednię w takich oto słowach:

*Jezu, jak oko twoja dłoń zachwyca!*

*Tak czysta, piękna i dobra dziewczica Szczęściem byłaby dla zacnego męża.*

*Niestety, biada! W tej linii zwycięża Złe, każąc nad twym litować się stanem.*

*Człek pożądlivy wraz z chytrym szatanem Zgubi cię, a twa dusza utrapiona Pociękę znajdzie u boskiego łona.*

*Jeśli nieszczęście odwlec pragniesz przecie,*

*Pamiętaj: gdy spotkasz kogo w świecie*

*O większej cnocie, niżli to się godzi,*

*I kogo słabość bliźnich nie obchodzi,*

*Bo nie zna grzechu ni do niego drogi – Strzeż się i pomnij Cyganki przestrogi!*

*Chociaż życzliwe będą jego słowa,*

*Żądzę i pychę on w swym sercu chowa.*

*Piękna dziewczeczko, we łzach żegnam ciebie,*

*Niech cię ma wróżba w smutku nie pogrzebie.*

*Czekaj w pokorze, przyjmuj utrapienia,*

*Bo za nie niebo i anielskie pienia,*

*Twoją nagrodą wśród wiecznej radości,*

*Jaka na świecie tym nigdy nie gości.*

To rzekłszy, Cyganka znowu zakręciła się po trzykroć dookoła i obłąkańczym krokiem chyżo umknęła z uliczki. Tłum podążył za nią, a ponieważ do mieszkania Elwiry wiodła już wolna droga, Leonella weszła w domowe progi – niekontenta z Cyganki, z siostrzenicy i z całego świata, jednym słowem: niekontenta ze wszystkiego prócz samej siebie i swego uroczonego kawalera. Przepowiednia Cyganki niemało poruszyła Antonię, lecz wrażenie to rychło się zatarło i za parę godzin dziewczeczka zapomniała o tej przygodzie tak dokładnie, jakby się jej nigdy nie przydarzyła.

<sup>[1]</sup> Autor mylnie zwie klasztor kapucynów, o którym tu mowa, opactwem, a przeora kapucynów opatem. Nazwy te odnoszą się jedynie do siedzib lub przełożonych najstarszych zgromadzeń zakonnych, jak benedyktyni, cystersi, trapiści itp.

<sup>[2]</sup> *signora* (włos.) – pani. Poprawnie winno być *señora* (hiszp.).

<sup>[3]</sup> katedra – oczywista pomyłka; katedra nie jest kościołem klasztornym, lecz głównym kościołem diecezji, w którym znajduje się tron biskupi.

<sup>[4]</sup> *maumvais honte* (franc.) – fałszywy wstyd.

<sup>[5]</sup> *Diavolo* (włos.) – diabeł.

<sup>[6]</sup> *Prado* (hiszp.) – dosł.: trawnik, murawa, łąka; także nazwa parków w Hiszpanii. Tu: słynny park w Madrycie.

<sup>[7]</sup> *domina* (łac.) – pani; używane czasem na określenie przełożonej klasztoru

<sup>[8]</sup> *signor bravo* (wtos.) – winno być: *signore bravo*: bravo – odważny, śmiały. Terminu tego używa się również na określenie najemnego zbrojcy.

## Rozdział II

*Forse, se tu gustassi anco una volta*

*La millesima parte de le gioie,*

*Che gusta un core amato riamando,*

*Diresti, ripentita sospirando:*

*Perduto e tutto il tempo,*

*Che in amar non si spende.*

*Gdybyś zakosztował choć raz*

*Tysięcznej choćby części tych radości,*

*Które odczuwa kochane i kochające serce,*

*Rzekłbyś wówczas z westchnieniem żalu:*

*Stracony jest cały ten czas,*

*Którego nie poświęcasz miłości.*

Torquato Tasso, „Aminta”, I, 1, 26-31.



Mnisi odprowadzili opata do drzwi jego celi, ten zaś odprawił ich z miną świadomej wyższości; pozory cnoty walczyły tu z dumą, którą istotnie nosił w swoim sercu.

Skoro tylko znalazł się sam, swobodnie puścił wodze swojej próżności. Gdy wspomniał na zapał, jaki wzbudziło jego kazanie, serce mnicha wezbrało uniesieniem, a wyobraźnia ukazała jego oczom wspaniałe wizje oczekujących go dostojęństw i wywyższenia. Z rozradowaniem rozejrzał się dookoła, pycha zaś rzekła mu wyraźnie, iż góruje nad swymi bliźnimi.

Któż – rozmyślał – któż, jeśli nie ja, przeszedł przez próbę młodości, a przecie nie ogląda ani jednej skazy na swoim sumieniu? Któż inny ujarzmił gwałtowność silnych namiętności i podszepty niepohamowanej natury i skazał się, już od zarania życia, na dobrowolną samotność? Próżno rozglądam się za takim człowiekiem. Postrzegam, że tylko ja zdolny byłem do takiej decyzji. Religia nie może się chełpić nikim, kto dorównałby człowiekowi imieniem Ambrozjo!

Jakże potężne wrażenie wywarł mój dyskurs na słuchaczach! Jakże się wokół mnie tłoczyli! Jakimi obsypywali mnie błogosławieństwami i nadawali mi miano jedyne go niespróchniałego filara Kościoła! Cóż mi więc jeszcze wypadnie uczynić? Nic, tylko tak pilnie baczyć na postęпки mych braci zakonnych, jak ongiś strzegłem własnych uczynków. Wstrzymaj się, Ambrozjo! Azali ja sam nie mogę ulec pokusie i zejść z tych ścieżek, po których dotąd kroczyłem bez jednego potknięcia? Czyż nie jestem człowiekiem, którego natura jest mdła i podległa błędom? Przyjdzie mi teraz porzucić moje odludne schronienie; najpiękniejsze i najlepiej urodzone damy Madrytu raz po raz pojawiają się u drzwi opactwa i nie chcą żadnego innego spowiednika. Muszę przyzwycząić moje oczy do przedmiotów pokusy i wystawić się na ponęty zbytku i pożądlivości. Gdybym napotkał na owym świecie, w który wchodzę wbrew własnej woli, jakąś nadobną niewiastę – nadobną jak Ty, Madonno!...

Wyrzekłszy te słowa utkwiał wzrok w obrazie Dziewicy, który wisiał naprzeciw niego. Wizerunek ten był od dwóch lat przedmiotem jego wciąż rosnącego podziwu i adoracji. Przerwał i jął się weń wpatrywać z ukontentowaniem.

– Co za piękno maluje się na tym obliczu! – ciągnął dalej po parominutowym milczeniu. – Jakże wdzięczne jest to pochylenie głowy! Co za słodycz, a jednocześnie co za majestat w Jej boskich oczach! Jakże miękko wspiera policzek na dłoni! Czy róża może iść w zawody z rumieńcem zdobiącym owe lica? Czy lilia może dorównać bielą tej dłoni? Och! gdybyż taka istota była na świecie i istniała tylko dla mnie! Gdyby mi wolno było obwinąć wokół palców te złote kędziory i przycisnąć wargi do tej śnieżnej piersi. Miłosierny Boże! czyżbym się wtedy oparł pokusie? Czy nie wymieniłbym nagrody, należnej mi za cierpienia moich trzydziestu lat, na jeden jedyny uścisk? Czy nie rzuciłbym... Miłosierny Boże! co ze mnie za głupiec! Mamże dozwolić, by podziw dla tego wizerunku aż tak mnie poruszył! Precz, nieczyste myśli! Trzeba mi pamiętać, iż kobieta jest dla mnie na zawsze stracona. Żadna śmiertelna nie została tak doskonale uformowana jak ta na wizerunku. A nawet gdyby taka niewiasta istniała, próba byłaby nazbyt ciężka dla zwyczajnej cnoty, ale zacność Ambrozja zbrojna jest przeciw pokusom. Rzekłem: pokusom? Dla mnie nie byłaby to żadna pokusa. To, co wabi mnie w istocie idealnej, uważanej za stworzenie wyższej natury, stałoby się obmierzłe w niewieście splamionej wszelakimi

przywarami istoty śmiertelnej. Nie piękność niewieścia napełnia mnie takim zachwyceniem; podziwiam tylko kunszt malarza i czczę jedynie boskość wyobrażoną na tym wizerunku. Czyż namiętności nie umarły w mym łonie? Czyż nie uwolniłem się z więzów ludzkich ułomności? Nie lękaj się, Ambrozjo! Zaufaj sile swej cnoty. Śmiało wejdź w świat, boś wyższy nad jego słabości. Pomyśl, żeś już wolny od przywar rodzaju ludzkiego, i staw czoło wszelkim podstępom duchów ciemności. Niechże się dowiedzą, kim jesteś!

Trzy ciche stuknięcia w drzwi przerwały jego marzenia. Opat z trudem ocknął się ze swego upojenia. Pukanie ozwało się powtórnie.

– Kto tam? – ozwał się w końcu Ambrozjo.

– To tylko Rosario – odparł łagodny głosik.

– Wejdź, wejdź, mój synu!

Drzwi natychmiast się otwały i ukazał się Rosario z małym koszyczkiem w ręce.

Rosario był w zakonie młodym nowicjuszem, który za trzy miesiące miał złożyć śluby. Młodzieńca otaczała jakaś tajemnica, co czyniło go przedmiotem powszechnego zainteresowania i ciekawości. Uwagę całego bractwa przyciągała niechęć Rosaria do ludzi, głęboka melancholia, ścisłe przestrzeganie obowiązków zakonnego stanu i dobrowolne usunięcie się od świata, tak niezwykle w tym wieku. Zdało się, iż Rosario lęka się rozpoznania, i nikt nigdy nie oglądał jego oblicza. Głowę miał stale okutaną kapturem, ale gdy przypadek odsłonił czasem któryś z jego rysów, ukazywało się piękno i szlachetność jego oblicza. Imię Rosario było jedynym mianem, pod którym znany był w całym klasztorze. Nikt nie wiedział, skąd przybył, a gdy go o to zapytywano, Rosario zbywał milczeniem wszelakie indagacje. Jakiś nieznajomy, którego bogate odzienie i okazały ekwipaż świadczyły o przynależności do znamienitego stanu, skłonił mnichów do przyjęcia nowicjusza i złożył zań stosowne opłaty. Następnego dnia powrócił z Rosariem i od tego czas słuch o owym człowieku zaginał.

Młodzieniec starannie unikał towarzystwa zakonników, odpowiadał na ich uprzejmości ze słodyczą, lecz powściągliwie i wyraźnie okazywał, iż z natury skłonny jest do samotności. Zasadę tę rozciągał na wszystkich z wyjątkiem jednego jedyne opata. Spoglądał na Ambrozja z nieomal bałwochwalczym szacunkiem, niezwykle skwapliwie i pilnie szukał jego towarzystwa i żarliwie próbował wszystkich sposobów, by wkraść się w jego łaski. Wydawało się, iż w obecności opata spada mu kamień z serca, a duch wesołości ożywia jego mowę i zachowanie. Ambrozjo ze swej strony czuł dla Rosaria nie mniejszą skłonność i tylko wobec młodzika opuszczała opata zwyczajna mu surowość. Gdy doń przemawiał, mimowolnie przybierał łagodniejszy ton niżli zazwyczaj i żaden głos nie brzmiał w jego uszach tak słodko jak głos Rosaria. Odplącał młodzieńcowi jego względy, kształcąc go w różnych umiejętnościach, a nowicjusz przyjmował jego nauki pojętym umysłem. Ambrozjo co dnia bardziej zachwycił się żywością jego myśli, prostotą obyczajów i prawością serca; mówiąc pokrótce, miłował go całym ojcowskim uczuciem. Niekiedy nachodziła Ambrozja chęć, aby w zaciszu celi obejrzeć oblicze ucznia, lecz regułę o samo wyrzeczeniu rozciągał również na ciekawość i to wzbraniało mu oznajmić młodzieńcowi swoje życzenie.

– Wybacz, iż cię nachodzę, ojczcze – rzekł Rosario, kładąc koszyczek na stole. –

Przyszedłem jako suplikant. Posłyszawszy, że mój drogi przyjaciel niebezpiecznie zachorował, błagam o twoje modły za jego wyzdrowienie. Jeśli korne prośby zdolne są ubłagać niebiosa o oszczędzenie mego towarzysza, twoje modły, ojczcze, muszą być skuteczne.

– Wiesz, mój synu, iż możesz mi rozkazywać we wszystkim, co tylko ode mnie zawisło.

Jakże się zowie twój przyjaciel?

– Vincentio della Ronda.

– Wystarczy. Nie zapomnę o nim w moich pacierzach i niechże nasz po trzykroć

błogosławiony święty Franciszek raczy wysłuchać mojego wstawiennictwa! A cóż masz w tym koszyczku, Rosario?

– Wielebny ojcze, nieco kwiatków, które, jak postrzegłem, najbardziej lubisz. Czy pozwolisz, abym przyozdobił nimi twoją izdebkę?

– Miłe mi są twoje przysługi, mój synu.

Podczas gdy Rosario rozkładał zawartość koszyczka po niewielkich wazkach, umieszczonych w tym celu w różnych częściach komnatki, opat dalej ciągnął rozmowę:

– Nie widziałem cię w kościele tego wieczora, Rosario.

– A przecie byłem tam, ojcze. Nazbyt wdzięczny ci jestem za opiekę, aby utracić sposobność oglądania twojego triumfu.

– Niestety! Rosario! niewiele mam przyczyn do triumfowania. Święty przemawiał przez moje usta i jemu przynależy cała zasługa. Zda się, że zadowoliło cię moje kazanie?

– Zadowoliło, powiadasz? O! przeszedłeś sam siebie; nigdy nie słyszał takiej elokwencji... z wyjątkiem jednego jedyne raz!

Tu pierś nowicjusza uniosło mimowolne westchnienie.

– A kiedyż był ten jeden jedyny raz?

– Gdyś kazał w zastępstwie naszego poprzedniego opata, kiedy ten nagle zasnął.

– Pamiętam; to przeszło dwa lata temu. I byłeś na tym kazaniu? Nie znałem cię jeszcze wtedy, Rosario!

– To prawda, ojcze; lepiej, abym za wolą bożą wyzionął ducha, niżli doczekał tego dnia.

Jakich to cierpień i niedoli mógłbym być uniknąć!

– Cierpień w twoim wieku, Rosario?

– Tak, ojcze; a gdybyś znał moje cierpienia, w sercu twoim zrodziłby się zarówno gniew, jak i współczucie. Cierpienia te składają się i na mękę, i na rozkosz mojego istnienia! Jednakże w tym klasztornym schronieniu serce znalazłoby ukojenie, gdyby nie dręczyły go złe przeczucia. O Boże! Boże! jakże okrutne jest życie pod pręgierzem strachu!... Ojcze! wyrzekłem się wszystkiego, na zawsze porzuciłem świat i jego rozkosze; nic mi już nie pozostało, nic nie ma dla mnie powabu, tylko twoja przyjaźń i twoja przychylność. Jeśli to utracę, mój ojcze! O! jeśli to utracę... drżj przed skutkami mojej rozpacz!

– Azali lękasz się utraty mojej przyjaźni? W jaki to sposób moje postępowanie usprawiedliwia twoje obawy? Winienesz mnie znać lepiej, Rosario, i mniemać, iż godzien jestem zaufania. Jakie są te twoje cierpienia? Wyjaw mi je i wierzaj, że jeśli złagodzenie ich leży w mojej mocy...

– Ach! leży tylko w twojej mocy, ojcze. A jednak nie mogę cię z nimi zapoznać.

Znienawidzisz mnie za to wyznanie! Odpędzisz od siebie precz, ze wżgardą i sromotą.

– Synu mój, zaklinam cię, błagam cię...

– Na litość boską, nie pytaj dalej, ojcze! Nie wolno mi... nie śmiem... Słuchaj! dzwonią na nieszpory! Ojcze! pobłogosław mnie i już odchodzę.

Powiadając to, rzucił się na kolana i przyjął żądane błogosławieństwo. Potem przycisnął rękę opata do ust, zerwał się z klęczek i spiesznie opuścił izbę. Wkrótce potem Ambrozjo zszedł na nieszpory (odprawiane w małej kaplicy należącej do opactwa), pełen zadziwienia nad szczególnym zachowaniem się młodzieńca.

Po skończonym nabożeństwie zakonnicy udali się każdy do swojej celi. W kaplicy pozostał jedynie opat, by przyjąć siostrzyczki od św. Klary. Ledwo co zasiadł w konfesjonale, a pojawiła się przeorysza. Mniszki odbywały spowiedź kolejno, podczas gdy inne wraz z dominą czekały w przyległej zakrystii. Ambrozjo ze skupieniem słuchał ich spowiedzi, udzielał licznych pouczeń, nakładał pokutę stosowną dla każdego wykroczenia i przez czas niejaki wszystko szło

zwyczajną rzeczy koleją, dopóki jedna z mniszek, wyróżniająca się szlachetnym wyglądem i wytworną postacią, nie upuściła mimo woli listu, który skrywała na piersiach. Odchodziła już od konfesjonatu, nieświadoma swojej straty. Ambrozjo sądząc, że list pochodzi od kogoś z jej rodziny, podniósł pismo z zamiarem oddania go na powrót swojej penitencie.

– Stój, córko – rzecze – upuściłaś...

W tejże chwili oczy opata padły mimowolnie na pierwsze słowa otwartego listu. Drgnął ze zdumienia. Mniszka, posłyszawszy jego głos, odwróciła się; dostrzegła list w ręce Ambrozja i wydawszy okrzyk przerażenia, rzuciła się w stronę opata, aby odzyskać pismo.

– Wstrzymaj się! – rzekł zakonnik surowym głosem. – Muszę przeczytać ten list, moja córko.

– A więc jestem zgubiona! – wykrzyknęła, rozpaczliwie załamując ręce.

Twarz mniszki natychmiast zbieleła jak płótno, drżała ze wzburzenia i musiała otoczyć ramionami kolumnę wspierającą strop kaplicy, by zapobiec osunięciu się na ziemię.

Opat zaś czytał następujące słowa:

*Wszystko gotowe do twej ucieczki, moja najmilsza Agnes! Jutro o północy będę cię oczekiwał przy drzwiach wiodących do ogrodu; otrzymałem klucz, a wystarczy kilka godzin, by umieścić cię w jakimś pewnym schronieniu. Niechże niewczesne skrupuły nie skłonią cię do odrzucenia tych skutecznych sposobów ocalenia siebie samej i niewinnego stworzenia, które nosisz u; swym fonie. Pomnij, żeś przybiecała być moją na długo przed zobowiązaniem podjętym wobec Kościoła. Pamiętaj, że stan twój rychło będzie widoczny dla wścibskich oczu twoich towarzyszek i że ucieczka jest jedynym środkiem uniknięcia skutków ich gniewu i złośliwości. Bywaj zdrowa, moja Agnes! moja miła i od nieba przeznaczona małżonko! Nie zawieź mnie i nie omieszkać znaleźć się o północy przy ogrodowej furcie!*

Skoro tylko Ambrozjo skończył lekturę, wraz skierował srogie i gniewne oczy na nierozważną mniszkę.

– List ten muszę oddać przeoryszy – rzekł przechodząc mimo.

Słowa te zabrzmiały w jej uszach niczym uderzenie gromu; ocknęła się z odrętwienia po to tylko, aby pojąć, w jak niebezpiecznym znalazła się położeniu. Chyżym krokiem podążyła za Ambrozjem i przytrzymała go za habit.

– Wstrzymaj się, ach, wstrzymaj! – zawołała z rozpaczą, rzucając się zakonnikowi do nóg i kąpiąc je we łzach. – Ojczy, uzał się nad moją młodością, spójrz z pobłażaniem na słabość kobiecą i racz nie odślaniać mojej ułomności! Resztę życia poświęcę pokucie za tę jedną przewinę, a twoje miłosierdzie przywróci niebiosom jedną zbłąkaną duszę!

– Zdumiewająca śmiałość! Jakże to, czy klasztor klarysek ma stać się przytułkiem dla ulicznych dziewczek? Mamże ścierpieć, by Kościół Chrystusowy hodował na swoim łonie hańbę i rozpustę? Podła nędznico! Taka pobłażliwość uczyniłaby ze mnie twojego współnika. W tym przypadku litość równałaby się zbrodni. Pofolgowałaś żądzy uwodziciela, pokalałaś grzechem nieczystym swój święty habit i jeszcze śmiesz mniemać, żeś godna mojego współczucia? Precz, nie zatrzymuj mnie dłużej! Gdzie wielebna przeorysza? – dodał podnosząc głos.

– Wstrzymaj się, ojczy, wstrzymaj! Wysłuchaj mnie jeszcze przez chwilę! Nie wyrzucaj mi grzechu nieczystości i nie myśl, że zbłądziłam przez zbytnią gorącość krwi. Na długo przed tym, nim przywdziałam welon, Rajmond był panem mojego serca; rozniecił w nim najczystsze i najwznioślejsze uczucia i miał stać się mym prawym małżonkiem, gdy rozdzieliła nas straszliwa przygoda i zdrada jednego z krewniaków. Zdawało mi się, że utraciłam go na zawsze, i z desperacji wstąpiłam do klasztoru. Przypadek znowu nas połączył i nie mogłam wyrzec się żalostnej rozkoszy zmieszania jego łez z moimi łzami. Spotykaliśmy się co noc w ogrodzie



klarysek i jedna niebaczna chwila doprowadziła do złamania mego ślubu czystości. Rychło zostanę matką. Wielebny Ambrozjo, miejże litość nade mną, miejże litość nad owym niewinnym stworzeniem, którego istnienie związane jest z moim żywotem. Jeśli doniesiesz dominie o mojej nieroztropności, ja i dzieciątko jesteśmy oboje zgubieni. Kara, jaką reguła klarysek przeznacza dla takich jak ja nieszczęśnic, jest wielce surowa i okrutna... Czcigodny, czcigodny ojcze! niechże twe własne nieskalane sumienie nie czyni cię nieczułym dla tych, którzy mniej zdolni są do oparcia się pokusie! Niechże miłosierdzie nie będzie tą jedną jedyną cnotą, która nie porusza twego serca! Użał się nade mną, przewielebny! Oddaj mi list i nie skazuj mnie na niechybną zagładę!

– Zadziwia mnie twoja śmiałość. Ja mam ukryć twoją zbrodnię? Ja, któregoś zwiódła fałszywą spowiedzią? Nie, córko, nie. Chcę oddać ci rzetelną przysługę. Chcę wybawić cię od zatracenia wbrew tobie samej. Pokuta i umartwienie zadośćuczynią za twój występki, a surowość przymusi cię do powrócenia na drogę świętości. Hej! matko Agato!

– Ojcze! na wszystko, co święte, na wszystko, co ci najdroższe, błagam cię, zaklinam cię...

– Puść mnie! Nie chcę cię słuchać... Gdzież domina? Matko Agato, gdzieżeś?

Drzwi zakrytych otworzyły się i do kaplicy weszła przeorysza, a za nią mniszki.

– Okrutniku! okrutniku! – zawołała Agnes wypuszczając z ręki habit Ambrozja. W desperackim zapamiętaniu rzuciła się na ziemię bijąc się w piersi i szarpiąc welon w szale rozpaczy. Mniszki wpatrywały się ze zdziwieniem w to, co rozgrywało się przed ich oczyma. Zakonnik podał fatalne pismo przeoryszy, objaśnił ją, jakim sposobem je pochwyił i dodał, iż od niej zależy decyzja o karze, na jaką zasługiwała przestępczyni.

W czasie odczytywania listu oblicze dominy rozgorzało gniewem. Jak to! taka zbrodnia popełniona w jej klasztorze i znana opatowi, bożyszczu Madrytu, człowiekowi, którego usilnie pragnęła utwierdzić w mniemaniu o dyscyplinie i dobrym porządku, panujących w jej zgromadzeniu. Nie stało jej słów na wyrażenie wściekłości. Milczała i rzucała na rozciągniętą na posadzce mniszkę groźne i zjadliwe wejrzenia.

– Precz z nią i do klasztoru! – rzekła w końcu do kilku mniszek ze swego orszaku.

Dwie z najstarszych zakonnice zbliżyły się do Agnes, siłą podniosły ją z ziemi i gotowały się do wyprowadzenia jej z kaplicy.

– Jak to! – krzyknęła raptownie Agnes, odpychając od siebie ręce mniszek ruchem szalonej – a więc wszelka nadzieja stracona? Czy już wleczenie mnie na miejsce kaźni? Gdzieżeś, Rajmondzie? Och! ratuj mnie, ratuj!

A potem, rzucając na opata dzikie wejrzenie, ciągnęła dalej:

– Wysłuchaj mnie, człowieku o kamiennym sercu! Wysłuchaj mnie, ty pyszny, srogi i okrutny. Mogłeś mnie ocalić, mogłeś przywrócić mnie szczęściu i cnocie, ale nie chciałeś. Ty zgubiłeś mą duszę, tyś moim mordercą i na ciebie niech spadnie przekleństwo za duszę moją i mojego nie narodzonego dzieciątka! Butny w swojej jeszcze nie zachwianej cnocie, wzgardziłeś prośbami skruszonej grzesznicy; ale Bóg okaże swoje miłosierdzie, chociaż ty go wcale nie okazałeś. A gdzież to zasługa twojej chełpliwej zacności? Jakie pokusy zwalczyłeś? Tchorzu! Uciekłeś przed wszelkimi usidleniami występku, ale się im nie opierałeś. Nadejdzie przecie dzień próby. O! kiedy ulegniesz nawalnicy namiętności, kiedy poczujesz, iż człek jest słaby i zrodzony do błędzenia, gdy drząc spojrzysz wstecz na swoje występki i błagać będziesz o miłosierdzie twego Boga... Och! w tej groźnej chwili pomyśl o mnie, pomyśl o twoim okrucieństwie! Pomnij na Agnes i zwątp o przebaczeniu!

Po wypowiedzeniu ostatnich słów siły Agnes wyczerpały się i jak nieżywa osunęła się w ramiona jednej z mniszek, która stała w pobliżu. Natychmiast wyprowadzono Agnes z kaplicy,

a za nią odeszły jej towarzyszki.

Ambrozjo nie bez wzruszenia przysłuchiwał się wyrzutom dziewczyny. Serce przeszył mu tajemny ból i odczuł, iż nazbyt surowo postąpił z ową nieszczęśliwą. Zatrzymał więc przeoryszę i w kilku słowach próbował wstawić się za przestępczynią.

– Jej gwałtowna rozpacz – rzecze Ambrozjo – wskazuje bądź co bądź, iż występki nie stał się jej chlebem powszednim. Może postępując z mniejszą surowością, niżli jest to zazwyczaj praktykowane, i łagodząc nieco właściwą dla takich przypadków pokutę...

– Złagodzić pokutę, ojcze? – przerwała wielebna przeorysza. – Wierzaj mi, ojcze... ja tego nie uczynię. Reguły naszego zgromadzenia są ściśle i surowe; co prawda ostatnio wyszły z użycia, ale występki Agnes przekonał mnie, iż koniecznie należy je przywrócić. Idę, by powiadomić klasztor o moich zamiarach, a Agnes będzie pierwszą, która odczuje surowość owych praw, które winny być przestrzegane co do litery. Zegnaj, ojcze!

Z tymi słowami spieszenie opuściła kaplicę.

– Spełniłem swój obowiązek – rzekł do siebie Ambrozjo.

Nie czuł się jednak całkowicie zadowolony z tej myśli. Aby rozproszyć niemiłe wyobrażenia, które wzbudził w jego umyśle ów wypadek, zszedł do klasztornej ogrodu. W całym Madrycie nie było piękniejszego i staranniej wypielegnowanego zakątka. Ogród założony był wedle wymagań najwybredniejszego smaku; ozdabiały go najwspanialsze kwiaty w pełni bujnego rozkwitu, a chociaż zasadziła je pomysłowość człowieka, zdawało się, iż umieściła je tam ręka samej natury. Fontanny, tryskające z białych marmurowych basenów, chłodziły powietrze nieustannymi strumieniami wody; mury pokrywał całkowicie jaśmin, winna latorośl i kapryfolium. Godzina przydawała piękności tej scenie. Księżyc w pełni wędrował po szafirowym bezchmurnym niebie i oblewał drzewa migotliwą poświatą, a wody w fontannach lśniły w jego srebrzystych promieniach; łagodny wietrzyk przewiewał wzdłuż ścieżek, niosąc z sobą woń kwiatów pomarańczy, zaś słowik, ukryty w owym ukształtowanym ręką człowieczą gąszczu, wyciągał swe melodyjne trele. Tu opat skierował swoje kroki.

W sercu tego małego gaiku stała wieśniacza chatka, zbudowana na kształt pustelni. Ściany splecione były z korzeni drzew, a szpary zatkałe mchem i zarośnięte bluszczem. Po obu stronach chatki umieszczono siedzenia z darni; wodospad, dzieło natury, spadał z górującej nad owym zaciszem pobliskiej skały. Opat, pogrążony w rozmyśleniach, przybliżył się do owego miejsca. Spokój otoczenia udzielił się jego sercu, zaś rozkoszne ukojenie zmysłów sprowadziło na duszę jakąś omdlałość.

Doszedł do pustelni i już miał wejść do chatki, by nieco odpocząć, gdy spostrzegłszy, iż jest zajęta, przystanął. Na ławie leżał jakiś człowiek w melancholijnej pozie. Głowę oparł na ręce i zdawał się być zatopionym w rozmyśleniach. Mnich postąpił kilka kroków i rozpoznał Rosaria; przyglądał się młodzieńcowi w milczeniu i nie przestąpił progu pustelni. Po paru minutach młodzieniec podniósł oczy i utkwiał je ponuro w przeciwległej ścianie.

– Tak – wyrzekł z głębokim i żalonym westchnieniem – odczuwam całą błogość twojego i całą niedolę mojego położenia! Jakże byłbym szczęśliwy, gdybym mógł tak mniemać jak ty! Gdybym mógł, jak ty, ze wstrętem spoglądać na całą ludzkość, zagrzebać się na zawsze w jakiejś dla nikogo niedostępnej samotni i zapomnieć, iż na świecie znajdują się istoty godne kochania! O Boże! jakim to błogosławieństwem byłaby dla mnie mizantropia!

– To zgoła osobliwa myśl, Rosario – ozwał się opat wchodząc do pustelni.

– Ty tu, wielebny ojcze? – zawołał nowicjusz.

Jednocześnie zerwał się zmieszany z ławy i szybko naciągnął kaptur na twarz. Ambrozjo usiadł na ławce i łaskawie zachęcił młodzika, by spoczął obok.

– Nie wolno ci folgować tej skłonności do melancholii – rzecze. – Cóż mogło sprawić, iż

wystawiasz sobie w tak pochlebnym świetle mizantropię, najobrzydliwsze ze wszystkich uczuć?  
– Lektura tych wierszy, ojczy, które, jak dotąd, uszły mojej uwagi. Jasne światło księżycza  
pozwoliło mi je odczytać; Och! jakże zazdrozczę pisarzowi jego sentymentów!

Powiadając to, wskazał na marmurową tablicę umocowaną na przeciwległej ścianie;  
wyryto na niej następujące strofy:

Napis Pustelni

*Ktokolwiek czytasz napis tu złożony,*

*Nie myśl, ie chociaż zbiegłem w dzikie strony,*

*Choć żywot pędzę tutaj utrapiony*

*W pustce i biedzie,*

*Ze to sumienia głos nieuciszony*

*Tutaj mnie wiedzie.*

*Żadna nie plami mnie hańba ni wina,*

*Zaś ta uciezki mojej jest przyczyna,*

*Żem dostrzegł, jak się w pałacach rząd wszczyzna*

*Żączy i dumy,*

*Jak arcyszatan pod berło swe zgina*

*Dworaków tłumy.*

*Widziałem, jak grzech ludzi wskroś pożera,*

*Jak honor, zacność i cnota umiera,*

*Jak cię oszuka przyjaźń, miłość szczerą,*

*Co serca łączy,*

*Tu więc przybyłem, gdzie złość nie dociera,*

*Życie zakończyć.*

*W mojej jaskini cichej samotności*

*Równie daleki pstrzej, głupiej radości,*

*Jak melancholii, co podsycą złości,*

*W spokoju duszy*

*Wśród mego stanu świętych powinności*

*Żyję wśród głuszy.*

*Samotna skała przed burzą mnie skrywa,*

*Strumyk, co pośród mchu tutaj przepływa,*

*Moim napojem; ziemia dobrotliwa*

*Pokarm mi rodzi.*

*Moim udziałem spokojność szczęśliwa,*

*Co z losem godzi.*

*Pokoju, szczęścia więcej tu zaznaję*

*W grocie, niż kiedyś liczne zwiedzał kraje,*

*Liczne pałace.*

*Teraz Bogu zdaję*

*Troskę o siebie,*

*Dzień każdy z taką modłą mnie zastaje*

*Do Pana w niebie:*

*Niech żyję z dala od grzechu płomieni,*

*Rozwiązłych chętek wraz z myślami złemi,*

*Które się płacą latami długimi*

*W żalu i skrusze,*

*Niechaj spokojnie oddam ciało ziemi,*

*A Bogu duszę.*

*Jeśliś, przybyszu, szczęśliwy i młody,*

*Jeśli nie strute dotąd twoje miody,*

*Zapewne wzgardzisz, spiesząc gdzieś na gody,*

*Modłów mych głosem,*

*Lecz jeśli wzdychać ciężko masz powody*

*Nad twoim losem,*

*Jeśli poznałeś, co w miłości zdrada,*

*Jeśli z ojczyzny pędzi cię zagłada*

*Albo jeżeli winy trwoga blada*

*W twym łonie gości -*

*Siebie żałować raczej ci wypada,*

*A mnie zazdrościć.*

– Dobrze by to było – rzecze mnich – aby człowiek mógł być tak całkowicie pochłonięty samym sobą i żyć w pełnym odosobnieniu od reszty ludzkości, a jednocześnie mógł kontentować się taką spokojnością, o jakiej prawią te strofy. Przyznaję, iż sytuacja takiego człowieka byłaby bardziej godna pożądania niżli życie światowe, brzemienne we wszelki występki i wszelkie głupstwo. Ale tak być nie może. Napis ten umieszczono jedynie dla ozdobienia pustelni, a zarówno wyrażone w poemacie sentymenty, jak i sam pustelnik są tworem wyobraźni. Człowiek zrodzony został do życia z ludźmi. Choćby jego przywiązanie do świata było niewielkie, nigdy nie może całkowicie o nim zapomnieć i ścierpieć, by zostać przez ów świat zapoznanym. Mizantrop, pełen odrazy do grzechów i szaleństw ludzkości, ucieka od niej precz; postanawia zostać pustelnikiem i zakopuje się żywcem w pieczarze wykutej w jakiejś ponurej skale. Dopóki nienawiść rozpala jego serce, dopóty może przypuszczalnie odczuwać zadowolenie ze swego stanu, lecz gdy namiętności jego poczynają stygnąć, gdy czas złagodził jego cierpienia i uleczył rany, z jakimi przybył do samotni... czy sądzisz, iż zadowolenie staje się jego towarzyszem? Ach! nie, Rosario... Nie ożywiają go już gwałtowne namiętności, poczyna odczuwać całą monotonię swego bytowania, serce jego wydane zostaje na łup nudy i znużenia. Rozgląda się dookoła i widzi, że jest sam we wszechświecie; miłość do ludzi budzi się na powrót

w jego sercu, przeto wzdycha, aby powrócić do świata, który uprzednio opuścił. Natura traci w jego oczach wszelkie powaby; nie ma w pobliżu nikogo, kto przyciągnąłby jego uwagę ku jej pięknościom lub z kim mógłby dzielić swój podziw dla jej doskonałości i różnorodności. Wsparty na kawałku jakiejś skały, spogląda pustymi oczyma na spieniony wodospad i patrzy bez wzruszenia na wspaniałość zachodzącego słońca. Wieczorem wolno powraca do celi, bo nikt troskliwie nie wypatruje jego przybycia; nie cieszy go samotny i mdły posiłek; rzuca się na leże z mchu, zgnębiony i niekontent, i budzi się tylko po to, aby przetrwać dzień równie pozbawiony radości i równie monotony jak dzień poprzedni.

– Zadziwiasz mnie, ojcze! Przypuśćmy, że okoliczności skazałyby cię na samotność; czy obowiązki religii i świadomość dobrze spędzonego życia nie udzieliłyby twemu sercu tego spokoju, który...

– Oszukiwałbym sam siebie, gdyby mi się wydawało, iż to właśnie może mi owego spokoju udzielić. Pewien jestem, że byłoby zgoła inaczej i że całe moje męstwo nie uchroniłoby mnie przed popadnięciem w melancholię i obrzydzenie. Gdybyś wiedział, z jaką radością po dniu spędzonym na naukach spotykam się wieczorem z moimi zakonnikami! Gdybym mógł ci opisać uczucie wesela, z jakim po przebyciu wielu długich godzin w samotności spoglądam znowu na bratnią istotę. I na tym właśnie, wedle mnie, polegają główne zalety instytucji zakonnej. Klasztor oddala człowieka od złych pokus, dostarcza mu wolnego czasu dla rzetelnej służby bożej, oszczędza mu upokarzającego spoglądania na występki ludzi światowych, a jednak pozwala mu cieszyć się z błogosławieństwa płynącego z obcowania z innymi. A ty, mój Rosario, czy zazdrościsz pustelnikowi jego żywota? Czy możesz być aż tak zaślepiiony i nie dostrzegać szczęśliwości twego położenia? Zastanów się nad tym przez chwilę. To opactwo stało się dla ciebie azylem; twoja sumienność, układność i talenty sprawiły, żeś stał się przedmiotem powszechnego szacunku. Odsunięty jesteś od świata, a jednak korzystasz z dobrodziejstw kompanii złożonej z najbardziej szacownych przedstawicieli społeczeństwa.

– Ojcze! ojcze! to właśnie sprawia mi taką udrękę. Byłbym szczęśliwy, gdybym spędził moje życie wśród występnych i potępionych, gdybym nigdy nie usłyszał imienia cnoty. To właśnie mój niezmierny podziw dla religii, to moja niezwykajna wrażliwość na powaby tego, co zacne i dobre, obarcza mnie wstydem i pędzi ku zatraceniu. Och! gdybym nigdy nie oglądał murów tego opactwa!

– Jakże, Rosario? Gdyśmy ostatnio rozmawiali, mówiłeś inaczej. Czy moja przyjaźń stała się dla ciebie tak bez znaczenia? Gdybyś nie był oglądał murów tego klasztoru, nie oglądałbyś i mnie. Czy naprawdę takie jest twoje życzenie?

– Nie oglądałbym ciebie – powtórzył nowicjusz porywając się z ławki i chwytając w zapamiętaniu rękę opata – ciebie, ciebie! Lepiej byłoby, aby z woli boskiej błyskawica poraziła moje oczy, zanim spoczęły na tobie! Dałby Bóg, abym cię nigdy więcej nie oglądał i mógł zapomnieć, iż cię kiedykolwiek widziałem!

Z tymi słowami na ustach wypadł z pustelni. Ambrozjo pozostał na miejscu, rozmyślając nad niezrozumiałym zachowaniem młodzieńca. Skłonny był podejrzewać, iż Rosario dostał pomieszania zmysłów, a jednak cały sposób jego postępowania, bieg myśli i spokojne zachowanie się aż do chwili, w której opuścił pustelnię, zdały się obalać to przypuszczenie. Po kilku minutach Rosario powrócił. Usiadł na powrót na ławie, wsparł policzki na ręce, drugą zaś ocierał łzy, które od czasu do czasu tryskały mu z oczu. Mnich spoglądał nań ze współczuciem i powstrzymał się od przerywania jego medytacji. Obaj milczeli przez czas niejaki. Słowik usadowił się teraz na drzewku pomarańczy, rosnącym naprzeciw pustelni, i wyciągał swe trele, melodyjne i melancholijne nad wszelki wyraz. Rosario podniósł głowę i pilnie mu się przysłuchiwał.

– Tak właśnie – rzekł z głębokim westchnieniem – tak właśnie zwykła była siadywać i przysłuchiwać się śpiewowi słowika moja siostra w czasie ostatnich miesięcy swego nieszczęsnego żywota... Biedna Matylda! Śpi sobie w grobie, a jej złamane serce nie tętni już żadną namiętnością.

– Miałaś siostrę?

– Słusznie powiadasz, panie, iż miałem. Niestety! już jej nie mam. Ugięła się pod ciężarem utrapień w samej wiosnie swego żywota.

– A jakież były to utrapienia?

– Nie wzbudzą one twojej litości. Ty nie znasz mocy owych przemożnych, owych fatalnych płomieni, których łupem padło jej serce. Ojczy, ona nieszczęśliwie kochała! Miłość do człowieka zdobnego we wszelkie przymioty, do człowieka... och! niechże raczej powiem: do bóstwa... stała się przekleństwem jej żywota. Jego szlachetna postać, nieskazitelny charakter, różnorakie talenty, wiedza rozległa, godna podziwu i wspaniała mogły rozpaść serce najbardziej nieczułej istoty. Siostra ujrzała go i ośmieliła się go pokochać, chociaż nigdy nie ośmieliła się żywić nadziei.

– Jeśli tak dobrze umieściła swoje uczucia, cóż wzbraniało jej żywić nadzieję na połączenie się z przedmiotem swojej miłości?

– Ojczy, zanim Julian ją poznał, związany już był ślubami z nadobniejszą i bardziej niebiańską oblubienicą. Jednakże siostra miłowała go dalej i z racji małżonka powzięła słabość również do małżonki. Pewnego ranka udało się jej uciec z domu rodzinnego; przyodziana w byle jakie szaty, zaofiarowała swe usługi żonie ukochanego i została przez nią przyjęta za służebną. Znajdowała się więc ustawicznie przed obliczem ukochanego, usiłowała wkraść się w jego łaski i dopięła swego. Jej usłużność przyciągnęła uwagę Juliana; cnotliwi są zawsze wdzięczni i Julian wyróżniał Matyldę wśród grona jej towarzyszek.

– A wasi rodzice nie szukali jej? Czy bez szemrania przyjęli stratę i nie starali się odnaleźć zbląkanej córki?

– Zanim mogli ją odnaleźć, sama się zdradziła. Miłość Matyldy stała się nazbyt gwałtowna, by mogła pozostać w tajemnicy; nie pożądała jednak ciała Juliana, pragnęła tylko cząsteczki jego serca. I cóż zyskała w zamian? Rozmiłowany w żonie i mniemając, że litościwe wejrzenie, skierowane na inną, było okradaniem prawowitej małżonki z tego, co się jej słusznie należało, odpędził Matyldę precz i na zawsze wzbronił jej swego widoku. Srogość Juliana złamała serce Matyldy; wróciła do ojca i w kilka miesięcy później złożono ją do grobu.

– Nieszczęsna dziewczyna! Niechybnie los był dla niej zbyt surowy, a Julian zbyt okrutny.

– Tak mniemasz, ojczy? – zawołał nowicjusz z żywością. – Mniemasz, że Julian był okrutny?

– Tak właśnie myślę i najszczerzej się nad nią lituję.

– Ty się nad nią litujesz? Ty się nad nią litujesz? Och, ojczy, ojczy! a więc ulituj się nade mną!...

Zakonnik drgnął; Rosario zaś po chwilowej przerwie dodał łamiącym się głosikiem:

– Albowiem moje cierpienia są jeszcze dotkliwsze. Siostra miała przyjaciela, prawdziwego przyjaciela, który użalał się nad żarliwością jej uczuć i nie wyrzucał jej, iż nie zdołała ich w sobie stłumić. Ja...! ja nie mam żadnego przyjaciela! Na całym szerokim świecie nie znajdę serca, które chciałoby dzielić moje utrapienia.

Wyrzekłszy te słowa, głośno zaszlochał. Zakonnik wzruszył się; ujął Rosaria za rękę i tklawie ją uściskał.

– Powiadasz, że nie masz żadnego przyjaciela? A kimże ja jestem? Czemu mi nie zaufasz



i czego się obawiasz? Mojej surowości? Czy kiedykolwiek byłem względem ciebie surowy? Godności mego habitu? Rosario, odkładam na bok moją godność i proszę, abyś uważał mnie tylko za swego przyjaciela, za swego ojca! Słusznie mogę przybrać to miano, albowiem nigdy ojciec nie czuwał nad dziećciem z większą miłością niż ta, z jaką ja czuwałem nad tobą. Od chwili, gdy cię po raz pierwszy oglądał, zbudziły się w moim sercu wrażenia, które dotąd były mi zgoła obce; znalazłem w twoim towarzystwie zadowolenie, jakiego nie mogła mi dać żadna inna kompania; a gdy spostrzegłem, jak daleko sięgają twoje zdolności i twoja wiedza, radowałem się tak, jak raduje się ojciec z przymiotów syna. Odłóż więc na bok swoje obawy i mów ze mną otwarcie. Przemów do mnie, Rosario, i rzeknij, iż mi zaufasz. Jeżeli moja pomoc lub litość zdolne są ulżyć twojej niedoli...

– Tak, tak, tylko ty zdolny jesteś mi dopomóc. Ach! ojczy, jakże ochotnie obnażyłbym przed tobą moje serce! Jakże ochotnie zdradziłbym tajemnicę, która przygniata mnie swoim ciężarem! Ale... och! lękam się, lękam...

– Czego się lękasz, mój synu?

– Że powźmiesz do mnie odrazę za moją słabość, że nagrodą za moją ufność stanie się utrata twojego szacunku.

– Jakże mam cię zapewnić, że tak nie będzie? Wspomnij na wszystkie moje uprzednie postęпки i na ojcowską czułość, jaką ci zawsze okazywałem. Ja miałbym poczuć ku tobie odrazę, Rosario? Nie leży to już w mojej mocy. Wyrzeczenie się twojego towarzystwa równałoby się utracie największej radości mojego żywota. Odsłoń więc mi, co cię dręczy, i zawierz mojej uroczystej przysiędze...

– Wstrzymaj się! – przerwał nowicjusz. – Przysięgnij mi, że jakkolwiek będzie mój sekret, nie każesz mi opuścić klasztoru przed ukończeniem nowicjatu.

– Święcie ci to przyrzekam; i tak jak ja dotrzymam ci mojej obietnicy, niechże Chrystus dotrzyma tych, które złożył rodzajowi ludzkiemu. A teraz wyjaśnij mi, co to za tajemnica, i polegaj na mojej pobłażliwości.

– Jestem ci posłuszny. Wiedz przeto... och! jakże drzę przed wypowiedzeniem tego słowa! Wysłuchaj mnie ze współczuciem, wielbny Ambrozjo! Przywołaj każdą utajoną iskierkę ludzkiej słabości, która mogłaby cię nauczyć politowania dla ułomności Rosaria! Ojczy! – ciągnął dalej, rzucając się zakonnikowi do nóg i żarliwie przyciskając jego rękę do ust, gdy podniecenie na chwilę zdławiło mu gardło. – Ojczy! – ciągnął dalej łamiącym się głosem – jestem kobietą!

Opat wzdrygnął się posłyszawszy to nieoczekiwane wyznanie. Mniemany Rosario leżał rozciągnięty na ziemi, jakby w oczekiwaniu na wyrok sędziego. Zdziwienie jednej, a obawy drugiej ze stron sprawiły, iż zarówno mnich, jak i nowicjusz zamarli w bezruchu, jakby dotknęła ich różdżka czarodzieja. W końcu otrząsnawszy się ze zmieszania, mnich opuścił pustelnię i chyżo podążył w stronę opactwa. Jego ruchy nie uszły uwagi proszącej. Poderwała się z ziemi, pobiegła za nim, dogoniła go i zastępując opatowi drogę rzuciła się na ziemię, obejmując go za kolana. Ambrozjo na próżno usiłował oswobodzić się z jej uścisku.

– Nie uciekaj przede mną! – zawołała. – Nie wydawaj mnie na łup rozpaczy! Wysłuchaj mnie, a usprawiedliwię się ze swej nieroztropności i wyznam, że historia mej siostry to moje własne dzieje! Jestem Matyldą, ty zaś... jej umiłowanym!

Jeśli Ambrozja zadziwiło jej pierwsze wyznanie, to gdy posłyszał drugie, zdumienie jego przeszło wszelkie granice. Oszołomiony, zmieszany i niezdecydowany, niezdolny był wymówić jednej sylaby i stał w milczeniu, przypatrując się Matyldzie. Dało jej to sposobność do dalszych wyjaśnień. Ciągnęła dalej:

– Nie myśl, Ambrozjo, żem przyszła ograbić twą oblubienicę z twoich afektów. Nie,

wierzaj mi; tylko religia jest ciebie warta i sprowadzenie cię ze ścieżek cnoty bynajmniej nie leży w zamiarach Matyldy. Uczuciem, jakie ku tobie żywię, jest miłość, a nie pożądanie. Wzdycham, by osiąść twoje uczucie, lecz nie goręję żądzą radowania się twoją osobą. Zechciej wysłuchać mojej obrony; kilka minut przekona cię, iż owo święte schronienie nie zostało skalane moją obecnością i że możesz obdarzyć mnie współczuciem, nie wykraczając przeciw swoim ślubom.

Usiadła. Ambrozjo mało świadom tego, co czyni, poszedł za jej przykładem, a Matylda mówiła dalej:

– Pochodzę ze znamienitej rodziny; ojciec mój był głową szlchetnego rodu nazwiskiem Villanegas; umarł, gdy byłem jeszcze dzieckiem, i zostawił mnie jedyną dziedziczką swoich rozległych włości. Byłam młoda i bogata i najświetniejsi młodzieńcy Madrytu zabiegali, by pojąć mnie za żonę, ale żadnemu z nich nie udało się zyskać mojego uczucia. Chowalam się pod opieką stryja, człeka obdarzonego rzetelnym rozumem i rozległą wiedzą. Znajdował przyjemność w przekazywaniu mi części swoich wiadomości. Na skutek jego pouczeń umysł mój osiągnął większą siłę i bystrość sądu, niżli staje się to zazwyczaj udziałem mojej płci; umiejętności preceptora dopełniła moja wrodzona ciekawość. Nie tylko czyniłam znaczne postępy w naukach będących powszechnym przedmiotem studiów, ale również i w innych, objawionych tylko nielicznym, ale podlegającym potępieniu, z racji ciemnoty zabobonu. Mój opiekun usilnie zabiegał o rozszerzenie kręgu mojej wiedzy, a jednocześnie wszczepiał w mą duszę wszystkie prawidła moralności; uwalniał mnie z pęt prostackich uprzedzeń, wystawiał mi przed oczy piękno religii, uczył spoglądać z uwielbieniem na czystych i cnotliwych i – biada mi! – aż nazbyt posłuszna byłam jego naukom.

Osądź, czy z taką dyspozycją umysłu mogłam spoglądać z innym uczuciem, niżli obrzydzenia, na występki, rozwiązłość i ciemnotę, które przynoszą ujmę naszej młodzieży hiszpańskiej. Ze wzgardą odrzucałam każdą ofertę małżeńską; serce me pozostało wolne, dopóki przypadek nie zawiódł mnie do katedry Kapucynów. Och, pewna jestem, że tego dnia mój anioł stróż zdrzemnął się i chybił swoich obowiązków. I wtedy ujrzałam cię po raz pierwszy. Zastępowałeś nieobecnego opata, który zachorował. Pewnie pamiętasz, panie, ów żarliwy podziw, jaki wzbudziło twoje kazanie? O! jakże chciwie chłonełam twoje słowa! Jakże porwała mnie twoja wymowa! Bałam się nieomal oddychać, lękając się, iż stracę choć jedno jedyne słowo; a gdyś przemawiał, zdawało mi się, iż jakaś promienna aureola lśni nad twoją głową, z oblicza zaś bił blask bożego majestatu. Opuściłam kościół płonąć podziwem. Od tej chwili stałeś się bożyszczem mego serca i stałym przedmiotem moich rozmyślań. Wypytywałam się o ciebie. Relacje o twoim sposobie życia, o twojej wiedzy, pobożności i samozaparciu umocniły więzy, którymi twoja elokwencja przykuła mnie do ciebie. Pojęłam, iż nie masz już pustki w moim sercu i że odnalazłam człowieka, którego dotąd na próżno szukałam. Codziennie odwiedzałam katedrę, oczekując, iż cię znowu usłyszę; tyś przecie pozostawał zamknięty poza klasztornymi murami i odchodziłam na powrót w rozpacz i w zwątpieniu. Noc była dla mnie bardziej łaskawa, bo ukazywałeś się mi we snach; ślubowałaś mi wieczystą przyjaźń, wiodłeś mnie ścieżkami cnoty i wspierałeś w znoszeniu udręki żywota. Ranek rozpraszał owe powabne obrazy i budząc się spostrzeżałam, iż dzielą mnie od ciebie zapory, które zdały mi się nie do usunięcia. Czas zdawał się tylko wzmagać siłę mego uczucia; popadałam w melancholię i przygnębienie. Uciekałam od ludzi i z dnia na dzień pogarszało się moje zdrowie. W końcu, nie mogąc dłużej żyć w takich mękach, postanowiłam przybrać strój, w którym mnie właśnie oglądasz. Podstęp się udał. Zostałam przyjęta do klasztoru i powiodło mi się uzyskać twój szacunek.

Czułabym się teraz całkowicie szczęśliwa, gdyby mego spokoju nie mącił strach przed odkryciem. Rozkosz, jaką znajduję w twoim towarzystwie, zatręła myśl, iż może rychło zostanie

mi ona odjęta, a gdy przyjmowałam dowody twojej przyjaźni, serce tak gwałtownie kołatało w mej piersi, iż przekonało mnie, że nie przeżyję utraty twej łaskawości. Postanowiłam więc nie dopuścić, by przypadek odkrył moją płeć... wyznać ci wszystko i zdać się całkowicie na twoje miłosierdzie i pobłażanie. Ach, Ambrozjo! czyżbym się omyliła? Czy możesz być mniej wielkoduszny, niżeli mniemałam? Nie chcę tego podejrzewać. Nie doprowadzisz nieszczęsnej istoty do rozpacz; będzie mi wciąż wolno spoglądać na ciebie, rozmawiać z tobą i uwielbiać cię! Twoje cnoty będą dla mnie przykładem przez całe życie, a gdy oddamy ducha, nasze ciała spoczną w tej samej mogile.

Zamilkła... W czasie wyznania Matyldy tysiące sprzecznych uczuć toczyło walkę w sercu Ambrozja. Zdziwienie nad osobliwością owej przygody, zmieszanie płynące z owego niespodziewanego oświadczenia, uraza, iż Matylda odważyła się wstąpić do klasztoru, i świadomość, że winien odpowiedzieć jej z całą surowością – takie właśnie były uczucia, z których zdawał sobie sprawę, a przecież istniały i inne, na które nie dał baczenia. Nie spostrzegł, iż pochwały oddane jego wymowie i zacności schlebiały jego próżności; nie spostrzegł, iż myśl o młodej i przypuszczalnie pięknej kobiecie, która porzuciła dla niego świat i poświęciła wszelkie inne płomienie dla uczucia, jakie w niej wzbudził Ambrozjo, zrodziła w jego sercu jakąś tajemną rozkosz; a zgoła już nie zdawał sobie sprawy, że gdy aksamitne paluszki Matyldy łagodnie ścisnęły go za rękę, w sercu jego pulsowało pożądanie.

Stopniowo otrząsnął się ze zmieszania, zebrał nieco rozpierchłe myśli i natychmiast zrozumiał, iż gdyby Matyldzie dozwolono pozostać w klasztorze po owym oświadczeniu, byłoby to rzeczą ze wszech miar niewłaściwą. Przybrał srogą minę i usunął dłoń z jej uścisku.

– Jakże to, pani – rzekł – czy możesz naprawdę żywić nadzieję, iż dozwolę ci pozostać w naszym gronie? A nawet gdybym zadośćuczynił twojemu żądaniu, jaką korzyść mogłabyś z tego wyciągnąć? Czy mniemasz, iż mógłbym kiedykolwiek odwzajemnić afekt, który...

– Nie, ojcze, nie! Nie oczekuję, iż natchnę cię taką miłością jak moja; pragnę tylko, by wolno mi było pozostać w twojej bliskości, przepędzać niektóre godziny dnia w twojej kompanii, zyskać twoje współczucie, przyjaźń i szacunek. Nie wątpię, iż nie jest to nedorzeczna prośba.

– Zreflektuj się, pani! Pomyśl tylko przez chwilę o niewłaściwości takiego postępk; ja miałbym dawać w opactwie schronienie kobiecie, i to kobiecie, która wyznaje, że mnie miłuje! To być nie może. Istnieje zbyt wielkie niebezpieczeństwo, że cię odkryją, ja zaś ze swej strony nie wystawię się na tak groźną pokusę.

– Pokusę, powiadasz? Zapomnij, że jestem kobietą, i oto już nie stanie pokusy. Uważaj mnie tylko za przyjaciółkę, za nieszczęśliwą, której szczęście i życie zależy jedynie od twojej opieki. Nie lękaj się, bym kiedykolwiek przywiodła ci na pamięć, iż miłość – najzarliwsza i bezgraniczna – skłoniła mnie do przebrania się za mężczyznę; nie lękaj się, że za poduszczeniem żądy, przynoszącej ujmę twoim ślubom i mojej dobrej sławie, będę się starała zwieść cię z drogi zacności. Nie, Ambrozjo! Naucz się lepiej o mnie sądzić; miłuję cię za twe cnoty – utracić je, a wraz z nimi utracisz i moje uczucie. Spoglądam na ciebie jak na świętego; daj mi dowody, iż jesteś tylko człowiekiem, a opuszczę cię z uczuciem wstrętu. Lękasz się więc pokusy z mojej strony? Ja mam cię skusić, ja, w której olśniewające rozkosze tego świata nie wzbudziły żadnego innego uczucia prócz wzgardy? Ja, której przywiązanie wspiera się na przeświadczeniu, żeś wolny od ludzkich słabości! O! porzuć te szkodliwe obawy! Pomyśl wznioślej o mnie, pomyśl wznioślej o sobie. Niezdolna jestem przywieść cię do grzechu, zaś twoja cnota z pewnością wspiera się na zbyt mocnych podstawach, by mogły nią zachwiać moje niewczesne zapawy. Ambrozjo! najdroższy Ambrozjo! nie odpędzaj mnie od siebie, pomnij, coś przyrzekł, i dozwól mi pozostać w klasztorze.

– To niepodobna, Matyldo! Twoje dobro nakazuje mi, bym odmówił twej prośbie,

ponieważ drzę o ciebie, a nie o swoją osobę. Przemogłem już w sobie gorącą młodzieńczą popędliwość; spędziłem trzydzieści lat na pokucie i umartwieniu i mógłbym całkiem bez obawy dozwolić ci, byś pozostała, nie lękając się, iż rozniecisz we mnie cieplejsze uczucia niż litość; lecz pobyt w opactwie może wyrzucić na tobie tylko fatalne skutki. Będziesz sobie opacznie tłumaczyć każde moje słowo i każdy czyn; będziesz się chciwie chwytala każdej błahej okoliczności, która zachęci cię do mniemania, iż afekt twój mógłby zostać odwzajemniony. Niepostrzeżenie namiętności wezmą górę nad twym rozumem i moja obecność nie tylko ich nie uśmierzy, ale każda chwila spędzona razem posłuży jedynie ku temu, by je rozjątrzyć i podniecić. Wierzaj mi, nieszczęsna niewiasto! szczerze ci współczuję. Jestem przeświadczony, iż, jak dotąd, kierowały tobą najczystsze pobudki, ale chociaż sama ślepa jesteś na nieroztropność twego postępowania, ja byłbym winny, gdybym ci nie otworzył oczu. Czuję, iż obowiązek nakazuje mi potraktować cię z całą surowością; zmuszony jestem odrzucić twoje prośby i zagasić każdą iskierkę nadziei, która mogłaby przyczynić się do żywienia przez ciebie uczuć tak zgubnych dla twego spokoju. Matylde, jutro musisz stąd odejść.

– Jutro, Ambrozjo! już jutro? O! pewna jestem, że nie to masz na myśli. Nie mogłeś powziąć postanowienia, które pogrąży mnie w rozpacz! Nie możesz być tak okrutny...

– Usłyszałaś moje postanowienie i musisz mu być posłuszną; reguły naszego zgromadzenia zabraniają, byś pozostała. Złamałbym przysięgę tajną, iż niewiasta znajduje się w obrębie tych murów, a moje śluby nakładają na mnie obowiązek oznajmienia naszej społeczności o twojej tu bytności. Musisz stąd odejść. Lituję się nad tobą, ale nic więcej nie jestem zdolny uczynić.

Wypowiedział te słowa słabym i drżącym głosem; potem podniósł się z ławy i zamierzał pospieszyć do opactwa. Matylde przeraźliwie krzyknęła, podążyła za mnichem i zatrzymała go.

– Zostań jeszcze chwilę, Ambrozjo! Wysłuchaj mnie jeszcze!

– Nie śmiem cię słuchać. Puść mnie; wiesz, co postanowiłem.

– Jeszcze słowo! Jeszcze ostatnie słowo i już odejdiesz.

– Puść mnie, próżne są twoje błagania; jutro musisz stąd odejść.

– Idźże więc, barbarzyńco! Lecz pozostało mi jeszcze to jedno wyjście.

Powiadając te słowa, raptownie wyciągnęła sztylet. Rozdarła szaty i przyłożyła ostrze do piersi.

– Ojczy, nigdy nie wyjdę żywa z tych murów!

– Wstrzymaj się, wstrzymaj, Matylde! Co chcesz uczynić?

– Powzięłaś decyzję, ja także powzięłam swoją; w chwili gdy mnie opuścisz, zatopię to żelazo w moim sercu.

– Święty Franciszku! Czy jesteś przy zdrowych zmysłach, Matylde? Czy znasz skutki twojego czynu? Czy pojmujesz, że samobójstwo jest największą ze zbrodni, że gubisz swą duszę, że tracisz prawa do zbawienia, iż gotujesz sobie wieczyste męki?

– Nie dbam o to, nie dbam – odrzekła zapalczywie. – Albo twa ręka zawiedzie mnie do raj, albo moją własną skazę się na zatracenie. Przemów do mnie, Ambrozjo! Rzeknij mi, iż zataisz mój przypadek, że pozostanę twą przyjaciółką i towarzyszką; w przeciwnym razie ten sztylet wypije moją krew!

Wypowiadając ostatnie słowa, podniosła rękę i uczyniła ruch, jakby się miała przebić. Oczy zakonnika ze zgrozą podążyły w ślad za sztyletem. Rozdarła habit i piersi miała na poły odsłonięte. Ostrze śmiertelności narzędzia spoczęło na lewej piersi Matylde. Ach! cóż to była za pierś! Księżycowe blaski padały wprost na nią, co dozwoliło mnichowi dostrzec jej olśniewającą białość. Oczy Ambrozja spoczęły z nienasyconą żądzą na pięknej krągłości; jakies dotąd nie znane uczucie wypełniło jego serce niepokojem pomieszany z rozkoszą; szaleńczy

ogień przeniknął wszystkie jego członki, krew zawrzała w żyłach, a tysiące namiętnych pragnień oszołomiło wyobraźnię.

– Wstrzymaj się! – zawołał pospiesznie łamiącym się głosem. – Nie mogę się dłużej opierać! Pozostań więc, czarodziejko! pozostań na moją zgubę!

Rzekłszy to, porwał się z miejsca i pospieszył do klasztoru; w rozterce, niezdecydowaniu i zmieszaniu dotarł do swojej pryczy.

Przez czas niejaki w żaden sposób nie mógł uporządkować myśli. To, co mu się przytrafiło, wznieciło w jego sercu tak różnorakie uczucia, iż niezdolny był orzec, które z nich górowało nad innymi. Wahał się, jak winien postąpić z tą, która zakłóciła jego spokój; świadom był, iż roztropność, religia i przystojność domagały się, by rozkazał jej opuścić opactwo. Z drugiej strony, tak silne argumenty przemawiały za jej pozostaniem, że aż nazbyt skłonny był przychylić się do życzenia Matyldy. Nie mógł nie czuć się pochlebionym jej oświadczeniem i myślą, iż zgoła nieświadomie podbił serce, które oparło się atakom najznamienitszych kawalerów hiszpańskich. Sposób, jakim zyskał afekt Matyldy, był jak najbardziej schlebiający jego próżności. Wspomnił na owe szczęsne godziny, które spędził w towarzystwie Rosaria, i uląkł się pustki, jaką rozstanie z nim pozostawi w jego sercu. Zważył również i na to, że Matylda była bogata i że jej łaski mogły przysporzyć zakonowi znacznych korzyści.

– Na co się właściwie narażam – rzekł sam do siebie – pozwalając jej na pozostanie? Czy nie mogę bezpiecznie zawierzyć jej zapewnieniom? Czy tak trudno przyjdzie mi zapomnieć o jej płci i nadal uważać ją za mego ucznia i przyjaciela? Miłość Matyldy na pewno jest czysta, jak sama powiada, bo gdyby uczucie jej było tylko dziecięcym zwyczajnej rozwiązłości, czy chowałaby je tak długo w swojej piersi? Czy nie chwyciłaby się jakichś sposobów dla zaspokojenia swej żądzy? Uczyniła coś zgoła przeciwnego: usiłowała utrzymać mnie w nieświadomości co do swojej płci i nic oprócz obawy przed odkryciem i prócz moich nalegań nie przymusiło jej do wyjawienia sekretu. Wypełniała wszystkie obowiązki religii nie mniej sumiennie niżli ja sam, nie zabiegała o rozbudzenie drzemających we mnie namiętności i nigdy, aż do tego wieczora, nie rozprawiała ze mną na temat miłości. Gdyby pragnęła pozyskać moje uczucia, a nie szacunek, nie skrywałaby przede mną tak troskliwie swoich wdzięków. Aż do tej pory nie widziałem jej twarzy, a nie wątpię, że liczko to musi być powabne i postać nadobna, choćby sądząc z jej... z tego, co ujrzałem.

Gdy ta myśl przemknęła przez wyobraźnię mnicha, lica jego spłonęły rumieńcem. Przerażony uczuciami, którym pofolgował, zabrał się do pacierzy. Podniósł się z łoża, ukląkł przed piękną

Madonną i błagał Jej pomocy w stłumieniu tak grzesznych poruszeń serca; następnie powrócił do łoża i zapadł w sen.

Zbudził się rozgorączkowany i niewypoczęty. Rozpalona wyobraźnia stawiała przed nim we snach tylko same lube dla zmysłów przedmioty. Śniło mu się, że stoi przed nim Matylda, a oczy jego znowu spoczywały na jej odkrytej piersi; dziewczyna powtarzała zapewnienia o swej dozgonnej miłości, zarzucała mu ręce na szyję i obsypywała pocałunkami; on odwzajemniał jej pieszczoty, przycisnął ją namiętnie do łona i... widzenie przysło. Czasami jawił mu się we snach obraz ulubionej Madonny; roilo mu się, iż klęczy przed Nią, a gdy wznosił ku Niej modły, oczy na wizerunku zdały się spoglądać nań z niewypowiedzianą słodyczą. Przycisnął usta do obrazu i spostrzegł, iż ożywiona postać wyszła z ram, tkliwie go uścisnęła i zmysły Ambrozja niezdolne były znieść tak niewypowiedzianej błogości. Takie to widziadła zaprzętały podczas snu jego umysł; nie zaspokojone żądze wystawiały mu przed oczy najbardziej rozwiązłe i bezwstydne obrazy, on zaś nurzał się w rozkoszach zgoła mu dotąd nie znanych.

Podniósł się z łoża, pełen pomieszania na wspomnienie owych sennych widziadeł, gdy

zaś przypomniał sobie przyczyny, które skłoniły go ubiegłego wieczora do przyzwolenia na pozostanie Matyldy w klasztorze, jeszcze bardziej się zawstydził. Rozproszyła się chmura zaciemniająca mu rozum i wstrząsnął się cały, pojmując, co kryło się pod pokrywką jego argumentów, i postrzegając, iż stał się ubiegłego wieczora niewolnikiem pochlebstwa, chciwości i miłości własnej. Jeśli w ciągu godzinnej rozmowy Matylda tak wielce odmieniła jego uczucia, jakże straszliwie winien lękać się jej obecności w opactwie! Uświadomił sobie niebezpieczeństwo, otrząsnął się ze swych urojeń o ufności i postanowił, że bezzwłocznie zmusi ją do odejścia. Zaczął pojmować, iż nie jest opancerzony przeciw pokusie, i chociaż Matylda mogłaby utrzymać swoje uczucia w granicach przystojności, on nie potrafił walczyć z namiętnościami, od których, jak dotąd mniemał, był wolny.

– Agnes! Agnes! – zawołał rozmyślając o swoich frasunkach – już odczuwam ciężar twojego przekleństwa.

Opuścił celę z mocnym postanowieniem odprawienia precz mniemanego Rosaria. Przybył na jutrznię, ale myśli jego błądziły gdzie indziej i mało przykładał się do nabożeństwa. Zarówno serce, jak głowę pełne miał spraw tego świata i modlił się bez żarliwości. Po nabożeństwie zszedł do ogrodu i skierował kroki ku temu samemu miejscu, w którym ubiegłego wieczora uczynił tak kłopotliwe odkrycie; nie wątpił, iż Matylda tam go odnajdzie. Nie pomylił się; rychło weszła do pustelni i nieśmiało przybliżyła się do mnicha.

– Usiądź przy mnie, Matyldo – rzekł przybierając stanowczą minę, choć troskliwie unikał choćby odrobiny surowości. – Wysłuchaj mnie cierpliwie i wierzaj, że w tym, co ci powiem, nie więcej kieruję się swoją własną korzyścią, jak twoim dobrem. Wierzaj mi, iż żywię ku tobie najgorętszą przyjaźń i najszczerze współczucie, że nie mogę bardziej od ciebie się smucić oznajmiając ci, iż nie powinniśmy się spotkać nigdy więcej.

– Ambrozjo! – zawołała głosem, który wyrażał zarówno smutek, jak i zdziwienie.

– Uspokój się, przyjacielu! mój Rosario! Pozwól zwać cię jeszcze tym tak droгим dla mnie imieniem; nasze rozstanie jest nieuniknione i rumienię się wyznając, jak bardzo mnie to porusza. A jednak tak być musi. Czuję, że jestem niezdolny do traktowania cię z całkowitą obojętnością, i właśnie to przekonanie skłania mnie, bym nalegał na twoje odejście. Matyldo, nie wolno ci tu dłużej pozostawać!

– O! gdzież przyjdzie mi teraz szukać prawdziwej rzetelności? W jakiej to szczęsnej krainie ukryła się prawda, zbrzydzone przewrotnością świata? Ojczyźnie, miałam nadzieję, iż tu obrała sobie siedlisko i że twoje serce stało się jej ulubioną świątynią. I ty także okazałeś się kłamliwy? O Boże! I ty także możesz mnie zdradzić?

– Matyldo!

– Tak, ojczyźnie, tak; słusznie czynię ci te wyrzuty. O! Gdzież są twoje obietnice? Mój nowicjat jeszcze się nie skończył, a jednak chcesz zmusić mnie do opuszczenia klasztoru? Czy masz serce, aby mnie od siebie odpędzić, i czy nie otrzymałam twej solennej obietnicy, że tego nie uczynisz?

– Nie zmuszę cię do opuszczenia klasztoru, albowiem ci to solennie obiecałem, ale gdy zdaję się na twoją wielkoduszność i gdy powiadam ci o kłopotach, w jakie wpędzi mnie twoja obecność, czy ty sama nie zwolnisz mnie z tej przysięgi? Zastanów się nad niebezpieczeństwem odkrycia, iż jesteś kobietą, nad hańbą, jaką okryłoby mnie ujawnienie owego sekretu; zastanów się, iż od tego zawisł mój honor i reputacja i że spokojność mojego umysłu zależna jest od twojej uległości. Jak dotąd, serce mam wolne; rozstanę się z tobą z żalem, ale nie z rozpaczą. Jeśli tu pozostaniesz, w kilka tygodni później poświęcę moją szczęśliwość na ołtarzu twych powabów; jesteś nazbyt ponętna i nazbyt przymilna. Rozmiłuję się w tobie, stracę dla ciebie głowę, serce stanie się łupem pożądań, których zaspokojenia wzbrania mi mój honor i profesja. A gdybym się

nawet oparł owym pragnieniom, nawałnica nie zaspokojonych żądz przyprawi mnie o szaleństwo! Jeśli zaś ulegnę pokusom, poświęcę dla jednej chwili grzesznej rozkoszy moją reputację na tym i moje zbawienie na tamtym świecie. Do ciebie więc uciekam się, prosząc o obronę przed samym sobą. Zachowaj mnie od utraty nagrody za trzydzieści lat pełnych umartwień! Zachowaj mnie od przeobrażenia się w ofiarę wyrzutów sumienia! Twoje serce zaznało już męki beznadziejnego miłowania. O! jeśli istotnie jestem ci aż tak drogi, oszczędź mojemu sercu tej samej męki! Zwróć mi moją obietnicę, odejdz z tych murów. Odejdz, a zabierzesz ze sobą moje najżarliwsze modły o twoje szczęście, zabierzesz moją przyjaźń, szacunek i podziw. Zostań, a staniesz się dla mnie źródłem niebezpieczeństwa, cierpienia i rozpaczki! Odpowiedz mi, Matyldo, cóżes postanowiła. – Milczała. – Nie chcesz przemówić, Matyldo? Nie chcesz rzec, jakiego dokonałaś wyboru?

– Okrutniku! okrutniku! – zawołała łamiąc rozpaczliwie ręce.

Zbyt dobrze wiesz, iż nie dałaś mi żadnego wyboru; zbyt dobrze wiesz, iż nie mogę mieć innej woli prócz twojej!

– A więc nie omyliłem się. Wspaniałość serca Matyldy dorównała moim oczekiwaniom.

– Tak; dam dowód szczerości mojego uczucia poddając się wyrokowi, który wbija mi nóż w samo serce. Weźże sobie swoją obietnicę. Jeszcze dziś opuszczę klasztor. Mam krewniaczkę, przeoryszkę klasztoru w Estramadurze; ku niej skieruję me kroki i tam zamknę się na zawsze przed światem. Ale rzeknij mi, ojcze, czy zabiorę ze sobą do mej samotni twoje błogosławieństwo? Czy oderwiesz czasami uwagę od spraw niebiańskich, aby poświęcić mi choć jedną myśl?

– Ach, Matyldo! lękam się, iż będę cię wspominał aż nazbyt często dla mojej spokojności.

– A więc niczego już nie pragnę prócz tego, byśmy się spotkali w niebiosach. Żegnaj, mój przyjacielu, mój Ambrozjo! Ale zda mi się, że chętnie wzięłabym ze sobą jakiś dowód twojej łaskawości.

– Cóż mam ci dać, Matyldo?

– Coś... cokolwiek... wystarczy jeden z tych kwiatków.'-Tu wskazała na różany krzew, rosnący przy drzwiach pustelni. – Ukryję go na łonie, a gdy umrę, znajdą zwiędnięty kwiat na moim sercu.

Zakonnik nie mógł zdobyć się na odpowiedź; powolnymi krokami, z duszą obciążoną boleścią, wyszedł z pustelni. Przybliżył się do krzewu i przystanął, by zerwać jedną różę. Nagle wydarł mu się z piersi przeraźliwy krzyk; cofnął się raptownie i upuścił kwiatek na ziemię. Matylda usłyszała krzyk i z niepokojem rzuciła się ku opatowi.

– Co się stało? – zawołała. – Odpowiedz mi, na litość boską! Co ci się przydarzyło?

– Spotkałem śmierć – odrzekł omdlałym głosem. – Ukryty między różami... wąż...

Tu ból w ranie stał się tak dotkliwy, iż przeniósł siły człowieka; zmysły go opuściły i jak nieżywy osunął się w ramiona Matyldy.

Nie sposób opisać jej desperacji. Rwała włosy na głowie, biła się w piersi, a nie ważąc się odejść od Ambrozja, starała się donośnym krzykiem wezwać mnichów na pomoc. W końcu się jej powiodło. Kilku braci, zaalarmowanych jej wołaniem, pospieszyło do pustelni i przeniosło nieprzytomnego do opactwa. Natychmiast położono go do łóżka, zaś mnich, który pełnił wśród bractwa funkcję cyrulika, zabrał się do opatrzenia rany. Do tego czasu ręka Ambrozja obrzmiała i przybrała niezwykajne rozmiary. Podano mu jakieś lekarstwo, które co prawda przywróciło mu życie, ale nie przytomność. Bredził w straszliwym delirium, toczył pianę i czterech najsilniejszych zakonników z ledwością mogło go utrzymać na pościeli. Ojciec Pablos (tak zwał się cyrulik) pospieszył, aby obejrzyć zranioną rękę. Mnisi otoczyli łoże i z niepokojem oczekiwali jego wyroku; pomiędzy nimi stał mniemany Rosario i zdawał się szczególnie

poruszony nieszczęściem opata. Spoglądał na cierpiącego z niewypowiedzianym bólem, a jęki, które wciąż wrywały mu się z piersi, wyraźnie zdradzały gwałtowność jego utrapienia.

Ojciec Pablos sondował ranę. Gdy wyciągnął z niej lancet, koniec ostrza zabarwiony był zielonkawo. Pablos potrząsnął żałośnie głową i odszedł od łoża chorego.

– Tegom się właśnie obawiał – rzekł. – Nie ma żadnej nadziei.

– Żadnej nadziei! – wykrzyknęli mnisi zgodnym chórem.

– Żadnej nadziei, powiadasz?

– Sądząc z nagłych skutków, podejrzewam, iż opata ugryzł wąż zwany *cientipedora*<sup>[1]</sup> jad, który oglądacie na moim lancecie, potwierdził te przypuszczenia. Nie zdoła przeżyć trzech dni.

– I nie można znaleźć na to żadnego lekarstwa? – zapytał Rosario.

– Bez wyciągnięcia trucizny z rany nie może ozdrowieć, a na usunięcie jadu nie znalazłem jeszcze żadnego sposobu. Wszystko, co mogę uczynić, to przyłożyć na ranę zioła, które złagodzą ból; pacjent odzyska zmysły, lecz jad zatruje całą jego krew i do trzech dni nie będzie go między żywymi.

Powszechna i nieumiarkowana żałość ogarnęła braci po usłyszeniu tego wyroku. Pablos, stosownie do obietnicy, opatrzył ranę i odszedł wraz z towarzyszami. Tylko Rosario pozostał w celi, bowiem na skutek jego żarliwej prośby powierzono mu pieczę nad opatem. Gwałtowne drgawki wyczerpały siły Ambrozja i właśnie zapadł w głęboki sen. Złożony był tak straszliwą niemocą, iż prawie nie dawał żadnych oznak życia. Tak zastali go mnisi, gdy powrócili, by dowiedzieć się, czy coś się nie odmieniło. Pablos rozluźnił nieco bandaż zakrywający ranę, lecz powodowała nim raczej ciekawość niżli nadzieja odkrycia jakichś pomyślnych objawów. Jakież było jego zdziwienie, gdy zobaczył, że zaognienie rany całkowicie ustąpiło. Sondował ranę; lancet wyszedł z niej czysty i nie zbrukany; nie można było dostrzec najmniejszego śladu trucizny i gdyby nie widoczna jeszcze szrama na skórze, Pablos zwątpiłby, czy kiedykolwiek była tam jakaś rana.

Oznajmił braciom ową nowinę; ich rozradowanie dorównało jedynie zdumieniu.

Otrząsnęli się jednak rychło z drugiego z owych uczuć, tłumacząc tę okoliczność stosownie do własnych pojęć. Byli najszczerzej przekonani, że ich opat był świętym człowiekiem, i uważali za rzecz zgoła naturalną, że święty Franciszek uczynił cud, by go ratować. Jednomyślnie zgodzili się z tym mniemaniem. Wypowiadali je tak donośnie i z takim zapałem wykrzykiwali: „Cud! cud!” – iż rychło zakłócili spoczynek Ambrozja.

Mnisi natychmiast stłoczyli się wokół jego łoża i wyrażali radość z owego cudownego ozdrowienia. Ambrozjo był całkiem przytomny i nic mu nie dolegało, czuł się tylko słaby i znużony. Pablos dał mu jakieś pokrzepiające lekarstwo i doradził, by opat przez dwa dni pozostał w łożu; odchodząc wyraził również życzenie, by pacjent nie męczył się rozmową, ale raczej spróbował się zdrzemnąć. Odszedł, a inni mnisi poszli za jego przykładem: Ambrozjo wraz z Rosariem pozostali sami.

Przez kilka minut Ambrozjo spoglądał na swego towarzysza z wyrazem radości i niedowierzania zarazem. Siedziała na brzegu łoża ze spuszczoną głową i jak zwykle osłonięta kapturem.

– I ty tu jeszcze, Matyldo? – rzekł w końcu zakonnik. – Czy nie dość ci, żeś o mało nie doprowadziła mnie do śmierci i że nic prócz cudu nie mogło uchronić mnie od mogiły? Ach! pewien jestem, że niebo zesłało węża, aby ukarać...

Matylda przerwała jego słowa, kładąc mu rękę na ustach z wesołą miną.

– Cicho, ojczu, cicho! Nie wolno ci mówić.

– Ten, kto wydał ten rozkaz, nie wiedział, jak ciekawe są sprawy, o których pragnę mówić.



– Ale ja wiem, a jednak nakazuję ci to samo z całą stanowczością. Wyznaczono mnie na twoją pielęgniarkę i nie wolno ci sprzeciwiać się moim rozkazom.

Jesteś w dobrym humorze, Matylde!

– I mam ku temu powody; właśnie zaznałam takiej radości, jakiej nie doświadczyłam w ciągu całego życia.

– A cóż cię tak uradowało?

– Muszę to ukryć przed wszystkimi, a szczególnie przed tobą.

– Szczególnie przede mną? O nie, błagam cię, Matylde...

– Cicho, ojcze, cicho. Nie wolno ci rozmawiać. Ale ponieważ wydaje mi się, że nie masz chęci do spania, czy mam spróbować umilić ci czas moją harfą?

– Jak to! nie wiedziałem, żeś biegła w muzykowaniu.

– Och! kiepski ze mnie muzyk! Przepisano ci jednakże czterdziestoosmiodziesiętny spokój i może będę cię mogła tym zabawić, gdy znużą cię własne myśli. Idę po harfę.

Rychło powróciła z instrumentem.

– A teraz, ojcze, co mam ci zaśpiewać? Czy chcesz posłyszeć balladę, która prawi o dzielnym Durandarcie, który zginął w słynnej bitwie w *Roncesvalles*?<sup>[2]</sup>

– Zaśpiewaj, co chcesz, Matylde.

– O, nie zwij mnie Matylde! Nazywaj mnie Rosariem, nazywaj mnie przyjacielem. To są imiona, które lubię słyszeć z twych ust. A teraz słuchaj.

Najpierw nastroiła harfę, a potem rozpoczęła od krótkiej przygrywki z takim wyczuciem harmonii, iż zdradziła, że celuje w grze na tym instrumencie. Grała cichą i rzewną melodię.

Ambrozjo słuchając czuł, iż odchodzi go słabość, a jakaś luba melancholia napełnia mu serce.

Nagle Matylde zmieniła nutę; ręką śmiałą i chyżą uderzyła w głośniejsze, jakby bitewne struny, a później zanuciła tę oto balladę, której towarzyszyły tony harfy proste i melodyjne zarazem.

Durandarte i Belerma

*Śpiew to straszliwy, okrutny, krwawy*

*O ronsewalskiej potrzebie,*

*Gdzie pole męstwa, chwaty i stawy*

*Rycerzy poległych grzebie.*

*Tam Durandarte poległ waleczny,*

*Rycerz bez lęku i zmazy.*

*Nim oczy zamknął na żywot wieczny,*

*Takie wykrzyknął wyrazy:*

*„Okrutna moja, piękna Belermo,*

*Lat siedem w srogiej udreće*

*Jam tobie służbę sprawował wierną,*

*Twą wzgardę biorąc w podzięcie.*

*Teraz, gdy wreszcie ku mnie się skłaniać*

*Serce twe srogie zaczyna,*

*Oto śmierć moje oczy przestania*

*I nić nadziei przecina.*

*O moje życie wcale nie stoję,*

*Choć młodo ku śmierci zdążam;*

*Z tobą rozstania się tylko boję.*

*Ono mnie w smutku pogrąża.*

*O Montezynie, krewniaku drogi,*

*Na przyjaźń, uściski bratnie*

*Błagam, gdy w śmierci idę już progi,*

*Słuchaj mej prośby ostatniej!*

*Nim ciało moje złożysz do grobu,*

*Ty piersi moje otworzysz,*

*Dobędziesz serce, weźmiesz je z sobą,*

*U stóp Belermy je złożysz.*

*Rzekniesz, że daję jej swoje włości*

*I całym darzę ją mieniem,*

*Żem odszedł pełen ku niej miłości*

*I z jej na ustach imieniem.*

*Dwa razy w tydzień mów jej, jak szczerze*

*Z sercam ją kochał całego.*

*Dwa razy w tydzień niechaj pacierze*

*Odmawia za mnie biednego.*

*Oto się zbliża moja godzina,*

*Już dłużej nie wytrwam w mece,*

*Już silne ramię drętwieć zaczyna,*

*Już zimna dłoń ma w twej ręce.*

*Kto mnie oglądał, gdym ruszał w boje,*

*Już więcej mnie nie zobaczy.*

*Niechaj nie płyną łez twoich zdroje*

*Niech druh mój wierny nie płacze!*

*Pomódl się raczej za moją duszę -*

*To me ostatnie błaganie,*

*Kiedy się skończą już me katusze,*

*Gdy serce już bić przestanie,*

*Aby słuchając modły twej wiernej*

*Do chwały swej niezmierzonej*

*Przyjął mą duszę Pan Miłosierny*

*I miejsce dał wśród zbawionych!”*

*Skończył – i dusza odeszła z ciała,*

*Bladość śmiertelna go kryje,*

*Wśród Maurów wielka radość nastąpi,*

*Ze Durandarte nie żyje!*

*Cny Montezynos hełm mu zdejmuję*

*I miecz wyjmuję mu z dłoni,*

*Mogilę własną ręką gotuje,*

*By złożyć zmarłego do niej.*

*Dla dopełnienia swej obietnicy*

*Serce wykrawa mu z łona,*

*Aby je zanieść biednej dziewczycy,*

*Co w domu czeka stęskniona.*

*Smucił się wielce cny Montezynos,*

*Smutek przepętnił mu duszę,*

*„Biada mi – wołał – niechaj łzy płyną,*

*Ze zgon twój oglądać muszę.*

*Nikt wśród żyjących nie zrówna tobie*

*W rycerskiej cnocie i chwale.*

*One dziś z tobą kładą się w grobie,*

*Już świat nie ujrzy ich wcale.*

*Jakże mi teraz wieść żywot smutny,*

*Gdyś ty pomiędzy zmarłymi,*

*Dwukroć był straszny wróg nasz okrutny,*

*Ze mnie zostawił na ziemi!"*

Ambrozjo z rozkoszą przysłuchiwał się jej pieśni; nigdy nie słyszał bardziej melodyjnego głosu i dziwił się, jak owe niebiańskie dźwięki mogły pochodzić od kogo innego niżli od samych aniołów. Lecz chociaż dogadzał zmysłowi słuchu, jedno wejrzenie przekonało go, iż nie może zaufać zmysłowi wzroku. Śpiewaczka siedziała w pobliżu łoża. Poza, w jakiej pochylała się nad harfą, była swobodna i pełna wdzięku; kaptur zsunął się jej bardziej ku tyłowi niżli zazwyczaj, i można było dojrzeć dwie koralowe wargi, pełne, świeże i tkliwe, oraz bródkę, w której dołeczkach zdało ukrywać się tysiące kupidynków. Długi rękaw habitu czepiałby się o struny instrumentu; aby temu zapobiec, Matylda podwinęła go wyżej łokcia i dzięki temu odsłoniła ramię, ukształtowane z najdoskonalszym wyczuciem proporcji i o ciele tak delikatnym, iż mogło współzawodniczyć z białością śniegu. Ambrozjo odważył się spojrzeć na Matyldę tylko jeden jedyny raz i to wejrzenie przekonało go, jak niebezpieczna była obecność tej powabnej postaci. Zamknął oczy, ale na próżno walczył, aby odpędzić obraz Matyldy ze swoich myśli. Wciąż poruszała się przed nim ozdobiona wszystkimi owymi wdziękami, których dostarczała mu jego rozgorączkowana wyobraźnia. Każdy powab, który już widział uprzednio, zdawał mu się jeszcze piękniejszy, zaś te wdzięki, które jeszcze pozostawały zakryte, imaginacja przedstawiała w ponętnych barwach. Wciąż pamiętał jednak o swoich ślubach i konieczności ich dotrzymania. Walczył z pożądaniem i drżał widząc, jak głęboka przepaść rozwiera się pod jego stopami.

Matylda przestała śpiewać. Lękając się wpływu jej wdzięków, Ambrozjo nadal trzymał oczy zamknięte i wznosił modły do świętego Franciszka, by wsparł go w tej niebezpiecznej próbie. Matyldzie wydawało się, że opat śpi; podniosła się z krzesła, ostrożnie przybliżyła się do łoża i przez kilka minut uważnie się weń wpatrywała.

– Śpi! – wyrzekła w końcu cichutkim głosikiem, który przecie dotarł do uszu opata. – Teraz mogę spoglądać więc na niego bez skrpułów, mogę połączyć swój oddech z jego oddechem, mogę wpatrywać się z rozculeniem w jego oblicze, on zaś nie może podejrzewać mnie o nieczystość i zwodniczość. Lęka się, iż skuszę go, by pogwałcił śluby. Och! jakże jest niesprawiedliwy! Gdybym pragnęła rozbudzić jego żądze, to czy skrywałabym tak skwapliwie moje rysy? te rysy, które słyszałam, jak codziennie...

Zamilkła i pogrążyła się w rozmyślaniach.

– A było to zaledwie wczoraj – ciągnęła dalej. – Tylko kilka krótkich godzin minęło od chwili, w której byłam jeszcze miła jego sercu; szanował mnie i serce moje było kontente. Teraz, och! teraz jakże okrutnie odmieniły się moje losy! Spogląda na mnie podejrzliwie i każe od siebie odejść, odejść na zawsze. Och! mój ty święty, mój ubóstwiany! Ty, który po Bogu zajmujesz drugie miejsce w moim sercu; jeszcze dwa dni i odkryję przed tobą moją duszę, abys mógł poznać uczucia, z jakimi spoglądam na twoje męczarnie! Czy wiesz, żeś mi się stał jeszcze droższy przez te cierpienia! Ale nadejdzie dzień, że przekonasz się, iż uczucie moje jest czyste i bezinteresowne, a wtedy ulitujesz się nade mną i odczujesz cały ciężar mojego frasunku.

Wypowiadając te słowa głos miała zdławiony szlochem. Gdy zaś pochyliła się nad Ambrozjem, łza spadła na jego policzek.

– Ach! zmaciłam jego sen – zawołała Matyllda i spiesznie odeszła.

Niepotrzebnie się spłoszyła. Nikt nie śpi tak głęboko jak ci, którzy nie chcą się ocknąć. Zakonnik znalazł się właśnie w tym kłopotliwym położeniu; wciąż wydawało się, iż pogrążony jest we śnie, lecz z każdą upływającą minutą mniej zdolny był do radowania się spoczynkiem. Gorąca łza przelała swe ciepło w jego serce.

– Co za tkliwość! Jaka niewinność! – rzekł sobie w duchu – Ach! jeśli moje serce jest tak wrażliwe na litość, cóż by się z nim stało, gdyby miłość je poruszyła?

Matyllda znowu powstała z krzesła i odeszła nieco od łoża. Ambrozjo odważył się na otwarcie oczu i ukradkiem zerknął na nią. Twarz miała odwróconą. W melancholijnej postawie, z głową wspartą na harfie wpatrywała się w obraz, który wisiał naprzeciw łoża.

Szczęśny, szczęśny wizerunku! – tu zwróciła się do pięknej Madonny – ku Tobie wznosi swoje modły, na Ciebie spogląda w zachwycie. Mniemałam, iż ulżysz moim strapieniom, a Ty przyczyniłaś się tylko do przydania mi ciężaru. Dałaś mi odczuć, iż gdybym go znała, nim złożył śluby, to Ambrozjo i szczęście mogły się stać moim udziałem. Z jaką przyjemnością spogląda na ten obraz! Z jakim zapałem wznosi modły do nieczułego wizerunku! Ach! a może jego uczucia ożywia jakiś życzliwy i tajemniczy geniusz, przyjaciel mojego afektu? A może przyrodzony człowiekowi instykt powiada mu... Zamilcz! Próżne nadzieje! Niechże nie schlebiam przypuszczeniom, które umniejsząłyby blask cnót Ambrozja. Pobożność, a nie piękno wzbudza jego podziw; nie przed niewiastą klęka, lecz przed boską istotą. Gdybyż to ku mnie skierował jeden z mniej tkliwych wyrazów, jakimi darzy tę Madonnę! Gdyby mi chociaż powiedział, że nie wzgardziłby Matylldą, gdyby nie był już uprzednio ślubował Kościołowi! Och! Gdybym mogła żywić to nedorzeczne mniemanie! Może jeszcze przyzna, iż czuje dla mnie coś więcej niż tylko litość i że taki afekt jak mój może słusznie zasługiwać na wzajemność. Może choć tyle przyzna, gdy leżeć będę na łożu śmierci... Nie musi się wtedy lękać, iż pogwałci swe śluby, a wyznanie, iż jest mi przychylny, złagodzi mi mękę konania. Gdybym choć tego była pewna! Och, jakże szczerze wdychałabym do chwili zgonu!

Opat nie utracił ani słóweczka z owego wyznania, a ton, jakim Matyllda wyrzekła ostatnie słowa, przeszył mu serce. Mimo woli uniósł się na poduszkach.

– Matylldo! – ozwał się żalonym głosem – o! moja Matylldo!

Drgnęła na dźwięk jego głosu i raptownie zwróciła się ku niemu. Gwałtowny ruch sprawił, iż kaptur osunął się jej z głowy; badawcze oczy przeora dostrzegły jej twarz. Jakże się zdumiał ujrzawszy w jej licu wierne podobieństwo do wizerunku Madonny, którą tak podziwiał! Te same doskonale proporcje rysów, ta sama obfitość złotych włosów, te same różane wargi i majestat bijący z lic zdobiły Matylldę! Okrzyk zdziwienia wyrwał się z ust Ambrozja; opadł na powrót na poduszki i powątpiewał, czy ma przed sobą ziemską, czy też boską istotę.

Matyllda zdawała się mocno zawstydzona. Stała jak wryta, wspierając się na harfie. Wzrok wbiła w ziemię, a blade policzki płonęły rumieńcem. Gdy nieco przyszła do siebie,

natychmiast przysłoniła oblicze. Później żalonym i niepewnym głosem odważyła się przemówić do mnicha tymi oto słowy:

Przypadek uczynił cię panem tajemnicy, którą wyjawiałabym jedynie na łożu śmierci. Tak, Ambrozjo; w Matyldzie de Villanegas oglądasz oryginał twojej umiłowanej Madonny. Wkrótce po zrodzeniu się w moim sercu tej niefortunnej miłości umyśliłam sobie przesłać ci mój wizerunek. Chmara wielbicieli przekonała mnie, iż obdarzona jestem niejakimi powabami, i pragnęłam dowiedzieć się, jakie wrażenie wywrze na tobie moja uroda. Dałam się sportretować Martinowi Galuppiemu, sławnemu weneccjaninowi, który w owym czasie rezydował w Madrycie. Podobieństwo było uderzające. Posłałam wizerunek do opactwa kapucynów, jakoby na sprzedaż, i Żyd, od którego zakupiłeś malowidło, był jednym z moich wysłanników. Nabyłeś ten obraz. Osądź, w jakie wpadłam uniesienie, gdy mi powiedziano, że wpatrywałeś się weń z ukontentowaniem, a raczej z uwielbieniem, że zawiesiłeś obraz w swojej celi i tylko do tej świętej istoty wznosiłeś swoje modły. Czy to zwierzenie sprawi, iż będziesz na mnie spoglądał z jeszcze większą podejrzliwością? Raczej winno cię ono przekonać, jak czyste jest moje uczucie, i skłonić, byś zniósł moją obecność i szacunek, jakim cię darzę. Codziennie słyszałam, jak wychwalałeś mój wizerunek. Byłam naocznym świadkiem uniesień, jakie wzbudzało w tobie jego piękno, a jednak wzbraniałam się użyć przeciw twej cnoce broni, którą ty sam wkładałeś mi do ręki. Staralam się nie rozpalać twej żądz wystawianiem na pokaz moich powabów i nie usiłowałam zostać panią twego serca za pośrednictwem twych zmysłów. Jedynym moim celem było przyciągnięcie twojej uwagi przez pilne przykładanie się do obowiązków, jakie nakłada religia, zyskanie twej przychylności przez ugruntowanie w tobie przekonania, iż umysł mój był cnotliwy, a przywiązanie rzetelne. Powiodło mi się: stałam się twoim towarzyszem i przyjacielem. Zataiłam przed tobą mą płeć i gdybyś nie nalegał na wyjawienie mojej tajemnicy, i gdyby nie dręczyła mnie obawa, iż rzecz się odkryje, nigdy nie znałbyś mnie pod innym imieniem jak tylko Rosaria. Trwasz jeszcze w postanowieniu, by mnie od siebie odpędzić? Pozostaje mi tylko kilka godzin życia; czy nie mogę spędzić ich w twojej obecności? Och! przemów, Ambrozjo, i rzeknij mi, że mogę pozostać.

Wyznanie Matyldy dało opatowi sposobność do zebrania rozpierchniętych myśli. Świadom był, iż w jego obecnym ułożeniu umysłu unikanie towarzystwa Matyldy stanowiło jedyną ucieczkę przed przemożnym wpływem owej uwodzicielskiej kobiety.

– To, co wyznałaś, tak mnie zadziwiło – rzekł – iż niezdolny jestem teraz ci odpowiedzieć. Nie nalegaj, bym ci coś odrzekł; pozostaw mnie samego, czuję potrzebę samotności.

– Słucham cię, panie; lecz nim odejdę, obiecaj mi, że nie będziesz się upierał, bym natychmiast opuściła opactwo.

– Matyldo, zastanów się nad twoim położeniem, zastanów się nad skutkami twego pobytu w tym domu; nie unikniemy rozstania i musimy się pożegnać.

– Ale nie dzisiaj, ojcze! O! na litość boską, nie dzisiaj!

– Zbyttnio na mnie nalegasz i nie mogę oprzeć się twemu błagalnemu głosowi. Skoro tak przy tym obstajesz, ustępuję twoim prośbom; przyzwalam, byś pozostała tu przez czas stosowny do jakiego takiego przygotowania zgromadzenia do twego odejścia; zostań więc jeszcze dwa dni, ale na trzeci – tu mimowolnie westchnął – pamiętaj, że na trzeci musimy się rozstać na zawsze!

Porywczochwyła jego rękę i przycisnęła ją do ust.

– Na trzeci dzień! – zawołała dziwnie uroczystym głosem. – Masz rację, ojcze, masz rację! na trzeci dzień musimy się rozstać na zawsze!

Gdy wypowiadała te słowa, w oczach miała jakiś straszliwy wyraz, który przeniknął grozą duszę zakonnika. Znowu ucałowała jego dłoń, a potem raptownie wybiegła z izby.



Ambrozjo chętnie by przystał na obecność swego niebezpiecznego gościa, świadom był jednak, że pozostanie Matyldy wykraczało przeciw regułom zakonu, i serce jego stało się areną tysiąca zwalczających się namiętności. W końcu zdawało się, że przywiązanie do mniemanego Rosaria, dzięki wrodzonej gorącości natury Ambrozja, osiągnie niechybne zwycięstwo; ponieważ zaś jego charakter kształtowała pycha, ona przybyła w sukurs Matyldzie. Mnich wyrozumował sobie, iż nieporównanie większą zasługą było zwyciężenie pokusy niżli unikanie jej podszeptów, i mniemał, iż winien raczej weselić się, iż zyskał sposobność do wypróbowania stałości swojej cnoty. Święty Antoni oparł się wszelkim usidleniom pożądliwości cielesnej, dlaczego by więc i on nie mógł się im oprzeć. A poza tym, św. Antoni kuszony był przez szatana, który użył wszelkich forteli, by rozpalić namiętności świętego; mnichowi zagrażała tylko zwyczajna, śmiertelna niewiasta, płochliwa i skromna, która z nie mniejszą gorliwością lękała się pokusy.

– Tak – rzecze – niechże ta nieszczęśliwa zostanie; nie mam powodu lękać się jej obecności. Gdyby nawet moja cnotliwość okazała się zbyt słaba do odparcia pokusy, niewinność Matyldy osłoni mnie przed niebezpieczeństwem.

Ambrozjo miał się jeszcze dowiedzieć, że dla serca nie obznajomionego z występkiem jest on znacznie bardziej niebezpieczny, szczególnie gdy czai się pod maską zacności.

Poczuł, iż niemoc zupełnie go opuściła, tak że gdy ojciec Pablos odwiedził go znowu tego wieczora, opat prosił, by dozwolono mu następnego dnia opuścić komnatę. Przychylnono się do jego żądania. Matylda nie pojawiła się więcej tej nocy; przyszła jedynie w towarzystwie mnichów, gdy ci nadeszli wszyscy pospołu, by dowiedzieć się o zdrowie Ambrozja. Zdało się, iż mniemany Rosario lęka się rozmowy na osobności, i pozostał w izbie tylko kilka minut. Zakonnik spał wyśmienicie, lecz śniło mu się to samo co poprzedniej nocy, a wrażenia rozkoszy zmysłowych były jeszcze wyraźniejsze i bardziej lubie. Te same podniecające wizje przesuwały się przed jego oczyma: Matylda w całej swojej wspaniałej urodzie, gorąca, tkliwa i namiętna, przyciskała go do łona, darząc najżarliwszymi pieścizotami. Odwzajemniał się jej równie zapamiętale i już miał zadowolić swą żądzę, gdy zwodnicze kształty zniknęły, pozostawiając go na pastwę straszliwego wstydu i rozczarowania.

Zaświtało. Zmęczony, udręczony i wyczerpany swymi drażniącymi snami, nie czuł się na siłach, aby opuścić łożę. Wymówił się od pójścia na jutrznię; był to pierwszy ranek w jego życiu, w którym nie był na niej obecny. Wstał późno i w ciągu całego dnia nie miał czasu porozmawiać z Matyldą bez świadków: cela roiła się od mnichów, którzy troskliwie zapewniali go o swoim niepokojem z racji jego choroby, i wciąż zatrudniony był przyjmowaniem ich powinszowań z okazji wyzdrowienia, gdy wreszcie dzwon wezwał ich do refektarza.

Po obiedzie mnisi rozeszli się i rozproszyli po rozmaitych zakątkach ogrodu, gdzie cień drzew lub zacisze grotty umożliwiłyby im w najprzyjemniejszy sposób przepędzić sjęstę. Opat skierował kroki ku pustelni; jedno jego wejrzenie zachęciło Matyldę, by mu towarzyszyła. Usłuchała i w milczeniu podążyła za mnichem. Weszli do chatki i usiedli; oboje wydawali się niezbyt chętni do rozpoczęcia rozmowy i obojgu zdało się ciężać wzajemne zaambarasowanie. W końcu opat rozpoczął rozmowę; prawił na obojętne tematy i Matylda odpowiadała mu w tym samym tonie; zdało się, iż stara się, aby Ambrozjo zapomniął, iż siedząca przed nim postać nie jest Rosariem. Żadne z nich nie ważyło się, lub raczej nie pragnęło, wspominać o sprawie, która najwięcej leżała im na sercu.

Widać było, że Matylda przymusza się do wesołości; na duszy ciążył jej niepokój, gdy zaś przemawiała, to tylko cichym i słabym głósikiem. Zdawało się, iż pragnie skończyć rozmowę, która ją wprawia w zakłopotanie, i uskarżając się na jakąś słabość, poprosiła, by Ambrozjo zezwolił jej na powrót do opactwa.

Towarzyszył jej do drzwi celi, a gdy tam doszli, zatrzymał się i oznajmił, iż zgadza się, by

nadal pozostawała towarzyszką jego samotności, tak długo, jak się jej będzie podobało.

Usłyszawszy tę nowinę, nie okazała żadnej radości, choć poprzedniego dnia tak gorąco pragnęła uzyskać owo przyzwolenie.

Niestety, ojciec – rzekła, żałośnie potrząsając głową – twoja łaskawość przychodzi za późno. Zguba moja jest już przypieczętowana; musimy się rozstać na zawsze. Wierzaj mi jednak, iż wdzięczna ci jestem za twoją wspaniałomyślność, za litość, jaką okazujesz nieszczęśliwej, która tak mało na to zasługuje.

Przyłożyła chustkę do oczu; kaptur tylko na poły zasłaniał jej twarz. Ambrozjo zoczył, iż była blada, oczy zaś miała podkrążone i sennie.

– Dobry Boże! – zawołał – jesteś ciężko chora, Matyldo; natychmiast przyślę ci ojca Pablosa.

– Nie, nie czyń tego, panie; jestem chora, to prawda, ale on nie może uleczyć mojej słabości. Zegnaj, ojciec! Pomnij na mnie jutro w twoich modlitwach, podczas gdy ja wspomnę o tobie w niebie.

Weszła do celi i zamknęła drzwi. Przełożony, nie zwlekając ani chwili, posłał do niej lekarza i niecierpliwie oczekiwał jego relacji; lecz ojciec Pablos rychło powrócił, oznajmiając, iż próżno się fatygował. Rosario nie chciał go wpuścić i stanowczo odrzucił zaoferowaną mu pomoc. Wieść ta wzbudziła w Ambrozju niemały niepokój; postanowił jednak zastosować się tej nocy do woli Matyldy, a gdyby do rana stan jej się nie poprawił, gotów był zmusić ją do zasięgnięcia porady ojca Pablosa.

Nie czuł chęci do spania; otworzył okiennice i spoglądał na księżycową poświatę, odbijającą się migotliwie w małym strumyku, który opływał mury opactwa. Chłodny nocny wietrzyk i kojąca cisza wieczoru napełniły smutkiem umysł zakonnika. Rozmyślał o piękności i miłości Matyldy, o rozkoszach, jakie mogliby ze sobą dzielić, gdyby nie krępowały go więzy zakonne. Rozważał, iż miłość Matyldy ku niemu, nie poparta nadzieją, nie może trwać długo, że niechybnie uda się jej ugasić te płomienie i poszuka szczęścia w ramionach kogoś, komu bardziej sprzyjają losy. Wstrząsnął się na myśl o pustce, jaką pozostawi w jego sercu nieobecność Matyldy; spojrzął ze wstrętem na monotonię klasztornego żywota i westchnął za owym światem, od którego na zawsze był oddzielony. Takie to były rozmyślenia, które przerwało głośnie pukanie do drzwi. Zegar na wieży kościelnej wybił właśnie drugą godzinę. Opat pospieszył, by zapytać o przyczynę zamięcenia nocnego spoczynku. Otworzył drzwi celi i ukazał się w nich braciszek zakonny, którego wygląd zdradzał pośpiech i zmieszanie.

– Biegnij, wielbny ojciec! – rzecze. – Spiesz do młodego Rosaria; gorąco pragnie cię oglądać, a leży już na łożu śmierci.

– Miłosierny Boże! gdzie jest ojciec Pablos? Dlaczego nie przy nim? O! lękam się, lękam...

Ojciec Pablos już go oglądał, ale na nic zdadzą się arkana lekarskiej sztuki. Powiada, iż podejrzewa, że młodziak został otruty.

– Otruty! Och, nieszczęsny! Jest więc tak, jak przypuszczałem! Ale nie traćmy ani minuty, może będzie jeszcze czas, by go ocalić.

Rzekłszy to, chyżo podążył do celi nowicjusza. W izbie zebrało się już kilku mnichów; jednym z nich był ojciec Pablos, który trzymał w ręce jakieś lekarstwo, usiłując namówić Rosaria do przełknięcia medykamentu. Inni zakonnicy podziwiali cudne oblicze pacjenta, które ujrzeli w tej chwili po raz pierwszy. Matylda wyglądała nadobniej niżli zazwyczaj: nie była już blada i zmizerowana; policzki zakwitły żywym rumieńcem, z oczu bił spokój i ukontentowanie, twarz zaś wyrażała ufność i rezygnację.

– Och! nie dręczcie mnie więcej! – mówiła właśnie do Pablosa, gdy przerażony

Ambrozjo wbiegł raptownie do celi. – Twoja biegłość niezdolna jest uleczyć mojej słabości i nie pragnę, by mnie z niej uleczono. – A postrzegając Ambrozja, zawołała: – Otóż i on; oglądałam go jeszcze raz, zanim się rozstaniemy na zawsze! Opuśćcie mnie, bracia, bo wiele mam do powiedzenia na osobności temu świętemu człowiekowi.

Mnisi natychmiast odeszli i Matylda pozostała sama z opatem.

– Cóżżeś, uczyniła, nieopatrzna niewiasto? – wykrzyknął Ambrozjo, skoro tylko zostali sami. – Powiedz mi, czy słuszne są moje podejrzenia? Naprawdę mam cię utracić? Czy własna ręka stała się przyczyną twojej śmierci?

Uśmiechnęła się i pochwyciła jego dłoń.

– W czymże byłam tak nieopatrzna, ojcze? Poświęciłam kamyczek, a ocaliłam diament. Moja śmierć zachowuje życie cenne dla świata i droższe mi niżli moje własne. Tak, ojcze, jestem otruta, ale wiedz, że ta sama trucizna krążyła przedtem w twoich żyłach.

– Matyldo!

– To, co ci mówię, postanowiłam wyjawić ci tylko na łożu śmierci; teraz nadeszła ta chwila. Nie mogłeś przecie zapomnieć o owym dniu, w którym twoje życie wisiało na włosku wskutek ukąszenia węża. Lekarz odstąpił cię oznajmiając, iż nie zna sposobu na usunięcie jadu. Wiedziałam tylko o jedynym sposobie i nie zawahałam się ani chwili przed jego użyciem. Zostawili nas samych; spałeś; odwinęłam bandaż z ręki, scałowałam ranę i ustami wysssałam truciznę. Skutki przeszły moje oczekiwania. W sercu czuję już śmiertelny chłód; jeszcze godzina i znajdę się na lepszym świecie.

– Wszchemocny Boże! – wykrzyknął opat i nieomal bez życia osunął się na łożo.

Po kilku chwilach poderwał się raptownie i spojrzał na Matyldę z obłądną rozpaczą.

– I ty się dla mnie poświęciłaś! Umierasz, i to umierasz, aby zachować życie Ambrozja! Czy naprawdę nie ma na to żadnego lekarstwa, Matyldo! Czy naprawdę nie ma żadnej nadziei! Przemów do mnie, och! przemów! Rzeknij mi, że masz jeszcze jakieś sposoby utrzymania się przy życiu!

– Pocziesz się, mój jedyny przyjacielu! Tak, są jeszcze w mojej mocy sposoby zachowania życia, ale nie odważę się ich użyć; są niebezpieczne i straszliwe! Nabyłabym życie za zbyt wysoką cenę... chyba iż wolno by mi było żyć tylko dla ciebie.

– A więc żyj dla mnie, Matyldo, dla mnie i mojej wdzięczności! – Chwycił jej dłoń i z uniesieniem przycisnął ją do ust. – Pomnij na naszą ostatnią rozmowę; przyzwałam teraz na wszystko. Wspomnij, w jak żywych barwach przedstawiłaś związek naszych dusz; niechże my właśnie wprowadzimy w czyn te zamysły. Zapomnijmy o różnicy płci, wzgardliwie odrzucmy uprzedzenia tego świata i uważajmy jedno drugie za brata i przyjaciela. Zachowaj więc życie, Matyldo, och, zachowaj je dla mnie!

– Nie wolno mi tego uczynić, Ambrozjo. Gdy tak myślałam, mamiałam zarówno ciebie, jak i siebie; albo muszę natychmiast oddać ducha, albo powoli zamierać z dolegliwej udreki nie zaspokojonych żądz. Och! od chwili gdyśmy ostatnio rozmawiali, straszliwa zasłona rozdarła się przed moimi oczyma. Nie miłuję cię już nabożnym uczuciem, jakim darzymy świętych, nie cenię cię już za przymioty duszy; pożądam twego ciała. Kobieta króluje w moim sercu i wydana zostałam na łup najdzikszej namiętności. Precz z przyjaźnią! To zimne i nieczułe słowo; serce moje płonie miłością, miłością bez granic, i tylko miłość może mi być zapłatą. Drzyj więc, Ambrozjo, drzyj przed wysłuchaniem twoich prośb! Jeśli będę żyć, twoja rzetelność, twoja dobra sława, twoja nagroda za życie przepędzone w cierpieniu – wszystko, co drogie twemu sercu, zostanie bezpowrotnie stracone. Nie będę dłużej zdolna ujarzmić moich namiętności; będę się chwycać każdej sposobności, by podniecać twą żądzę i zabiegać nad sprowadzeniem na ciebie i siebie niesławy. Nie, nie, Ambrozjo, nie wolno mi pozostać przy życiu; każda minuta

przekonuje mnie, iż mam tylko jedno jedyne wyjście! Każdym uderzeniem serca odczuwam, iż albo musisz należeć do mnie, albo zemrę.

– Dziwy, Matyldo! Czy to ty do mnie przemawiasz?

Poruszył się, jakby chcąc opuścić swe miejsce. Krzyknęła donośnie i na pół unosząc się na łożu zarzuciła mu ręce na szyję, aby powstrzymać go od odejścia.

– Och, nie opuszczaj mnie! Wysłuchaj pobłaźliwie moich grzechów; za kilka godzin już mnie nie będzie; jeszcze trochę, a uwolnię się od tej niechlubnej namiętności.

– Nieszczęsna kobieto, cóż ci mam odrzec? Nie mogę... nie wolno mi... ale zachowaj życie, Matyldo! zachowaj życie!

– Nie pojmujesz, o co prosisz. Jakże? mam żyć, by pogrzyźć się w niesławie, stać się narzędziem piekiel, sprowadzić zagładę na nas oboje? Połóż dłoń na tym sercu, mój ojciec.

Ujęła jego dłoń. Zmieszany, zawstydzony i jakby zaczarowany, nie cofnął ręki i poczuł, jak bije pod nią serce Matyldy.

– Dotknij tego serca, ojciec! Jak dotąd, jest ono siedliskiem honoru, prawdy i czystości; jeśli będzie jutro kołatać, zostanie niechybnie wydane na łup najgorszego z występków. O! dozwól mi umrzeć tej nocy! Dozwól mi umrzeć, dopóki jeszcze zasługuję na łzy ludzi poczciwych. Tak właśnie chcę oddać ducha! – wsparła główkę na ramieniu Ambrozja, a złote kędziory opadły na jego piersi. – Utulona w twoich ramionach, zapadnę w sen; twoja ręka zamknie mi oczy na zawsze, a twoje usta przyjmą moje ostatnie tchnienie. Czy od czasu do czasu nie zrosisz łzami mego grobu? Och, tak, tak, tak! Ten pocałunek jest mi zapewnieniem!

Była głęboka noc. Wokół panowała zupełna cisza. Mdły blask jednego kaganka padał na postać Matyldy i oświetlał izbę przyćmionym i tajemniczym światłem. W pobliżu kochanków nie było wścibskich oczu ani ciekawych uszu; słychać było tylko melodyjny głosik Matyldy. Ambrozjo był w pełnym rozkwicie męskości; widział przed sobą młodą i piękną kobietę, która ocaliła mu życie, która go uwielbiała i którą czułość dla niego przyprawiła niemal o śmierć. Siedział na jej łożu, rękę wspierał na jej piersi, głowa jej spoczywała miłośnie na jego ramieniu. Któż więc się może dziwić, iż uległ pokusie? Pijany żądzą, przycisnął usta do ust, które szukały jego warg, żar i namiętność jego pocałunków dorównały zapałom Matyldy. Porwał ją z uniesieniem w ramiona; nie pamiętał o swoich ślubach, swojej świętości i dobrej sławie, pomny jeno na rozkosz i sposobną chwilę.

– Ambrozjo! Och, mój Ambrozjo! – westchnęła Matylda.

– Twój, na wieki twój – wyszeptał mnich i osunął się na jej łono.

<sup>[1]</sup> Mniemają, że wąż *cientipecloro* pochodzi z Kuby i przywieziony został z tej wyspy na okręcie Kolumba.

<sup>[2]</sup> Straż tylna wojsk Karola Wielkiego, powracających z Hiszpanii, stoczyła tu w roku 778 bitwę z Baskami, którzy zdradziecko napadli Franków w górskim wąwozie i zadali im straszliwą klęskę.

## Rozdział III

*To są owe lotry,*

*Których się wszyscy podróżni tak boją.*

*Są szlachtą niektórzy,*

*Dzikimi szaty bezząrdnej młodości*

*Wyparci z koła poważanych ludzi.*

Szekspir, „Dwaj panowie z Werony”, IV, 1, 4-5  
(przekł. S. Koźmiana).



Markiz wraz z Lorenzem szli w milczeniu w stronę pałacu. Pierwszy zajęty był przypominaniem sobie wszelkich okoliczności, których relacja mogłaby przedstawić Lorenzowi w jak najkorzystniejszym świetle jego związek z Agnes, drugi, słusznie zaniepokojony o honor swojej rodziny, czuł się zaambarasowany obecnością markiza. Przygoda, której Lorenzo był właśnie świadkiem, nie dozwalała mu traktować markiza jako przyjaciela, a ponieważ interesy Antonii powierzono jego pośrednictwu, widział, iż niepolitycznie jest traktować go jak wroga. Z owych rozmyślań wysnuł wniosek, iż zupełne milczenie będzie tu najmądrzejszą strategią, i niecierpliwie czekał na wyjaśnienia don Rajmonda.

Doszli do pałacu de Las Cisternas. Markiz natychmiast zaprowadził Lorenza do swego apartamentu i począł wyrażać zadowolenie z oglądania go w Madrycie. Lorenzo przerwał jego słowa.

– Wybacz mi, panie – rzekł z wyniosłą miną – jeśli nieco chłodno odpowiem na zapewnienia o twoich względach. Chodzi o sprawę, w którą wmieszany jest honor mojej siostry; póki tego nie załatwimy i nie wyjawisz mi treści twojej korespondencji z Agnes, nie mogę uważać cię za przyjaciela. Chętnie usłuszę, co oznacza twoje postępowanie, i żywię nadzieję, że nie będziesz zwlekał z przyobiecany mi wyjaśnieniem.

– Przede wszystkim daj mi słowo, iż wysłuchasz mnie cierpliwie i z pobłażaniem.

– Nazbyt Kocham siostrę, aby ją surowo osądzać i do tej pory nie miałem tak drogiego memu sercu przyjaciela jak ty, Rajmondzie. Wyznam jeszcze, że właśnie ty możesz mi się teraz przysłużyć w pewnej sprawie, która mi bardzo leży na sercu, i tym goręcej pragnę przekonać się, iż jeszcze zasługujesz na mój szacunek.

– Lorenzo, niezmiernie mnie tym uradowałeś! Nie mogła mnie spotkać większa przyjemność niżli nadarzająca się okazja przysłużenia się bratu mojej Agnes.

– Przekonaj mnie, że mogę przyjąć twoje łaski bez ujemy dla mego honoru, a nie ma na świecie człowieka, wobec którego chętniej zaciągnąłbym długi wdzięczności.

– Przypuszczam, iż siostra wspomniała ci już o nazwisku Alfonsa d'Alvarada?

– Nigdy. Choć żywię dla Agnes szczery braterski afekt, okoliczności nie dozwoliły, byśmy się często widywali. Gdy była jeszcze dzieckiem, powierzono ją opiece ciotki, która poślubiła jakiegoś niemieckiego szlachcica. Agnes przebywała w jego zamku aż do chwili, gdy dwa lata temu wróciła do Hiszpanii z mocnym postanowieniem usunięcia się od świata.

– Dobry Boże! Wiedziałeś ojej intencjach, Lorenzo, i nie usiłowałeś jej tego wyperswadować?

– Opacznie mnie sądzisz, markizie; wiadomość ta dotarła do mnie w czasie pobytu w Neapolu i przyspieszyłem powrót do Madrytu po to tylko, aby przeszkodzić poświęceniu się Agnes służbie bożej. Natychmiast po przyjeździe pobiegłem do klasztoru klarysek, który Agnes obrała za miejsce swego nowicjatu. Zażądałem widzenia z siostrą. Pojmij, jak się zdziwiłem, gdy mi przesłała odmowną odpowiedź. Oświadczyła stanowczo, iż lęka się mego wpływu na swą decyzję i nie odważy się na widzenie ze mną aż do dnia poprzedzającego jej obłóczyny. Błagałem zakonnice; upierałem się, iż muszę ją oglądać, i nie wahałem się wyjawic moich podejrzeń, iż trzymają ją ode mnie z daleka wbrew jej woli. Aby uwolnić się od zarzutów, iż Agnes zadawano gwałt, przeorysza przyniosła mi parę słów, skreślonych dobrze znanym mi pismem mojej siostry, w którym to liście powtarzała daną mi już uprzednio odpowiedź. Wszystkie dalsze wysiłki dla uzyskania krótkiej rozmowy były równie bezowocne jak pierwsza próba. Agnes pozostała nieugięta i nie dozwolono mi jej oglądać aż do dnia poprzedzającego ranek, w którym wstępowała do klasztoru, by nigdy go nie opuścić. Widzenie miało miejsce w obecności najbliższych krewnych. Oglądałem ją po raz pierwszy od czasów dzieciństwa i było to niezmiernie wzruszające spotkanie; rzuciła mi się w ramiona, całowała mnie i gorzko płakała. Użyłem wszelkich możliwych argumentów – łzami, prośbami, na klęczkach usiłowałem odwieść ją od jej zamiarów. Przedstawiłem jej wszelkie trudy klasztornej służby; odmalowałem przed jej wyobraźnią wszelkie przyjemności, których się miała wyrzec, i zaklinałem ją, by wyznała mi, co napełniło ją takim obrzydzeniem do świata. Przy ostatnim pytaniu pobladła i zaczęła ronić łzy jeszcze bardziej rzęsiste. Prosiła, bym nie naciskał na nią, jeśli chodzi o tę sprawę, starczy, powiadała, iż wiem, jak nieodwołalne jest jej postanowienie, i że klasztor jest teraz jedynym miejscem, w którym spodziewać się może spokojności. Wytrwała w swoim zamiarze i złożyła śluby. Często odwiedzałem ją u kraty w rozmównicy i każda chwila, jaką z nią spędziłem, dawała mi bardziej odczuć dotkliwość mojej straty. Niedługo potem musiałem opuścić Madryt; wróciłem dopiero wczoraj wieczorem i jeszcze nie miałem czasu odwiedzić klasztoru klarysek.

– A więc, dopóki ci o nim nie wspomniałem, nigdyś nie słyszał imienia Alfonsa d'Alvarada?

– Daruj; ciotka napisała mi kilka słów, że jakiś awanturnik tego imienia znalazł sposoby, by zyskać zaproszenie na zamek w Lindenbergu, że wkraść się w łaski mojej siostry i że nawet zgodziła się z nim uciec. Zanim jednak wprowadził w czyn swoje zamysły, odkrył, że majątku, które jak mniemał, posiadała Agnes na Hiszpanioli<sup>[1]</sup>, należą w rzeczywistości do mnie. Owa wiadomość sprawiła, iż odmienił swoje intencje; zniknął w sam dzień projektowanej

ucieczki, a Agnes, zdesperowana jego przewrotnością i chciwością, postanowiła zamknąć się w klasztorze. Ciotka nadmieniła również, że ponieważ ów awanturnik podawał się za mojego przyjaciela, chciałaby wiedzieć, czy mi coś o nim wiadomo. Odpowiedziałem przecząco. Nie miałem zgoła wyobrażenia, że Alfonso d'Alvarada i markiz de Las Cisternas są jedną i tą samą osobą; to, co mi napisano o pierwszym, w żaden sposób nie zgadzało się z tym, co wiedziałem o drugim.

– Łacno rozpoznaję w tym przewrotny charakter *donny* Rodolffy. Każde słowo owej relacji przypieczone jest dowodami jej kłamstwa i złośliwego oczerniania tych, którym pragnie zaszkodzić. Przebac mi, Medino, że mówię tak otwarcie o twojej krewniczce. Krzywda, jaką mi zadała, usprawiedliwia moją urażę; gdy usłyszysz moją historię, przekonasz się, że słowa te nie były nazbyt surowe.

Tu rozpoczął swoją opowieść.

Historia don Rajmonda

Markiza De Las Clsternas

– Długie doświadczenie, mój miły Lorenzo, przekonało mnie o wielkiej szlachetności twojej natury. Skoro tylko oświadczyłeś, że nic ci nie wiadomo o przygodach siostry, zaraz powziąłem podejrzenie, iż umyślnie je przed tobą zatajono. Gdyby wcześniej doszły do twoich uszu, ilu to nieszczęść uniknęlibyśmy oboje ja i Agnes! Losy zrzędziły inaczej. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Agnes, ty byłeś właśnie w podróży, a ponieważ nasi wrogowie zatroszczyli się, by ukryć przed nią, gdzie się obracasz, nie mogła żadną miarą błagać cię w liście o opiekę i dobrą radę.

Opuściwszy Salamankę, gdzie, jak potem słyszałem, ty pozostałeś jeszcze przez rok w uniwersytecie już po moim odjeździe, natychmiast puściłem się w podróż. Ojciec zaopatrzył mnie hojną ręką w pieniądze, lecz uparł się, bym zataił swój stan i występował tylko jako zwyczajny szlachcic. Wydał ten rozkaz z porady swego przyjaciela, księcia Yilla Hennosa, dla którego talentów i znajomości świata zawsze żywiłem najgłębszy szacunek.

– Wierzaj mi, mój drogi Rajmondzie – powiedział książę – że później dopiero odczujesz korzyści płynące z owego chwilowego poniżenia. Prawda to, że jako markiza de Las Cisternas przyjmowano by cię z otwartymi ramionami i twoja młodzieńcza próżność czułaby się pochlebiona z racji wyświadcanych ci ze wszystkich stron uprzejmości. Teraz wiele zawisło tylko od ciebie; masz znakomite rekomendacje, ale ty sam musisz się zatroszczyć, by ci się stały użyteczne. Musisz zabiegać o to, aby się przypodobać, musisz potrudzić się, by zyskać aprobatę tych, którym się zaprezentujesz. Ci, którzy zabiegaliby o przyjaźń markiza de Las Cisternas, nie będą skorzy do dopatrywania się zalet czy cierpliwego znoszenia błędów Alfonsa d'Alvarada. Skutkiem tego, gdy spostrzeżesz, żeś jest naprawdę lubiany, możesz bez wahania przypisać to twoim dobrym przymiotom, a nie tytułom, zaś okazane ci wyróżnienie będzie nieskończenie bardziej pochlebne. Poza tym wysokie urodzenie nie dozwoliłoby ci zadawać się z niższymi klasami społeczeństwa, co teraz będziesz mógł uczynić i z czego, wedle mego mniemania, wyciągniesz znaczne korzyści. Nie ograniczaj się do znamienitych przedstawicieli krajów, przez które będziesz przejeżdżał. Badaj zwyczaje i obyczaje pospółstwa; wstąp do wieśniaczej chaty, a przyjrawszy się, jak traktowani są poddani u cudzoziemców, naucz się, jak ująć ciężaru i przydać wygody twoim własnym ludziom. Wedle mojego mniemania o pożytkach, jakie młodzieniec przeznaczony do korzystania z władzy i bogactwa winien wynieść z podróży, utrzymuję, iż nie powinien on lekceważyć sposobności zadawania się z ludźmi niższego stanu i obejrzenia na własne oczy nędzy pospółstwa.

Wybacz, Lorenzo, jeśli moja opowieść wyda ci się nieco nużąca; łączy nas teraz bliskie powinowactwo i pragnę, abyś znał każdy szczegół mojego życia. W obawie, abym nie opuścił najmniejszej okoliczności, która by skłoniła cię do przychylnego mniemania o twojej siostrze i o mnie, opowiem ci zapewne wiele przypadków, które uznasz za niewarte wspomnienia.

Poszedłem za radą księcia i rychło przekonałem się o jego mądrości. Opuściłem Hiszpanię pod przybranym nazwiskiem Alfonsa d'Alvarada i w towarzystwie jednego tylko sługi wypróbowanej wierności. Najpierw stanąłem w Paryżu. Przez niejaki czas zachwyciło mnie to miasto tak, jak zaiste musi zachwycić każdego człeka młodego, bogatego i łasego na przyjemności. Jednakże pośród owych wszelakich uciech czułem, iż czegoś nie dostaje mojemu sercu; obrzydła mi ta cała swawola; postrzegłem, iż ludzie, wśród których żyłem i których maniery były tak gładkie i chwytające za serce, są w gruncie rzeczy lekkomyślni, nieczuli i nieszczerzy. Ze wstrętem odwróciłem się od mieszkańców Paryża i opuściłem ów teatr rozpusty, nie dobywszy z piersi ani jednego westchnienia żalu.

Skierowałem się teraz w stronę Niemiec, mając zamiar odwiedzenia prawie wszystkich znaczniejszych dworów. Chciałem jednak przed owym wojażem zatrzymać się na kilka dni w Strasburgu. Wsiadając z mojej kolaski w Luneville, aby coś przekąsić, spostrzegłem wspaniały ekwipaż z czterema sługami w dostatnich liberiach, który czekał przed drzwiami „Srebrnego Lwa”. Wkrótce potem, gdy wyzierałem przez okno, zobaczyłem damę szlachetnej postaci, a za nią dwie towarzyszące jej niewiasty wsiadające do powozu, który natychmiast odjechał.

Zapytałem gospodarza, kim była owa dama, która właśnie opuściła gospodę.

– To niemiecka baronowa, monsieur, pani znakomitego stanu i znacznych majątności; jak mi powiadał jej służący, była w odwiedzinach u księżnej Longueville. Jedzie teraz do Strasburga, gdzie spotka się z małżonkiem, a potem oboje wrócą do swego zamku w Niemczech.

Puściłem się w dalszą drogę, mając zamiar jeszcze tej nocy stanąć w Strasburgu. Złamanie koła w kolasce udaremniło jednakże moje nadzieje. Wypadek przydarzył się pośrodku gęstego boru i niemało trapiłem się, co z sobą dalej począć. Było w pełni zimy; nadciągała noc, a Strasburg, będący najbliższym miastem, odległy był jeszcze od nas o kilka mil. Wydawało mi się, iż jeśli nie chcę spędzić nocy w lesie, pozostało mi tylko dosiąść konia mojego sługi i jechać do Strasburga; niezbyt miłe przedsięwzięcie w owej porze roku. Nie widząc wszelako innego sposobu wydobywania się z kłopotu, musiałem zdecydować się na tę jazdę. Oznajmiłem mój zamiar woźnicy obiecując, że skoro tylko znajdę się w Strasburgu, przyślę mu ludzi na pomoc. Nie ufałem zbyt jego poczciwości, ale Stefano był dobrze uzbrojony, a woźnica wyraźnie wyglądał na człowieka już dobrze podeszłego w latach i mniemałem, iż nie narażę się na utratę mojego dobytku.

Szczyściem dla mnie, jak sobie wtedy pomyślałem, trafiła się okazja, by spędzić noc znośniej, niżeli przypuszczałem. Gdy wspomniałem, iż mam zamiar jechać sam do Strasburga, pocztylion pokręcił głową z dezaprobatą.

– Długa to droga – rzecze. – Zobaczysz, panie, iż niełatwo ci przyjdzie dotrzeć do miasta bez przewodnika. Poza tym, monsieur zda się nienawykły do srogiej pory roku i może się łatwo zdarzyć, iż nie zdoła wytrzymać tego przenikliwego zimna...

– Po cóż prawić mi tutaj o owych wszystkich przeszkodach? – rzekłem niecierpliwie, przerywając jego gadaninę. – Nie mam innego wyjścia; wystawię się na jeszcze gorsze niebezpieczeństwo, bo zamrznę na śmierć spędziwszy noc w tym lesie.

– Spędziwszy noc w lesie? – odparł pocztylion. – Och, na świętego Dionizego! jeszcześmy, jak dotąd, nie popadli aż w takie tarapaty. Jeśli się nie mylę, jesteście zaledwie pięć minut drogi piechotą od chaty mojego starego przyjaciela, Baptysty; jest drwalem i bardzo zacny



z niego człowiek. Nie wątpię, że chętnie użyczy nam na tę noc dachu nad głową. Tymczasem ja mogę wziąć osiodłanego konia, pojechać do Strasburga i wrócić o świcie z ludźmi do naprawienia kolasy.

– Na miłość boską! – rzekłem. – Jakże mogłeś trzymać mnie tak długo w niepewności? Dlaczego wcześniej nie powiedziałeś mi nic o tej chałupie? Cóż to za straszliwy gamoń!

– Myślałem, że może monsieur nie raczy przyjąć...

– Brednie! No, no; nie gadaj więcej, ale prowadź bez zwłoki do chaty drwała.

Posłuchał i ruszyliśmy naprzód; koniom udało się, choć z trudem, ciągnąć za nami rozbity wehikuł. Mojemu słudze nieomal odebrało mowę, a nim dotarliśmy do upragnionej chaty, ja również począłem odczuwać skutki przemarznięcia. Był to mały, ale schludny budynek; gdyśmy się doń przybliżali, radowałem się postrzegając przez okno blask tęgiego ognia na kominie. Nasz przewodnik zapukał do drzwi; minęło sporo czasu, nim odpowiedziano na nasze kołatanie; mieszkańcy chaty wahali się zapewne, czy mają nas wpuścić.

– Nuże, nuże, przyjacielu Baptysto! – zawołał niecierpliwie woźnica. – Cóż tam robicie? Czyście się pospali? A może chcecie odmówić noclegu szlachcicowi, któremu właśnie złamała się w lesie kolasa?

– Ach! to ty, zacny Klaudiuszu? – odparł ze środka męski głos. – Poczekajcie chwilę, a zaraz wam otworzymy.

Powiadając to wpuścił mnie do izby, w której uprzednio widziałem ogień. Natychmiast usadowiono mnie w fotelu stojącym blisko paleniska. Niewiasta, która, jak mniemałem, była żoną mojego gospodarza, wstała z zydlu na moje przybycie i przyjęła mnie niedbałym i wyniosłym ukłonem. Nie odpowiedziała na moje pozdrowienie, ale natychmiast usiadła na powrót i zabrała się do porzuconej roboty. Zachowanie jej małżonka było tyleż przyjacielskie, co jej szorstkie i odpychające.

– Życzyłbym sobie, abym cię mógł wygodniej pomieścić pod moim dachem, monsieur – rzecze – ale nie możemy pochwalić się wielu wolnymi miejscami w tej budzie. Myślę jednak, iż jakoś sobie poradzimy, by dać jedną izbę tobie, panie, a drugą twojemu słudze. Będiesz się musiał zadowolić marną strawą, lecz, wierzaj, że z serca cię zapraszamy. – A potem, zwracając się do żony, rzecze: – Cóż to? siedzisz sobie, Małgorzato, tak spokojnie, jakbyś nie miała nic lepszego do roboty! Ruszaj się, stara! ruszaj! Zrób coś na kolację, przygotuj jakieś poślanie. Nuże, nuże! dorzuć kilka polan do ognia, bo jegomość zda się zmarznięty na kość.

Zona spiesznie rzuciła na stół robotę i z wszelkimi objawami niechęci zabrała się do wykonania rozkazów małżonka. Od pierwszego wejrzenia nie przypadł mi do gustu jej wygląd, a jednak, biorąc w ogólności, twarz miała bez wątpienia wcale udatną; cera za to była ziemista, postać zaś nikła i chuderława. Jakaś chmurność i ponurość malowały się na jej obliczu, które nosiło tak widoczne oznaki zaciętości i złośliwości, iż musiał je dojrzeć nawet najbardziej niespostrzegawczy obserwator. Każde wejrzenie i każdy ruch Małgorzaty wyrażały niezadowolenie i niecierpliwość, a odpowiedzi dawane Baptyście, gdy ten czynił jej żartobliwe przymówki z racji jej krzywej miny, były cierpkie i cięte. Skutkiem tego powziąłem ku niej od pierwszego wejrzenia wstręt równy sympatii, jaką żywiłem dla jej małżonka, który samym swoim wyglądem wzbudzał szacunek i zaufanie. Oblicze miał otwarte, szczerze i przyjacielskie, w obyczajach przejawiała się cała chłopska rzetelność, nie zdradzał jednakże nieokrzesania. Policzki miał nieco wystające, pełne i czerstwe, a jego krzepka postać zdawała się być pełnym zadośćuczynieniem chuderłowości małżonki. Ze zmarszczek na czole osądziłem, że ma ponad sześćdziesiątkę, ale dobrze się trzymał jak na swoje lata i wydawał się jeszcze czerstwy i krzepki. Żona nie mogła mieć więcej jak lat trzydzieści, lecz duchem i usposobieniem była znacznie starsza od małżonka.

Mimo niechęci i ociągania się Małgorzata poczęła jednak przygotowywać wieczerzę, podczas gdy drwał wesoło rozprawiał na różne tematy. Pocztylion, zaopatrzony w butelkę gorzałki, gotów był wyruszyć do Strasburga i zapytywał, czy nie mam jakichś dalszych rozkazów.

– Do Strasburga? – przerwał Baptysta. – Chyba nie jedziesz tam dzisiejszej nocy?

– Za przeproszeniem! Jeśli nie sprowadzę ludzi do naprawy kolaski, jakże monsieur wyruszy jutro w dalszą drogę?

Prawdę mówisz, zapomniałem o kolasie. Ale, ale, Klaudiuszu, mógłbyś przynajmniej zjeść tu kolację. Zabrałoby ci to niewiele czasu, a monsieur, jak widać, zbyt dobre ma serce, aby wysyłać cię z pustym żołądkiem w taką noc i trzaskający mróz, jaki dziś mamy.

Chętnie na to przystałem, oświadczając woźnicy, że zgoła mi nie robi różnicy, czy przybędę jutro do Strasburga o parę godzin później. Podziękował mi, a potem wyszedłszy z domku wraz ze Stefano, zaprowadził konie do stajni. Baptysta odprowadził ich do drzwi i niespokojnie wyrżał na dwór.

– A to ostry i przenikliwy wiatr – rzecze. – Ciekaw jestem, co zatrzymało tak długo moich chłopców! Monsieur, pokażę ci dwóch najtęższych chłopaków, jacy kiedykolwiek chodzili po tym świecie; starszy ma dwadzieścia trzy lata, drugi zaś jest o rok młodszy; na pięćdziesiąt mil wokół Strasburga nie znajdzie się nikt, kto by im dorównał rozumem, odwagą i pracowitością. Oby już byli z powrotem! Zaczynam się o nich frasować.

Małgorzata była właśnie zajęta rozkładaniem obrusa.

– A ty czy również wyglądasz powrotu synów? – rzekłem do niej.

– Ani mi to w głowie – odparta gderliwie. – To nie moje dzieci.

– No, no, Małgorzato! – rzekł mąż – nie bądźże krzywa na jegomościa, który zadaje ci zwyczajne pytania. Gdybyś nie była taka skwaszona, nikt by nie pomyślał, że mogłabyś mieć dwudziestoletniego syna; widzisz przecie, ile lat dodaje ci twój zły humor! Wybacz, panie, gburowatość mojej żony; byle co wyprowadzają z równowagi i niezbyt jest kontenta, boś nie pomyślał, że ma poniżej trzydziestki. O to ci przecie chodzi, Małgorzato? Wiadomo ci, monsieur, że wiek to delikatna materia, jeśli idzie o niewiasty. No, no, Małgorzato, rozchmurz się trochę. Jeśli nawet nie masz takich synów, to będziesz ich miała za dwadzieścia lat i tuszę, że dożyjemy tej chwili, by widzieć ich takimi właśnie młodzikami, jak Jacek i Robert.

Małgorzata gwałtownie załamała ręce.

– Niechże Bóg broni! – rzekła. – Niechże Bóg broni! Gdybym tak mniemała, zadusiłabym ich własnymi rękami.

Spiesznie opuściła pokój i poszła na górę.

Nie mogłem powstrzymać się i powiedziałem drwałowi, jak wielce go żałuję, iż jest na całe życie przykuty do takiej sekutnicy.

– Ach, mój Boże! każdy, monsieur, ma swoje utrapienia, a Małgorzata mnie przypadła w udziale. Ale mimo wszystko jest ona tylko opryskliwa, a nie złośliwa; najgorsze, że afekt dla dwojga dzieci z pierwszego męża sprawił, iż traktuje moich synów jak prawdziwa macocha; nie może ścierpieć ich widoku i z dobrej woli nie wpuściłaby ich na próg domu. Ale co do tego jestem stanowczy i nigdy nie pozwolę, by ostawić biednych chłopaków na łasce losu, o co mnie nieraz nagabywała. W każdej innej sprawie dozwalam żonie postępować wedle jej woli i, prawdę mówiąc, znakomita z niej gospodyni.

Gdyśmy tak gawędzili, rozmowę przerwało nam głośnie wołanie po lesie.

– Tuszę, że to moi synowie! – wykrzyknął drwał i pobiegł, by otworzyć drzwi.

Wołanie rozległo się raz jeszcze. Mogliśmy teraz posłyszeć stąpanie koni i wkrótce potem kareta w otoczeniu kilku jeźdźców zatrzymała się przed drzwiami chaty. Jeden z konnych

zapytał, jak daleko jeszcze do Strasburga, a ponieważ zwrócił się do mnie, podałem mu ilość mil, o jakiej uprzednio wzmiankował Klaudiusz; na tę wiadomość grad przekleństw posypał się na głowy woźniców za zmylenie drogi. Powiadomiono osoby siedzące w karecie o odległości od Strasburga, a także, że konie są tak zmęczone, iż nie zdołają iść dalej. Jakaś dama, która wydawała się tu główną personą, strapiła się wielce tą wiadomością, ale że nic tu nie można było zaradzić, jeden z towarzyszących jej ludzi zapytał drwala, czy mógłby im udzielić na dzisiejszą noc dachu nad głową.

Baptysta zdawał się bardzo zaambarasowany i odrzekł przecząco; dodał, iż pewien szlachcic hiszpański i jego sługa już zajęli jedyne wolne izby w domu. Gdy to posłyszałem, wrodzona mojemu narodowi grzeczność nie dozwoliła mi, bym sam cieszył się tymi wygodami, których zabrakło niewieście. Natychmiast dałem drwalowi do zrozumienia, iż przekazuję owej damie moje prawo pierwszeństwa; Baptysta począł czynić jakieś obiekcje, lecz przełamałem je, a pospieszywszy do powozu, otworzyłem drzwiczki karety i pomogłem wysiąść nieznamomej damie. Natychmiast poznałem w niej tę samą osobę, którą widziałem w gospodzie w Luneville. W sposobnej chwili spytałem jednego z jej świty, jak się owa dama nazywa.

– Baronowa Lindenberg – odpowiedziano.

Nie sposób było nie zauważyć, jak zgoła inaczej niżli mnie przyjął nasz gospodarz nowych przybyszów. Twarz jego dobitnie wyrażała wahanie, czy ma ich wpuścić, i z trudem przemógł się, aby rzec damie, iż rad ją widzi w swoim domu. Wprowadziłem baronową do środka i usadowiłem w fotelu, który przed chwilą zajmowałem. Podziękowała mi bardzo łaskawie i po wielekroć usprawiedliwiała się z narażenia mnie na niewygodę. Nagle oblicze drwala rozjaśniło się.

– Nareszcie sobie wszystko umyśliłem! – rzecze przerywając przeprosiny damy. – Mogę pomieścić ciebie i twoją świtę, pani, a przecie nie będziesz zmuszona skazywać jegomościa, by cierpiał za swoją uprzejmość. Mamy dwie wolne izby, jedną dla damy, a drugą, monsieur, dla ciebie; moja żona odda swoją komnatkę pannom służącym, co zaś do sług, to muszą zadowolić się przepędzeniem nocy w dużej stodole, która stoi o parę metrów od domu. Będą tam mieli tęgi ogień i damy im tak zacną wieczerzę, na jaką nas stać.

Dama wyraziła kilka słów wdzięczności, ja zaś swoje obiekcje, by Małgorzata nie pozbawiała się swego łóżka, po czym jednak zgodziliśmy się na takie załatwienie sprawy. A że pokój był mały, baronowa natychmiast odprawiła służących, Baptysta zaś miał właśnie odprowadzić ich do stodoły, o której wspomniał, gdy na progu chaty zjawili się dwaj młodzieńcy.

– Niech to piorun trzaśnie! – zawołał pierwszy z nich cofając się. – Robercie, dom pełen obcych ludzi!

– Ha! to moi synkowie! – wykrzyknął gospodarz. – Jakże to, Jacku! Robercie! dokąd to umykacie, chłopcy? I dla was znajdzie się tu jeszcze miejsce.

Po tym zapewnieniu młodzieńcy powrócili. Ojciec przedstawił ich baronowej i mnie, po czym wycofał się wraz z naszymi sługami, zaś Małgorzata, stosownie do życzenia panien służących baronowej, zaprowadziła je do pokoju przeznaczanego dla ich pani.

Dwaj przybysze byli młodzieńcami wysokimi, krzepkimi i dobrze zbudowanymi; twarze mieli surowe i bardzo ogorzałe od słońca. Powitali nas paroma słowami i przyjęli Klaudiusza, który właśnie wszedł do izby, jak starego znajomka. Potem odrzucili płaszcze, w które byli odziani, zdjęli skórzane pasy, przy których wisały potężne kordy, a każdy wyciągając po parze pistoletów z olster, kładł je na półce.

– Podróżujecie uzbrojeni po zęby – rzekłem.

– To prawda, monsieur – odparł Robert. – Późnośmy dziś wyjechali ze Strasburga, a trzeba uważać przejeżdżając przez te bory o zmroku; nie cieszą się zbyt dobrą sławą...

zapewniam was, panie.

– Co takiego? – rzekła baronowa. – Są tu w okolicy jakowś zbójcy?

– Tak powiadają, pani; co do mnie, to przejeżdżałem przez te lasy o każdej porze i nigdy żadnego nie spotkał.

W owej chwili powróciła Małgorzata. Pasierbowie odciągnęli ją na drugi koniec izby i coś jej szeptali przez kilka minut. Ze spojrzeń, jakie ku nam od czasu do czasu rzucali, wywnioskowałem, iż zapytywali, po cośmy się znaleźli w tym domu. Tymczasem baronowa wyraziła obawę, iż małżonek będzie się o nią srodze niepokoił. Miała zamiar wysłać jednego ze sług, by powiadomił barona o zwłoce w podróży, ale to, co rzekli młodzieńcy o owych lasach, udaremniło jej zamierzenia. Klaudiusz wybawił damę z kłopotu; powiadomił ją, że on musi dotrzeć do Strasburga tej nocy i jeśli powierzy mu list, może polegać na nim, iż go na pewno doręczy.

– A jak się to dzieje – rzekłem – że ty zgoła nie lękasz się spotkania z owymi zbójcami?

– Niestety, *monsieur*, biedny człowiek, obarczony liczną rodziną, nie może tracić pewnego zysku jeno dlatego, iż jest w tym trochę niebezpieczeństwa; może jaśnie wielmożny pan baron da mi parę szelągów za moje trudy, poza tym nie mam nic do stracenia prócz życia, to zaś niewarte jest zbójckiej fatygi.

Pomyślałem, że źle rozumię, i doradziłem mu, aby poczekał do rana, ale ponieważ baronowa mnie nie poparła, zmuszony byłem ustąpić. Baronowa Lindenberg, jakem się później przekonał, od dawna przyzwyczaiła się poświęcać interesy innych swoim własnym korzyściom i chęć wysłania Klaudiusza do Strasburga uczyniła ją ślepą na ryzyko tego przedsięwzięcia. Postanowiono tedy, iż Klaudiusz wyruszy bez zwłoki. Baronowa napisała do męża list, ja zaś wysłałem parę słów do mego bankiera, powiadamiając go, iż będę w Strasburgu dopiero nazajutrz. Klaudiusz wziął listy i opuścił chatę.

Dama oświadczyła, iż czuje się bardzo zmęczona podróżą; nie dość, że jechali z daleka, ale jeszcze przyszło im pobłądzić w lasach. Zwróciła się więc do Małgorzaty z życzeniem, by ta zaprowadziła ją do izby, gdzie by mogła wypocząć. Natychmiast przywołano jedną z panien służebnych; pojawiła się z kagankiem w ręce i baronowa udała się za nią na pięterko. Nakrywano do stołu w izbie, w której siedziałem, i Małgorzata rychło dała mi do zrozumienia, że jej zawadzam. Wyrzuciłem przeto życzenie, by jeden z młodzików zaprowadził mnie do izby, w której miałem nocować i gdzie mógłbym pozostać, póki wieczera nie będzie gotowa.

– Która to izba, matko? – spytał Robert.

– Ta z zielonymi zasłonami – odparła. – Właśnie się naharowałam, by ją doprowadzić do porządku i dałam na łóżko świeże prześcieradła; jeśli jegomość ma zamiar się po nich tarzać i taczać, to może je sobie na powrót sam pościelić zamiast mnie fatygować.

– W kwaśnym jesteście humorze, matko; ale to nie nowina. Bądź łaskaw, *monsieur*, iść za mną.

Otworzył drzwi i podążył ku wąskim schodkom.

– Nie masz sobie czym poświecić – rzekła Małgorzata. – Czy masz zamiar złamać swój kark, czy też jegomości?

Przeszła koło mnie i wsadziła świecę w rękę Roberta; ujął ją i począł wstępować na schody. Jacek zajęty był rozkładaniem obrusa i stał do mnie plecami. Małgorzata skorzystała z chwili, w której nikt na nas nie spoglądał; złapała mnie za rękę i mocno ścisnęła.

– Spójrzj na prześcieradła – powiedziała przechodząc mimo i natychmiast zabrała się do swojej poprzedniej roboty.

Zaskoczony jej nieoczekiwanym postępkim, stanąłem jak wryty. Wołanie Roberta, bym szedł za nim, wyrwało mnie z osłupienia. Wspiąłem się po schodkach. Przewodnik wprowadził

mnie do izby, w której na kominie paliły się jasnym płomieniem tęgie polana. Postawił światło na stole, zapytał, czy mam jakie życzenia, a gdy odpowiedziałem przecząco, zostawił mnie samego. Możesz być pewien, że w tej samej chwili, kiedy zostałem sam, usłuchałem rady Małgorzaty. Jakież było moje zdziwienie, moja groza, gdy postrzegłem, że prześcieradła są zbroczone krwią!

W okamgnieniu tysiące zmieszanych myśli przemknęło mi przez głowę. Zbójcy, którzy nawiedzali te lasy; okrzyk Małgorzaty, gdy mowa była o jej dzieciach; uzbrojenie i wygląd dwóch młodzieńców i rozmaite opowiadki, którym niegdyś słyszał o tajemnych konszachtach, jakie często utrzymywali między sobą bandyci i woźnice – wszystkie te okoliczności przemknęły mi przez myśl niby błyskawica i napełniły mnie zwątpieniem i złymi przecuciami. Jąłem usilnie rozmyślać nad jakimś sposobem przekonania się o prawdziwości moich przypuszczeń. Nagle zdałem sobie sprawę, że ktoś przechadza się szybko tam i z powrotem pod moim oknem. Wszystko wydało mi się teraz wielce podejrzanym. Ostrożnie zbliżyłem się do okna, które, jako że pokój był od dawna nie wietrzony, zostawiono mimo zimna otwarte. Odważyłem się wyjrzeć. Światło księżyca pozwoliło mi dojrzeć jakiegoś człowieka, w którym bez trudności rozpoznałem mojego gospodarza. Przechadzał się szparkim krokiem, a od czasu do czasu zatrzymywał się i zdawał nasłuchiwać; przytupywał i poklepywał się rękami po brzuchu, jakby dla rozgrzewki. Na najmniejszy hałas – gdy posłyszał jakiś odgłos na dole we wnętrzu domu, kiedy przeleciał koło niego nietoperz lub gdy wiatr zagrzechotał w nagich gałęziach – Baptysta wzdygał się i niespokojnie rozglądał dookoła.

– A niech go febra ściśnie! – rzekł w końcu, zniecierpliwiony do ostateczności. – Cóż on tam może robić?

Mówił cichym głosem, ale ponieważ stał tuż pod moim oknem, bez trudności rozróżniłem jego słowa.

Doszły mnie teraz kroki kogoś zbliżającego się do chaty. Baptysta podążył w kierunku ich odgłosu i spotkał się z jakimś człowiekiem; niska postać i róg zawieszony na szyi zdradziły mi mego wiernego Klaudiusza, który, jakem mniemał, był już w drodze do Strasburga. Przypuszczając, że ich rozmowa rzuci nieco światła na moją sytuację, spiesznie zakrzętałem się, by ich bezpiecznie podsłuchać. Zgasłem więc świecę, która stała na stole w pobliżu łóżka (płomień na kominie nie był na tyle jasny, aby mnie zdradzić), i natychmiast zająłem na powrót stanowisko przy oknie. Tuż pod nim ustawiły się osoby, będące przedmiotami mojej ciekawości. Przypuszczam, że gdy na krótko odsunąłem się od okna, drwał wyrzucił Klaudiuszowi opieszłość, bo gdy wróciłem na poprzednie miejsce, drugi gorliwie usprawiedliwił się ze swego uchybienia.

– Jednakowoż – dodał – obecny pośpiech wynagrodzi poprzednią zwłokę.

– Jeśli tak – odrzekł Baptysta – chętnie ci przebaczę, ale prawdę mówiąc, ponieważ masz z nami równy udział w łupach, własny interes skłoni cię, abyś się jak najszybciej sprawił z robotą. Szkoda by było, gdyby nam umknęła tak znamienita zdobycz. Powiadasz, że ten Hiszpan to bogacz?

– Jego sługa przechwalał się w gospodzie, że dobytek w kolonie Hiszpana wart jest dwa tysiące pistoli.

Och! jakżem przeklinał nieopatrzność mojego Stefano.

– A powiadano mi – ciągnął dalej pocztylion – że ta baronowa ma przy sobie szkatułkę klejnotów wartą krocie.

– Może to i prawda, ale wolałbym, aby się tu nie pojawiła. Hiszpan był pewną zdobyczą; chłopcy wraz ze mną łatwo by się z nim i jego sługą uwinęli, a wtedy dwa tysiące pistoli podzielilibyśmy między naszą czwórkę. Teraz musimy dopuścić całą bandę do udziału w zyskach, a w dodatku może nam umknąć sprzed nosa całe stadko podróżnych. Jeśli nasi

kompani porozchodzą się już na swoje stanowiska, nim dotrzesz do ich pieczary, wszystko będzie stracone. Świta damy jest nazbyt liczna, byśmy sami mogli dać jej radę. Jeśli nasi kamraci nie zdążą na czas, musimy, chcąc nie chcąc, wypuścić jutro podróżnych cało i zdrowo.

– Przeklęty traf chciał, że moi towarzysze, którzy powozili tą karetą, nie wiedzą o naszej zmowie! Ale nic się nie trap, Baptysto! Za godzinę będę już w pieczarze; dopiero dziesiąta, a około dwunastej możesz oczekiwać przybycia bandy. Ale, ale... miej oko na żonę, wiesz, jaki wielki wstręt żywi do naszej profesji i może znaleźć sposoby, by powiadomić służebne baronowej o naszych zamiarach.

– Och! Pewien jestem jej milczenia; nadto się mnie boi i nadto przywiązana jest do dzieci, by odważyła się na zdradzenie mojego sekretu. Poza tym Jacek i Robert mają ją przez cały czas na oku o nie wolno jej wyjść krokiem poza chałupę. Słudzy już bezpiecznie zakwaterowani w stodole. Będę uważał, by nic nie zaszło aż do przybycia naszych kamratów. Gdybym był pewien, że ich odnajdziesz, to w tej chwili wyprawiłbym tych obcych przybyszów na tamten świat; ale że możesz rozminąć się z bandytami, obawiam się, iż słudzy będą rano domagać się widoku swoich państwa.

– A przypuścimy, że któryś z podróżnych przejrzy twoje zamiary?

– Wtedy musimy ukatrupić tych, którzy będą pod ręką, i zdać się na los szczęścia, że jakoś poradzimy sobie z resztą. Aby przecie uniknąć takiego ryzyka, spiesz do pieczary; bandyci nigdy nie wychodzą z niej przed jedenastą i jeśli się dobrze uwiniesz, możesz przybyć w sam czas, aby ich zatrzymać.

– Powiedz Robertowi, że wzięłem jego konia; mój zerwał uzdę i uciekł do lasu. Jakie macie hasło?

– „Odważnym los sprzyja”.

– Wystarczy. Spieszę do pieczary.

– A ja do gości, bo moja nieobecność mogłaby wzbudzić podejrzenie. Żegnaj i pospieszaj.

Tu zacni współnicy rozstali się; jeden skierował kroki ku stajni, a drugi wrócił do domu.

Możesz osądzić, jakich musiałem doznawać uczuć w czasie tej rozmowy, z której nie uroniłem ani zgłoski. Nie miałem odwagi zastanawiać się nad tym, co mnie czeka, i nie przyszły mi do głowy żadne sposoby uniknięcia grożącego niebezpieczeństwa. Wiedziałem, że opór na nic się nie zda; że przynajmniej sprzedam życie tak drogo, jak tylko będę mógł. Lękając się, by Baptysta nie spostrzegł mojej nieobecności i nie powziął podejrzeń, iż podsłuchiłem zlecenie, z jakim wyprawił Klaudiusza, szybko zapaliłem na powrót świecę i opuściłem pokój. Gdy zszedłem na dół, zastałem stół nakryty na sześć osób. Baronowa siedziała przy kominie. Małgorzata zajęta była przyrządzaniem sałaty, a jej pasierbowie szeptali coś do siebie w najodleglejszym kącie izby. Baptysta, który musiał obejść ogród naokoło, aby dojść do drzwi wejściowych, jeszcze się nie pojawił. Usadowiłem się spokojnie naprzeciw baronowej.

Rzuciłem Małgorzacie wejrzenie mówiące, iż ostrzeżenie nie poszło na marne. Jakże mi się teraz wydawała odmienna! To, co przedtem zdało mi się ponurością i nadąsaniem, brałem teraz za wstręt do jej towarzyszy i za politowanie dla mojej osoby, znajdującej się w takiej opresji. Spoglądałem na Małgorzatę jak na ostatnią deskę ratunku, ale wiedząc, iż czuwa nad nią podejrzliwe mężowskie oko, niewiele mogłem polegać na objawach jej życzliwości.

Mimo że usilnie starałem się ukryć zaniepokojenie, było ono aż nazbyt widoczne na mojej twarzy. Pobladłem i zarówno moje słowa, jak mchy były nieskładne i zdradzały zakłopotanie. Młodzieńcy zauważyli to i spytali o przyczynę. Przypisałem mój stan wielkiemu utrudzeniu i raptownej słabości wskutek surowej aury. Trudno rzec, czy mi uwierzyli, ale przynajmniej przestali zadawać kłopotliwe pytania. Usiłowałem odwrócić myśli od otaczającego

mnie ze wszystkich stron niebezpieczeństwa, gawędząc z baronową na najrozmaitsze tematy. Mówiłem o Niemczech, oznajmiając jej zamiar rychłego odwiedzenia tego kraju; Bóg jeden wiedział, że małe w tej chwili żywiłem nadzieje, bym go miał kiedykolwiek oglądać. Baronowa odpowiedziała mi w słowach gładkich i pełnych uprzejmości oświadczając, iż ukontentowanie z naszej znajomości w pełni wynagrodziło jej zwłokę w podróży, i usilnie zapraszała mnie, bym się na jakiś czas zatrzymał na zamku w Lindenbergu. Gdy to mówiła, młodzieńcy spojrzeli jeden na drugiego ze złośliwym uśmieszkiem, który oznaczał, iż będzie mieć szczęście, jeśli kiedykolwiek dotrze do swego zamku. Nie uszło to mojej uwagi, ale skryłem uczucia, jakie ów uśmieszek zrodził w mojej duszy. Dalej wiodłem z damą rozmowę, lecz słowa moje były często tak nieskładne, że baronowa, jak mi to potem rzekła, zaczęła powątpiewać, czy jestem przy zdrowych zmysłach.

Istotnie, gdy konwersowałem o tym i o owym, myśli moje całkowicie zaprzętał temat zgoła odmienny. Rozmyślałem, jakim by tu sposobem opuścić chatę, odnaleźć drogę do stodoły i dać znać sługom o zamiarach naszego gospodarza. Rychło przekonałem się, jak niewykonalne było takie przedsięwzięcie. Jacek i Robert śledzili mnie bez przerwy baczными oczyma, musiałem więc zarzucić ów pomysł. Cała moja nadzieja opierała się na tym, iż Klaudiusz nie zastanie bandytów. W tym wypadku wedle tego, co podsłuchałem, wolno nam będzie odjechać cało.

Gdy Baptysta wkroczył do izby, przeszedł mnie mimowolny dreszcz. Gęsto usprawiedliwiał się z długiej nieobecności, ale... zatrzymały go sprawy nie cierpiące zwłoki. Potem poprosił o pozwolenie, by jego rodzina mogła wieczerzać z nami przy jednym stole, albowiem szacunek, jaki dla nas żywi, nie dozwoliłby mu na taką poufałość bez naszej zgody. Och! jakżem w głębi serca przeklinał tego obłudnika! Jakże brzydziłem się człowiekiem, który miał mnie właśnie pozbawić życia, drogiego mi wówczas ponad wszystko! Miałem wszelkie powody do radowania się życiem. Byłem młody, bogaty, dobrze urodzony i otwierały się przede mną najpiękniejsze nadzieje na przyszłość. Widziałem, jak owe nadzieje miały mi być właśnie w najstraszliwszy sposób odjęte, a jednak zmuszony byłem grać komedię i przyjmować z udaną wdzięcznością kłamliwe grzeczności tego, który przykładał mi sztylet do serca.

Skwapliwie udzieliliśmy przyzwolenia na prośbę gospodarza. Zasiadliśmy do stołu. Baronowa i ja zajmowaliśmy jedną stronę stołu; synowie siedzieli naprzeciw nas, plecami do drzwi. Baptysta zasiadł przy baronowej u końca stołu, a miejsce obok siebie pozostawił dla Małgorzaty. Rychło weszła do izby i postawiła przed nami prosty, ale smaczny, wiejski posiłek. Gospodarz uważał za stosowne usprawiedliwiać się z racji tak lichej wieczerzy; nieświadom był naszego przybycia i mógł ugościć nas tylko taką strawą, jaka przeznaczona była dla jego własnej rodziny.

– Wszelako – dodał – jeśli jakiś przypadek zatrzyma naszych zacnych gości dłużej, niżli obecnie przewidują, tuszę, iż sprawię im lepszy poczęstunek.

Łotr! dobrze wiedziałem, o jakim przypadku wzmiankował. Zadrżałem na myśl o owym poczęstunku, którego kazał nam oczekiwać. Zdało się, że moja towarzyszka niedoli zgoła przestała trapić się zwłoką w podróży. Śmiała się wesoło, rozprawiając z całą rodziną. Usiłowałem bez powodzenia iść za jej przykładem. Wyraźnie zmuszałem się do dobrego humoru, a wysiłek, jaki w to kładłem, nie uszedł baczności Baptysty.

– No, no, *monsieur*, rozchmurze się! – rzecze. – Zdaje się, żeś jeszcze nie całkiem przyszedł do siebie po tym zmęczeniu. Dla dodania sobie animuszu, co powiesz na kieliszek przedniego starego wina, które pozostawił jeszcze mój ojciec, Panie, świeć nad jego duszą; znajduje się już na lepszym świecie. Rzadko wyciągam to wino, ale też nie co dzień zaszczycają mnie tacy goście; dziś trafia się okazja godna wysuszenia butelki.

Następnie dał żonie klucze i pouczył ją, gdzie ma szukać wina, o którym wzmiankował. Nie wydała się zgoła kontenta z tego polecenia; wzięła klucz z zakłopotaną miną i wahała się, czy wstać od stołu.

– Czyś mnie słyszała? – spytał Baptysta gniewnym głosem.

Małgorzata rzuciła mu na pół gniewne, a na pół przerażone spojrzenie i opuściła izbę. Odprowadził ją podejrzliwym wzrokiem, póki nie zamknęła za sobą drzwi.

Rychło wróciła z butelką zapieczętowaną żółtym woskiem. Postawiła ją na stole, klucz zaś na powrót oddała mężowi. Podejrzewałem, że podano nam ten trunek nie bez intencji, i z niepokojem śledziłem ruchy Małgorzaty. Zajęta była płukaniem małych rogowych kubków. Kiedy stawiała je przed Baptystą, dojrzała, że się w nią wpatruję, i w chwili gdy zdało się jej, że bandyci spuścili z niej oczy, skinęła mi głową, dając znak, abym nie kosztował napitku. Potem wróciła na swoje miejsce.

Tymczasem nasz gospodarz odkorkował butelkę i napełniwszy, dwa kubki, podsunął je damie i mnie. Z początku baronowa nieco się certowała, ale Baptysta tak nalegał, że wreszcie zmuszona była ustąpić. Lękając się, że wzbudzę jakieś podejrzenie, bez wahania przyjąłem ofiarowany kubek. Po kolorze i zapachu wywnioskowałem, iż było to wino szampańskie, lecz kilka ziarenek jakiegoś proszku, które pływały po wierzchu, utwierdziło mnie w przekonaniu, iż miało w sobie jakąś domieszkę. Nie ośmieliłem się przecie okazać wstrętu do wypicia trunku; podniosłem kubek do ust i udałem, że go wychylam. Potem zerwałem się raptownie z krzesła i jak najspieszniej skierowałem w stronę stojącej nieopodal misy z wodą, w której Małgorzata płukała kubki. Udałem, że wyplułem wino z obrzydzeniem, i niepostrzeżenie skorzystałem ze sposobności, by wylać całą zawartość kubka do misy.

Bandyci zdali się przerażeni moim postępkami. Jacek uniósł się na poły z krzesła, przyłożył rękę do piersi; dojrzałem rękojeść sztyletu. Spokojnie wróciłem na miejsce udając, że nie spostrzegłem ich zafrasowania.

– Nie utrafiłeś w mój gust, dobry człowieku – rzekłem zwracając się do Baptysty. – Nigdy nie mogę pić szampańskiego nie narażając się na gwałtowną słabość. Zanim się przekonałem, co to za gatunek wina, wychyliłem parę łyków i obawiam się, iż odcierpię tę nierozwagę.

Baptysta i Jacek wymienili między sobą nieufne spojrzenia.

– Być może – ozwał się Robert – nie gustujesz w tym zapachu?

Powstał z miejsca i usunął kubek. Zauważyłem, iż zbadał, czy kielich był pusty.

– Dość wypił – rzekł po cichu do brata, zasiadając z powrotem na miejscu.

Po Małgorzacie widać było, iż lękała się, że spróbowałem napitku. Moje wejście dodało jej otuchy.

Czekałem z obawą na skutki, jakie ów napój wyrze na damie. Nie wątpiłem, że ziarenka, które zauważyłem, były trujące, i ubolewałem, iż w żaden sposób nie mogłem ostrzec baronowej przed niebezpieczeństwem. Upłynęło zaledwie kilka minut, a już zoczyłem, jak damie zaczynają się kleić powieki; głowa opadła jej na ramię i głęboko zasnęła. Udałem, że nie zwracam na to uwagi, i dalej rozprawiałem z Baptystą z wszelkimi pozorami wesołości, na jakie mnie było stać. Lecz on również odpowiadał mi z pewnym przymusem. Spoglądał na mnie nieufnie i ze zdziwieniem i spostrzegłem, że bandyci często coś między sobą szeptali. Moje położenie stawało się z minuty na minutę coraz przykrzejsze. Nigdy z równie ciężkim sercem nie podtrzymywałem pozorów zażyłości. Lękałem się zarówno przybycia ich współników, jak i powzięcia przez nich podejrzeń, iż wiem o ich zamysłach, i nie wiedziałem, jak rozproszyć nieufność, którą całkiem widocznie ku mnie żywili. I znowu Małgorzata, zacna dusza, dopomogła mi w tej rozterce. Przechodząc za krzesłami pasierbów, zatrzymała się na chwilę



naprzeciw mnie, zamknęła oczy i skłoniła głowę na ramię. Ta wskazówka natychmiast rozproszyła moją niepewność. Oznaczała, iż winienem naśladować baronową i udawać, że trunek poskutkował. Zastosowałem się do polecenia Małgorzaty i za parę minut wydawało się, że sen zupełnie mnie zmorzył.

– No, tak! – zawołał Baptysta, gdy osunąłem się na oparcie krzesła – nareszcie zasnął! Już zaczynałem przypuszczać, że przewąchał nasze zamiary i że zmuszeni będziemy zabić go bez żadnych ceregieli.

– A dlaczego nie zabić go bez żadnych ceregieli? – zapytał krwiożerczy Jacek. – Dlaczego pozostawiać mu możliwość zdradzenia naszej tajemnicy? Małgorzato, podaj mi jeden z pistoletów; jednym pociągnięciem za cyngiel skończymy z nim natychmiast.

– A przypuśćmy – wtrącił ojciec – przypuśćmy, że nasi kompani nie nadejdą tej nocy; ładnie będziemy wyglądali, gdy sługi zapytają o niego nazajutrz rano! Nie, nie mój Jacku, musimy poczekać na naszych wspólników. Jeśli się do nas dołączą, jesteśmy dość silni, by pozabijać zarówno sługi, jak panów, i łup mamy w kieszeni. Jeśli Klaudiusz nie odnajdzie bandy, musimy się uzbroić w cierpliwość i dozwolić, aby zdobycz wymknęła nam się z rąk. Ach! chłopcy, chłopcy, gdybyście przyszli tylko o pięć minut wcześniej, już by było po Hiszpanie, a dwa tysiące pistoli nasze. Ale nigdy was nie ma, kiedyście najbardziej potrzebni. Takie z was niezręczne rzezimieszki...

– No no, ojcie! – odpowiedział Jacek – gdybyś był mojego zdania, wszystko byłoby do tej pory skończone. Ty, Robert, Klaudiusz i ja – przecie obcych było tylko dwa razy tyle – ręczę ci, że przednio byśmy sobie z nimi dali radę. Jednakże Klaudiusz pojechał i nie pora już o tym myśleć. Musimy cierpliwie czekać na przybycie szajki, a jeśli podróżni wymkną się nam tej nocy, trzeba nam zakrzętać się, by jutro zgotować im zasadzkę.

– Prawda, prawda! – rzekł Baptysta. – Małgorzato, czyś dała napój nasenny pannom służącym?

Odpowiedziała twierdząco.

– A więc wszystko w porządku. No no, chłopaki! cokolwiek się przydarzy, nie mam powodu uskarżać się na tę przygodę. Nie wystawiamy się na żadne niebezpieczeństwo, możemy wiele zyskać, a nic nie tracimy.

W tejże chwili posłyszałem tętent koni. Och! jakże straszliwy był to dźwięk dla moich uszu! Na czoło wystąpił mi zimny pot i poczułem całą grozę śmierci, która zawisła mi nad głową. Zgoła mnie nie pokrzepiło na duchu, gdym usłyszał, jak litościwa Małgorzata zawołała głosem pełnym rozpacz:

– Wszzechmogący Boże! już po nich.

Na szczęście, drwała i jego synów zbyt pochłonoło przybycie wspólników, by dać na mnie baczenie, w przeciwnym bowiem razie moje gwałtowne wzburzenie łącznie by ich przekonało, że tylko udawałem spanie.

– Otwierać! otwierać! – ozwało się kilka głosów na zewnątrz chaty.

– Tak, tak! – zawołał radośnie Baptysta – to niechybnie nasi kamraci. A więc łup już pewny. Ruszcie się, chłopcy! ruszcie! zaprowadźcie ich do stodoły, wiecie, co tam macie do roboty.

Robert pospieszył, by otworzyć drzwi.

– Ale najpierw – rzekł Jacek biorąc do ręki broń – wpierw załatwię się z tymi śpiochami.

– Nie, nie, nie! – zawołał ojciec. – Idź do stodoły, bo tam cię teraz potrzeba. Mnie zostaw troskę o tych tutaj i o niewiasty na górze.

Jacek usłuchał i podążył za bratem. Coś tam zdawali się rozprawiać z nowo przybyłymi przez kilka minut; potem usłyszałem, jak zbójcy zsiadli z koni i, jak się domyśliłem, skierowali

w stronę stodoły.

– Tak! to mi się nazywa dobra robota! – mruknął Baptysta. – Zsiedli z koni, by zniecka napaść na cudzoziemców. Wybornie! wybornie! A teraz do dzieła.

Posłyszałem, jak zbliżył się do małego kredensiku, który stał w drugim końcu izby, i począł go odmykać. W tej chwili poczułem, jak mną lekko potrząsnęto.

– Teraz! teraz – wyszeptała Małgorzata.

Otworzyłem oczy. Baptysta stał do mnie tyłem. W izbie nie było nikogo prócz Małgorzaty i śpiącej damy. Łajdak wyjął z kredensiku sztylet i zdawał się badać go, czy dość ostry. Byłem na tyle nieostrożny, że nie zaopatrzyłem się w broń; spostrzegłem przecie, że teraz miałem jedyną okazję, aby ujsć cało, i postanowiłem nie utracić owej sposobności. Zerwałem się z krzesła, rzuciłem raptownie na Baptystę i objawszy mu szyję rękami, ścisnąłem tak mocno, by nie mógł ani pisnąć. Pomnisz może, iż słyndłem w Salamance z siły w rękach. Owa moc oddała mi teraz nieocenioną usługę. Łajdak był zaskoczony, przerażony i bez tchu, nie mógł w żadnym wypadku mi dorównać. Obaliłem go na ziemię, jeszcze mocniej zdławiłem, a gdym przyparł go do podłogi, Małgorzata wyrwała mu sztylet z ręki i zatopiła raz po raz w sercu Baptysty, póki nie skonał.

Skoro tylko popełniliśmy ten straszliwy, lecz konieczny uczynek, Małgorzata zawołała, bym za nią podążył.

– Tylko ucieczka może nas uratować – rzekła. – Spiesz się! Spiesz się! Umykajmy!

Uśluchałem jej bez wahania; nie chcąc jednak zostawiać baronowej na pastwę zbójców, uniosłem ją, wciąż śpiącą, w ramionach i chyżo pobiegłem za Małgorzatą. Konie bandytów uwiązane były przy drzwiach. Moja przewodniczka wskoczyła na jednego podjezdka. Poszedłem za jej przykładem; usadowiłem baronową przed sobą i z bodłem konia ostrogą. Naszą jedyną nadzieją było dotrzeć do Strasburga, który był znacznie bliżej, niżli mnie o tym zapewniał zdradliwy Klaudiusz. Małgorzata dobrze znała drogę i pędziła przede mną. Musieliśmy minąć stodołę, w której zbójcy zarzynali nasze sługi. Drzwi były otwarte; odróżniliśmy wrzaski mordowanych i przekleństwa morderców. Język niezdolny jest wyrazić, co czułem w owej chwili.

Gdy przemknęliśmy koło stodoły, Jacek posłyszał tętent koni. Z płonąca pochodnią w dłoni rzucił się do drzwi i z łatwością rozpoznał zbiegów.

– Zdrada! zdrada! – zawołał do towarzyszy.

Natychmiast porzucili swe krwawe dzieło i pospieszyli, by dosiąść koni. Nie słyszeliśmy nic więcej. Spiałem boki rumaka ostrogami, Małgorzata zaś dźgała swojego sztyletem, który oddał nam już tak dobrą przysługę. Mknęliśmy lotem błyskawicy i wydostaliśmy się na otwarty płaskowyż. Już ukazała się wieża strasburskiej katedry, gdy posłyszeliśmy goniących nas zbójców. Małgorzata obejrzała się i spostrzegła, że pogoń zjeżdża z małego i niezbyt odległego pagórka. Na próżno popędzaliśmy konie, odgłosy pogoni zbliżały się z każdą minutą.

– Już po nas! – zawołała. – Te łajdaki nas doganiają.

– Naprzód! naprzód! – odrzekłem. – Słyszę tętent koni nadjeżdżających od strony miasta.

Podwoiliśmy nasze wysiłki i rychło zobaczyliśmy zastęp kawalerów nadjeżdżających ku nam pełnym galopem. Już nas mieli wyminąć.

– Stój, stój! – wrzasnęła Małgorzata. – Ratujcie nas! Ratujcie, na miłość boską!

Ten, który jechał na przodzie i zdawał się służyć reszcie za przewodnika, natychmiast ściągnął cugle rumaka.

– To ona! to ona! – zawołał zeskakując z konia. – Stójże, mój panie, stój! To moja matka!

W teże chwili Małgorzata skoczyła na ziemię, chwyciła młodzika w ramiona i obsypała go pocałunkami. Inni kawalerowie zatrzymali się na ów okrzyk.

– Baronowa Lindenberg! – zawoła niecierpliwie drugi z nieznanym. – Gdzież ona? czy nie ma jej między wami?

Zamilkł ujrzawszy, iż dama leży bez czucia w moich ramionach. Spiesznie wyrwał ją z moich objęć. Głęboki sen, w jakim była pogrążona, sprawił, iż w pierwszej chwili zadrżał o życie damy, lecz bicie jej serca rychło dodało mu otuchy.

– Bogu niech będą dzięki! – rzecze. – Uszła cało.

Przerwałem jego radość wskazując na bandytów, którzy wciąż się zbliżali. Skoro tylko o nich wspomniałem, większa część kompanii, która, jak się okazało, złożona była głównie z żołnierzy, ruszyła spiesznie na spotkanie zbójców. Łotrzyki nie czekali na natarcie; kiedy spostrzegli niebezpieczeństwo, zawrócili konie i umknęli do lasu, dokąd ruszyli za nimi nasi wybawiciele. Tymczasem nieznanemu kawaler, który, jakem przypuszczał, był baronem Lindenberg, podziękował mi za opiekę nad swoją małżonką i doradzał, abyśmy jak najspieszniej wrócili do miasta. Baronową, która pozostawała jeszcze pod silnym działaniem usypiającego napoju, umieszczono przed nim na siodle. Małgorzata wraz z synem dosiedli na powrót koni; słudzy barona zamykali pochód i wkrótce przybyliśmy do oberży, w której baron najął sobie pokoje.

Gospoda zwała się „Pod Austriackim Orłem”, a mój bankier, którego, opuszczając Paryż, powiadomiłem o swej intencji odwiedzenia Strasburga, przygotował mi w niej mieszkanie. Uradowała mnie ta okoliczność. Dawała mi sposobność podtrzymania znajomości z baronem, która, jak przewidywałem, mogła mi się stać w Niemczech bardzo przydatna. Zaraz po przybyciu do gospody wyprawiono damę do łóżka. Posłano po lekarza; przepisał on medykament, który miał przeciwdziałać skutkom usypiającego napoju; wlawszy lekarstwo do gardła baronowej powierzono ją opiece gospodyni.

Potem baron zwrócił się do mnie i prosił, bym mu powtórzył wszelkie szczegóły owej przygody. Natychmiast uczyniłem zadość jego żądaniu; niepokojąc się bowiem losem Stefano, którego musiałem porzucić na pastwę okrutnych bandytów, czułem, iż nie zdołam spocząć, zanim się czegoś nie dowiem o losie mojego sługi. Aż nazbyt rychło otrzymałem wiadomość, że mój wiemy służący zginął. Żołnierze, którzy ścigali zbójców, wrócili właśnie, gdy zajęty byłem opowiadaniem baronowi mojej przygody. Dowiedziałem się z ich relacji, że złoczyńcy zostali przychwyteni. Wina i rzetelna odwaga nie idą z sobą w parze; łotrzyki rzucili się do nóg ścigającym ich żołnierzom, poddali się nie dobywając broni, odkryli swą tajną kryjówkę, wyjawili hasło, dzięki któremu reszta szajki mogła zostać ujęta – jednym słowem: dali wszelkie dowody tchórzostwa i podłości. Tym sposobem cała banda, złożona prawie z sześćdziesięciu ludzi, została ujęta i w kajdanach odprowadzona do Strasburga. Część żołnierzy pospieszyła do chaty drwala, a jeden z bandytów służył im za przewodnika.

Najpierw odwiedzili fatalną stodołę, gdzie udało im się jeszcze szczęśliwie odnaleźć dwóch żyjących, ale ciężko rannych domowników barona. Reszta wyzionęła ducha pod ciosami zbójców, a wśród nich był mój nieszczęsny Stefano. Bandyci, zaalarmowani naszą ucieczką i spieszący się, aby nas dogonić, zapomnieli wstąpić do chaty; dzięki temu żołnierze znaleźli dwie służebne w dobrym zdrowiu i tylko pogrążone we śnie podobnym śmierci, który zmorzył również ich panią. W chacie nie znaleziono nikogo prócz dziecka, które nie miało jeszcze czterech latek i które żołnierze przywieźli ze sobą. Łamaliśmy sobie głowę nad tym, do kogo należy ten nieborak, gdy do izby wpadła Małgorzata z dziecięciem w ramionach. Rzuciła się do nóg oficerom, którzy właśnie opowiadali nam o tym przypadku i obsypała tysiącem błogosławieństw za ocalenie dziecięcia.

Gdy minęły pierwsze porywy macierzyńskiej tklivości, poprosiłem ją, by mnie objaśniła, jakim to sposobem związała się z człowiekiem, którego zasady moralne zdały się tak całkowicie

sprzeczne z jej charakterem. Spuściła oczy i starła z policzka kilka łez.

– Szlachetni panowie – rzekła po chwili milczenia – chcę was prosić o pewną łaskę. Macie prawo wiedzieć, komu wyświadczyliście przysługę, i dlatego nie zataję wyznania, które okrywa mnie wstydem; dozwólcie przecie, abym ograniczyła moją spowiedź do kilku słów.

Urodziłam się w Strasburgu z zacnych rodziców; nazwisko ich muszę teraz zataić. Ojciec jeszcze żyje i nie zasłużył, by stać się współuczestnikiem mojej niesławy. Jeśli przychylicie się do mojej prośby, dowiedcie się mojego nazwiska. Pewien łotr posiadał moje uczucia i aby iść za nim, porzuciłam dom rodzicielski. Chociaż namiętności wzięły górę nad cnotą, nie popadłam jednak przez ów występki w takie upodlenie grzechu, jakie aż nazbyt często staje się udziałem niewiast, które uczyniły pierwszy fałszywy krok. Miłowałam mego uwodziciela, gorąco go miłowałam! Byłam mu wierną żoną; to właśnie dziecię i ten młodzik, który cię ostrzegł, panie baronie, o niebezpieczeństwie zagrażającym twej małżonce, są dowodami naszej miłości. Nawet w tej chwili boleję nad utratą umiłowanego, a przecie jemu tylko zawdzięczam wszystkie niedole mojego żywota.

Pochodził ze szlachetnego rodu, ale roztrwonił całą odziedziczoną po ojcu majątność. Krewniacy uważali go za zakatę rodziny i całkowicie się go wyrzekli. Jego wybryki ściągnęły na niego gniew strażników. Musiał umykać ze Strasburga i nie widział innego sposobu uratowania się przed nędzą, niż przyłączenie się do zbójców, którzy nawiedzali pobliskie lasy; szajka ich składała się głównie z młodzików z zacnych familii, którzy znaleźli się w takich samych tarapatach, jak mój małżonek. Postanowiłam, że go nie opuszczę. Podążyłam za nim do jaskini zbójców i dzieliłam z nim utrapienia, nierozłącznie związane z rozbójniczym żywotem. Choć pojmowałam, że środki do życia czerpaliśmy z grabieży, nie wiedziałam o wszystkich straszliwych okolicznościach związanych z profesją mojego kochanka; skrywał je przede mną jak najstaranniej. Świadom był, że moje uczucia nie spodłają na tyle, bym mogła bez grozy spoglądać na skrytobójstwo. Mniemał, i słusznie, iż ze wstrętem umknę z objęć mordercy. Osiem lat cieszył się posiadaniem mnie, co nie ostudziło zgoła jego miłości, i pieczołowicie skrywał przede mną każdą okoliczność, która mogłaby nasunąć mi podejrzenie o zbrodniach, w jakich aż nazbyt często brał udział. Znakomicie mu się to udawało. Dopiero po śmierci uwodziciela odkryłam, że jego ręce splamione były niewinną krwią.

Pewnej fatalnej nocy przyniesiono go do jaskini pokrytego ranami; otrzymał je w czasie napaści na pewnego angielskiego podróżnika, którego zbójcy natychmiast uczynili ofiarą swojej pomsty. Małżonek mój był w stanie tylko błagać mnie o przebaczenie za wszystkie strapienia, jakie spadły na mnie z jego przyczyny; przycisnął moje ręce do ust i wyzionął ducha. Niezdolna jestem wyrazić moją zgryzotę. Postanowiłam, że skoro tylko moja gwałtowna boleść zelżeje, wrócę do Strasburga, rzucę się wraz z dwojgiem dzieci do nóg mojemu ojcu i błagać go będę o przebaczenie, chociaż małą żywiłam nadzieję, że je otrzymam. Jakież było moje pomieszenie, gdy dowiedziałam się, iż osobie, której powierzono w sekrecie miejsce kryjówki zbójców, nie wolno już nigdy opuścić bandy; że muszę porzucić wszelkie nadzieje połączenia się kiedykolwiek ze społecznością i wyrazić natychmiastową zgodę na przyjęcie jednego z bandy jako mego małżonka. Próżne były moje protesty i błagania. Rzucili losy, by rozstrzygnąć, komu mam przypaść w udziale. Stałam się własnością podłego Baptysty. Zbójca, który ongiś był mnichem, dopełnił wobec nas raczej parodii niżli ceremonii zaślubin. Ja i moje dzieci zostaliśmy oddani w ręce nowego małżonka, a ten natychmiast wyprawił nas do swego domu.

Zapewniał mnie, iż od dawna żywił ku mnie gorący afekt, ale przyjaźń z moim zmarłym kochankiem zmusiła go do stłumienia owych uczuć. Usiłował pogodzić mnie z moim losem i przez niejaki czas traktował z szacunkiem i łagodnością. W końcu spostrzegłszy, iż mój wstręt raczej się wzmaga, niżli ustępuje, siłą wymusił na mnie te względy, których mu uparcie

odmawiałam. Nie pozostało mi żadne inne wyjście poza cierpliwym znoszeniem moich utrapień; wiedziałam, że dobrze na nie zasłużyłam. Wzbronił mi ucieczki. Dzieci moje były w mocy Baptysty i przysięgł, że gdybym próbowała umknąć, zapłacę za to życiem. Miałam aż nazbyt wiele okazji przekonania się naocznie o jego barbarzyńskiej naturze i nie wątpiłam, iż wypełni swoje przyrzeczenie co do litery. Żalodne doświadczenia przekonały mnie o grozie mej sytuacji. Mój pierwszy kochanek skrywał je starannie przede mną. Baptysta nieomal z uciechą otwierał mi oczy na okrucieństwa swojej profesji i usiłował oswoić mnie z krwią i zabójstwem.

Z przyrodzenia byłam płocha i gorącej krwi, ale nie okrutna; postępowanie moje było nieroztropne, lecz serce z gruntu poczciwe. Osądźcie więc, com musiała odczuwać, będąc stale świadkiem najstraszliwszych i najobrzydliwszych zbrodni; osądźcie, jakem się musiała lękać będąc związana z człowiekiem, który przyjmował nic nie podejrzewającego gościa ze szczerą i gościnną miną, a w tej samej minucie medytował nad jego zgubą. Smutek i nieukontentowanie zżerały mi ciało. Te trochę powabów, jakimi obdarzyła mnie natura, rychło przywiedło, przygnębienie zaś malujące się na obliczu wskazywało na ciepienia serca. Tysiąc razy kuśilo mnie, aby położyć kres swemu życiu, ale myśl o dzieciach powstrzymywała mi rękę. Drżałam na myśl, że pozostawię tych lubych chłopaczków w mocy mojego tyrana, i drżałam jeszcze więcej o ich cnotliwość niżli o ich życie. Młodszy był jeszcze zbyt mały, by korzystać z moich pouczeń, ale ustawicznie pracowałam nad zaszczepianiem w sercu starszego tych zasad, które dozwoliłyby mu uniknąć występków jego rodzicieli. Słuchał moich wskazań pilnie, a nawet gorliwie. Już od małego widać było, iż nie jest przeznaczony do kompanii łajdaków, i jedyną pociechą, jakiej zaznałam w moich frasunkach, było oglądanie budzących się przymiotów Teodora.

Takim było moje położenie, gdy przewrotny poczytylion, wiozący don Alfonsa, sprowadził go do naszej chaty. Młodość, ułożenie i manieri młodzieńca sprawiły, iż gorliwie zatroszczyłam się o jego losy. Nieobecność mężowskich synów dała mi sposobność, na którą długo czekałam, i postanowiłam wszystko wystawić na hazard, byle tylko ocalić cudzoziemca. Czujność Baptysty nie pozwoliła mi ostrzec don Alfonsa przed grożącym mu niebezpieczeństwem. Wiedziałam, że za zdradę tego sekretu natychmiast zostanę ukarana śmiercią, a chociaż życie truły mi liczne smutki, to przecie brakło mi odwagi, by poświęcić się dla uratowania życia bliźniego. Moja jedyna nadzieja opierała się na zapewnieniu sobie pomocy ze Strasburga. Postanowiłam, że tego poprobuję, a gdyby nadarzyła mi się sposobność sekretnego ostrzeżenia don Alfonsa przed tym, co mu groziło, zamierzałam skwapliwie z niej skorzystać. Z rozkazu Baptysty poszłam na górę, aby pościelić łóżko nowo przybyłemu kawalerowi; rozpostarłam na łożu prześcieradła, jeszcze zbrukane krwią, na których zamordowano podróżnego ledwie na kilka dni przedtem. Spodziewałam się, że ślady te nie ujdą czujności naszego gościa i że wywnioskuje z nich o zamysłach mego przewrotnego małżonka. Nie był to jedyny krok powzięty dla ocalenia życia nieznanemu kawalerowi. Teodor leżał w łóżku, złożony chorobą. Zakradłam się do jego izby, nie postrzeżona przez mego tyrana, oznajmiłam synowi mój projekt, on zaś skwapliwie się nań zgodził. Mimo słabości powstał z łoża i ubrał się, jak mógł najspieszniej. Obwiązałam go dookoła prześcieradłem i spuściłam z okna. Pobiegł do stajni, dosiadł konia Klaudiusza i popędził do Strasburga. Gdyby go zaczepili bandyci, miał oświadczyć, iż posłał go Baptysta z jakimś poleceniem, ale na szczęście dotarł do miasta, nie napotykając na żadne przeszkody. Zaraz po przybyciu do Strasburga poprosił o pomoc władze miejskie; opowieść jego przechodziła z ust do ust i w końcu dotarła do pana barona. Turbował się o zdrowie małżonki, która, jak wiedział, miała być w drodze tego wieczora, i przyszło mu na myśl, iż baronowa mogła być popaść w ręce rozbójników. Przyłączył się więc do Teodora, który prowadził żołnierzy w stronę naszej chaty, i przybył w sam czas, by wybawić nas od wpadnięcia po raz wtóry w ręce wrogów.

Tu przerwałam Małgorzacie, pytając, dlaczego podano mi ów nasenny napój. Odrzekła,

że Baptysta podejrzewał, iż mam przy sobie broń, i chciał mnie uczynić niezdolnym do stawienia oporu; zachowywał zawsze tę ostrożność, ponieważ podróżni, nie widząc żadnej nadziei na ocalenie, mogliby za podszeptem rozpachy nazbyt drogo sprzedać swoje życie.

Baron życzył sobie, aby Małgorzata zaznajomiła go z jej obecnymi zamiarami. Dołączyłem się do jego życzenia oświadczając, iż gotów jestem okazać jej wdzięczność za ocalenie życia.

– Obrzydł mi świat – odrzekła – w którym spotkałam się tylko ze zgryzotami, i moim jedynym pragnieniem jest schronić się w jakimś klasztorze. Najpierw jednak muszę zaopatrzyć moje dzieci. Dowiedziałam się, że nie mam już matki... Pewnie moja ucieczka wpędziła ją przedwcześnie do grobu. Ojciec jeszcze żyje. Nie jest to człowiek twardego serca. Tuszę, panowie, że mimo mojej niewdzięczności wasze wstawiennictwo mogłoby go skłonić, by mi przebaczył i zaopiekował się swymi nieszczęsnymi wnukami. Jeśli uzyskacie dla mnie tę łaskę, to tysiąckrotnie odpląacie mi moją przysługę.

Obaj, zarówno baron, jak i ja, zapewniliśmy Małgorzatę, iż nie pożałujemy trudu, aby zyskać dla niej ojcowskie przebaczenie. Rzekliśmy również, iż gdyby nawet ojciec okazał się nieprzejednany, i tak nie ma się co lękać o los dzieci. Zobowiązałem się zaopatrzyć Teodora, a baron obiecał roztoczyć pieczę nad młodszym chłopcem. Matka dziękowała nam z wdzięcznością i ze łzami w oczach za to, co zwała hojnością, a co w rzeczywistości było tylko właściwym zrozumieniem zobowiązań, jakieśmy wobec niej powzięli. Potem opuściła pokój, aby ułożyć do snu swego chłopaczka, okrutnie zmorzonego sennością i utrudzeniem.

Gdy baronowa przyszła do siebie i gdy powiadomiono ją, z jakich tarapatów ją wybawiłem, nie było końca zapewnieniom ojej wdzięczności. Małżonek tak gorąco poparł usilne prośby damy, abym towarzyszył im do ich zamku w Bawarii, że nie sposób było odmówić owym naleganiom. W czasie tygodnia, któryśmy spędzili w Strasburgu, nie zapomnieliśmy o interesach Małgorzaty. Nasze wstawiennictwo u jej ojca uwieńczone zostało takim powodzeniem, jakiego tylko mogliśmy sobie winać. Zaczny starzec utracił żonę; nie miał on innych dzieci, tylko ową nieszczęsną córkę, od której nie miał wieści od lat czterestu. Otaczali go dalecy krewni, którzy niecierpliwie czekali zgonu starca, aby wejść w posiadanie jego pieniędzy. Kiedy więc Małgorzata tak niespodziewanie znowu się pojawiła, uznał ją za dar niebios. Przyjął zarówno ją, jak i jej dzieci z otwartymi ramionami i nalegał, by nie zwlekając rozgościła się w jego domu. Rozczarowani krewniacy musieli się usunąć. Starzec nie chciał słyszeć o wstąpieniu córki do klasztoru. Orzekł, iż ona także jest mu potrzebna i łacno ją przekonano, aby porzuciła swoje projekty. Lecz żadne perswazje nie mogły skłonić Teodora do wyrzeczenia się zamysłu, jaki już uprzednio co do niego powzięłem. W czasie mego pobytu w Strasburgu szczerze się do mnie przywiązał i gdy już miałem opuszczać miasto, błagał mnie ze łzami, bym go przyjął na służbę. Opisał mi wszystkie swoje drobne uzdolnienia w najkorzystniejszych barwach i starał się mnie przekonać, jak nieskończenie użyteczny będzie mi w czasie dalszej podróży. Nie byłem zbyt chętny do obarczania się chłopcem, który skończył zaledwie trzynaście lat i który, jak przewidywałem, mógł mi być ciężarem; nie mogłem jednakże oprzeć się prośbom tego szczerze mi oddanego młodzika, który rzeczywiście posiadał wiele cennych przymiotów. Nie bez trudu przekonał krewnych, by mu pozwolili mi towarzyszyć, i gdy tylko uzyskał ich zgodę, został mianowany moim paziem.

Przepędziwszy w Strasburgu jeden tydzień, wyruszyłem z Teodorem do Bawarii w towarzystwie barona i jego małżonki. Zarówno dama, jak i ja zmusiliśmy Małgorzatę, by przyjęła od nas kilka cennych podarunków dla siebie i młodszego synka. Gdy się z nią żegnałem, obiecałem rzetelnie matce Teodora, iż za rok zwrócę jej syna.

Obszernie opowiedziałem ci, mój Lorenzo, tę przygodę, abys pojął, jakimi to sposobami

„awanturnik imieniem Alfonso d’Alvarada zyskał zaproszenie na zamek w Lindenbergu”. Osądź z tego przykładu, ile wiary należy dawać twierdzeniom twojej ciotki.

<sup>[1]</sup> Mniemają, że wąż *cientipecloro* Hispaniola – dawna nazwa wyspy Haiti.

## Rozdział IV

*Precz z moich oczu! Zapadnij się w ziemię!*

*Krew twoja zimna, kości twe bez szpiku,*

*Nie ma już siły widzenia w twych oczach,*

*Którymi błyszczysz Zwodnicza maro, precz!*

*Ha! Znikłeś przecie!*

„Makbet”, I, 4, 93-96  
(przekł. J. Paszkowskiego).

Dalszy ciąg historii Don Rajmonda

Markiza De Las Clsternas



Podróż miałem niezwykle przyjemną. Baron okazał się człowiekiem wcale rozumnym, choć mało obeznanym ze światem. Przepędził większą część życia nie ruszając się z poza swoich włości i skutkiem tego manery jego nie odznaczały się zbytnią ogładą; był to przecie człek serdeczny, pogodny i przyjacielski. Nie mogłem sobie życzyć większej uprzejmości z jego strony i miałem wszelkie przyczyny, aby czuć się zadowolonym z racji jego zachowania. Jego główną namiętnością było myślistwo; ugruntował sobie przekonanie, iż jest to poważne zajęcie i gdy rozprawiał o słynnych łowach, traktował ten temat z taką powagą, jakby debatował o bitwie, od której zawisły losy dwóch królestw. Traf chciał, że byłem znośnym myśliwym; wkrótce po moim przybyciu do Lindenbergu dałem niejaki dowody swojej zręczności. Baron natychmiast uznał mnie za człowieka genialnego i poprzysiągł mi wieczystą przyjaźń.

Przyjaźń ta stała mi się zgoła nieobojętna. W zamku lindenberskim ujrzałem po raz pierwszy twoją siostrę, nadobną Agnes. Dla mnie, który miałem serce wolne i frasowałem się z racji tej pustki, ujrzeć i pokochać Agnes było jednym i tym samym. W Agnes znalazłem to



wszystko, czego było trzeba, aby umocnić moje uczucie. Miała wtedy zaledwie lat szesnaście; jej drobna i wdzięczna postać była już foremnie ukształtowana; posiadała doskonale kilka umiejętności, a szczególnie celowała w rysunku i muzyce. Z natury była wesoła, szczerą i pogodną, wdzięczną zaś prostota jej stroju i obyczajów korzystnie odbijała od sztuki i wyuczony kokieterii paryskich dam, którem niedawno opuścił. Od chwili gdy ją ujrzałem, poczułem najżywsze zainteresowanie jej losem. Kilkakrotnie wypytywałem o nią baronową.

– To moja siostrzenica – odparła dama. – Nie wiesz jeszcze, don Alfonso, iż mówisz ze swoją rodaczką. Jestem siostrą księcia Medina Celi. Agnes jest córką mego drugiego brata, don Gastona; już od kolebki przeznaczono ją do klasztoru i wkrótce złoży w Madrycie śluby zakonne.

Tu Lorenzo przerwał markizowi okrzykiem pełnym zdziwienia.

– Już od kolebki przeznaczona do klasztoru! – rzecze. – Wielkie nieba! to pierwsze słowa, jakie słyszę o owym projekcie.

– Wierzę ci, miły Lorenzo – odparł don Rajmond – ale musisz mnie cierpliwie wysłuchać. Nie mniej będziesz zdumiony, gdy opowiem ci pewne szczegóły o twej rodzinie, których jeszcze nie znasz, dowiedziałem się o nich z ust samej Agnes. – Podjął swoje opowiadanie i mówił tymi słowy: – Musisz zdawać sobie zapewne sprawę, że twoi rodzice byli, niestety, niewolnikami grubego zabobonu. Gdy o tę słabostkę chodziło, każdy inny sentyment i każda inna namiętność twych rodziców poddawały się tej nieubłaganej sile. Kiedy twoja matka nosiła jeszcze Agnes w swym łonie, nawiedziła ją niebezpieczna choroba i lekarze zwątpili o jej życiu. W tym położeniu *donna Inesilla* złożyła ślub, iż jeśli powróci do zdrowia, dziecię, któremu miała dać życie, poświęcone zostanie świętej Klarze, jeśliby to była córka, lub świętemu Benedyktowi, jeśliby to był chłopiec. Modły jej zostały wysłuchane; odeszła ją słabość; Agnes urodziła się żywa i natychmiast przeznaczono ją do grona służebnic świętej Klary.

Don Gaston ochotnie przystał na życzenie małżonki, ale znając uprzedzenia księcia, swego brata, co do klasztornej żywota, postanowił, iż przyszłe losy Agnes winny być przed nim starannie ukryte. By lepiej ustrzec tej tajemnicy, postanowiono, że Agnes będzie towarzyszyć swej ciotce, *donnie Rodolfie*, do Niemiec, dokąd owa dama właśnie podążała ze swym świeżo poślubionym małżonkiem, baronem *Lindenbergiem*. Zaraz po przybyciu do posiadłości barona umieszczono małą Agnes w klasztorze położonym tylko o kilka mil od zamku. Zakonnice, którym powierzono jej edukację, wywiązały się skrupulatnie ze swych obowiązków. Uczyniły z Agnes mistrzynię w wielu umiejętnościach, sztukach i przymiotach i starały się wpoić w jej umysł zamiłowanie do samotności i spokojnych klasztornych uciech. Ale jakiś tajemny instynkt podszeptną młodej pustelnicy, iż nie została zrodzona do samotności; z całą swobodą osobki młodej i wesołej nie krępowała się pokpiwać z wielu obrządków, na które mniszki spoglądały z pełnym podziwu szacunkiem; nigdy też nie czuła się bardziej szczęśliwa jak wówczas, gdy żywa wyobraźnia podszeptnęła jej jakiś pomysł dokuczenia dumnej przeorowsy lub szpetnej i skwaszonej starej furtiance. Ze wstrętem spoglądała na to, co ją czeka; nie dano jej jednakowoż innego wyboru i poddała się wyrokowi rodziców, chociaż po cichu się nań zżymała.

Nie była na tyle sprytna, by długo ukrywać owo obrzydzenie. Wiedział o nim don Gaston. Przerażony, aby twój braterski afekt, mój Lorenzo, nie przeciwstawił się jego projektom i abyś wyraźnie nie sprzeciwił się niedoli siostry, postanowił utrzymać całą rzecz w tajemnicy przed tobą, jak i przed księciem, dopóki nie dopełni się ofiara Agnes. Porę obłóczyn ustalono na czas, kiedy przebywać miałeś w podróży, a tymczasem nikt nie wzmiankował ani słowem o fatalnym ślubie *donny Inesilli*. Siostra nigdy nie wiedziała, gdzie się obracasz. Czytano wszystkie twoje listy, nim doszły do jej rąk, i wykreślano z nich ustępy, które mogły przypuszczalnie rozbudzić w niej skłonność do światowego życia. Odpowiedzi dyktowały jej albo baronowa, albo panna *Kunegunda*, guwernantka Agnes. Dowiedziałem się owych szczegółów częściowo od Agnes,

a częściowo od samej baronowej.

Natychmiast postanowiłem, iż wybawię tę powabną pannę od przeciwnego jej skłonnościom losu, na który nie zasługiwała. Starłem się wkraść w jej łaski; chwaliłem się przyjaźnią i zażyłością z tobą, mój Lorenzo. Chciwie mi się przysłuchiwała i gdyś cię wychwalała, zdawała się chłonać moje słowa, oczy zaś jej dziękowały mi za przychylność, jaką żywiłem dla brata. Przez stałe i niestrudzone starania podbiłem w końcu serce Agnes i z trudem wymogłem na niej wyznanie, iż mnie miłuje. Kiedy jednakże podsunąłem jej myśl opuszczenia lindenberskiego zamku, stanowczo odrzuciła mój pomysł.

– Bądź wspaniałomyślny, Alfonsie – rzekła. – Jesteś panem mojego serca, ale nie użyj tego daru dla niecznych celów. Nie wyzyskuj przewagi nade mną nakłaniając mnie do powzięcia kroku, za który musiałabym się później rumienić. Jestem młoda i samotna; mój brat, mój jedyny przyjaciel, jest z dala ode mnie, a inni krewniacy postępują ze mną jak wrogowie. Ulituj się nad tym, że sama i bez obrony. Miast nakłaniać mnie do czynu, który okryłby mnie niesławą, postaraj się raczej zyskać przychylność tych, którym jestem podległa. Baron żywi dla ciebie szacunek. Ciotka, dla wszystkich zawsze szorstka, dumna i wzgardliwa, pamięta, że wybawiłeś ją z rąk zbójców, i tylko tobie okazuje łagodne i dobrotliwe oblicze. Próbuj zatem przeciągnąć na naszą stronę moich opiekunów. Jeśli zezwolą na nasz związek, masz moją rękę. Z tego, co powiedziałeś o moim bracie, nie wątpię, iż zyskasz jego przyzwolenie; a kiedy cała familia spostrzeże, iż nie sposób wprowadzić w czyn jej zamiarów, mam nadzieję, iż rodzice moi wybaczą mi nieposłuszeństwo i przez jakąś inną przebłągalną ofiarę okupię fatalny ślub mojej matki.

Od pierwszego ujżenia Agnes usiłowałem zjednać sobie łaskawość jej krewniaków. Wyznanie Agnes, że mi sprzyja, upoważniło mnie do podwojenia wysiłków. Główny atak przypuściłem do baronowej; nietrudno było dostrzec, iż jej słowo stanowiło prawo dla całego domu. Mąż okazywał jej bezwzględna uległość i uważał za jakąś wyższą istotę. Miała lat około czterdziestu i w młodości była wielką pięknoscią; ale powaby jej były w dużej mierze tego rodzaju, że nie mogły się ostać przed zębem czasu; zostały jej przecie pewne resztki owych wdzięków. Rozeznanie miała bystre i rozum przedni, jeśli tylko nie zaciemniało go uprzedzenie, co nieszczęściem zdarzało się aż nazbyt często. Była osobą o gwałtownych namiętnościach; nie żałowała trudu, aby je zadowolić, i zaciekle prześladowała i mściła się na tych, którzy sprzeciwiali się jej zachciankom. Najserdeczniejsza przyjaciółka, nieprzejednany wróg – oto jaka była baronowa Lindenberg.

Nieprzerwanie zabiegałem, aby się jej przypodobać; niestety, powiodło mi się aż nazbyt dobrze. Zdawało się, że pochlebiają jej moje atencje i traktowała mnie z takim wyróżnieniem, jak nikogo innego. Do moich codziennych obowiązków należało bawienie jej lekturą przez kilka godzin, tych godzin, które chętnie przepędziłbym z Agnes. Będąc jednakże świadom, że usłużność dla ciotki może przyspieszyć mój związek z Agnes, z dobrą miną poddałem się nałożonej na mnie pokucie. Biblioteka *donny* Rodolffy składała się przeważnie ze starych romansów hiszpańskich; były one jej ulubioną lekturą i dzień w dzień bez odmiany brałem do rąk któryś z owych straszliwych woluminów. Czytałem o nudnych przygodach Perceforesta, Tiranta Białego, Palmerina Angielskiego i „Rycerza Słońca”<sup>[1]</sup>, dopóki książka nieomal nie wypadła mi z ręki ze znużenia. Jednakże ukontentowanie baronowej z mojego towarzystwa zdało się wciąż wzrastać i to zachęcało mnie do wytrwania; później zaś ją mi okazywać tak wyraźną życzliwość, iż Agnes doradziła mi, abym skorzystał z pierwszej sposobności i wyznał ciotce nasze wzajemne uczucia.

Jednego wieczora siedziałem sam na sam z *donną* Rodolfą w jej apartamencie. Ponieważ nasza lektura traktowała zazwyczaj o miłości, nigdy nie dozwolono Agnes, aby była przy owym

czytaniu obecna. Właśnie winszowałem sobie ukończenia dziejów miłości Tristana i Izoldy<sup>[2]</sup>...

– Ach, nieszczęśliwi! – zawołała baronowa. – Cóż powiesz, *señor*? Czy mniemasz, iż mężczyzna zdolny jest żywić przywiązanie równie szczerze i równie bezinteresowne?

– Nie mogę o tym powątpiewać – odrzekłem. – Moje własne serce darzy mnie tą pewnością. Ach! *donno* Rodolfo, gdybym mógł żywić nadzieję, iż pozwolisz na moją miłość, gdybym mógł wyznać ci imię mojej kochanki, nie ściągając na siebie twój gniew!

Przerwała mi.

– Przypuśćmy, *señor*, że oszczędziłabym ci tego wyznania? Przypuśćmy, że oświadczyłabym ci, iż przedmiot twych pragnień nie jest mi nie znany? Przypuśćmy, iż odrzekłabym ci, że owa dama odwzajemnia twoje uczucia i ubolewa nie mniej szczerze niżli ty sam nad nieszczęśliwymi ślubami, które was dzieli?

– Ach, *donno* Rodolfo! – wykrzyknąłem padając przed nią na kolana i przyciskając jej rękę do ust – odkryłaś mój sekret! Jakąż powzięłaś decyzję? Czy muszę popaść w rozpacz, czy też mogę liczyć na twoją łaskawość?

Nie cofnęła ręki, którą dzierżyłem w dłoni; odwróciła się jednak ode mnie i drugą ręką przysłoniła oblicze.

– Jakże mogę ci odmówić? – odparła. – Ach, don Alfonso! Od dawna spostrzegłam osobę, ku której skierowałeś swoją przychylność, ale nie spostrzegłam dotąd wrażenia, jakie owa przychylność wywarła na moim sercu. Nie mogę dłużej ukrywać mojej słabości ani przed tobą, ani przed sobą samą. Ulegam więc nawałnicy moich uczuć i wyznaję, iż cię uwielbiam! Przez trzy długie miesiące tłumiłam te płomienie, lecz opór tylko je podsycił i oto ulegam ich gwałtowności. Duma, strach i honor, szacunek dla samej siebie i moje zobowiązania względem barona – wszystko przewyciężone! Poświęcam je mojej miłości dla ciebie i wciąż wydaje mi się, iż płacę nazbyt marną cenę za radowanie się twoją osobą.

Przerwała czekając na odpowiedź... Osądź, Lorenzo, jakem się musiał zmieszać tym odkryciem. W mgnięcia oka ujrzałem cały ogrom zapory, którą sam odgradziłem się od mego szczęścia. Baronowa przyjęła na swój rachunek te hołdy, którymi darzyłem ją tylko ze względu na Agnes. Siła, z jaką wyraziła swoje uczucia, wejrzenie, jakie towarzyszyło owemu wyznaniu, i to, co wiedziałem o jej mściwym charakterze, sprawiły, iż zadrzałem o siebie i o moją umiłowaną.

Milczałem przez kilka minut. Nie wiedziałem, co odrzec jej na te oświadczyły; mogłem tylko zdecydować się na bezzwłoczne wyjaśnienie omyłki i ukrycie przed nią, przynajmniej do czasu, imienia mojej kochanki. Skoro tylko wyznała mi swoje uczucia, uniesienie, które poprzednio malowało się na moim obliczu, ustąpiło miejsca zmieszaniu i przymusowi. Puściłem jej rękę i podniosłem się z kolan. Zmiana w wyrazie mojej twarzy nie uszła uwagi baronowej.

– Cóż oznacza to milczenie? – wyrzekła w końcu drżącym głosem. – Gdzież owa radość, której mogłam się słusznie spodziewać?

– Przebac mi, *señora* – odpowiedziałem – jeśli słowa, do których zmusza mnie konieczność, zdadzą ci się nieokrzesane i pełne niewdzięczności. Każdy spoglądałby na mnie jak na przestępcę, gdybym utwierdził cię w błędzie, który jakkolwiek mógłby mi wielce pochlebiać, musiałby stać się dla ciebie źródłem rozczarowania. Honor przymusza mnie, abym cię powiadomił, iż wzięłaś pani za tklivość miłość to, co było tylko względami przyjaźni. Ów drugi sentyment jest tym, który pragnąłbym wzbudzić w twoim sercu; żywienia gorętszych uczuć wzbrania mi zarówno mój szacunek dla ciebie, jak i wdzięczność za wspaniałomyślne obejście się ze mną pana barona. Być może przyczyny te nie byłyby dostateczne, aby ustrzec mnie od twych powabów, gdyby nie to, iż obdarzyłem uczuciem inną osobę. Posiadasz, *señora*, wdzięki, które mogłyby usidlić najbardziej nieczułego, i żadne serce, które pozostało wolnym, nie

mogłoby się im oprzeć. Szczęściem dla mnie, moje jest już zajęte, w przeciwnym bowiem razie musiałbym sobie czynić wyrzuty, iż pogwałciłem prawa gościnności. Opamiętaj się, szlachetna pani! Pomnij, coś winna swojej niewieściej czci, co ja winien jestem baronowi i zastęp przyjaźnią i szacunkiem te sentymenty, których nigdy nie mogę odwzajemnić.

Posłyszawszy owo nieoczekiwane i stanowcze oświadczenie, baronowa zbladła; powątpiewała, czy to sen, czy jawa. W końcu otrząsnęła się ze zdumienia, pomieszanie ustąpiło miejsca wściekłości, a krew gwałtownie uderzyła jej do głowy i na powrót zarumieniła lica.

– Łotrze! – wykrzyknęła – potworze zdradliwości! Tak to przyjmujesz moje miłosne wyznanie? A więc to tak... lecz, nie, nie! to być nie może i nie będzie! Alfonso, spójrz, klęczę u twoich stóp! Bądź świadkiem mojej rozpaczki! Spójrz z litością na niewiastę darzącą cię szczerym afektem! Jakże zasłużyła na ten skarb ta, która posiadała twoje serce? Cóż ci poświęciła? Co wynosi ją ponad *donnę* Rodolfę?

Usiłowałem podnieść ją z klęczek.

– Na miłość boską, *señora*, pohamuj te porywy! Okrywają niesławą zarówno ciebie, jak i mnie. Ktoś może posłyszeć twoje okrzyki i twoja tajemnica znajdzie się na ustach służby. Widzę, że moja obecność tylko cię rozdrażnia, dozwól mi więc, bym się usunął.

Gotowałem się do opuszczenia komnaty; baronowa chwyciła mnie nagle za ramię.

– A któż jest tą szczęśliwą rywalką? – zapytała tonem pogroźki. – Chcę dowiedzieć się jej imienia, a kiedy się dowiem..! Jest to ktoś znajdujący się pod moją opieką; błagałeś o moją łaskę i protekcję! Niechże ją tylko odnajdę, niechże się tylko dowiem, kto ośmielił się zrabować mi twoje serce, a odcierpi takie męki, jakie tylko zdolne są zadać zazdrość i rozczarowanie. Kto ona? Odrzeknij mi natychmiast. Nie łudź się, iż ukryjesz ją przed moją pomstą. Naśle na ciebie szpiegów, będą śledzić twój każdy krok, twoje każde wejrzenie; twoje własne oczy odkryją mi moją rywalkę. Będę wiedziała, kim jest, a gdy ją odnajdę... drżij, Alfonso, drżij o nią i o siebie!

Gdy wypowiedziała ostatnie słowa, furia jej wzrosła do tego stopnia, iż omal jej nie zadławiła. Dyszała, stękała, a w końcu popadła w omdlenie. Kiedy osuwała się na ziemię, pochwyciłem ją w ramiona i złożyłem na sofie. Potem pospieszyłem do drzwi i wezwałem na pomoc służebne; zleciłem im pieczę nad baronową i skorzystałem ze sposobności, by jak najszybciej umknąć.

Wzburzony i zmieszany nad wyraz, skierowałem kroki do ogrodu. Dobrotliwość, z jaką baronowa z początku mi się przysłuchiwała, ożywiła do najwyższego stopnia moje nadzieje; wyimaginowałem sobie, iż postrzegła moje przywiązanie do siostrzenicy i że je pochwałała. Okrutne było moje rozczarowanie, gdy zrozumiałem właściwe znaczenie jej słów. Nie wiedziałem, co czynić; zabobonność rodziców Agnes, do tego nieszczęsna namiętność jej ciotki, zdały się stawiać tak wielkie przeszkody przed naszym związkim, iż prawie nie sposób było je usunąć.

Kiedy przechodziłem przez parterową bawialnię, której okna wychodziły na ogród, przez na pół otwarte drzwi zobaczyłem Agnes siedzącą przy stole. Zajęta była rysowaniem i kilka nie dokończonych szkiców leżało porozrzucanych dookoła. Wszedłem, wciąż niezdecydowany, czy mam ją powiadomić o oświadczeniu baronowej.

– Och! To tylko ty – rzekła podnosząc głowę. – Nie jesteś obcą osobą, więc będę dalej bez ceremonii oddawała się mojemu zajęciu. Weź krzesło i usiądź przy mnie.

Posłusznie zasiadłem w pobliżu stołu. Nieświadom tego, co czynię, i myśl mając całkowicie zaprzątniętą sceną, która właśnie się odbyła, podniosłem parę rysunków i rzuciłem na nie okiem. Jeden z tematów uderzył mnie swoją osobliwością. Rysunek przedstawiał wielką sień lindenberskiego zamczyska.

Drzwi prowadzące na wąskie schodki były na pół otwarte. Na pierwszym planie

przedstawiona była grupka ludzi, z których każdy przybrał najdziwaczniejszą pozę; na każdym obliczu malowała się groza. Tu jeden z nich, na klęczkach i z oczyma wzniesionymi ku niebu, modlił się z całą żarliwością; tam znowu inny pełzał na czworakach. Niektórzy przysłonili twarze płaszczami lub skryli je na podołku towarzyszy; niektórzy znowu schowali się pod stół, na którym widoczne były resztki uczyty, a jeszcze inni, z rozdziawionymi ustami i wytrzeszczonymi oczyma, wskazywali na jakąś postać, która przypuszczalnie wywołała to całe zamieszanie. Była to niewiasta nadnaturalnej wielkości, ubrana w habit jakiegoś zakonu. Twarz miała zasłoniętą, na jej rękę zwiślał różaniec; szata jej była w kilku miejscach zboczona krwią, która sączyła się z rany na piersi. W jednej ręce dzierżyła lampkę, a w drugiej ogromny nóż i zdała się postępować w kierunku żelaznych krat, zamykających wejście do sieni.

– Agnes, cóż to wszystko znaczy? – zapytałem. – Czy to twój wymysł?

– O, nie! – odpowiedziała. – Wymyśliła to mądrzejsza głowa od mojej. Ale czy to możliwe, abyś bawił w zamku lindenberskim przez całe trzy miesiące i nie słyszał o broczącej krwią mniszce?

– Słyszę to imię po raz pierwszy, i to od ciebie; a więc kimże jest owa dama?

– Nie roszczę sobie pretensji, abym ci to potrafiła opowiedzieć. Wszystko, co wiem ojej historii, pochodzi ze starej tradycji rodzinnej, którą przekazywano z ojca na syna i w którą święcie wierzą wszyscy, jak posiadłości barona długie i szerokie. Co mówię; sam baron w to wierzy, co zaś do ciotki, która z natury skłonna jest do wiary w rzeczy cudowne, to prędzej zwątpiłaby o prawdziwości Biblii niżli o istnieniu broczącej krwią mniszki. Czy mam ci opowiedzieć tę historię?

Odrzekłem, że wielce mnie ukontentuje tą opowieścią; wzięła więc rysunek z moich rąk, a potem tonem poważnym choć z domieszką kpiny, jęła mi opowiadać, co następuje:

– Dziwna to rzecz, iż we wszystkich kronikach, traktujących o zamierzchłych czasach, nie wzmiankują ani razu o tej osobie. Chętnie opowiedziałabym ci jej żywot, ale niestety, póki nie umarła, nikt nie wiedział, że była na świecie. Dopiero po śmierci uważała za stosowne uczynić nieco zamieszania na nim i z tym zamiarem odważyła się wziąć w posiadanie ten zamek. Ponieważ miała dobry gust, obrała sobie za mieszkanie najlepszą komnatę w całym domostwie i gdy się tam raz usadowiła, poczęła zabawiać się w środku nocy stukaniem w stoły i w krzesła. Może kiepsko sypiała, ale o tym nigdy nie mogłam się przekonać. Jeśli wierzyć tradycji, igraszki te zaczęły się mniej więcej sto lat temu. Towarzyszyły im wrzaski, wycia, jęki, przekleństwa i wiele innych miłych hałasów tego samego rodzaju. Chociaż tylko jedna komnata była specjalnie zaszczycona jej odwiedzinami, nie ograniczyła się całkowicie do tej izby. Od czasu do czasu zapuszczała się do starych galerii, przechadzała się tam i z powrotem po obszernych przedsionkach lub niekiedy zatrzymywała przed drzwiami komnat, łkając i zawodząc ku powszechnemu przerażeniu ich mieszkańców. Rozmaici ludzie widywali ją w czasie owych nocnych eskapad i wszyscy tak opisali jej postać, jak ją tu oto oglądasz, nakreślona ręką jej niegodnej kronikarki.

Osobliwość owej relacji przyciągnęła moją uwagę.

– Czy nigdy nie przemówiła do napotkanych ludzi? – zapytałem.

– Nie, nigdy. A prawdę mówiąc, te próbki jej talentu do prowadzenia konwersacji, którymi się co noc popisowała, żadną miarą nie stanowiły zachęty do rozmowy. Czasami zamek rozbrzmiewał przekleństwami i wyzwiskami; w chwilę później odmawiała „Pater Noster”; to znowu z wyciem wygłaszała najstraszliwsze bluźnierstwa, a potem śpiewała „De profundis”<sup>[3]</sup> na tak dobrą nutę, jakby jeszcze siedziała na chórze. Mówiąc pokrótce, wydawała się być osobą wielce kapryśną; ale czy się modliła, czy przeklinała, czy była bezbożna, czy pobożna, zawsze udawało się jej przerazić słuchaczy do utraty zmysłów. W zamku prawie nie dało się mieszkać,

jego zaś pan tak był przerażony owymi nocnymi nawiedzeniami, iż jednego pięknego dnia znaleziono go martwego w łożu. Zdaje się, że ten sukces ogromnie ukontentował mniszkę, bo zaczęła hałasować tak jak nigdy przedtem. Ale następny baron ją przechytrzył. Pojawił się ręką w rękę ze sławnym egzorcystą, który nie uląkł się zamknięcia na całą noc w izbie nawiedzanej przez ducha. Tu, jak powiadają, stoczył zacieklą batalię z widmem, które w końcu obiecało mu, iż się uspokoi. Zjawa była uparta, ale on jeszcze bardziej i w końcu zgodziła się, iż dozwoli mieszkańcom zamku na rzetelny nocny spoczynek. Po tym wszystkim nie było o niej przez niejaki czas żadnej wieści. Ale po upływie pięciu lat egzorcysta umarł i wtedy mniszka znowu odważyła się wyrzec z ukrycia. Stała się jednak bardziej uległa i nabrała dobrych obyczajów. Przechadzała się w milczeniu i nigdy nie ukazywała się częściej niżli raz na pięć lat. Do tej pory, jeśli chcesz wierzyć baronowi, hołduje tym obyczajom. Wuj jest święcie przekonany, że piątego maja, co pięć lat, z uderzeniem godziny pierwszej rozwierają się drzwi komnaty nawiedzanej przez ducha. (Zauważ, iż komnata ta pozostaje zamknięta od prawie stu lat.) Wtedy wychodzi z niej zjawa mniszki z lampką i sztyletem; schodzi po schodach znajdujących się we wschodniej wieży i przechodzi przez sień. W tę noc odźwierny z szacunku dla upiora zawsze pozostawia bramy zamku otwarte; nie uważa się tego zgoła za potrzebne, bo przecie duch mógłby sobie śmignąć przez dziurkę od klucza, gdyby tylko miał na to ochotę; otwiera się bramy tylko z prostej uprzejmości i aby nie dozwoląc widmu na opuszczenie zamku w sposób przynoszący ujmę godności jejmość zjawy.

– A dokądże ona idzie po opuszczeniu zamku?

– Mam nadzieję, że do nieba; ale jeśli tak, to nie bardzo gustuje w owym miejscu, bo wraca znów po godzinnej nieobecności. Dama udaje się na powrót do swojej komnatki i siedzi cicho przez następne pięć lat.

– I ty w to wierzysz, Agnes?

– Jak możesz zadawać takie pytanie? Nie, nie, Alfonso! Mam nazbyt wiele powodów, aby ubolewać nad skutkami zabobonu, którego sama padłam ofiarą. Nie wolno mi jednak wyznaczyć baronowej mojego niedowiarstwa; ona ani na chwilę nie wątpi o prawdziwości tej historii. Jeśli zaś idzie o imię Kunegundy, moją guwernantkę, to zaklina się, że piętnaście lat temu widziała upiora na własne oczy. Opowiadała mi jednego wieczora, jak to ona sama i kilku domowników przerażo się, siedząc przy wieczerzy, pojawieniem się broczącej krwią mniszki, tak bowiem nazywają ducha mieszkańcy zamku. Właśnie z relacji Kunegundy skreśliłam ten rysunek i możesz być pewien, że nie pominęłam na nim mojej guwernantki. A oto i ona! Nigdy nie zapomnę, w jaką wpadła pasję i jak obmierzłe wyglądała łajac mnie, że skreśliłam wizerunek kubek w kubek do niej podobny.

Tu wskazała na komiczną postać starej niewiasty w pozie pełnej przerażenia.

Mimo przygniatającej mnie melancholii nie mogłem powstrzymać się od śmiechu z krotocwilnej wyobraźni Agnes; zachowała wierne podobieństwo do imię Kunegundy, lecz tak wyolbrzymiła każdy defekt guwernantki i oddała każdy z jej rysów w sposób tak nieskończenie uciśny, iż łatwo mogłem pojąć gniew duenny.

Wspaniała figura, moja miła Agnes! Nie wiedziałem, iż masz taki talent do spostrzegania śmieszności.

Poczekaj chwilę – odrzekła – pokażę ci postać jeszcze zabawniejszą od imię Kunegundy. Jeśli ci przypadnie do gustu, możesz z nią robić, co ci się żywnie podoba.

Wstała i podeszła do stojącej w pobliżu sekretery; wysunęła szufladkę, wyjęła z niej mały medalion, otworzyła go i zaprezentowała mi.

– Czy wiesz, kto to taki? – rzekła z uśmiechem.

Była to ona sama.

Zachwycony owym podarkiem, namiętnie przycisnąłem portrecik do ust; rzuciłem się do nóg Agnes i wyraziłem swą wdzięczność w najzarliwszych słowach. Przysłuchiwała mi się z lubością i zapewniła, iż podziela moje uczucia; a potem nagle wydała donośny okrzyk, wyrwała mi rękę, którą trzymałem w dłoni, i umknęła z pokoju przez drzwi wychodzące na ogród. Zdziwiony tym raptownym odejściem, spiesznie podniosłem się z kolan. Skonfundowany, ujrzałem baronową, która stała tuż obok, pałając zazdrością i niemal dławiąc się z wściekłości. Skoro ocknęła się z omdlenia, poczęła dręczyć swą wyobraźnię i przemyślała nad odkryciem tajemniczej rywalki. Nikt bardziej nie zasługiwał na jej podejrzenia niżli Agnes. Natychmiast pokwapiła się, aby odnaleźć siostrzenicę, wy badać ją, udając przychylną dla moich konkurów, i przekonać się, czy słuszne były jej ciotczyne przypuszczenia. Nieszczęściem zobaczyła już dosyć, by nie potrzebować innego potwierdzenia. Podeszła do drzwi komnaty w tej właśnie chwili, gdy Agnes dawała mi swój portrecik. Posłyszała, jak wyznawałem jej rywalce miłość na śmierć i życie, i widziała, jak klęczałem u jej stóp. Postąpiła naprzód, aby nas rozdzielić; byliśmy wszakże zbyt pochłonięci sobą, aby spostrzec jej nadejście, i nieświadomi, iż się ku nam zbliżyła, aż do chwili, gdy Agnes ujrzała ciotkę stojącą u mego boku.

Donna Rodolfa była wściekła, ja zaś zakłopotany i skutkiem tego milczeliśmy przez dłuższą chwilę. Dama pierwsza ochłonęła ze wzburzenia.

– A więc słuszne były moje podejrzenia – rzekła. – Zalotność mojej siostrzeniczki zatriumfowała i to dla niej mnie poświęciłeś. W jednym przecie względzie losy mi sprzyjają: nie ja będę tą jedyną, która oplakuje nie odwzajemniony afekt. Ty także dowiesz się, co to znaczy beznadziejnie miłować. Z dnia na dzień oczekuję polecenia, by odesłać Agnes do rodziców. Skoro tylko wróci do Hiszpanii, wstąpi do klasztoru i wzniesie dla waszego małżeństwa mur nie do przebycia. Możesz sobie oszczędzić próśb – powiedziała spostrzegając, że właśnie chciałem się odezwać. – Moje postanowienie jest stałe i niezmienne. Twoja kochanka pozostanie w swej komnacie w ścisłym odosobnieniu, póki nie zamieni tego zamku na klasztor. Być może samotność przypomni jej o obowiązku; lecz abyś ty nie sprzeciwił się tej upragnionej zmianie w jej usposobieniu, muszę ci oznajmić, mój don Alfonso, iż twoja obecność w tym zamku nie kontentuje już ani mnie, ani barona. Krewni nie po to wysłali cię do Niemiec, abyś prawił dusery mojej siostrzenicy; miałeś się trudzić podróżowaniem i przykro by mi było, gdybym ci przeszkodziła w tak znakomitym przedsięwzięciu. Zegnaj, *señor*, pamiętaj, że jutro rano spotykamy się po raz ostatni.

Wypowiedziawszy te słowa, rzuciła mi wejrzenie pełne dumy, wzdargy i złości, po czym opuściła komnatę. Udałem się więc także do swej izby i przepędziłem noc na układaniu projektów oswobodzenia Agnes od tyrańskiej ciotki.

Po tak stanowczym oświadczeniu pani zamku nie sposób mi było dłużej pozostać w Lindenbergu. Stosownie do tego oznajmiłem następnego dnia mój zamiar natychmiastowego wyjazdu. Baron oświadczył, iż szczerze nad tym boleje, i w tak gorących słowach wyrażał mi swoją sympatię, iż usiłowałem zyskać jego przychylną dla moich interesów. Ledwo jednak wymówiłem imię Agnes, przerwał mi w pół słowa, powiadając, iż wtrącanie się w tę sprawę nie leży w jego mocy. Spostrzegłem, iż próżne były wszystkie argumenty; baronowa trzymała męża żelazną ręką i łącno pojąłem, iż wzbudziła w nim uprzedzenie do tego związku. Agnes się nie pojawiła. Błagałem, aby mi dozwolono się z nią pożegnać, ale odrzucono moją prośbę.

Gdy się rozstawałem z baronem, ten uściśnął mi serdecznie prawicę, zapewniając, że skoro tylko siostrzenica odjedzie, mogę uważać jego dom za własny.

– Zegnaj, don Alfonso! – rzekła baronowa wyciągając do mnie rękę.

Ująłem jej dłoń, mając zamiar podnieść ją do ust, ale nie przyzwoliła. Mąż znajdował się na drugim końcu pokoju i nic nie mógł usłyszeć.

– Strzeż się – ciągnęła dalej. – Moja miłość przemieniła się w nienawiść, a moja zraniona duma weźmie swoją pomstę. Idź, dokąd chcesz, lecz moja zemsta będzie cię ścigać!

Starczyło wejrzenia, które towarzyszyło tym słowom, bym zdrzął od stóp do głów. Nic nie odrzekłem i spiesznie opuściłem zamek.

Gdy moja kolaska wyjeżdżała z dziedzińca, spojrzałem w okna komnatki twojej siostry; nie zoczyłem nikogo. Zniechęcony, rzuciłem się z powrotem na oparcie. Ze służby towarzyszył mi tylko pewien Francuz, którego najałem w Strasburgu na miejsce Stefano, i mój mały pazik, o którym ci już uprzednio wzmiankowałem. Wierność, przemyślność i dobry humor Teodora już zjednały mu moje serce, ale teraz zgotował mi przysługę, dzięki której mogłem spoglądać na niego jak na opiekuńczego geniusza. Ledwo przebyliśmy pół mili od zamku, gdy podjechał do drzwiczek kolaski.

Odwagi, *señor* – rzekł po hiszpańsku, którym to językiem nauczył się już mówić biegle i poprawnie. – Podczas twojej rozmowy z baronem wypatrzyłem chwilę, gdy jejmość Kunegunda zesłała na dół, i wbiegłem po schodach do pokoiku znajdującego się nad komnatką *donny* Agnes. Śpiewałem na całe gardło dobrze jej znaną niemiecką piosenkę tusząc, iż przypomni sobie mój głos. Nie zawiodłem się, bo rychło posłyszałem, jak otwiera okno. Spiesznie spuściłem sznurek, w który się uprzednio zaopatrzyłem. Kiedy usłyszałem, że okno się na powrót zamknęło, pociągnąłem za sznurek i znalazłem przywiązany do niego ten oto skrawek papieru.

Tu podał mi mały liścik zaadresowany do mnie. Niecierpliwie go odpieczętowałem. Zawierał następujące słowa skreślone ołówkiem:

*Ukryj się na przeciąg czternastu dni w jakiejś okolicznej wiosce. Ciotka uwierzy, żeś opuścił Lindenberg, i wróci mi wolność. W trzynastym dniu będę o północy w zachodnim pawilonie. Nie omieszka tam przybyć, a będziemy mieli sposobność ułożenia naszych dalszych planów.*

*Adieu.  
Agnes.*

Gdy czytałem owe słowa, uniesienie moje przeszło wszelkie granice; nie skąpiłem również wyrazów wdzięczności, którymi obsypałem Teodora. Jego zręczność i bystrość zasłużyły istotnie na najgorętsze pochwały. Chyba mi łatwo uwierzysz, że nie zwierzyłem się mu z uczuć do Agnes, lecz młody filut zbyt wiele miał rozeznania, aby nie odkryć mojego sekretu, i za wiele dyskrecji, aby nie zataić przede mną, iż wie o moich sentymentach. W milczeniu obserwował, co się święci; nie starał się jednak użyć swojego pośrednictwa w tej sprawie, dopóki moje interesy nie domagały się jego wstawiennictwa. Podziwiałem zarówno jego rozum, jak przenikliwość, zręczność i wierność. Nie pierwszy to raz miałem sposobność przekonać się, jak nieskończenie jest mi użyteczny, i z każdym dniem utwierdzałem się w mniemaniu o jego bystrości i pojętności. W czasie mojego krótkiego pobytu w Strasburgu przyłożył się pilnie do nauki początków języka hiszpańskiego. Uczył się go nadal i z takim powodzeniem, iż mówił tym językiem równie biegle jak rodzinnym. Przepędzał większą część wolnego czasu na lekturze. Zdobył, jak na swój wiek, sporo wiadomości i odznaczał się wieloma przymiotami – zarówno wesołym obliczem i ujmującą postacią, jak i bystrością rozumu i najlepszym sercem. Ma teraz piętnaście lat. Nadal pozostaje w mojej służbie i gdy go ujrzysz, pewien jestem, że ci się spodoba. Ale wybaczone dygresję; wracam do tematu, od którego odbiegłem.

Usłuchałem poleceń Agnes. Podążyłem do Monachium, zostawiłem tam kolaskę pod opieką Łukasza, mojego francuskiego sługi, a sam konno powróciłem do wioski odległej coś



o cztery mile od Lindenbergu. Po przybyciu opowiedziałem właścicielowi gospody, przy której zsiadłem z konia, jakąś bajeczkę, aby nie dziwił się, dlaczego tak długo mieszkać będę w jego zajęździe. Na szczęście, starzec był człekiem łatwowiernym i nieciekawym, uwierzył wszystkiemu, co powiedziałem, i nie starał się dowiedzieć więcej, niżli uznałem za stosowne mu oznajmić. Byłem tylko w towarzystwie Teodora, obaj w przebraniu, a ponieważ nie zadawaliśmy się z nikim, nikt nas nie podejrzewał, iż nie jesteśmy takimi, na jakich wyglądamy. Tak upłynęły dwa tygodnie. W tym czasie z zadowoleniem przekonałem się, iż Agnes znowu była wolna. Przejeżdżała przez wioskę z panną Kunegundą; zdała się być w dobrym zdrowiu i humorze i rozmawiała ze swoją towarzyszką bez śladu jakiegokolwiek przymusu.

– Co to za damy? – spytałem mojego gospodarza, w chwili gdy powóz mijał gospodę.

– To siostrzenica barona Lindenberg wraz ze swoją guwernantką – odrzekł. – Jeżdżą regularnie co piątek do klasztoru klarysek, w którym się owa panna chowała i który leży o milę drogi od tego miejsca.

Możesz być pewien, że z niecierpliwością oczekiwałem następnego piątku. Znowu ujrzałem moją nadobną kochankę. Mijając drzwi gospody rzuciła ku mnie spojrzenie. Rumieniec, jaki wykwił na jej liczku, powiedział mi, iż mimo przebrania zostałem rozpoznany. Nisko się skłoniłem. Odwzajemniła mi się lekkim skinieniem głowy, jakby odpowiadając na ukłon osoby niższego stanu, i spoglądała w przeciwną stronę, dopóki pojazd nie zniknął mi z oczu.

Nadeszła długo oczekiwana i upragniona noc. Była księżycowa pełnia. W naturze panował spokój. W obawie przed spóźnieniem pospieszyłem na spotkanie, skoro tylko zegar wybił jedenastą. Teodor zaopatrzył się w drabinę; bez trudu wspiąłem się na mur ogrodowy. Pazik postępował za mną i ciągnął za nami drabinę. Ustawiłem się przy zachodnim pawilonie i niecierpliwie oczekiwałem na przybycie Agnes. Zdało mi się, że każdy szept wietrzyka i każdy szmer spadającego listka to szelest kroków ukochanej i już spieszyłem jej naprzeciw. Tak musiałem przetrwać godzinę, a każda minuta wydawała mi się wiekiem. W końcu zegar zamkowy wybił dwunastą i z trudem przyszło mi uwierzyć, że to jeszcze tak wczesna godzina. Znowu upłynął kwadrans i posłyszałem lekkie kroki mojej kochanki, ostrożnie zbliżające się do pawilonu. Wybiegłem jej na spotkanie i przywiodłem do ławy. Rzuciłem się jej do stóp i wyrażałem radość z oglądania jej, lecz przerwała mi tymi słowy:

– Nie mamy czasu do stracenia, Alfonso; każda minuta jest cenna, bo chociaż nie jestem uwięziona, to Kunegunda śledzi każdy mój krok. Umyślny posłaniec przybył z pismem od mego ojca; muszę natychmiast wracać do Madrytu i z trudem uzyskałam tydzień zwłoki. Przesady moich rodziców, umocnione kłamliwymi relacjami mojej okrutnej ciotki, nie pozostawiają mi żadnej nadziei, aby litość zmiękczyła ich serca. W tej rozterce postanowiłam zdać się na twój honor. Niechże Bóg sprawi, abyś mi nigdy nie dał powodu do żałowania tego postanowienia! Ucieczka jest moją ostatnią deską ratunku przed okropnościami klasztoru, a moja nieopatrność musi znaleźć usprawiedliwienie w bliskim niebezpieczeństwie. Posłuchaj teraz o fortelu, dzięki któremu, jak mniemam, uda mi się stąd uciec.

Mamy dzisiaj trzydziestego kwietnia... Za pięć dni ma się ukazać widmo mniszki. W czasie ostatnich odwiedzin w klasztorze zaopatrzyłam się w ubiór stosowny dla tej postaci. Przyjaciółka, którą tam zostawiłam i której nie wahałam się powierzyć mojej tajemnicy, chętnie zgodziła się na dostarczenie mi habitu. Wystaraj się o powóz i czekaj w nim w niewielkiej odległości od głównej bramy zamkowej. Skoro tylko zegar wybije godzinę pierwszą, opuść komnatę przyodziana w te same szaty, które ponoć nosi upiór... Ktokolwiek mnie spotka, będzie nazbyt przerażony, aby mi udaremnić ucieczkę; z łatwością dotrę do drzwi i zdam się na twoją opiekę. Jak dotąd, pewna jestem powodzenia. Lecz, och! Alfonso, gdybyś ty mnie oszukał! Gdybyś wzgardził moim nieopatrzym krokiem i odpłacił zań niewdzięcznością, to na całym

świecie nie znalazłaby się istota równie nieszczęsna jak Agnes. Zdaję sobie sprawę ze wszystkich niebezpieczeństw, na jakie się narażam; wiem, iż upoważniam cię, byś mnie lekko potraktował, ale polegam na twojej miłości, na twoim honorze; krok, który właśnie mam powziąć, rozjątrzy na mnie krewniaków. Gdybyś mnie porzucił, gdybyś zawiódł zaufanie, jakie w tobie pokładam, nie będę mieć żadnego przyjaciela, który ukarałby cię za tę zniewagę lub stanął w obronie mojej sprawy. Tylko na tobie wspiera się cała moja nadzieja i jeśli twe własne serce nie wstawi się za mną, jestem na zawsze zgubiona!

Wypowiedziała te słowa tonem tak chwytającym za serce, że mimo radości, która ogarnęła mnie, gdy postyszałem jej obietnicę, iż pójdzie za mną, nie mogłem nie poczuć się wstrząśnięty. Ubolewałem także w głębi duszy, że byłem tak nieopatrzny i nie najałem w wiosce powozu; wtedy bowiem mogłem uwięzić Agnes jeszcze tej samej nocy. Nie sposób było się teraz o to pokusić; nie mogłem najać koni ani powozu bliżej niżeli w Monachium, a Monachium było odległe od Lindenbergu o dobre dwa dni drogi. Musiałem więc przyklasnąć projektowi Agnes, który, prawdę mówiąc, zdawał się dobrze obmyślony. Przebranie uchroni ją przed przychwyceniem w chwili opuszczania zamku i pozwoli jej bez trudności i straty czasu wsiąść do karety przy samej bramie. Agnes zwiesiła żałośnie główkę na moje ramię i przy świetle księżyca dojrzałem, jak łzy spływają jej po policzkach. Starłem się rozproszyć jej melancholię i zachęcałem, by spoglądała w przyszłość, na obrazy naszego szczęścia. Zapewniałem ją jak najsolennie, że strzec będę jej niewinności i cnoty i że póki Kościół nie uczyni z niej mojej prawowitej małżonki, cześć jej będzie dla mnie tak święta jak honor siostry. Rzekłem jej, iż się najpierw zatroszczę o odnalezienie ciebie, mój Lorenzo, i o zjednanie twojej przychylności dla naszego związku. Tak wciąż do niej przemawiałem, gdy przeraził mnie jakiś hałas na zewnątrz pawilonu. Ktoś raptownie otworzył drzwi i stanęła przed nami panna Kunegunda. Usłyszała, jak Agnes wykradała się ze swojej komnatki, podążyła w jej ślady i ujrzała, jak wchodzi do pawilonu. Dzięki drzewom ocieniającym budynek nie postrzeżona przez Teodora, który oczekiwał w pobliżu, zakradła się cichutko pod pawilon i podsłuchiwała całą naszą rozmowę.

– Ślicznie! – zawołała Kunegunda głosem ochryplym ze złości, zaś Agnes głośno krzyknęła. – Na świętą Barbarę, moja panno, masz wyborny pomysł! Czy naprawdę chcesz przybrać postać broczącej krwią mniszki? Co za niedowiarstwo! Co za bezbożność! Do licha, mam szczerą ochotę dozwolić ci na wykonanie tego zamysłu. Gdy spotkasz się z prawdziwym upiorem, ręczę ci, że ładnie będziesz wyglądała! Don Alfonso, powinienes się wstydzić namawiając młode i nierozumne stworzenie do opuszczenia rodziny i przyjaciół. Ale chociaż tym razem udaremnię twoje nieczne zamiary. Jaśnie pani dowie się o wszystkim, a Agnes musi odłożyć zabawę w upiora na lepszą okazję. Zegnaj, *señor*... Donno Agnes, niechże mam zaszczyt odprowadzenia jejmość zjawy do jej apartamentu.

Zbliżyła się do sofy, na której siedziała jej drżąca wychowanka, ujęła ją za rękę i gotowała się do wyprowadzenia Agnes z pawilonu.

Przytrzymałem Kunegundę i usiłowałem przeciągnąć ją na naszą stronę błaganiami, słodkimi obietnicami i pochlebstwem, lecz spostrzegłszy, że cokolwiek powiem, i tak na nic się nie przyda, porzuciłem te bezowocne próby.

– Twój własny upór cię ukarze – rzekłem. – Pozostaje mi tylko jedyny sposób ocalenia Agnes i siebie samego i nie zawaham się go użyć.

Przestraszona tą pogróżką, znowu próbowała wyjść z pawilonu, ale złapałem ją za przegub ręki i siłą przytrzymałem. W tej samej chwili Teodor, który wsunął się za Kunegundą do izby, zamknął drzwi i odciął jej drogę ucieczki. Zdałem welon Agnes i zarzuciłem go duennie na głowę; wrzeszczała tak przeraźliwie, iż lękałem się, że ją ktoś postyszy, choć znajdowaliśmy się w sporej odległości od zamku. W końcu udało mi się ją tak dokładnie zakneblować, że nie mogła

wydać z siebie ani jednego dźwięku. Następnie, choć nie bez trudu, udało mi się przy pomocy Teodora skrepować jej ręce i nogi naszymi chustkami. A potem doradziłem Agnes, aby jak najspieszniej wróciła do swojej komnatki. Obiecałem jej, że Kunegundzie nie stanie się żadna krzywda; prosiłem, aby pamiętała, że piątego maja czekać będę na nią przy głównej bramie zamkowej, i czule się z nią pożegnałem. Drżąca i zakłopotana, ledwo miała dość siły, aby dać mi do zrozumienia, iż przystaje na mój projekt, i w pomieszczeniu i konfuzji umknęła na powrót do swojej komnatki.

W tym czasie Teodor pomagał mi wprowadzić naszą podstarzałą zdobycz. Przenieśliśmy Kunegundę przez mur, umieścili przede mną na koniu niczym podrózne juki i pogalopowaliśmy z nią, byle dalej od lindenberskiego zamku. Nieszczęsna duenna nigdy w życiu nie odbyła równie niemiłej podróży. Trzęsło ją i podrzucało tak straszliwie, iż przypominała ledwie żywą mumię, nie mówiąc już o jej przerażeniu, gdyśmy przeprawiali się w pław przez rzekę, którą musieliśmy przebyć, by dostać się na powrót do wioski. Zanim dotarłem do gospody, obmyśliłem sobie, co począć z kłopotliwą starą. Wjechaliśmy w uliczkę, przy której stała gospoda, i gdy mój pazik pukał do drzwi, ja czekałem w niewielkiej odległości od wejścia. Gospodarz otworzył drzwi trzymając w dłoni kaganek.

– Podaj mi światło – rzekł Teodor. – Mój pan właśnie nadjeżdża.

Wyrwał mu spiesznie kaganek z ręki i umyślnie upuścił na ziemię. Gospodarz wrócił do kuchni po światło i zostawił otwarte drzwi. Skorzystałem z ciemności, zeskoczyłem z konia z Kunegundą w ramionach, udałem się chyżo na górę i nie postrzeżony przez nikogo dotarłem do mojej izby, a otworzywszy drzwi do obszernej komórki, wepchnąłem tam guwernantkę i przekręciłem klucz w zamku. Wkrótce ukazali się gospodarz i Teodor z kagankami; pierwszy wyraził zdziwienie, że wróciłem tak późno, lecz nie zadawał niedyskretnych pytań. Wkrótce opuścił pokój, pozwalając mi radować się powodzeniem mojego przedsięwzięcia.

Natychmiast złożyłem wizytę uwięzionej. Starąłem się przekonać ją, by cierpliwie zniosła to chwilowe zamknięcie. Usiłowania moje nie powiodły się. Ponieważ nie mogła ani mówić, ani się poruszyć, wyrażała wściekłość wejrzeniem. Z wyjątkiem posiłków – nigdy nie odważyłem się rozluźnić jej więzów lub wyjąć knebla. A wtedy stałem nad nią z wyciągniętym sztyletem oznajmiając, iż jeśli tylko piśnie słowo, zatopię stal w jej piersi. Skoro tylko skończyła jeść, na powrót zakładałem jej knebel. Zdawałem sobie sprawę, że postępowałem okrutnie, i usprawiedliwiały mnie tylko nagłe okoliczności. Co do Teodora, to zgoła nie miał skrupułów w tym względzie. Uwieszenie Kunegundy bawiło go ponad wszelkie pojęcie. W czasie pobytu w zamku prowadził z duenną stałą wojnę i teraz, gdy nieprzyjaciółka znalazła się tak całkowicie w jego mocy, triumfował nad nią bez miłosierdzia. Zdawało się, że myśli tylko o nowych sposobach dokuczenia Kunegundzie. Czasami udawał, iż użala się nad jej niedolą, potem zaś wyśmiewał ją, wykpiwał i przedrzeźniał; płał jej mnóstwo figlów, a każdy był złośliwszy od poprzedniego, i zabawiał się opowiadaniem jej, iż jej ucieczka z kochankiem musiała wzbudzić ogromne zdumienie w domostwie barona. Tak rzeczywiście było. Nikt, z wyjątkiem Agnes, nie mógł dojść, co stało się z panną Kunegundą. Szukano jej po wszystkich kątach i zakamarkach, zgruntowano stawy i przepatrzone dokładnie lasy. A panny Kunegundy jak nie było, tak nie było. Agnes trzymała rzecz w sekrecie, a ja trzymałem duennę; baronowa pozostawała więc w zupełnej nieświadomości co do losów starej niewiasty, lecz podejrzewała, iż Kunegunda odebrała sobie życie.

Tak upłynęło pięć dni, w czasie których przygotowałem wszystko, co było potrzebne do mego przedsięwzięcia. Zaraz po rozstaniu się z Agnes zająłem się wysłaniem do Monachium pewnego wieśniaka z listem do Łukasza; rozkazałem mu, by postarał się o wynajęcie karety zaprzężonej w czwórkę koni, która winna przybyć piątego maja o dziesiątej wieczorem do

Rosenwaldu. Sługa skrupulatnie wypełnił moje rozkazy i ekwipaż przybył w oznaczonym czasie. W miarę jak zbliżała się pora ucieczki Agnes, rosła wściekłość Kunegundy. Jestem święcie przekonany, że zawiść i pasja przywiodłyby ją do śmierci, gdybym szczęśliwie nie odkrył, iż dama gustuje w wiśniowej nalewce. Zaopatrywaliśmy ją obficie w ten ulubiony likwor, a ponieważ Teodor stale pozostawał przy niej na straży, wyjmował jej od czasu do czasu knebel z ust. Wiśniówka zdawała się wywierać cudowny, łagodzący wpływ na cierpką naturę Kunegundy, a jako że pozostawała w zamknięciu, co wykluczało wszelkie inne rozrywki, upijała się regularnie raz na dzień – ot tak, dla przepędzenia czasu.

Nadszedł piąty maja, dzień, którego nigdy nie zapomnę! Nim zegar wydzwonił północ, udałem się na oznaczone miejsce. Teodor podążył za mną na koniu. Ukryłem karetę w obszernej górskiej pieczarze, znajdującej się pod występem skalnym, na którym stał zamek. Pieczara była niezmiernie głęboka i znana wśród wieśniaków pod mianem jaskini lindenberskiej. Noc była piękna i spokojna; promienie księżyca padały na stare wieżycy zamku i oblewały ich hełmy srebrzystą poświatą. Dookoła panowała zupełna cisza; nie słyszałem nic prócz westchnień nocnego wietrzyka przebiegającego przez liście drzew, odległego szczekania wiejskich kundli i wołania sowy, która znalazła sobie mieszkanie w zagłębieniu opuszczonej wschodniej wieżyczki. Dochodziło mnie jej melancholijne pohukiwanie, więc spojrzałem w górę; siedziała na gzysie okna; rozpoznałem okno komnaty nawiedzanej przez upióra. Przywiodło mi to na myśl historię zboczonej krwi mniszki i ciężko westchnąłem, wspomniawszy wpływ zabobonu i słabość ludzkiego rozumu. Nagle postyszałem słaby chóralny śpiew, który wkraść się w ciszę nocy.

– Cóż to za głosy, Teodorze?

– Jakiś znamienity cudzoziemiec – odparł – przejeżdżał dziś przez wioskę w drodze do zamku. Powiadają, że to ojciec *donny* Agnes. Niechybnie baron wyprawił jakąś fetę dla uczczenia jego przybycia.

Zegar zamkowy oznajmił północ. Bicie zegara stanowiło zazwyczaj dla wszystkich domowników sygnał do udania się na nocny spoczynek. W chwilę później ujrzałem, jak zamkowe światelka poruszają się tu i tam w najrozmaitszych kierunkach. Domyśliłem się, że kompania się rozchodzi. Mogłem usłyszeć skrzypienie ciężkich podwoi, które z trudem się otwierały, a gdy je na powrót zamykano, spróchniałe skrzydła drzwiowe trzeszczały w futrynach. Komnata Agnes położona była po drugiej stronie zamku. Drżałem, czy udało się jej uzyskać klucz od pokoju, w którym straszyło. Musiała przejść przez ową komnatę, aby dotrzeć do stromych schodów, którymi upiór ponoć schodził do wielkiej sieni. Wzburzony tymi przewidywaniami, wpatrywałem się nieprzerwanie w okno, w którym spodziewałem się ujrzeć przyjazny błysk kaganka niesionego przez Agnes. Wnet usłyszałem, jak odsuwają się sztaby z potężnych bram. Dzięki świecy, którą trzymał w ręce, rozpoznałem Konrada, odźwiernego zamczyska. Otworzył na oścież główną bramę i zniknął. Światelka w zamku powoli gasły i w końcu ciemność spowiła cały gmach.

Gdym tak siedział na urwistym zboczu pagórka, spokojność tej sceny wzbudziła we mnie melancholijne myśli, nie pozbawione jednak pewnej słodyczy. Zamek, który miałem przed oczyma w całej jego okazałości, stanowił widok równie groźny, jak malowniczy. Jego zwaliste mury, posrebrzone uroczystą księżycową poświatą, jego stare i częściowo pokruszone baszty sterczące ku chmurom i zdające się srogo spoglądać na otaczające je równiny, jego wyniosłe, porośnięte bluszczem blanki i dwuskrzydłe bramy, rozwarłe szeroko na cześć urojonej mieszkanki zamczyska, napawały mnie żalostną i świętą grozą. Zbliżyłem się do zamku i odważyłem obejść go dookoła. Kilka promyków światła migotało jeszcze w pokoju Agnes. Spoglądałem na nie radośnie. Wciąż się w nie wpatrując ujrzałem, jak jakaś postać zbliża się do okna i starannie

zaciąga kotarę, aby ukryć płonąca w komnatce lampkę. Przekonało mnie to, że Agnes nie porzuciła naszego zamysłu, i z lekkim sercem wróciłem na poprzednie stanowisko.

Wybiło wpół do pierwszej! Wybiło trzy na pierwszą! Serce waliło mi jak młotem z nadziei i oczekiwania. W końcu usłyszałem upragniony dźwięk. Zegar wybił godzinę pierwszą, a donośny i uroczysty głos dzwonu ozwał się echem w całym zamczysku. Spojrzałem w górę, ku okiennicom nawiedzanej przez upiora komnatki... Nie upłynęło pięć minut, jak ukazało się oczekiwane przeze mnie światło. Stałem teraz w pobliżu wieży. Okna nie były umieszczone tak wysoko, abym mógł wziąć za urojenie widok niewieściej postaci z kagankiem w ręce kroczącej wolno wzdłuż pokoju. Światło rychło przygasło i wszystko ogarnął na powrót posepny mrok. Kiedy nadobna zjawa mijała okna wychodzące na schody, padały z nich od czasu do czasu jasne błyski. Wypatrzyłem światło biegnące wzdłuż sieni i w końcu ujrzałem, jak Agnes przechodzi przez główną bramę. Była odziana dokładnie tak samo, jak mi to uprzednio napisała. Z ręki zwisał różaniec, głowę otulał długi biały welon, habit splamiony był krwią i nie zapomniała zaopatrzyć się w lampkę i sztylet. Zbliżyła się do miejsca, w którym stałem. Rzuciłem się na jej spotkanie i pochwytiłem ją w ramiona.

– Agnes! – zawołałem tuląc ją do piersi.

*Agnes, póki życie trwa,*

*Moją jesteś – twoim ja.*

*Póki serce czuciem drga,*

*Tyś jest moja!*

*Twoim – ja,*

*Moje ciało, dusza ma!*

Była tak przerażona i zdyszana, iż nie zdołała przemówić. Upuściła kaganek i sztylet i w milczeniu osunęła się w moje ramiona. Podniosłem ją i umieściłem w karecie. Teodor pozostał, by uwolnić jejmość Kunegundę. Obarczyłem go także listem do baronowej, w którym tłumaczyłem jej całą sprawę i błagałem o życzliwe pośrednictwo u don Gastona oraz o pogodzenie go z myślą o moim związku z jego córką. Udowodniłem jej, że zarówno moje urodzenie, jak i czekające mnie dziedzictwo usprawiedliwiały konkury do jej siostrzenicy, i zapewniłem ją, że chociaż nie było w mojej mocy odwzajemnić jej uczuć, nieprzerwanie będę się starał, by zasłużyć na jej przyjaźń i szacunek.

Wsiadłem do powozu, w którym już znajdowała się Agnes. Teodor zamknął drzwiczki i woźnice ruszyli. Z początku lubowałem się chyżością naszej jazdy, ale gdy przestało nam grozić niebezpieczeństwo pogoni, zawołałem na woźniców i kazałem miarkować szybkość. Na próżno próbowali mnie usłuchać; konie nie zważały na ściągnięte cugle i mknęły dalej z zadziwiającą szybkością. Woźnice podwoili wysiłki, aby je zatrzymać, lecz zwierzęta poczęły

wierząc i stawać dęba, przez co rychło uwolniły się od krępujących je wodzy. Wrzeszcząc przeraźliwie woźnice stoczyli się na ziemię. Natychmiast ciężkie chmurzyska zaciemniły niebo; wichry zaryczały dookoła nas, błyskawice przecinały firmament, a grzmot przewalał się ze straszliwym hukiem. Nigdy nie oglądałem tak przerażającej burzy! Konie, wystraszone tumultem skłóconych żywiołów, zdały się z każdą chwilą zwiększać swój pęd. Nic nie mogło ich powstrzymać; wlokły pojazd przez płoty i rowy, mknęły w głąb najbardziej niebezpiecznych przepaści i zdały się współzawodniczyć w szybkości z chyżością wichru.

Przez cały czas moja towarzyszka spoczywała w moich ramionach. Szczerze przerażony ogromem niebezpieczeństwa, na próżno starałem się ją ocucić... gdy wtem donośny huk oznajmił mi, że nasza jazda się skończyła, i to w najbardziej niefortunny sposób. Kareta roztrzaskała się na kawałki, a ja padając uderzyłem skronią o krzemień. Bolesność rany, gwałtowny wstrząs i lęk o bezpieczeństwo Agnes – wszystko razem tak mnie zmogło, że zmysły mnie opuściły i jak nieżywy padłem na ziemię.

Przypuszczam, iż leżałem tak przez pewien czas, bo gdy otworzyłem oczy, był jasny dzień. Otaczało mnie kilku wieśniaków, którzy zdali się rozprawiać, czy możliwe jest, abym jeszcze żył. Mówiłem po niemiecku wcale biegle. Skoro tylko mogłem wypowiedzieć zrozumiałe słowo, zapytałem o Agnes. Jakież było moje zdziwienie i udreka, gdy wieśniacy zapewnili mnie, że nie widzieli nikogo, kto by wyglądem odpowiadał postaci, jaką im opisałem. Opowiedzieli mi, że idąc jak co dzień do pracy przerazili się widokiem mojej roztrzaskanej karety i rżeniem konia, jedyne z czterech rumaków, który pozostał przy życiu; trzy inne leżały martwe tuż koło mnie. Kiedy do mnie podeszli, nie było nikogo w pobliżu i stracili sporo czasu, nim udało im się przywieść mnie do przytomności. Nie sposób wyrazić, jak zafrasowałem się o los mojej towarzyszki i błagałem wieśniaków, by rozeszli się na jej poszukiwanie. Opisałem odzienie Agnes i obiecałem królewską nagrodę temu, kto przyniesie mi jakąkolwiek wiadomość. Mnie samemu nie sposób było przyłączyć się do pościgu; upadając złamałem dwa zębra, zwichnięta prawa ręka zwisała bezużytecznie z ramienia, a lewą miałem tak straszliwie pogruchoaną, iż nigdy nie spodziewałem się, że będę nią jeszcze władał.

Wieśniacy zgodzili się na moją prośbę; rozeszli się wszyscy prócz czwórki ludzi, którzy przysposobili nosze z gałęzi i gotowali się zanieść mnie do pobliskiego miasta. Spytałem o nazwę grodu: okazało się, iż jest to Ratzbona; z trudem mogłem pojąć, jak przebyłem taką odległość w ciągu jednej nocy. Powiedziałem kmiotkom, że o pierwszej w nocy przejeżdżałem przez wieś Rosenwald. Pokiwali żałośnie głowami i dawali sobie znaki, że niechybnie mającę. Zaniesiono mnie do wcale schludnej gospody i natychmiast położono do łóżka. Posłano po cyrulika, który zręcznie złożył ramię; potem obejrzał inne poranienia i rzekł, że nie mam się co kłopotać o ich następstwa; zalecił mi jednak zupełny spokój i radził przygotować się na bolesną i uciążliwą kurację. Odpowiedziałem mu, iż jeśli chce, bym zażywał spokoju, musi najpierw postarać się o uzyskanie wieści o damie, która poprzedniej nocy opuściła Rosenwald w mojej kompanii i znajdowała się ze mną w chwili rozbicia karety. Uśmiechnął się i odrzekł tylko, bym się nie trapił, bo będą tu mieć o mnie najtroskliwsze staranie. Na odchodnym spotkał się w drzwiach izby z gospodynią.

– Jegomość nie ma wszystkich klepek w porządku: jest to oczywisty skutek upadku i rychło mu to przejdzie – posłyszałem, jak rzekł cichym głosem do gospodyni.

Wieśniacy powracali do gospody jeden po drugim i oznajmiali mi, że nie napotkali na żaden ślad mojej nieszczęsnej kochanki. Niepokój przeobraził się teraz w rozpacz. Zaklinałem ich w najżarliwszych słowach, by wznowili poszukiwania, podwajając obietnice, którym im był uprzednio uczynił. Gwałtowność i zapamiętanie, z jakim dopytywałem się o Agnes, utwierdziła obecnych przy moim łożu w mniemaniu, iż bredzę w gorączce. Ponieważ nie natrafiono na żaden

śląd zaginionej damy, wieśniacy mniemali, iż jest to jakaś istota urojona w moim rozgorączkowanym mózgu, i nie zważali na moje błagania. Co prawda gospodyni zapewniała mnie, iż rozpoczną nowe poszukiwania, ale dowiedziałem się później, że dała mi tę obietnicę tylko po to, by mnie uspokoić. Nic już nie uczyniono w tej sprawie.

Chociaż moje kufry pozostały w Monachium pod opieką francuskiego sługi, to gotując się do dłuższej podróży miałem przy sobie obficie wypchaną sakiewkę: mój pojazd świadczył również, iż pochodzę z wyższego stanu, co sprawiło, iż świadczone mi w gospodzie wszelakie możliwe usługi. Minął znów dzień bez wieści o Agnes. Niepokój i obawa ustąpiły miejsca przygnębieniu. Przestałem bredzić o Agnes i pogrążyłem się w otchłani melancholijnych rozmyślań. Gdy moi opiekunowie zoczyli, iż milczę i leżę spokojnie, sądzili, iż gorączkowe majaki ustąpiły i że choroba się przesiliła. Stosownie do poleceń cyrulika przełknąłem uspokajający medykament i skoro tylko zapadła noc, posługujący oddalili się, dozwalając mi na zażycie spoczynku.

Próżno jednak wzdychałem za owym spoczynkiem. Niespokojność serca przepędziła precz całą senność... Umysł miałem wzburzony i mimo utrudzenia ciała wciąż przewracałem się z boku na bok, póki zegar na pobliskiej wieży nie wybił godziny pierwszej. Kiedy ten żałobny i głuchy dźwięk dotarł do moich uszu i posłyszałem, jak zamiera w poszumie wiatru, poczułem jakiś nagły ziań, który przeniknął całe moje ciało. Zadrzałem, sam nie wiedząc dlaczego, zimny pot spływał mi po czole, a włosy zjeżyły mi się na głowie ze strachu. Nagle usłyszałem powolne i ciężkie kroki wstępujące na schody. Mimowolnie uniosłem się na łożu i odchyliłem zasłonę. Jedyne ogarek, który migotał na kominku, rzucił mdłe błyski na izbę zawieszoną oponami. Gwałtownie otwarto drzwi. Wkroczyła jakaś postać i przybliżyła się do łóżka uroczystym, miarowym krokiem. Drżąc z lęku, przyglądałem się owemu nocnemu gościowi. Wszechmocny Boże! była to brocząca krwią zakonnica! Była to moja utracona towarzyszka! Oblicze miała jeszcze przysłonięte, lecz nie dzierżyła już w dłoniach lampki i sztyletu. Wolno podniosła welon. Jakież widok przedstawił się moim osłupiałym oczom! Ujrzałem przed sobą żywego trupa. Oblicze miała zmizerowane i wynędzniałe, policzki i wargi bez kropli krwi, twarz kryła śmiertelna bladość, a oczy, które uparcie we mnie wbijała, były zapadnięte i bez blasku.

Nie sposób opisać grozy, z jaką spoglądałem na owego upiora. Krew zakrzepła mi w żyłach. Byłbym zawołał o pomoc, ale głos zamarł mi w gardle, nim zdolny był przejść przez usta. Wszystkie fibry ciała sparaliżowała niemoc i trwałem wciąż w tej samej postawie, nieporuszony jak posąg. Duch mniszki spoglądał na mnie w milczeniu przez kilka minut: było coś porażającego w jej wejrzeniu. W końcu niskim, grobowym głosem wyrzekła:

*O Rajmondzie, póki trwa*

*Zycie – twoją jestem ja.*

*Tyś jest mój!*

*Twoją ja!*

*Tyś mój, póki serce drga,*

*Moje ciało, dusza twa!*

Z tchem zapartym z przerażenia przysłuchiwałem się, jak powtarzała moje własne słowa. Zjawa usadowiła się naprzeciw mnie w nogach łóżka i milczała. Wlepiła we mnie poważne wejrzenie: oczy jej zdawały się być obdarzone właściwościami wzroku grzechotnika, na próżno bowiem usiłowałem oderwać od niej oczy. Były zaczarowane i nie miałem siły, by odwrócić je od upiora.

Zjawa przesiedziała tak przez całą godzinę, bez ruchu i bez słowa: ja również niezdolny byłem się poruszyć ani przemówić. Na koniec zegar wybił godzinę drugą. Zjawa podniosła się i zbliżyła ku wezgowiu. Chwyciła zimnymi jak lód palcami moją dłoń, która leżała jak martwa na przykryciu, i przyciskając zimne usta do moich warg znowu powtórzyła:

*O Rajmondzie, póki trwa*

*Zycie – twoją jestem ja.*

*Tyś jest mój!...*

Potem puściła moją dłoń, wolnymi krokami wyszła z pokoju, a drzwi same się za nią zamknęły. Aż do tej chwili władze mojego ciała tknięte były paralizem – tylko umysł miałem przytomny i czujny. Teraz działanie czaru ustało: krew, która zakrzepła mi w żyłach, gwałtownie przyplęnęła do serca: wydałem głęboki jęk i bez ducha opadłem na poduszki.

Sąsiedni pokój dzieliło od mojego tylko cienkie przepierzenie: izbę zajmował właściciel gospody wraz z żoną. Mój jęk wyrwał gospodarza ze snu i natychmiast pospieszył on do mojej komnaty, a gospodyni nadeszła tuż za nim. Nie bez trudu udało się im przywrócić mnie do przytomności, po czym bez zwłoki posłali po cyrulika, który natychmiast przybiegł. Oświadczył, iż wzmogła mi się gorączka i że jeśli nadal pozostawać będę w tak gwałtownym podnieceniu, to nie ręczy za utrzymanie mnie przy życiu. Podał mi jakieś lekarstwa, które nieco ukoiliły moje zmysły. O świcie zapadłem w rodzaj drzemki, ale straszliwe sny nie dozwoliły mi wyciągnąć żadnej korzyści ze spoczynku. Wyobrażenia stawiała mi przed oczyma już to brocząca krew mniszka, już to Agnes, a widok jednej i drugiej nękał mnie i dręczył. Zbudziłem się umęczony i niewypoczęty. Gorączka raczej się wzmogła, niżli opadła, a wzburzenie umysłu przeszkadzało zrastaniu się połamanych kości. Co chwila popadałem w omdlenie i w ciągu całego dnia cyrulik uważał za konieczne czuwać nade mną, opuściwszy mnie ledwie na jakie dwie godziny.

Moja przygoda była tak osobliwa, iż postanowiłem ukryć ją przed wszystkimi, nie mogąc oczekiwać, by ktoś dał wiarę tak dziwacznemu wydarzeniu. Okrutnie frasowałem się o Agnes. Nie wiedziałem, co sobie pomyślała, nie zastawszy mnie na miejscu schadzki, i lękałem się, iż poweźmie podejrzenie co do mojej wierności. Polegałem jednak na roztropności Teodora i ufałem, że mój list do baronowej przekona Agnes o rzetelności moich zamiarów. Owe refleksje ujęły nieco ciężaru obawom, jakie żywiłem o ukochaną, ale wrażenie, jakie wywarł na moim umyśle mój nocny gość, stawało się z każdą godziną coraz silniejsze. Nadciągała noc: bałem się zapadnięcia zmroku, a jednak usiłowałem wmówić sobie, że upiór się więcej nie pojawi. Na wszelki wypadek zażądałem, aby sługa czuwał w mojej sypialni.



Utrudzenie ciała, jako że nie spałem poprzedniej nocy, współdziałając z silnym napojem nasennym, którym mnie obficie uraczono, zapewniły mi w końcu tak bardzo potrzebny spoczynek. Zapadłem w głęboki i spokojny sen i przespałem już kilka godzin, kiedy pobliski zegar obudził mnie wybiciem godziny pierwszej. Dźwięk ów przywiódł mi na pamięć wszystkie okropności poprzedniej nocy. Pochwyciły mnie te same zimne dreszcze. Podniosłem się na łożu i ujrzałem, jak sługa smacznie śpi w stojącym w pobliżu łóżka fotelu. Zawołałem nań po imieniu: nie było żadnej odpowiedzi. Silnie potrząsałem go za ramię i próżno usiłowałem obudzić: był całkowicie nieczuły na moje wysiłki. Tu posłyszałem ciężkie kroki wstępujące na schody, drzwi same się rozwarły i znowu stanęła przede mną brocząca krwią mniszka. Raz jeszcze członki moje przygwożdżone zostały do łoża niemowlęcą słabością, raz jeszcze posłyszałem, jak zjawa powtarza owe złowieszcze słowa:

*O Rajmondzie, póki trwa*

*Zycie – twoją jestem ja.*

*Tyś jest mój!...*

Znowu powtórzyła się scena, która wstrząsnęła mną tak okrutnie poprzedniej nocy. Upiór znowu przycisnął wargi do moich ust., dotknął mnie zgniętymi palcami i, podobnie jak za pierwszym razem, opuścił komnatę, skoro tylko zegar wybił godzinę drugą.

Powtarzało się to każdziutkiej nocy. Nie tylko nie przyzwyczaiłem się do upiora, ale każda następna wizyta napełniała mnie straszliwszą grozą. Ustawicznie prześladowała mnie myśl o tym zjawisku i wydany zostałem na łup trwałej melancholii. Ciągłe wzburzenie ducha opóźniało powrót do zdrowia. Upłynęło parę miesięcy, nim zdołałem opuścić łożko, a kiedy w końcu przeniosłem się na kanapę, byłem tak marny, osłabły i wychudzony, iż nie mogłem przejść przez pokój o własnych siłach. Spojrzenia ludzi, którzy mi posługiwali, aż nadto świadczyły o nikłej nadziei, jaką żywili co do mego ozdrowienia. Przygniatał mnie ustawicznie głęboki smutek, co sprawiło, iż uznali mnie za hipochondryka. Starannie kryłem w sercu przyczyny rozpacz, bo wiedziałem, że nikt nie zdoła mi ulżyć. A zresztą, nikt prócz mnie nigdy nie widział upiora. Często domagałem się, aby ktoś czuwał w mojej komnacie, ale w chwili gdy zegar wybijał godzinę pierwszą, czuwających morzył nieodparty sen i nie opuszczał ich do odejścia widma.

Pewnie się dziwisz, że przez ten czas nie dowiadywałem się o twoją siostrę. Teodor, który z trudem odnalazł moje schronienie, ukoił moje obawy o jej bezpieczeństwo, a jednocześnie przekonał, że wszelkie starania, by uwolnić Agnes z zamknięcia, muszą pozostać bezowocne, póki nie będę dość silny, aby powrócić do Hiszpanii. Szczegóły jej przygody, które ci teraz opowiem, wyjawiał mi częściowo Teodor, a częściowo sama Agnes.

Owej fatalnej nocy, kiedy zamierzała ze mną uciec, jakiś przypadek nie dozwolił jej na opuszczenie komnatki w oznaczonym czasie. W końcu dotarła do izby nawiedzanej przez ducha i zeszła po schodkach wiodących do sieni: tak jak przewidywała, zastała bramy otwarte i nie postrzeżona przez nikogo opuściła zamek. Jakże się zdumiała zoczywszy, iż nie oczekuję na jej przybycie! Przepatrzyła całą pieczarę, przebiegła wzdłuż każdą alejkę pobliskiego lasku i strawiła całe dwie godziny na tych próżnych poszukiwaniach. Nie mogła odnaleźć żadnych śladów ani moich, ani karocy. Wylękłej i pełnej zwątpienia pozostało jedynie powrócić do

zamku, póki baronowa nie dostrzeże jej nieobecności; lecz tu znalazła się w nowym kłopotcie. Zegar wydzwonił już godzinę drugą: godzina duchów minęła i sumienny odźwierny zaryglował bramy. Długo się wahała, nim odważyła się cichutko zapukać. Szczęściem dla niej Konrad jeszcze nie spał; posłyszał hałas i zwłókł się z pościeli mruczając, iż fatygują po raz drugi. Lecz skoro tylko otworzył jedno skrzydło drzwi i ujrzał domniemaną zjawę czekającą na wpuszczenie do zamku, z gardła wydarł mu się donośny krzyk i padł na kolana. Agnes skorzystała z jego przerażenia, prześliznęła się mimo i umknęła do swej komnatki; zrzuciwszy z siebie przyodziewek widma, położyła się do łóżka, próżno usiłując wytłumaczyć sobie moje zniknięcie.

Tymczasem Teodor widząc, że moja karetka z mniemaną Agnes odjechała, powrócił radośnie do wioski... Następnego ranka uwolnił Kunegundę z zamknięcia i towarzyszył jej do zamku. Tu znalazł baronową, jej małżonka i don Gastona rozprawiających o opowieści odźwiernego. Wszyscy zgodnie przyznali, iż wierzą w istnienie upiórów, ale don Gaston utrzymywał, że upiór kołatający do drzwi, by go wpuszczono, był zjawiskiem, którego nikt dotąd nie oglądał i postąpił całkowicie niezgodnie ze swoją niematerialną naturą. Wciąż dyskutowali o tym, kiedy pojawił się pazik wraz z Kunegundą i wyjaśnił tajemnicę. Posłyszawszy jego relacje, zgodzono się jednomyślnie, że ową Agnes, którą Teodor widział wsiadającą do karety, była brocząca krwią mniszka, a upiorem, który przeraził Konrada, nikt inny, tylko córka don Gastona.

Gdy minęło nieco zdziwienie spowodowane owym odkryciem, baronowa postanowiła, iż spożytkuje tę wiadomość w celu przekonania siostrzenicy, by wstąpiła do klasztoru. Obawiając się, iż tak korzystne małżeństwo córki skłoni don Gastona do odstąpienia od jego decyzji, ukryła mój list i dalej przedstawiała mnie jako pozbawionego majątku, nieznanego awanturnika. Dziecinna próżność skłoniła mnie do zatajenia prawdziwego nazwiska nawet przed moją umiłowaną: pragnąłem być kochany dla swych własnych zalet, a nie dlatego, że byłem synem i dziedzicem markiza de Las Cisternas. Skutek był taki, iż nikt w zamku prócz baronowej nie znał mego tytułu, a ta już się dobrze postarała o zachowanie tej wiadomości tylko dla siebie. Don Gaston poparł zamiary siostry i wezwano Agnes, by się przed nimi stawiała. Zarzucono jej, iż przemyśliwała o ucieczce z kochankiem, zmuszono ją, by wszystko wyznała, i zadziwiono łagodnością, z jaką przyjęto jej spowiedź. Jaki smutek ją ogarnął, gdy wyjaśniono jej, że niepowodzenie swego zamysłu musi przypisać tylko i wyłącznie mnie! Kunegunda, wyuczona przez baronową, okłamała Agnes, że uwalniając guwernantkę poprosiłem ją, by oznajmiła swojej pani, iż nasza znajomość się skończyła. Miałem rzec ponoć, że cała sprawa zrodziła się z fałszywej plotki i że ze względu na moje położenie nie odpowiadało mi zaślubienie panny bez posagu i bez widoków na jakieś dziedzictwo.

Moje nagłe zniknięcie przydało owej relacji aż nazbyt wiele pozorów prawdy. Teodor, który mógł zaprzeczyć tej bajce, trzymany był z rozkazu *donny* Rodolfy z daleka od Agnes. Jeszcze skuteczniejszym potwierdzeniem plotki, iż jestem oszustem, okazało się nadejście twego listu, mój Lorenzo, w którym oświadczyłeś, że nie znasz żadnego Alfonsa d'Alvarada. Te widoczne dowody mojej przewrotności wespół z chytrymi podszeptami ciotki, pochlebstwem Kunegundy i pogroźkami gniewnego ojca, całkowicie przewyciężyły wstręt twojej siostry do klasztornej życia. Rozjątrzona moim postępkami i zbrzydzone całym światem, zgodziła się na złożenie ślubów. Spędziła jeszcze miesiąc w zamku lindenberskim, a ponieważ się w tym czasie nie pojawiłem, utwierdziła się w swoim postanowieniu i wyruszyła z don Gastonem do Hiszpanii. Wtedy dopiero wypuszczono Teodora na wolność. Pospieszył do Monachium, gdzie obiecałem zostawić mu wiadomość, ale gdy dowiedział się od Łukasza, że nigdy tam nie dotarłem, nadal szukał mnie z niestrudzoną wprost wytrwałością i w końcu udało mu się połączyć ze mną w Ratyzbonie.

Tak bardzo byłem odmieniony, że ledwo mógł rozpoznać moje oblicze. Rozpacz, jaka odmalowała się przy tym na jego twarzy, dowodnie świadczyła, jak żywo go obchodziłem. Towarzystwo tego miłego chłopaczka, którego zawsze uważałem raczej za towarzysza niżli za sługę, było teraz moją jedyną pociechą. Gawędził wesoło, ale roztropnie, a jego uwagom nie brakowało bystrości i dowcipu. Skubnął znacznie więcej wiedzy, niżli to zwykle przydarza się w jego wieku, ale co czyniło mi go specjalnie miłym, to powabny głos i nie byle jaka biegłość w muzyce. Ukształcił także w sobie pewien gust do poezji, a nawet odważał się niekiedy składać wiersze. Często układał w języku hiszpańskim krótkie ballady. Muszę przyznać, iż były to błahe utwory, a jednak przypadały mi do gustu przez swą świeżość, a przysłuchiwanie się Teodorowi, który śpiewał je przy akompaniamencie gitary, było jedyną przyjemnością, jakiej zdolny byłem zażywać. Teodor dobrze postrzegł, iż czymś się trapię, lecz ponieważ skrywałem przyczyny mojego smutku nawet przed nim, szacunek nie dozwoliłby mu wnikać w moje sekrety.

Pewnego wieczora leżałem na sofie pogrążony w niezbyt przyjemnych rozmyślaniach; Teodor zabawiał się oglądaniem z okna bójki dwóch woźniców, którzy kłócili się na podwórzu gospody.

– Ha! Ha! – zawołał nagle – A oto i Wielki Mongoł.

– Kto taki? – zapytałem.

– E, tylko jakiś człowiek, który do mnie dziwnie przemawiał w Monachium.

– A o czymże ci mówił?

– Teraz przywiódłeś mi to na myśl, *señor*: był to rodzaj poselstwa do ciebie, ale zaprawdę niewarte było przekazania. Jeśli o mnie idzie, to mniemam, że to jakiś pomylenieć. Kiedy przybyłem do Monachium, aby cię odszukać, zastałem go w gospodzie „Pod Rzymskim Królem”, a gospodarz dziwacznie o nim prawił. Sądząc z wymowy, przypuszczano, iż jest cudzoziemcem, lecz nikt nie odgadł, z jakiego kraju pochodzi. Wyglądało na to, że nie ma w mieście żadnych znajomków, rzadko się odzywał i nikt nigdy nie widział, aby się uśmiechnął. Nie miał ze sobą ani służby, ani żadnego dobytku, ale wydaje się, że miał dobrze nabitą kabeę i czynił w mieście dużo dobrego. Niektórzy przypuszczali, że to jakiś arabski astrolog, inni, że wędrowny szarlatan, a wielu powiadało, że to Doktor Faust, którego diabeł przysłał na powrót do Niemiec. Jednak właściciel zajazdu rzekł mi, że ma wszelkie dane, by uważać go za Wielkiego Mongoła podróżującego incognito.

– Ale co z tym dziwacznym gadaniem, Teodorze...?

– Prawda, omal o nim nie zapomniałem: zaiste, nie byłaby to wielka strata, jeśli idzie o tę sprawę, gdyby mi to do cna wyszło z głowy. Powinieneś wiedzieć, *señor*, że gdy dopytywałem się o ciebie u gospodarza, ów nieznamy właśnie przechodził mimo. Zatrzymał się i przyjrzał mi się z uwagą. „Młodzieńcze – rzekł uroczystym głosem – ten, którego szukasz, znalazł to, czego by się chętnie pozbył. Tylko moja ręka może osuszyć krew. Rzeknij swemu panu, aby mnie wezwał, kiedy zegar wybije godzinę pierwszą”.

– Co? – zawołałem podnosząc się z sofy. Słowa, które powtórzył Teodor, zdały się wskazywać, że nieznamy wie o mojej tajemnicy. – Biegnij do niego, mój chłopcze! Błagaj go, by raczył ze mną chwilę porozmawiać.

Teodor zdziwił się żywością mojego zachowania; nie zadawał przecie żadnych pytań, lecz spiesznie wykonał rozkaz. Niecierpliwie oczekiwałem jego powrotu. Niebawem znowu się pojawił, wprowadzając oczekiwanego gościa do mojej komnaty. Był to człek majestatycznej prezencji: rysy miał wydatne, oczy zaś ogromne, czarne i błyszczące. W jego wyglądzie było jednakże coś, co w chwili gdy go ujrzałem, napełniło mnie tajemnym lękiem, żeby nie rzec: grozą. Ubrany był skromnie: włosy nosił nie upudrowane, a czarna aksamitna przepaska otaczała mu czoło i jeszcze dodawała jego obliczu posępności. Twarz nosiła ślady głębokiej melancholii;

krok miał powolny, sposób zaś bycia poważny, godny i uroczysty.

Skłonił mi się grzecznie i odpowiedziawszy na zwyczajne w takich wypadkach słowa powitania, skinął na Teodora, aby opuścił pokój. Pazik natychmiast zniknął.

– Znam twoją sprawę – rzekł, nie dając mi czasu na odezwanie się. – Mocen jestem wyzwolić cię od twego nocnego gościa, lecz nie mogę uczynić tego przed sobotą. Kiedy świta ranek sabatu, duchy ciemności mają najmniejszą władzę nad śmiertelnymi. Od soboty mniszka już nigdy cię nie nawiedzi.

– Czy mogę spytać – rzekłem – jakimi to sposobami wszedłeś w posiadanie mojej tajemnicy, którą tak troskliwie ukrywałem przed wszystkimi?

– Jakże mogę być nieświadomy twojej udręki, jeśli jej przyczyna w tej właśnie chwili stoi u twego boku?

Wzdrygnąłem się. Nieznajomy ciągnął dalej:

– Chociaż ty widzisz ją tylko przez godzinę na dobę, zjawa nie opuszcza cię ani w dzień, ani w nocy i nie opuści cię nigdy, póki nie zadośćuczynisz jej żądaniu.

– A jakie to żądanie?

– To musi ona sama objaśnić: leży to poza zasięgiem mojej wiedzy. Czekaj cierpliwie na sobotnią noc: wszystko się wtedy odkryje!

Nie śmiałem go więcej nagabywać. Wkrótce potem zmienił temat rozmowy i gawędził ze mną o różnych sprawach. Wymieniał imiona ludzi, którzy zmarli przed wiekami, a których jakoby znał osobiście. Nie mogłem wspomnieć o żadnym kraju, choćby najbardziej odległym, którego by nie odwiedził, ani mogłem się dość nadziwić zasięgowi i różnorodności jego wiedzy. Zauważyłem, iż tak liczne podróże i tyle rzeczy, które widział i słyszał, muszą dawać mu niewypowiedziane ukontentowanie. Żałośnie pokiwał głową.

– Nikt – odparł – nie jest zdolny pojąć niedoli, jaka mi przypadła w udziale! Los zmusza mnie do ustawicznego ruchu. Nie wolno mi przepędzić w jednym miejscu dłużej niżli dwa tygodnie. Nie mam na świecie żadnego przyjaciela, a z racji mojego fatalnego przeznaczenia nie mogę z nikim nawiązać zażyłości. Jakże chętnie wyzbyłbym się mojego nędznego żywota, albowiem zazdroścę tym, którzy cieszą się spokojem grobu. Ale śmierć unika mnie i wymyka się z moich objęć. Próżno wychodzę na spotkanie niebezpieczeństwom. Zanurzam się w wody oceanu, fale ze wstrętem wyrzucają mnie na brzegi; spieszę w ogień, płomienie cofają się, gdy się przybliżam; wystawiam się na zapamiętałość zbójców, miecze ich tępieją i łamią się na mojej piersi. Zgłodniały tygrys wzdryga się, gdy się przybliżam, a aligator ucieka przed potworem straszniejszym niżli on sam. Bóg położył na mnie pieczęć i wszystkie Jego stworzenia respektują ów fatalny znak.

Przyłożył dłoń do aksamitnej opaski otaczającej czoło. Był w jego oczach wyraz takiej wściekłości, jadu i rozpacz, że groza przeniknęła mnie aż do szpiku kości. Mimowolny dreszcz przeszedł mi po plecach i cały zdrząłem. Nieznajomy to spostrzegł.

– Na tym właśnie zasadza się nałożone na mnie przekleństwo ciągnął dalej. – Skazano mnie, bym przerażeniem i nienawiścią napełniał tych wszystkich, którzy na mnie spoglądają. Już czujesz wpływ owego uroku i z każdą następną chwilą będziesz go bardziej odczuwał. Nie będę ci jeszcze przydawał cierpienia swą obecnością. Żegnaj do soboty. Skoro tylko zegar wybije północ, oczekuj mnie przy drzwiach komnaty.

Rzekłszy to odszedł, pozostawiając mnie w zadziwieniu nad osobliwością jego mowy i manier. Zapewnienie cudzoziemca, iż rychło zostanie uwolniony od nawiedziny upiora, wywarło zbawienny skutek na moje zdrowie. Nadszedł Teodor, którego traktowałem raczej jako przybrane dziecko niżli jako sługę, i zdumiał się poprawą w moim wyglądzie. Winszował mi oznak wyzdrowienia i oświadczył, iż wielce się raduje, że tyle skorzystałem z rozmowy z Wielkim

Mongołem. Dopytywałem się o owego cudzoziemca i dowiedziałem się, iż spędził w Ratyzbonie już osiem dni. Stosownie więc do jego własnej relacji miał tu pozostać jeszcze sześć. Od soboty dzieliły nas jeszcze trzy doby. O! z jakąż niecierpliwością oczekiwałem jej nadejścia. Tymczasem brocząca krwią mniszka ponawiała swoje nocne odwiedziny, ale ponieważ żywiłem nadzieję, iż rychło uwolnię się od nich na zawsze, wywierały na mnie mniej gwałtowne wrażenie niżli uprzednio.

Nadeszła upragniona noc. By nie wzbudzać podejrzania, ułożyłem się do snu o zwyczajnej porze, ale skoro tylko śludzy odeszli, ubrałem się na powrót i przygotowałem na przyjęcie nieznanego. Wszedł do komnaty z wybiciem północy. W ręce niósł małą szkatułkę, którą umieścił w pobliżu pieca. Skłonił mi się bez słowa; odkloniłem się, również zachowując milczenie. Potem otworzył puzderko. Najpierw dobył mały drewniany krucyfiks; upadł na kolana, spoglądał nań żałośnie i wznosił oczy ku niebu. Zdawał się żarliwie modlić. Po chwili pochylił głowę ze czcią, trzykrotnie ucałował krzyż i powstał z klęczek. Następnie wydobył z pudła przykryty kielich; zawartym weń płynem, który wyglądał na krew, skropił podłogę, a potem, zanurzając w kielichu koniec krucyfiks, nakreślił pośrodku izby koło. Wokół tej linii umieścił rozmaite szczątki ludzkich kości: czaszki, piszczele itd. Zauważyłem, iż układał je wszystkie w kształt krzyża. W końcu wyjął wielką Biblię i kiwnął na mnie, abym wstał za nim w środek koła. Usłuchałem.

– Pilnuj się, aby nie wyrzec ani słowa – wyszeptał nieznanomy. – Strzeż się wystąpić choćby krok z tego kręgu i jeśli sobie dobrze życzysz, nie waż się spojrzeć na moje oblicze!

Trzymając krucyfiks w jednej, a Biblię w drugiej ręce, zdawał się czytać z głęboką uwagą. Zegar wybił godzinę pierwszą; jak co dzień, posłyszałem kroki upiora na schodach, ale nie chwyciły mnie zwyczajne w tym przypadku dreszcze. Ufnie oczekiwałem pojawienia się ducha. Mniszka weszła do pokoju, zbliżyła się do zakreślonego koła i stanęła. Obcy przybysz wymamrotał kilka słów zgoła dla mnie niezrozumiałych. Potem, podnosząc głowę znad książki i wyciągając ku upiorowi krucyfiks, zawołał wyraźnym i uroczystym głosem:

– Beatrice! Beatrice! Beatrice!

– Czego żądasz? – odpowiedziała zjawa głuchym i słabym głosem.

– Co zakłóca twój sen? Dlaczego doświadczasz i dręczysz tego młodzieńca? Jak można przywrócić spokój twojej niespokojnej duszy?

– Nie śmiem rzec! Nie wolno mi rzec tego! Chętnie spoczywałabym w mogile, ale srogie rozkazy zmuszają mnie do przedłużenia mojej pokuty!

– Azali wiesz, czyja to krew. Azali wiesz, w czyich żyłach płynęła? Beatrice! W Jego imieniu rozkazuję ci, byś mi odpowiedziała.

– Nie ośmielę się sprzeciwić moim władcom.

– Azali ośmielisz się mnie sprzeciwić?

Przemawiał rozkazującym głosem i odsunął z czoła opaskę z kiru. Pomimo jego zaleceń ciekawość nie dozwoliła mi trzymać oczu z dala od jego twarzy; podniosłem wzrok i ujrzałem wyciśnięty na jego czole płonący krzyż. Nie sposób wytłumaczyć sobie straszliwej grozy, jaką napełnił moje serce ów znak, lecz nigdy nie odczułem podobnego przerażenia. Zmysły opuściły mnie na chwilę, tajemniczy lęk wziął górę nad moim męstwem i gdyby egzorcysta nie pochwycił mojej ręki, byłbym wypadł poza koło.

Kiedy się ocknałem, spostrzegłem, iż płonący krzyż wywarł na upiorze nie mniej piorunujące wrażenie. Twarz mniszki wyrażała cześć i bojaźń, a piszczele upiora trzęsły się z przerażenia.

– Tak! – wyrzekła po chwili – drzę na ów znak! Szanuję go! Jestem ci posłuszna! Wiedz tedy, że moje kości leżą dotąd nie pogrzebane, gniją w ciemnościach lindenberskiej pieczary.

Nikt prócz tego młodzieńca nie ma prawa złożyć ich w grobie... Jego własne usta oddały mi w posiadanie jego ciało i duszę: nigdy nie zwrócę mu tego przyrzeczenia, nigdy nie zazna nocy wolnej od lęku, dopóki nie zobowiąże się, iż pozbiera moje próchniejące kości i złoży je wśród grobowców przodków w podziemiach swego andaluzyjskiego zamku. Potem niech odprawia trzydzieści mszy za spójność mojej duszy i nie będę więcej nękała tego świata. A teraz dozwól mi odejść. Te płomienie palą okrutnie.

Nieznajomy opuścił powoli rękę dzierżącą krucyfiks, którą aż do tej pory trzymał wyciągniętą w jej stronę. Zjawa pochyliła głowę i postać jej rozplynęła się w powietrzu. Egzorcysta wyprowadził mnie z koła. Schował na powrót do szkatułki Biblię i inne przybory, a potem zwrócił się do mnie, stojącego w pobliżu i oniemiałego ze zdumienia.

– Don Rajmondzie, słyszałeś warunki, na jakich przyrzeczono ci spokojność. Twoja w tym głowa, byś wypełnił je co do joty. Nie pozostaje mi nic więcej, tylko rozjaśnić mroki, które jeszcze otaczają dzieje owego upióra, i rzec ci, że za życia Beatrice nosiła nazwisko Las Cisternas. Była cioteczną babką twego dziadka. Prochy jej domagają się, abyś je z racji tego pokrewieństwa uszanował, chociaż ogrom jej nieprawości musi wzbudzić twoje obrzydzenie. Nikt nie jest zdolny wytłumaczyć ci lepiej natury owych występków, niżli ja sam. Znałem osobiście świątobliwego męża, który napiętnował nocne orgie w zamku lindenberskim, i przejąłem opowieść z jego własnych ust.

Beatrice de Las Cisternas we wczesnej młodości przywdziała habit: uczyniła to nie z własnego wyboru, ale z wyraźnego rozkazu rodziców. Była wtedy zbyt młoda, by żałować rozkoszy, których pozbawiła ją jej profesja; lecz skoro tylko ją się budzić w jej naturze gorące i zmysłowe skłonności, swobodnie pofolgowała podszeptom żądy i chwyciła się pierwszej sposobności, by im zadośćuczynić. Po wielu przeszkodach, które tylko przydały świeżych mocy jej pożądlivosti, trafiła się jej wreszcie owa sposobność. Udało się jej umknąć z klasztoru z baronem Lindenbergiem i uciec z nim do Niemiec. Żyła w jego zamku przez kilka miesięcy jako jawna nałożnica barona. Cała baronia gorszyła się jej nierozważnym i rozwiązłym postępowaniem. Uczty jej współzawodniczyły w zbytkach z ucztami Kleopatry, a Lindenberg stał się widownią najbardziej nieokiełznanej rozpusty. Nie dość jej było popisywać się brakiem powściągliwości, godnym sprzedanej dziewczki, ale jeszcze ogłosiła się bezbożnicą; chwyciła się każdej sposobności, by szydzić ze swych klasztornych ślubów, i obrzucała drwiną najświętsze obrzędy religii.

Naturę miała tak zepsutą, iż niedługo ograniczała płomienie swej żądy do jednego przedmiotu. Wkrótce po przybyciu na zamek przyciągnął jej uwagę młodszy brat barona – spodobały się jej jego wydatne rysy, gigantyczna postać i członki godne Herkulesa. Długie ukrywanie skłonności nie leżało w jej upodobaniach i znalazła w Ottonie z Lindenbergu człeka, który dorównał jej w nieprawości. Odwzajemniał jej namiętność tylko na tyle, by ją jeszcze bardziej rozpalić, a gdy Beatrice rozgorzała takim płomieniem, jakiego sobie życzył, dał jej do zrozumienia, iż ceną jego miłości winno być zamordowanie brata. Nieszczęsna przystała na ten straszliwy układ. Wyznaczono noc na popełnienie owego czynu. Otto, który mieszkał w niewielkiej majątności odległej o kilka mil od zamku, obiecał, iż czekać będzie na Beatrice o pierwszej w nocy w lindenberskiej pieczarze, przyrzekł przywieść ze sobą zastęp dobranych przyjaciół, z których pomocą zdoła bez wątpienia opanować zamek, po czym zamierzał poślubić kochankę. Ta obietnica przemogła wszystkie skrupuły Beatrice, albowiem mimo swego afektu baron stanowczo oświadczył, iż nigdy jej nie poślubi.

Nadeszła fatalna noc. Baron spał w ramionach swej przewrotnej nałożnicy; kiedy zegar wydzwonił godzinę pierwszą, Beatrice natychmiast wyciągnęła sztylet spod poduszki i zatopiła go w sercu kochanka. Baron wydał jeden straszliwy charkot i wyzionął ducha. Morderczyni

spiesznie opuściła łożę, wzięła kaganek do jednej, a sztylet do drugiej ręki i udała się do pieczary. Odźwierny nie odważył się odmówić otwarcia bramy osobie, która wzbudzała w zamku większy postrach niżli jego prawy właściciel. Beatrice dotarła bez przeszkód do jaskini i zastała tam Ottona, który oczekiwał na nią zgodnie z obietnicą. Przyjął jej relacje i wysłuchał wieści z uniesieniem, ale skoro tylko Beatrice zapytała, dlaczego przybył bez żadnego orszaku, zaczął jej perswadować, iż nie życzy sobie świadków ich spotkania. Pragnąc zataić swój udział w zbrodni i uwolnić się od kobiety, której gwałtowny i krwiożerczy charakter napełniał go nie bez podstawy lękiem o własne bezpieczeństwo, Otto postanowił zniszczyć nienawistne narzędzie zbrodni. Rzucił się raptownie na Beatrice i wyrwał jej z ręki sztylet. Zatopił go, jeszcze ociekający braterską krwią, w łonie Beatrice i zakończył jej żywot, zadając cios za ciosem.

Otto odziedziczył baronię lindenberską. Morderstwo przypisano wyłącznie zbiegłej mniszce i nikt nie przypuszczał, że brat barona podmówił ją do tego czynu. Ale chociaż zbrodnia Beatrice uszła kary ludzkiej, sprawiedliwość boska nie dozwoliła, by nowy baron spokojnie radował się swym zdobytym krwią wywyższeniem. Kości Beatrice wciąż leżały nie pogrzebane w lindenberskiej pieczarze, a jej niespokojna dusza nadal zamieszkiwała w zamczysku. Przybrana w habit na pamiątkę swoich pogwałconych ślubów, uzbrojona w sztylet, który wytoczył krew jej kochanka, i dzierżąc lampkę, która ongiś wiodła jej chyże kroki... stawała każdej nocy przed łożem barona. W całym zamku panowało najstraszliwsze zamieszanie. Sklepienie komnaty rozbrzmiewały krzykiem i jękami, a z ust upióra przechadzającego się wzdłuż zamkowych galerii wydobywały się pomieszane słowa modlitw i bluźnierstw. Otto nie potrafił oprzeć się przerażeniu, jakim napełniało go owo straszliwe zjawisko; z każdym kolejnym pojawieniem się upióra wzrastała groza. W końcu nie mógł ścierpieć tej trwogi: pękło mu serce i znaleziono go w łożu martwego jak kłoda. Jego śmierć nie położyła kresu owym nocnym odwiedzinom. Kości Beatrice nadal leżały nie pogrzebane, a duch jej wciąż nawiedzał zamek.

Dobra lindenberskie przeszły teraz na dalekich krewniaków. Nowy baron, przestraszony relacjami o broczącej krwią mniszce (tak bowiem ludzie powszechnie zwali upióra), przywołał sobie na pomoc sławnego egzorcystę. Owemu świątobliwemu mężowi udało się zmusić Beatrice do chwilowego spoczynku, lecz chociaż mniszka wyjawiała mu swoją historię, nie wolno było mu przekazać jej innym ani polecić, by szkielet usunięto i złożono w poświęconej ziemi. Ta posługa czekała właśnie na ciebie i do chwili twego przybycia do Lindenbergu duch Beatrice skazany był na wędrówkę po zamku i opłakiwanie zbrodni, którą mniszka tam popełniła. Egzorcysta przymusił ją wszakże do spokoju na przeciąg swego życia. Póki żył, nawiedzany pokój był zamknięty, a upiór niewidzialny. Po jego śmierci, w pięć lat później, mniszka znowu się pojawiła, lecz ukazywała się tylko raz na pięć lat, w tym samym dniu i godzinie, w której zatopiła sztylet w piersi śpiącego kochanka. Odwiedzała pieczarę, która kryła jej butwiejące kości, wracała do zamku z uderzeniem godziny drugiej i nie widziano jej nigdy przed upływem następnych pięciu lat.

Skazana została na cierpienia trwające cały wiek. Okres ten minął. Nie pozostaje już nic do zrobienia, jak tylko powierzyć ziemi prochy Beatrice. Ja byłem narzędziem, które uwolniło cię od tej zjawy dręczycielki, i pośród wszelkich utrapień, jakie mnie nękają, myśl, iż ci się przydałem, stanowi niemałą pociechę. Zegnaj, młodzieńcze! Niechże duch twojej krewniaczki zażywa w grobie tego spokoju, który odjęła mi na zawsze pomsta Najwyższego!

Tu nieznajomy gotował się do opuszczenia komnaty.

– Zaczekaj jeszcze chwilę! – zawołałem. – Zaspokoileś moją ciekawość, jeśli idzie o upióra, lecz wydajesz mnie na pastwę jeszcze większej niepewności, jeśli idzie o ciebie samego. Racz mnie objaśnić, komu zawdzięczam tak rzetelną przysługę? Wspominasz o okolicznościach, które dawno utonęły w niepamięci, i o ludziach, których dawno nie ma

między żywymi; znałeś osobiście egzorcystę, który, jak sam powiadasz, zmarł około stu lat temu. Jakże mam sobie to wytłumaczyć? Co oznacza ten płonący krzyż na twoim czole i dlaczego jego widok poraził mi duszę taką grozą?

Przez pewien czas nie chciałem zadośćuczynić moim prośbom. W końcu ubłagałem go i zgodził się wszystko mi odsłonić pod warunkiem, iż odłożymy jego wyjaśnienia do następnego dnia. Zmuszony byłem przychylić się do jego prośby i cudzoziemiec odszedł. Następnego ranka natychmiast zapytałem o tajemniczego nieznajomego. Wyobraź sobie moje rozczarowanie, gdy powiedziano mi, iż już opuścił Ratyzbonę. Wysłałem za nim w pogoń posłańców, ale na próżno. Nie odnaleźli żadnego śladu zbiega. Od tego czasu nic już o nim nie słyszałem i przypuszczalnie nigdy nie usłyszę.

Tu Lorenzo przerwał opowieść przyjaciela.

– Jakże! – rzecze – nigdy nie dowiedziałeś się, kim był ów człowiek, a nawet nie powziąłeś żadnego przypuszczenia w tym względzie?

– Daruj – odrzekł markiz. – Kiedy opowiadałem o tej przygodzie mojemu stryjowi, księdzu kardynałowi, rzekł mi, iż ów osobliwy człowiek był bez wątpienia ową słynną postacią, znaną powszechnie pod imieniem Żyda Wiecznego Tułacza. To, iż nie wolno mu przepędzić więcej niżli dwa tygodnie na jednym miejscu, płonący krzyż odcisnięty na jego czole i wiele innych okoliczności nadały temu przypuszczeniu wiele cech prawdopodobieństwa. Kardynał jest o tym święcie przekonany, co do mnie zaś, skłonny jestem przyjąć owo jedyne rozwiązanie, jakie nasunęło mi się przy tej zagadce. A teraz wracam do właściwej opowieści, od której odbiegłem.

Od tego czasu tak szybko powracałem do zdrowia, iż zadziwiłem moich eskulapów. Brocząca krwią mniszka więcej się nie pojawiła i wkrótce byłem zdolny wyruszyć do Lindenbergu. Baron przyjął mnie z otwartymi ramionami. Zwierzyłem mu się z dalszego ciągu moich przypadków i niemało był ukontentowany słysząc, iż jego siedziba nie będzie już co pięć lat nękana odwiedzinami upiora. Ze smutkiem spostrzegłem, że moja nieobecność nie stłumiła bezsensownej żądzy *donny* Rodolfy. Podczas rozmowy w cztery oczy, którą odbyłem z nią w czasie mojego krótkiego pobytu w zamku, ponowiła wysiłki, aby skłonić mnie do odwzajemnienia jej afektu. Uważałem ją za pierwszą przyczynę wszystkich moich niedoli i nie żywiłem do niej innych sentymentów prócz obrzydzenia. Szkielet Beatrice został odnaleziony w miejscu, które wskazała. A ponieważ było to wszystko, czego szukałem w Lindenbergu, spieszno mi było opuścić posiadłości barona; pragnąłem zarówno sprawić pogrzeb zamordowanej mniszce, jak umknąć przed natręctwem niewiasty, której nienawidziłem. Odjechałem żegnany pogrozkami *donny* Rodolfy, iż moja wzdarda rychło zostanie ukarana.

Jak najspieszniej podążyłem do Hiszpanii. Łukasz wraz z bagażem przyłączył się do mnie w czasie mego pobytu w Lindenbergu. Przybyłem do rodzinnego kraju bez żadnych przeszkód i natychmiast udałem się do ojcowskiego zamku w Andaluzji. Śmiertelne szczątki Beatrice zostały złożone w grobach przodków; dopełniono całego należnego ceremoniału i odprawiono tyle mszy, ile zażądała. Nic nie stało mi już na przeszkodzie, aby skierować wszelkie starania ku odnalezieniu schronienia Agnes. Baronowa zapewniła mnie, że siostrzenica już oblokła welon; podejrzewałem, iż wieść tę ukuła zazdrość, i żywiłem nadzieję, iż znajdę jeszcze moją umiłowaną wolną i chętną do przyjęcia moich oświadczeń. Dopytywałem się o jej rodzinę. Dowiedziałem się, że nim córka dotarła do Madrytu, *donny* Inesilli już nie było na tym świecie; o tobie, drogi Lorenzo, mówiono, iż jesteś w zagranicznej podróży, ale gdzie – tego nie sposób było mi odkryć. Twój ojciec przebywał w jakiejś odległej prowincji w odwiedzinach u księcia Medina, a co do Agnes, nikt nie mógł lub nie chciał mnie objaśnić, co się z nią stało. Teodor, jak przyobiecałem, powrócił do Strasburga; okazało się, że dziadek umarł, a Małgorzata weszła w posiadanie fortuny ojcowskiej. Na nic zdały się jej wszystkie perswazje, aby Teodor przy niej



pozostał; opuścił ją po raz drugi i podążył za mną do Madrytu. Dołożył wszelkich starań, aby posunąć naprzód moje poszukiwania, ale nasze wspólne wysiłki na nic się nie zdały. Miejsce odosobnienia, w którym ukryta była Agnes, pozostało nieprzeniknioną tajemnicą i począłem tracić nadzieję, że kiedyś odzyskam moją umiłowaną.

Jakieś osiem miesięcy temu, po spędzeniu wieczoru w teatrze, wracałem do domu w melancholijnym humorze. Noc była ciemna, nikt mi nie towarzyszył. Pograżony w rozmyślaniach, które nie były zbyt przyjemne, nie spostrzegłem, że trzech ludzi podążało za mną już od samego teatru, póki nie skręciłem w nie uczęszczany zaułek. Wtedy napadli na mnie wszyscy naraz z niezwykłą zaciekłością. Odskoczyłem kilka kroków do tyłu, wyciągnąłem szpadę i zarzuciłem płaszcz na lewe ramię. Mrok nocy był mi sprzymierzeńcem. Ponieważ mordercy zadawali większość ciosów na oślep, nie udało im się mnie dosięgnąć. Wreszcie na tyle mi się poszczęściło, iż rozłożyłem jednego z przeciwników u moich stóp. Zanim przecież do tego doszło, zadali mi już tyle ciosów i tak na mnie ostro nacierali, że czekałaby mnie niechybna zguba, gdyby szcęk broni nie przywiódł mi na pomoc pewnego kawalera. Podbiegł do mnie z wyciągniętą szpadą; za nim postępowało kilkoro sług z pochodniami. Jego przybycie wyrównało szanse potyczki, a jednak zbójcy nie chcieli porzucić swego zamysłu, póki nie zoczyli, iż słudzy gotowi są do przyłączenia się do bójki. Wtedy umknęli i znikli w ciemnościach nocy.

Nieznajomy zwrócił się teraz do mnie w uprzejmych słowach i zapytał, czy jestem ranny. Osłabły z upływu krwi, ledwo zdolny byłem podziękować mu za pomoc, która nadeszła w samą porę, i prosić go, by paru z jego sług odprowadziło mnie do pałacu de Las Cisternas. Skoro tylko wymieniłem to nazwisko, nieznajomy oświadczył, iż zna mego ojca, i dodał, że nie dozwoli, aby odprowadzono mnie tak daleko, nim nie opatrzą mi ran. Wyjaśnił, że jego dom stoi tuż obok, i prosił, abym mu tam towarzyszył. Zaprosiny były tak solenne, iż nie mogłem odrzucić jego propozycji, i wspierając się na ramieniu nieznajomego szlachcica, dotarłem niebawem do świetnego pałacu.

Gdyśmy wkraczali w progi domu, nadszedł stary, siwowłosy sługa, by powitać mego przewodnika; zapytywał, kiedy książę, jego pan, zamierza powrócić ze wsi, na co odpowiedziano mu, że pozostanie tam jeszcze kilka miesięcy. Wtedy mój wybawca zażądał, aby bezzwłocznie wezwano domowego cyrulika; rozkaz wykonano. Siedziałem na kanapie w wykwintnej komnacie, a po obejrzeniu moich ran oświadczone, że są bardzo lekkie. Cyrulik doradził mi wszelako, abym się nie wystawiał na chłód nocy, nieznajomy zaś tak gorliwie na mnie nalegał, abym zanocowałem w jego domu, iż zgodziłem się na razie tam pozostać; znalazłszy się sam na sam z moim wybawcą, skorzystałem ze sposobności, aby podziękować mu w dobitniejszych słowach, niżli to czyniłem uprzednio, lecz kawaler prosił, abym już o tym nie wspominał.

– Uważam się za szczęśliwego – rzekł mi – iż mogłem oddać ci tę przysługę, i będę się uważał za wieczyście zobowiązanego mojej córce, że zatrzymała mnie tak długo w klasztorze klarysek. Wielka estyma, jaką zawsze żywiłem dla twego ojca (choć przypadek nie dozwolił nam na taką zażyłość, jakiej bym sobie był życzył), sprawia, iż raduję się ze sposobności poznajomienia się z jego synem. Pewien jestem, że mój brat, w którego domu się teraz znajdujesz, ubolewać będzie, iż nie było go w Madrycie, aby cię osobiście przyjąć; lecz w czasie nieobecności księcia ja jestem panem tego domu i mogę cię zapewnić w jego imieniu, że wszystko w pałacu Medina jest całkowicie na twoje usługi.

Wyobraź sobie, Lorenzo, moje zdziwienie, gdy w osobie mego wybawiciela odkryłem don Gastona de Medina. Zdumieniu dorównywało jedynie potajemne zadowolenie, że Agnes mieszka w klasztorze klarysek. Ów drugi sentyment niemało osłabł, kiedy w odpowiedzi na moje z pozoru obojętne pytania don Gaston rzekł mi, że jego córka istotnie złożyła śluby. Nie

dozwoliłem, by smutek, w jaki pograżyła mnie ta wiadomość, zapuścił korzenie w moim umyśle; pokrzepiałem się myślą, gdyż dowiedziałem się, że wpływy mojego stryja na dworze papieskim usuną tę przeszkodę i że bez trudności otrzymam dla mojej kochanki dyspensę od złożonych ślubów. Podniesiony na duchu ową nadzieją, ukoilem niepokój serca i podwoilem starania, aby okazać się wdzięcznym za troskliwość don Gastona i zadowolonym z jego towarzystwa.

Tu do pokoju wszedł służący i oznajmił nam, że rzezimieszek, którego zraniłem, począł dawać oznaki życia. Wyraziłem życzenie, aby zaniecono go do pałacu mego ojca, i dodałem, że skoro tylko łotr odzyska mowę, wybadam go, dlaczego porwał się na moje życie. Odpowiedziano mi, że bandyta już zdolny jest do rozmowy, chociaż przychodzi mu to z trudnością. Don Gaston był ciekawy i nakłaniał mnie, bym wypytał mordercę w jego obecności; nie byłem zgoła skłonny do zaspokojenia tej ciekawości. Jednym z powodów było to, iż nie miałem wątpliwości, czyja ręka kierowała owym napadem, i nie chciałem otwierać oczu don Gastona na przewinę jego siostry. Istniała i druga przyczyna, a mianowicie obawiałem się, iż rozpoznają we mnie Alfonsa d'Alvarada i skutkiem tego powezmą jakieś środki ostrożności, by trzymać mnie z dala od Agnes. To, co wiedziałem o charakterze don Gastona, przekonało mnie, iż wyznanie mu miłości do jego córki byłoby nieopatrznyim krokiem; uważałem również za rzecz nieodzowną, by miał mnie tylko za hrabiego de Las Cisternas, i postanowiłem, że don Gaston nie usłyszy spowiedzi rzezimieszka. Podsunąłem mojemu gospodarzowi myśl, iż podejrzewam, że w aferę tę zamieszana jest pewna dama, której imię może się przypadkiem wymknąć z ust mordercy, trzeba mi więc wybać tego człowieka na osobności. Delikatność don Gastona nie dozwoliła mu na dalsze naleganie i skutkiem tego łotrzyk przeniesiony został do mojego pałacu.

Następnego ranka pożegnałem się z moim gospodarzem, który tego samego dnia miał powrócić na wieś do księcia. Moje rany były tak lekkie, iż poza tym, że musiałem jeno przez krótki czas nosić rękę na temblaku, nie wyniosłem żadnego szwanku z owej nocnej przygody. Cyrulik, który obejrzał rany łotrzyka, oświadczył, iż są śmiertelne; człek zdołał tylko wyznać, że poduszczyła go do zbrodni mściwa *donna* Rodolfa, i w kilka minut później wyzionął ducha.

Obmyślałem teraz sposoby uzyskania rozmowy z moją nadobną mniszką. Teodor wziął się do dzieła i tym razem ze znacznie lepszym skutkiem niżli poprzednio. Tak natrętnie nastawał na starego ogrodnika klarysek, karmiąc go obietnicami i przekupując, iż całkowicie przeciągnął starca na moją stronę i ułożono, że zostanę wprowadzony do klasztoru w charakterze jego pomocnika. Bezzwłocznie zabraliśmy się do wykonania tego planu. Przebrany w zwyczajne odzienie i z czarną łatką na oku, zostałem przedstawiony przeorowsy, która raczyła przyklasnąć wyborowi ogrodnika. Natychmiast zabrałem się do swojej roboty, a ponieważ z zamiłowaniem studiowałem ongiś botanikę, nowa profesja nie nastęczała mi żadnych trudności. Przez kilka dni pracowałem w klasztornym ogrodzie, ale nie spotkałem jeszcze obiektu, dla którego wywdziałem ogrodnicze odzienie. Lepiej mi się powiodło czwartego ranka. Posłyszałem głos Agnes i chyżo pobiegłem w kierunku owego dźwięku, gdy widok dominy osadził mnie na miejscu. Wycofałem się ostrożnie i ukryłem za gęstą kępą drzew.

Przeorowsa poszła naprzód i usiadła z Agnes na ławce w niewielkiej odległości od krzewów. Słyszałem, jak gniewnym głosem łajała swoją towarzyszkę za ustawiczną melancholię. Rzekła jej, iż opłakiwanie straty umiłowanego jest w jej położeniu przestępstwem, ale opłakiwanie straty niewiernego kochanka jest ze wszech miar głupotą i niedorzecznością. Agnes odrzekła coś głosem tak cichym, iż nie mogłem rozróżnić słów, ale spostrzegłem, że przemawiała spokojnie i z uległością. Rozmowę przerwało nadejście młodej nowicjuszki, która powiadomiła dominę, iż oczekują na nią w rozmównicy. Stara dama powstała, pocałowała Agnes w policzek i odeszła. Nowo przybyła została. Agnes coś dużo jej prawiała, wychwalaając kogoś, ale kogo, nie mogłem wyrozumieć, zaś jej słuchaczka zdała się wielce uradowana i zaciekawiona rozmową.

Mniszka pokazała jej kilka listów, druga odczytywała je z widoczną przyjemnością; otrzymała od Agnes przyzwolenie na ich skopiowanie i ku mojemu wielkiemu ukontentowaniu odeszła, aby zająć się tą robotą.

Skoro mi tylko zniknęła z oczu, opuściłem kryjówkę. Obawiając się przerazić moją nadobną kochankę, cichutko postępowałem ku niej, postanawiając stopniowo odkryć jej, kim jestem. Ale któż, chociażby na chwilę, zdoła zwieść oczy miłości? Usłyszawszy kroki, podniosła głowę i mimo przebrania rozpoznała mnie na pierwszy rzut oka. Zerwała się raptownie z ławki z okrzykiem zdziwienia na ustach i próbowała odejść; jednakże podążyłem za nią, zatrzymałem i błagałem o posłuchanie. Przekonana o mojej zdradzie, nie chciała ze mną mówić i stanowczo rozkazała mi, bym opuścił ogród. Tego ja z kolei nie chciałem uczynić. Oświadczyłem Agnes, iż jakkolwiek niebezpieczne mogłyby okazać się skutki mego pozostania, nie odejdę od niej, póki nie usłyszy mojego usprawiedliwienia. Zapewniłem Agnes, iż zwiodyły ją podstępne fortele jej krewniaków, że mogę przekonać ją, i to nieodparcie, iż moja miłość była czysta i bezinteresowna, i zapytałem, co skłoniłoby mnie do szukania jej w klasztorze, gdyby powodowały mną samolubne pobudki, przypisywane mi przez moich wrogów.

Moje błagania, argumenty i zapewnienia, że nie odejdę, póki mi nie obieca, iż zostanę wysłuchany – choć połączone z obawą, iż mniszki mogą nas podglądać – przyrodzona ciekawość Agnes oraz tkliwość, jaką jeszcze ku mnie żywiła mimo mojej mniemanej ucieczki, wzięły w końcu górę. Wyjaśniła, że nie może teraz zadośćuczynić mojej prośbie, lecz obiecała, iż będzie na tym samym miejscu o jedenastej wieczorem i rozmówi się ze mną po raz ostatni. Po uzyskaniu tej obietnicy uwolniłem jej dłoń, Agnes zaś chyżo pobiegła w stronę klasztoru.

Powiadomiłem o tym sukcesie mojego sprzymierzeńca, starego ogrodnika; ten wskazał mi kryjówkę, w której mógłbym schronić się do wieczora bez obaw, iż zostanę przychwycony. Podążyłem tam w porze, w której winienem był oddalić się wraz z moim rzekomym panem, i czekałem niecierpliwie na oznaczoną godzinę. Sprzyjał mi nocny chłód, ponieważ zatrzymał inne mniszki w celach. Tylko Agnes była nieczuła na nie sprzyjającą aurę i przed jedenastą spotkała się ze mną w miejscu, które było świadkiem naszego uprzedniego widzenia. Pewny, iż nikt mi nie przeszkodzi, opowiedziałem jej prawdziwą przyczynę mojego zniknięcia w ów fatalny dzień piątego maja. Widać było, iż jest bardzo poruszona moją relacją. Kiedy skończyłem, wyznała mi, jak niesprawiedliwie mnie podejrzewała, i wyrzucała sobie, iż złożyła śluby z rozpaczy nad moją niewiernością.

– Lecz teraz za późno już, aby się nad tym użalać – dodała. – Kości zostały rzucone: złożyłam śluby i poświęciłam się służbie niebios. Pojmuję, iż nie zostałam stworzona do klasztoru. Co dzień wzrasta mój wstręt do życia mniszki; nuda i niezadowolenie nie opuszczają mnie. Nie będę też przed tobą ukrywać, że uczucie, które ongiś żywiłam dla kogoś, kto wkrótce miał stać się moim mężem, nie wygasło jeszcze w mojej piersi; ale musimy się rozstać! Rozdzielają nas zapory nie do przebycia i po tej stronie grobu nie wolno się nam już nigdy spotkać.

Dołożyłem teraz wszystkich starań, aby jej udowodnić, iż nasz związek nie jest tak niemożliwy, jak się jej wydawało. Przechwalałem się przed nią wpływami księcia kardynała Lermy na dworze papieskim. Zapewniałem, iż łatwo uzyskam dla niej dispensę od ślubów i że poglądy don Gastona bez wątpienia zgodne będą z moimi, gdy tylko dowie się o moim prawdziwym nazwisku i długim przywiązaniu. Agnes odrzekła mi, że niewiele znam jej ojca, jeśli podsycam w sobie takie nadzieje. Don Gaston był pod każdym innym względem człowiekiem wolnym od uprzedzeń i dobrodusznym, ale przesady stanowiły jedyną plamę na jego charakterze. W tych sprawach był nieugięty: poświęcał delikatności sumienia swoje najżywotniejsze interesy i uznałby za zniewagę, gdyby przypuszczano, iż zdolny jest poprzeć

swoim autorytetem złamanie córczynyh ślubów.

– Przypuśćmy jednak – rzekłem przerywając jej – przypuśćmy, że don Gaston nie będzie popierał naszego związku; niechże pozostanie w nieświadomości co do moich starań, póki nie uwolnię cię z więzienia, w którym jesteś teraz zamknięta. Kiedy zostaniesz moją żoną, wyjdiesz spod jego władzy. Nie potrzebuję jego majątności, a gdy zobaczy, iż gniew na nic się tu nie przyda, bez wątpienia przywróci cię do swoich łask. A niech nawet przydarzy się i najgorsze: jeśli don Gaston pozostanie nieprzejednany, to moi krewni na wyścigi starać się będą, byś zapomniała o stracie rodzica; w moim rodzicielu znajdziesz zastępcę ojca, którego cię pozbawię.

– Don Rajmondzie – odparła Agnes głosem stanowczym i zdecydowanym – miłuję mojego ojca; potraktował mnie surowo tylko w tym jednym przypadku, ale we wszystkich innych okolicznościach otrzymałam od niego tak wiele dowodów miłości, iż jego afekt stał mi się niezbędny w życiu. Gdybym opuściła klasztor, nigdy by mi tego nie darował, i nie mogę pomyśleć bez drżenia, iż na łożu śmierci mógłby rzucić na mnie przekleństwo. Poza tym sama wiem, iż związana jestem ślubami. Dobrowolnie zawarłam układ z niebem; nie mogę go złamać bez popełnienia występku. Pozbądź się więc myśli, iż kiedykolwiek możemy się połączyć. Jestem przywiązana do religii i jakkolwiek mogę smucić się nad naszą rozłąką, sama sprzeciwiam się temu, co wedle mego mniemania uczyniłoby mnie występłą.

Usiłowałem przewyciężyć owe niewczesne skrupuły. Wciąż rozprawialiśmy o tym, póki dzwon klasztorny nie zawezwał mniszek na jutrznię. Agnes musiała wziąć udział w nabożeństwie, ale nie odeszła, póki nie wymusiłem na niej obietnicy, że następnej nocy zjawi się o tej samej godzinie i na tym samym miejscu. Nasze spotkania ciągnęły się nieprzerwanie przez kilka tygodni – i teraz właśnie, Lorenzo, muszę błagać cię o pobłażanie. Zastanów się nad naszym położeniem, naszą młodością i długo żywionym przywiązaniem. Zważ wszelkie okoliczności, które towarzyszyły naszym spotkaniom, a przyznasz, iż pokusa była nie do odparcia; chyba mi wybaczysz, gdy wyznam, że w chwili nieopatrznej słabości dobra sława Agnes padła ofiarą mojej żądz.

Oczy Lorenzo zabłyśły wściekłością, twarz oblała się ciemnym szkarłatem; podniósł się z krzesła i chwycił za szpadę. Markiz spostrzegł ten ruch, przytrzymał rękę Lorenza i serdecznie uściśnął jego prawicę.

– Mój przyjacielu! mój bracie! wysłuchaj mnie aż do końca! Powściągnij na chwilę gniew i bądź przynajmniej przekonany, iż jeśli to, co rzekłem, jest zdrożne, przygana winna spaść na mnie, a nie na twoją siostrę.

Lorenzo dał się w końcu przekonać prośbami don Rajmonda; usiadł na powrót i słuchał reszty opowieści z miną ponurą i niecierpliwą. Markiz tymi słowy ciągnął swoją opowieść:

– Ledwo minął pierwszy wybuch namiętności, Agnes zreflektowała się i ze zgrozą wyrwała się z moich objęć. Nazwała mnie podłym uwodzicielem, obsypała najbardziej gorzkimi wyrzutami i biła się w piersi w szaleńczym zapamiętaniu. Zawstydzony nieopatrzny postępkiem, z trudem znajdowałem słowa usprawiedliwienia. Starałem się ją pocieszyć, rzuciłem się do jej stóp i błagałem o przebaczenie. Wyrwała mi rękę, którą ująłem i chciałem przycisnąć do ust.

– Nie dotykaj mnie! – zawołała z gwałtownością, która mnie przestraszyła. – Potworze przewrotności i niewdzięczności, jak – żeś mnie oszukał! Spoglądałam na ciebie jak na przyjaciela, na opiekuna; z ufnością oddałam się w twoje ręce i polegając na twoim honorze, mniemałam, iż mój nie jest narażony na uszczerbek. I to przez ciebie, któregom tak uwielbiała, okryłam się hańbą! Przez ciebie przywiedziona zostałam do złamania ślubów złożonych przed Bogiem i sprowadzona do rzędu najpodlejszych przedstawicielek mojej płci! Hańba ci, łotrze, nie ujrzysz mnie nigdy więcej!

Zerwała się z ławki, na której spoczywała. Usiłowałem ją zatrzymać, lecz gwałtownie wyrwała mi się z objęć i schroniła się w klasztorze.

Odszedłem pełen zmieszania i niepokoju. Następnego ranka nie omieszkałem jak zwykle pojawić się w ogrodzie, ale nigdzie nie ujrzałem Agnes. W nocy czekałem na nią w miejscu, gdzieśmy się zazwyczaj spotykali, ale nie lepiej mi się powiodło. Tak przeminęło kilka dni i nocy. W końcu zoczyłem moją urażoną kochankę przechodzącą przez aleję, na której skraju pracowałem; towarzyszyła jej ta sama młoda no wiej uszka i zdało mi się, iż Agnes wspierała się na jej ramieniu z przyczyny jakiejś słabości. Spojrzała na mnie przez mgnienie oka, lecz natychmiast odwróciła głowę. Czekałem na jej powrót, ale przeszła mimo w kierunku klasztoru, nie zwracając żadnej uwagi na mnie i na skruszone wejrzenie, którym wzywałem jej przebaczenia.

Skoro tylko zakonnice udały się na spoczynek, stary ogrodnik podszedł do mnie ze strapioną miną.

– *Señor* – rzecze – przykro mi, ale nie mogę ci się już w niczym przysłużyć; dama, z którą zwykle się był spotykać, właśnie mnie zapewniła, że jeśli jeszcze raz wpuszczę cię do ogrodu, odkryje całą rzecz przeoryszy. Kazała ci również powiedzieć, że twoja obecność jest dla niej obelgą i że jeśli żywisz dla niej iskierkę szacunku, nigdy nie będziesz próbował się z nią zobaczyć. Wybacz mi więc, że ci muszę oznajmić, iż nie mogę pomagać ci dłużej w tej maskaradzie. Gdyby przeorysza dowiedziała się o moim postępkach, mogłaby nie zadowolili się wymówieniem mi służby: może z zemsty oskarżyłaby mnie o sprofanowanie klasztoru i sprawiła, by wtrącono mnie do więzienia inkwizycji.

Próżno usiłowałem przełamać jego postanowienie. Wzbronił mi na zawsze wstępu do ogrodu, zaś Agnes wytrwała w swej rezolucji i nie dozwoliła, bym ją oglądał lub miał o niej jakieś wieści. Jakoś w dwa tygodnie później ojciec mój nagle zachorzał, co zmusiło mnie do wyruszenia do Andaluzji. Podążyłem tam i, jak przypuszczałem, zastałem markiza na łożu śmierci. Chociaż na pierwszy rzut oka słabość jego uznano za śmiertelną, gasł jeszcze przez kilka miesięcy, w którym to czasie zarówno pielęgnowanie go w chorobie, jak i zajęcie się uporządkowaniem spraw po jego zgonie nie dozwoliło mi na opuszczenie Andaluzji. Cztery dni temu wróciłem do Madrytu i stanąwszy w moim pałacu znalazłem oczekujący mnie ten list.

Tu markiz otworzył szufladę w sekretarzyku i wyciągnął złożony papier, który wręczył swemu rozmówcy. Lorenzo rozłożył list i poznał pismo siostry. List brzmiał, jak następuje:

*W jakąż to otchłań niedoli pogrążyłaś mnie, Rajmondzie! Zmuszasz mnie, bym stała się równie występna, jako ty sam. Postanowiłam nigdy cię nie oglądać: jeśli możliwe zapomnieć o tobie, jeśli nie, to wspominać cię tylko z nienawiścią. Istota, dla której już czuję matczyną tkliwość, żąda, abym przebaczyła mojemu uwodzicielowi i odwołała się do jego miłości dla zapewnienia owej istotce ochrony. Rajmondzie! twoje dziecko żyje w moim łonie. Lękam się zemsty przeoryszy. Drżę o siebie, ale jeszcze więcej o niewinne stworzenie, którego żywot zależny jest od mojego. Jeśli odkryją mój stan, oboje jesteśmy zgubieni. Poradź mi więc, co mam czynić, ale nie szukaj ze mną widzenia. Orodnik, który podjął się doręczenia tego listu, odchodzi ze służby i nie możemy się spodziewać stąd żadnej pomocy. Człowiek najęty na jego miejsce jest nieprzekupny. Najlepszym sposobem przestania mi odpowiedzi będzie ukrycie listu pod dużym posągami św. Franciszka, który stoi w katedrze Kapucynów; chodzę tam co czwartek do spowiedzi i łatwo znajdę sposobność odebrania twego pisma. Słyszałam, że nie ma cię w Madrycie. Czy trzeba cię błagać, byś napisał do mnie natychmiast po powrocie? Nie chcę dopuścić do siebie tej myśli. Ach, Rajmondzie! straszliwe jest moje położenie! Oszukana przez najbliższych krewnych, zmuszona do obrania stanu, do którego zgoła nie czuję powołania, świadoma świętości owych obowiązków i podmówiona do ich pogwałcenia przez człowieka,*

*którego najmniej posądzałam o przewrotność, muszę teraz pod naciskiem okoliczności wybierać między śmiercią a złamaniem przysięgi. Niewieścia bojaźliwość i tkliwość matczyna nie pozwalają mi na wahanie się w owym wyborze. Odczuwam całą ohydę występku, w jaki się pogrążam zgadzając się na plany, któreś mi ongiś przedłożył.*

*Śmierć mego biednego ojca, która nastąpiła od czasu naszego spotkania, usunęła jedną przeszkodę. Śpi w swojej mogile i nie lękam się już jego gniewu. Ale kto mnie ostoni, Rajmondzie, przed gniewem Boga? Kto może obronić mnie przed moim sumieniem, przed samą sobą? Nie ważę się nad tym rozmyślać, bo doprowadziłoby mnie to do obłędu. Powzięłam postanowienie. Wystaraj się o dyspensę od moich ślubów. Jestem gotowa z tobą uciec. Napisz do mnie, mój małżonku! Rzeknij mi, iż rozstanie nie stłumiło twoich uczuć. Rzeknij mi, iż wybawisz od śmierci twoje nie narodzone dziecko i jego nieszczęsną matkę. Żyję w straszliwych męczarniach bojaźni. Każde oko, które się we mnie wpatruje, zda się odkrywać mój sekret i pohańbienie. I ty jesteś przyczyną tych męczarni. O! kiedy moje serce po raz pierwszy cię pokochało, jak mało podejrzewałam, iż sprawisz mi tak dojmujący ból!*

Agnes

Po przeczytaniu listu Lorenzo zwrócił go markizowi w milczeniu. Ten włożył go na powrót do sekretery i prawił dalej:

– Niezmiernie się uradowałem czytając o tej nowinie, tak gorąco upragnionej i tak mało oczekiwanej. Rychło ułożyłem mój plan. Kiedy don Gaston wyjawiał mi, gdzie schroniła się jego córka, nie wątpiłem ani przez chwilę, że Agnes skora będzie do opuszczenia klasztoru; dlatego powierzyłem całą sprawę księciu Lermie, który natychmiast zakrzętnął się około potrzebnej w tym przypadku bulli papieskiej. Na szczęście zapomniałem później powstrzymać poczynania kardynała. Niedawno dostałem od niego list oznajmiający mi, iż z dnia na dzień spodziewa się nadejścia z dworu papieskiego owej dyspensy. Chętnie zawierzyłbym tej wiadomości, ale kardynał skreślił kilka słów, objaśniając, iż sam muszę znaleźć sposoby wydobycia Agnes z klasztoru bez wiedzy przeorowskiej. Nie wątpił, iż ta wielce się rozgniewa tracąc ze swego zgromadzenia osobę tak wysokiego stanu i uważać będzie wystąpienie Agnes za obelgę dla całej społeczności, którą włada. Kardynał przedstawił przeorowskiej ja ko niewiastę o mściwym i gwałtownym charakterze, zdolną posunąć się do ostateczności. Można się więc było obawiać, że ukrywając Agnes w klasztorze, udaremni moje nadzieje i zezwolenie papieża na nic się nie przyda. Powodowany tymi względami, postanowiłem porwać moją kochankę i ukryć ją aż do przybycia oczekiwanej bulli w posiadłości księcia kardynała. Przyklasnął moim zamiarom i oświadczył gotowość udzielenia azylu uciekinierce.

Następnie rozkazałem, by przychwycono cichaczem nowego ogrodnika klarysek i uwięziono go w moim pałacu. Tym sposobem stałem się panem klucza od ogrodowej furki i nic mi już nie pozostawało do zrobienia prócz przygotowania Agnes do ucieczki. Uczyniłem to w tym liście, który, jak widziałeś, doręczyłem dzisiejszego wieczora. Powiadałem jej w tym liście, iż będę czekał na nią jutro o północy, że zaopatrzyłem się w klucz od ogrodu i że może liczyć na rychłe uwolnienie.

Wysłuchałeś tedy, Lorenzo, całej mojej długiej opowieści. Nic ci nie mogę rzec na usprawiedliwienie, tylko to, że moje zamiary względem twojej siostry były zawsze jak najbardziej zacne, że zawsze było i dotąd jest moją intencją poślubienie Agnes; ufam, że gdy rozważysz te okoliczności oraz pomyślisz o naszej młodości i naszym obopólnym przywiązaniu,

nie tylko przebaczysz nam chwilowe potknięcia na drodze cnoty, ale i dopomożesz mi do naprawienia mojej winy względem Agnes – przez zapewnienie mi prawowitego tytułu do posiadania jej osoby i serca.

<sup>[1]</sup> Rycerza Słońca „Perceforest” – francuski romans pisany prozą, pochodzący z XIV wieku; „Tirant lo Blanch” – rycerski romans w dialekcie katalońskim, pióra Joanota Martorell, napisany około 1450 roku; „Palmerin de Inglaterra” – słynny romans, który ukazał się w roku 1547 w języku hiszpańskim i przypisywany był Luisowi Hurtado z Toledo; „Caballero del Sol” – rycerski romans hiszpański pióra Pedra Hemandeza de Villaubrales; ukazał się w 1552 roku.

<sup>[2]</sup> Tristan i Izolda – bohaterowie średniowiecznych poematów rycerskich (XI—XII w.), opiewających miłość Izoldy, żony króla Konwalii Marka, do jego bratanka Tristana.

<sup>[3]</sup> „De profundis” (łac.) – pierwsze słowa psalmu pokutnego.

## Rozdział V

*O wy! których unosi w szaleńczą pogoń za Sławą*

*Lekka łódka Próżności, poruszana wiatrem Pochlebstwa,*

*Pod jakże kapryśnym wietrzykiem sterujecie,*

*Wciąż pogrążani w odmętach łub wynoszeni na szczyty!*

*Kto wzdycha za Chwałą, niewiele zazna spoczynku:*

*Jedno tchnienie ożywia go i jedno tchnienie obala.*

Alexander Pope, „Imitations of Horace”,  
Ks. II, Ep. I, „To Augustus”, 296-301



Tu markiz zakończył opowieść o swoich przygodach. Lolrenzo zadumał się na chwilę, nie mogąc zdecydować się na ww odpowiedź. W końcu przerwał milczenie.

– Rajmondzie – rzekł ujmując rękę przyjaciela – ścisłe przestrzeganie zasad honoru zmusiłoby mnie, abym zmył twoją krewią hańbę rzuconą na moją rodzinę. Jednakże okoliczności towarzyszące tej sprawie wzbraniają mi uważać cię za nieprzyjaciela. Zbyt wielka była pokusa, byś się jej mógł oprzeć. Przesady moich krewniaków doprowadziły do tych nieszczęść i oni są większymi winowajcami niżli ty i Agnes. Tego, co zaszło między wami, nie można cofnąć, ale można jeszcze naprawić przez ożenienie cię z moją siostrą. Zawsze byłeś i nadal jesteś moim najmilszym i, zaiste, jedynym przyjacielem. Żywię dla Agnes najszczerzy afekt i nie ma nikogo, komu chętniej bym ją powierzył niż właśnie tobie. Wprowadź więc w czyn swoje zamysły. Będę ci towarzyszył jutrzejszej nocy i osobiście odprowadzę Agnes do domu kardynała. Moja obecność usankcjonuje jej postępek i zapobiegnie narażeniu się na przyganę z racji ucieczki z klasztoru.

Markiz podziękował mu w słowach świadczących o należynej wdzięczności. Wtedy



Lorenzo objaśnił, iż nie ma już przyczyny obawiać się wrogości *donny* Rodolfy. Upłynęło bowiem pięć miesięcy od czasu, jak tej damie w przyływie złości pękła żyłka w mózgu i w przeciągu kilku godzin wyzionęła ducha. Potem przedłożył mu interesy Antonii. Markiz wielce się zdumiał postyszawszy o tej nowej krewniaczce. Ojciec jego zabrał ze sobą do grobu nienawiść do Elwiry i nigdy nie uczynił najmniejszej wzmianki, iż wie, co stało się z wdową po jego najstarszym synu. Don Rajmond zapewnił przyjaciela, iż nie pomylił się przypuszczając, że będzie gotów uznać swoją bratową i jej powabną córkę. Przygotowania do ucieczki Agnes nie pozwalają mu złożyć owym damom wizyty następnego dnia; życzył sobie jednak, aby Lorenzo tymczasem zapewnił je o przyjaźni markiza i by w jego imieniu zaopatrzył Elwirę w każdą sumkę, jakiej by potrzebowała. Młodzieniec obiecał don Rajmondowi, iż uczyni to, skoro tylko będzie wiedział, gdzie mieszka Elwira. Potem pożegnał się ze swym przyszłym bratem i wrócił do pałacu Medinów.

Świtało już, gdy markiz udał się do swojej komnaty. Wiedząc już przy wyjściu z domu, że jego nieobecność potrwa kilka godzin, i nie chcąc, by go nagabywano po przyjeździe do pałacu, rozkazał sługom, aby na niego nie czekali: nieco się więc zdziwił, gdy wychodząc na przedpokój, zoczył siedzącego tam Teodora. Pazik usadowił się przy stole z piórem w ręce i tak głęboko był pogrążony w swoim zajęciu, że nie zwrócił uwagi na przyjsięcie pana. Teodor pisał po kilka wierszy, potem przerywał i wydrapywał część z tego, co napisał; potem znowu gryzmołił, uśmiechał się i zdawał wielce kontent ze swojej roboty. W końcu odłożył pióro, zeskoczył z krzesła i radośnie klasnął w dłonie.

– Oto go mam! – zawołał głośno. – Teraz są wyborne!

Jego uniesienie przerwał wybuch śmiechu markiza, który domyślił się, jakiej natury były Teodorowe trudy.

– Cóż jest tak wyborne, Teodorze?

Młodzik wzdygnął się i rozejrzał dookoła; zaczerwienił się, podbiegł do stołu, złapał papier, na którym uprzednio pisał, i skonfundowany ukrył go za sobą.

– O! jaśnie panie, nie wiedziałem, że jesteś tak blisko. Czy mogę ci w czymś służyć?

Łukasz poszedł już spać.

– Pójdę w jego ślady, gdy wypowiem opinię o twoich wierszach.

– Moich wierszach, panie?

– Ejże, pewien jestem, żeś układał jakiś poemat, bo nic innego nie trzymałoby cię z dala od łóżka aż do świtu. Gdzież ten poemat, Teodorze? Chętnie zobaczę, coś tam zrymował.

Policzki Teodora spłonęły jeszcze ciemniejszym szkarłatem; rwał się do pokazania swoich wierszy, ale chciał, aby go do tego najpierw nakłaniano.

Zaiste, mój panie, wiersze te niewarte są twojej krytyki.

– Chyba nie te, o których właśnie orzekłeś, iż są tak wyborne? No no, niechże zobaczę, czy mamy o nich jednakie zdanie. Obiecuję, że znajdziesz we mnie pobłażliwego krytyka.

Chłopiec dobył papier z pozornym ociąganiem, ale zadowolenie błyszczące w jego ciemnych oczach zdradzało próżność rozpierającą jego małą pierś. Markiz uśmiechnął się spostrzegając wzruszenie serca mało jeszcze wprawnego w ukrywaniu swoich uczuć. Usadowił się na kanapie. Teodor, na którego zaniepokojonym liczku walczyły ze sobą obawa i nadzieja, czekał niecierpliwie na sąd pana, gdy markiz czytał następujące strofy:

Miłość i starość

*Noc była ciemna, jęczały wichury,*

*Bard Anakreon<sup>[1]</sup>, stary i ponury,*

*Siadł przy kominie sam i w ogień patrzył jasny.*

*Wtem drzwi skrzypnęły – bard oczom nie wierzy:*

*Toż to Kupidyn sam ku niemu bieży*

*I mile wita go imieniem jego własnym.*

*„Czego tu szukasz?” – starzec ostro pyta*

*I gniew na gościa małego go chwytą,*

*Barwiąc rumieńcem lica zwiędłe i zszarzałe.*

*Czy znowu pragniesz wzburzyć łono moje*

*Miłosnym szalem? Daremne podboje!*

*W me stare serce próżno silisz się wbić strzałę.*

*Ma dusza dzisiaj jałowym pustkowiec,*

*Skąd uszła radość i uśmiech, i zdrowie,*

*nigdy słodka rozkosz już tu nie zagości.*

*Okrutna zima wszystko skula lodem,*

*Starość panuje ze swym martwym chłodem,*

*Kwiat nie zakwitnie nigdy już w ciepłe miłości.*

*Idź stąd: niech złote strzały sieją blaski,*

*Gdzie twej dziewica jaka czeka łaski:*

*Każ dokoła jej łoża tańczyć snom gorącym.*

*Zstąp na Damona, co bogdancie służy,*

*Na usta Chloe piękniejsze od róży główkę*

*oprzyj na jej policzku płonącym.*

*Tam panuj sobie, a tej zimnej strony*

*Unikaj, nie myśl, chłopcze ty szalony,*

*Ze znów pod twoje jarzmo zegnę siwą głowę.*

*Tyś to mi lata najpiękniejsze w życiu*

*Wypełnił łzami, wzdychaniem w ukryciu,*

*Więc teraz od twych sidłał jam uciec gotowy.*

*Pamiętam dobrze, jak to miłość boli,*

*Kiedy u Julii jęczałem w niewoli,*

*Kiedy miłości bożek igrał sobie ze mną.*

*Pamiętam wszystkie noce nie przespane*

*I zazdrość, która dręczy zakochanych,*

*Nadzieje nie spełnione i chęć niewzajemną.*

*Precz mi więc z oczu! Precz z domu mojego!*

*Precz z mego progu, z ustronia cichego,*

*Ni chwili dłużej bawić ci tu nie pozwolę.*

*Znam twoje sztuczki, gardzę podstępami,*

*Nie wierzę tobie, a drzę przed strzałami.*

*Precz, zdrajco! i gdzie indziej pokaż twą swawolę!*

*„Czy, starcze, umysł twój wiekiem zmacony? -*

*Bóg, marszcząc brewki, rzecze obrażony,*

*A gniew jego tak wdzięczny, jak uśmiech dziewicy.*

*Mnie ganisz, co ci sprzyjam wiernie, stałe,*

*Choć mą przyjaźnią gardzisz w złym zapale,*

*Choć za nic się u ciebie dawna rozkosz liczy.*

*Jeśli cię jedna odrzuciła harda,*

*Toć setka innych pokochała barda,*

*Ich łaski wzgardę Julii splotą sownie.*

*Tak to już z ludźmi, że dary obfite*

*Na piasku piszą, ale w skale rycie*

*Chcą mieć wspomnienia jednej małej kłęski w życiu.*

*Niewdzięczny! kto wiódł ciebie do ruczaju,*

*W którym się Lesbia kąpać ma w zwyczajach?*

*Kto wskazał gaj, gdzie Dafne w samotności leży?*

*I kto, gdy Celia wzywać chce pomocy,*

*Całować ją doradził z całej mocy,*

*Kto, jak nie miłość, której dziś się przemieszysz?*

*Wołałeś wtedy: Amorowi chwata!*

*On – moja radość, moja rozkosz cała!*

*Gotów mi byłeś służyć i ciałem, i duszą.*

*Tyś mnie całował, zwał drogą dzieciną,*

*Mówiłeś, że ci nie w smak nawet wino,*

*Jeśli go pierwszej usta kochanki nie ruszą.*

*Czyż więc te słodkie dni już się nie wrócą?*

*Czy Anakreon dzisiaj mnie porzuca,*

*Pędzi precz Z serca swego dla błahej przyczyny?*

*O, nie! twój uśmiech już mnie uspokaja,*

*Twe oko błyszczy, lód w twej piersi taje.*

*Powiedz, żem znów ci drogi, wybacz me przewiny!*

*Już znów kochany, tulony do łona,*

*Kupidyn w twoich znajdzie się ramionach*

*Albo na twych kolanach spać będzie bezpiecznie.*

*Ma ręka precz odpędzi mrozy, cienie,*

*Moja pochodnia rozgrzeje płomieniem*

*Serce, gdzie Miłość, Wiosna rządzić będą wiecznie.*

*Ze skrzydła chłopiec złote pióro roni,*

*Bardowi z wdziękiem kładąc je na dłoni,*

*I sny wraz stają złote przed starca oczyma,*

*Sny najpiękniejsze i lekkie marzenia,*

*Co z wyobraźni biorą się; natchnienia,*

*Które na wieszczą rychło zstępować zaczyna.*

*Już łono ogniem miłości mu płonie,*

*Już swą czarowną lirę bierze w dłonie*

*I palcami dźwięczące struny lekko pieści;*

*Już złote pióro z skrzydła*

*Kupidyna Zamilkłą strunę potrącać zaczyna,*

*Gdy bard sławę miłości w pieśni swojej wieści.*

*Na głos ten w lasach śniegi z drzew spadają,*

*Z lodu okowy na ruczajach tają,*

*Daleko sroga zima z oczu gdzieś się skryła.*

*Kwieciem znów cała pokrywa się ziemia,*

*Po gajach szemrzą zefirów westchnienia,*

*A słońce już z wysoka blask dnia zsyła miły.*

*Rozkoszne dźwięki niosą się po gaju,*

*Satyry, fauny chatę otaczają,*

*Tłoczą się, aby chłonąć boskiej pieśni dary.*

*Już nimfy leśne bieżą z bliska, z dala:*

*Słuchają – i nawet miłość je rozpala,*

*Pieśń im zapomnieć każe, że śpiewak już stary.*

*Amor-lekkoduch to na lirze siada,*

*To znów z całusem do ust się zakrada*

*I pieśń tłumiąc bardowi nowe figle płata.*

*Spoczywa mu na piersi albo siwą*

*Głowę wieńczy mu kwieciem, to znów żywo*

*Na złotych skrzydłach wesół dokoła połata.*

*Rzecz poeta: „Kiedy mym natchnieniem*

*Sam jest Kupidyn – jego tylko pieniem*

*Wystawiać będę, jemu służyć zawsze, wszędzie.*



*Nie chcę pomocy ja wcale wysokiej*

*Ani od Feba, ni Błękitnookiej:*

*Miłości tylko lira moja służyć będzie.*

*Dawniej we wzniosłych miarach opiewałem*

*Krółów pochwały, bohaterów chwałę*

*I ogień epopei niecitem w zapale:*

*Teraz – żegnajcie mi, bohaterowie,*

*Zegnajcie, króle! Odtąd w każdym słowie*

*Jednego Kupidyna wielbić będę stale”.*

Markiz oddał Teodorowi manuskrypt z uśmiechem zachęty.

– Bardzo mi przypadł do gustu twój mały poemat – rzekł. – Jednakże nie możesz opierać się na moim zdaniu. Nie jestem znawcą poezji i sam nie ułożyłem w całym życiu więcej jak sześć rymów, a skutek tych sześciu był tak niefortunny, iż święcie postanowiłem nigdy już nic nie rymować. Odbiegam jednak od tematu. Chciałem ci rzec, iż nie możesz gorzej użyć swego czasu, niżli poświęcając go na układanie wierszy. Autor, czy to przedni, czy lichy, czy tylko mierny, jest istotą, na którą każdy ma prawo napadać: bo chociaż nie wszyscy zdolni są do pisania ksiąg, wszyscy uważają się za zdolnych do ich oceny. Zły utwór niesie ze sobą należną mu karę: wzgardę i śmieszność. Dobry wzbudza zawiść i nakłada na autora tysiące upokorzeń. Spotyka się on z napaściami stronnicy i złośliwej krytyki. Jeden doszukuje się błędów w ułożeniu dzieła, drugi w stylu, trzeci w nauce moralnej, którą autor stara się wpoić w serce czytelnika, a ci, którym nie udało się doszukać mankamentów w książce, trudnią się piętnowaniem autora. Złośliwie wygrzebują z ukrycia każde małe zdarzenie, które może ośmieszyć jego prywatne życie czy postęпки, i starają się zranić człowieka, ponieważ nie mogą urazić pisarza. Mówiąc pokrótce, wkroczenie w szranki literatury jest dobrowolnym wystawieniem się na pociski lekceważenia, śmieszności, zawiści i rozczarowania. Czy piszesz źle, czy dobrze, bądź pewien, że nie unikniesz przygany. Co prawda, te właśnie okoliczności stanowią główną pociechę młodego autora: pomny jest, iż Calderon<sup>[2]</sup> i Lope de Vega<sup>[3]</sup> mieli niesprawiedliwych i zazdrosnych krytyków, i skromnie mniemam, iż znajduję się właśnie w ich położeniu. Świadom przecie jestem, że wszystkie te

mądre maksymy marnują się, jeśli chodzi o ciebie. Autorstwo jest manią i nie ma tak silnych argumentów, aby ją przewyciężyć. Ty możesz mnie równie łatwo przekonywać, abym nie kochał, jak ja przekonuję cię, abys nie pisał. Ale jeśli nie możesz zapobiec, by nie ogarnęło cię od czasu do czasu natchnienie poetyckie, bądź przynajmniej dostatecznie ostrożny, i zaznajamiaj ze swymi utworami tylko tych, których przychylność zapewni ci ich aprobatę.

– A więc, mój panie, nie sądzisz, iż są to znośne wiersze? – rzekł Teodor z pokorną i przygnębiającą miną.

– Źle mnie zrozumiałeś. Jak już powiedziałem, bardzo mi przypadły do gustu, ale moje względy dla ciebie czynią mnie stronniczym i inni mogą je osądzić mniej przychylnie. Muszę jeszcze dodać, że nawet moje uprzedzenie na twoją korzyść nie zaślepią mnie na tyle, bym nie mógł dostrzec w twoim wierszu kilku błędów. Na przykład, robisz straszliwe zamieszanie przy używaniu metafory: zbyt jesteś skłonny do układania poematów, w których główna zaleta zasadza się bardziej na słowach niżli na sensie: niektóre wersy zdają się być wprowadzone tylko dla rymowania się z innymi, większość zaś najlepszych pomysłów zapożyczona jest od innych poetów, chociaż przypuszczalnie ty sam nieświadom jesteś tej kradzieży. Te błędy można czasem wybaczyć w jakimś dłuższym utworze, ale krótki poemacik musi być poprawny i doskonały.

– To wszystko prawda, *señor*: winieneś jednakże zauważyć, że piszę tylko dla własnej uciechy.

Twoje defekty są w takim razie jeszcze mniej wybacalne. Można darować niedokładności tym, którzy trudzą się dla pieniędzy, zmuszeni są skończyć określone zadanie w określonym czasie i są wynagradzani zależnie od objętości, a nie wartości swoich płodów. U tych jednak, których potrzeba nie zmusza do zostania literatami, i mających wiele wolnego czasu dla wygładzenia swoich kompozycji, błędy są niewybacalne i zasługują na najostrzejsze strzały krytyki.

Markiz podniósł się z sofy; pazik wyglądał na zniechęconego i pełnego żalości; nie uszło to uwagi jego pana.

– Jednakże – dodał uśmiechając się – sądzę, że te wiersze nie przynoszą ci wstydu. Składasz rymy wcale łatwo i zda się, że masz dobre ucho. W sumie, przeczytanie twojego poemaciku sprawiło mi wiele przyjemności i jeśli prośba, byś mi go przepisał, nie jest domaganiem się nazbyt wielkiego faworu, będę ci wielce zobowiązany za kopię.

Twarz młodzika natychmiast się rozjaśniła. Nie spostrzegł na pół przychylnego, a na pół drwiącego uśmiechu, który towarzyszył owej prośbie, i ochno obiecał dostarczyć kopię. Markiz wycofał się do swojej komnaty wielce ubawiony natychmiastowym efektem, z jakim próżność Teodora przyjęła krytyczny osąd jego pana. Rzucił się na łożo; rychło zmorzył go sen, a marzenia senne przedstawiały mu najpoważniejsze obrazy szczęścia z Agnes.

Lorenzo zaraz po powrocie do domu zapytał o listy. Zastał kilka oczekujących go bilecików, lecz tego, którego szukał, nie było między nimi. Leonelli nie udało się napisać tego samego wieczora. Jednakże pilno jej było podbić serce don Christovala, na którym, jak sobie pochlebiała, wywarła nie lada wrażenie, toteż nie mogła przepędzić następnego dnia nie powiadamiając, gdzie można ją odnaleźć. Po powrocie z kościoła Kapucynów z triumfem opowiedziała siostrze, jak nadskakiwał jej pewien urodziwy młodzieniec, a także, jak to jego towarzysz podjął się wstawić za Antonią u markiza de Las Cisternas. Elwira przyjęła ową wiadomość z uczuciami zgoła odmiennymi od tych, z jakimi tę wieść oznajmiono. Wyrzucała siostrze nieopatrzność w powierzeniu dziejów rodziny zgoła obcej osobie i wyraziła obawy, że ów nierozważny krok może źle usposobić do niej markiza. Największą obawę ukryła jednak we własnym sercu. Z niepokojem spostrzegła, że na wzmiankę o Lorenzu liczko córki oblał szkarłatny rumieniec. Nieśmiała Antonia nie odważyła się wymówić jego imienia. Kiedy

Lorenzo stał się tematem rozmowy, sama nie wiedząc dlaczego, odczuła zaambarasowanie i starała się skierować rozmowę na Ambrozja. Elwira dostrzegła wzruszenie młodego serca: dlatego nalegała, by Leonella nie dotrzymała obietnicy danej nowo poznanym kawalerom. Westchnienie, jakie wyrwało się z piersi Antonii, gdy postyszała ów rozkaz, umocniło czujną rodzicielkę w jej postanowieniu.

Leonella zamyśliła przecież wyłamać się z tego rozkazu; uważała, iż zrodził się on z zawiści i że siostra obawiała się wyniesienia Leonelli ponad swój stan. Nie zwierzywszy się więc nikomu ze swoich zamiarów, znalazła sposobność, by przesłać Lorenzowi poniższe pismo: doręczono mu je zaraz po przebudzeniu.

*Nie wątpię, señor don Lorenzo, żeś mnie często oskarżał o niewdzięczność i niepamięć. Ale klnę się słowem dziewicy, że nie było w mojej mocy wywiązać się wczoraj z danego przyrzeczenia. Nie wiem wprost, w jakich słowach oznajmić ci, jak osobliwie moja siostra przyjęła twe łaskawe życzenie złożenia jej wizyty. Dziwaczka z niej, ale ma i swoje dobre strony; z zazdrości o mnie często wyobraża sobie niestworzone rzeczy. Gdy postyszała, że twój przyjaciel okazał mi niejakię względy, natychmiast się spłoszyła: skrytykowała moje postępowanie i surowo zabroniła mi powiadomienia cię, gdzie mieszkamy. Mocne uczucie wdzięczności za uprzejme zaoferowanie nam twoich usług i (azali mam to wyznać?)... moje pragnienie oglądania raz jeszcze aż nazbyt miłego don Christovala sprzeciwiają się usłuchaniu siostry. Dlatego skorzystałam z chwilki czasu, aby cię powiadomić, że mieszkamy na strada di San Iago<sup>[4]</sup>, o cztery domy od pałacu Albornosów i prawie naprzeciw golarza Miguela Coello. Pytaj o Elwirę Dalfa, albowiem zgodnie z życzeniem teścia siostra moja nadal używa panieńskiego nazwiska. O ósmej tego wieczora na pewno nas zastaniesz; nie piśnij przecie ani słówka, które mogłoby wzbudzić podejrzenie, iż napisałam ten list. Jeślibyś zobaczył hrabiego d'Ossorio, rzeknij mu (rumienie się przy tym wyznaniu...), rzeknij mu, że jego obecność będzie aż nazbyt pożądana dla sprzyjającej mu*

*Leonelli.*

Ostatnie zdanie napisane było czerwonym atramentem, aby dać wyobrażenie o rumieńcach oblewających lica Leonelli, gdy zadawała gwałt swej dziewiczej skromności.

Lorenzo natychmiast po przeczytaniu listu udał się na poszukiwania don Christovala, a nie zdoławszy go odnaleźć w ciągu dnia, podążył sam do donny Elwiry, ku bezgranicznemu rozczarowaniu Leonelli. Służący, przez którego podał swe nazwisko, od razu oznajmił, iż pani jest w domu, i Elwira nie mogła się wymówić od wizyty Lorenza, chociaż przyzwoliła na nią z dużą niechęcią. Niechęć owa wzmogła się jeszcze na skutek zmiany, jaką wiadomość o nadejściu Lorenza wywołała na liczku Antonii, a uczucie owo zgoła się nie zmniejszyło, gdy młodzieniec we własnej osobie wszedł na pokoje. Jego zgrabna postać, żywe oblicze, wytwomość manier i sposób, w jaki zwrócił się do Elwiry, przekonały ją, że taka wizyta musi być niebezpieczna dla jej córki. Postanowiła traktować go z chłodną uprzejmością, z wdzięcznością odrzucić zaoferowane usługi i dać mu odczuć bez obrazę, iż jego dalsze wizyty nie będą mile widziane.

Lorenzo wszedł do pokoju i zastał Elwirę, która była trochę niedysponowana, spoczywającą na sofie; Antonia siedziała przy tamburku, a Leonella w stroju pasterki trzymała w ręce „Diane” Montemayora<sup>[5]</sup>. Mimo że Elwira była matką Antonii, Lorenzo oczekiwał raczej, iż znajdzie w niej wierną siostrę Leonelli i córkę „zacnego i pracowitego szewca, który nie miał sobie równego w Kordobie”. Wystarczyło jednego wejrzenia, aby go mile rozczarować. Postrzegł

niewiastę, której rysy, choć tknięte zębem czasu i przygaszone cierpieniem, jeszcze nosiły ślady wybitnej urody; na obliczu Elwiry panował wyraz powagi i godności, złagodzony jednak wdziękiem i słodyczą, co czyniło ją prawdziwie powabną. Lorenzo wyobraził sobie, iż w młodości musiała być podobna do córki, i z miejsca znalazł usprawiedliwienie dla nieopatrzności kroku hrabiego de Las Cisternas. Elwira poprosiła Lorenza, aby usiadł, i natychmiast zajęła na powrót miejsce na sofie.

Antonia powitała młodzieńca skromnym dygiem i dalej haftowała; liczko jej oblało się szkarłatem i usiłowała ukryć wzruszenie pochylając się nad tamburkiem. Ciotka uważała również za stosowne popisywać się niewinnymi minkami i gestami: udawała, iż drży i płonie i ze spuszczonej oczami oczekiwała na powitanie don Christovala. Po pewnym czasie spostrzegła, iż nic nie zwiastuje jego przybycia; odważyła się rozejrzeć po pokoju i z udręką spostrzegła, że Medina jest sam. Niecierpliwość nie dozwoliła jej czekać na wyjaśnienie; przerwała Lorenzowi, który właśnie przekazywał Elwirze oświadczenie Rajmonda, i zapragnęła wiedzieć, co się stało z przyjacielem Lorenza.

Ten uważając, iż trzeba utrzymać się w łaskach Leonelli, starał się pocieszyć ją w rozczarowaniu przez małe pogwałcenie zasad prawdomówności.

– Ach, *señora* – rzekł melancholijnym głosem – jakże strapiony będzie tracąc sposobność złożenia ci swego uszanowania! Choroba krewniaka zmusiła go do pospiesznego opuszczenia Madrytu, ale po powrocie niewątpliwie wykorzysta z uniesieniem pierwszą sposobną chwilę, aby rzucić się do twoich stóp!

To rzekłszy napotkał wzrok Elwiry: ta dostatecznie ukarała jego kłamstwo, rzucając mu spojrzenie pełne niezadowolenia i wyrzutu. Oszukiwanie Elwiry nie leżało w intencjach Lorenza. Leonella, zła i zawiedziona, powstała z fotela i usunęła się w zacisze swojej komnatki.

Lorenzo pospieszył naprawić błąd, który zaszkodził mu w opinii Elwiry. Opowiedział, iż mówił o jej sprawie z markizem, zapewnił, iż Rajmond jest gotów uznać ją za wdowę po bracie i że póki nie będzie mógł sam wyrazić jej swojej przychylności i szacunku, polecił Lorenzowi, aby ten uczynił to w jego imieniu. Nowina ta zdjęła Elwirze kamień z serca; znalazła wreszcie protektora dla pozbawionej ojca Antonii, o której przyszłe losy nękały ją najgorsze obawy. Nie szczędziła więc słów podziękowań temu, który tak wspaniałomyślnie stał się jej orędownikiem, lecz mimo to nie zapraszała go do ponowienia odwiedzin. Kiedy jednak Lorenzo, podnosząc się z krzesła na odchodnym, poprosił o pozwolenie zapytania jej od czasu do czasu o jej zdrowie – wytworne i poważne maniery młodzieńca, wdzięczność za jego przysługę i szacunek dla jego przyjaciela, markiza, nie dozwoliły Elwirze na odmowę. Z pewnym ociąganiem zgodziła się na ponowną wizytę Lorenza, a ten obiecał nie nadużywać jej uprzejmości i opuścić dom.

Antonia została teraz sama z matką; zapanowało chwilowe milczenie. Obie chciały mówić na ten sam temat, ale żadna nie wiedziała, od czego zacząć. Jedna czuła jakieś zawstydzenie, które zapieczętowało jej usta; druga lękała się, iż jej przewidywania okażą się prawdziwe i nie chciała wzbudzać w córce myśli, które być może nie zrodziły się jeszcze w jej głowce. W końcu Elwira zaczęła rozmowę.

– To zachwycający młodzieniec, Antonio, bardzo mi przypadł do gustu. Czy długo przebywał wczoraj blisko ciebie w katedrze?

– Nie odstępował mnie ani na krok przez cały czas naszego pobytu w kościele; ofiarował mi swoje miejsce i wielce był usłużny i uprzejmy.

– Zaiste! Dlaczego więc nigdy nie wspomniałaś jego imienia? Twoja ciotka rozpytywała się w pochwałach nad jego przyjacielem, a ty unosiłaś się nad elokwencją Ambrozja, ale żadna nie wspomniała ani słowa o osobie don Lorenza, jego powabach i przymiotach. Gdyby Leonella nie mówiła o jego gotowości do poparcia naszej sprawy, nie wiedziałabym, iż istnieje na świecie.

Zamilkła na chwilę. Antonia zarumieniała się, ale wciąż milczała.

– Może sąd twój o nim jest mniej pochlebny od mojego? Moim zdaniem ma przyjemną postać, rozmawia rozsądnie i ma ujmujące maniery. Ale na tobie mógł wywrzeć odmienne wrażenie; może uważasz go za niemiłego i...

– Niemiłego? Och, droga mamo! jakże bym mogła tak pomyśleć? Byłabym wielką niewdzięcznicą, gdybym nie doceniała jego wczorajszej grzeczności, i całkiem ślepa, gdyby jego przymioty uszły mojej uwagi. Jego postać jest tak wdzięczna i tak szlachetna! Maniery ma tak gładkie, a przecie takie, jakie przystoją mężczyźnie. Nigdy dotąd nie widziałam, by jedna osoba łączyła w sobie tyle zalet, i wątpię, czy znajdzie się w Madrycie kawaler, który by mu dorównał.

– Dlaczegoś więc milczała i nie pochwaliłaś tego feniksa Madrytu? Dlaczego zataiłaś przede mną, iż jego towarzystwo sprawiło ci taką przyjemność?

– Prawdę mówiąc, nie wiem; zadajesz mi pytania, na które sama nie mogę odpowiedzieć. Tysiąc razy byłam już o krok od wzmiankowania o nim; imię jego było bez przerwy na moich ustach, ale kiedy chciałam je wymówić, brakło mi odwagi. Jednakże choć o nim nie mówiłam, nie znaczy to, iż o nim nie myślałam.

– Temu wierzę. Ale rzeknę ci, dlaczego zbrakło ci odwagi. Dlatego, że przyzwyczajona do powierzania mi swoich najtajniejszych myśli, nie wiedziałas, jak ukryć, a przecie lękałaś się przyznać, że twoje serduszko żywi sentyment, bo ty wiedziałas z pewnością, iż nie będę go pochwalać. Podejdz do mnie bliżej, moje dziecko.

Antonia odeszła od tamburka, rzuciła się na kolana obok sofy i ukryła liczko na podołku matki.

– Nie bój się, pieścotko! Uważaj mnie zarówno za matkę, jak i za przyjaciółkę i nie obawiaj się, że cię złąję. Przejrzałam wzruszenia twojego serduszka; mało jeszcze jesteś biegła w ukrywaniu ich i nie mogły ujść przed moim baczynym okiem. Ten Lorenzo jest niebezpieczny dla twojego spokoju; już wywarł wrażenie na twoim sercu. Co prawda, łatwo spostrzegłam, iż twój afekt spotkał się ze wzajemnością, ale do czego może doprowadzić owo przywiązanie? Jesteś biedna i nie masz przyjaciół, moja Antonio; Lorenzo jest dziedzicem księcia Medina Celi. Jeśli nawet on sam żywi szlachetne zamiary, to jego stryj nigdy nie zgodzi się na wasz związek ani ja do niego nie dopuszczę bez przyzwolenia stryja. Ze smutnego doświadczenia wiem, jakie niedole musi znosić kobieta wchodząca przez zamążpójście w rodzinę, która nie chce jej przyjąć. Walcz więc ze swoim uczuciem, choćby wiele trudu cię to kosztowało, staraj się je przytłumić. Serce masz czułe i wrażliwe; już zapadło w nie pierwsze silne wrażenie. Jeśli jednak raz nabierzesz przekonania, iż nie wolno ci folgować takim uczuciom, ufam, że masz na tyle męstwa, by wypędzić je ze swego serca.

Antonia ucałowała matczyną rękę i obiecała zupełne posłuszeństwo. Elwira ciągnęła dalej:

– Aby uchronić się przed dalszym rozwojem twych uczuć, trzeba będzie wzbronić Lorenzowi odwiedzin. Przysługa, jaką mi oddał, nie dozwala mi na stanowcze zakazanie mu wizyt w naszym domu, ale jeśli nie nazbyt pochlebnie oceniam jego charakter, sam ich poniecha, i to bez urazy, jeśli wyznam, jakie mam ku temu powody, i zdam się całkowicie na jego wspaniałomyślność. Kiedy go zobaczę następnym razem, uczciwie zwierzę mu się z kłopotów, jakich przysparza mi jego obecność. Cóż ty na to, moje dziecko? Czy to potrzebne?

Antonia przyklasnęła wszystkiemu bez wahania, chociaż nie bez żalu. Matka czule ją ucałowała i udała się na spoczynek. Antonia poszła za jej przykładem i tak często poprzysięgała sobie, iż nigdy więcej nie pomyśli o Lorenzu, że nim sen skleił jej powieki, nie myślała o niczym innym.

Gdy to działo się u Elwiry, Lorenzo pospieszył na spotkanie z markizem. Wszystko było

gotowe do drugiej ucieczki Agnes i o północy obaj przyjaciele, z powozem zaprzężonym w czwórkę koni, znaleźli się pod murem klasztornego ogrodu. Don Rajmond wyciągnął klucz i otworzył furtkę. Weszli do ogrodu i czekali przez jakiś czas, wyglądając przybycia Agnes. W końcu markiz zniecierpliwił się; jął obawiać się, że druga próba nie powiedzie się lepiej niżli pierwsza, i zaproponował, by udali się na zwiady i obeszlili klasztor dookoła. Wszędzie było cicho i ciemno. Obawiając się, aby przewina jednej owieczki nie zhańbiła całej społeczności mniszek i aby wstawiennictwo możnych krewnych nie uchroniło upatrzonej ofiary przed zemstą dominy, przeorysza pragnęła utrzymać całą rzecz w najgłębszym sekrecie. Postarała się więc, by nie dać kochankowi Agnes powodów do podejrzeń, iż jego zamysł został odkryty, a jego kochanka właśnie miała odpokutować za swoją przewinę. Z tych samych powodów domina odrzuciła myśl pochwycenia w ogrodzie niecnego uwodziciela; przedsięwzięcie tego rodzaju stworzyłoby zbyt nie zamieszanie, a niesława, jaka spadłaby na klasztor, rozniosłaby się po całym Madrycie. Zadowolona więc trzymaniem Agnes w ścisłym zamknięciu; co zaś do kochanka, pozostawiła mu wolną rękę w przeprowadzeniu jego zamysłów. Markiz wraz z Lorenzem czekali na próżno aż do świtania; rankiem bezszelestnie odeszli, przerażeni niepowodzeniem swego planu i nieświadomi przyczyny, dla której spalił na panewce.

Następnego ranka Lorenzo udał się do klasztoru i zażądał widzenia z siostrą. U kraty pojawiła się przeorysza z melancholijnym obliczem. Oznajmiła, iż od kilku dni Agnes była bardzo podniecona; zakonnice próżno na nią nalegały, aby zdradziła im przyczynę tego wzburzenia i odwołała się do ich tkliwych uczuć prosząc o radę i pocieszenie; wciąż uparcie ukrywała przyczyny swojej rozterki. W czwartek wieczór niepokój Agnes tak mocno nadszarpnął jej siły, że zachorowała i teraz leży w łóżku. Lorenzo nie uwierzył ani jednemu słowu z owej relacji; upierał się, iż chce zobaczyć siostrę, a jeśli ta niezdolna jest podejść do kraty, żądał, aby wpuszczono go do jej celi. Przeorysza przeżegnała się. Zgorszyła ją sama myśl, iż świętokradcze oko mężczyzny miałoby przeniknąć do wnętrza jej świętego przybytku, i wyraziła zdziwienie, że Lorenzo mógł pomyśleć o czymś podobnym. Dodała, iż nie może spełnić jego życzenia, ale jeśli powróci następnego dnia, żywi nadzieję, że jej umiłowana córka na tyle ozdrowieje, aby spotkać się z Lorenzem przy kracie rozmównicy. Lorenzo musiał się oddalić po tej odpowiedzi; był niezadowolony i drżał o bezpieczeństwo siostry.

Wrócił następnego ranka o wczesnej godzinie. Agnes miała się gorzej i lekarz oświadczył, iż życiu jej zagraża wielkie niebezpieczeństwo. Kazano jej spokojnie leżeć i w żaden sposób nie mogła przyjąć odwiedzin brata. Lorenzo zgniewał się na tę odpowiedź, ale nie było od niej odwołania. Szalał, błagał i groził; próbował wszelkich sposobów, by uzyskać widzenie Agnes. Usiłowania jego były równie bezowocne jak poprzednio i zrozpaczony powrócił do markiza. Ten, ze swej strony, nie szczędził trudu, by odkryć przyczynę niepowodzenia spisku. Don Christoval, któremu powierzono się teraz z całej sprawy, usiłował wyciągnąć sekret od starej odźwiernej klarysek, z którą się zaznajomił; ta miała się jednak zbyt na baczności, przeto nie zyskał od niej żadnej wieści. Markiz nieomal odchodził od zmysłów, niepokój zaś Lorenza prawie dorównywał jego wzburzeniu. Obaj byli przekonani, że zamierzona ucieczka Agnes musiała zostać odkryta; nie wątpili, iż słabość Agnes była tylko pretekstem, ale nie wiedzieli, jakimi sposobami wybawić ją z rąk przeoryszy.

Regularnie każdego dnia Lorenzo odwiedzał klasztor i równie regularnie oznajmiano mu, iż stan siostry raczej się pogarszał, niżli polepszał. Pewien, iż choroba Agnes była zmyślona, nie przerażał się owymi relacjami, ale niewiedza o losach siostry i o przyczynach, które skłoniły przeoryszę do trzymania jej od niego z daleka, wzbudziły w Lorenzu poważny niepokój. Wciąż wahał się, jakie kroki winien przedsięwziąć, gdy markiz otrzymał list od księcia kardynała Lermy. Pismo zawierało oczekiwaną bullę papieską, która nakazywała zwolnienie Agnes od

ślubów zakonnych i zwrócenie jej rodzinie. Ten ważki dokument natychmiast zdecydował o dalszym postępowaniu przyjaciół Agnes; postanowili, iż Lorenzo zaniesie owo pismo dominie i zażąda bezzwłocznego wydania siostry. Przed orzeczeniem papieskim nie można się było wymówić chorobą; pismo dawało bratu prawo natychmiastowego przeniesienia Agnes do pałacu Medinów i Lorenzo postanowił, iż następnego dnia skorzysta z owego prawa.

Zrzucił z myśli troskę o Agnes, a ducha pokrzepił nadzieją, iż rychło przywróci jej wolność; miał więc czas, aby poświęcić kilka chwil miłości i Antonii. O tej samej porze jak poprzednio pojawił się u *donny* Elwiry. Poleciała go wprowadzić. Skoro tylko zaanonsowano młodzieńca, córka Elwiry wraz z Leonellą wycofały się i wchodzący do komnaty Lorenzo zastał tylko panią domu. Przyjęła go mniej ceremonialnie niżli uprzednio i zaprosiła, aby usiadł w pobliżu niej na kanapie. Następnie, nie tracąc czasu, przystąpiła do rzeczy, tak jak to uradziły z Antonią.

– Nie powinienes uważać mnie za niewdzięczną, don Lorenzo, lub niepamiętną ważkich przysług, któreś mi wyświadczył u markiza. Czuję ciężar moich zobowiązań i nic pod słońcem nie skłoniłoby mnie do kroku, który muszę teraz podjąć, gdyby nie dobro mojego dziecka, mojej ukochanej Antonii. Siły mnie opuszczają; tylko Bóg jeden wie, jak rychło mogę zostać zawezwana przed jego tron. Moja córka zostanie bez rodziców, a jeśli utraci protekcję rodziny de Las Cisternas, i bez przyjaciół. Młoda jest i prostoduszna, nie obznajomiona z przewrotnością świata, a obdarzona dostatecznymi powabami, może stać się przedmiotem pokusy. Osądź więc, jak muszę drzeć przed oczekującą ją przyszłością! Osądź, jak troskliwie muszę trzymać ją z daleka od towarzystwa tych, którzy mogliby wzbudzić drzemiące jeszcze w jej sercu namiętności. Jesteś miłym człowiekiem, don Lorenzo; Antonia ma wrażliwe i czułe serce, wdzięczne za łaski, jakie spłynęły na nas dzięki twemu wstawiennictwu u markiza. Twoja obecność przyprawia mnie o lęk; obawiam się, iż wzbudzisz w Antonii sentymenty, które mogą napełnić goryczą resztę jej życia lub zachęcić ją do żywienia nadziei w jej położeniu próżnych i nie usprawiedliwionych. Wybacz, iż wyznaję ci moje obawy, i niechże szczerosc przemówi na moje usprawiedliwienie. Nie mogę zabronić ci bywania w moim domu, bo powstrzymuje mnie od tego uczucie wdzięczności; mogę jedynie zdać się na twoją wspaniałomyślność i błagać cię, abys oszczędzał uczuć troskliwej i tkliwej matki. Wierzaj moim zapewnieniom, iż ubolewam nad koniecznością odrzucenia twojej znajomości, ale nie ma na to rady i dobro Antonii zmusza mnie do proszenia cię, abys zaprzestał odwiedzin. Gdy zastosujesz się do mojego żądania, zwiększysz szacunek, jaki już do ciebie żywię i na jaki, wedle tego, co spostrzegłam, rzetelnie zasługujesz.

– Wzrusza mnie twoja szczerosc, pani – odparł Lorenzo. – Przekonasz się, iż nie zwiódła cię twoja pochlebna opinia o mnie; mam przecie nadzieję, że mogę przytoczyć na swoją obronę argumenty, które przekonają cię, abys cofnęła owo żądanie, na które musiałbym przystać z niezmierną niechęcią. Miłuję twoją córkę, miłuję ją najszczerzej; nie pragnę innego szczęścia prócz wzbudzenia w niej tych samych uczuć i zostania przy ołtarzu jej prawym małżonkiem. To prawda, nie jestem bogaczem; śmierć ojca pozostawiła niewiele w moim posiadaniu, ale moje widoki na przyszłe dziedzictwo usprawiedliwiają konkury do córki księcia de Las Cisternas.

Chciał mówić dalej, ale Elwira przerwała:

– Ach! don Lorenzo, prawiac o tym pompatycznym tytule, nie pamiętasz o moim niskim urodzeniu. Zapominasz, że właśnie spędziłam w Hiszpanii czternaście lat, nie uznana przez rodzinę męża i żyjąc z zasiłku, który ledwo wystarczał na wyżywienie i edukację córki. Co więcej, lekceważy mnie nawet większość moich własnych krewnych, którzy udają z zawiści, iż wątpią w legalność mojego związku. Po śmierci teścia przestano mi wypłacać pensyjke i doprowadzona zostałam do skrajnej nędzy. Wtedy odnalazła mnie moja siostra, która mimo wszelkich swoich słabostek ma gorące, szlachetne i czułe serce. Wspomagała mnie ze swojej

fortunki, pozostawionej jej przez naszego ojca, namówiła na przyjazd do Madrytu i utrzymywała mnie i moje dziecko od czasu naszego wyjazdu z Murcji. Nie uważaj więc Antonii za dziecko rodu de Las Cisternas; patrz na nią jako na biedną, samotną sierotę, wnuczkę rzemieślnika Tribia Dalfa i jak na ubogą dziewczynę, na utrzymaniu córki owego rzemieślnika. Pomyśl, jak bardzo różni się jej położenie i twoje, siostrzeńca i dziedzica możnego księcia Medina. Wierzę w rzetelność twoich zamiarów, ale ponieważ nie ma żadnych nadziei, iż twój stryj zaaprobuje ten związek, przewiduję, iż skutki twego przywiązania muszą okazać się zgubne dla spokoju mojego dziecięcia.

– Wybacz mi, *señora*: mylisz się przypuszczając, że księżę Medina podobny jest do większości ludzi. Sentymenty jego są światłe i bezinteresowne; szczerze mnie miłuje i nie ma żadnej przyczyny obawiać się, iż wzbroni mi małżeństwa zoczywszy, iż od Antonii zawisła moja szczęśliwość. Ale przypuśćmy, że odmówi mi swego pozwolenia; nawet w tym przypadku czegoż się mogą lękać? Rodzice nie żyją; moja mała fortunka należy wyłącznie do mnie; starczy jej, aby utrzymać Antonię, i bez jednego westchnienia żalu zamienię na jej rękę całe księstwo Medinów.

– Młody jesteś i zapalczywy; rzecz zgoła naturalna, iż żywisz takie myśli. Ale doświadczenie nauczyło mnie moim własnym kosztem, iż przekleństwo towarzyszy nierównemu związkowi. Poślubiłam hrabiego de Las Cisternas wbrew woli jego krewnych; niejedną raz ścisnęło mi się serce z powodu tego nieopatrzego postępu. Dokądkolwiek skierowaliśmy nasze kroki, ścigało Gonzala ojcowskie przekleństwo. Dosięgnął nas niedostatek i nie było w pobliżu żadnego przyjaciela, który ulżyłby naszej biedzie. Trwała jeszcze nasza wzajemna miłość, ale, niestety! nie trwała nieprzerwanie. Małżonek mój, przyzwyczajony do bogactwa i bez troski, źle znosił zamianę na utrapienia i ubóstwo. Zżymał się spoglądając wstecz na dostatki, których ongiś zażywał. Żałował pozycji, którą dla mnie porzucił, i w chwilach kiedy rozpacz ogarniała jego umysł, wyrzucał mi, iż uczyniłam z niego towarzysza niedostatku i niedoli. Nazywał mnie swoim przekleństwem, źródłem frasunków, przyczyną zguby! Ach, Boże! nie zdawał sobie sprawy, o ile bardziej dojmujące były wyrzuty mojego własnego serca. Nie pojmował, iż cierpiałam potrójnie: za siebie, za moje dzieci i za niego! To prawda, że jego gniew nie trwał zazwyczaj długo i szczerzy afekt ku mnie odżywał na powrót w jego sercu; wtedy skrucha za łzy, które wycisnął z moich oczu, dręczyła mnie jeszcze więcej niżli jego wymówki. Zwykł rzucać się na ziemię, błagać mnie o przebaczenie w słowach pełnych zapamiętania i obrzucać się przekleństwami za to, iż stał się mordercą mojego spokoju. Nauczona doświadczeniem, że związek zawarty przeciw życzeniom obu rodzin musi skończyć się niefortunnie, chcę uchronić córkę od tych niedoli, jakie sama wycierpiałam. Póki ja żyję, Antonia nie będzie twoją bez stryjowskiej zgody – bez wątpienia potępi on ów związek; księżę posiada olbrzymią władzę – i Antonia nie zostanie wystawiona na jego gniew i prześladowanie.

– Prześladowanie? Jakże łatwo można tego uniknąć! Niechże sprawa przybierze najgorszy obrót, to wystarczy opuścić Hiszpanię. Łacno mogę spieniężyć mój majątek. Wyspy Indyjskie dadzą nam pewne schronienie. Mam na Hiszpanioli posiadłość, niewielkiej co prawda wartości; umkniemy na tę wyspę i będę uważał ją za kraj rodzinny, jeśli tylko dozwoli mi na spokojne radowanie się Antonią.

– Ach, młodzieńcze, jest to tylko luba romantyczna wizja.

Gonzalo myślał tak samo. Roił sobie, że będzie mógł opuścić Hiszpanię bez żalu, lecz chwila odjazdu rozwiła jego złudzenia. Nie wiesz, co to znaczy zamienić otoczenie, w którym przepędziłeś dzieciństwo, na nieznanne krainy i barbarzyńskie klimaty, zostać doszczętnie zapomnianym na wieki przez towarzyszy swojej młodości! Spoglądać, jak twoi najdrożsi przyjaciele, najmiłsze przedmioty twojej czułości, giną od chorób związanych z indyjską aurą,



a ty niezdolny jesteś do zapewnienia im potrzebnej pomocy. Ja to wszystko wycierpiałam; mój małżonek i dwa słodkie maleństwa znalazły śmierć na Kubie: nic nie ocalałoby mojej małej Antonii, gdyby nie nagły powrót do Hiszpanii. Ach! don Lorenzo, czy możesz pojąć, com wycierpiała w czasie mojego wygnania! Czy możesz wiedzieć, jak gorzko żałowałam wszystkiego, co pozostawiłam w ojczyźnie, i jak drogie mi było samo imię Hiszpanii! Zazdrościłam wiatrom wiejącym w jej kierunku, a kiedy hiszpański żeglarz, przechodząc pod moimi oknami, nucił jakąś dobrze znaną piosenkę, łzy napełniały mi oczy na myśl o kraju. Gonzalo również... mój małżonek...

Elwira przerwała. Głos się jej załamał i ukryła twarz w chustce. Po krótkim milczeniu podniosła się z sofy i ciągnęła dalej:

– Daruj, iż cię na chwilę opuszczę: wspomnienie moich cierpień wielce mnie poruszyło i trzeba mi samotności. Zanim powrócę, przeczytaj te wiersze. Po śmierci męża znalazłam je wśród jego papierów. Gdybym wcześniej wiedziała, iż żywił takie uczucia, umarłabym ze strapienia. Napisał te strofy w czasie podróży na Kubę, kiedy umysł jego był omroczony smutkiem, i zapomniał wtedy, że ma żonę i dzieci. To, co tracimy, zawsze wydaje się nam najcenniejsze. Gonzalo opuszczał Hiszpanię na zawsze i dlatego Hiszpania droższą była w jego oczach niżli skarby całego świata. Przeczytaj te strofy, don Lorenzo, dadzą ci one pewne wyobrażenie o uczuciach wygnańca.

Elwira włożyła kartę papieru w dłoń Lorenza i usunęła się z komnaty. Młodzieniec spojrział na manuskrypt i czytał te oto słowa:

Wygnaniec<sup>[6]</sup>

*Zegnam, cię, Ojczyzno! żegnam, cię na wieki!*

*Smutne przeczucie w piersiach odzywa się tkliwych,*

*Ze te oczy, te łzami zroszone powieki*

*Już więcej nie zobaczą twych brzegów szczęśliwych.*

*Ucichła sroga burza i żagiel rozpięty*

*Lekko naprzód posuwa niezmarszczona fala,*

*We mnie niknie odwaga i żalem ściśnięty*

*Przeklinam wiatr, który mnie od ciebie oddala.*

*Jeszcze cię widzę za tym niebieskim obłokiem,*

*Domy i wieże ostre swe szczyty wywodzą:  
Z pagórków, co przed chciwym zniżają się okiem,  
Głosy mowy ojczystej jeszcze mnie dochodzą.  
Na skale, co ją wokół gęsty mech okrywa,  
Rybak zmoczone sieci przed słońcem rozpina,  
A piosnka, którą tonem rozkwilonym śpiewa,  
Pamięć znikłych rozkoszy smutnie przypomina.  
Jak szczęśliwszy ode mnie! Już czeka godziny,  
Gdy wieczór szarym mrokiem obłoki powleka,  
Wtenczas ochoczy wraca do skromnej dziedziny,  
Gdzie go dziatwa i żona z utęsknieniem czeka.  
Już się spieszy i skoro niskie przejdzie progi,  
Spotyka wszędzie uśmiech, słodkie uściśnienia;  
Nie trują rozkosz jego przyszytych strapień trwogi,  
Nie znają oczy płaczu ni piersi wzdychania.*

*Człeku stokroć szczęśliwy! do późnej siwizny*

*Znać będziesz słodycz życia w stanie twym ubogim;*

*A ja, smutny wygnaniec z domu i Ojczyzny,*

*Rzucąc muszę, co tylko jest mi w świecie drogim!*

*Już mnie matka do swego nie przytuli łona,*

*Już nie ujrzę przyjaciół ni braci kochanych;*

*Próżno drogie wspomnienia wraca mysi strapiona,*

*Spieszę do parnych niebios i krain nieznanych.*

*Idę, gdzie słońce skwarnym upałem się żarzy,*

*Gdzie się płodzą tygrysy i węże zjadliwe,*

*Gdzie żółtą febrą tknięty, wbrew sztuce lekarzy,*

*Człek zionie w ciężkich mękach życie nieszczęśliwe.*

*Lecz ani jad, co wnętrza zaczyna pożerać,*

*Ni krew, co się po żyłach w czarny węgiel spieka,*

*Ani żal: w kwiecie wieku gwałtownie umierać,*

*Nazwać można najtkliwszą męką dla człowieka.*

*Sroższym jest: życie pędzić w ustawnej tęsknocie,  
Nie mieć komu się z ciężkim powierzyć strapieniem,  
W smutnym, na upłynione szczęście, myśli zwrocie  
Truć każdy dzień obecny przeszłości wspomnieniem.*

*Ileż kroć, gdy po pracach i strudzeniach srogich  
Noc niespokojna zawrze powieki znużone,  
Sny wystawiać mi będą przyjaciół zbyt drogich,  
Miejsca i chwile z nimi tak słodko spędzone.*

*Mieszkania rodu mego, starożytne mury!  
Kędym igrał w dzieciństwie, wy, błonia, potoki,  
I ty, świątynio z wieżą wybiegłą do góry,  
Gdzie drogie przodków moich spoczywają zwłoki!*

*Wszędzie myśl udręczona przenosić się będzie;  
Lecz patrz: już się horyzont szarym kryje mrokiem,  
Już gmachy, domy, brzegi, drzewa w ciągłym rzędzie  
Raz się ukażą i znów nikną przed mym okiem.*

*Uciszcie się, o wiatry! nie wzdymajcie morza,*

*Niech spokojna ma nawa w milczeniu spoczywa;*

*Niechaj gdy jutro świetna okaże się zorza,*

*Wzrok mój brzegi ojczyste raz jeszcze odkrywa!*

*Próżne są prośby moje! Wiatr się w żagle ciśnie*

*I wzniesione bałwany szumna waży piana;*

*Nie ujrzę, tylko wody, gdy słońce zabłyśnie...*

*Zegnam cię raz ostatni, Ojczyzno kochana!*

Ledwie zdołał przeczytać te strofy, kiedy Elwira powróciła; swobodnie pofolgowała łzom, co przyniosło jej ulgę, i umysł jej odzyskał na powrót zwyczajny spokój.

– Nie mam nic więcej do powiedzenia, mój panie – rzekła. Usłyszałeś, jakie są moje obawy, i poznałeś przyczyny, dla których proszę cię, abyś nie ponawiał odwiedzin. Zdałam się z całym zaufaniem na twój honor. Pewna jestem, iż nie dowiedziesz mi, że moja opinia o tobie była zbyt pochlebna.

– Jeszcze jedno pytanie, *señora*, i już odchodzę. Gdyby książę Medina przychylnym okiem wejrzał na moją miłość, czy wtedy moje konkury zostaną mile przyjęte przez ciebie i przez nadobną Antonię?

– Będę z tobą szczerą, don Lorenzo; istnieje małe prawdopodobieństwo, aby taki związek mógł dojść do skutku, obawiam się jednakże, iż jest on nazbyt gorąco upragniony przez moją córkę. Wywarłeś wrażenie na jej młodym serduszku, które przyprawia mnie o poważny frasunek; aby zapobiec wzmożeniu się owego wrażenia, zmuszona jestem wyrzec się twojej znajomości. Co do mnie, możesz być pewny, iż radowałabym się mogąc tak korzystnie zabezpieczyć przyszłość mojego dziecięcia. Świadoma, iż moje siły, nadszarpnięte smutkiem i chorobą, wzbraniają mi spodziewać się długiego przebywania na tym świecie, drzę na myśl, że zostawię Antonię pod opieką zupełnie obcego człowieka. Nie znam zgoła markiza de Las Cisternas. Może się ożenić, a jego pani może spoglądać na Antonię krzywym okiem i pozbawić dziewczeczkę jej jedyne go przyjaciela. Jeśli książę, twój stryj, udzieli swego przyzwolenia, nie musisz powątpiewać, iż otrzymasz zgodę zarówno moją, jak i mojej córki; ale bez jego zgody nie licz na naszą. W każdym razie, jakiegokolwiek powziąłbyś kroki i jakiegokolwiek byłaby decyzja księcia, to

dopóki się z nią nie zapoznasz, niechże mi wolno będzie prosić, byś wstrzymał się od umacniania swą obecnością skłonności Antonii. Jeśli zezwolenie krewnych uprawni cię do zabiegania o nią jako o małżonkę, moje drzwi staną przed tobą otworem. Jeśli odmówią ci tego przyzwolenia, kontentuj się moim szacunkiem i wdzięcznością, lecz pomnij, że nie wolno się nam więcej spotykać.

Lorenzo z wahaniem obiecał dostosować się do owego dekretu, dodał jednak, że ma nadzieję na rychłe otrzymanie przyzwolenia, które dałoby mu prawo do ponowienia znajomości z Elwirą i jej córką. Następnie wyjaśnił Elwirze, dlaczego markiz nie zjawił się u niej osobiście, i bez skrupułów zwierzył się jej z przygód siostry. Zakończył powiadając, iż ma nadzieję uwolnić Agnes już następnego ranka i że skoro tylko don Rajmond ukończy swoje obawy w tym względzie, nie omieszka zapewnić *donny* Elwiry o swej przyjaźni i opiece.

Dama potrząsnęła głową.

– Drzę o twoją siostrę – rzekła. – Słyszałem o wielu cechach charakteru *dominy* klarysek od pewnej przyjaciółki, która edukowana była w tym samym klasztorze: mówiła mi, iż jest to osoba wyniosła, uparta, przesądna i mściwa. Od tego czasu doszło do moich uszu, iż zaślepiła ją całkowicie myśl uczynienia ze swego klasztoru najbardziej surowego zgromadzenia w Madrycie i nigdy nie wybaczyła tym, których nieopatrzność rzuciła na jej społeczność najmniejszą skazę. Choć z przyrodzenia gwałtowna i sroga, dobrze wie, gdy domagają się tego jej interesy, jak przybrać pozory dobroduszości. Nie przebiera w środkach, by namówić młódki znamienitego stanu na wstąpienie do jej zgromadzenia; nie sposób ją przebłagać, gdy się raz rozjątrzy, i ma aż nazbyt dużo odwagi, by nie wzdrygać się przed podjęciem surowych kroków dla ukarania przestępcy. Będzie niewątpliwie uważać opuszczenie klasztoru przez twoją siostrę za dyshonor rzucony na zgromadzenie klarysek; użyje każdego fortelu, by wykręcić się od posłuszeństwa należnego orzeczeniu Jego Świątobliwości, i drzę na samą myśl, że *donna* Agnes znajduje się w rękach tej niebezpiecznej niewiasty.

Lorenzo powstał, aby się pożegnać. Elwira przy rozstaniu podała mu dłoń, on zaś ucałował ją ze czcią, powiadając, iż ma nadzieję rychło otrzymać zezwolenie na ucałowanie ręki Antonii, i powrócił do pałacu Medinów. Dama była w pełni kontenta z rozmowy, jaką między sobą odbyli; z zadowoleniem spoglądała w przyszłość, na perspektywy posiadania Lorenza za zięcia. Jednakże roztropność kazała ukryć Elwirze przed córką owe pochlebne nadzieje, które sama odważyła się teraz pieścić w swoim sercu.

Ledwo się rozwidniło, a już Lorenzo znalazł się w klasztorze klarysek, zaopatrzonej w stosowny mandat. Zakonnice były jeszcze na jutrzni. Czekał niecierpliwie na koniec nabożeństwa i po chwili przeorysza ukazała się przy kracie rozmównicy. Zażądał widzenia z Agnes. Stara dama odparła z żalosaną miną, że stan drogiego dziecka pogarszał się z godziny na godzinę i że lekarze zwątpili o jej życiu. Orzekli przecie, iż jedyna szansa na ozdrowienie Agnes polega na utrzymaniu jej w spokoju i niedopuszczaniu do niej tych, których obecność mogłaby ją przypuszczalnie niepokoić. Lorenzo nie uwierzył ani jednemu słowu z owej gadaniny, tak jak nie dał wiary zapewnieniom współczucia i tkliwości dla Agnes, którymi naszpikowana była owa relacja. Aby zakończyć sprawę, złożył bullę papieską w ręce *dominy* i nalegał, aby siostra, chora czy zdrowa, została mu bezzwłocznie wydana.

Przeorysza przyjęła pismo z wyrazem pokory, ale skoro tylko oko jej padło na jego treść, uraza zniweczyła wszelkie wysiłki obłudy. Ciemny szkarłat oblał jej lica i rzuciła na Lorenza wściekle i groźne spojrzenie.

– To stanowczy rozkaz – rzekła gniewnym głosem, który próżno starała się złagodzić. – Chętnie bym go usłuchała, ale nieszczęściem nie leży to już w mojej mocy.

Lorenzo przerwał jej okrzykiem zadziwienia.

– Powtarzam, *señor*; usłuchanie tego rozkazu zgoła nie leży w mojej mocy. Z delikatności dla uczuć braterskich miałam oznajmić ci owo smutne wydarzenie stopniowo i chciałam przygotować cię, abys go mężnie wysłuchał. Ale pokrzyżowano moje zamiary: pismo nakazuje mi oddać ci bezzwłocznie siostrę Agnes; muszę ci tedy oznajmić bez ogródek, iż ubiegłego piątku wyzionęła ducha.

Lorenzo cofnął się w przerażeniu i zbladł jak chusta. Chwila refleksji przekonała go, iż owo twierdzenie musi być fałszywe, i to przywiodło go do opamiętania.

– Oszukujesz mnie – rzekł z pasją. – Jeszcze pięć minut temu zapewniałaś mnie, że chociaż chora, to jeszcze żyje. Pokaż mi ją natychmiast! Muszę i będę ją oglądał i każde usiłowanie, by trzymać ją z daleka ode mnie, na nic się nie przyda.

– Zapominasz się, *señor*! Dłużny jesteś szacunek dla mego wieku, jak i dla mojej profesji. Twojej siostry nie ma już między żywymi. Jeśli początkowo ukrywałam jej śmierć, to lękając się, iż ów nieszczęśliwy przypadek wyrze na tobie nazbyt gwałtowne wrażenie. Zaprawdę, źle mi odpłacono za moją troskliwość. A jakąż to korzyść, proszę cię, wyciągnęłabym z zatrzymania jej w klasztorze? Świadomość, iż życzy sobie odejść z naszego zgromadzenia, wystarcza, bym życzyła sobie również jej odejścia i uważała ją za zakałą zgromadzenia klarysek. Zresztą utraciła moje względy w sposób jeszcze bardziej karygodny. Wielkie były jej zbrodnie i jeśli znać będziesz przyczynę jej śmierci, niechybnie uradujesz się, don Lorenzo, że taka nędznica już zakończyła życie. W ubiegły czwartek, po powrocie ze spowiedzi, chwyciła ją w kaplicy kapucynów nagła słabość; chorobie jej zdały się towarzyszyć jakieś osobliwe okoliczności, ale uparcie ukrywała przyczynę niemocy. Niech dzięki będą Świętej Dziewicy, iż byliśmy nazbyt prostoduszne, aby to podejrzewać! Osądź więc, jaka musiała być nasza konsternacja, nasza groza, gdy następnego dnia urodziła nieżywe dziecko, za którym natychmiast zesłała do grobu. Jakże to, *señor*? Azali to możliwe, że twoje oblicze nie wyraża żadnego zdziwienia, żadnego oburzenia? Czy to możliwe, iż wiedziałeś o niesławie siostry i mimo to darzyłeś ją uczuciem? Nie mogę rzec nic więcej, a tylko powtórzyć ci, iż nie mogę usłuchać rozkazu Jego Świątobliwości. Nie ma już Agnes między żywymi i aby przekonać cię, iż to, co mówię, jest prawdą, przysięgam ci na rany naszego Zbawiciela, iż minęły już trzy dni, jakeśmy ją pochowali.

Tu ucałowała mały krucyfiks, który zwisał jej u paska, potem zaś powstała z krzesła i opuściła rozmównicę. Gdy wychodziła, rzuciła w stronę Lorenza wzgardliwy uśmiezek.

– Zegnaj, *señor* – rzekła. – Nie znam lekarstwa na ten przypadek. Obawiam się, że nawet druga bulla papieska nie sprawi, aby twoja siostra zmartwychwstała.

Lorenzo również się oddalił, przepelniony boleścią, lecz zgryzota don Rajmonda po usłyszeniu nowiny o śmierci Agnes graniczyła z szaleństwem. Nie chciał dać się przekonać, iż Agnes naprawdę umarła i wciąż upierał się, że dotąd więżą ją w murach klasztoru klarysek. Żadne argumenty nie mogły przekonać go, by porzucił nadzieję na odzyskanie kochanki. Co dzień obmyślano jakiś nowy sposób celem zyskania od niej jakieś wiadomości... i wszystkie owe projekty spotykały się z tym samym niepowodzeniem.

Ze swej strony Medina poniechał myśli, by kiedykolwiek mógł jeszcze oglądać siostrę, mniemał jednak, iż odebrano jej życie niecnymi sposobami. W tym przekonaniu wspierał poszukiwania don Rajmonda, postanawiając, że skoro tylko odkryje najmniejszy dowód dla swych podejrzeń, srogo pomści się na okrutnej przeoryszy. Strata siostry szczerze go dotknęła, przy czym nie najmniejszą przyczyną jego rozpacz była myśl, iż grzeczność zmusza go do odłożenia na czas niejaki rozmowy z księciem w sprawie małżeństwa z Antonią. Tymczasem wysłannicy Lorenza bez ustanku otaczali drzwi Elwiry. Lorenzo miał wieści o każdym kroku swojej kochanki. Ponieważ niezmiennie każdego czwartku słuchała kazania w katedrze

Kapucynów, był pewien oglądania jej raz w tygodniu, chociaż, zgodnie z obietnicą, starannie unikał jej wzroku. Upłynęły dwa długie miesiące. Wciąż nie było żadnych wieści o Agnes. Wszyscy prócz markiza uwierzyli w jej zgon i wreszcie Lorenzo postanowił wyjawić stryjowi swoje uczucia. Wzmiankował mu już od czasu do czasu o intencjach ożenku; wzmianki te zostały tak przychylnie przyjęte, jak tego mógł oczekiwać, i nie żywił wątpliwości co do pomyślnej odpowiedzi stryja.

<sup>[1]</sup> Anakreont (VI w. p.n.e.) – liryk grecki, autor pieśni miłosnych i biesiadnych.

<sup>[2]</sup> Pedro Calderon de la Barca (1600-1691) – sławny dramaturg hiszpański.

<sup>[3]</sup> Felix Lope de Vega Carpio (1562-1635) – sławny dramaturg hiszpański, najpłodniejszy z dramatopisarzy wszech czasów i krajów.

<sup>[4]</sup> Strada di San lago – ulica Św. Jakuba, pomieszane użycie przez autora dwóch języków: włoskiego (strada di) i hiszpańskiego (San lago).

<sup>[5]</sup> Jorge de Montemayor (ok. 1520-1562) – portugalski poeta piszący po hiszpańsku. Jego głównym dziełem jest „Diana”, pierwszy hiszpański romans pasterski.



## Rozdział VI

*Kiedy leżeli upojeni w swoich ramionach,*

*Błogosławili noc i przeklinali nadchodzący dzień.*

Nathaniel Lee,  
„Sophonisba”, I, 1, 240-24<sup>[1]</sup>



Fala uniesienia opadła; żądza Ambrozja została zaspokojona. Rozkosz umknęła precz, a wstyd przywłaszczył sobie jej miejsce w sercu mnicha. Zmieszany i przerażony swoją słabością, wysunął się z objęć Matyldy; ujrzał swoje krzywoprzysięstwo; wspomniawszy na scenę, która się właśnie rozegrała, i zadrżał na myśl o skutkach ujawnienia swego występku. Ze zgrozą spoglądał w przyszłość, serce miał pełne zwątpienia, przesytu i obrzydzenia; unikał wzroku towarzyszyki swego upadku. Melancholijne milczenie zaległo komnatkę, gdy oboje zdali się pochłonięci niemiłymi myślami. Matylda pierwsza przerwała ciszę. Łagodnie ujęła dłoń Ambrozja i przycisnęła ją do płonących warg.

– Ambrozjo! – wyszeptała słodkim i drżącym głosem.

Opat wdrygnął się na ów dźwięk; spojrzawszy na oczy Matyldy: były pełne łez; lica jej płonęły rumieńcem, a błagalne wejrzenia zdały się domagać jego współczucia.

– Niebezpieczna niewiasto! – rzecze – w jakąż otchłań niedoli mnie pogrzyżyłaś! Jeśli odkryją twoją pleć, muszę zapłacić honorem, nie, co mówię, życiem za rozkosz trwającą kilka chwil. Jakże byłem głupi, że zawierzyłem twoim usidleniom! Cóż mogę teraz uczynić? Jakże mogę okupić mój błąd? Jakąż pokuta może zyskać mi przebaczenie za moją zbrodnię?

Wszeteczna, na zawsze zniweczyłaś moją spokojność.

– I mnie czynisz te wyrzuty, Ambrozjo? Mnie, która poświęciłam dla ciebie rozkosze świata, wspaniałość bogactw, delikatność mojej płci, przyjaciół, fortunę i dobrą sławę? Czyś stracił coś, co ja zachowałam? Czyja nie dzieliłam twojej winy? czy ty nie dzieliłeś mojej rozkoszy? Czy rzekłam: winy? Na czym zasadza się nasza wina, jeśli nie na opinii błędnie sądzącego świata? Niechże ten świat nie wie o naszych postępkach, a nasze uciechy staną się wzniosłe i nieskalane! Złożyłeś śluby czystości wbrew prawom natury: człowiek nie został stworzony do celibatu, a gdyby miłość była zbrodnią, Bóg nigdy nie uczyniłby miłowania tak słodkim i nieodpartym! Odpędź więc te chmury z twojego czoła, mój Ambrozjo. Swobodnie oddaj się owym przyjemnościom, bez których życie jest bezwartościowym darem. Przestań wyrzucać mi, iż nauczyłam cię, co to błogość, i zaznawaj równych uniesień jak niewiasta, która

cię uwielbia!

Przy tych słowach oczy jej napełniła rozkoszna omdlałość, łono falowało; oplotła go pożądliwie ramionami, przyciągnęła ku sobie i przywarła ustami do jego ust. Ambrozjo znowu zapłonął pożądaniem; kości zostały rzucone, śluby złamane; już raz dopuścił się występku, dlaczego więc miałyby powstrzymać się od weselenia się nagrodą z owej przewiny? Przycisnął Matyldę do piersi ze zdwojonym zapałem. Nie hamowany już przez poczucie wstydu, popuścił wodze swoim nieokiełznanym żądzom, nadobna zaś rozpustnica używała wszelkich wymyślnych arkanów miłosnych, wszelkich subtelności w sztuce miłowania, które miały wzmóc rozkosz posiadania kochanki i sprawić, by jego uniesienia stały się jeszcze wspanialsze. Ambrozjo nurzał się w rozkoszach, jeszcze mu dotąd nie znanych. Chyżo przeminęła noc i ranek zarumienił się, oglądając go jeszcze w objęciach Matyldy.

Mnich, pijany rozkoszą, powstał z wszetecznego łoża syreny, nie wspominał już wstydliwie swego niepomiarkowania i nie lękał się pomsty obrażonych niebios. Obawiał się jedynie, by śmierć nie zrabowała mu tych uciech, do których długi post zaostriżył mu tylko apetyt. Matylda pozostawała jeszcze pod wpływem działania trucizny i pożądlivy mnich drżał mniej o życie wybawicielki niżli nałożnicy. Gdyby jej nie stało, niełatwo byłoby mu znaleźć inną kochankę, z którą mógłby folgować namiętności tak pełnie i tak bezpiecznie: dlatego gorliwie namawiał Matyldę, by użyła sposobów ocalenia życia, które, jak powiadała, były w jej posiadaniu.

– Tak! – odparła Matylda – skoro dałeś mi odczuć, że życie jest coś warte, uratuję je za każdą cenę. Nie przerazi mnie żadne niebezpieczeństwo: śmiało spojrzę na skutki mojego czynu i nie zadrzę przed okropnościami, jakie ze sobą niesie. Będę uważać, iż moja ofiara ledwie warta jest posiadania twojej osoby, i pomnę, iż chwila spędzona w twoich ramionach na tym świecie z nadatkiem wynagrodzi mi wiek pokuty po tamtej stronie mogiły. Lecz zanim poweźmę ten krok, Ambrozjo, poprzysięgnij mi uroczyście, że nigdy nie zapytasz, jakim sposobem się ocaliłam.

Mnich solennie jej to przyobiecał.

– Dziękuję ci, mój umiłowany. Ostrożność ta była konieczna, bo chociaż sam o tym nie wiesz, pozostajesz we władzy najbardziej prostackich zabobonów. Sprawa, którą się muszę zająć tej nocy, mogłaby zrazić cię swoją osobliwością i upodlić mnie w twoim mniemaniu. Powiedz mi, czy masz klucz od małej furtki znajdującej się w zachodniej stronie ogrodu?

– Od furtki, która wiedzie na cmentarz wspólny nam i zgromadzeniu klarysek? Nie, nie mam tego klucza, ale łatwo mogę się weń zaopatrzyć.

– Na tym polega całe twoje zadanie. Wpuścisz mnie na cmentarz o północy... Czuwaj, gdy wchodzić będę do krypty klarysek, aby jakieś wścibskie oko nie dostrzegło moich poczynań. Zostaw mnie tam w samotności przez godzinę, uratuję to życie, które poświęcam twoim uciechom. Aby uniknąć wzbudzenia podejrzeń, nie odwiedzaj mnie w ciągu dnia. Pamiętaj o kluczu i że oczekuję cię przed północą. Cicho! Słyszę zbliżające się kroki! Zostaw mnie samą; udam, że śpię.

Mnich posłusznie opuścił celę. Kiedy otwierał drzwi, ukazał się ojciec Pablos.

– Przychodzę – rzecze ten ostatni – dowiedzieć się o zdrowie mojego młodego pacjenta.

– Psss! – odparł Ambrozjo kładąc palec na ustach – mów cicho. Właśnie od niego wychodzę; popadł w głęboki sen, który bez wątpienia go pokrzepi. Nie nachodź go teraz, bo chce odpocząć.

Ojciec Pablos zastosował się do życzenia, a usłyszawszy dźwięk dzwonu, towarzyszył opatowi na jutrznię. Przy wejściu do kaplicy Ambrozjo poczuł zaambarasowanie. Grzech był dla niego nowością i wyobrażał sobie, iż każde oko mogło odczytać z jego twarzy dzieje nocnych

przeżyć. Usiłował się modlić, ale w jego piersi nie płonęła już nabożność, a myśli mimowolnie wędrowały ku sekretnym powabom Matyldy. Brak niewinności serca zastąpił jednak zewnętrzna świątobliwością. Aby lepiej ukryć występki, podwoił pretensje do pozorów cnoty i nigdy nie wyglądał na bardziej oddanego sprawom Bożym, jak od czasu pogwałcenia swoich zobowiązań. W ten sposób nieświadomie przydał hipokryzję do krzywoprzysięstwa i porubstwa: w te ostatnie popadł ulegając nieodpartej niemal pokusie, lecz teraz, starając się ukryć przewiny, w które wciągnęło go pierwsze potknięcie, obciążył się dobrowolnym grzechem.

Po skończonej jutrzni Ambrozjo usunął się do swojej celi. Rozkosze, których teraz po raz pierwszy zakosztował, jeszcze pochłaniały jego myśli. W głowie miał zamęt, a składał się nań chaos pomieszanych uczuć: wyrzutów sumienia, pożądliwych pragnień, niepokoju i obawy. Z żalem spoglądał wstecz na spokojność duszy i na bezpieczną cnotliwość, które dotąd były jego udziałem. Dopuszczał się wybryków, na których samo wyobrażenie, jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu, zatrząsłby się ze zgrozy. Zadrżał na myśl, iż drobna nieostrożność ze strony jego lub Matyldy obali ów cały gmach dobrej reputacji, którego wzniesienie kosztowało Ambrozja trzydzieści lat życia, i uczyni z niego przedmiot pogardy dla tych, którzy mieli go teraz za bożyszcze. Sumienie malowało mu w jaskrawych kolorach złamanie ślubów i jego słabość; złe przecucia wyolbrzymiały w jego oczach okropność kary i już roilo mu się, iż znajduje się w więzieniu inkwizycji. Po tych dręczących myślach przyszły refleksje o piękności Matyldy i o owych rozkosznych naukach, które raz wyuczone, nigdy nie mogą zostać zapomniane. Jedno wspomnienie poświęcone owym lekcjom pogodziło Ambrozja z samym sobą: uważał, iż uciechy ubiegłej nocy zostały tanio nabyte, bo tylko przez złożenie ofiary z niewinności i dobrej sławy. Samo ich przypomnienie napełniło duszę mnicha ekstazą: przeklinał swą głupią pychę, która skłoniła go do zmarnowania wiosny żywota – w niewiedzy o dobrodziejstwach miłości i posiadania niewiasty. Postanowił, iż nie bacząc na nic obcować będzie nadal z Matyldą, i przywoływał na pomoc każdy argument, który mógłby utwierdzić go w tym postanowieniu. Sam sobie zadawał pytanie, na czym zasadzać się będzie jego wina i jakich następstw winien się obawiać, jeśli o jego pogwałceniu reguł zakonnych nie będzie nikt wiedział. Nie wątpił, że trzymając się ściśle wszystkich reguł swego zgromadzenia, prócz przestrzegania cnoty czystości, zachowa szacunek ludzki, a nawet i opiekę niebios. Ufał, iż niebiosą łatwo wybaczą mu tak drobne i naturalne złamanie ślubów; zapomniał jednak, iż po złożeniu owych ślubów niewstrzeźliwość, będąca jednym z najbardziej wybaczalnych błędów u ludzi światowych, stawała się u niego najohydniejszą zbrodnią.

Kiedy raz zdecydował, jak ma sobie poczynić w przyszłości, umysł Ambrozja odzyskał trochę spokoju; mnich rzucił się na łożo i próbował pokrzepić snem siły wyczerpane nocnym niepomiarowaniem; zbudził się rześki i ochoczy do powtórzenia nocnych igraszek. Posłuszny rozkazowi Matyldy, nie odwiedził w ciągu dnia jej celi. Ojciec Pablos wspomniawszy w refektarzu, że przekonał wreszcie Rosaria, aby przyjął lekarstwo, medykament nie wywołał jednak najmniejszego polepszenia i wedle mniemania Pablosa ludzka umiejętność nie może wybawić Rosaria od śmierci. Opat zgodził się z tą opinią i udawał, iż użala się nad przedwczesnym wyrokiem losu, który dotknął młodzieńca o tak obiecujących talentach.

Nadeszła noc. Ambrozjo zatroszczył się o wydostanie od odźwiernego klucza od furtki wiodącej na cmentarz. Kiedy wszystko w klasztorze ucichło, opuścił celę i z kluczem w ręce pospieszył do izdebki Matyldy. Powstała z łoża i przyodziła się już przed jego przybyciem.

– Wyglądam cię z niecierpliwością – rzekła. – Moje życie zawisło od tych kilku chwil. Czy masz klucz?

– Tak, mam.

– A więc spieszmy do ogrodu. Nie mam czasu do stracenia. Chodź za mną!

Wzięła ze stołu mały koszyczek. Niosąc go w jednej ręce i biorąc do drugiej kaganek, który migotał uprzednio na kominku, pospiesznie opuściła celę. Ambrozjo poszedł w jej ślady, oboje milczeli. Postępowała naprzód szybkim, ale ostrożnym krokiem: przeszła przez krużganki i dotarła do zachodniej części ogrodu: oczy Matyldy miały ogień i błyskawice, co napełniło mnicha zarówno szacunkiem, jak i przerażeniem. Na obliczu jej królowała jakaś zacięta i desperacka odwaga; oddała mnichowi kaganek, a wzięwszy od niego klucz, odemknęła furtkę i weszła na cmentarz. Był to obszerny i rozległy prostokąt zarosły cisami, połowa z niego należała do opactwa, a połowa była własnością klarysek i osłaniał ją kamienny strop – podział zaznaczony był żelazną kratą, której furtkę pozostawiono zazwyczaj nie zaryglowaną.

Ku niej skierowała Matylda swoje kroki: pchnęła furtkę i szukała drzwi wiodących do podziemnych sklepień, gdzie spoczywały butwiejące ciała mniszek poświęconych służbie św. Klary. Noc była zupełnie ciemna, nie widać było ani księżyca, ani gwiazd. Na szczęście nie tchnął nawet najłżejszy wietrzyk i mnich pewnie niósł płonący kaganek; przy jego pomocy rychło odkryto drzwi do grobowców. Wejście było cofnięte w zagłębienie muru i niemal całkowicie ukryte pod gęstymi girlandami zwisającego bluszczu. Do krypty wiodły trzy stopnie z niedbale ociosanych kamieni i Matylda już miała zejść do podziemi, gdy nagle cofnęła się.

– Tam są jacyś ludzie – wyszeptła do mnicha. – Ukryjmy się, zanim przejdą.

Schowła się za wyniosłym i wspaniałym pomnikiem wzniesionym ku czci fundatorki klasztoru. Ambrozjo poszedł za jej przykładem, starannie przysłaniając lampkę, by nie zdradziły ich jej promyki. Upłynęło tylko kilka minut, kiedy pchnięto drzwi wiodące do podziemnych sklepień. Błysk światła, wstępującego po schodach, umożliwił ukrytym widzom dostrzeżenie dwóch niewiast, przyodzianych w zakonne habity i pograżonych, jak się wydawało, w poważnej rozmowie. Opat bez trudu rozpoznał w pierwszej z nich przeoryszkę klarysek, zaś w jej towarzyszce jedną ze starszych mniszek.

– Wszystko przygotowane – rzekła przeorysza. – Jutro zapadnie decyzja ojej losie: na nic nie zdadzą się wszystkie jej łzy i wzdychania. Nie! przez dwadzieścia pięć lat, odkąd sprawuję pieczę nad tym zakonem, nigdy nie byłam świadkiem równie haniebnej sprawy.

– Musisz przygotować się na silny sprzeciw wobec twojej woli – odparła druga niewiasta łagodniejszym tonem. – Agnes ma wiele przyjaciółek w klasztorze, a matka Urszula będzie szczególnie gorąco bronić jej sprawy. Prawdę mówiąc, Agnes zasługuje na to, by mieć przyjaciół, i życzyłabym sobie móc nakłonić cię, abyś wzięła pod rozwagę jej młodość i jej szczególne położenie. Wydaje się, iż świadoma jest swojej przewiny: niepomiarkowana rozpacz dowodzi jej skruchy i pewna jestem, że roni łzy raczej z żalu za grzechy niżli z obawy kary. Wielebna matko, gdybyś dała się przekonać i złagodziła surowość twego wyroku, gdybyś tylko raczyła zamknąć oczy na jej pierwsze wykroczenie, to ofiarowuję się za rękojmię jej przyszłego sprawowania.

– Zamknąć oczy, powiadasz? Zdziwiasz mnie, matko Kamilo! Jakże? po zhańbieniu mnie w obecności ulubieńca Madrytu, tego właśnie człowieka, któremu najgoręcej życzyłam sobie wpoić wyobrażenie o surowej karności mojego klasztoru? Jakże godną pogardy musiałam wydać się wielebnemu opatowi! Nie, matko, nie! Nigdy nie wybaczę takiej zniewagi. Nie zdołam lepiej przekonać Ambrozja, iż brzydzę się takimi występkami, jak przez ukaranie grzechu Agnes z całą srogością, na jaką pozwalają nasze surowe reguły. Zaprzestań więc swoich błagań, bo wszystkie na nic się nie zdadzą. Powzięłam postanowienie. Jutro Agnes stanie się straszliwym przykładem mojej sprawiedliwości i mojego gniewu.

Matka Kamila zdała się nie ustępować, lecz mniszki znalazły się już daleko, dokąd słuch Ambrozja nie sięgał. Przeorysza otworzyła drzwi, które wiodły do kaplicy klarysek, i wkroczywszy do niej wraz z towarzyszką, zaryglowała na powrót wejście.

Matylda spytała teraz, kim była owa Agnes, na którą przeorysza tak srodze powstawała, i jaki związek mogła mieć z osobą Ambrozja? Opowiedział jej przygodę Agnes i dodał, iż ponieważ od tego czasu w jego poglądach nastąpił całkowity przewrót, żywił obecnie wiele współczucia dla nieszczęsnej mniszki.

– Mam zamiar – rzekł – domagać się jutro posłuchania u przeoryszy i użyć wszelkich sposobów, aby zyskać dla Agnes złagodzenia kary.

– Strzeż się tego, co masz uczynić – przerwała mu Matylda.

Nagła zmiana w twoich sentymentach na pewno wzbudzi zdumienie i może zrodzić podejrzenia, których uniknięcie leży jak najbardziej w naszym interesie. Raczej wzmóż zewnętrzną surowość: grzmij i powstawaj na błędy innych, aby lepiej ukryć własne przewiny. Pozostaw mniszkę jej losowi. Twoje wstawianictwo może stać się niebezpieczne, a jej nieopatrność zasługuje na ukaranie. Niewarta jest cieszyć się rozkoszami miłości ta, która nie dość ma sprytu, by je ukryć. Ale rozprawiając o tym błahym przedmiocie, tracę cenne chwile. Noc szybko bieży, a wiele pozostało mi do zrobienia przed nadejściem świtu. Zakonnice odeszły; nic mi już nie grozi. Podaj mi kaganek, Ambrozjo, sama muszę wejść w te podziemia; czekaj tutaj i jeśli ktokolwiek będzie się zbliżał, ostrzeż mnie wołaniem. Ale jeśli ci życie miłe, nie waz się iść za mną; złożyłbyś głowę na ołtarzu twojej nieopatrnej ciekawości.

Powiadając to, zbliżyła się do krypty, wciąż dzierżąc w jednej dłoni kaganek, a w drugiej koszyczek. Dotknęła drzwi: obróciły się wolno na skrzypiących zawiasach i oczom jej ukazały się wąskie i kręte schodki z czarnego marmuru. Zeszła na dół; Ambrozjo został na górze, wpatrując się w mdłe błyski kaganka, które cofały się ku dołowi. Zniknęły i znalazł się w zupełnej ciemności.

Pozostawiony sam sobie, nie mógł nie wspominać bez zdziwienia nagłej zmiany w charakterze i uczuciach Matyldy. Minęło tylko kilka dni od chwili, gdy zdawała się najłagodniejszą i najtkliwszą przedstawicielką swojej płci, poddaną jego woli i spoglądającą nań jak na jakąś wyższą istotę. Teraz w słowach i obyczajach nabrała szczególnego rodzaju odwagi i męskości, który niezbyt mu przypadł do smaku. Nie przemawiała już po to, by wkraść się w jego łaski, ale by rozkazywać: uczuł, iż niezdolny jest sprostać Matyldzie w argumentach, i musiał przyznać z niechęcią, że przewyższała go rozumem. Każda chwila przekonywała go o zadziwiającej potędze jej umysłu, lecz to, co zyskiwała w opinii człowieka, traciła z procentem w uczuciach kochanka. Ambrozjo z żalem wspominał Rosaria przymilnego, łagodnego i uległego: trapił się, że Matylda przedkłada cnoty jego płci nad te, które przystały niewieście. A kiedy wspominał na słowa Matyldy o skazanej na pokutę mniszce, musiał przyznać, iż były to słowa okrutne i niegodne kobiety. Litość jest sentymentem tak przyrodzonym i tak właściwym dla niewieściego charakteru, iż posiadanie go nie stanowi dla kobiety żadnej zasługi, ale brak litości jest ciężką przewiną. Ambrozjo niełatwo mógł wybaczyć swojej kochance niedostatek tego miłego przymiotu; potępiając jednak jej nieczułość, uznawał słuszność argumentów Matyldy i szczerze żałując nieszczęsnej Agnes, postanowił porzucić myśl o wstawieniu się za nią u przeoryszy.

Od czasu zejścia Matyldy do podziemi upłynęła już prawie cała godzina; Matylda wciąż nie wracała. Ambrozja piekła ciekawość. Przybliżył się do schodków... nadśluchiwał... dookoła panowała zupełna cisza, tylko od czasu do czasu dochodził go dźwięk głosu Matyldy, niosący się przez podziemne korytarze i odbijający echem w górnych sklepieniach grobowca. Znajdowała się nazbyt daleko, aby mógł rozróżnić jej słowa, i zanim do niego dotarły, stawały się tylko stłumionym i cichym pomrukiem. Gorąco pragnął wnikać w tę tajemnicę. Postanowił nie słuchać poleceń Matyldy i udać się za nią do krypty. Postąpił ku schodkom, zszedł nawet z kilku stopni, ale odwaga go opuściła. Wspominał na pogrożki Matyldy, w razie gdyby złamał jej

rozkaz, i serce jego przepełniła tajemna i niewytłumaczona groza. Wrócił na górę na poprzednie miejsce i niecierpliwie czekał zakończenia owej przygody.

Nagle poczuł gwałtowny wstrząs. Ziemia zadrżała i zakołysała się pod jego stopami, kolumny, wspierające dach nad głową Ambrozja, zachwiały się tak gwałtownie, iż każda chwila groziła zapadnięciem sklepienia, i w tejże samej chwili posłyszał straszliwy huk gromu. Grzmot zamilkł, zaś oczy Ambrozja, utkwione w schodkach, ujrzały, jak jasny słup światła błysnął wzdłuż podziemnych korytarzy. Widział go tylko przez moment, a skoro zniknął, wszędzie zapanowała na powrót ciemność i cisza. Ambrozja ogarnął znowu głęboki mrok, a spokój nocy przerywał jedynie furkot nietoperza, wolno przelatującego mimo.

Zdumienie Ambrozja wzmagalo się z każdą chwilą. Minęła następna godzina, po której znowu ukazało się to samo światło i znowu równie raptownie zniknęło. Pojawieniu się blasku towarzyszyły dźwięki rzewnej, lecz uroczystej muzyki, która przenikając przez podziemne sklepienia, napełniła mnicha błogością pomieszaną ze zgrozą. Muzyka ucichła i rychło usłyszał na schodach kroki Matyldy. Wychodziła z krypty: najzarliwsza radość ożywiła jej piękne rysy.

– Czy coś widziałeś?

– Widziałem, jak dwa razy słup światła rozbłysnął na schodach.

– Nic więcej?

– Nic.

Już prawie świta; wróćmy do opactwa, bo brzask może nas zdradzić.

Lekkim i chyżym krokiem opuściła cmentarz. Wróciła do celi, a zaciekawiony opat wciąż jej towarzyszył. Zamknęła drzwi i odłożyła kaganek oraz koszyczek.

– Powiodło mi się! – zawołała rzucając się w ramiona Ambrozja. – Powiodło mi się ponad wszelkie spodziewanie. Będę żyła, Ambrozjo, będę żyła dla ciebie! Krok, przed którego podjęciem się wzdrygałam, okazał się dla mnie źródłem niewypowiedzianej radości! Och! gdybym śmiała zapoznać cię z ową radością! Och! gdyby mi wolno było dzielić z tobą moją władzę i wynieść cię tak wysoko ponad przedstawicieli twojej płci, jak jeden śmiały uczynek wywyższył mnie ponad wszystkie niewiasty.

– A cóż ci w tym przeszkadza, Matyldo? – przerwał mnich. – Dlaczego uczyniłaś sekret ze swoich poczynań w podziemiu? Czy mniemasz, iż nie zasługuję na zaufanie? Matyldo, muszę zwątpić w szczerłość twojego afektu, jeśli doznajesz radości, w których wzbroniono mi udziału.

– Czynisz mi niesłuszne wyrzuty. Szczerze żałuję, iż muszę ukrywać przed tobą moją szczęśliwość, ale nie ja zasługuję na przyganę. Wina leży nie po mojej, ale po twojej stronie, mój Ambrozjo. Wciąż jeszcze zbyt jesteś mnichem: twój umysł zniewolony jest uprzedzeniami płynącymi z twojej edukacji, a zabobonność mogłaby sprawić, iż zadrżałbyś na wyobrażenie o tym, co doświadczenie nauczyło mnie cenić i szacować. W obecnej chwili niezdatny jesteś do powierzenia ci tajemnicy, ale moc twojego rozumu i ciekawość, której błyski z radością oglądam w twoich oczach, budzą we mnie nadzieję, że pewnego dnia zasłużysz na moje zaufanie. Zanim ta chwila nadejdzie, powściągnij twą niecierpliwość. Pomnij, iż złożyłeś mi solenną przysięgę, iż nigdy nie będziesz dopytywać owej przysięgi, bo chociaż – dodała z uśmiechem i jednocześnie zamknęła mu usta lubieżnym pocałunkiem – chociaż przebaczam ci złamanie ślubów złożonych niebu, oczekuję, że dotrzymasz ślubów złożonych Matyldzie.

Zakonnik odwzajemnił jej uścisk, który rozpałił mu krew. Powtórzyły się znowu wymyślne i nieokiełzane wybryki poprzedniej nocy i rozstali się dopiero na dźwięk dzwonu wzywającego na jutrznię.

Często ponawiali owe uciechy. Mnisi radowali się z niespodziewanego ozdrowienia mniemanego Rosaria i żaden z nich nie podejrzewał jego prawdziwej płci. Opat w spokoju cieszył się posiadaniem kochanki, a gdy spostrzegł, iż nikt nie podejrzewa jego słabości, bez

żadnych obaw folgował swoim żądom. Nie dręczyły go już ani wstyd, ani wyrzuty sumienia. Często powtarzany występki oswoił go z grzechem, serce zaś stało się nieczułe na wyrzuty sumienia. Matylda zachęcała go do owych sentymentów, rychło jednak zdała sobie sprawę, iż przesyciła kochanka nieokiełzaną swobodą swych pieszczot. Ambrozjo przyzwyczał się do jej wdzięków i przestały wzbudzać w nim te same pożądania, jakie wzniecały uprzednio. Miłosne zapamiętanie przeminęło i Ambrozjo miał czas przyjrzeć się każdemu drobnemu defektowi kochanki: gdzie zaś nie mógł doszukać się żadnego, tam przesył skłaniał go, aby go sobie uroił. Mnich sprzykrzył sobie pełnię rozkoszy. Minął zaledwie tydzień, a on już znużony był nałożnicą: gorącość krwi wciąż jeszcze kazała mu szukać w jej ramionach zaspokojenia żądy. Lecz gdy chwila zapamiętania minęła, opuszczał Matyldę z obrzydzeniem, a jego upodobania, którym z przyrodzenia brakło stałości, sprawiały, iż niecierpliwie wdychał do odmiany.

Posiadanie, które zazwyczaj ciąży mężczyźnie, zwiększa czułość niewieścią. Matylda z każdym dniem czuła coraz żywsze przywiązanie do mnicha. Od chwili gdy posiadał jej łaski, stał się jej droższym ponad wszystko i żywiła ku niemu wdzięczność za rozkosze, które pospołu dzielili. Niestety, w miarę jak żądza Matyldy rosła, pożądanie Ambrozja stygło: nawet dowody jej czułości wzbudzały w nim wstręt, a zbytek miłości służył do zagaszenia płomienia, który słabo już tlił w jego sercu. Matylda musiała spostrzec, iż jej obecność zdała mu się z dnia na dzień mniej miła: nieuważnie słuchał, gdy doń przemawiała; muzyczny kunszt Matyldy, który posiadała znakomicie, utracił zdolność zabawiania go, a jeśli Ambrozjo raczył go chwalić, komplementy były wyraźnie chłodne i wymuszone. Już nie spoglądał na nią miłośnie i nie przyklaskiwał jej zdaniu ze stronniczością kochanka. Matylda dobrze to wszystko spostrzegła i podwoiła wysiłki, aby wskrzesić te uczucia, które ku niej uprzednio żywił. Musiała spotkać się z niepowodzeniem, albowiem trud, jaki sobie zadawała, by mu się przypodobać, uważał za natręctwo i mierzył go te właśnie sposoby, którymi chciała przyciągnąć ku sobie niestałego kochanka.

Jednakże ich grzeszne obcowanie trwało nadal, choć było rzeczą oczywistą, iż Ambrozja wiodła w objęcia Matyldy nie miłość, lecz podszepty pospolitych chuci. Ciało Ambrozja potrzeba było niewiasty, a Matylda była jedyną, z którą mógł bezpiecznie folgować swoim żądom. Mimo jej powabów coraz pożądliej spoglądał na wszystkie inne białogłowy, lecz obawiając się, iż jego hipokryzja wyjdzie na jaw, skrywał owe pragnienia we własnym sercu.

Nieśmiałość nie leżała zgoła w naturze Ambrozja, lecz wychowanie tak silnie przepoiło lękiem jego umysł, iż obawy stały się już częścią jego usposobienia. Gdyby przepędził młodość w świecie, okazałoby się, iż posiada wiele świetnych i męskich przymiotów. Był z natury przedsiębiorczy, stanowczy, nieustraszony; miał serce wojownika i mógłby chwalebnie zabłysnąć na czele jakiejś armii. Naturze Ambrozja nie zbywało na wspaniałomyślności; biedak zawsze znajdował w nim współczującego słuchacza. Pojęcie miał bystre, horyzonty szerokie, a sąd o rzeczach światły, trzeźwy i zdecydowany. Z tymi przymiotami mógłby stać się ozdobą swego kraju, a że je posiadał, dał dowody w zaraniu życia: rodzice jego spoglądali na budzące się w nim cnoty z najtkliwszą miłością i podziwem. Niestety, jeszcze we wczesnym dzieciństwie zbrakło mu tych rodziców. Znalazł się w mocy pewnego krewniaka, który życzył sobie nigdy go więcej nie oglądać. W tym celu oddał chłopca pod opiekę swego przyjaciela, poprzedniego opata kapucynów. Opat, mnich z powołania, dołożył wszelkich starań, aby przekonać chłopca, że nie ma szczęścia poza klasztornymi murami. W pełni mu się to powiodło. Zasłużenie na przyjęcie do zakonu św. Franciszka stało się najgorętszym pragnieniem Ambrozja. Jego nauczyciele starannie tłumili w nim te cnoty, które przez swą szlachetną wielkość i bezinteresowność nie nadawały się do klasztornego życia. Miast być życzliwym ku całemu światu – stał się samolubnie stronniczy wobec swego własnego zgromadzenia; nauczono go, by uważał współczucie dla cudzych błędów

za najcięższą zbrodnię; szlachetną otwartość jego charakteru zamieniono na niewolniczą pokorę, a w celu zniszczenia jego wrodzonej pogody ducha mnisi napełniali grozą młody umysł Ambrozja, roztaczając przed chłopcem wszystkie okropności, jakich mogła dostarczyć wiara w zabobon. Malowali przed nim męki potępionych w barwach najciemniejszych, najstraszliwszych i osobliwych, a przy najdrobniejszym przewinieniu grozili mu wieczystą zaturą. Cóż więc dziwnego, że wyobraźnia Ambrozja, zajęta ustawicznie owymi straszliwymi obrazami, ukształtowała nieśmiały i lękliwy charakter chłopca? Dodajcie do tego, iż jego długa nieobecność na szerokim świecie i zupełna nieznanomość zwyczajnych w ludzkim życiu niebezpieczeństw sprawiły, iż uformował sobie o nich wyobrażenie znacznie bardziej ponure od rzeczywistości. Gdy mnisi trudnili się plewieniem cnót Ambrozja i zacieśnianiem jego horyzontów, dozwolili, aby każda przywara, która z woli natury stała się jego udziałem, osiągnęła pełnię rozwoju. Dopuścili, aby stał się dumny, próżny, ambitny i wzgardliwy: był zawistny o równych sobie i gardził wszelką zasługą prócz własnej: był nieubłagany, gdy go obrażono, i okrutny w swojej zemście. A jednak mimo trudu, jaki sobie zadano, aby je wykoślawić, wrodzone dobre przymioty Ambrozja przebijały czasem przez owe mroki, w jakie je tak troskliwie spowito. W takiej chwili walka o zwycięstwo między jego właściwym a nabytym charakterem była zadziwiająca i niezrozumiała dla ludzi nie obznajomionych z jego wrodzonymi skłonnościami. Ferował na grzeszników najsurowsze wyroki, które w chwilę później współczucie kazało mu łagodzić, podejmował się najśmielszych przedsięwzięć, z których obawa o skutki rychło kazała mu rezygnować. Jego wrodzony geniusz rzucał jasne światło na najzawilsze problemy i nieomal natychmiast uprzedzenia pogrążały je w jeszcze głębszych ciemnościach niżli te, z których je właśnie wydobyto. Jego bracia w zakonie, uważając go za wyższą istotę, nie dostrzegali owej sprzeczności w postępowaniu swego bożyszczka. Byli przekonani, iż wszystko, co czyni Ambrozjo, musi być słuszne, i przypuszczali, iż ma ważne powody do zmiany swych postanowień. W istocie zaś różnorakie sentymenty, wpojone w serce Ambrozja przez edukację lub naturę, zwalczały się nawzajem. Decyzję o zwycięstwie pozostawiono namiętnościom, których okazja jeszcze nie wciągnęła do walki. Niestety, namiętności Ambrozja były najgorszymi sędziami, do jakich mógłby się być kiedykolwiek odwołać. Klasztorne odosobnienie sprzyjało mu do tej pory, ponieważ nie dawało mu sposobności do odkrycia złych cech swego własnego charakteru. Znakomitość talentów Ambrozja wyniosła go ponad jego towarzyszy, nie pozwalając mu na uczucie zawiści; przykładna pobożność, przekonywająca wymowa i gładkie obyczaje zyskały mu powszechny szacunek, toteż nie zaznawał krzywd, za które mógłby się pomścić. Ambicje Ambrozja usprawiedliwiały jego uznane zasługi, a dumę opata uważano tylko za słuszne przekonanie o własnej wartości. Nigdy nie oglądał niewiast, jeszcze rzadziej z nimi rozmawiał, i nieświadom był rozkoszy, którymi władne były darzyć. A jeśli podczas swoich studiów czytał, że mężczyźni miłowali, uśmiechał się i dziwował, dlaczego.

Przez czas niejaki podła strawa, częste nocne czuwania i surowa pokuta chłodziły i powściągały przyrodzoną gorącość jego natury, ale skoro tylko nadarzyła się okazja, skoro tylko ukazały się przed nim owe uciechy, które dotąd były mu obce, zapory religii okazały się za słabe, aby się oprzeć niszczycielskiej nawałnicy jego pożądań. Wszystkie przeszkody ustępowały przed siłą jego temperamentu – gorącokrwistego i o niepohamowanej lubieżności. Jak dotąd, inne namiętności Ambrozja leżały jeszcze w uspieniu, ale trzeba było je tylko raz obudzić, aby objawiły się z równie wielką i nieodpartą gwałtownością.

Nadal podziwiał go cały Madryt. Entuzjazm, jaki wzbudzała jego wymowa, zdawał się raczej wzrastać niżli opadać. Każdego czwartku, jedyne dnia, w którym ukazywał się publicznie, słuchacze tłoczyli się w katedrze Kapucynów, a kazanie Ambrozja przyjmowano zawsze z takim samym aplauzem. Wybrały go sobie jako spowiednika wszystkie znamienite



rodziny w Madrycie i nie mógł za wytwornego uważać się ten, komu nakładał pokutę kto inny niżli Ambrozjo. Nadal trwał w postanowieniu nieprzestąpienia progu klasztoru; okoliczność ta wzmogła jeszcze mniemanie o jego świątobliwości i samozaparciu. Białogłowy wiodły tu prym i głośno wychwalały Ambrozja, powodowała nimi nie tyle nabożność, co wzgląd na szlachetne oblicze, majestatyczny wyraz oraz zgrabną i wdzięczną postać opata. U drzwi opactwa od świtu do nocy tłoczyły się powozy, a najznamienitsze i najpowabniejsze damy Madrytu wyznawały opatowi swoje tajemne grzeszki. Oczy lubieżnego mnicha pały się ich wdziękami. Gdyby penitentki Ambrozja poradziły się owego zwierciadła duszy, nie potrzebowałby on żadnych innych sposobów wyrażenia damom swoich pragnień. Na jego nieszczęście damy były tak święcie przekonane o jego wstrzemięźliwości, że przypuszczenie, iż mógłby żywić jakieś nieprzystojne myśli, nigdy im nie powstało w głowie. Dobrze wiadomo, że gorący klimat Hiszpanii wywiera niemały wpływ na temperament hiszpańskich dam, ale najbardziej rozwiązała Hiszpanka uważałaby, że łatwiejszym zadaniem jest wzbudzenie żądz w marmurowym posągu świętego Franciszka niżli w zimnym i surowym sercu nieskalanego Ambrozja.

Ze swojej strony, mnich mało obznajomiony był z nieprawością świata i nie podejrzewał, iż tylko nieliczne z jego penitentek odrzuciłyby jego zaloty. A gdyby nawet był lepiej zorientowany w tej sprawie, niebezpieczeństwo towarzyszące takiemu przedsięwzięciu i tak zamknęłoby mu usta. Wiedział, iż trudno przyszłoby niewieście utrzymać sekret tak osobliwy i tak ważny, jak tajemnica jego słabości, i drżał nawet przez zdradą Matyldy. Pragnął zachować reputację, która była mu nieskończenie droga; widział całe ryzyko oddania jej w moc próżnej i płochy niewiasty, a ponieważ piękności Madrytu działały jedynie na jego zmysły, nie tykając serca, zapominał o nich, skoro mu tylko schodziły z oczu. Niebezpieczeństwo wyjścia na jaw jego występku, obawa przed odmową, utrata reputacji – wszystkie te względy doradzały mu, by tłumiał swoje żądze, i chociaż żywił teraz dla Matyldy zupełną obojętność, z musu ograniczał się do jej osoby.

Pewnego ranka napływ penitentów był większy niżli zazwyczaj. Zatrzymano go w konfesjonale do późnej godziny. W końcu tłum się rozszedł i Ambrozjo gotował się do opuszczenia kaplicy, gdy weszły dwie niewiasty i zbliżyły się doń z pokorą. Odrzuciły zasłony i młodsza z nich poprosiła Ambrozja o krótkie posłuchanie. Melodia jej głosu, owego głosu, któremu nigdy żaden mężczyzna nie przysłuchiwał się bez zainteresowania, natychmiast przyciągnęła uwagę mnicha. Przystanął. Prosząca zdawała się przygnieciona frasunkiem: twarzyczkę miała bladą, oczy zamglone łzami, a włosy spadały jej w nieładzie na twarz i piersi. A jednak liczko miała tak słodkie, tak niewinne i tak niebiańskie, iż mogłoby oczarować serce mniej czule niżli to, które kołatało w piersi Ambrozja. Tonem łagodniejszym niżli zazwyczaj wyraził życzenie, by dalej mówiła, i słuchał tych oto słów z wciąż wzrastającym wzruszeniem.

– Wielebny ojciec, widzisz przed sobą nieszczęsną istotę, której zagraża utrata najdroższego, nieomal jedyne przyjaciela! Matka moja, najlepsza z matek, leży na łożu boleści. Ubiegłej nocy chwyciła ją nagła i straszliwa choroba i poczyniła tak gwałtowne postępy, iż lekarze zwątpili o życiu chorej. Zawodzi mnie ludzka pomoc i pozostaje mi tylko błagać o litość niebios. Ojciec, cały Madryt rozbrzmiewa opowieściami o twojej pobożności i cnocie. Racz pamiętać w swoich modlitwach o mojej matce, może twoje modły przekonają niebios, aby ją oszczędziły. Jeśli tak będzie, obowiązuję się każdego czwartku, przez następne trzy miesiące, przyozdabiać świecami kościół Świętego Franciszka, ku jego chwale.

Tak! – pomyślał mnich – otóż mamy tu drugiego Vincentio della Ronda. W ten sam sposób zaczęły się przygody Rosaria – i potajemnie zapragnął, aby mogły się w ten sam sposób zakończyć. Przychylił się do prośby dziewczyny. Petentka odwzajemniła się podziękowaniami, w których nie zbywało na wyrazach wdzięczności, a potem mówiła dalej:

– Chcę prosić cię, ojczcze, o jeszcze jedną łaskę. Jesteśmy obce w Madrycie: matce trzeba spowiednika i nie ma do kogo się zwrócić. Wiemy, iż nigdy nie opuszczasz opactwa, a niestety, moja biedna mama niezdolna jest do przybycia tutaj. Gdybyś był łaskaw, wielebny ojczcze, i wyznaczył stosowną osobę, której mądre i nabożne słowa pociechy mogłyby złagodzić męki mojej rodzicielki na śmiertelnym łożu, wyświadczyłbyś wiecznotrwałą łaskę sercom, które znają uczucie wdzięczności.

Mnich przychylił się i do tej prośby. Zaiste, jakiej prośbie zdołałby się oprzeć, gdyby ją wznoszono w tak czarownych tonach! Prosząca była tak ponętna! Głos miała tak słodki i tak melodyjny! Nawet ze łzami było jej do twarzy, a smutek zdawał się przydawać nowego blasku jej wdziękowi. Obiecał, że przyśle jej spowiednika jeszcze tego wieczora, i prosił o zostawienie adresu. Towarzyszka dziewczyny podała mu kartkę, na której był on wypisany, a potem oddaliła się wraz z nadobną petentką, która, odchodząc, po tysiącokroć sławiła dobroć opata. Odprowadził ją oczyma aż za próg kaplicy. Dopiero kiedy znalazła się poza zasięgiem jego wzroku, spojrzał na kartkę, na której wyczytał następujące słowa: „Donna Elwira Dalfa, ulica di San Iago, cztery domy od pałacu Albornosów”.

Proszącą był nie kto inny, tylko Antonia, a jej towarzyszką Leonella, która nie bez oporu zgodziła się towarzyszyć siostrzenicy w drodze do klasztoru: Ambrozjo wzbudził w niej taką grozę, iż drżała na sam jego widok. Strach Leonelli ujarzmił nawet jej przyrodzoną gadatliwość i w obecności Ambrozja nie pisnęła ani jednego słowa.

Mnich schronił się do celi, ścigany obrazem Antonii. Poczuł, jak tysiące nowych uczuć kielkują w jego sercu, i lękał się rozważyć przyczynę, jaka je zrodziła. Sentymenty owe były zgoła odmienne od tych, które wzbudziła w nim Matylda wyznając mu po raz pierwszy tajemnicę swojej płci i swój afekt. Nie czuł podszeptów chuci, lubieżne żądze nie szalały w jego sercu, a rozpalona wyobraźnia nie wystawiała mu przed oczy wdzięków, które skromność ukryła przed jego wzrokiem. Przeciwnie, to, czego teraz doznawał, było zmieszonym uczuciem tkliwości, podziwu i szacunku. Łagodna i błoga melancholia przeniknęła do jego duszy, lecz nie zamieniłby jej na najwyższe uniesienie radości. Obrzydli mu ludzie, rozkoszował się samotnością, która pozwalała mu folgować rojeniom wyobraźni. W myślach Ambrozja panowały tylko spokój, smutek i ukojenie i na całym szerokim świecie nie było dlań nikogo prócz Antonii.

– Szczęśliwy człowiek! – zawołał w romantycznym porywie – szczęśliwy człowiek, któremu przeznaczono osiąść serce tej ślicznej panny! Co za delikatność liczka! co za wytwomość postaci! jakże czarowny był ten nieśmiały i niewinny wyraz jej oczu i jakże odmienny od swawolnego wyrazu oraz dzikiego, lubieżnego ognia, który płonie w oczach Matyldy! Och! o ileż słodszy musi być jeden pocałunek skradziony z różanych usteczek tej dziewczeczki od wszystkich rozlicznych i lubieżnych uciech, którymi tak hojnie darzy Matylda! Matylda przesyca mnie rozkoszą aż do obrzydzenia; siłą wciąga mnie w swoje ramiona; naśladuje uliczną dziewczkę i chełpi się swoim wyuzdaniem. Szkaradne! Gdyby znała niewypowiedziane uroki skromności i wiedziała, jak nieodparcie zniewala ona serce mężczyzny, jak silnie przykuwa go do rydwanu piękności, to nigdy by jej od siebie nie odrzuciła. Ileż to warta jest miłość owej ślicznej dziewczeczki! Czego to nie byłbym zdolny poświęcić, gdybym mógł uwolnić się od moich ślubów i móc w obliczu nieba i ziemi wyznać swoje uczucia? Pośród starań, by wzbudzić w jej sercu tkliwość, przyjaźń i szacunek, jakże spokojnie upływałyby nasze godziny! Miłosierny Boże! patrzeć, jak jej błękitne, spuszczone oczęta spoglądają promiennie w moje oczy z nieśmiałą czułością! Siedzieć dniami, latami nawet, przysłuchując się temu łagodnemu głosikowi! Mieć prawo do przysłużenia się jej i słuchać niewyuczonych słów jej wdzięczności! Strzec wzruszeń jej nieskalanego serca! Wspierać każdą kielkującą cnotę! Dzielić jej wesele, gdy szczęśliwa, scałowywać łzy, gdy strapiona, i spoglądać, jak bieży w moje ramiona

po wsparcie i pociechę! Tak, jeśli istnieje na tym świecie doskonała szczęśliwość, stanie się ona udziałem człowieka, który poślubi tego anioła.

Gdy w wyobraźni Ambrozja rodziły się owe myśli, on sam przechadzał się wzburzony po celi. Oczy spoglądały w próżnię, głowę skłonił na ramię, a łza toczyła mu się po policzku na myśl, iż owa wizja szczęśliwości nigdy nie może stać się jego udziałem.

Stracona jest dla mnie – ciągnął dalej. – Nie może zostać moją przez małżeństwo, a uwiedzenie takiej niewinności, nadużycie zaufania, jakie we mnie pokłada, by doprowadzić ją do zguby... och! byłaby to zbrodnia straszniejsza od tych, które kiedykolwiek oglądano na świecie. Nie lękaj się, nadobna dziewczeczko! Z mojej strony nic nie zagraża twojej cnotliwości. Za wszystkie skarby Indii nie dopuściłbym, aby owo tkliwe serce zaznało męki wyrzutów sumienia.

Znowu spiesznie przechadzał się po pokoju. A gdy się zatrzymał, oczy Ambrozja padły na wizerunek jego niegdyś ulubionej Madonny. Zerwał go z oburzeniem ze ściany i rzucił na ziemię...

Nieszczęsna Matylda! Kochanek jej zapomniał, że jedynie dla niego utraciła prawo do cnoty i jedyną przyczyną, dla której nią gardził, było to, iż nazbyt go miłowała.

Rzucił się na zydeł w pobliżu stołu. Spozrzegł kartkę z adresem Elwiry. Podniósł ją i to przywiodło mu na myśl obietnicę wyznaczenia spowiednika. Przepędził w rozterce kilka minut, ale władza Antonii nad mnichem zbyt się już ugruntowała, by mógł długo opierać się myśli, która nagle przysłała mu do głowy. Postanowił, iż sam będzie owym spowiednikiem. Mógł bez trudności i niepostrzeżenia opuścić mury klasztoru; żywił nadzieję, iż otuliwszy głowę kapturem będzie mógł nie poznany przejść przez ulicę; nie wątpił, iż zachowując taką ostrożność i zaleciwszy milczenie domownikom Elwiry, utrzyma Madryt w nieświadomości, iż złamał swój ślub niewydalania się nigdy poza klasztorne mury. Matylda była jedyną osobą, której nadzoru się obawiał; ale rzekłszy jej w refektarzu, iż przez cały dzień zajęty będzie w swojej celi, uważał, iż uwolnił się od jej czujnej zazdrości. Przeto – o godzinie, w której Hiszpanie zazwyczaj zażywają sjesty, odważył się na opuszczenie opactwa przez nie uczęszczaną furtkę, od której miał kluczyk. Nasunął kaptur habitu na twarz, z racji upalnej pory dnia ulice były prawie zupełnie wyludnione: mnich napotkał tylko parę osób, odnalazł ulicę di San Iago i bez żadnej przeszkody dotarł do drzwi *donny* Elwiry. Zadzwoił; wpuszczono go i natychmiast wprowadzono do górnych apartamentów.

Tu właśnie najbardziej narażał się na rozpoznanie. Gdyby Leonella była w domu, poznałaby go natychmiast. Mając wylewne i gadatliwe usposobienie nie spoczęłaby, póki cały Madryt nie dowiedziałby się, iż Ambrozjo odważył się opuścić opactwo i odwiedził jej siostrę. Ale tu Fortuna stanęła po stronie mnicha. Po powrocie do domu Leonella zastała list zawiadamiający ją, iż właśnie zmarł pewien kuzyn, który zapisał wszystko, co posiadał, chociaż niewiele tego było, jej i Elwirze. Dla zabezpieczenia owego spadku musiała bezzwłocznie wyruszyć do Kordoby. Mimo wszystkich swoich słabostek serce miała naprawdę czułe i gorące i nie chciała opuścić siostry w tak niebezpiecznej słabości. Elwira nalegała jednak na Leonellę, aby ruszyła w drogę, uważając, iż w rozpaczliwym położeniu córki żadnego, choćby najdrobniejszego powiększenia fortunki nie należy zaniedbywać. Wobec tego Leonella opuściła Madryt, szczerze strapiona chorobą siostry, wydawszy przody ze swej piersi kilka westchnień na wspomnienie miłego, ale niestałego don Christovalá. Była w pełni przekonana, że od pierwszego wejrzenia uczyniła straszliwe spustoszenie w jego sercu, ale nie mając od niego żadnych wieści, mniemała, iż zrezygnował z załotów, zrażony jej niskim pochodzeniem, wiedząc, iż tylko pod warunkiem ożenku mógł coś zyskać od takiej strażniczki cnoty, za jaką się podawała. A może, perswadowała sobie, był kapryśny i zmienny z natury i wspomnienia jej wdzięków wymazały

z pamięci hrabiego powaby jakiejś nowo poznanej piękności. Jakakolwiek była przyczyna jego utraty, boleśnie go opłakiwała. Na próżno usiłowała, jak zapewniała każdego, kto był dość uprzejmy, aby jej wysłuchać, wyrwać obraz don Christovalu ze swego nazbyt czułego serca. Przybierała miny i robiła gesty dziewicy chorej z miłości, doprowadzając je do najbardziej niedorzecznej przesady. Dobywała z piersi najżałośniejsze westchnienia, przechadzała się z załamanyh rękami, wypowiadała długie monologi, a rozmowy jej zazwyczaj obracały się wokół jakiejś porzuconej dziewczeczki, która umarła wskutek złamanego serca. Jej ogniste loki zdobiła wierzbową girlandą. Widziano ją, jak każdego wieczora wędrowała przy świetle księżyca nad brzegami rzeczki, twierdząc, iż gorąco podziwia strumyk i słowiki...

*Bezdrożne, mroczne gaje, miejsca, w jakich błądzi*

*Kochankowie najbardziej przechadzać się radzi<sup>[2]</sup>.*

Taki był stan umysłu Leonelli, gdy zmuszona została do opuszczenia Madrytu. Elwira nie miała już cierpliwości do tych wszystkich szaleństw i starała się przekonać siostrę, by zachowywała się, jak przystało na rozsądną niewiastę. Rady jej odrzucono. Leonella zapewniła Elwirę przy rozstaniu, iż nic nie dozwoli jej zapomnieć o przewrotnym don Christovalu. Na szczęście myliła się w tym względzie. Zaczny młodzieniec z Kordoby, pomocnik aptekarza, postrzegł, iż starczy fortunki Leonelli, aby urządzić go we własnym wytwornym sklepie. Skutkiem tego spostrzeżenia zdeklarował się jako jej admirator. Leonella nie pozostała nieugięta: pod wpływem jego gorących westchnień stopniało jej serce i rychło zgodziła się uczynić go najszcześniejszym ze śmiertelników. Napisała do Elwiry, powiadamiając siostrę o swoim małżeństwie, ale i z przyczyn, które zostaną później wyjaśnione, nigdy nie otrzymała odpowiedzi na owo pismo.

Wprowadzono Ambrozja do przedpokoju komnatki, w której spoczywała Elwira. Służąca, która go tu przywiodła, odeszła, aby oznajmić pani przybycie spowiednika. Antonia, czuwająca u łóżka matki, natychmiast wyszła do niego.

– Wybacz mi, ojcze – rzekła zbliżając się do Ambrozja: tu rozpoznała jego rysy, stanęła jak wryta i wydała okrzyk radości. -

Urywek piosenki ze sztuki F. Beaumonta i J. Fletchera, pt. „The Nice Valour”, III, 3.

Czy to możliwe? – ciągnęła dalej – czy mam wierzyć własnym oczom? Czy szlachetny Ambrozjo złamał swe postanowienie, aby złagodzić męki konania najzacniejszej z niewiast? Jakże uradują mamę te odwiedziny! Niechże ani na chwilę nie odwlekam tej pociechy, której udzieli jej twoja mądrość i nabożność.

Mówiąc to, otworzyła drzwi komnaty, przedstawiła matce znamienitego gościa, i przysunawszy fotel do łóżka, wycofała się do innego pomieszczenia.

Elwira była wielce kontenta z owej wizyty, powszechna fama kazała jej wiele oczekiwać od rozmowy z opatem, ale spostrzegła, iż przeszła ona jej wszelkie spodziewanie. Ambrozjo obdarzony przez naturę umiejętnością przypodobania się, użył podczas rozmowy z matką Antonii wszystkich swoich talentów. Przekonywająco koił każdą obawę i rozpraszał każdy skrupuł. Kazał Elwirze zastanowić się nad nieskończonym miłosierdziem jej Sędziego, wyzuł śmierć z jej okrucieństwa i grozy i pouczył penitentkę, by nie wzdygała się spoglądając w otchłań wieczności, na której brzegu się znalazła. Elwira uważnie i z lubością chłoneła słowa Ambrozja: gdy przysłuchiwała się jego naukom, w myśli jej niepostrzeżenie wkradły się ufność i ukojenie. Bez wahania zwierzyła mu się ze swoich trosk i obaw na przyszłość. Lęki dotyczące przyszłego

żywota już był ukończony, a teraz usuwał niepokoje, które żywiła myśląc o sprawach doczesnych. Drżała o Antonię; nie miała nikogo, komu by ją mogła powierzyć, prócz markiza de Las Cisternas i swojej siostry, Leonelli. Opieka pierwszej z tych osób była bardzo niepewna, co zaś do ciotki, to chociaż przywiązana do Antonii, była niewiastą tak płochą i próżną, iż czyniła ją to niezbyt stosowną osobą do kierowania młodą i nie znającą świata dziewczynką. Skoro tylko zakonnik dowiedział się o przyczynie troski Elwiry, natychmiast prosił ją, aby nie kłopotowała się w tym względzie. Nie wątpił, iż będzie mógł zapewnić Antonii bezpieczne schronienie w domu jednej ze swoich penitentek, markizy de Villa Franca. Była to dama znana z cnotliwości, słynąca z surowych zasad i z szczodrej dobroczynności. Gdyby jakiś przypadek pozbawił Antonię tego schronienia, zobowiązał się zapewnić jej przyjęcie do jakiegoś zacnego klasztoru, oczywiście w charakterze pensjonariuszki; Elwira oznajmiła bowiem, iż nie jest przyjaciółką klasztorowego życia, a mnich był zbyt szczerzy lub zbyt pobłażliwy, by nie przyznać Elwirze, iż miała powody do owej dezaprobaty.

Dowody zainteresowania, które okazał jej Ambrozjo, całkowicie podbiły serce Elwiry. Dziękując mu wyczerpała wszelkie słowa, jakie mogła podszepnąć jej wdzięczność, i oznajmiła, iż teraz spokojnie może spocząć w mogile. Ambrozjo powstał, aby się pożegnać; obiecał wrócić nazajutrz o tej samej godzinie, lecz żądał, by jego odwiedziny pozostały w tajemnicy.

– Nie chciałem – rzecze – aby moje postąpienie przeciw regule, narzucone koniecznością, stało się powszechnie wiadome. Gdybym nie postanowił nie opuszczać mego klasztoru, jak tylko w tak nagłych przypadkach, jak właśnie ten, który przywiódł mnie do twoich drzwi, byłbym często wzywany z racji błahej przyczyny; czas, który przepędzam teraz przy łóżu chorego, dodając otuchy konającemu penitentowi i usuwając ciernie z jego drogi do wieczności, pochłonęliby ludzie ciekawi, bezczynni i kapryśni.

Elwira pochwaliła jego roztropność, jak i miłosierdzie, obiecując starannie zataić jego zaszczytne odwiedziny. Mnich udzielił jej tedy błogosławieństwa i wyszedł z komnaty.

W przedpokoju zastał Antonię; nie mógł odmówić sobie przyjemności spędzenia kilku chwil w jej towarzystwie. Nakazał jej być dobrej myśli, bo matka zdała się spokojna i opanowana, i miał nadzieję, że jeszcze może wydobrzeć. Zapytał Antonię, kto dogląda Elwiry, i podjął się przysłać dla jej zbadania lekarza klasztorowego, a zarazem jednego z najlepszych eskulapów w Madrycie. Potem ją chwalił Elwirę: podnosił czystość jej serca, hart ducha i oświadczył, iż wzbudziła w nim najwyższy szacunek i uznanie. Niewinne serce Antonii wezbrało wdzięcznością, a oczy, w których jeszcze lśniły łzy, radośnie zamigotały. Nadzieje, jakie czynił jej Ambrozjo na ozdrowienie matki, żywe zainteresowanie, jakie zdawał się dla niej odczuwać, i pochlebny sposób, w jaki wyrażał się o Elwirze, a także wieści o rozumie i cnotce Ambrozja oraz wrażenie, jakie wywarła na Antonii jego elokwencja, potwierdziły przychylną opinię, która zrodziła się w sercu dziewczyny, gdy pierwszy raz ujrzała mnicha. Odpowiedziała mu nieśmiało, ale bez przymusu. Nie lękała się zwierzyć mu ze wszystkich swoich drobnych kłopotów, wszystkich błahych lęków i niepokojów i dziękowała opatowi za jego dobroć z całą nie udawaną serdecznością, jaką łaskawość rozpala w młodym i niewinnym serduszkach. Tylko takie serce wie, jak w pełni ocenić otrzymane dobrodziejstwa. Ci, którzy świadomi są przewrotności i samolubstwa świata, zawsze przyjmują przysługę z lękiem i z niedowierzaniem, podejrzewając, iż czai się za nią jakiś ukryty motyw. Ludzie wyrażają swe dzięki powściągliwie i ostrożnie i lękają się zbyt chwalić dobry uczynek, świadomi, iż pewnego dnia ktoś może zażądać za niego zapłaty. Antonia przeciwnie: mniemała, że świat składa się tylko z istot jej podobnych, a istnienie występku było przed nią jeszcze zakryte. Mnich oddał jej przysługę, twierdził, iż jej dobrze życzy; była mu wdzięczna za tę łaskawość i uważała, iż żadne słowa dostatecznie nie wyrażają podzięków. Z jakąż rozkoszą przysłuchiwał się Ambrozjo zapewnieniom

ojej szczerzej wdzięczności. Przyrodzony wdzięk zachowania Antonii, niezrównana słodycz jej głosu, niewinne ożywienie, wrodzona wytworność, jej wymowne liczko i rozumne oczy wszystko to wzbudziło w nim podziw i ukontentowanie, słuszne zaś i trafne jej sądy zyskiwały jeszcze większy urok dzięki naturalnej prostocie słów, w jakich je wypowiadała.

Ambrozjo zmuszony był w końcu oderwać się od tej rozmowy, która miała dlań aż nazbyt dużo powabów. Powtórzył Antonii swoje życzenie, by jego odwiedziny pozostały w tajemnicy, które to życzenie dziewczeczka obiecała uszanować. Potem opuścił dom, czarodziejka zaś pospieszyła do matki, nieświadoma zła, jakie wyrządziła jej piękność. Gorąco pragnęła dowiedzieć się zdania Elwiry o człowieku, którego sama wychwalała w tak entuzjastycznych słowach i zachwycona była przekonując się, iż mniemanie matki jest równie, a nawet bardziej pochlebne niżli jej własne.

– Zanim przemówił – rzekła Elwira – już uczułam doń przychyłność. Zapał, z jakim mnie pouczał, dostojność jego manier i poprawność rozumowania bynajmniej nie skłoniły mnie do zmiany opinii. Szczególnie uderzył mnie piękny i dźwięczny głos opata i pewna jestem, Antonio, że go już uprzednio słyszałam. Ten głos zdawał się dobrze znany moim uszom: albo musiałam spotkać opata w dawnych czasach, albo jego głos posiada dziwne podobieństwo do jakiegoś innego głosu, któremu się często przysłuchiwałam. Był w jego mowie jakiś ton, który przeniknął do głębi moje serce i pozwolił mi doznać tak osobliwych wrażeń, iż próżno staram się je sobie wytłumaczyć.

– Najmilsza mamó, głos ów wywarł na mnie takie samo wrażenie, nie ma jednak wątpliwości, iż żadna z nas nigdy nie słyszała głosu Ambrozja przed przybyciem do Madrytu. Podejrzewam, iż to, co przypisujemy owemu głosowi, wypływa w rzeczywistości z jego ujmujących manier, które nie pozwalają spoglądać nań jak na obcego człowieka. Nie wiem dlaczego, ale czuję się swobodniejsza w rozmowie z nim, niżli dzieje się to zazwyczaj, gdy mówię z ludźmi nieznanymi. Nie boję się powtórzyć mu wszystkich moich niemądrych myśli i mimo woli żywię ufność, iż wysłucha moich głupstw z pobłażaniem. O! Nie zawiodłam się na nim: przysłuchiwał mi się tak uprzejmie i tak baczenie, odpowiadał mi tak łaskawie i tak dobrotliwie. Nie nazwał mnie dzieckiem i nie traktował mnie wzgardliwie, jak zwykł to czynić w zamku nasz zgryźliwy, stary spowiednik. Pewna jestem, że gdybym mieszkała z Murcji tysiąc lat i tak nigdy nie polubiłabym starego, tłustego ojca Dominika.

– Przyznaję, iż ojciec Dominik nie miał najbardziej ogładzonych manier, jakie można spotkać na świecie, był jednak rzetelny, przyjazny i miał zacne intencje.

– Ach! Droga mamó, te przymioty są tak pospolite...

– Niechże Bóg sprawi, moje dziecko, aby doświadczenie nie nauczyło cię uważać owych przymiotów za rzadkie i cenne. Przekonałam się, iż nazbyt często nie dostaje ich na tym świecie. Ale rzeknij mi, Antonio, dlaczego nigdy przedtem nie mogłam oglądać opata?

– Ponieważ od czasu gdy wstąpił do klasztoru, nigdy nie przekroczył jego progów. Właśnie mi rzekł, iż nie znając ulic, miał pewne trudności ze znalezieniem strady di San Iago, chociaż znajduje się tak blisko klasztoru.

– Wszystko to możliwe, ale mogłam go przecież widzieć, zanim przekroczył progi opactwa: aby z niego wyjść, musiał chyba najpierw tam wejść.

– Święta Dziewico! to, co powiadasz, jest szczerą prawdą. A czy nie mógł urodzić się w opactwie?

Elwira uśmiechnęła się.

– Cóż, chyba nie.

– Czekaj! czekaj! teraz już przypominam sobie, jak to było. Został oddany do opactwa jako małe dziecko: prości ludzie powiadają, iż spadł z nieba i został przysłany kapucynom

w podarunku przez Świętą Dziewicę.

– Bardzo to z Jej strony łaskawie. A więc spadł z nieba, Antonio? musiał doznać strasznego wstrząsu.

– Wielu nie daje temu wiary i zdaje się mi, moja miła matko, iż muszę zaliczyć cię do tych niedowiarków. Co prawda, wedle tego, co nasza gospodyni opowiadała ciotce, powszechne mniemanie głosi, że jego rodzice, będąc w niedostatku i niezdolni do wyżywienia dziecka, podrzucili je tuż po urodzeniu pod drzwiami klasztoru. Poprzedni opat, z czystego miłosierdzia, kazał chować chłopca w klasztorze, a ten okazał się wzorem cnotliwości, nabożności i pojętności w naukach i nie wiem czego tam jeszcze. Skutek był taki, iż najpierw przyjęto go do zgromadzenia jako brata, a niedawno wybrano opatem. I chociaż nie wiemy, czy ta, czy też tamta relacja jest prawdziwa, wszyscy przynajmniej w tym są ze sobą zgodni, że gdy mnisi wzięli go w opiekę, nie umiał jeszcze mówić: dlatego nie mogłaś słyszeć jego głosu przed dostaniem się do klasztoru, bo wtedy zgoła jeszcze nie miał głosu.

– Daję słowo, Antonio, że bardzo ściśle rozumiesz: twoje konkluzje są nie do odparcia. Nie podejrzewałam, iż tak biegła jesteś w logice.

– Ach! kpisz sobie ze mnie, ale tym lepiej. Cieszę się, że widzę cię w dobrym humorze: poza tym wydajesz mi się spokojna i pogodna i mam nadzieję, że konwulsje cię już nie pochwycą. O! pewna byłam, że odwiedziny opata dobrze ci zrobią.

– Istotnie dobrze mi zrobiły, moje dziecko. Ukoił mój umysł, jeśli idzie o pewne sprawy, które mnie trapiły, i już odczuwam skutki jego przychylności. Powieki mi ciążyą i ufam, że będę się mogła trochę zdrzemnąć. Zaciągnij zasłony i jeśli nie obudzę się do północy, nie czuwaj przy mnie: zakazuję ci tego, moja Antonio.

Antonia obiecała, że będzie posłuszna, i otrzymawszy błogosławieństwo matki, zaciągnęła zasłony przy łożu. Potem usiadła cichutko przy tamburku i osładzała sobie czas budowaniem zamków na lodzie. Pokrzepiła się na duchu widoczną zmianą na lepsze u Elwiry, a wyobrażenia nasuwała jej przed oczy wspaniałe i powabne wizje. W rojeniach tych Ambrozjo nie odgrywał zgoła pośledniej roli. Wspominała go radośnie i z wdzięcznością, ale na każdą myśl, która przypadła w udziale mnichowi, przynajmniej dwie były nieświadomie poświęcone Lorenzowi. Tak upływał czas, póki dzwon na pobliskiej wieży katedry nie oznajmił północy. Antonia przypominała sobie polecenie matki i usłuchała go, chociaż nie bez ociągania. Ostrożnie rozsunęła kotary. Elwira spoczywała pogrążona w głębokim i spokojnym śnie: na policzkach jej lśniły rumieńce powracającego zdrowia, uśmiech zaś oznajmiał, że miała przyjemne marzenia. Kiedy Antonia schyliła się nad matką, zdawało się jej, iż posłyszała wypowiedziane swoje imię. Delikatnie ucałowała matczyne czoło i usunęła się do swojej komnatki. Tam ukłękła przed posążkiem świętej Rozalii<sup>[3]</sup>, swojej patronki, oddała się w opiekę niebu, i tak, jak to było jej zwyczajem od dzieciństwa, zakończyła modły odśpiewaniem tych oto strof:

Hymn o północy

*Przebrzmiały dźwięki dzwonu już północy,*

*Cisza panuje na ziemi i w niebie;*

*O chwilo wzniosła, pełna groźnej mocy,*

*Oto znów czystym sercem witam ciebie!*

*W tej to straszliwej i mrocznej godzinie*

*Nad ziemią czarów moc się zła nasila;*

*Nad cmentarzami blade widmo płynie*

*I upiorowi dana jest ta chwila.*

*Wolna od winy, co gniecie brzemieniem,*

*Nie zszedłszy nigdy z powinności drogi,*

*Z lekkim ja sercem i czystym sumieniem*

*Ciebie przyzywam dziś, spoczynku błogi!*

*Anieli! Dzięki trzeba mi uczynić,*

*Ze nie wiem, czym są pokusy namowy,*

*Żem równie teraz nie winowajczyni,*

*Jak rano, kiedy mnie budził dzień nowy.*

*A może w piersi mej znaleźć mi przyjdzie*

*Grzechy zakryte i tajne w tej dobie?*

*Nieczystą chętkę – którą wam wstyd widzieć,*



*A mnie wstyd wyznać nawet samej sobie?*

*Jeśli mą duszę plami jaka wina,*

*Niechaj mi sen ją przed oczy objawi;*

*Niech znana będzie mi złego przyczyna*

*I niech mnie odeń łaska wasza zbawi!*

*Odpędźcie z dala od mojego łoża*

*Czary, co krążą nocą aż do rana.*

*Niechaj mnie strzeże zawsze pomoc boża*

*Od duchów błędnych i złego szatana.*

*Niech mi kusiciel we śnie nie udziela*

*Lekcji bluźnierczej i grzesznej rozkoszy,*

*Niech me marzenia dobro uwesela*

*I niech ode mnie zmora snu nie płoszy.*

*Niech mnie o próżne nie przyprawia drżenie*

*Straszne widziadło złego snu godziny,*

*Lecz niech mi zwiewne ukaże marzenie*

*Słodkie widoki niebiańskiej dziedziny.*

*Dajcie mi ujrzeć kopuły przejrzyste,*

*Gdzie przemieszkują świetlani anieli,*

*A z nimi dusze niewinne i czyste,*

*Które niebieska nagroda weseli.*

*Wskażcie, jak trzeba mi się zasługiwać*

*Na miejsce w owej szczęsnej wysokości,*

*Jak się od grzesznych pokus odżegnwać,*

*Przy dobru trwając i cnocie miłości.*

*Tak rano, wieczór wznoszę głos do nieba,*

*Dzięki składając słowa pokornymi.*

*I was, anieli, sławić mi potrzeba,*

*Którzy stróżami jesteście wiernymi.*

*Zawsze ja będę posłuszna, gorliwa*

*W błędów poprawie, w unikaniu złego*

*I słuchać będę, pókim tylko żywa.*

*Drogiej nauki anioła mojego.*

*A kiedy wreszcie z bożego wyroku*

*Wieczne przybliży się odpoczywanie,*

*Gdy światło zaćmi się w gasnącym oku*

*I śmierć łagodna cicho przy mnie stanie -*

*Szczęсна, żem dobrą kroczyła ja drogą,*

*Zycie porzucę dla niebieskiej chwały*

*I duszę oddam nieskalaną Bogu*

*Tak, jak ją pierwszej niebiosą mi dały.*

Zakończywszy swoje codzienne pacierze, Antonia ułożyła się do snu. Sen rychło ogarnął jej zmysły i przez kilka godzin cieszyła się nieprzerwanym spoczynkiem, jakiego zaznać może tylko niewinność i za który niejeden monarcha radośnie oddałby swoją koronę.

<sup>[1]</sup> Lewis cytuje niedokładnie i zapewne z pamięci.

<sup>[2]</sup> Urywek piosenki ze sztuki F.Beaumonta i J.Fletcher'a, pt. „The Nice Valour”, III, 3.

<sup>[3]</sup> Nie wiadomo, dlaczego patronką Antonii jest właśnie św. Rozalia. Stanowi to jeden z dowodów nieznaności zwyczajów religii katolickiej u wszystkich angielskich pisarzy romansów grozy.

## Rozdział VII

*Ach, jakie mroczne*

*Są te rozległe królestwa i żalosne pustacie,*

*Gdzie panują tylko milczenie i noc, mroczna noc,*

*Mroczne jak chaos, póki rodzące się słońce*

*Nie wtoczyło się weń lub nie popróbowano mocy swych promieni,*

*Przebijając jego ponure głębie,*

*Słabe migotanie kaganka w niskich i mglistych kryptach,*

*Pokrytych wkoło liszajem wilgotnej pleśni i oślizłego mułu,*

*Rzuca jeszcze straszliwszą grozę*

*I służy tylko do uczynienia twej nocy bardziej obrzydłą!*

Robert Blair, „The Grave”.



Ambrozjo niepostrzeżenie powrócił do opactwa z głową pełną lubych obrazów. Świadomie zamykał oczy na niebezpieczeństwo, jakie niesło ze sobą obcowanie z powabami Antonii; pomny był tylko na rozkosz, jaką dawała mu jej obecność, i radował się perspektywą

powtórzenia owej rozkoszy. Nie omieszkął skorzystać z nie dyspozycji i Elwiry, aby zyskać sposobność codziennego oglądania jej córki. Na początku ograniczał swoje pragnienia do wzbudzenia w Antonii przyjaznych uczuć: ale skoro się tylko przekonał, iż w całej pełni podziela ów sentyment, zamiary Ambrozja przybrały realniejsze kształty, a jego względy dla Antonii żywszy odcień. Niewinna poufałość, z jaką go Antonia traktowała, pobudzała jego pragnienia. Przyzwyczał się powoli do jej skromności i czystości serca dziewczeczki nie budziła w nim już tego co przedtem szacunku. Nadal podziwiał jej cnotę, ale czyniło go to jedynie bardziej ochoczym do pozbawienia Antonii przymiotu, który stanowił jej główny urok. Gorąca namiętność i wrodzona przenikliwość Ambrozja – a tej, nieszczęściem dla siebie i dla Antonii, posiadał aż nazbyt wiele – zapewniły mu umiejętność w sztuce uwodzenia. Łatwo rozróżniał wzruszenia, które sprzyjały jego zamysłom, i chciwie chwycił się wszelkich sposobów, by wsączyć zepsucie w serce Antonii. Spostrzegł, iż nie było to łatwą sprawą. Nadzwyczajna prostota dziewczeczki przeszkadzała jej dostrzec cel, ku któremu zmierzały śliskie słówka mnicha, doskonałe zasady moralne, które zawdzięczała troskliwości matczynej, wrodzona u dziewczeczki bystrość i rzetelność rozeznania i stanowcze poczucie tego, co słuszne, kazały przeczuwać jej, że nauki mnicha muszą być błędne. Często w kilku prostych słowach obalała cały gmach jego sofistycznych argumentów i dawała mu odczuć, jak były słabe, gdy przeciwstawiała się im cnota i prawda. W takich wypadkach Ambrozjo uciekał się do swej elokwencji, zasypywał Antonię gradem filozoficznych paradoksów, na które, nie rozumiejąc ich, nie była w stanie odpowiedzieć. Tym sposobem, chociaż nie przekonywał jej, że jego rozumowanie było słuszne, to przynajmniej nie dopuszczał do odkrycia przez nią, iż było fałszywe. Zoczył, iż codziennie wzrastał szacunek Antonii dla jego rozumu, i nie wątpił, iż z czasem doprowadzi ją do upragnionego celu.

Zdawał sobie przecie sprawę, iż jego zabiegi były rzeczą wielce występłą. Dostrzegł jasno podłość uwiedzenia niewinnej dziewczyny, ale żądza jego była nazbyt gwałtowna, by mógł porzucić ten zamiar. Postanowił wprowadzić go w czyn bez względu na późniejsze skutki owego postępków. Liczył, iż przychwyci Antonię na jakiejś chwili słabości, a nie wiedząc, aby inny mężczyzna dopuszczony był do jej towarzystwa, i nie słysząc, by Elwira lub Antonia o kimś wzmiankowały, wyobrażał sobie, iż młode serduszek dziewczeczki było jeszcze wolne. Gdy czekał na sposobność zadowolenia swej nieprawej żądzy, każdy dzień wzmagił jego oziębłość względem Matyldy. Niemało przyczyniła się do tego świadomość, iż wobec niej zawinił. Nie był dosyć panem siebie, aby ukryć przed Matyldą swoją winę, lękał się przecie, iż ta w uniesieniu i szale zazdrości zdradzi tajemnicę, od której zależała jego reputacja, a nawet życie. Matylda musiała dostrzec jego obojętność: czuł, iż ją dostrzegła, a lękając się jej wymówek, starannie jej unikał. A jednak gdy nie mógł się z nią rozminąć, łagodność Matyldy przekonywała go, iż nie miał się czego lękać jej urazy. Przybrała znowu postać potulnego i powabnego Rosaria: nie wyrzucała mnichowi jego niewdzięczności, lecz jej oczy, napełniające się mimo woli łzami, oraz tkliwa melancholia, malująca się na jej obliczu i brzmiąca w jej głosie, wypowiadały bardziej wzruszające skargi, niżli zdolne były to uczynić jej słowa. Ambrozjo wzruszał się jej strapieniem, ale nie mogąc usunąć jego przyczyny, powstrzymał się od okazywania Matyldzie swego współczucia, a ponieważ zachowanie Matyldy przekonało go, iż nie ma się co obawiać jej zemsty, nadal ją zaniedbywał i starannie unikał jej towarzystwa. Matylda widziała, iż próżno stara się odzyskać afekt Ambrozja, a jednak tłumiła w sobie podszepty urazy i nadal traktowała niestałego kochanka z dawną serdecznością i czułością.

Stopniowo w zdrowiu Elwiry nastąpiło polepszenie. Nie dręczyły jej konwulsje i Antonia przestała drzeć o życie matki. Ambrozjo nierad spoglądał na to ozdrowienie. Przewidział, iż doświadczenie Elwiry nie da się oszukać jego świątobliwym zachowaniem i że matka łatwo postrzeże zamiary, jakie żywił wobec córki. Postanowił tedy, że zanim Elwira opuści swoją

komnatę, wypróbuje moc swego wpływu na niewinnej Antonii.

Pewnego wieczoru, gdy zastał Elwirę niemal zupełnie zdrową, opuścił ją wcześniej niżli zazwyczaj. Nie zastawszy Antonii w przedpokoju, odważył się podążyć za nią do jej własnej komnatki. Dzielili ją od matczynego pokoju tylko komórka, w której zazwyczaj sypiała Flora, ich pokojowa. Antonia siedziała na sofie, tyłem do drzwi, i pilnie czytała. Nie usłyszała nadejścia mnicha i dostrzegła go dopiero, gdy usiadł przy niej na sofie. Drgnęła i powitała go radosnym wejrzeniem: potem powstała, pragnąc zaprowadzić gościa do bawialni, ale ten ujął jej dłoń i łagodnie acz siłą zmusił dziewczeczkę do powtórnego zajęcia miejsca na sofie. Chętnie na to przystała: nie wiedziała, iż było bardziej nieprzystojnie rozmawiać w tym niż w innym pokoju. Była pewna zarówno jego, jak i swoich zasad moralnych i zasiadłszy na powrót na kanapie zaczęła szczebiotać z właściwą sobie swobodą i ożywieniem.

Przyjrzał się książce, którą właśnie czytała, a teraz położyła na stole. Była to Biblia.

– Jakże! – rzekł sam do siebie – Antonia czytuje Biblię, a mimo to pozostaje w takiej nieświadomości?

Lecz po dalszej inspekcji odkrył, iż Elwira pomyślała dokładnie o tym samym. Owa roztropna matka, podziwiając piękno zawarte w tych świętych księgach, była przekonana, iż bez pewnych ograniczeń nie można było przyzwolić młodej kobiecie na lekturę bardziej niewłaściwą. Wiele opowieści biblijnych może przyczyniać się jedynie do wzbudzania wyobrażeń najmniej stosownych dla niewieściego serca: każda rzecz określana tam jest po prostu i dosadnie, a annały zamtużu z ledwością mogłyby dostarczyć większego wyboru niewłaściwych wyrażań. A przecie jest to księga, którą zaleca się do czytania młodym dziewczętom, którą daje się do rąk dzieci, zdolnych do zrozumienia przede wszystkim tych ustępów księgi, których lepiej by im było nigdy nie poznać, gdyż aż nazbyt często wszczepiają się w ich dusze pierwsze elementy występku i stają się pierwszym bodźcem dla jeszcze drzemających namiętności. Elwira była o tym święcie przekonana, iż wolałaby włożyć w ręce Antonii „Amadisa de Gaula”<sup>[1]</sup> lub „Walecznego Rycerza”, „Tiranta Białego”, i rychlej przyzwoliłaby córce na rozczytywanie się w rozpustnych wyczynach Don Galaora<sup>[2]</sup> lub w lubieżnych żarcikach „Damsel Plazer dei mi Vida”<sup>[3]</sup>. Tak sądząc Elwira podjęła co do lektury Biblii dwa postanowienia. Po pierwsze, iż Antonia nie powinna jej czytać, dopóki nie dojdzie do wieku, w którym mogłaby odczuć piękno owej księgi i skorzystać z jej nauki moralności. Po drugie, iż Biblia winna zostać przepisana własną ręką Elwiry, z opuszczeniem lub poprawieniem wszystkich niewłaściwych ustępów. Elwira nie odstąpiła od owego postanowienia i taką właśnie Biblię czytała Antonia. Dostała ją niedawno i rozczytywała się w niej chciwie i z niewypowiedzianą lubością. Ambrozjo spostrzegł swój błąd i na powrót położył książkę na stole.

Antonia prawiała o zdrowiu matki z radosnym zapałem, płynącym z młodego serca.

– Podziwiam afekt, jaki żywisz dla swojej rodzicielki – rzekł opat. – Dowodzi on dobroci i wrażliwości twojego charakteru; temu, którego niebo przeznaczyło ci na małżonka, obiecuje skarby tkliwości. Co odczuwać będzie dla kochanka serce zdolne do takiej czułości dla matki? A może już teraz żywi dla kogoś jakieś uczucie? Rzeknij no mi, nadobna córko, czy wiesz, co to znaczy miłować? Odpowiedz mi szczerze: zapomnij o moim habicie i uważaj mnie tylko za przyjaciela.

– Czy wiem, co to znaczy miłować? – rzekła powtarzając jego pytanie. – O, tak! bez wątpienia: miłowałam wielu, bardzo wielu ludzi.

– Nie to mam na myśli. Miłość, o której wspomniałem, można żywić tylko do jednej jedynej osoby. Czyś nigdy nie widziała człowieka, którego byś sobie życzyła za małżonka?

– Och, nie, zaprawdę nie!

Było to kłamstwo, ale Antonia nie zdawała sobie sprawy z fałszywości tego stwierdzenia:

nie znała natury swoich sentymentów do Lorenza, a ponieważ nie widziała go od czasu jego pierwszej wizyty złożonej Elwirze, obraz młodzieńca z każdym dniem coraz bardziej zacierał się w jej sercu. Poza tym myśl o małżonku napełniała ją dziewiczym przerażeniem i bez chwili wahania odpowiedziała przecząco na pytanie mnicha.

– A czy nie tęsknisz do ujrzenia takiego mężczyzny, Antonio? Czy nie odczuwasz żadnej pustki w swoim serduszku, którą chętnie byś wypełniła? Czy nie wzdychasz z tęsknoty za kimś lubym, mimo iż sama nie wiesz, kim jest ów luby? Czy nie spostrzegasz, iż to, co uprzednio mogło cię radować, straciło dla ciebie wszystkie powaby? że tysiąc nowych pragnień, nowych myśli, nowych wrażeń zakiełkowało w twojej piersi... czujesz je tylko, a niezdolna jesteś je opisać. Czy to możliwe, aby twoje własne serduszko pozostało zimne i nieczułe, podczas gdy ty sama wzbudzasz w innych sercach namiętności? Nie mogę temu uwierzyć! Te łagodne oczęta, to rumieniące się liczko, ta zachwycająca i rozkoszna zaduma, która czasami maluje się na twojej twarzyczce – wszystkie te oznaki zadają kłam twoim słowom: miłujesz, Antonio, i próżno chcesz to przede mną ukryć.

– Zadziewiasz mnie, mój ojczu! Czymże jest owa miłość, o której mi prawisz? Nie znam jej natury, a gdybym ją czuła, to dlaczego miałabym kryć się z tym sentymentem?

– Czy nigdy nie widziałas żadnego mężczyzny, Antonio, którego nigdy uprzednio nie oglądałaś, a przecie zdawałaś się długo szukać? Którego postać, chociaż obca, wydała się znajoma twoim oczom? Którego głos koił cię, podobał ci się i przenikał do samego dna twojej duszy? W którego obecności weseliłaś się i pod którego nieobecność wzdychałaś? Przy którym serce twe zdało się rosnać w piersiach i na którego łono z nieograniczoną ufnością zlałabyś własne troski? Czy nie zaznałaś tego wszystkiego, Antonio?

– Bez wątpienia zaznałam; poczułam to, gdym cię po raz pierwszy zobaczyła.

Ambrozjo drgnął. Ledwo ośmielił się wierzyć własnym uszom.

– Mnie, Antonio? – zawołał z oczyma błyszczącymi z radości o ze zniecierpliwieniem, chwytając jej dłoń i przyciskając porywczu do ust. – Mnie, Antonio? Ku mnie żywiłaś te sentymenty?

– I to nawet silniej, niżli to opisałaś. W chwili, w której cię ujrzałam, poczułam się tak zadowolona, tak ciągnęło mnie ku tobie! Czekałam tak żarliwie, by postyszeć twój głos, a gdy go usłyszałam, zdał mi się tak słodki! Przemawiał do mnie językiem zgoła mi dotąd nie znanym! Zdało mi się, iż rzekł mi tysiące rzeczy, które pragnęłam usłyszeć! Wydało mi się, że cię już długo znałam, że mam prawo do twej przyjaźni, twojej rady i twojej opieki. Płakałam, gdyś odszedł, i wzdychałam do chwili, która przywróci cię moim oczom.

– Antonio! moja miła Antonio! – zawołał mnich i porwał ją w ramiona. – Czy mogę wierzyć moim zmysłom. Powtórz mi to, słodka dziewczeczko! Rzeknij mi raz jeszcze, że mnie miłujesz, że miłujesz mnie szczerze i tkliwie!

– Naprawdę cię miłuję: z wyjątkiem matki nie ma na całym świecie nikogo, kto byłby mi droższy od ciebie.

Posłyszawszy to szczerze oświadczenie, mnich nie mógł się już opamiętać: pijany żądzą, chwycił w ramiona płoniącą się i drżącą istotę. Chciwie przywarł ustami do jej usteczek, wyssał z nich czysty i rozkoszny oddech Antonii; śmiałą ręką pogwałcił skarby ukryte pod jej staniczkiem i oplótł wokół siebie miękkie i bezwolne ramiona dziewczyny. Antonia była zaskoczona, przerażona i zmieszana jego czynem, a zdumienie odebrało jej z początku zdolność oporu. W końcu przyszła do siebie i usiłowała umknąć z jego objęć.

– Ojczu!... Ambrozjo! – zawołała. – Puśćże mnie, na litość boską!

Ale rozwiązły mnich nie baczył na jej błagania; nie porzucił swego zamysłu i posunął się do jeszcze większych poufałości. Antonia prosiła, błagała i opierała się. Przerażona do

ostateczności, choć nie zdając sobie sprawy dlaczego, użyła wszystkich sił, aby odepchnąć od siebie zakonnika, i już miała wołać o pomoc, gdy nagle ktoś otworzył drzwi komnatki, Ambrozjo miał na tyle przytomności umysłu, by zdać sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Niechętnie porzucił swoją ofiarę i spiesznie podniósł się z sofy. Antonia wydała okrzyk radości, skoczyła ku drzwiom i znalazła się w matczynych objęciach.

Elwira, zaniepokojona niektórymi słowami Ambrozja, które jej Antonia w swej naiwności powtórzyła, postanowiła przekonać się o prawdziwości swoich podejrzeń. Zbyt dobrze знаła ludzi, by mogła ją zwieść ustalona reputacją cnotliwość mnicha. Rozważyła sobie pewne okoliczności, które, choć błahe same w sobie, złożone razem zdały się potwierdzać jej obawy. Częste wizyty Ambrozja, które, o ile mogła spostrzec, ograniczały się tylko do jej rodziny, jego widoczne wzruszenie, ilekroć rozmawiał z Antonią, to, iż był w całym rozkwicie swojej gorąco krwistej męskości, a nade wszystko jego zębna filozofia, o której powiadomiła ją Antonia, a której zasady niezbyt były zgodne z rozmowami, jakie wiódł w obecności Elwiry – wszystkie te okoliczności wzbudziły w niej powątpiewanie co do czystości przyjaznych uczuć Ambrozja. Postanowiła więc, iż gdy Ambrozjo znajdzie się następnym razem sam na sam z Antonią, spróbuje go zaskoczyć. Powiódł się jej ów zamiar. Co prawda, gdy weszła do pokoju, mnich porzucił już swoją ofiarę: jednakże nieład w ubiorze córki oraz wstyd i zmieszanie wyryte na obliczu Ambrozja wystarczyły, by dowieść Elwirze, iż podejrzania jej były aż nazbyt dobrze uzasadnione. Była jednak zbyt roztropna, aby zdradzić się z owymi podejzzeniami. Osądziła, iż zdarcie maski z oblicza szalbierza, którego wszyscy darzyli taką przychylnością, nie będzie łatwym zadaniem: uważała, mając tylko niewielu przyjaciół, iż niebezpiecznie byłoby zyskać sobie potężnego wroga. Udała więc, że nie spostrzegła wzburzenia opata: spokojnie zasiadła na sofie, podała jakiś błaży powód, dla którego nieoczekiwanie opuściła swoją komnatę, i rozmawiała na różne tematy z pozorną ufnością i swobodą.

Mnich, uspokojony zachowaniem Elwiry, odzyskał pewność siebie. Starł się rozmawiać z Elwirą bez zaambarasowania, ale będąc zbyt wielkim nowicjuszem w udawaniu, czuł, iż musi wyglądać na zmieszanego i zakłopotanego. Rychło przerwał konwersację i powstał, by się oddalić. Jakaż była jego udręka, gdy przy pożegnaniu Elwira rzekła mu gładkimi słowami, iż powróciwszy już w pełni do zdrowia, uważa za niesłuszne pozbawić towarzystwa opata innych ludzi, którzy mogli bardziej potrzebować jego usług. Zapewniła Ambrozja o swojej stałej wdzięczności za pożytki, jakie wyciągnęła z jego towarzystwa i nauk, i ubolewała, iż jej sprawy domowe i mnogość zajęć, jakie jego stan musi nieodzownie nań nakładać, pozbawią ją na przyszłość radości płynącej z jego odwiedzin... Chociaż wszystko to wypowiedziała w najłagodniejszych słowach, ukryta w nich aluzja była zbyt wyraźna, by się na niej nie poznać. A jednak Ambrozjo gotował się temu zaprzeczyć, lecz wymowne spojrzenie Elwiry zamknęło mu usta. Nie śmiał nalegać, by go nadal przyjmowała w swoim domu, albowiem zachowanie Elwiry przekonało go, iż przejrzała jego zamiary. Ustąpił bez słowa, spiesznie się pożegnał i wrócił do opactwa z sercem wypełnionym wściekłością i wstydem, goryczą i rozczarowaniem.

Po jego odejściu Antonii spadł kamień z serca: mimo to trudno jej było nie ubolewać, iż nigdy go już nie zobaczy. Elwira także odczuła cichy frasunek: myśl, iż był jej przyjacielem, sprawiała jej wiele radości, nie mówiąc już o przykrości, z jaką musiała odmienić swoją opinię o nim. Jednakże umysł Elwiry zbyt przywykł do zwodniczych światowych przyjaźni, przeto nie dozwoliła, aby obecne rozczarowanie długo na nim ciążyło. Starła się teraz uświadomić córce niebezpieczeństwo, jakie jej przed chwilą groziło, ale musiała traktować ową materię z ostrożnością, w przeciwnym bowiem razie, usuwając z oczu córki opaskę niewiedzy, mogła zerwać i zasłonę niewinności. Zadowoliła się tedy ostrzeżeniem Antonii, aby się miała na baczności, i nakazaniem jej, w przypadku gdyby opat ponowił odwiedziny, by nigdy nie



przyjmowała go na osobności. Antonia przyrzekła, iż zastosuje się do tych poleceń.

Ambrozjo pospieszył do swojej celi. Zamknął za sobą drzwi i zrozpaczony rzucił się na łożo. Poduszczenia żądy, jad rozczarowania, wstyd z przychwycenia i strach, iż publicznie zedra maskę cnoty z jego oblicza, sprawiły, iż jego serce stało się widownią najstraszliwszego zamieszania. Nie wiedział, jak ma sobie teraz poczynać. Pozbawiony towarzystwa Antonii, nie miał żadnych nadziei na zaspokojenie namiętności, która stała się teraz częścią jego istnienia. Zważył, iż jego sekret znalazł się w mocy niewiasty: drżał z lęku spoglądając w przepaść, która się przed nim rozwarła, i trząśł się z wściekłości na myśl, iż gdyby nie Elwira, już by posiadał przedmiot swojej pożądliwości. Wśród najstraszliwszych złorzeczeń poprzysiął jej swoją zemstę i zaklinał się, iż nie bacząc na nic, zdobędzie przecie Antonię. Poderwał się z łoża i przechadzając się po izbie niespokojnym krokiem, wył z bezsilnej wściekłości, tłukł głową o mur i puścił wodze wszelkim porywom złości i szaleństwa.

Wciąż targała nim burza namiętności, gdy postyszał cichutkie pukanie do drzwi celi. Świadom, iż głos jego musiał zostać postyszany, nie ośmielił się wzbronąć wejścia natrętowi. Starał się trochę uspokoić i ukryć wzburzenie. A gdy mu się to do pewnego stopnia udało, odsunął rygiel; drzwi otworzyły się i ukazała się w nich Matyllda.

Nie było istoty, bez której w tym właśnie momencie mógłby się łatwiej obejść. Nie panował na tyle nad sobą, by ukryć swoją udrękę. Cofnął się i zmarszczył brew.

– Jestem zajęty – rzekł popędliwie, srogim głosem. – Zostaw mnie w spokoju.

Matyllda nie zważała na jego słowa; na powrót zaryglowała drzwi i przybliżyła się ku niemu z potulną i błagalną minką.

– Przebac mi, Ambrozjo – rzekła – lecz dla twego własnego dobra nie wolno mi cię usłuchać. Nie obawiaj się utyskiwań z mojej strony; nie przyszłam ci wyrzucać twoją niewdzięczność. Odpuszczam ci wszystko szczerym sercem: a skoro nie mogę nadal cieszyć się twoją miłością, domagam się od ciebie następnego najcenniejszego daru: twojego zaufania i twojej przyjaźni. Nie możemy przymuszać naszych skłonności; tę trochę powabów, które ongiś dostrzegałeś we mnie, umarło wraz z ich nowością i jeśli niezdolna jestem wzbudzać nadal twego pożądania, moja w tym wina, a nie twoja. Ale dlaczego trwasz w zamiarze unikania mnie? Dlaczego tak troskliwie chowasz się przede mną? Dotknęło cię strapienie, a nie chcesz pozwolić, bym je dzieliła, spotkało cię rozczarowanie, a nie chcesz przyjąć ode mnie słów otuchy; żywisz pragnienia, ale wzbranasz mi, abym dopomogła ci w twoich dążeniach. Na to się właśnie uskarżam, a nie na obojętność do mojej osoby. Zrezygnowałam z roszczeń kochanki, ale nic mnie nie zmusi do wyrzeczenia się praw przyjaźni.

– Wspaniałomyślna Matylldo! – odparł mnich ujmując ją za rękę – jakże wysoko wzniosłaś się ponad słabostki twej płci! Tak, przyjmuję twoją propozycję. Trzeba mi doradcy i powiernika i w tobie znajduję złączone wszystkie potrzebne ku temu przymioty. Lecz co do pomocy w moich poczynaniach... Ach! Matylldo! nic mi w tym nie możesz dopomóc!

– Tylko ja jedna mogę ci w tym dopomóc, Ambrozjo... Znam twoją tajemnicę: spoglądam baczynym okiem na każdy twój krok, na każdy twój czyn. Miłujesz.

– Matylldo!

– Po cóż to skrywać przede mną? Nie lękaj się małodusznej zazdrości, która plami większość niewiast: moja dusza gardzi tą podłą namiętnością. Miłujesz, Ambrozjo: Antonia Dalfa jest przedmiotem twoich gorących pożądań. Znam każdą okoliczność tyczącą owej pasji. Każda rozmowa została mi powtórzona. Powiadomiono mnie, jak to usiłowałaś pojąć Antonię, oraz o twoim rozczarowaniu, gdy pokazano ci drzwi w domu Elwiry. W obecnej chwili zwątpiłeś o zdobyciu swojej kochanki, aleja przybyłam, by ożywić twoje nadzieje i wskazać ci drogę do uwieńczenia twoich starań.

– Do uwieńczenia moich starań? O! to niepodobna.

– Dla ludzi odważnych nie ma niemożliwości. Zdaj się na mnie, a jeszcze możesz być szczęśliwy. Nadszedł czas, Ambrozjo, w którym względy na twoją wygodę i spokój zmuszają mnie do wyjawienia ci tej części moich dziejów, z którą jeszcze jesteś nie obznajomiony. Słuchaj i nie przerywaj. Jeśliby zaś moje wyznanie zbrzydziło cię, pomnij, iż czyniąc je, mam na celu tylko zadośćuczynienie twoim pragnieniom i przywrócenie twemu sercu tego spokoju, który je teraz opuścił. Wspomniałam już uprzednio, iż mój opiekun był człkiem nadzwyczajnej wiedzy. Zadał sobie trud, by wpoić ową wiedzę w mój dziecięcy umysł. Wśród rozmaitych nauk, zgłębianych za podszeptem ciekawości, nie zaniedbał i tej, która przez większość ludzi uważana jest za bezbożną, a przez wielu za urojoną. Mówię o tych naukach, które odnoszą się do świata duchów. Głębokie dociekania mojego opiekuna nad przyczynami i skutkami wszelkich zjawisk, jego niestrudzona pilność w studiowaniu filozofii natury, jego rzetelna i nieograniczona wiedza o właściwościach i zaletach każdego drogocennego kamienia, który wzbogaca wnętrze globu, i każdego zioła, które rodzi ziemia, dały mu w końcu owo pojęcie o wszelkich sprawach, którego szukał tak długo i tak żarliwie. Ciekawość jego została w pełni zaspokojona, zaś ambicja znalazła całkowite zadośćuczynienie. Rozkazywał żywiołom, zdolny był obalić prawa natury, oczy jego czytały w wyrokach przyszłości, a duchy piekieł uległy były jego rozkazom. Dlaczego cofasz się przede mną? Pojmuję to pytające wejrzenie. Twoje podejrzania są słuszne, chociaż strach nie oparty na niczym. Opiekun mój nie ukrył przede mną swojej najcenniejszej zdobyczy. A jednak gdybym ciebie nie ujrzała, nigdy nie zdobyłabym się na użycie mojej władzy. Podobnie jak ty, wzdygałam się na myśl o czarnoksięstwie. Podobnie jak ty, ukształtowałam sobie straszliwe wyobrażenie o skutkach wywołania szatana. Dla zachowania życia, które twoja miłość nauczyła mnie cenić, uciekłam się do sposobów, których użycia tak się lękałam. Czy pamiętasz tę noc spędzoną w grobowcu klarysek? Tam właśnie, pośród butwiejących ciał, odważyłam się dokonać mistycznych obrzędów, które przyzwały mi na pomoc upadłego anioła. Osądź, jaka musiała być moja radość, gdy odkryłam, iż moje straszliwe obawy były urojeniem. Postrzegłam, iż szatan słucha moich rozkazów: ujrzałam, jak drżał przed oznakami mego niezadowolenia, i odkryłam, iż miał zaprzędania duszy jakiemuś władcy, moja odwaga zyskała mi niewolnika.

– Niebaczna Matyldo! cóżeś uczyniła? Skazałaś się na wieczne potępienie: wymieniłaś nieskończoną szczęśliwość na chwilowe użycie władzy. Jeśli spełnienie moich pragnień zależy od czarodziejskich praktyk, stanowczo odrzucam twą pomoc. Zbyt straszliwe są skutki takiego postępu. Rozmiłowałam się w Antonii, lecz nie jestem tak zaślepiony żądzą, aby poświęcić dla posiadania tej dziewczyny moje życie zarówno na tym, jak i na tamtym świecie.

– Cóż za niedorzeczne uprzedzenia! O! wstydź się, Ambrozjo! wstydź się, iż tak o władzę tobie! Co wystawiasz na hazard przyjmując moją ofertę? Co pchałoby mnie do namawiania cię do tego kroku z wyjątkiem chęci przywrócenia ci szczęścia i spokojności? Jeśli istnieje jakieś niebezpieczeństwo, musi spaść na mnie. To ja przyzywam pośrednictwa duchów: przeto występki te będą moje, a korzyść twoja: dla ciebie nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Wróg rodzaju ludzkiego jest moim niewolnikiem, nie moim władcą. Czy nie ma żadnej różnicy między dawaniem a odbieraniem rozkazów, pomiędzy służeniem i władaniem? Zbudź się ze swych niedorzecznych urojeń, Ambrozjo. Odrzuć od siebie precz owe strachy, niestosowne dla duszy i miej odwagę sięgnięcia po szczęście. Towarzysz mi dzisiejszej nocy do grobowca klarysek, bądź świadkiem moich zaklęć, a Antonia należy do ciebie.

– Nie mogę i nie chcę zdobyć jej takimi sposobami! Przestań mnie więc namawiać, bo nie odważę się na użycie pośrednictwa piekieł.

– Nie odważysz się? O, jakżeś mnie rozczarował! Ten umysł, który miałam za tak wielki i dzielny, okazuje się umysłem słabym, niedojrzałym i upodłym: niewolnikiem błędów

pospółstwa i wåtleszym niżli rozum niewiasty.

– Jak to? Zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, mam samochcąc wystawić się na podstępny zwodziciela? Mam na zawsze wyrzec się prawa do zbawienia? Moje oczy mają szukać widoku, o którym wiem, iż je porazi? Nie, nie, Matyldo, nie zawrę przymierza z nieprzyjacielem Boga.

– A czy w tym momencie jesteś Jego przyjacielem? Czy nie złamałeś swoich zobowiązań wobec Niego, nie wyrzekłeś się Jego służby i nie dałeś folgi podszeptom twojej pożądlivości? Czy nie przemyśliwasz nad zgubą niewinności, zniszczeniem stworzenia, które On ukształtował na podobieństwo aniołów? Czyjej pomocy zawezwiesz, jeśli nie szatanów, aby ci dopomogli w tym chwalebny z zamiarze? Czy serafini będą mu patronować, przywodząc Antonię w twoje objęcia i wspierając swoim pośrednictwem twoje nieprawo rozkosze? Co za niedorzeczność! Ale mnie nie oszukasz, Ambrozjo! To nie zacność każe ci odrzucić moją propozycję: przyjąłbyś ją, ale nie śmiesz. To nie obawa zbrodni wiąże ci ręce, ale obawa kary; nie powstrzymuje cię respekt przed Bogiem, a tylko strach przed Jego pomstą! Chętnie byś Go skrycie obraził, ale lękasz się ogłosić Jego wrogiem. Hańba duszy tchórze, któremu nie staje odwagi, aby okazać się rzetelnym przyjacielem lub otwartym przeciwnikiem!

– Spoglądanie ze zgrozą na występki, Matyldo, jest już samo w sobie zasługą: w tym względie chlubię się wyznaniem, iż jestem człowiekiem tchórzliwym. Chociaż moje namiętności sprawiły, iż odbieżałem od jej prawideł, to przecież jeszcze czuję w sercu przyrodzoną mi miłość do cnoty. Lecz nie tobie przystoi zarzucać mi złamanie przysięgi, tobie, która pierwsza rozbudziłaś we mnie drzemiące przywary. Ty dałaś mi odczuć ciężar więzów, jakie nałożyła na mnie religia, i wpoilaś we mnie przekonanie, iż grzech ma swoje rozkosze. A jednak, choć moje zasady moralne uległy sile moich wrodzonych skłonności, dość mam jeszcze w sobie łaski, by drzeć przed czarami i unikać zbrodni tak potwornej i tak niewybaczalnej!

– Niewybaczalnej, powiadasz? Gdzież się więc podziało twe ustawiczne chełpienie się nieskończonym miłosierdziem Wszchemogącego? Czy ostatnimi czasy położył On swemu miłosierdziu jakieś granice? Czy nie przyjmuje już z radością nawróconych grzeszników? Krzywdzisz Go, Ambrozjo: zawsze będziesz miał czas na pokutę, a On na tyle dobroci, aby ci przebaczyć. Odrzuć więc precz owe dziecinne skrupuły, daj się przekonać dla twojej własnej korzyści i towarzys mi do grobowca.

– O! zamilcz, Matyldo! Ten szyderczy ton, te śmiałe i bezbożne słowa brzmią straszliwie w ustach każdego, lecz najstraszliwiej w ustach białogłowy. Porzućmy tę rozmowę, która wzbudza jeno grozę i obrzydzenie. Nie podążę z tobą do grobowca i nie przyjmę usług twoich wywodzących się z piekieł pośredników. Posiędę Antonię, ale posiędę ją ziemskimi sposobami.

– A więc nigdy jej nie posiędziesz! Odpędzono cię od niej precz: matce jej otwarły się oczy na twoje zamysły i ma się teraz na bacności. Co więcej, Antonia kocha innego: młodzieniec znamienitych zasług zdobył jej serce i jeśli się w to nie wdasz, za kilka dni zostanie jego oblubienicą. Wiadomość tę przyniosły mi moje niewidzialne służy, do których pomocy odwołałam się, gdy po raz pierwszy spostrzegłam twoją obojętność. Czuwały one nad każdym twoim postępkim, opowiedziały mi wszystko, co przydarzyło się u Elwiry, i natchnęły mnie myślą, bym wspomogła twoje zamiary. Relacje ich były mi jedyną pociechą. Choć unikałeś mojej osoby, wszystkie twoje postęпки były mi dobrze znane... do pewnego stopnia byłam ustawicznie przy tobie dzięki temu najbardziej cennemu podarunkowi.

Mówiąc to, wyciągnęła spod habitu zwierciadełko z polerowanej stali; na brzegach lusterka wyryte były rozmaite dziwaczne i nieznane znaki.

– Pośród wszystkich moich utrapień, pośród wszystkich moich żalów z racji twej oziębłości powstrzymywały mnie od rozpaczliwej zalety tego talizmanu. Po wypowiedzeniu

pewnych słów ukazuje się w nim osoba, wokół której krążą myśli spoglądającego: tym sposobem, chociaż wygnana zostałam sprzed twoich oczu, ty, Ambrozjo, byłeś zawsze widziany przez moje.

Słowa Matyldy silnie podnieciły ciekawość mnicha.

– To, co powiadasz, jest zgoła nie do wiary! Matyldo, czy nie bawisz się moją łatwowiernością?

– Niechże to osądzą twoje własne oczy.

Włożyła mu zwierciadełko do ręki. Ciekawość skłoniła Ambrozja do podjęcia lusterka, a miłość wzbudziła pragnienie, by ukazała się w nim Antonia. Matylda wypowiedziała magiczne słowa. Ze znaków wyrytych na brzegu zwierciadełka wypełznął natychmiast gęsty dym i rozszedł się po powierzchni lusterka. Potem stopniowo się rozproszył; oczom mnicha ukazała się mglista mieszanina barw i obrazów, które w końcu złożyły się na właściwą wizję, i ujrzał w pomniejszeniu powabną postać Antonii.

Scena przedstawiała mały alkierzyk, przylegający do jej komnatki. Antonia rozdziewała się do kąpieli. Długie sploty jej włosów były już upięte. Rozkochany Ambrozjo miał więc doskonałą sposobność oglądania lubych zarysów i zachwycających proporcji kształtów dziewczeczki. Zrzuciła z siebie ostatnią szatkę i zbliżywszy się do przygotowanej dla niej kąpieli, włożyła nóżkę do wody. Woda zdała się Antonii za zimna, więc na powrót cofnęła nóżkę. Chociaż nie wiedziała, iż się jej przyglądają, wrodzone poczucie skromności skłoniło ją do przysłonięcia swoich wdzięków i w pozie Wenery Medyceuszów stała niezdecydowana nad brzegiem wanny. W tym momencie przyfrunęła ku niej oswojona makolągwa: wtuliła łebek między piersi Antonii i w swawolnej zabawie skubała je dzióbkiem. Uśmiechnięta Antonia próżno starała się otrząsnąć z siebie ptaszka i w końcu podniosła w górę ramiona, by wypędzić go z owej lubej przystani. Ambrozjo nie mógł dłużej znieść tego widoku. Jego pożądanie osiągnęło granice szaleństwa.

– Poddaję się! – zawołał rzucając zwierciadło na ziemię. – Matyldo! idę za tobą! Rób ze mną, co ci się żywnie podoba!

Nie czekała, aby po raz drugi wyraził zgodę. Właśnie nadeszła północ. Pobiegnęła do swojej celi i wkrótce wróciła z małym koszykiem i kluczem od cmentarnej furtki, który pozostał u niej od czasu pierwszej wizyty w podziemiach. Nie dała mnichowi czasu do namysłu.

– Pójdź! – rzekła ujmując go za rękę – pójdź za mną i własnymi oczyma oglądnij skutki swego postanowienia.

Po tych słowach spiesznie pociągnęła go za sobą. Niepostrzeżenie przeszli przez cmentarz, otworzyli drzwi do grobowca i znaleźli się u góry podziemnych schodków. Jak dotąd, krokami ich kierowało światło księżycy, ale teraz zabrakło im tej pomocy. Matylda zapomniała zaopatrzyć się w lampkę. Mimo to dzierżąc Ambrozja za rękę, zstępowała z marmurowych stopni, lecz panujące dookoła ciemności zmuszały ich do powolnego i ostrożnego pochodu.

– Drżysz! – rzekła Matylda do swego towarzysza. – Odwagi! miejsce naszego przeznaczenia już niedaleko.

Doszli do podnóża schodów i nadal postępowali naprzód, szukając po omacku drogi wzdłuż murów. Minawszy załamane ściany, postrzegli nagle mdły poblask, który zdawał się migotać w niejakiej odległości, i ku niemu skierowali swoje kroki. Promyki pochodziły od małej nagrobnej lampki, która płonęła wiecznym ogniem przed posągami świętej Klary. Nikłe i ponure błyski lampki rzucały nieco światła na potężne filary wspierające strop, lecz były zbyt słabe, aby rozproszyć głębokie mroki spowijające sklepienie.

Matylda sięgnęła po lampkę.

– Czekaj na mnie – rzekła do mnicha. – Za kilka minut będę z powrotem.

Z tymi słowami na ustach pospieszyła w stronę jednego z korytarzy, które z tego właśnie miejsca rozgałęziały się na różne strony i tworzyły rodzaj labiryntu. Ambrozjo pozostał sam. Otaczały go nieprzeniknione ciemności i sprzyjały wątpliwościom, które poczęły znowu odradzać się w jego sercu. Poniosła go jedna chwila zapamiętania. W towarzystwie Matyldy wstydził się zdradzić ze swymi obawami i skłonny był do ich tłumienia, ale teraz, gdy zdany był tylko na siebie, znowu wzięły nad nim górę. Drżał na myśl o wydarzeniach, których rychło miał być świadkiem. Nie wiedział, jak silny wpływ czarnoksiężskie mamidła mogą wyrzucić na jego umysł: mogły go przypuszczalnie zmusić do jakiegoś uczynku, który sprawiłby, iż jego zerwanie z Bogiem stałoby się rzeczą nie do naprawienia. W owej straszliwej rozterce chętnie błagałby Boga o wsparcie, ale świadom był, iż zaprzepaścił wszelkie roszczenia do takiej ochrony. Ochoczo powróciłby do opactwa, lecz po przejściu niezliczonych piwnic i krętych korytarzy próba odnalezienia schodków była beznadziejnym przedsięwzięciem. Los Ambrozja był przypieczętowany: nie widział żadnego sposobu, by przed nim umknąć. Zwalczył więc złe przywidzenia i wezwał na pomoc każdy argument, który uczyniłby go zdatnym do zniesienia z męznym sercem owej chwili próby. Zreflektował się, iż Antonia stanie się nagrodą jego męstwa. Rozpalał wyobraźnię wyliczaniem wszelakich powabów umiłowanej. Przekonywał sam siebie, iż, jak zauważyła Matylda, zawsze będzie mieć dość czasu na pokutę, a ponieważ użył tylko jej pomocy, a nie pomocy szatanów, zbrodnia czarnoksiężskich praktyk nie mogła go obciążyć. Dużo ongiś czytał o czarnoksiężstwie: pojmował, iż dopóki nie podpisze właściwego cyrografu, zrzekając się w nim praw do zbawienia, szatan nie będzie miał nad nim żadnej władzy. Był całkowicie zdecydowany, iż nie dopuści do podobnej ceremonii, jakichkolwiek użyto by pogroźek i jakiegokolwiek ofiarowywano by mu korzyści.

Tak sobie rozmyślał oczekując na przybycie Matyldy. Owe myśli przerwał cichy pomruk, który zdawał się pochodzić z niezbyt odległego miejsca. Zatrwożył się... nadsłuchiwał. Kilka minut upłynęło w zupełnej ciszy, a potem pomruk się powtórzył. Zdawało się, iż są to jęki jakiejś cierpiącej istoty. W każdym innym położeniu okoliczność ta wzbudziłaby tylko czujność i ciekawość mnicha. W obecnej sytuacji wrażeniem górującym nad wszystkimi innymi było przerażenie. Imaginację miał całkowicie wypełnioną wyobrażeniami o duchach oraz czarodziejskich praktykach i uroiło mu się, że błąka się koło niego jakiś niespokojny upiór lub że Matylda padła ofiarą swej chępliwości i konała w okrutnych diabelskich szponach. Zdało się, iż jęki nie przybliżają się, a tylko od czasu do czasu dochodzą do uszu Ambrozja. Niekiedy stękanie stawało się nieco głośniejsze – bez wątpienia wtedy, gdy męki jęczącej istoty stawały się dotkliwsze i nie do zniesienia. Ambrozjowi zdało się, iż mógł od czasu do czasu rozróżnić pewne głosy, i raz szczególnie był nieomal pewny, iż usłyszał, jak jakiś nikły głos zawołał:

– Boże! O Boże! Żadnej nadziei! żadnego wsparcia!

Po owych słowach nastąpiły jeszcze głośniejsze jęki: odgłosy stopniowo zamarły i znowu zapanowała głęboka cisza.

– Cóż to może znaczyć? – pomyślał zdumiony mnich.

W tym momencie na myśl, która przemknęła mu przez głowę, nieomal skamieniał ze zgrozy. Wzdrygnął się i przeraził samym sobą.

– Czy to możliwe? – tu jęknął mimo woli – czy to możliwe! Co ze mnie za potwór!

Pragnął rozstrzygnąć swoje wątpliwości i naprawić błąd, jeśli jeszcze nie było za późno. Lecz owe szlachetne i litościwe uczucia rychło poszły w zapomnienie wskutek pojawienia się Matyldy. Ambrozjo zapomniał o jęczącym cierpiętniku i pomny był tylko na niebezpieczeństwo i kłopotliwość własnego położenia. Świeatko powracającej lampki pozłociło ściany i w chwilę potem stanęła przed nim Matylda. Zrzuciła swój zakonny ubiór i przybrała długą czarną szatę, na której wyhaftowano złotą nicią rozmaite nieznane znaki; szatę przytrzymał pas z drogich

kamieni, do którego przytwierdzony był sztylet. Szyję i ramiona miała odsłonięte: w ręce dzierżyła złotą różdżkę. Rozpuszczone włosy spływały w nieładzie na jej ramiona, błyszczące oczy miały w sobie jakiś straszliwy wyraz; cały wygląd Matyldy obliczony był na wzbudzenie w spoglądającym na nią podziwu i grozy.

– Pójdź za mną! – rzekła do mnicha cichym i uroczystym głosem. – Wszystko przygotowane!

Usłuchał, ale trząśł się ze strachu. Powiodła go przez rozmaite wąziutkie przejścia, a w miarę jak posuwali się wzdłuż owych korytarzy, błyski lampki odsłaniały po obu stronach tylko same odrażające przedmioty: czaszki, kości, groby i jakieś wizerunki twarzy, których oczy zdały się łyskać ku nim grozą i zadziwieniem. W końcu doszli do obszernej krypty, w której wzrok próżno szukał widoku wyniosłego sklepienia. Głęboki mrok zawisł nad tą pustacią: wilgotne opary przeniknęły chłodem serce mnicha i smutnie przysłuchiwał się świszczącym podmuchom wichru przeciągającego wzdłuż opuszczonych podziemi. Tu Matylda stanęła. Obróciła się w stronę Ambrozja. Policzki i wargi miał pobladłe ze strachu. Wejrzeniem na poły gniewnym, a na poły wzgardliwym skarciła jego małoduszność, lecz nie przemówiła ani słowa. Umieściła lampkę na ziemi w pobliżu koszyczka. Dała znak, by Ambrozjo zachował milczenie, i rozpoczęła tajemnicze obrzędy. Wyrysowała jeden krąg dookoła Ambrozja, a drugi wokół siebie; potem wyjęła z koszyczka mały flakonik i wylała na ziemię tuż przed sobą kilka kropel. Pochyliła się nad owym miejscem, wyszeptała kilka niewyraźnych słów i natychmiast z ziemi dobył się błądy siarczany płomień. Wzrastał stopniowo i w końcu ława ognia rozeszła się po całej krypcie z wyjątkiem kręgów, w których stali Ambrozjo i Matylda. Potem płomienie wstąpiły wzwyż na filary z nie ociosanego kamienia, ślizgały się po sklepieniu i przeobraziły kryptę w olbrzymią komnatę całkowicie pokrytą błękitnym, migocącym ogniem. Nie wydawał on żadnego ciepła; przeciwnie, zdawało się, iż dotkliwy chłód panujący w tym miejscu wzmaga się z każdą chwilą. Matylda nie ustawała w swoich zaklęciach; w przerwach wyjmowała z koszyczka różne przedmioty, których natura i nazwy były mnichowi przeważnie nie znane. Zoczył przecie trzy ludzkie palce i jednego *agnuska*<sup>[4]</sup>, którego Matylda połamała na drobne cząsteczki. Rzuciła to w gorejące przed nią płomienie, a te zaraz wszystko pożarły.

Mnich spoglądał na nią z lękliwą ciekawością. Nagle wydała z siebie donośny i przeraźliwy okrzyk. Zdawało się, iż pochwycił ją atak szaleństwa. Rwała włosy na głowie, biła się w piersi, wykonywał jakieś obłąkańcze ruchy, a wyciągnąwszy sztylet zza pasa wbiła go sobie w lewe ramię. Krew trysnęła obficie; Matylda stojąc na skraju koła baczyła pilnie, aby krew spłynęła poza jego okrąg. Płomienie cofnęły się z miejsca, na które padły krople krwi. Kłęby ciemnych chmur podniosły się wolno ze skrwawionej ziemi i stopniowo wzniosły ku górze, aż dosięgły sklepienia krypty. W tej samej chwili usłyszeli huk gromu: straszliwe echo przewaliło się przez podziemne korytarze, a ziemia zakołysała się pod stopami czarodziejki.

Teraz Ambrozjo począł żałować swojej nierozwagi. Uroczysta osobliwość owego zaklęcia przygotowała go na coś dziwnego i okropnego. Z lękiem czekał na ukazanie się ducha, którego nadejście oznajmiał grzmot i trzęsienie ziemi. Niespokojnie rozglądał się dookoła przypuszczając, że oczy jego napotykają jakąś straszliwą zjawę, na której widok postrada zmysły. Pochwyciły go zimne dreszcze i nie mogąc utrzymać się na nogach, przyklęknął na jedno kolano.

– Nadchodzi! – zawołała Matylda radosnym głosem.

Ambrozjo zadrżał i ze zgrozą oczekiwał na przyjście szatana. Jakież było jego zdziwienie, gdy echa grzmotu ustały, a w powietrzu zabrzmiały pełne tony melodyjnej muzyki. Jednocześnie dymy rozproszyły się i Ambrozjo zoczył jakąś postać, piękniejszą od kształtów, jakie zarysowały się kiedykolwiek w człowieczej wyobraźni. Ukazał się młodzieniec, który zdawał się nie mieć więcej jak lat osiemnaście, o nieporównanej doskonałości kształtów i oblicza. Był całkiem nagi,

jasna gwiazda błyszczała na jego czole, u ramion wyrastały dwa purpurowe skrzydła, jedwabne kędziory przytrzymane były opaską z różnokolorowych ogników, które migotały wokół jego głowy, układały się w najrozmaitsze figury i świeciły blaskiem świetniejszym od drogocennych kamieni. Diamentowe bransolety otaczały przeguby rąk i pęciny młodzieńca, w prawej zaś dłoni dzierżył srebrną gałązkę wyrzeźbioną na kształt gałązki mirtowej. Z postaci młodzieńca promieniowała olśniewająca wspaniałość: otaczały go słupy różanego światła, a w chwili gdy się ukazał, rzeński powiew napełnił pieczarę miłą wonią. Ambrozjo, zachwycony widokiem tak odmiennym od tego, jakiego oczekiwał, spoglądał na zjawę z przyjemnością i podziwem. A jednak, choć postać młodzieńca była tak piękna, mnich musiał zauważyć, iż w oczach szatana czai się dzikość, a na obliczu wyciśnięte ma piętno ukrytej melancholii, zdradzającej upadłego anioła i napełniającej patrzących tajemną grozą.

Muzyka zamilkła, Matyllda przemówiła do ducha: używała języka, którego mnich nie rozumiał, i odpowiedziano jej w tej samej mowie. Zdało się, iż Matyllda upiera się przy czymś, na co szatan nie chce się zgodzić. Zły duch rzucał często w stronę Ambrozja gniewne wejrzenia, a wtedy serce nieomal zamierało mu w piersi. Widać było, że Matylldę ogarnia wciąż wzrastające wzburzenie. Przemawiała donośnym i rozkazującym tonem, a gesty jej świadczyły, iż grozi szatanowi swoją pomstą. Pogrożki osiągnęły żądany skutek. Duch ugiął kolano i poddańczym gestem ofiarował jej gałązkę mirtu. Skoro ją tylko ujęła, znowu rozległy się dźwięki muzyki, gęsta chmura rozpostarła się wokół zjawy, błękitne płomienie zniknęły i w pieczarze zapanowały zupełne ciemności. Mnich stał wciąż nieporuszony; rozkosz, obawa i zadziwienie poraziły władze jego ciała i umysłu. Wreszcie ciemności rozproszyły się; ujrzał Matylldę stojącą w pobliżu, przybraną w habit i z gałązką mirtową w dłoni. Z czarów nie pozostało ani śladu, kryptę zaś oświetlały tylko mdłe błyski nagrobnej lampki.

– Powiodło mi się – rzekła Matyllda – chociaż trudniej mi to przyszło, niż przypuszczałam. Lucyfer, którego wezwałam na pomoc, nie chciał z początku słuchać moich rozkazów; by nagiąć go do uległości, musiałam uciec się do najsilniejszych zaklęć. Osiągnęły pożądaný skutek, ale obiecałam mu, iż nigdy już nie zawezwę jego pomocy w twojej sprawie. Bacz więc pilnie, jak skorzystać z okazji, która się już nigdy nie powtórzy. Moje czarnoksięskie sztuczki na nic ci się już nie przydadzą; w przyszłości możesz liczyć jedynie na pomoc nadprzyrodzoną sam przyzywając złe duchy i przyjmując warunki, na jakich będą ci służyć, a tego nigdy nie uczynisz. Brak ci siły, by zmusić je do posłuchu, a jeśli nie zapłacisz im za tę przysługę ustalonej ceny, nie będą ci dobrowolnie służyły. Tylko w tym jednym przypadku zgodziły się być ci posłuszne; daję ci więc sposób nacieszenia się kochanką, lecz bacz, byś nie zaprzepaścił tej sposobności. Przyjmij tę zaczarowaną gałązkę mirtu: gdy będziesz ją dzierżył w dłoni, otworzą się przed tobą na oścież wszystkie drzwi. Gałązka ta zapewni ci jutrzejszej nocy dostęp do komnatki Antonii: wtedy chuchniesz na różdżkę trzy razy i położysz ją na wezgiłowiu dziewczyny, wymówisz imię Antonii. Ogarnie ją natychmiast sen podobny śmierci i pozbawi siły, tak iż przestanie opierać się twoim zamiarom. Będzie pogrążona w owym śnie aż do świtania, będziesz więc mógł zadowolić swoje żądze bez obawy przychwycenia. A kiedy światło dnia rozproszy działanie czaru, Antonia spostrzeże swą hańbę, ale nie będzie znała imienia gwałciciela. Bądźże więc szczęśliwy, mój Ambrozjo, i niechże ta przysługa przekona cię o bezinteresowności i czystości mojej przyjaźni. Noc już chyba zbliża się ku końcowi; wróćmy do opactwa, bo nasza nieobecność może wywołać zdziwienie.

Opat przyjął talizman w milczącej podzięce. Przygody nocy zbyt oszołomiły jego myśli, przeto niezdolny był wyrazić głośno słów wdzięczności albo raczej zrozumieć całej wartości daru Matylldy. Ta ujęła lampkę i koszyczek i wyprowadziła towarzysza z tajemnej krypty. Postawiła lampkę na uprzednim miejscu i posuwając się w ciemnościach, dotarła do podnóża schodów.

Pierwsze promienie wschodzącego słońca padały na schody i ułatwiały wstępowanie po stopniach. Matylda i opat spiesznie wyszli z grobowca, zamknęli za sobą drzwi i rychło dotarli na powrót do zachodniego krużganku klasztoru. Nie napotkali nikogo i niepostrzeżenie wsunęli się każde do swojej celi. Wzburzony umysł Ambrozja począł się z wolna uspokajać. Radował się pomyślnym wynikiem nocnej przygody, a zastanawiając się nad zaletami mirtowej gałązki, już spoglądał na Antonię jak na swoją zdobycz. Wyobraźnia znowu przywiodła mu przed oczy owe sekretne powaby, które zdradziło zaczarowane lustro, i niecierpliwie oczekiwał nadejścia północy.

<sup>[1]</sup> Amadis de Gaula – sławny rycerski romans hiszpański wydany w roku 1508 przez Garcia Rodriguez (lub Ordoñez) de Montalvo.

<sup>[2]</sup> Don Galaor – brat Amadisa de Gaula, występujący w romansie pod tymże tytułem.

<sup>[3]</sup> Tłumacze nie udało się ustalić, czy mowa tu o autorce jakiegoś romansu, czy też o romansowej bohaterce.

<sup>[4]</sup> Agnusek – rodzaj woskowego medalika z odcisniętym na nim wyobrażeniem baranka.



## Rozdział VIII

*Świerszcze śpiewają, a znużony pracą,*

*Człowiek w spoczynku sił nowych nabiera.*

*Tak nasz Tarkwiniusz<sup>[1]</sup> o takiej godzinie*

*Ostrożną nogą po sitowiu stąpał,*

*Zanim obudził czystość, którą skalał.*

*O Cytereo, jak stroisz swe łoża!*

*O lilio bielsza od twych prześcieradeł.*

Szekspir, „Cymbelin”, II, 2, 11-16  
(przekł. L.Ulricha).



Wszystkie poszukiwania markiza de Las Cisternas spełzły Ing na niczym. Agnes była dlań na zawsze stracona. Rozpacz Ww tak silnie zaciążyła na jego zdrowiu, iż popadł w długą M i ciężką chorobę. Niemoc przeszkodziła mu w odwiedzeniu Elwiry, jak to uprzednio zamierzał, a ta, nie znając przyczyny owego zaniedbania, wielce się tym frasowała. Śmierć siostry przeszkodziła Lorenzowi di Medina w oznajmieniu stryjowi swoich zamiarów wobec Antonii. Nakaz Elwiry wzbraniał mu stawienia się przed Antonią bez zezwolenia księcia, ponieważ zaś Elwira nie miała ani o Lorenzu, ani o jego małżeńskich zamiarach żadnych wieści, przypuszczała, iż albo trafiła mu się lepsza partia, albo nakazano mu porzucić wszelkie myśli o jej córce. Z każdym dniem bardziej niepokoiła się o losy Antonii; dopóki jednak pozostawała pod opieką opata, mężnie znosiła rozwianie się nadziei związanych z Lorenzem i markizem. Teraz zbrakło jej tego oparcia. Była przekonana, iż Ambrozjo zamyślił zgubić jej córkę, i gdy

pomyślała, iż śmierć jej pozostawi Antonię bez przyjaciół i bez opieki w świecie tak podłym, tak przewrotnym i tak zepsutym, serce Elwiry wzbierało goryczą i obawą. W takich to chwilach zwykła była siadywać całymi godzinami i przyglądać się owej powabnej dziewczynie, udając, iż przysłuchuje się jej niewinnemu szczebiotowi, choć myśli jej ustawicznie krążyły wokół rozlicznych utrapień, w które jedna chwila mogła pogrążyć Antonię. Potem zwykła była brać nagle córkę w ramiona, skłaniała głowę na jej piersi i zraszała je łzami.

Niebawem miało nastąpić pewne wydarzenie i gdyby Elwira o tym wiedziała, spadłby jej kamień z serca. Lorenzo czekał tylko na sposobną okazję, by oznajmić księciu swoje małżeńskie intencje; zaszła jednak w tym czasie pewna okoliczność, która zmusiła go do odłożenia jeszcze na kilka dni wyjaśnienia księciu całej sprawy.

Choroba don Rajmonda zdała się przybierać coraz gorszy obrót. Lorenzo czuwał ustawicznie przy jego łożu i pielęgnował go z iście braterską czułością. Zarówno przyczyny, jak skutki owej niemocy były dla brata Agnes niezwykle bolesne, a przecie rozpacz Teodora niewiele ustępowała jego boleści. Ów miły chłopaczek nie opuszczał swego pana ani na chwilę i chwycił się wszelkich sposobów, by zmniejszyć i ukoić jego cierpienia. Markiz powziął dla zmarłej kochanki tak mocny afekt, iż wszyscy pojęli, że nie zdoła znieść jej straty. Byłby niechybnie załamał się pod ciężarem owego strapienia, gdyby nie wiara, iż Agnes jeszcze żyje i potrzebuje jego pomocy. Otoczenie markiza, choć przekonane, że prawda jest inna, umacniało go w tym mniemaniu, które stanowiło jego jedyną pociechę. Codziennie zapewniano go, iż od nowa i pilnie dopytywano się o losy Agnes; wymyślano bajeczki o różnorodnych próbach przedostania się do klasztoru; opowiadano pewne szczegóły, które choć nie obiecywały zupełnego ozdrowienia chorej, to przecie starczyły na podtrzymanie nadziei markiza. Gdy powiadamiano go o niepowodzeniu owych mniemanych starań, natychmiast wpadał w straszliwy i niepomiarkowany gniew. Wciąż nie chciał wierzyć, że dalsze poszukiwania skazane będą na takie same niepowodzenia, lecz pocieszał się, iż następna próba okaże się pomyślniejsza.

Teodor był tym jedynym człowiekiem, który starał się zadośćuczynić urojeniom swego pana. Nieprzerwanie zajmował się obmyśleniem sposobów, dzięki którym mógłby przedostać się do klasztoru lub przynajmniej uzyskać od zakonnic jakąś wiadomość o Agnes. Wprowadzenie w czyn owych zamysłów było jedyną pobudką, która mogła zmusić go do opuszczenia don Rajmonda. Stał się, zaiste, wcieleniem samego Proteusza i co dnia zmieniał swój wygląd; lecz wszystkie te metamorfozy nie na wiele mu się przydały. Wciąż powracał do pałacu de Las Cisternas bez żadnej wieści, która mogłaby podsyć nadzieje jego pana. Pewnego dnia przyszło mu do głowy, by przebrać się za żebraka; nałożył opaskę na lewe oko, wziął do ręki gitarę i stanął u bram klasztoru.

Jeśli Agnes rzeczywiście ukryta jest w klasztorze – rozmyślał i posłyszysz mój głos, to go sobie przypomni i będzie mogła przypuszczalnie znaleźć jakiś sposób, by mnie powiadomić, że się tam znajduje.

Z tą myślą zmieszał się z tłumem żebraków; codziennie zbierali się oni u bramy klarysek, by otrzymać zupę, którą mniszki zwykły były rozdawać w południe. Każdy z nędzarzy zaopatrzonej był w dzbanek lub miskę, by zabrać ze sobą pożywienia; ponieważ Teodor nie miał żadnego stosownego naczynia, prosił, by pozwolono mu zjeść swoją porcję przy drzwiach klasztoru. Zgodzono się na to bez trudności. Jego wdzięczny głos i mimo zasłoniętego oka ujmująca powierzchowność zyskały mu serce starej furtianki, która z pomocą świeckiej siostrzyczki zajmowała się rozdzielaniem strawy. Teodorowi kazano zaczekać, póki inni żebracy nie odejdą, i obiecano wypełnić wtedy jego prośbę. Młodzik, który zjawił się u klasztornej furty nie po to, by zjeść zupy, nie mógł sobie życzyć niczego więcej. Podziękował furtiance za przyzwolenie i gdy wydawano posiłek nędzarzom, odszedł od bramy, usadowił się na dużym

kamieniu i zabawiał strojeniem gitary.

Skoro tylko ciżba się rozproszyła, wezwano Teodora ku bramie i zaproszono do środka. Ochoczo usłuchał rozkazu, lecz udawał, iż z ogromnym respektem przekracza święte progi i że bardzo jest przestraszony obecnością wielebnych dam. Jego udana nieśmiałość pochlebiła próżności mniszek, które starały się dodać mu trochę otuchy. Furtianka wzięła go do swojej rozmównicy, tymczasem siostrzyczka poszła do kuchni i rychło wróciła z podwójną porcją zupy, znacznie lepszej od strawy rozdawanej żebrakom. Gospodyni Teodora przydała jeszcze do tego nieco owoców i konfitur z własnych zapasów i obie zachęcały młodzieńca, by dobrze sobie podjadł. Na wszystkie te uprzejmości odpowiadał, udając wielką wdzięczność i obsypując hojnie podziękami swoje dobrodziejki. Gdy jadł, mniszki podziwiały delikatność jego rysów, piękność włosów oraz słodycz i wdzięk, który towarzyszył jego ruchom. Szeptaly między sobą, ubolewając, iż tak powabny młodzik wystawiony jest na światowe pokusy, i wspólnie uradziły, iż byłby on cenną podporą Kościoła katolickiego. Zakończyły obrady stwierdzeniem, iż wyświadczyłyby niebu prawdziwą przysługę, gdyby ubłagały przeoryszę, aby ta wstawiła się u Ambrozja o przyjęcie żebraka do zakonu kapucynów.

Kiedy o tym postanawiały, furtianka, która miała wielkie wpływy w klasztorze, pospieszyła do celi dominy. Tu z takim zapalem opowiedziała o niezwykłych przymiotach Teodora, że w starej damie zbudziła się ciekawość i chęć ujżenia owego młodzika. Polecono tedy furtiance, aby przysłała Teodora do kraty w rozmównicy. Tymczasem mniemany żebrak wypytywał służkę zakonu o losy Agnes; świadectwo siostrzyczki zgodne było z zapewnieniami dominy. Rzekła mu, iż Agnes zachorowała zaraz po powrocie ze spowiedzi, iż nigdy od tego czasu nie opuściła łoża i że ona sama była obecna na jej pogrzebie. Twierdziła nawet, iż widziała jej zwłoki i własnymi rękami pomagała w złożeniu ich na katafalku. Relacja ta zniechęciła Teodora, lecz ponieważ wdał się już w tę przygodę, postanowił zobaczyć, jak się ona skończy.

Furtianka właśnie wróciła i kazała mu iść za sobą. Usłuchał i został zaprowadzony do rozmównicy, gdzie przy kracie stała już czcigodna przeorysza. Otaczały ją mniszki; zbiegły się tu wszystkie skwapliwie, by uczestniczyć w scenie, która obiecywała jakąś rozrywkę. Teodor skłonił się im z głębokim szacunkiem, a jego obecność zdołała nawet rozchmurzyć na chwilę surowe czoło dominy. Zadała mu kilka pytań dotyczących jego rodziców, religii i okoliczności, które przywiodły go do żebractwa. Na wszelkie pytania odpowiedział całkowicie zadowolająco i całkowicie fałszywie. A później zapytano go, co sądzi o życiu klasztornym. Odpowiedział słowami wyrażającymi dlań najwyższy szacunek i uznanie. Posłyszawszy to, przeorysza oznajmiła, iż uzyskanie dla Teodora zezwolenia na wstąpienie do zakonnego bractwa było rzeczą zgoła możliwą, że z pomocą jej rekomendacji jego ubóstwo nie będzie mu w tym przeszkodą; jeśli zaś ona sama przekona się o wartości młodzika, może on w przyszłości polegać na jej protekcji. Teodor zapewnił dominę, iż zasłużenie na jej łaskawość będzie dlań najwyższym zaszczytem; kazała więc, by powrócił następnego dnia na dalszą rozmowę, po czym opuściła izbę.

Zakonniczki, którym szacunek dla przełożonej trzymał usta zamknięte, stłoczyły się teraz wszystkie u kraty i zarzuciły młodzika licznymi pytaniami. Przyjrzał się już uważnie wszystkim mniszkom. Niestety! nie było pomiędzy nimi Agnes. Mniszki tak spieszenie rzucały mu jedno pytanie po drugim, iż z ledwością mógł na nie odpowiadać. Jedna pytała, gdzie się urodził, albowiem akcent jego świadczy, iż jest cudzoziemcem; druga chciała wiedzieć, dlaczego nosi łątkę na lewym oku; siostra Helena dowiadywała się, czy nie ma podobnej do siebie siostry, ponieważ chętnie obrałaby ją sobie za towarzyszkę, siostra Rachel zaś była całkowicie przekonana, iż brat byłby miłszym towarzyszem niżeli siostra. Teodor zabawiał się podając łatwowiernym mniszkom jako prawdę wszystkie najdziwniejsze historie, jakie tylko mogła

wymyślić jego wyobraźnia. Zdawał im relacje ze swoich rzekomych przygód i napełniał zdumieniem wszystkie słuchaczki, prawiąc im o gigantach, dzikusach, rozbiciach okrętu, nieznanym wyspach oraz

*O ludożercach i o samojedach,*

*Co się żrą wzajem, albo też o ludziach,*

*Co mają głowy niżej ramion...<sup>[2]</sup>*

Hojnie przydając do tego wiele innych, równie zadziwiających okoliczności. Rzekł im, iż urodził się w Ziemi Nieznanej, studiował na uniwersytecie hotentockim i przepędził dwa lata pośród Amerykanów zamieszkujących na Śląsku.

Jeśli zaś idzie o utratę oka – rzecz – to spotkała mnie słuszna kara za brak respektu dla Świętej Dziewicy, kiedy to udałem się z drugą pielgrzymką do Loreto. Stałem w cudownej kaplicy w pobliżu ołtarza; mnisi zabierali się do przystrojenia posągu w najświetniejsze szaty. Nakazano pielgrzymom, aby w czasie tej ceremonii zamknęli oczy; choć jestem z natury bardzo nabożny, przemogła ciekawość. W tym momencie... napełnię was grozą, wielbne damy, odsłaniając wam moje przestępstwo... kiedy mnisi zmieniali posągowi sukienkę, odważyłem się otworzyć lewe oko i ukradkiem zerknąłem w kierunku posągu. Było to ostatnie wejrzenie! Jasność otaczająca postać Madonny nazbyt była wielka do zniesienia. Spiesznie zamknąłem świętokradcze oko i nigdy od tego czasu nie zdołałem go już otworzyć!

Posłyszawszy relację o tym cudzie, wszystkie zakonnice przeżegnały się i obiecały wstawić się do Najświętszej Panienki o przywrócenie chłopcu wzroku. Wyraziły podziw, iż tyle i tak daleko podróżował, i zdumiewały się nad osobliwymi przypadkami, których doświadczył w tak młodym wieku. Spostrzegły teraz jego gitarę i pytały, czy biegły jest w muzyce. Odparł skromnie, iż nie jemu przysłało decydować o swoich talentach, i prosił o pozwolenie odwołania się do ich opinii. Przystały na to ochoczo.

Bacz przecie – rzekła stara furtianka – byś nie zaśpiewał nam jakiejś bezbożnej pieśni.

– Możecie polegać, pani, na mojej roztropności – odparł Teodor. – Na przykładzie przygód pewnej panny, która nagle rozmiłowała się w pewnym nieznanym rycerzu, dowiecie się, jak to niebezpieczne, gdy młode białogłowy folgują swoim namiętnościom.

– Ale czy to prawdziwa przygoda? – zapytała furtianka.

– Co do słowa. Przydarzyło się to w Danii, a bohaterka uchodziła za tak piękną, iż znana była tylko pod imieniem „nadobnej dziewczeczki”.

– W Danii, powiadasz? – wymamrotała stara mniszka. – A czy w Danii ludzie nie są czarni?

Nic podobnego, wielbna damo; wszyscy są koloru jasnozielonego groszku i mają płomienne włosy i brody.

– Matko Chrystusowa! Zieloni jak groszek! – wykrzyknęła siostra Helena. – Och! To niepodobna!

– Niepodobna! – rzekła stara furtianka rzucając jej wzgardliwe i triumfujące wejrzenie. – Właśnie że podobna. Kiedy byłem młodą niewiastą, pomnę, że sama takich widziałam.

Teodor nastroił więc swój instrument. Przeczytał historię pewnego króla angielskiego, którego więzienie zostało odkryte przez pewnego *minstrela*<sup>[3]</sup>, i żywił nadzieję, że ten sam fortel

umożliwi mu odnalezienie Agnes, gdyby znajdowała się jeszcze w klasztorze. Wybrał balladę, której go sama wyuczyła w lindenberskim zamku; melodia mogła przypuszczalnie dotrzeć do jej uszu; miał nadzieję, że postyszy, jeśli Agnes odpowie mu na jedną ze zwrotek. Gitara była już nastrojona i Teodor gotował się do uderzenia w struny.

– Ale nim zacznę – rzecze – trzeba wam objaśnić, moje damy, iż ta właśnie Dania okrutnie nawiedzana jest przez czarowników, czarownice i złe duchy. Każdy z żywiołów ma tam swoje osobliwe demony. Lasy nawiedzane są przez złośliwego mocarza, zwanego Królem Elfów lub Królem Olch, to właśnie on warzy pąki na drzewach, psuje zbiory i rządzi chochlikami oraz psotnymi duszkami.

Ukazuje się pod postacią starca o majestatycznej postaci, ze złotą koroną na głowie i z długą siwą brodą. Zabawia się głównie przynęcaniem młodych dzieci i wyciąganiem ich z domów rodzicielskich, a skoro tylko ściągnie dzieci do swojej pieczary, rozszarpuje je na drobne kawałki. Rzeki opanowane są przez innego złego ducha, zwanego Królem Wód; do niego należy wzbudzanie morskich głębi, doprowadzanie okrętów do rozbicia i wciąganie tonących marynarzy pod wodę. Ma wygląd wojownika i trudni się zwabianiem młodych dziewczyc w swoje sidła; co zaś z nimi czyni, wielobne damy, gdy je pochwyci w wodzie, pozostawiam waszej imaginacji. Król Ognia zda się być postacią ukształtowaną jeno z płomieni. Rozpala meteory i błędne ogniki, które mają podróżnych, wciągając ich w bagna i trzęsawiska, i tak kieruje błyskawicą, by poczyniła jak największe szkody. Ostatni z owych złych duchów władających żywiołami zwany jest Królem Chmur; ma postać nadobnego młodzieńca i wyróżnia się dwoma ogromnymi czarnymi skrzydłami, a choć wygląd ma tak powabny, ani trochę nie jest lepszy od innych. Bez przestanku wznieca burze i nawałnice, wrywa drzewa leśne z korzeniami i zdmuchuje zamki i klasztory nad głowami ich mieszkańców. Pierwszy z owych duchów ma córkę, która jest królową elfów i wróżek; drugi matkę, która jest potężną czarodziejką. Żadna z owych dam niewarta jest więcej niżli ci panowie. Nie pomnę, czym słyszał, by przypisywano jakąś familię dwóm innym duchom, ale i tak nie zajmuję się teraz żadnym z nich z wyjątkiem złego Ducha Wód. Jest on bohaterem mojej ballady, lecz uważałem, że zanim zacznę ją śpiewać, trzeba wam było rzec to i owo o jego postępkach.

Tu Teodor dobył z gitary kilka tonów; potem natężył z całych sił głos, by mógł łatwo dotrzeć do uszu Agnes, i zaśpiewał następujące zwrotki:

Król wód

#### Ballada duńska

*Szumiała rzeka, drzewa nad nią stały,*

*Od brzegu wodzie pięknie się kłaniały,*

*Którym dziewczyna piękna i wesola*

*Do Matki Bożej spieszyła kościoła.*

*Wnet ją zobaczył na kwiecistej błoni*

*Demon Wód z głębi swej ponurej toni;*

*Do czarownicy-matki wnet pobieżył*

*I w takie przed nią błaganie uderzył:*

*„O matko, matko, poradź mi ty przecie,*

*Jak by tu dziewczę złowić do mej sieci?*

*O matko, matko, daj mi ty naukę,*

*Przez jaką złowić by to dziewczę sztukę?”*

*Dała mu matka piękną srebrną zbroję*

*I kształt rycerza, co wyrusza w boje,*

*Z wody zrobiła rumaka białego*

*I czaprak z piasku dała mu do tego.*

*Król Wód w cwał skoczył, nie czekając zgoła,*

*Do Panny Marii pospieszył kościoła,*

*Konia przywiązał, gdzie grobowe głazy,*

*I cmentarz przeszedł trzykroć cztery razy.*

*Konia przywiązał, uzdę mu zaplótłszy,*

*I przeszedł cmentarz cztery razy po trzy,*

*I do kościoła wszedł, gdzie wielcy, mali*

*Świętych obrzędów pokornie słuchali.*

*Ksiądz od ołtarza zapytał zdziwiony:*

*„Skąd biały rycerz przybył w nasze strony?”*

*Dziewczę dumало ze spłonioną twarzą:*

*„Ach, gdyby też z nim stanąć u ołtarza!”*

*Rycerz już pierwszą, drugą ławkę mija:*

*„ O dziewczę, niech mi serce twoje sprzyja”.*

*Już trzecią ławkę, już i czwartą minie:*

*„O dziewczę, serce me z tęsknoty ginie!”*

*Błysnęło oko, pokraśniały lica*

*I w te słowa ozwała dziewica:*

*„Nie dbam ja o nic, niechaj co chce będzie -*

*Przy tobie stać chcę ja zawsze i wszędzie! ”*

*Już ksiądz ich łączy, już żoną dziewica,  
Już tańczą razem przy blasku księżycy,  
Lecz nie wie dziewczę, kto ją w uścisk bierze  
I z jak straszliwym płąsa dziś tancerzem.  
Gdybyż wiedziała! Gdyby jej na ucho  
Szepnęły tylko jakie dobre duchy:  
„Król Wód – twym mężem!” – zaraz by nieboga  
Poznała, co to groza, wstręt i trwoga!  
Ale że jeszcze nie wie i nie bada,  
Jak blisko stoi nad nią już zagłada,  
Pod rękę z miłym swoim idzie śmieie,  
Gdzie żółty piasek nad wodą się ścieie.  
„Luba ma! Oto koń bielszy od śniegu;  
On nas przeniesie do drugiego brzegu.  
Nie bój się, wody spokojnie tu płyną,  
A rzeka nigdzie nie grozi głębiną”.*



*Tak mówił Król Wód: choć dziewica drżała,*

*Zdradzieckiej mowy jego postuchała.*

*Wnet zarżał rumak, sam z wody zrodzony,*

*I śmiało skoczył w rzeki nurt spieniony.*

*„Stój, stój, mój luby! Wstrzymaj konia, drogi,*

*Bo oto fale moczą moje nogi! ” -*

*„Nie bój się, luba! Zbądź próżnej obawy!*

*Już się zbliżamy do końca przeprawy! ”*

*„Stój, luby! Już do kolan mnie, niebodze,*

*Woda dochodzi i ziębi mnie srodze!” -*

*„Nie bój się, luba! Zbądź próżnej obawy!*

*Już coraz bliżej do końca przeprawy! ”*

*„Na miłość Boga! Stój, luby! Do łona*

*Już mego fala podchodzi spieniona!”*

*Ledwie to rzekła – oto sama tonie,*

*Bo nagle zniknął rycerz razem z koniem.*

*Krzyknie trzy razy, lecz daremnie woła,*

*Bo wiatr się zerwał nagle dookoła*

*I wzburzył fale, która wstając z głębi,*

*Nad swą ofiarą radośnie się kłębi.*

*Trzykroć słyszano głos jej zrozpaczony*

*I trzykroć odmęt zgłuszył go wzburzony,*

*A gdy ucichły rozhukane fale,*

*Już tam dziewicy nie widziano wcale.*

*Uczcie się, panny, z tej powieści starej:*

*Nie każdy rycerz godzien bywa wiary:*

*Nie dajcie zwieść się miłości kłamanej*

*I z Wodnym Królem nie chadzajcie w tany!*

Młodzik przestał śpiewać. Mniszki zachwyciły się słodyczą jego głosu i mistrzostwem, z jakim grał na instrumencie, a chociaż ten aplauz byłby przy każdej innej okazji mile przez Teodora przyjęty, obecnie w nim nie zasmakował. Podstęp się nie udał. Próżno czynił pauzy między poszczególnymi zwrotkami: żaden głos mu nie odpowiedział, więc porzucił nadzieję na dorównanie Blondelowi.

Właśnie dzwon klasztorny przypomniał mniszkom, że pora już na zebranie się w refektarzu. Trzeba im było odejść od kraty; podziękowały młodzieńcowi za rozrywkę, jakiej dostarczyło im jego muzykowanie, i zobowiązały go, by powrócił następnego dnia. Solennie im

to przyobiegał. Aby uczynić go bardziej skorym do dotrzymania słowa, mniszki obiecały mu, iż zawsze może liczyć na klasztor, jeśli chodzi o strawę, i każda obdarowała Teodora jakimś drobiazgiem. Jedna dała pudełko słodyczy, druga agnuska, niektóre przyniosły relikwie świętych, woskowe figurki, poświęcone krzyżyki, a znowuż inne sprezentowały mu drobne próbki kunsztów, w jakich przodują stowarzyszenia zakonne – były to hafty, sztuczne kwiatki, koronki i inne igielne robótki. Poradzono mu, by sprzedał to wszystko, aby się nieco zapomóc, i zapewniono go, iż łatwo je zbędzie, ponieważ Hiszpanie wielce cenili sobie owe wyroby mniszek. Przyjął dary z udanym szacunkiem i wdzięcznością, zauważając, iż nie ma koszyczka i nie wie, jak ma je ze sobą zabrać. Kilka mniszek pospieszyło na poszukiwanie kobiałki, lecz wstrzymał je powrót leciwej niewiasty, której Teodor dotąd nie zauważył. Łagodne oblicze i szacowny wygląd mniszki natychmiast usposobiły go do niej przychylnie.

– Ha! – rzekła furtianka – a oto i matka Urszula z koszykiem.

Zakonnica zbliżyła się do kraty i podała Teodorowi koszyczek; był wypleciony z wikliny i wyłożony błękitnym ałtarem, a na jego czterech bokach wymalowane były obrazki z legendy o świętej Genowefie.

– Oto mój dar – rzekła wkładając mu koszyczek do ręki. – Nie pogardzaj nim, zacny młodzieńcze. Chociaż wyda ci się niewiele wart, to przecie posiada wiele ukrytych zalet.

Słowom tym towarzyszyło wymowne spojrzenie, które Teodor w lot pojął. Przyjmując podarek, przysunął się, jak tylko mógł, do kraty.

– Agnes! – wyszeptwała ledwo dosłyszalnym głosem zakonnica.

Teodor pochwycił jednak ów dźwięk. Wywnioskował, iż w koszyczku kryje się jakaś tajemnica, i serce jęło mu bić z niecierpliwości i uradowania. W tej chwili powróciła domina. Minę miała ponurą i nachmurzoną i wyglądała, jeśli to możliwe, jeszcze surowej niżli zazwyczaj.

– Matko Urszulo, pragnę z tobą pomówić na osobności.

Zakonnica zbladła i wyraźnie się stropiła.

– Ze mną? – wyszeptwała drżącym głosem.

Domina dała znak, iż mniszka winna iść za nią, i wycofała się z rozmównicy. Matka Urszula usłuchała. Wkrótce potem dzwon refektarza ozwał się po raz wtóry; zakonnice odeszły od kraty i Teodor mógł wreszcie unieść swoją zdobycz. Rozradowany, iż nareszcie uzyskał dla markiza jakąś nowinę, pofrunął raczej niż pobiegł, i rychło dotarł do pałacu de Las Cisternas. W parę minut potem stał przy łożu pana z koszyczkiem w dłoni. W komnacie znajdował się Lorenzo, usiłując pogodzić przyjaciela z nieszczęściem, które on sam aż nazbyt dotkliwie odczuwał. Teodor opowiedział o swojej przygodzie i o nadziejach, jakie wzbudził w nim dar matki Urszuli. Markiz poderwał się z pościeli. Płomień, który przygasł od czasu śmierci Agnes, znów rozpalił się w jego piersi, a oczy zabłyśły żarliwym oczekiwaniem. Wzruszenie, jakie zdradzało oblicze Lorenza, było niewiele mniejsze i młodzian z ogromną niecierpliwością czekał na rozwiązanie owej zagadki. Rajmond porwał koszyczek z rąk pafia, wytrząsnął na łóżko jego zawartość i oglądał każdą rzecz ze szczególną uwagą. Miał nadzieję, iż na dnie odnajdzie jakiś list. Nic podobnego się nie ukazało. Znowu zabrali się do szukania i znowu z nie lepszym skutkiem. W końcu don Rajmond zauważył, że jeden róg błękitnej ałtarsowej podszewki jest odpruty, spiesznie ją wydarł i wyciągnął mały skrawek papieru, nie złożony i nie zapieczętowany. Zaadresowany był do markiza de Las Cisternas i brzmiał, jak następuje:

*Rozpoznawszy twojego pafia, mój panie, odważam się przestać ci te kilka słów. Postaraj się o pismo kardynała, nakazujące pochwycenie mnie i dominy; lecz niechże się to stanie dopiero w piątek o północy. Jest to dzień odpustu w klasztorze klarysek; o północy przy świetle pochodni odbędzie się procesja mniszek, a ja znajdę się także między nimi. Strzeż się, by nikt nie dowiedział się o twoich zamiarach. Gdyby piśnięto choć słówko, które wzbudziłoby podejrzenia dominy, nie*

*posłyszycie o mnie nigdy więcej. Bądź ostrożny, jeśli tylko droga ci jest pamięć Agnes i jeśli chcesz ukarać jej morderców. Mam do opowiedzenia rzeczy, które zmrożą ci ze zgrozy krew w żyłach.*

*Matka Urszula*

Skoro tylko markiz przeczytał ten liścik, utracił zmysły i jak nieżywy opadł na poduszki. Zawiodły nadzieje, które dotąd podtrzymywały go przy życiu, a przeczytane słowa przekonały go aż nazbyt dobitnie, że zaprawdę nie było już Agnes między żywymi. Wieść ta nie podziałała równie silnie na Lorenza, ponieważ zawsze mniemał, iż jego siostra zgładzona została jakimiś niecnymi sposobami. Kiedy dzięki liścikowi matki Urszuli spostrzegł, jak słuszne były jego podejrzenia, potwierdzenie ich nie wzbudziło w jego sercu żadnych innych uczuć prócz chęci przykładowego ukarania morderców. Niełatwo przyszło im ocucić markiza. Gdy tylko odzyskał mowę, bluzgał złorzeczeniami na morderców swojej umiłowanej i poprzysiągł, iż dotkliwie się na nich pomści. Wciąż bredził i dręczył się w szale bezsilnej wściekłości, dopóki jego siły, nadwątlone strapieniem i chorobą, nie załamały się i ponownie nie popadł w omdlenie. Żałosny stan markiza szczerze wzruszył Lorenza, który chętnie pozostałby w komnacie przyjaciela, lecz inne, pilniejsze sprawy domagały się teraz jego obecności. Trzeba było uzyskać nakaz uwięzienia przeoryszy klarysek. Poruczywszy więc don Rajmonda opiece najbiegłych lekarzy Madrytu, Lorenzo opuścił pałac de Las Cisternas i skierował kroki ku pałacowi księcia kardynała.

Straszliwe było jego rozczarowanie, gdy dowiedział się, że sprawy państwowe zmusiły kardynała do wyruszenia do odległej prowincji. Do piątku brakowało tylko pięciu dni; żywił jednak nadzieję, iż podróżując dzień i noc, wróci w porę i zdąży na procesję klarysek. Tu mu się powiodło. Odnalazł księcia kardynała, przedstawił mu domniemaną winę przeoryszy, a także gwałtowne skutki, jakie cała ta sprawa wywarła na don Rajmondzie. Nie mógł użyć silniejszego argumentu, niż właśnie ten ostatni. Ze wszystkich bratanków kardynała markiz był jedynym, do którego stryj czuł szczerą przywiązaną. Miał do niego prawdziwą słabość i przeorysza nie mogła popełnić w oczach kardynała gorszej zbrodni niżli wystawić na hazard życie markiza. Skutkiem tego kardynał bez trudności wręczył Lorenzowi rozkaz uwięzienia dominy. Przydał także list do głównego urzędnika inkwizycji żądając, by ten dopilnował wykonania kardynalskiego rozkazu. Medina, zaopatrzone w owe papiery, pospieszył na powrót do Madrytu i dotarł do miasta w piątek na kilka godzin przed zapadnięciem zmroku. Zastał markiza nieco spokojniejszym, lecz tak słabym i wyczerpanym, iż z największą trudnością mógł mówić lub poruszać się. Przepędziwszy godzinkę u łóża przyjaciela, Lorenzo opuścił go, by powiadomić stryja o swoich zamiarach, a także by oddać don Ramirezowi de Mello list kardynała. Pierwszy z nich skamieniał ze zgrozy dowiedziawszy się o losie swojej nieszczęsnej bratanicy. Zachęcał Lorenza do ukarania morderców i zobowiązał się towarzyszyć mu dzisiejszej nocy do klasztoru klarysek. Don Ramirez przyobiegał mu jako niezawodną pomoc zastęp wybranych i zaufanych łuczników, w razie gdyby ludność stawiała opór.

Kiedy jednak Lorenzo zabiegał o zdemaskowanie jednego pobożnego hipokryty, nieświadom był frasunków, jakie gotował mu inny obłudnik. Ambrozjo, wspierany przez pośredników piekieł, których mu naraiła Matylda, umyślił zgubę niewinnej Antonii. Nadeszła chwila, która z wyroku przeznaczenia miała stać się dla niej fatalną. Rzekła już matce dobranoc. Gdy całowała ją, poczuła, jak do serca zakrada się jej jakieś dziwne przygnębienie. Odeszła od Elwiry i natychmiast wróciła; rzuciła się w matczyne ramiona i łzami skropiła jej lica. Opuszczając matkę poczuła niepokój; tajemne przeczucie zapewniło ją, iż nigdy więcej się nie

spotkają. Elwira spostrzegła to i usiłowała rozproszyć uśmiechem owo dziecinne uprzedzenie. Łagodnie strofowała Antonię za to, iż folguje takiemu nie uzasadnionemu smutkowi, i przestrzegała przed niebezpieczeństwem dopuszczenia takich myśli do głowy.

Na wszystkie upomnienia otrzymywała tylko tę jedną odpowiedź:

– Mamo! mamó kochana! Och! dałby Bóg, aby już nastał ranek.

Elwira, dla której niepokój o córkę stanowił niemałą przeszkodę w zupełnym ozdrowieniu, wciąż odczuwała skutki swojej ostatniej ciężkiej niemocy. Czuła się tego wieczora słabsza niżli zazwyczaj i położyła się do łóżka o wcześniejszej godzinie. Antonia z zalem wycofała się z matczyngo pokoju i póki nie zamknęła za sobą drzwi, wciąż wpatrywała się żałośnie w Elwirę. Udała się do swojej komnatki z sercem przepełnionym goryczą. Zdało jej się, że wszystkie nadzieje na przyszłość rozwiały się, a na świecie nie było już po co żyć. Osunęła się na krzesło, oparła głowę na ręce i pustym wzrokiem wpatrywała się w podłogę, a najbardziej ponure obrazy zjawiały się w jej wyobraźni. Pozostawała w tym stanie odrętwienia, póki nie zmałyły go dźwięki cichutkiej melodii, dochodzące zza okna. Powstała z krzesła, podeszła do okiennicy i otworzyła ją, aby słyszeć wyraźniej. Zarzuciwszy welon na twarz, odważyła się wychylić przez okna. Przy świetle księżyca dojrzała pod oknem kilku ludzi z gitarami i lutniami w rękach. W niewielkiej odległości od nich stał jakiś mężczyzna, owinięty w płaszcz i bardzo podobny wyglądem i postawą do Lorenza. Domysł Antonii okazał się słuszny. Był to, zaiste, sam Lorenzo, który związany słowem, iż nie pojawi się u Antonii bez zgody stryja, starał się urządzać od czasu do czasu serenady, zapewnić kochankę, iż nadal żywi ku niej przywiązanie. Podstęp młodzieńca nie osiągnął upragnionego skutku. Antonia bynajmniej nie przypuszczała, iż owa nocna muzyka miała być hołdem złożonym jej powabom. Nazbyt skromna, by uważać się za godną takich względów, wnioskowała, iż serenada przeznaczona była dla jakiejś damy mieszkającej w sąsiedztwie, i smuciła się, że właśnie Lorenzo się tym zabawiał.

Grano rzewną i melodyjną piosenkę, zgodną z nastrojem Antonii, przeto przysłuchiwała się jej z przyjemnością. Po dłuższej przygrywce ozwały się głosy i dziewczeczka posłyszała te oto słowa:

Serenada

Chór

*Lutnio! łagodnie niech brzmia tony,*

*Kiedy zasypia luba ma,*

*Ból śpiewaj ty nieutulony,*

*Co w kochającym sercu trwa.*

Pieśń

*Kto nad sercami nam panuje?*

*Przed kim się mędrzec, junak korzy?*

*Dla jednej dręczyć się w płomieniach,*

*Innymi gardząc kochankami.*

*Ach, miłość to! I nad mą duszą*

*Jej srogą władzę uznać muszę.*

*Dzień cały trawić na westchnienia,*

*Po nocach się zalewać łzami.*

*Dla jednej dręczyć się w płomieniach,*

*Innymi gardząc kochankami.*

*Ach, miłość to! I nad mą duszą*

*Jej srogą władzę uznać muszę.*

*Z nie całowanych ust brać miody,*

*Czuć, jak dziewicy rozbiera łono.*

*W jej oczach słodkiej szukać zgody*

*I znów całować zachwyconą.*

*Ach, miłość to! Dziś nad mą duszę*

*Jej słodką władzę uznać muszę.*

Chór

*Lutnio, zamilknij! Milcz już, pieśń!*

*Już moja luba słodko śpi.*

*Niechaj tej nocy chociaż we śnie*

*Jej serce czule sprzyja mi!*

Muzyka umilkła, śpiewacy rozeszli się i ulicę zaległa cisza. Antonia, jak zwykle, oddała się w opiekę świętej Rozalii, odmówiła codzienne modlitwy i ułożyła się do snu. Sen rychło skleił jej powieki, a jego obecność wyzwoliła dziewczkę z wszelkich strachów i niepokojów. Była prawie druga godzina, kiedy rozpustny mnich odważył się skierować kroki w stronę mieszkania Antonii. Rzekliśmy już, że opactwo znajdowało się w niewielkiej odległości od strada di San Iago. Niepostrzeżenie dotarł do domu Antonii. Tu zatrzymał się i zawahał przez chwilę. Rozmyślał o ogromie występku, o skutkach przyłapania na gorącym uczynku; sądził, iż po tym, co zaszło, Elwira prawdopodobnie poweźmie podejrzenie, iż on był gwałcicielem jej córki. Z drugiej strony, zreflektował się, że mogła go o to jedynie podejrzewać, nie potrafi jednak przedstawić żadnych dowodów jego winy, gdyż wyda się rzeczą zgoła niemożliwą, by popełniono gwałt, a Antonia nie wiedziała, kiedy, gdzie i kto go popełnił. W końcu doszedł do przekonania, iż jego sława była nazbyt mocno ugruntowana, by mogły ją podać w wątpliwość niczym nie poparte oskarżenia dwóch nieznanymi niewiast. Ostatni z argumentów był całkowicie fałszywy. Nie wiedział, jak niepewną jest sława związana z powszechnym aplauzem i że starczy jednego momentu, by świat zbrzydził sobie dziś tego, który jeszcze wczoraj był bożyszczem tłumu. W rezultacie owych rozmyślań postanowił wprowadzić w czyn swoje przedsięwzięcie. Wszedł na schody wiodące do domu. Skoro tylko dotknął drzwi srebrnym mirtem, otwarły się na oścież i umożliwiły mu swobodne przejście. Przekroczył próg, a drzwi same się za nim zamknęły.

Wiedziony promieniami księżycy, wstępował na schody cichym i ostrożnym krokiem. Wciąż podejrzliwie i niespokojnie rozglądał się dookoła. W każdym cieniu dostrzegał szpiega, a w każdym szmerze nocnego wietrzyka słyszał czyjś głos. Świadomość, iż działa w nieczym zamiarze, przerażała jego serce i sprawiała, iż stało się bardziej trwożliwe niżli serce niewieście. Przecie wciąż postępował naprzód. Dotarł do drzwi wiodących do komnatki Antonii. Zatrzymał się i nadśluchiwał. Wewnątrz panowała zupełna cisza. Całkowity spokój przekonał go, iż upatrzona przezeń ofiara udała się na spoczynek, toteż odważył się nacisnąć klamkę. Drzwi były zaryglowane i oparły się jego wysiłkom. Lecz skoro tylko dotknął ich talizmanem, rygiel ustąpił. Gwałciciel przekroczył próg i znalazł się w komnatce, gdzie spała niewinna dziewczka,

nieświadoma, jaki niebezpieczny gość zbliża się do jej postania. Drzwi się za nim zamknęły, a rygiel zaskoczył na powrót na swoje miejsce.

Ambrozjo ostrożnie postępował naprzód. Baczył, by żadna deska nie zaskrzypiała mu pod nogami, przybliżając się zaś do łoża, wstrzymał oddech. Zabrał się najpierw do dopełnienia magicznego obrządku, jak mu to przykazała Matylda. Tchnął po trzykroć na srebrną mirtową gałązkę, trzykrotnie wypowiedział nad nią imię Antonii i złożył mirt na wezglówiu dziewczyny. Skutek, jaki wywarła uprzednio owa gałązka, nie pozwalał mu powątpiewać, iż dzięki niej uda mu się przedłużyć sen wydanej na jego łup kochanki. Skoro tylko odprawił czary, mniemał, iż Antonia znajduje się już całkowicie w jego mocy, i oczy rozbłyły mu żądzą i zniecierpliwieniem. Odważył się teraz rzucić wejrzenie na uśpioną piękność. Jedna jedyna lampka, płonąca przed posągami świętej Rozalii, rzucała mdłe światło na pokój, nie pozwalając mu przyjrzeć się dokładnie wszystkim powabom nadobnej postaci, którą miał przed oczyma. Upał zmusił Antonię do częściowego odrzucenia przykrycia. Zuchwała dłoń Ambrozja pospieszyła, by usunąć te płótna, które jeszcze okrywały dziewczynę. Leżała z policzkiem wspartym na śnieżnobiałym ramieniu; druga ręka spoczywała na brzegu łoża we wdzięcznym bezwładzie. Kilka kędziorków wymknęło się spod muślinu osłaniającego jej włosy i spadło niedbale na piersi, które wznosiły się i opadały, poruszane powolnym, miarowym oddechem. Gorąco powlokło jej liczko silniejszym kolorem niżli zazwyczaj. Niewypowiedziane słodki uśmiech igrał wokół jej koralowych i pełnych warg, z których od czasu do czasu wyrывało się łagodne westchnienie lub na pół wypowiedziane zdanie. Cała postać Antonii tchnęła zachwycającą niewinnością i czystością ser ca; nawet w jej nagości była pewna skromność, przydająca nowego żaru pożądliwości lubieżnego mnicha.

Stał przez kilka minut, pożerając oczyma owe powaby, które rychło miały stać się pastwą jego występnych żądz. Na pół otwarte usta Antonii zdały domagać się pocałunku; pochylił się nad nią, złączył wargi z ustami dziewczynki i z uniesieniem wyssał jej wonny oddech. Owa przelotna błogość wzmogła jego tęsknotę za jeszcze większą rozkoszą. Jego żądza graniczyła z szaleństwem, które ogarnia jeno dzikie bestie. Postanowił nie zwlekać ani chwili dłużej ze spełnieniem swoich pragnień i spieszenie jął zdierać z Antonii resztki odzienia, które przeszkadzały mu w zaspokojeniu chuci.

– Miłosierny Boże! – zawołał jakiś głos poza jego plecami. – Czy mnie wzrok nie myli? czy to nie złudzenie?

Towarzyszące tym słowom – groza, zmieszanie i rozczarowanie doszły do uszu Ambrozja. Cofnął się i zwrócił w kierunku głosu. W drzwiach komnatki stała Elwira i spoglądała na mnicha wzrokiem pełnym zdumienia i obrzydzenia.

Miała straszliwy sen, w którym ujrzała Antonię stojącą nad brzegiem przepaści. Widziała, jak dziewczyna drży na samym jej skraju; zdawało się, iż w każdej chwili grozi jej upadek, Elwira słyszała ją krzyczącą zapamiętale: „Ratuj mnie, matko! ratuj! Jeszcze chwila, a będzie za późno!” Elwira zbudziła się przerażona. Wrażenie, jakie wywarła senna mara na jej umyśle, było tak silne, iż nie pozwoliło jej zasnąć, póki nie upewniła się o bezpieczeństwie córki. Bezzwłocznie zerwała się z łoża, zarzuciła na siebie luźną szatę i przeszedłszy przez komórkę, w której spała służebna, dotarła do komnatki córki w samą porę, by wybawić ją z uścisków gwałciciela.

Zdało się, iż zawstydylenie mnicha i zadziwienie Elwiry przeobraziło ich oboje w kamienne posągi. Stali spoglądając na siebie w milczeniu. Dama pierwsza ocknęła się z odrętwienia.

– A więc to nie jest sen! – zawołała. – To istotnie sam Ambrozjo stoi przede mną. Człowiek, którego Madryt uważa za świętego, a którego ja znajduję o tej późnej godzinie przy



łożu mojego nieszczęsnego dziecięcia. Potworze obłudny! Jużem powzięła podejrzenie co do twoich zamiarów, lecz wstrzymywałam się z oskarżeniem cię przez litość dla ludzkiej ułomności. Teraz milczenie równałoby się zbrodni. Całe miasto dowie się o twoim niepomiarkowaniu. Zedrę maskę z twojego oblicza, łotrze, i przekonam Kościół, jaką to żmiję hoduje na własnym łonie!

Zakłopotany winowajca stał przed nią blady, zmieszany i drżący. Chętnie umniejszyłby swoje przewinienie, lecz nie mógł znaleźć usprawiedliwienia dla swego postępu. Niezdolny był dobyć z siebie nic prócz urywanych zdań i usprawiedliwień, które przeczyły jedne drugim. Elwira płonęła zbyt słusznym gniewem, by udzielić mu przebaczenia, o które prosił. Oświadczyła, iż postawi na nogi wszystkich sąsiadów i uczyni z Ambrozja odstraszący przykład dla wszystkich przyszłych hipokrytów. Potem pospieszyła do łoża, zawołała Antonię, by się zbudziła, a postrzegając, iż wołanie nie odniosło żadnego skutku, ujęła ją za rękę i siłą uniosła z postania. Czary działały zbyt potężnie! Antonia pozostała nieczuła i gdy matka puściła jej rękę, dziewczyna na powrót opadła na poduszki.

– Niezwyczajny to sen! – zawołała ze zdziwieniem Elwira, której oburzenie wzrastało z każdą chwilą. – Kryje się za tym jakaś tajemnica. Ale drzyj, obłudniku! Wszystkie twoje łajdactwa wkrótce wyjdą na światło dzienne. Na pomoc! na pomoc! – zawołała donośnie. – Tutaj! tutaj, Floro! Floro!

– Wysłuchaj mnie jeszcze przez chwilę, pani – zawołał mnich, który odzyskał przytomność umysłu pod wpływem zagrażającego mu niebezpieczeństwa. – Na wszystko, co zacne i święte, przysięgam ci, że honor twej córki nie został jeszcze skalany. Przebac mi moje wykroczenie. Oszczędź mi wstydu ujawnienia mego błędu i dozwól, bym w spokoju wrócił do opactwa. Wysłuchajże litościwie mojej prośby! obiecuję, że nie tylko Antonii nic ode mnie nie grozi w przyszłości, ale iż resztą mego życia udowodnię...

Elwira raptownie przerwała jego słowa.

– Antonii nic od ciebie nie grozi? Ja się już zatroszczę o jej bezpieczeństwo. Nie będziesz dłużej nadużywał zaufania rodziców. Twoja niegodziwość pokazana zostanie oczom wszystkich. Cały Madryt wzdrygać się będzie przed twoją przewrotnością, hipokryzją i niepomiarkowaniem. Nuże! nuże! Floro, Floro, powiadam.

Gdy to mówiła, przemknęło Ambrozjowi przez myśl wspomnienie Agnes. Tak samo błagała go o litość i tak samo odrzucił jej prośby. Teraz na niego przyszła chwila udręki i musiał przyznać, że słusznie został ukarany. Tymczasem Elwira nadal wzywała pomocy Flory, lecz głos miała tak zdławiony gniewem, że służba, pogrążona w głębokim śnie, nieczuła była na jej wołania. Elwira nie śmiała udać się w stronę komórki, w której spała Flora, by mnich nie skorzystał ze sposobności i nie umknął. Takie właśnie były jego zamiary; miał nadzieję, iż będzie mógł dotrzeć do opactwa nie widziany przez nikogo prócz Elwiry, a świadectwa jej jednej nie starczy, by obalić w Madrycie reputację tak silnie ugruntowaną, jak jego dobra sława. Z tą myślą pozbierał te części przyodziewku, które uprzednio z siebie zrzucił, i pospieszył w stronę drzwi. Elwira przejrzała jego zamiary; pobiegła za Ambrozjem i nim zdołał odsunąć rygiel, pochwyciła go za rękę i przytrzymała.

– Nie próbuj mi uciec! – rzekła. – Nie opuścisz tej izby bez świadków twojej przewiny.

Ambrozjo na próżno starał się jej wywinąć. Elwira nie zwolniła uścisku, lecz podwoiła wołania o pomoc. Niebezpieczeństwo było tuż, tuż. W każdej chwili oczekiwał, iż posłysz, jak zbierają się ludzie przywołani głosem Elwiry; doprowadzony do szaleństwa nadchodzącą zgubą, powziął postanowienie równie rozpaczliwe, jak okrutne. Raptownie obrócił się, jedną ręką chwycił Elwirę za gardło, tak aby uniemożliwić jej dalsze lamenty, a drugą powalił ją brutalnie na ziemię i pociągnął w stronę łoża. Oszołomiona tym niespodziewanym atakiem, nie miała prawie sił, aby podjąć próbę uwolnienia się z jego uścisku; mnich wyrwał tymczasem poduszkę

spod głowy Antonii, nakrył nią twarz Elwiry i wgniatając jej z całej siły kolano w żołądek, usiłował położyć kres jej życiu. Powiodło mu się aż nazbyt dobrze. Nadmiar rozpaczy wzmógł przyrodzone siły Elwiry i cierpiętница długo walczyła, by uwolnić się z jego uścisku, ale walczyła na próżno. Mnich wciąż klęczał na jej piersi; bezlitośnie spoglądał na konwulsyjne drganie jej członków i z nieludzkim męstwem zniósł widok jej mąk, gdy dusza już, już miała rozstać się z ciałem. W końcu męki się skończyły. Zaprzesła walki o życie. Mnich odjął poduszkę i wpatrywał się w Elwirę. Twarz miała pokrytą straszliwą sinością, członki przestały się poruszać, krew zakrzepła w żyłach, serce zapomniało kołatać, a ręce były sztywne i lodowate. Ambrozjo ujrzał przed sobą tę ongiś szlachetną i wyniosłą postać, która teraz stała się trupem – zimnym, nieczułym i obrzydłym.

Skoro tylko dokonał owego strasznego czynu, natychmiast zdał sobie sprawę z ogromu zbrodni. Krople zimnego potu spływały mu po ciele; z zamkniętymi oczami, zataczając się, podszedł do krzesła i padł na nie prawie jak martwy, jak nieszczęśliwa niewiasta, która leżała rozciągnięta u jego stóp. Z odrętwienia wyrwała go myśl o konieczności ucieczki i obawa, iż znajda go w komnacie Antonii. Nie pragnął wyciągać korzyści z dokonanej zbrodni. Antonia wydała mu się teraz czymś odrażającym. Śmiertelny chłód zajął miejsce żaru, który płonął przed chwilą w jego piersi. Nie przychodziły mu do głowy inne myśli prócz wyobrażenia o śmierci, winie, wstydzie i przyszłej karze. Podniecony strachem i wyrzutami sumienia, gotował się do ucieczki; lęk nie ogarnął jednak całkowicie umysłu Ambrozja, by uniemożliwić mu przedsięwzięcie pewnych ostrożności, koniecznych dla jego bezpieczeństwa.

Umieścił na powrót poduszkę na łożu, pozbierał swoje odzienie i z fatalnym talizmanem w dłoni skierował niepewne kroki w stronę drzwi. Omamiony strachem, roił sobie, iż przeszkadzają mu w opuszczeniu domu całe zastępy upiorów. Zdało mu się, iż gdziekolwiek się obróci, jakiś zniekształcony trup będzie leżał na jego drodze, i długo trwało, nim zdołał dotrzeć do bramy. Zaczarowany mirt znów podziałał jak przedtem. Drzwi same się otworzyły i Ambrozjo spiesznie zbiegł ze schodów. Ukradkiem wszedł do opactwa, a zamknąwszy się w celi, oddał duszę na łup tortury: daremnych wyrzutów sumienia i strachu przed groźącym mu ujawnieniem zbrodni.

<sup>[1]</sup> Mowa właściwie o Sekstusie, synu Tarkwiniusza Pysznego, wg tradycji ostatniego króla Rzymu z VI w. p.n.e. Wedle legendy Sekstus zgwałcił Lukrecję, żonę Tarkwiniusza Kollatyna, która powiedziawszy o tym mężowi, odebrała sobie życie.

<sup>[2]</sup> Szekspir, „Otello”, 1, 3, 120-121 2 (przekł. J. Paszkowski).

<sup>[3]</sup> Minstrel (z franc. menestrel) – średniowieczny wędrowny muzyk i śpiewak. Tu mowa o Blondelu de Nestles, XII-wiecznym trubadurze, który wg legendy był ulubieńcem Ryszarda Lwie Serce, króla angielskiego.

## Rozdział IX

*Rzeknijcie nam, o wy umarli, czy nikt z was, na Boga,*

*Nie odłoni tajemnicy tym, których pozostawiliście za sobą?*

*O, gdyby jakiś przyjazny duch zdradził sekret,*

*Czym jesteście i czym my rychło stać się musimy!*

*Słyszałem, że dusze zmarłych ostrzegały niekiedy ludzi*

*Przed nadchodzącą śmiercią; zacny to czyn:*

*Zapukać i wzbudzić czujność.*

Robert Blair, „The Grave”.



Ambrozjo drżał rozmyślając nad samym sobą, nad swoim szybkim postępem w nieprawości. Ogrom zbrodni, której się właśnie dopuścił, nappełnił go prawdziwą zgrozą. Zamordowana Elwira stała mu wciąż przed oczyma, a jego grzech już został ukarany męką sumienia. Jednakże czas znacznie osłabił owo wrażenie; przeszedł jeden dzień, potem następny i wciąż nie padł na niego ani cień podejrzenia. Bezkarność pogodziła Ambrozja z jego winą. Powoli ją nabierał otuchy, a w miarę jak zamierały jego obawy przed ujawnieniem zbrodni, mniej zważał na wyrzuty sumienia. Matyllda zabiegała o ukojenie jego obaw. Na pierwszą wieść o śmierci Elwiry zdała się wielce poruszona i przyłączyła się do ubolewania mnicha nad nieszczęsną katastrofą, jaką zakończyła się owa przygoda. Ale gdy spostrzegła, że jego wzburzenie nieco osłabło, on zaś sam bardziej był skłonny do wysłuchania jej argumentów, jąta wspominać o występku Ambrozja w najłagodniejszych słowach i przekonywać go, iż nie był on aż tak winnym, jak mu się wydawało. Perswadowała mu, iż skorzystał tylko z tych praw, których

natura udzieliła każdemu: praw do samoobrony; powiadała, iż musiała zgiąć albo Elwira, albo on sam. I że niezłomne postanowienie

Elwiry, aby Ambrozja doprowadzić do zguby, słusznie uczyniło ją ofiarą całego zajścia. Stwierdziła następnie, iż pomyślnie się dla niego złożyło, że śmierć zamknęła usta Elwiry, skoro on już naraził się na jej podejrzenia, gdyby nie to, podejrzenia Elwiry wyszłyby na jaw i mogłyby wywołać wielce niemiłe skutki. Uwolnił się tedy od nieprzyjaciółki, która dostatecznie знаła błędy jego postępowania i mogła stać się dlań niebezpieczna; stanowiła bowiem największą przeszkodę w jego zamierzeniach wobec Antonii. Zachęcała go również, by nie porzucił owych zamysłów. Zapewniała Ambrozja, iż córka, nie strzeżona już przez czujne matczyne oko, stanie się dlań łatwą zdobyczą, a wychwalając i wyliczając powaby Antonii, starała się na powrót rozniecić jego żądze. Powiodło się jej znakomicie.

Zbrodnie, do których przywiodła Ambrozja jego namiętność, wzmożyły jak gdyby gwałtowność jego pasji, goręcej niżli dotychczas wzdychał, by osiąść Antonię. Ufał, iż to samo powodzenie, dzięki któremu ukrył swą winę, towarzyszyć mu będzie w przyszłości. Głuchy na podszepty sumienia, postanowił zadowolić za każdą cenę swoje żądze. Czekał tylko na sposobność powtórzenia tego samego postępu, lecz zyskanie owej sposobności tymi samymi środkami było już niewykonalne. W pierwszych porywach rozpacz roztrzaskał zaczarowany mirt na tysiące kawałków. Matylda rzekła mu wyraźnie, że nie może oczekiwać dalszej pomocy od sił ciemności, chyba iż przystanie na warunki stawiane przez złe duchy. Ambrozjo postanowił, iż tego nie uczyni. Perswadował sobie, iż jakkolwiek wielkie mogły być jego nieprawości, to póki zachował prawa do zbawienia, nie powinien zwątpić o odpuszczeniu win. Dlatego stanowczo odmawiał wejścia w jakiegokolwiek konszachty czy pakt z złymi duchami, a Matylda, widząc jego upór w tym względzie, przestała nań nalegać. Wysilała swą pomysłowość, by odkryć jakieś sposoby, które oddałyby Antonię w moc Ambrozja, i niebawem owe sposoby się wyłoniły.

Gdy tak przemyśliwano nad jej zgubą, nieszczęśliwa dziewczeczka cierpiała okrutnie z powodu utraty rodzicielki. Każdego ranka, po przebudzeniu, zwykła była spieszyć do komnatki Elwiry. Owego ranka, który nastąpił po fatalnych odwiedzinach Ambrozja, obudziła się później niżli zazwyczaj; przekonała ją o tym dzwony opactwa. Zerwała się z łóżka, szybko narzuciła luźną szatkę i spieszyła zapytać, jak matka spędziła noc, kiedy nagle zawadziła nogą o coś, co leżało na jej drodze. Spojrzała w dół. Jakież było jej przerażenie, gdy rozpoznała zsiniałego trupa Elwiry. Wydała głośny okrzyk i rzuciła się na podłogę. Przycisnęła martwe zwłoki do piersi, poczuła ich śmiertelny chłód i ruchem pełnym obrzydzenia, którego nie zdołała opanować, na powrót wypuściła je ze swego uścisku. Krzyk Antonii zaalarmował Florę, która pospieszyła jej na pomoc. To, co ujrzała, nappełniło ją straszliwą trwogą, lecz jej wołania o pomoc były głośniejsze niżli krzyki Antonii. Cały dom rozbrzmiewał lamentem Flory; jej młoda pani, której żal omal nie zadławił, potrafiła wyrazić swą rozpacz tylko łkaniem i jękami. Głośne lamenty Flory rychło dotarły do uszu gospodyni, ta zaś dowiedziawszy się o przyczynie owego zgiełku, popadła w okrutne zdumienie i przerażenie. Posłano natychmiast po lekarza, lecz skoro tylko ujrzał zwłoki, oświadczył, iż przywrócenie do życia Elwiry przechodzi arkana jego sztuki. Zabrał się więc do udzielenia pomocy Antonii, która w tej chwili istotnie jej potrzebowała. Przeniesiono dziewczeczkę na łożo, a gospodyni zajęła się wydawaniem rozkazów tyczących pochówku Elwiry. Jejmość Jacynta była zwyczajną zacną niewiastą – miłosierną, wielkoduszną i nabożną, nie miała jednak wiele rozumu i pozostawała w politowania godnej niewoli strachu i zabobonu. Drżała na myśl o przepędzeniu nocy w tym samym domu co zmarła. Była przekonana, iż ukaże się jej duch Elwiry, i nie mniej pewna, iż umrze ze strachu z racji owych nawiedzin. Postanowiła przeto spędzić noc u sąsiadów i upierała się, by pogrzeb odbył się już następnego dnia. Ponieważ cmentarz klarysek znajdował się najbliżej, postanowiono, iż tam pochowają Elwirę. Jejmość

Jacynta zobowiązała się pokryć wszystkie wydatki związane z pogrzebem. Nie wiedziała, czy Antonia rozporządza jakimś majątkiem, lecz ze skrzętnego sposobu życia całej rodziny wnioskuje, iż nie jest zasobna w pieniądze; nie żywiła tedy wielkiej nadziei, iż kiedykolwiek otrzyma jakieś zadośćuczynienie za swój wydatek. Wzgląd ten nie przeszkodził jednak Jacyncie w podjęciu starań, by pochówek odbył się jak należy, i nie zniechęcił do okazania nieszczęsnej Antonii wszelkiej możliwej przychylności.

Nikt nie umiera z samego zmartwienia; przykładem tej prawdy była właśnie Antonia. Dzięki młodości i krzepkiemu zdrowiu otrząsnęła się z niemocy, w jaką przyprawiała ją śmierć matki, lecz nie tak łatwo było wyrwać z niemocy ducha dziewczynki. Do oczu Antonii wciąż napływały łzy; wzruszała ją każda błahostka i bez wątpienia nosiła w swym sercu głęboko zakorzoną melancholię. Starczało najmniejszej wzmianki o Elwirze, najbliższej okoliczności przywodzącej na myśl ukochaną rodzicielkę, by ogromnie wzburzyć Antonię. Jakże wzmogłaby się jej boleść, gdyby знаła męki, w jakich matka zakończyła życie. Lecz co do tego nikt nie żywił najmniejszych podejrzeń. Elwirę nachodziły silne ataki konwulsji; mniemano, że czując zbliżający się paroksyzm choroby, przywlokła się do komnatki córki w nadziei zyskania pomocy. Sądzono, że pochwyił ją jeden ze zwykłych spazmów, zbyt gwałtowny, by mogły mu się oprzeć jej nadwątlone siły, i że skonała, nim zdążyła sięgnąć po lekarstwo, które zazwyczaj przynosiło jej ulgę i które stało na półeczce w pokoju Antonii. Nieliczni, których obchodził los Elwiry, byli o tym święcie przekonani. Śmierć jej uważano za naturalny przypadek i wkrótce zapomnieli o jej zgonie wszyscy prócz tej, która aż nazbyt wiele miała powodów do opłakiwania swojej straty.

Antonia znalazła się istotnie w wielce kłopotliwym i przykrym położeniu. Była sama w mieście znanym z lekkomyślnego i kosztownego trybu życia; sakiewkę miała pustą, co gorsza, nie miała przyjaciół. Ciotka jej, Leonella, wciąż pozostawała w Kordobie, Antonia zaś nie znała jej adresu. Nie miała żadnych wieści od markiza de Las Cisternas. Co zaś do Lorenza, to od dawna porzuciła myśl o zdobyciu jakiegokolwiek cieplejszego miejsca w jego sercu. Nie wiedziała, do kogo mogłaby się teraz zwrócić w swojej rozterce. Chciała poradzić się Ambrozja, lecz pamiętała o pouczeniach matki, która nakazała jej unikać go, jak tylko można; ostatnia rozmowa, jaką odbyła z córką Elwira na ten temat, dostatecznie wyjaśniła Antonii zamysły mnicha i pouczyła, by na przyszłość miała się przed nim na baczości. A jednak wszystkie matczyne ostrzeżenia nie mogły skłonić Antonii do zmiany dobrego mniemania o mnichu. Wciąż czuła, że jego przyjaźń i obecność potrzebne są jej do szczęścia; spoglądała na jego błędy pobłażliwym okiem i nie mogła uwierzyć, by istotnie planował jej zgubę. Jednakże Elwira stanowczo nakazała córce, by zerwała tę znajomość, Antonia zaś zbyt szanowała zalecenia matki, by się im sprzeciwić.

W końcu zdecydowała zwrócić się o radę i pomoc do markiza de Las Cisternas jako do najbliższego krewniaka. Napisała doń krótki list, przedstawiając w nim swe rozpaczliwe położenie; błagała, by ulitował się nad dzieckiem brata, nadal wypłacał jej pensyjną Elwiry i pozwolił usunąć się do starego zamku w Murcji, który dotychczas był jej schronieniem. Zapieczętowała list i wręczyła go wiernej Florze, a ta natychmiast wyruszyła, by wypełnić polecenie pani. Antonia urodziła się jednak pod niefortunną gwiazdą. Gdyby zwróciła się do markiza tylko o jeden dzień wcześniej, zostałaby uznana za jego bratanicę, umieszczona na pierwszym miejscu wśród jego domowników i uniknęłaby wszystkich nieszczęść, które jej obecnie zagrażały. Rajmond stale zamierzał wprowadzić w czyn ów zamysł; najpierw żywił nadzieję, że uczyni tę propozycję Elwirze przez usta Agnes, a potem gorczył z powodu utraty niedoszłej małżonki i ciężka niemoc, która przez czas niejaki przykuwała go do łoża, sprawiły, że z dnia na dzień odkładał propozycję ofiarowania w swoim domu schronienia wdowie po bracie. Poleciał Lorenzowi, by zaopatrzył ją hojnie w pieniądze, ale Elwira, nie chcąc przyjmować

dobrodziejstw z ręki owego możnego pana, zapewniła Lorenza, iż na razie nie potrzebuje wsparcia. Skutkiem tego markiz nie wyobrażał sobie, iż mała zwłoka z jego strony stworzy jakąś kłopotliwą sytuację, a wzburzenie i cierpienie jego ducha łącznie mogły wytłumaczyć owo zaniedbanie.

Gdyby mu powiedziano, że śmierć Elwiry pozbawiła jej córkę przyjaciół i opieki, bez wątpienia przedsięwziąłby kroki, które zapewniłyby Antonii całkowite bezpieczeństwo. Nie była jej wszelako sądzona tak szczęśliwa dola. Dzień, w którym wysłała list do pałacu de Las Cisternas, był następnym po wyjeździe Lorenza z Madrytu. Markiza, przeświadczonego, iż Agnes istotnie nie żyje, ogarnął pierwszy paroksyzm rozpacz: popadł w malignę, a ponieważ jego życie wisiało na włosku, nikomu nie wolno było się doń zbliżyć. Powiedziano Florze, iż markiz niezdolny jest do odpowiadania na listy i że prawdopodobnie kilka następnych godzin zadecyduje o jego życiu. Musiała więc powrócić do swojej paniienki z tą niezadowolającą odpowiedzią. Antonia zaś dopiero teraz spostrzegła, iż znalazła się w jeszcze gorszych kłopotach niż przedtem.

Flora i Jacynta czyniły wszystko, by ją pocieszyć. Ta ostatnia prosiła Antonię, by się nie trapiła, bo może pozostać pod jej dachem tak długo, jak się jej spodoba, a ona traktować ją będzie jak rodzone dziecko. Antonia zauważywszy, iż zacna niewiasta powzięła ku niej rzetelny afekt, nieco pokrzepiła się myślą, iż miała na świecie przynajmniej jednego przyjaciela. Właśnie przyniesiono dziewczęce list zaadresowany do Elwiry. Poznała pismo Leonelli, z radością odpięczętowała list i znalazła w nim szczegółową relację o ciotczynych przygodach w Kordobie. Leonella powiadamiała siostrę, że odzyskała spadek, straciła swoje serce, lecz zyskała w zamian serce najmilszego z aptekarzy, jacy kiedykolwiek byli, są i będą na tym świecie. Wzmiankowała, iż stanie w Madrycie we czwartek wieczór, gdyż chce mieć przyjemność oficjalnego zaprezentowania Elwirze swego *caro sposo*<sup>[1]</sup>. Chociaż zaślubiny ciotki nie nazbyt przypadły Antonii do gustu, to jednak szybki powrót Leonelli wielce ją uradował. Cieszyła się na myśl, iż znowu znajdzie się pod opieką jakiejś krewniaczki. Nie mogła wyzbyć się przekonania, iż dla młodej niewiasty pobyt wśród obcych bez nikogo, kto pilnowałby jej postępów lub chronił przed zniewagami, na jakie narażała ją jej bezbronność, był rzeczą wielce nieprzystojną. Nic więc dziwnego, iż z niecierpliwością oczekiwała czwartkowego wieczoru.

W końcu zawitał. Antonia niespokojnie przysłuchiwała się turkotowi powozów przejeżdżających przez ulicę. Żaden się nie zatrzymał; zrobiło się późno, a Leonella wciąż się nie pokazywała. Antonia postanowiła jednakże czekać na powrót ciotki i mimo wielu sprzeciwów dziewczyny Jacynta i Flora uparli się, iż uczynią to samo. Powoli i nudno upływały nocne godziny. Wyjazd Lorenza z Madrytu położył kres nocnym serenadom, Antonia na próżno czekała, iż posłyszyna pod oknem zwyczajne o tej porze dźwięki gitar. Wzięła do ręki własny instrument i dobyła z niego kilka akordów, lecz muzyka straciła dla niej tego wieczora wszelkie powaby i rychło włożyła na powrót gitarę do futerału. Zasiadła przy tamburku, ale wszystko szło jej na opak; zabrakło jej jedwabiu, nitka zrywała się co chwila, igły zaś tak zgrabnie padały na ziemię, iż zdawały się być żywymi istotami. W końcu kawałek wosku skapnął ze stojącej w pobliżu świecy na ulubiony wianuszek z fiołków, które haftowała Antonia. Zniecierpliwiło ją to do ostateczności, rzuciła igłę i odeszła od tamburka. Los chciał, że nic nie zdołało jej tej nocy zabawić. Wydana została na pastwę nudy i przepędzała czas na bezowocnym oczekiwaniu przyjazdu ciotki.

Kiedy przechadzała się niespokojnie tam i z powrotem po komnatce, oczy jej spoczęły na drzwiach wiodących do komnaty, w której ongiś mieszkała matka. Przypomniała sobie, iż znajduje się tam mała biblioteczka Elwiry, i pomyślała, iż może znajdzie w niej jakąś książkę, która zabawiłaby ją aż do przyjazdu Leonelli. Wzięła więc ze stołu świecę, przeszła przez małą

alkówkę i weszła do sąsiedniej izby. Kiedy rozglądnęła się dookoła, widok tego pokoju przywiódł jej na pamięć tysiące bolesnych myśli. Weszła tu po raz pierwszy od śmierci matki. Głęboka cisza zalegająca komnatę, łoże pozbawione pościeli, ponury kominek, na którym stał zgaszony kaganek, i kilka więdnących na oknie roślin, które od czasu śmierci Elwiry przestano pielęgnować – wszystko to napełniło Antonię melancholijną grozą. Nocny mrok wzmógł jeszcze owo wrażenie. Umieściła światło na stole i opadła na ogromne krzesło, w którym tylekroć widywała spoczywającą matkę. Nigdy już nie ujrzy jej na tym krześle. Nieproszone łzy spłynęły jej po policzkach i poddała się smutkowi, który wzmagał się z każdą chwilą.

Zawstydzona swoją słabością, powstała w końcu z krzesła, by poszukać tego, co przywiódło ją do owego żalnego miejsca. Mały zbiór książek był starannie ustawiony na kilku półkach. Antonia przyglądała się im, nie znajdując nic, co mogłoby ją zainteresować, dopóki ręka jej nie spoczęła na tomiku starych hiszpańskich ballad. Przeczytała kilka zwrotek jednej z nich. Podnieciły jej ciekawość. Zasiadła więc z książką w rękę na krześle, aby swobodnie oddać się lekturze. Objaśniła świecę, która już się dopalała, i przeczytała tę oto balladę:

Alondzo i Helena<sup>[2]</sup>

*Piękna Helena i Alondzo śmiały,*

*Ta z wdzięków znana, ów z czynów wojennych,*

*Siedząc, gdzie strumień wśród jaworów ciemnych,*

*Z łagodnym szumem zlewa się ze skały,*

*Przez słodkie mowy, przez czułe wejrzenia*

*Słodzili bliską chwilę rozdzielenia.*

*„Ach! – rzekł młodzieniec – jutro się oddalę*

*W odległej ziemi krwawe toczyć boje,*

*Ty po mnie wkrótce uśmierzysz twe żale,*

*Nowy zalotnik zyska serce twoje,*

*I wiarę, którąś przysięgła wiernemu,*

*Niestata, mozesz oddac bogatszemu!"*

*„Przestań – piękna Helena odpowie -*

*Posadzeń swoją kochankę krzywdzących,*

*Niechaj Bóg, srogi Bóg wiarę łamiących,*

*Skarże mię, jeśli uchybię w mym słowie;*

*Czyś żywy, czyli legniesz od oręza,*

*Innego nigdy nie wezmę za męża.*

*Gdyby ma próżność lub bogactwa żądza*

*Dały mą rękę innemu z śmiertelnych,*

*Niech trup naówczas śmiałego Alondza*

*Siędzie obok mnie wśród godów weselnych;*

*Niech mnie niewierną małżonką nazywa*

*I jak swą własną do grobu porywa”.*

*Do Palestyny dzielny rycerz spieszy,*

*Kochanka za nim rzewne łzy wylewa,*



*Jedną ją tylko myśl powrotu cieszy;*

*A lic' za ledwie rok jeden upływa,*

*Bogacz okryty złotem, kamieniami,*

*Stawa przed zamkiem Heleny bramami.*

*Nowy zalotnik skarby swe gotowe,*

*Obszerne włości i dary rozwodzi,*

*Omamia oczy, zawraca jej głowę,*

*Podchlebstwy próżne serce jej uwodzi;*

*Łamie Helena wiarę przysiężoną*

*I już innemu przyrzeka być żoną.*

*I już ksiądz związał ręce nowej pary,*

*Goreją gmachy światły rozlicznymi,*

*Gną stoły srebra i potraw ciężary,*

*Piękna Helena błyszczy przed wszystkimi;*

*Śmiechów, radości gwar się jeszcze szerzył,*

*Gdy zegar pierwszą godzinę uderzył!*

*Wtenczas dopiero z zdumieniem i trwogą*

*Helena widzi przy sobie rycerza:*

*Siedział obok niej z surowością srogą,*

*Której wesolość godów nie uśmierza;*

*Cichy, ponury, niczym nie wzruszony,*

*W oblubienicę wzrok trzymał wlepiony.*

*Postać olbrzymia; z wierzchołka szyszaku*

*Czarna przyłbica na twarz mu spadła,*

*I zbroja czarna bez żadnego znaku,*

*Gdzieniedzie tylko krew ją okrywała;*

*Patrząc nań psy się wstecz z strachu cofały*

*I świece bladym płomykiem pałały.*

*Przytomność jego trwogą i milczeniem*

*Przeraża gody; nie doszły połowy,*

*Kiedy Helena, blada i ze drżeniem:*

*„Rycerzu – rzekła – zdejmij hełm z twej głowy*

*I racz używać bankietu wesela,  
Który gościnność chętnie ci udziela”.*

*Umilkła; gość nasz, pełniąc jej rozkazy,  
Z wolna przyłbicę szyszaku odkrywa;*

*O nieba! jakież określą wyrazy  
Strach, co Heleny serce wskroś przesywa,*

*Gdy raptem widzi nie już twarz Żyjącą,  
Lecz trupią głowę na siebie patrzącą.*

*Krzyk przeraźliwy gmach obszerny razi,  
Każdy z ohydą odwraca swe oczy:*

*Z gęby i skroni robactwo wylazi,  
Pełza i na pół zgniłe kości toczy.*

*Na koniec larwa, wśród tej strasznej sceny,  
Tak się do pięknej odzywa Heleny:*

*„Fałszywa! gdzie cię zwiódła bogactw żądza?”*

*Przypomnij sobie śmiałego Alondza:*

*Jakeś życzyła, w tej weselnej dobie*

*Wśród godów siada trup jego przy tobie,*

*Niewierną ciebie małżonką nazywa*

*I jak swą własną do grobu porywa”.*

*To mówiąc, dłońmi na pól ją ujmuje,*

*Helena krzycząc na próżno się zbrania,*

*Ziemia się na dwie strony rozstępuje*

*I w ciemną przepaść oboje pochłania.*

*Pogasty światła, słysząc tylko jęki*

*Piekielnych poczwór i łańcuchów szczęki.*

*Niedługo potem ciosem nie zwróconym*

*Bogacz zakończył życie pełne trwogi;*

*Zamek na zawsze został opuszczonym,*

*A w pustych gmachach, kiedy wichry srogi*

*Przeraża duszę przez dęć straszliwe,*

*Słysząc Heleny jęczenia płaczliwe.*

*Czterykroć na rok o północnej porze,*

*Gdy sen śmiertelnych ciężkie troski słodzi,*

*Helena w śnieżnym wesela ubiorze*

*Z trupem rycerza swojego wychodzi;*

*On ją wybladłą, z obłąkanym wzrokiem,*

*Porwawszy, szybkim w koło kręci tokiem,*

*Widać wkoło nich larwy tańczące,*

*Trzymając czaszki świeżo z trupów zdarte;*

*Krew ich napojem, krwi potoki wrzące*

*Piją, a paszcze szeroko otwarte*

*Wołają: „Para niech żyje szczęśliwa!*

*Mężny Alondzo, Helena fałszywa”.*

Lektura tej ballady niewłaściwie została wybrana do rozproszenia melancholii dziewczeczki. Z natury Antonia miała upodobanie do cudowności; jej niańką, która święcie wierzyła w upiory, opowiedziała Antonii, gdy ta była jeszcze małym dzieckiem, tyle straszliwych przypadków tego właśnie rodzaju, iż wszystkie starania Elwiry, by wymazać owe wrażenia z umysłu Antonii, spełzły na niczym. Antonia wciąż żywiła w sercu zabobonne wierzenia; niejednokrotnie podlegała strachom, które po odkryciu ich naturalnej i błażej przyczyny sprawiały, iż rumieniła się ze wstydu z powodu własnej słabości. Przy takich skłonnościach

umysłu wystarczyło historii, którą właśnie przeczytała, by napełnić Antonię lękiem i złymi przecuciami. Zarówno godzina, jak miejsce, w którym się znajdowała, jeszcze bardziej wzmacniały jej niepokój. Była głucha noc; znajdowała się sama w pokoju zajmowanym ongiś przez zmarłą matkę. Aura była niespokojna i burzliwa, wicher huczał wokół domostwa, okna kołatały we framugach, a rzęsy deszcz stukał o szyby. Poza tym panowała zupełna cisza. Świeczka dopalała się właśnie u nasady lichtarza i od czasu do czasu płomień jej strzelał ku górze, rzucając na pokój błysk światła, a potem znowu opadał i zdawał się już zagasać. Serce Antonii kołatało z podniecenia, oczy błędnymi lęklivo po otaczających ją przedmiotach, gdy raz po raz oświetlał je drżący płomyk. Usiłowała powstać z krzesła, lecz członki jej drżały tak gwałtownie, iż nie była zdolna postąpić krokiem naprzód. Zawołała na Florę, która znajdowała się w sąsiedniej izbie, lecz wzburzenie ścisnęło gardło dziewczyny i krzyki zamarły w głuchym pogłosie.

Przepędziła tak kilka minut, po czym przerażenie ją nieco ustępować. Usiłowała otrząsnąć się z tego stanu i zdobyć na tyle sił, by opuścić komnatkę. Nagle uroiło się jej, iż usłyszała jakieś ciche westchnienie. Już wstała z krzesła i miała wziąć świeczkę ze stołu. Wyimaginowany dźwięk zatrzymał Antonię: cofnęła na powrót dłoń i oparła się o krzesło. Nadsluchiwała trwożliwie, lecz nie posłyszała nic więcej.

– Miłosierny Boże! – rzekła sama do siebie – cóż to mógł być za hałas? Zdawało mi się, czy też go naprawdę słyszałam?

Jakiś ledwo dosłyszalny głos przy drzwiach przerwał rozmyślenia Antonii. Wydawało się, że ktoś coś szepcze. Przerażenie Antonii wzrosło; wiedziała jednak, iż rygiel jest zasunięty, i myśl ta pokrzepiła ją nieco na duchu. W tej chwili delikatnie podniesiono zasuwę i drzwi poruszyły się nieco tam i z powrotem. Niezmierny strach przydał Antonii sił, których dotąd była pozbawiona. Zerwała się z krzesła i skierowała w stronę drzwi alkierza, przez który szybko dotrzeć mogła do komnaty, gdzie spodziewała się zastać Florę i Jacyntę. Znajdowała się ledwie na środku pokoju, gdy zasuwę podniosła się po raz drugi. Coś zmusiło Antonię do mimowolnego odwrócenia głowy. Drzwi wolniutko obróciły się w zawiasach i Antonia ujrzała stojącą na progu wysoką, chudą postać owiniętą w biały całun, który skrywał ją od stóp do głów.

Na ten widok nogi wrosły jej w ziemię i przystanęła skamieniała na środku izby. Nieznana postać zbliżyła się do stołu powolnym i uroczystym krokiem. Gasnąca świeca, w miarę przybliżania się ku dziewczęcej owej postaci, rzucała błękitnawe i melancholijne błyski. Na stole stał mały zegar, jego wskazówka zbliżyła się do godziny trzeciej. Postać zatrzymała się naprzeciw zegara, uniosła w górę prawą rękę i wskazując na godzinę, spojrzała jednocześnie z powagą na Antonię, która w milczeniu i bez drgnienia czekała końca tej sceny.

Zjawia stała chwilę w tej pozycji. Zegar wybił godzinę. Kiedy zamilkł, nieznana postać zbliżyła się do Antonii o parę kroków.

– Jeszcze trzy dni! – wyrzekła głosem słabym, głuchym i grobowym. – Jeszcze trzy dni i znowu się spotkamy.

Na te słowa Antonia zadrżała.

– Znowu się spotkamy? – wykrztusiła w końcu z trudnością. – Gdzie się spotkamy? Kogo spotkam?

Postać jedną ręką wskazała na ziemię, a drugą uniosła płótno skrywające jej twarz.

– Wszechmogący Boże! Moja matka!

Antonia krzyknęła i padła bez zmysłów na ziemię.

Krzyk ten przeraził Jacyntę siedzącą z robótką w sąsiednim pokoju. Flora właśnie zeszła na dół, aby przynieść oliwy do lamp ki, przy której czuwały. Jacynta sama pospieszyła na pomoc Antonii i wielce się zdumiała postrzegłszy ją leżącą na podłodze. Podniosła dziewczę z ziemi,

zanosła do sąsiedniej izby i wciąż nieprzytomną złożyła na łożu. Później jeła skrapiać skronie Antonii, rozcierać jej dłonie i używać wszelkich sposobów, by przywrócić ją do przytomności. Udało się jej to po dłuższych staraniach. Antonia otworzyła oczy i obłądnym wzrokiem rozejrzała się dookoła.

– Gdzie ona? – zawołała drżącym głosem. – Czy już poszła? Czy mi już nic nie zagraża? Przemów do mnie, pociesz mnie, na miłosierdzie boskie!

– Któż to ci zagraża, moje dziecko? – spytała zdziwiona Jacynta. – Cóż cię tak przeraża? Kogo się lękasz?

– Za trzy dni! Rzekła mi, iż spotkamy się za trzy dni! Sama słyszałam, jak to powiedziała! Widziałam ją, Jacynto, dopiero co ją widziałam.

Rzuciła się w ramiona Jacynty.

– Widziałas ją! Kogo widziałas?

– Ducha mojej matki!

– Jezu Chryste! – krzyknęła Jacynta, a poderwawszy się z łoża, upuściła Antonię na poduszki i w popłochu umknęła z komnaty. Gdy spieszenie schodziła na dół po schodach, napotkała Florę, która właśnie szła na górę.

– Idźże do swojej pani, Floro – rzekła. – Dzieją się tu osobliwe rzeczy. Och! jestem najniezwyklejszą niewiastą ze wszystkich żyjących kobiet! Dom mój pełen jest upiórów, trupów i sam Pan Bóg wie czego tam jeszcze, a niechybnie nikt mniej nie gustuje w takiej kompanii, jak ja sama. Ale idźże w swoją drogę do *donny* Antonii i pozwól, bym ja poszła swoją.

Powiadając to, zmierzała w stronę bramy; otworzywszy ją i nie zdążywszy nawet narzucić welonu, pobiegła tak chyżo, jak tylko mogła, do klasztoru kapucynów. Tymczasem Flora pospieszyła do komnaty panienki. Znalazła Antonię leżącą na łożu i nieprzytomną. Użyła tych samych sposobów, którymi już była posłużyła się Jacynta, by ją ocucić, lecz spostrzegłszy, iż jej pani wychodzi z jednego omdlenia tylko po to, by popaść w drugie, szybko posłała po cyrulika. Oczekując na jego przybycie, rozebrała Antonię i ułożyła w pościeli.

Nie zważając na burzę, przerażona nieomal do utraty zmysłów Jacynta biegła przez ulicę i nie spoczęła, póki nie dotarła do bramy opactwa. Głośno uderzyła w dzwon i skoro tylko ukazał się furtian, poprosiła o możliwość rozmowy z opatem. Ambrozjo właśnie radził z Matyldą nad sposobami zyskania dostępu do Antonii. Ponieważ przyczyna śmierci Elwiry pozostała nieznaną, był przekonany, że zbrodnia nie tak rychło spotka się z karą, jak go o tym pouczali jego klasztorni mentorowie i jak w to sam dotychczas wierzył. Owo przeświadczenie skłoniło Ambrozja do postanowienia zguby dzieweczki, a towarzyszące owemu przedsięwzięciu trudności zdały się tylko wzmagać żądze posiadania Antonii. Mnich już raz próbował dostać się przed jej oblicze, lecz Flora odmówiła mu widzenia w taki sposób, by go przekonać, iż wszystkie starania w przyszłości na nic się tutaj nie zdadzą. Elwira zwierzyła się ze swoich podejrzeń wiernej służebnej; życzyła sobie, by nigdy nie pozostawiono Ambrozja sam na sam z córką i jeśli możliwe, uniemożliwiono im wszelkie spotkania. Flora przyrzekła Elwirze posłuszeństwo i wypełniła jej rozkazy co do litery. Wizyta mnicha została odrzucona tego właśnie ranka, choć Antonia nic o tym nie wiedziała. Ambrozjo spostrzegł, iż nie sposób będzie zyskać możliwość oglądania kochanki i oboje z Matyldą przepędzili noc starając się obmyślić jakiś nowy fortel, który można by wprowadzić w czyn z pomyślniejszym skutkiem. Tym się właśnie zajmowali, gdy braciszek wszedł do celi opata i oznajmił, że jakaś niewiasta imieniem Jacynta Zuniga domagała się krótkiego widzenia.

Ambrozjo zgoła nie był skłonny do spełnienia prośby nowo przybyłej. Stanowczo odmówił zejścia do rozmównicy i kazał braciszkowi oznajmić nieznaną, by wróciła następnego dnia. Tu wtrąciła się Matylda:

– Zobacz się z tą niewiastą – rzekła po cichu. – Mam ku temu swoje powody.

Opat posłuchał jej rady i dał znać, iż natychmiast przyjdzie do rozmównicy. Braciszek odszedł z tą odpowiedzią. Skoro tylko zostali sami, Ambrozjo zapytał, dlaczego Matyllda życzy sobie, by zobaczył się z ową Jacyntą.

– To gospodyni Antonii – odparła Matyllda. – Może ci się chyba przydać; wypytaj ją i dowiedz się, co ją tu przywiodło.

Zeszli razem do rozmównicy, gdzie Jacynta już czekała na opata. Powzięła była wysokie mniemanie o jego nabożności i cnocie, a przypuszczając, że ma wielki wpływ na złego ducha, sądziła, że łatwo mu przyjdzie zatopić upiora Elwiry w Morzu Czerwonym<sup>[3]</sup>. Z tym przeświadczeniem pośpieszyła ku opactwu. Gdy tylko ujrzała mnicha wkraczającego do rozmównicy, padła na kolana i tak rozpoczęła swoją opowieść:

– Och! wielebny ojcze! taki przypadek! taka przygoda! Nie wiem, co mi czynić wypada i jeśli ty nie zdołasz mi pomóc, niechybnie zmysły postradam. Cóż, pewnie żadna niewiasta nie jest tak nieszczęsna jak ja! Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, by trzymać się z dala od takich okropności, a przecież nie na wiele się to zdało. Cóż z tego, że odmawiam różaniec cztery razy na dzień i obserwuję wszystkie posty przepisane w kalendarzu? Cóż z tego, że odbyłam trzy pielgrzymki do Świętego Jakuba w Kompostelli<sup>[4]</sup> i nabyłam od papieża tyle odpustów, że można by za nie odkupić grzech Kaina? Na nic mi to wszystko! Nic się nie wie, czy Bóg jeden wie, czy mi się jeszcze kiedy w życiu poszczęści? A więc osądź sam, świętobliwy ojcze... Moja lokatorka umiera w konwulsjach; chowam ją za własne pieniądze z czystej litości, bo to nie żadna moja krewniaczka, i nie skorzystałam przez jej śmierć choćby z jednego pistola. Nic nie zyskała przez tę śmierć i wiedz, ojcze wielebny, że było mi zgoła wszystko jedno, czy żyje, czy umarła. Ale to nie należy do rzeczy; wracam do tego, co już mówiłam. Zatroszczyłam się o jej pogrzeb, dopilnowałam, by pochówek odbył się przystojnie i należycie, i sam tylko Pan Bóg wie, na jakie naraziłam się wydatki! A jak myślisz, ojcze, dama odpłaciła mi za moją dobroć? Otóż to... Miast spać spokojnie w wygodnej drewnianej trumience, jak przystało na potulnego i dobrego ducha, przyszła mnie dręczyć, mnie, com nigdy nie pragnęła jej więcej oglądać! Zaprawdę! zachciało się jej narobić o północy zamieszania w moim domu, zerkać przez dziurkę od klucza do pokoju córki i przestraszyć biedne dziecko do utraty zmysłów! Choć jest upiorem, to mogłaby przecie być trochę grzeczniejsza i nie wpadać do domu osoby, która tak mało gustuje w jej kompanii. Co do mnie zaś, to cała sprawa tak się ma: jeśli ona wejdzie do mego domu, ja muszę z niego wyjść, bo nie mogę ścierpieć takich gości... co to, to nie. Widzisz więc, wasza świętobliwość, że bez twojej pomocy jestem zrujnowana i zgubiona na zawsze. Będę musiała opuścić dom; gdy się rozgłosi, że ona w nim straszy, nikt go nie wynajmie, a wtedy w pięknym się znajdę położeniu. Cóż ze mnie za nieszczęsna niewiasta! Co mam robić? Co się ze mną stanie?

Tu gorzko zapłakała, załamała ręce i błagała, aby opat rzekł, co sądzi o jej przypadku.

– Zaprawdę, zacna niewiasto – odrzekł – trudno mi przyjdzie ulżyć twojej niedoli, nie wiedząc, o co ci idzie. Zapomniałaś rzec, co ci się przytrafiło i czego żądasz?

– Niech skonam! – zawołała Jacynta – ale wasza świętobliwość słusznie prawi. A więc, mówiąc pokrótce, tak się ma cała sprawa: Niedawno zmarła moja lokatorka, bardzo zacna kobieta – to już muszę przyznać, przynajmniej z tego, co o niej wiedziałam, choć nie za wiele było mi wiadomo. Nie dopuszczała mnie do komitywy, bo, prawdę mówiąc, skłonna była do zadzierania nosa i kiedykolwiek odważyłam się do niej przemówić, miała minę, która przyprowadzała mnie zawsze o mdłości. Niech Bóg przebaczy mi te słowa! Jednak chociaż była bardziej wyniosła niżli zasobna i skłonna do spozierania na mnie z góry (choć, jeśli mi wiadomo, pochodzę od zacnych rodziców, za to dałabym sobie głowę uciąć, bo jej ojciec był szewcem w Kordobie, a mój kapelusznikiem w Madrycie, tak, i do tego przednim kapelusznikiem, pozwól



sobie to, ojcze, powiedzieć), to mimo swej dumy była spokojną i grzeczną niewiastą, i nigdy nie życzyłam sobie mieć lepszego lokatora. Tym bardziej się więc dziwię, że nie śpi spokojnie w grobie; ale czy to można ufać ludziom na tym świecie! Co do mnie, to nigdy nie widziałam, żeby czyniła coś złego, z wyjątkiem ostatniego piątku przed śmiercią. Bo pewnie, bardzo się zgorszyła widząc, jak zjada skrzydełko kurczęcia. „Jakże to, panno Floro – powiadam – czy twoja pani jada w piątek mięso? No no, zobaczysz, co z tego wyniknie, a wtedy przypomnij sobie, że Jacynta cię ostrzegła”. Tak właśnie rzekłam słowo w słowo. Niestety! mogłam równie dobrze trzymać język za zębami. Nikt mnie nie posłuchał, a Flora, która jest nieco zuchwała i pyskata (tym gorzej dla niej, powiadam), rzekła mi, iż nie jest większym grzechem zjedzenie kurczęcia niż jajka, z którego się wylęгло. Co więcej, oświadczyła mi nawet, że gdyby jej pani dodała do tego plątek boczką, i tak nie znalazłaby się ani o cal bliżej potępienia. Boże, miej nas w opiece! Biedna, grzeszna, głupia dusza! Zapewniam waszą świątobliwość, że drżałam słysząc, jak wypowiada takie bluźnierstwa, i w każdej chwili oczekiwałam, iż ujrzę, jak ziemia rozwiera się i pochłaniają, kurczę i wszystko dokoła. Musisz bowiem wiedzieć, wielobny ojcze, że gdy to mówiła, trzymała w ręce półmisek, na którym leżał ten właśnie pieczony kurczak; smaczny był to ptaszek, muszę mu przyznać, w sam raz upieczony, bom sama pilnowała różną. Był to mały karmazynek mego własnego chowu, proszę waszej wielbności, a mięso to miał tak białe jak skorupka jajka, jak mi rzekła sama *donna* Elwira. „Jejmość Jacynto” – powiada bardzo łaskawie, bo, aby rzec prawdę, była dla mnie zawsze wielce uprzejma...

Tu Ambrozjo stracił cierpliwość. Gorąco pragnął dowiedzieć się o sprawie Jacynty, w którą zdała się być wmieszana Antonia, i niemal odchodził od zmysłów przysłuchując się bredniom starej nudziarki. Przerwał jej gadanie i oświadczył, iż jeśli natychmiast nie opowie do końca swojej historii, to on, Ambrozjo, opuści rozmównicę i niechże Jacynta sama radzi sobie ze swoimi kłopotami. Pogrożka osiągnęła żądany skutek. Jacynta przedstawiła swoją sprawę w tak niewielu słowach, jak tylko potrafiła, lecz relacja jej była wciąż tak rozwlekła, że Ambrozjo musiał uzbroić się w cierpliwość, by jakoś dotrzeć do końca opowieści.

– Tak więc, wasza wielbność – rzekła Jacynta po powiedzeniu o śmierci i pogrzebie Elwiry, ze wszystkimi towarzyszącymi owym wydarzeniom szczegółami – tak więc, wasza wielbność, posłyszawszy krzyk, odłożyłam robotę i chyżo podążyłam do komnatki *donny* Antonii. Nie zastałam tam nikogo i przeszłam do następnej izby; muszę przyznać, że byłam nieco zastrachana, gdy tam wchodziłam, bo to był właśnie ten pokój., gdzie sypiała *donna* Elwira. Weszłam tam przecie i jako żywo zobaczyłam panienkę, rozciągniętą jak długa na podłodze, zimną jak lód i białą jak płótno. Zadziwiłam się tym, jak się może wasza wielbność łąco domyślić, ale – biada mi! jakże zadrżałam, gdy zoczyłam tuż u mego boku wielką wysoką postać z głową sięgającą do sufitu. Muszę wyznać, że postać miała twarz *donny* Elwiry; z ust dobywały się kłęby ognia, ręce skute miała ciężkimi łańcuchami, które żałośnie grzechotały, a każdy włos na głowie upióra był wężem tak wielkim jak moja ręka. Przeraziło mnie to wszystko nie na żarty i zaczęłam odmawiać „Ave Maria”; ale upiór przerwał mi dobywając z siebie trzy głośne jęki i zawołał straszliwym głosem: „Och! to skrzydełko kurczęcia! jakże cierpi za nie moja biedna dusza!” Jak tylko to wyrzekła, ziemia rozwarła się i upiór zapadł się pod ziemię; usłyszałam huk grzmotu, po pokoju zaś rozszedł się zapach piekielnej siarki. Kiedym otrząsnęła się trochę z przerażenia, docuciłam się *donny* Antonii, a ta rzekła mi, iż krzyknęła na widok ducha swojej matki (i nie dziwota, że krzyknęła, zacna dusza, bo gdybym ja była na jej miejscu, wrzeszczałabym dziesięć razy głośniej). Od razu przyszło mi do głowy, że jeśli ktoś ma moc uspokojenia tego upióra, to tylko wasza wielbność. Tu więc podążyłam jak najspieszniej, by prosić o pokropienie święconą wodą mego domostwa i wpędzenie zjawy w Morze Czerwone.

Ambrozja zaskoczyła owa osobliwa opowieść, której nie mógł dać wiary.

- Czy *donna* Antonia także widziała upiora? – zapytał.
- Tak wyraźnie, jak ja cię oglądam, wielbny ojcze.

Ambrozjo zamilkł na chwilę. Nadarzała mu się więc sposobność uzyskania dostępu do Antonii, ale wahał się, czy z niej skorzystać. Reputacja, jaką cieszył się w Madrycie, była mu wciąż droga, a ponieważ utracił prawdziwą cnotę, wydawało się, iż jej pozór stał się dlań jeszcze cenniejszy. Świadom był, że publiczne złamanie ślubu nieopuszczania murów klasztoru wielce zaszkodzi opinii o mniemanej surowości jego żywota. Odwiedzając Elwirę, zawsze starał się ukryć oblicze przed oczyma domowników. Z wyjątkiem samej Elwiry, jej córki i wiernej Flory znany był w całym domu tylko pod imieniem ojca Jeremiasza. Wiedział, że gdyby przychylił się do prośby Jacynty i towarzyszył niewieście do jej domostwa, pogwałcenie jego zasady nie mogłoby utrzymać się w tajemnicy. Jednakże gorące pragnienie zobaczenia Antonii zwyciężyło. Żywił nawet nadzieję, że osobliwość tego przypadku usprawiedliwi go w oczach Madrytu. Ale jakiegokolwiek miałyby być konsekwencje jego czynu, postanowił skorzystać z okazji, jaką zgotował mu przypadek. Znaczące wejrzenie Matyldy utwierdziło go w tym postanowieniu.

– Dobra wiadomość – rzecze do Jacynty – to, co mi powiadasz, jest tak osobliwe, iż trudno uwierzyć mi twoim zapewnieniom. Przychylę się jednakowoż do twojej prośby. Jutro po jutrzni możesz oczekiwać mnie w swoim domu; zbadam wtedy, co mogę dla ciebie uczynić, i jeśli leży to w mojej mocy, uwolnię cię od owego niepożądanego gościa. A teraz idźże do domu i pokój niech będzie z tobą.

– Do domu! – zawołała Jacynta – ja mam iść do domu? Klnę się na Boga, ojcze, że nie pójdę!... Moja noga nie przestąpi tych progów, chyba że pod twoją opieką. Boże, dopomóż! Upiór może mnie spotkać na schodach i porwać ze sobą do piekieł! Och! gdybym to była przyjęła oświadczenia młodego Melchiora Basco! Miałabym wtedy kogoś, kto by mnie osłaniał, ale teraz jestem samotną niewiastą i spotykają mnie jeno same udręki i nieszczęścia. Dzięki Bogu, że jeszcze nie za późno na te żale. Jest jeszcze Simon Gonzales, który chce mnie brać w każdej chwili, i jeśli tylko dożyję do świtania, wydam się za niego bez namysłu. Będę mieć małżonka, to już rzecz postanowiona, bo teraz, kiedy upiór raz zagnieździł się w moim domu, śpiąc sama postradałabym zmysły ze strachu. Ale, na miłość boską, wielbny ojcze! Chodźże ze mną. Nie odetchnę, póki dom nie zostanie pokropiony, a z nim i ta biedna panienska. Luba dziewczeczka! w żalnym jest stanie. Zostawiłam ją w wielkich konwulsjach i wątpię, czy łatwo otrząśnie się z tego przestraszenia.

Mnich drgnął i spiesznie przerwał słowa Jacynty.

– W konwulsjach, powiadasz? Antonia w konwulsjach? Prowadź, zacna kobieto, idę z tobą natychmiast.

Jacynta nalegała, by się jeszcze wstrzymał i zaopatrzył w naczynie ze święconą wodą. Przychylił się do tej prośby. Mniemając, iż jest pod opieką opata bezpieczna, choćby ją oblegał cały zastęp upiorów, stara kobieta obsypała hojnie podziękowaniami mnicha i razem wyruszyli na ulicę Św. Jakuba.

Upiór wywarł na Antonii tak silne wrażenie, że pierwsze dwie czy trzy godziny lekarz utrzymywał, iż życie jej wisi na włosku. W końcu omdlenia stały się rzadsze i to skłoniło go do zmiany zdania. Rzekł, iż trzeba jedynie zapewnić Antonii zupełny spokój, i polecił, by przygotowano lekarstwo mające ukoić jej nerwy i umożliwić spoczynek, którego obecnie tak bardzo potrzebowała. Widok Ambrozja, który właśnie zjawił się z Jacyntą u jej wezglowia, wielce przyczynił się do uspokojenia wzburzonego ducha dziewczeczki. Elwira nie wytłumaczyła Antonii dostatecznie jasno, jakiego rodzaju były zamysły Ambrozja, by w pełni uświadomić nieznającej świata dziewczeczce, jak niebezpieczna była znajomość z mnichem. Teraz, gdy Antonia przejęła się grozą sceny, która niedawno się rozegrała, i gdy lękała się rozmyślać nad

przepowiednią upióra, umysł jej potrzebował wszelkiego wsparcia przyjaźni i religii, dziewczeczka spoglądała na opata jeszcze bardziej przychylnym okiem. Ta sama przeto wielka sympatia, jaką powzięła ku niemu przy pierwszym widzeniu, wciąż jeszcze tliła w jej sercu i Antonia wyobrażała sobie, choć sama nie wiedziała dlaczego, że jego obecność była dla niej puklerzem przed każdym niebezpieczeństwem, zniewagą i niedolą. Dziękowała mu wylewnie za odwiedziny i opowiedziała przygodę, która ją tak srodze przeraziła.

Opat starał się dodać Antonii otuchy i przekonać, że wszystko, co widziała, było tylko złudzeniem jej rozgorączkowanej wyobraźni. Samotność, w jakiej przepędziła wieczór, ponurość nocy, książka, którą czytała, pokój, w którym siedziała – wszystko sprzysięgło się, by stawić jej przed oczy takie widziadło. Wyśmiał wiarę w upiory i dla udowodnienia Antonii, jak fałszywe są takie wierzenia, uciekł się do silnych argumentów. Rozmowa z Ambrozjem ukoiliła i pokrzepiła nieco Antonię, ale jej nie przekonała. Nie mogła uwierzyć, by upiór był jedynie istotą zrodzoną w jej wyobraźni; zbyt dokładnie wrył się jej w pamięć każdy szczegół, by mogła pocieszać się teraz taką myślą. Upierała się wciąż przy twierdzeniu, że naprawdę widziała ducha matki, słyszała zapowiedź swojej śmierci i oświadczyła, że nigdy żywa nie podniesie się z tego łoża. Ambrozjo radził, by nie folgowała takim sentymentom, potem zaś opuścił pokój Antonii, przyobiecawszy, iż nazajutrz powtórnie ją odwiedzi. Antonia przyjęła owo zapewnienie z wszelkimi oznakami radości. Lecz mnich łącno postrzegł, iż nie był równie mile widziany przez służącą dziewczyny. Flora zawsze słuchała poleceń Elwiry i skrupulatnie je wypełniała. Niespokojnym okiem spoglądała na każdą okoliczność, która mogłaby w najmniejszym stopniu zaszkodzić panience, służyła jej bowiem od wielu lat. Pochodziła z Kuby, towarzyszyła Elwirze do Hiszpanii i darzyła młodą Antonię matczynym uczuciem. Podczas odwiedzin opata Flora nie ruszyła się z pokoju ani na krok; baczyła pilnie na każde jego słowo, na każde wejrzenie, na każdy ruch. Ambrozjo widział, iż Flora nie spuszczała zeń podejrzliwego oka, i świadom, iż jego zamysły nie ukryją się przed tak drobiazgową inspekcją, nieraz czuł się zmieszany i zbity z tropu. Zdawał sobie sprawę, iż Flora powątpiewa o czystości jego intencji i że nigdy nie zostawi go sam na sam z Antonią; widząc zaś swoją kochankę w obecności owej czujnej obserwatorki, wątpił o znalezieniu okazji dla zaspokojenia swej namiętności.

Gdy opuszczał dom, napotkała go Jacynta i prosiła, by odprawiono kilka mszy za spokój duszy Elwiry, która niechybnie cierpiała męki czyścicowe. Obiecał, iż nie zapomni ojej prośbie, a ponieważ podjął się czuwać przez całą następną noc w pokoju nawiedzanym przez ducha, zyskał sobie tym do reszty serce starej niewiasty. Jacynta nie mogła znaleźć słów stosownych do wyrażenia mu swojej wdzięczności i mnich odszedł obsypany gradem jej podziękowań.

Gdy wrócił do opactwa, był już pełny dzień. Zatrószył się najpierw o oznajmienie swojej powiernicy tego, co zaszło w domu Jacynty. Żywił do Antonii zbyt szczere uczucie, toteż poruszyła go przepowiednia ojej rychłej śmierci i drżał na myśl utraty tak lubego skarbu. Matylda uspokoiła go w tym względzie. Powtórzyła argumenty, których sam już wcześniej użył; oświadczyła, że Antonię zwiodły omamy wyobraźni, melancholia, która ją naszła w tej właśnie chwili, i przyrodzona skłonność umysłu dziewczyny do wiary w zabobony i inne cudowności. Co zaś do relacji Jacynty, to niedorzeczność owej opowieści całkowicie obalała jej prawdziwość. Opat uwierzył bez wahania, że Jacynta wymyśliła tę całą historię bądź pod wpływem strachu, bądź w nadziei, iż łatwiej skłoni opata, by przychylił się do jej prośby. Przewyciężywszy więc obawy mnicha, Matylda mówiła dalej:

– Zarówno w przepowiedni, jak i w historii pojawienia się upióra nie ma ani źdźbła prawdy, ale ty się musisz zatroszczyć, Ambrozjo, by przepowiednia się sprawdziła. Po upływie trzech dni Antonia musi umrzeć dla świata, lecz musi żyć dla ciebie. Jej obecna słabość i owo urojenie, które sobie wbiła do głowy, ułatwią wykonanie planu, nad którym długo

przemyślałam, lecz który byłby niewykonalny, gdybyś nie uzyskał dostępu do Antonii. Będzie twoją nie na jedną noc, ale na zawsze. Na nic się nie zda cała czujność jej duenny. Swobodnie będziesz rozkoszował się wdziękami twojej umiłowanej. Jeszcze dziś musisz wprowadzić w czyn mój zamysł, bo nie masz ani chwili do stracenia. Bratanek księcia Medina Celi zamierza poprosić o rękę Antonii; za parę dni dziewczyna przeprowadzi się do pałacu swego krewniaka, markiza de Las Cisternas, a tam będzie bezpieczna przed twoimi zakusami. Tak powiadomili mnie w czasie twojej nieobecności moi szpiedzy, którzy ustawicznie trudnią się znoszeniem mi wieści przydatnych dla ciebie. Słuchaj tedy, co ci rzeknę. Istnieje pewien sok, ekstrakt z niektórych ziół, znanych tylko nielicznym; sprowadza on na osobę, która go wypije, dokładne wyobrażenie śmierci. Trzeba ten sok podać Antonii; łatwo możesz znaleźć sposobność wiania kilku kropel tego eliksiru do jej lekarstwa. Napój sprawi, iż dziewczynka dostanie najpierw srogich, trwających godzinę konwulsji; potem krew stopniowo przestanie krążyć w jej żyłach, a serce kołatać. Śmiertelna bladeść pokryje jej lica i wszystkim zdawać się będzie, iż umarła. Nie ma przy sobie żadnych przyjaciół, możesz więc bez wzbudzenia podejrzeń zakrzętać się koło jej pogrzebu i sprawić, by pochowano ją w podziemiach klasztoru klarysek. Te odludne, a jednocześnie łatwo dostępne piwnice sprzyjać będą twoim zamysłom. Podaj Antonii usypiający napój jeszcze dzisiejszego wieczora; w czterdzieści osiem godzin po wypiciu go życie znów wstąpi w jej łono. Znajdzie się wtedy całkowicie w twojej mocy; postrzeże, iż na nic się nie zda jej opór, a konieczność zmusi ją do przyjęcia cię w swoje ramiona.

– Antonia znajdzie się w mojej mocy! – zawołał mnich. – Matyldo, jakże mnie radujesz. A więc osiągnę w końcu szczęśliwość i ta szczęśliwość będzie darem Matyldy, będzie darem przyjaźni! Uścisknę Antonię w moich ramionach z dala od wszystkich wścibskich oczu, od wszystkich utrapionych natrętów! Tchnę w jej serce całą mą duszę, wpoję jej pierwsze arkana sztuki rozkoszy i swobodnie lubować się będę bogactwem jej powabów! Czy taka błogość naprawdę będzie moim udziałem? Czy będę mógł popuścić wodze moim namiętnościom i zadowolić wszelkie swoje gwałtowne pragnienia? Ach, Matyldo! jakże zdołam ci wyrazić moją wdzięczność?

– Przez korzystanie z moich rad, Ambrozjo. Żyję tylko po to, aby ci się przysłużyć; twoje dobro i szczęście są również moimi. Niechże twoje ciało należy do Antonii, ja nadal roszczę sobie prawo do twojej przyjaźni i twego serca. Przysparzanie ci szczęścia stanowi teraz moją jedyną rozkosz. Jeśli moje wysiłki umożliwią ci zaspokojenie twoich pragnień, będę uważać, iż hojnie odplacono mi za moje trudy. Ale nie traćmy czasu. Likwor, o którym mówiłam, można znaleźć jedynie w apteczce klarysek. Spiesz więc do przeoryszy, zażądaj dopuszczenia cię do izby aptecznej, a nie spotkasz się z odmową. Na końcu wielkiej izby znajduje się komórka pełna butli z płynami rozmaitej barwy i o różnym działaniu. Butelka, o której mówię, stoi osobno, na trzeciej półce na lewo. Zawiera zielonkawy płyn; napełnij nim niepostrzeżenie mały flakonik, a wtedy Antonia należy do ciebie.

Mnich nie zawahał się przed przyjęciem owego niecnego projektu. Widok Antonii przydał nowego żaru jego żądzy, i bez tego nazbyt gwałtownej. Kiedy siedział u jej wezgłowia, przypadek odkrył mu niektóre z owych wdzięków, które dotąd zakryte były przed jego oczyma; uznał, iż są jeszcze doskonalsze, niżli odmalowała mu to uprzednio jego rozgorączkowana imaginacja. Czasami odsłaniało się białe i gładkie ramię Antonii, gdy poprawiała sobie poduszki, czasami jakiś nagły ruch odkrywał część jej krągłych piersi, lecz gdziekolwiek odsłaniały się świeże powaby dziewczynki, zaraz padał tam lubieżny wzrok mnicha. Z ledwością mógł się na tyle opanować, by ukryć swoje pożądanie przed Antonią i jej czułą duenną. Rozpalony wspomnieniem owych wdzięków, skwapliwie przystał na projekt Matyldy.

Natychmiast po zakończeniu jutrzni skierował kroki ku klasztorowi klarysek. Odwiedziny

Ambrozja wprawiły całe zgromadzenie św. Klary w niezwykle zdumienie. Przeorysza, świadoma zaszczytu, jaki spotkał jej klasztor dzięki temu, iż Ambrozjo złożył w nim pierwszy wizytę, starała się okazać wdzięczność przez świadczenie opatowi wszelkich możliwych atencji. Oprowadzono go po całym ogrodzie, pokazano wszystkie relikwie świętych i męczenników i traktowano z takim szacunkiem i honorami, jakby był samym papieżem. Ambrozjo, ze swej strony, przyjmował wdzięcznym sercem grzeczności dominy i starał się rozproszyć jej zdumienie z racji złamania swego postanowienia. Oświadczył, iż wielu jego penitentów nie mogło opuścić domu z powodu choroby. A byli to właśnie ludzie, którzy najbardziej potrzebowali jego rady i duchowej pociechy. Już nieraz próbowano perswazji w tej sprawie i choć zmiana postanowienia była całkowicie sprzeczna z jego pragnieniami, przekonał się, iż opuszczenie umiłowanego schronienia było nieodzowne dla służby bożej. Przeorysza przyklasnęła zapałowi, z jakim spełniał obowiązki swojego stanu, i miłosierdziu, jakie żywił dla ludzkości. Oświadczyła, iż cały Madryt szczęśliwy jest z posiadania człowieka tak doskonałego i o tak nienaganych obyczajach. Tak sobie gwarząc, zakonnik dotarł dokładnie tam, dokąd skierowała go Matyllda, i skorzystał ze sposobności, by niepostrzeżenie napełnić fiolkę usypiającym wywarem. Wziął następnie udział w posiłku przygotowanym dlań w refektarzu i, zadowolony z powodzenia owej wizyty, opuścił klasztor pozostawiając mniszki uradowane z zaszczytu, jaki im przypadł w udziale.

Doczekał wieczora i dopiero wtedy puścił się w drogę do domu Antonii. Jacynta powitała go z uniesieniem radości i błagała, by nie zapomniał o obietnicy spędzenia nocy w pokoju nawiedzonym przez ducha. Raz jeszcze jej to przyobiecał. Zastał Antonię w niezłym zdrowiu, lecz wciąż rozmyślającą o przepowiedni upióra. Flora nie ruszała się ani na krok od łóżka panienki i jeszcze wyraźniej niż uprzedniego wieczora dawała do zrozumienia, jak niemiłą była jej obecność Ambrozja. Udawał, iż tego nie dostrzega. W czasie rozmowy Ambrozja z Antonią nadszedł lekarz. Właśnie się ściemniało; proszono o światło i Flora musiała sama zejść na dół po świece. Ponieważ jednak pozostawiła w komnatce trzecią osobę i spodziewała się, iż będzie nieobecna tylko kilka minut, nie sądziła, by odejście z posterunku połączone było z jakimś ryzykiem. Skoro tylko służąca opuściła pokój, Ambrozjo zbliżył się do stołu, na którym znajdowało się lekarstwo Antonii. Stolik stał w wykuszu okna. Lekarz zasiadł w fotelu i jął zadawać pacjentce pytania, nie bacząc na poczynania mnicha. Ten skorzystał ze sposobności, wyciągnął fatalny flakonik i wpuścił zeń kilka kropel do buteleczki z medykamentem; potem spieszenie odszedł od stołu i wrócił na poprzednie miejsce. Kiedy Flora wróciła ze światłem, nic się pozornie nie zmieniło od jej odejścia.

Lekarz oznajmił, iż Antonia może następnego dnia bez szkody dla zdrowia opuścić pokój. Zalecił, by powtórnie zażyła to samo lekarstwo, które wczorajszej nocy sprowadziło na nią krzepiący sen. Flora odrzekła, iż napój stoi już gotowy na stoliku; doradził pacjentce, by go bezzwłocznie wypila, a potem opuścił izbę. Flora wlała lekarstwo do kubeczka i podała go Antonii. W tym momencie odstąpiła Ambrozja cała odwaga. Może Matyllda go oszukała? Może zazdrość podszeptała jej, by uśmierciła rywalkę podsuwając zamiast nasennego napoju truciznę? Podejrzenie to wydało się mnichowi tak słuszne, iż już miał powstrzymać Antonię od przełknięcia lekarstwa. Zbyt późno się zdecydował. Kubeczek był już pusty, przeto Antonia oddała go na powrót w ręce Flory. Nie sposób było temu zaradzić i Ambrozjo mógł tylko niecierpliwie wyglądać chwili, która miała zdecydować o życiu i śmierci Antonii i o jego radości lub rozpaczy.

Ponieważ obawiał się, iż dłuższa wizyta wzbudzi podejrzenia lub iż on sam zdradzi się ze swoim wewnętrznym podnieceniem, pożegnał swoją ofiarę i opuścił komnatkę. Antonia rozstała się z nim mniej serdecznie niżli poprzedniego wieczoru. Flora wytłumaczyła panience, że przyjmowanie odwiedzin Ambrozja było nieposłuszeństwem wobec rozkazów matki. Opisała

Antonii wzruszenie mnicha, kiedy wchodził do jej pokoiku, i ogień, który błyszczał w jego oczach, gdy się w nią wpatrywał. Uszło to uwagi Antonii, ale nie czujności jej służącej, która wyjawiała Antonii zamiary mnicha i ich prawdopodobne skutki w słowach znacznie dobitniejszych, choć mniej subtelnych niżli słowa Elwiry, czym przeraziła Antonię i przekonała ją, że należy traktować Ambrozja mniej poufale niż dotychczas. Myśl, iż winna być posłuszna woli matczynej, natychmiast przekonała Antonię. Choć bolała nad utratą towarzystwa Ambrozja, przemogła się na tyle, by przyjąć go z pewnym odcieniem rezerwy i chłodu. Z szacunkiem i wdzięcznością podziękowała mu za jego poprzednie wizyty, lecz nie prosiła, by je w przyszłości ponawiał. Mnichowi nie zależało już na dopuszczeniu go przed oblicze Antonii i pożegnał się z nią tak, jakby nie miał zamiaru powrócić. Brak sprzeciwu ze strony mnicha uczynił na Florze niemałe wrażenie, a będąc święcie przekonaną, że znajomość, której się tak lękała, skończy się, jąta powątpiewać w słuszność swoich podejrzeń. Sprowadzając Ambrozja ze światłem po schodach, dziękowała mu, iż starał się wypenić z umysłu Antonii zabobonny strach przed przepowiednią upiора; dodała widząc, jak się kłopotuje o pomyślność *donny* Antonii, że już ona sama, Flora, postara się powiadomić go o każdej zmianie w położeniu panienki. Ambrozjo odpowiadał Florze podniesionym głosem, mając nadzieję, iż dotrze on do uszu Jacyny. I tak się też stało. Gdy doszedł ze swą przewodniczką do końca schodów, gospodyni nie omieszkała się pojawić.

– Jakże? chyba nie odchodzisz już, wielebny ojczy? – zawołała. – Czyś mi nie obiecał, że będziesz nocować w izbie, w której straszysz? Jezu Chryste! Zostanę sam na sam z upiorem i nim nastanie ranek, w ładną wpadnę kabałę! Zrobiłam, com mogła, rzekłam, com umiała, a ten uparty kozioł, Simon Gonzales, nie chce mnie dzisiaj poślubić; mniemam, że nim nastanie jutrzejszy dzień, rozszarpia mnie na kawałki upiory, chochliki, diabły i nie wiedzieć co jeszcze! Na miłość boską, wasza świętobliwość, nie pozostawiaj mnie w tak żalosnym położeniu! Zaklinam cię na kolanach, byś dotrzymał słowa; czuwaj tej nocy w izbie nawiedzanej przez złego, wpędź upiора w Morze Czerwone, a Jacyna będzie o tobie pamiętać w swoich modlitwach do ostatniego dnia swego żywota.

Mnich pragnął i oczekiwał owej prośby, ale udawał, iż ma przeciw temu wiele obiekcji, i zdawało się, iż nie ma chęci dotrzymać słowa. Rzekł Jacyncie, iż upiór nie przebywał na tym miejscu, lecz w jej wyobraźni, i że nalegania, by przepędził całą noc w jej domu, są niedorzeczne i na nic się nie zdadzą. Jacyna była uparta; nie dawała się przekonać i tak nalegała na Ambrozja, by nie zostawił jej na pastwę szatana, że w końcu uległ jej prośbom. Cała ta demonstracja sprzeciwu nie zamydliła oczu Florze, która z natury była podejrzliwa. Przypuszczała, iż mnich odgrywa tu rolę całkowicie sprzeczną ze swoimi prawdziwymi chęciami, i że nie życzył sobie niczego więcej, jak pozostania na miejscu. Posunęła się nawet tak daleko, iż sądziła, jakoby Jacyna działała w interesie mnicha, i biedną starą kobietę Flora natychmiast uznała za zwyczajną rajfurkę. Gdy Flora pochlebiała sobie, iż dzięki swej przenikliwości odkryła spisek na dobrą sławę panienki, postanowiła sobie w duchu czym prędzej go udaremnić.

– A więc – rzekła do opata spoglądając nań na poły drwiąco i na poły z oburzeniem – a więc masz, ojczy, zamiar pozostać tu na noc! Zróbże to w imię boże! Nikt ci w tym nie przeszkodzi. Czuwaj i wyglądam nadejścia upiора. Ja także będę czuwała i daj Bóg, bym nie ujrzała niczego gorszego! Nie opuszczę wezgłowia *donny* Antonii w czasie tej przeklętej nocy. Niech tylko zobacze, że ktoś ośmiela się wejść do pokoju panienki, to czy to będzie jakiś śmiertelnik, czy zjawa, upiór, diabeł, czy zwyczajny człowiek, ręczę, iż gorzko żałować będzie, że kiedykolwiek przekroczył ten próg.

Aluzja była dość przejrzysta i Ambrozjo zrozumiał jej znaczenie. Lecz miast pokazać, iż przejrzał, o co go Flora posądza, odrzekł jej dobrotliwie, że pochwała ostrożność duenny i radzi

jej, by wytrwała w swoim zamiarze. Zapewniła go solennie, iż może być pewny, że tak właśnie uczyni. Jacynta poprowadziła Ambrozja do izby, w której pojawił się upiór, a Flora wróciła do swojej pani.

Jacynta drżącą dłonią otworzyła drzwi wiodące do nawiedzanego przez ducha pokoju; odważyła się nawet zerknąć do komnaty, ale wszystkie skarby Indii nie skusiłyby jej do przekroczenia progu. Podała mnichowi świeczkę, życzyła mu, by cało wyszedł z tej przygody, i spiesznie odeszła. Ambrozjo wszedł do komnaty. Zarygłował drzwi – umieścił światło na stole i usiadł w krześle, w którym ubiegłej nocy spoczywała Antonia. Mimo zapewnień Matyldy, iż upiór był tylko zwyczajnym tworem wyobraźni, umysł Ambrozja wciąż pozostawał pod działaniem tajemnej grozy. Próżno starał się z niej otrząsnąć. Cisza nocy, opowieść o duchu, komnata wyłożona ciemną dębową boazerią, wspomnienie o zamordowanej Elwirze i wątpliwości Ambrozja co do działania kropli – które podał Antonii – wszystko to sprawiło, iż obecna sytuacja wprawiła go w niepokój. Znacznie mniej jednak myślał o upiorze niż o truciznie. Jeśli spowodował śmierć jedynej istoty, która mogłaby umilić mu życie, jeśli przepowiednia ducha okaże się prawdziwa, jeśli za trzy dni nie stanie Antonii, a on podle przyczynił się do jej zgonu... Przypuszczenie było nazbyt straszliwe, by nad nim dłużej medytować. Odpędzał od siebie owe okropne urojenia, które mimo to go nachodziły. Matyllda zapewniła Ambrozja, iż środek nasenny podziała bardzo raptownie. Nadśłuchiwał ze strachem, ale wyczekująco, kiedy dojdą go z sąsiedniej izby odgłosy jakiegoś zamieszania. Dookoła panował zupełny spokój. Wywnioskował, iż krople jeszcze nie zaczęły działać. Prowadził grę o wielką stawkę i starczyło jednej minuty, by zdecydować o szczęściu lub niedoli Ambrozja. Matyllda pouczała go, jak miał się upewnić, iż życie nie uszło z Antonii na zawsze; od tej próby zawisły wszystkie jego nadzieje. Niecierpliwość Ambrozja wzmagająca się z każdą chwilą; strach stawał się coraz bardziej przejmujący, a niepokój dotkliwszy. Nie mogąc znieść takiego stanu niepewności, starał się rozproszyć go, zastępując swoje myśli cudzymi. Książki, jak się rzekło uprzednio, ustawione były na półkach w pobliżu stołu; stał on dokładnie naprzeciw łoża, umieszczonego w alkowie niedaleko od drzwi. Ambrozjo wziął jeden z tomików do ręki i zasiadł przy stole, ale nie mógł skupić się nad tym, co czytał. Oczyma wyobraźni widział wciąż obraz zarówno Antonii, jak i zamordowanej Elwiry. Nadal zabawiał się czytaniem, choć tylko jego wzrok ślizgał się po literach, podczas gdy umysł nieświadom był ich znaczenia.

Tak trawił czas, gdy nagle uroiło mu się, iż posłyszał stąpienie. Odwrócił głowę, ale nie dostrzegł nikogo. Zabrał się na powrót do książki, lecz za kilka minut znowu usłyszał ten sam dźwięk, a potem coś w pobliżu zaszeleściło. Zerwał się z krzesła i rozglądając dookoła spostrzegł na pół otwarte drzwi wiodące do alkierzyka. Kiedy po raz pierwszy wszedł do komnaty, próbował je otworzyć, lecz przekonał się, iż były zaryglowane od wewnątrz.

– Jakże to? – rzekł sam do siebie – w jaki sposób odryglowano te drzwiczki?

Zbliżył się ku nim, pchnął i zajrzał do alkierza: był pusty. Przystanął niezdecydowany, a wtedy zdało mu się, iż dobiegł go z sąsiedniej komnaty jakiś jęk; za ścianą znajdował się pokój Antonii i Ambrozjo przypuszczał, że krople zaczynają działać. Lecz gdy jął się uważniej przysłuchiwać, okazało się, iż dźwięki te wydobywały się z ust Jacynty, która zasnęła przy łożu panienki i smacznie chrapała. Ambrozjo cofnął się i wrócił do pokoju, dumając nad nagłym otwarciem się drzwi alkierzyka, co próżno starał się sobie wytłumaczyć.

W milczeniu przechadzał się tam i na powrót po komnacie. W końcu zatrzymał się i uwagę jego przyciągnęło łoże Elwiry. Zasłona alkowy była tylko na pół zaciągnięta. Z piersi Ambrozja uleciało mimowolne westchnienie.

– To łoże – rzekł cichym głosem – to łoże było ongiś postaniem Elwiry. Tu spędziła wiele spokojnych nocy, albowiem była osobą zacną i niewinną. Jakże smacznie musiała sypiać,

a przecie teraz śpi jeszcze smaczniej! Ale czy naprawdę śpi? Boże, spraw, by mogła zaznać prawdziwego spoczynku. A gdyby tak powstała z grobu o tej smutnej godzinie samotności! A gdyby tak złamała grobowe pieczęcie i gniewnie przesunęła się przed mymi osłupiałymi z przerażenia oczyma? O! nigdy nie zdołałbym znieść tego widoku. Znowu ujrzeć jej postać wykrzywioną mękami konania, jej krwią nabiegłe oczy, jej siną twarz, jej oczy wysadzone bólem z orbit... posłyszeć, jak mówi o przyszłej karze, grozi mi pomstą niebios, obciąża zbrodniami, którym popełnił, i tymi, które jeszcze popełnię w przyszłości... Wielki Boże! a to co?

Kiedy wypowiadał te słowa, oczy Ambrozja, utkwione w łożu, dostrzegły, jak zasłona poruszyła się lekko w obie strony. Przyszedł mu na myśl upiór i wyobraził sobie nieomal, iż widzi zjawę Elwiry, spoczywającą na łożu. Starczyło chwili zastanowienia, by się uspokoić.

To tylko podmuch wiatru – pomyślał odzyskując pewność siebie.

Znowu przechadzał się po pokoju, lecz pod wpływem lęku i niepokoju wciąż mimowolnie zwracał oczy w stronę alkowy. Przybliżył się ku niej z ociąganiem. Zatrzymał się przed wejściem na kilka schodków, które do niej wiodły. Trzy razy wyciągał rękę, by uchylić zasłony, i tyleż razy ją cofnął.

– Nedorzeczne strachy! – zawołał w końcu zawstydzony własną słabością. Spiesznie wbiegł po schodkach, a wtedy jakaś postać w bieli porwała się z alkowy i przemknąwszy koło Ambrozja, chyżo podążyła w kierunku alkierza. Szaleństwo i rozpacz przydały mnichowi odwagi, której dotąd mu brakowało. W pogoni za zjawą zbiegł po schodkach i starał się ją pochwycić.

– Czyś upiorem, czy diabłem, i tak cię mam! – krzyknął i chwycił ducha za ramię.

– Och! Jezu Chryste! – zawołał piskliwie głos – aleś mnie, świętobliwy ojcze, ścisnął!

Klnę się, że nie chciałam nic złego!

Zarówno te słowa, jak i ramię, które trzymał w dłoni, przekonały mnicha, że domniemany duch był osobą z krwi i kości. Przyciągnął intruza do stołu i podnosząc świeczkę ujrzał oblicze... panny Flory! Rozgniewany, iż tak błaha przyczyna wprawiała go w tak niedorzeczny popłoch, zapytał surowo, co za sprawa przywiodła ją do tej komnaty. Flora zawstydzona, iż ją przychwycono, i przestraszona wyglądem Ambrozja, padła na kolana i obiecała wyjawić całą prawdę.

– Oświadczam, wielbny ojcze – rzekła – iż szczerze jestem strapiona, żem ci przeszkodziła; zgoła nie miałam takich intencji. Chciałam wyjść z pokoju równie cicho, jak do niego weszłam, i gdybyś nie dowiedział się, że cię śledziłam, to pojmujesz, że byłoby to, jakbym cię wcale nie śledziła. Źle bardzo zrobiłam szpiegując cię, to pewne, nie mogę temu zaprzeczyć. Ale, mój Boże! jakże biedna, słaba niewiasta, wasza wielbność, może oprzeć się ciekawości! Tak okrutnie chciałam dowiedzieć się, co tu robisz, że nie mogłam wytrzymać i chciałam spróbować, czy uda mi się zerknąć trochę do środka tak, aby nikt o tym nie wiedział. Umyśliwszy sobie to, zostawiłam Jacyntę przy łożu panienki i odważyłam się wślizgnąć do alkierzyka. Nie chcąc ci przeszkadzać, zadowoliliam się najsampierw przytknięciem oka do dziurki od klucza, ale że tym sposobem nic nie mogłam dojrzeć, odsunęłam rygiel i kiedyś był zwrócony plecami do alkowy, przemknęłam się do niej cichutko i bez hałasu. Leżałam sobie wygodnie za kotarą, póki mnie wasza wielbność nie odnalazła i nie pochwyciła, nim miałam czas na powrót dolecieć do drzwi alkierza. Zapewniam cię, świętobliwy ojcze, że to szczerą prawdą, i po stokroć proszę o wybaczenie mi tego zuchwalstwa.

Słuchając tych słów mnich miał dość czasu, by odzyskać panowanie nad sobą; zadowolili się udzieleniem skruszonemu szpiegowi napomnienia, prawiąc o niebezpieczeństwie folgowania ciekawości i o podłości uczynku, na którym Flora została właśnie przychwycona. Flora oświadczyła, że w pełni zdaje sobie sprawę ze swego złego postępu, obiecała, iż nigdy się on



nie powtórzy, i pełna pokory i skruchy wycofała się ku komnatce Antonii, gdy nagle otworzyły się drzwi alkierza i do pokoju wpadła blada i zdyszana Jacynta.

– Och! ojcie! ojcie! – zawołała głosem niemal całkiem zdławionym strachem – cóż mam robić! cóż robić! Oto popadliśmy w nową kabałę! Nic, tylko same nieszczęścia! Nic, tylko same nieboszczyki i konający! Och! przyjdzie mi chyba zwariować.

– Mówże, mów! – zawołali Flora i mnich jednocześnie. – Co się dzieje?

– Och! znowu będę miała w domu nieboszczyka! Jakaś czarownica niechybnie rzuciła urok na mój dom, na mnie i na wszystkich dookoła mnie! Biedna *donna* Antonia! Właśnie naszły ją takie same konwulsje, jakie zabiły jej matkę! Upiór rzekł szczerą prawdę!

Flora pobiegła, a raczej pomknęła do komnatki panienki; Ambrozjo podążył w jej ślady z sercem drżącym nadzieją i lękiem. Znaleźli Antonię w stanie opisanym przez Jacyntę, wstrząsaną straszliwymi konwulsjami, w których próżno starali się jej ulżyć. Mnich spiesznie wysłał Jacyntę do opactwa i zlecił jej, by natychmiast przywiodła ze sobą ojca Pablosa.

– Pójdę po niego – rzekła Jacynta – i powiem mu, aby tu przyszedł! Ale żebym go miała sama przyprowadzić... co to, to nie. Pewną jestem, że dom jest nawiedzony i spłonę w nim, jeśli kiedykolwiek moja noga tu postanie.

Z tym postanowieniem wyruszyła do klasztoru i oznajmiła ojcu Pablosowi rozkaz opata. Potem zaś udała się do domostwa starego Simona Gonzalesa, którego postanowiła nigdy nie opuszczać, póki nie uczyni go swoim małżonkiem, a jego domu swoim.

Skoro tylko ojciec Pablos ujrzał Antonię, natychmiast oznajmił, że nic jej nie uleczy. Konwulsje trwały godzinę; w tym czasie męki Antonii nie dorównywały cierpieniom, jakie jęki dziewczeczki zadawały sercu opata. Każdy przeszywający ją ból zdawał mu się sztyletem wbijanym w jego własne serce i po tysiącokroć przeklinał sam siebie, iż uciekł się do tak barbarzyńskiego sposobu. Po upływie godziny ataki stały się rzadsze, Antonia zaś spokojniejsza. Czuła, iż nadchodzi jej kres i że nic nie zdoła jej uratować.

– Szlachetny Ambrozjo! – rzekła słabym głosem, przyciskając jednocześnie jego rękę do ust – mogę teraz powiedzieć ci, jak wdzięczne jest moje serce za twoją dobroć i troskliwość. Spoczywam już na łożu śmierci! Jeszcze godzina, a już mnie nie będzie. Dlatego mogę wyznać otwarcie, iż bardzo bolałam nad wyrzeczeniem się twojego towarzystwa, ale taka była wola matki i nie ośmieliłam się jej sprzeciwić. Nie buntuję się przeciw mojej śmierci: niewielu opłakiwać będzie moje odejście i również niewielu opłakiwać będę odchodząc. Pośród owych nielicznych nikogo bardziej nie opłakuję niżli ciebie, lecz mam nadzieję, iż się znowu spotkamy, mój ojcie! Pewnego dnia spotkamy się w niebie; tam odnowimy naszą przyjaźń, a moja matka spoglądać na nią będzie z ukontentowaniem.

Umilkła na chwilę. Opat zadrżał, gdy wspomniała o Elwirze. Antonia przypisała owo wzruszenie żałości i trosce o nią samą.

– Trapisz się o mnie, ojcie – ciągnęła dalej. – Ach! nie wzdychaj nad tą stratą. Nie mam na sumieniu żadnych zbrodni, za które musiałabym żałować, a przynajmniej o żadnej nie wiem i oddaję mego ducha Temu, od którego go otrzymałam. Mam tylko kilka prośb i pozwól mi żywić nadzieję, że te nieliczne życzenia zostaną spełnione. Niech odprawi się uroczysta msza za spokój mojej duszy i druga za duszę mojej ukochanej rodzicielki, choć nie dlatego, bym wątpiła, iż nie zaznała spoczynku w mogile. Jestem teraz przekonana, że coś omamiło mi rozum, a fałszywość przepowiedni upióra dostatecznie potwierdza moje urojenia. Ale każdy ma swoje ułomności i moja matka mogła mieć swoje, choć nic o nich nie widziałam. Dlatego życzę sobie, by odprawiono msze za spokój jej duszy, wydatek zaś niech pokryją te niewielkie zasoby, jakie posiadam. Jeśli coś jeszcze z nich zostanie, resztę przekazuję mojej ciotce Leonelli. Gdy umrę, powiadomcie markiza de Las Cisternas, że nieszczęśliwa rodzina jego brata nie będzie się mu już

naprzykrzać. Ale rozczarowanie sprawia, iż stają się niesprawiedliwa: powiadają, że jest chory, i może, gdyby to leżało w jego mocy, zamierzał się mną zaopiekować. Powiedz mu więc, ojcze, tylko tyle, że umarłam, a jeśli czymkolwiek wobec mnie zawinił, przebaczam mu z całego serca. Teraz nie mam już o co więcej prosić prócz twoich modlitw. Obiecuj, że pamiętać będziesz o moich prośbach, a rozstanę się z życiem bez bólu i bez żalu.

Ambrozjo obiecał, iż przychylił się do jej życzeń, i przystąpił do udzielenia Antonii rozgrzeszenia. Każda chwila zwiastowała zbliżanie się fatalnego końca. Antonię zawodził wzrok, serce biło leniwie, palce sztywniały i chłodziły; w końcu o drugiej nad ranem skonała, nie wydawszy ani jednego westchnienia. Gdy tylko przestała oddychać, ojciec Pablos odszedł, szczerze poruszony tą żalną sceną. Flora, ze swej strony, dała folę najbardziej nieopanowanej rozpacz. Ambrozjo troszczył się o coś zgoła innego: szukał pulsu, którego bicie, wedle zapewnienia Matyldy, miało dowieść, iż śmierć Antonii była tylko chwilowa. Znalazł tętno – przyłożył doń palce – pulsowało pod jego dłonią, i serce wezbrało mu radosnym uniesieniem. Starannie jednak ukrył zadowolenie z powodzenia swego zamysłu. Przybrał melancholijną minę i, zwracając się do Flory, ostrzegał ją przed poddawaniem się bezowocnej rozpacz. Łzy Flory były nazbyt szczere, by mogła usłuchać zaleceń mnicha, i nadal nieprzerwanie szlochała. Mnich odszedł obiecawszy wprzód, iż sam wyda polecenia dotyczące pogrzebu, który, jak chytrze powiedział, winien z uwagi na Jacyntę odbyć się jak najspieszniej. Flora, pogrążona w smutku po śmierci umiłowanej panienki, ledwo słuchała jego słów. Ambrozjo pospieszył zająć się pogrzebem. Zyskał od przeoryszy zezwolenie na pochowanie zwłok w grobowcu klarysek i w piątek rano, po odprawieniu wszystkich stosownych i zwyczajnych w takich przypadkach ceremonii, ciało Antonii złożono do grobu.

W milczeniu przechadzał się tam i na powrót po komnacie. W końcu zatrzymał się i uwagę jego przyciągnęło łóżko Elwiry. Zastłona alkowy była tylko na pół zaciągnięta. Z piersi Ambrozja uleciało mimowolne westchnienie.

– To łóżko – rzekł cichym głosem – to łóżko było ongiś postaniem Elwiry. Tu spędziła wiele spokojnych nocy, albowiem była osobą zącną i niewinną. Jakże smacznie musiała sypiać, a przecie teraz śpi jeszcze smaczniej! Ale czy naprawdę śpi? Boże, spraw, by mogła zaznać prawdziwego spoczynku. A gdyby tak powstała z grobu o tej smutnej godzinie samotności! A gdyby tak złamała grobowe pieczęcie i gniewnie przesunęła się przed moimi osłupiałymi z przerażenia oczyma? O! nigdy nie zdołałbym znieść tego widoku. Znowu ujrzeć jej postać wykrzywioną mękami konania, jej krwią nabiegłe oczy, jej siną twarz, jej oczy wysadzone bólem z orbit... postyszeć, jak mówi o przyszłej karze, grozi mi pomstą niebios, obciąża zbrodniami, którem popełnił, i tymi, które jeszcze popełnię w przyszłości... Wielki Boże! a to co? milkła na chwilę. Opat zdrzął, gdy wspomniała o Elwirze. Antonia przypisała owo wzruszenie żalości i trosce o nią samą.

Trapisz się o mnie, ojcze – ciągnęła dalej. – Ach! nie wzdychaj nad tą stratą. Nie mam na sumieniu żadnych zbrodni, za które musiałabym żałować, a przynajmniej o żadnej nie wiem i oddaję mego ducha Temu, od którego go otrzymałam. Mam tylko kilka próśb i pozwól mi żywić nadzieję, że te nieliczne życzenia zostaną spełnione. Niech odprawi się uroczysta msza za spokój mojej duszy i druga za duszę mojej ukochanej rodzicielki, choć nie dlatego, bym wątpiła, iż nie zaznała spoczynku w mogile. Jestem teraz przekonana, że coś omamiło mi rozum, a fałszywość przepowiedni upiora dostatecznie potwierdza moje urojenia. Ale każdy ma swoje ułomności i moja matka mogła mieć swoje, choć nic o nich nie widziałam. Dlatego życzę sobie, by odprawiono msze za spokój jej duszy, wydatek zaś niech pokryją te niewielkie zasoby, jakie posiadam. Jeśli coś jeszcze z nich zostanie, resztę przekazuję mojej ciotce Leonelli. Gdy umrę, powiadomcie markiza de Las Cisternas, że nieszczęśliwa rodzina jego brata nie będzie się mu już

naprzykrzać. Ale rozczarowanie sprawia, iż stają się niesprawiedliwa: powiadają, że jest chory, i może, gdyby to leżało w jego mocy, zamierzał się mną zaopiekować. Powiedz mu więc, ojczy, tylko tyle, że umarłam, a jeśli czymkolwiek wobec mnie zawinił, przebaczam mu z całego serca. Teraz nie mam już o co więcej prosić prócz twoich modlitw. Obiecuj, że pamiętać będziesz o moich prośbach, a rozstanę się z życiem bez bólu i bez żalu. Ambrozjo obiecał, iż przychyli się do jej życzeń, i przystąpił do udzielenia Antonii rozgrzeszenia. Każda chwila zwiastowała zbliżanie się fatalnego końca. Antonię zawodził wzrok, serce biło leniwie, palce sztywniały i chłody; w końcu o drugiej nad ranem skończyła, nie wydawszy ani jednego westchnienia. Gdy tylko przestała oddychać, ojciec Pablos odszedł, szczerze poruszony tą żalną sceną. Flora, ze swej strony, dała folę najbardziej nieopanowanej rozpacz. Ambrozjo troszczył się o coś zgoła innego: szukał pulsu, którego bicie, wedle zapewnienia Matyldy, miało dowieść, iż śmierć Antonii była tylko chwilowa. Znalazł tętno – przyłożył doń palce – pulsowało pod jego dłonią, i serce weszło mu radosnym uniesieniem. Starannie jednak ukrył zadowolenie z powodzenia swego zamysłu. Przybrał melancholijną minę i, zwracając się do Flory, ostrzegał ją przed poddawaniem się bezowocnej rozpacz. Łzy Flory były nazbyt szczere, by mogła usłuchać zaleceń mnicha, i nadal nieprzerwanie szlochała. Mnich odszedł obiecawszy wprzód, iż sam wyda polecenia dotyczące pogrzebu, który, jak chytrze powiedział, winien z uwagi na Jacyntę odbyć się jak najspieszniej. Flora, pogrążona w smutku po śmierci umiłowanej panienci, ledwo słuchała jego słów. Ambrozjo pospieszył zająć się pogrzebem. Zyskał od przeoryszy zezwolenie na pochowanie zwłok w grobowcu klarysek i w piątek rano, po odprawieniu wszystkich stosownych i zwyczajnych w takich przypadkach ceremonii, ciało Antonii złożono do grobu.

Tego samego dnia przybyła do Madrytu Leonella z zamiarem przedstawienia Elwirze swojego młodego małżonka. Rozmaite okoliczności zmusiły ją do odłożenia podróży z wtorku na piątek, nie miała przeto sposobności powiadomienia siostry o zmianie swoich projektów. Ponieważ serce Leonelli było naprawdę tkliwe i zawsze żywiła do Elwiry i jej córki szczere przywiązanie, zdumienie jej, gdy dowiedziała się o ich nagłym i żalnym zgonie, było równie wielkie, jak ból i uczucie gorzkiego zawodu. Ambrozjo powiadomił ją przez posłańca o spadku po Antonii; na prośbę Leonelli obiecał przesłać jej resztę sumki po spłaceniu drobnych długów Elwiry. Gdy to załatwiono, nic już nie zatrzymywało Leonelli w Madrycie i jak najspieszniej wróciła do Kordoby.

<sup>[1]</sup> Caro sposo (włos.) – drogi małżonek.

<sup>[2]</sup> Wolny przekład słynnej ballady Lewisa „Alonzo the Brave and Fair Imogine” przez J.U. Niemcewicza.

<sup>[3]</sup> Nie podobna ustalić, na podstawie jakiego wierzenia czy zabobonu pragnie Jacynta, by zatopić upiora właśnie w Morzu Czerwonym.

<sup>[4]</sup> Św. Jakub w Kompostelli (Santiago de Compostella) jest miastem w Hiszpanii, w którym wg tradycji pochowany został św. Jakub Apostoł. Sławne miejsce pielgrzymek.

## Rozdział X

*O! gdyby mógł czcić pod tym niebem cokolwiek,  
Co oglądała ziemia lub może podszeptać wyobraźnia,  
Twój ołtarz, o święta Wolności, powstałby  
Zbudowany nieprzekupną i niepodtą ręką,  
Otoczony wonną murawą i najpiękniejszym polnym kwieciem,  
Jakie kiedykolwiek zdobyły brzegi ruczaju  
lub napępniały wonią letni dzień.*

William Cowper, „Charity”, 254-59.



Lorenzo, pochłonięty bez reszty myślą wydania w ręce sprawiedliwości morderców siostry, nie wiedział, jak srogo ucierpiały jego interesy w innej dziedzinie. Jakiśmy już rzekli poprzednio, powrócił do Madrytu dopiero wieczorem dnia, w którym odbył się pogrzeb Antonii. Oznajmienie wielkiemu inkwizytorowi rozkazu księcia kardynała (ceremonia, której nie można było zaniechać, gdy miano publicznie uwięzić członka Kościoła), zwierzenie się stryjowi i don Ramirezowi ze swoich projektów oraz zebranie zastępu zbrojnych ludzi, który mógłby skutecznie przeciwstawić się ewentualnemu oporowi – wszystko to przysporzyło mu tyle trudu, że całkowicie zapełnione miał nieliczne godziny poprzedzające północ. Nie było tedy sposobności zapytania o kochankę i nic nie wiedział ani o śmierci Antonii, ani o zgonie jej matki.

Niebezpieczeństwo wciąż zagrażało życiu markiza; gorączkowe majaki ustąpiły, ale Rajmond był w stanie takiego wyczerpania, iż lekarze nie chcieli orzec, jaki może być jeszcze skutek owego osłabienia. Sam Rajmond niczego sobie goręcej nie życzył, jak zejścia za Agnes do

grobu. Życie obrzydło mu do cna; nie widział na świecie nic godnego starań i zabiegów i wierzył, iż skoro tylko dowie się, że Agnes została pomszczona, on sam też wyzionie ducha.

Lorenzo, któremu towarzyszyły żarliwie modły Rajmonda o powodzenie całego przedsięwzięcia, znalazł się pod bramami klasztoru klarysek na godzinę przed czasem oznaczonym przez matkę Urszulę. Towarzyszył mu stryj, don Ramirez de Mello, i zastęp dobranych łuczników. Chociaż przybyli sporą gromadą, nikt się temu nie dziwił; przed drzwiami klasztoru zebrała się już ogromna ciżba, żądna ujżenia procesji. Wszyscy uważali za rzecz oczywistą, że Lorenzo i jego ludzie przybyli tu w tym samym celu. Rozpoznavszy księcia Medinę, tłum cofnął się i zrobił przejście, by świta księcia mogła ruszyć naprzód. Lorenzo stanął naprzeciw głównej bramy, przez którą miała przechodzić procesja. Pewny, iż przeorysza mu nie umknie, niecierpliwie czekał na jej pojawienie się, co miało nastąpić dokładnie o północy.

Mniszki zajęte były nabożnymi obrzędami ku czci świętej Klary, do których nikt z profanów nie bywał nigdy dopuszczany. Okna kaplicy gorzały światłem. Ludzie stojący na zewnątrz słyszeli, jak w ciszy nocnej niosą się dźwięczne tony organów, którym towarzyszy chór niewieścich głosów. Pienia powoli zamilkły, a po nich ozwał się jeden melodyjny głos; śpiewała ta mniszka, która w czasie procesji miała wyobrażać postać świętej Klary. Wybierano zawsze do owej roli najpiękniejsze dziewczę Madrytu, dziewczeczka zaś, na którą padł wybór, poczytywała to sobie za największy zaszczyt. Słuchając owej melodii, której nuta zdała się jeszcze słodsza dzięki oddaleni, wszyscy słuchacze pogrążyli się w głębokiej kontemplacji. Tłum stał w zupełnym milczeniu i wszystkie serca przepełniły się nabożną czcią dla religii – wszystkie prócz serca Lorenza. Świadom był, że pośród tych, które wznosiły tak wdzięczne pienia na chwałę Pana, znajdowały się i takie, które pod płaszczykiem pobożności ukrywały najohydniejsze występki, toteż hymny mniszek wzbudziły w nim obrzydzenie dla ich hipokryzji. Lorenzo od dawna spoglądał ze wzgardą i dezaprobatą na zabobon, który władał życiem mieszkańców Madrytu. Zdrowy rozsądek ukazywał mu fortele mnichów, prostacką niedorzeczność ich cudów i domniemanych relikwii. Rumienił się spoglądając, jak jego rodacy stają się ofiarami bezsensownej ułudy, i tylko wzdychał do sposobności wyzwolenia ich z tych mnisich więzów. Sposobność, której tak długo na próżno wyglądał, wreszcie mu się nadarzyła. Postanowił, iż nie da jej umknąć, i w jaskrawych kolorach przedstawi ludowi ogrom nadużyć, które aż nazbyt często praktykowane były w klasztorach, oraz udowodni, jak bezkrytycznie darzyli powszechnym szacunkiem wszystkich przybranych w habity. Wzdychał do chwili, kiedy przeznaczone mu będzie zerwać maskę z oblicza obłudników i przekonać ziomków, że świątobliwa osoba nie zawsze ma cnotliwe serce.

Nabożeństwo trwało aż do północy, a jego zakończenie oznajmiły dzwony klasztoru. Gdy zaczęły bić, muzyka ustała, głosy powoli zamilkły i światła w oknach kaplicy rychło zniknęły. Lorenzo spostrzegł, iż znajduje się o krok od wykonania swego zamysłu, i serce waliło mu jak młotem. Ze względu na zakorzeniony wśród ludu zabobon przygotował się na opór ze strony ciżby; ufał przecie, iż matka Urszula dostarczy dobrych argumentów na usprawiedliwienie jego postępków. Rozporządzał siłą zdolną odeprzeć pierwszy odruch ciżby, nim ta wystucha jego wywodów; obawiał się jedynie, by domina, powziąwszy podejrzenie co do jego zamiarów, nie pozbyła się chytrze tej właśnie mniszki, od której zeznań zawisło powodzenie całej sprawy. Jeśli matka Urszula się nie pojawi, będzie mógł oskarżyć przeoryszkę tylko na podstawie domysłów; owa refleksja wzbudziła w nim pewne obawy o powodzenie całej sprawy. Spokój, który zdawał się panować w całym klasztorze, nieco go podniósł na duchu; wciąż jednak żarliwie oczekiwał chwili, w której obecność sprzymierzeńca obali jego wątpliwości.

Klasztor kapucynów dzielił od klasztoru klarysek tylko ogród i cmentarz. Mnisi zostali zaproszeni do wzięcia udziału w procesji. Właśnie nadeszli; kroczyli parami, z zapalonymi

pochodniami w dłoniach, nucąc hymny ku czci świętej Klary. Na czele pochodu szedł ojciec Pablos, albowiem opat wymówił się od uczestnictwa w procesji. Ludzie rozstąpili się, aby przepuścić świątobliwy orszak, a zakonnicy ustawili się w szeregu po obu stronach głównej bramy. Starczyło kilka minut na ustalenie porządku, w jakim postępować miała procesja. Gdy się z tym uporano, rozwarły się na oścież bramy klasztoru i znowu ozwały się donośne niewieście pienia. Najpierw ukazała się grupa chórzystek; skoro przeszły, mnisi połączyli się w pary i wolnym, miarowym krokiem podążyli za nimi. Następnie szły nowicjuszki; nie niosły świec tak jak siostry zakonne, lecz kroczyły ze spuszczonej oczyma i zdały się zajęte odmawianiem różańca. Za nimi postępowała nadobna dziewczeczka wyobrażająca świętą Łucję; dzierżyła w dłoniach złotą czarę, w której znajdowała się para oczu<sup>[1]</sup>: oczy dziewczyny skrywała aksamitna opaska i prowadziła ją inna mniszka, przebrana za anioła. Następnie szła święta Katarzyna z gałązką palmową w jednej, a płonącym mieczem w drugiej ręce; przyodziana była białą, czoło zaś jej ozdobił błyszczący diadem. Po niej ukazała się święta Genowefa, otoczona mnóstwem chochlików, które przybierały zabawne pozy, ciągnęły świętą za szaty i igrały wokół niej, wykonując dziwaczne gesty i usiłując odciągnąć uwagę świętej od księgi, na którą nieprzerwanie miała zwrócone oczy. Owe krotocwilne diabliki niemało ubawiły widzów, którzy dawali wyraz swemu ukontentowaniu nieustannymi wybuchami śmiechu. Przeorysza troskliwie wybrała do owej roli taką mniszkę, która z natury była osobą godną i poważną i domina słusznie mogła radować się ze swego wyboru. Święta Genowefa postępowała naprzód nie mrugnawszy nawet powieką i figle chochlików nie czyniły na niej najmniejszego wrażenia.

Każdą świętą oddzielał od następnej zastęp chórzystek, które wyśpiewywały hymny ku czci poszczególnych patronek, oznajmiając jednak, iż żadna z nich nie może dorównać świętej Klarze, uznanej opiekunce klasztoru. Po tym wszystkim ukazał się długi orszak mniszek; każda z nich, podobnie jak chórzystki, niosła w ręce płonącą świecę. Następnie niesiono relikwie świętej Klary, zamknięte w relikwiarzach równie cennych z racji materiału, z jakiego zostały wykonane, jak i ich misternej roboty; nie przyciągnęły one jednak uwagi Lorenza. Całkowicie pochłonął go widok mniszki niosącej serce świętej. Polegając na opisie Teodora, pewien był, że to właśnie matka Urszula. Mniszka zdała się niespokojnie rozglądać dookoła. Ponieważ Lorenzo stał w pierwszym rzędzie szpaleru, przez który przechodziła procesja, oczy matki Urszuli spotkały się z jego wzrokiem. Rumieniec zadowolenia pokrył jej bladawe oblicze. Skwapliwie zwróciła się do swej towarzyszki.

Lorenzo posłyszał, jak wyszeptwała:

– To jej brat, jesteśmy uratowane.

Lorenzowi spadł kamień z serca i mógł spokojnie przyglądać się reszcie widowiska. Pojawiła się teraz najświetniejsza ozdoba całej procesji. Była to machina ukształtowana na podobieństwo tronu, bogato przyozdobiona klejnotami i gorejąca od świateł. Sunęła naprzód na ukrytych kółkach, a ciągnęło ją kilkoro nadobnych pacholąt poprzebieranych za serafinki. Szczyt pokryty był srebrzystymi chmurkami, na których spoczywała najpiękniejsza postać, jaką kiedykolwiek oglądały ludzkie oczy. Była to dziewczeczka przedstawiająca świętą Klarę; miała na sobie bezcenną szatę, a diamentowa opaska tworzyła wokół jej główki sztuczną aureolę. Lecz wszystkie te ozdoby ustępowały blaskowi jej wdzięków.

W miarę jak machina sunęła naprzód, w tłumie odzywał się szmer zadowolenia. Nawet Lorenzo przyznał w głębi duszy, iż nigdy nie oglądał tak doskonałej piękności, i gdyby jego serce nie należało do Antonii, musiałoby paść ofiarą tej zachwycającej dziewczeczki. Skoro jednak inna panowała w jego sercu, Lorenzo spoglądał na dziewicę tylko jak na piękny posąg; nie otrzymała odeń żadnego hołdu prócz uczucia chłodnego podziwu i schodząc mu z oczu, zesłała i z myśli.

– Któż to taki? – zapytał któryś z widzów, stojący w zasięgu słuchu Lorenza.

– Panna, o której piękności nieraz musiałeś słyszeć pochwały. To Wirginia de Villa Franca; jest pensjonariuszką klarysek, krewniaczką przeoryszy i słusznie wybrana została na ozdobę procesji.

Tron sunął naprzód. Za nim ukazała się sama przeorysza: kroczyła na czele pozostałych mniszek z nabożną i świątobliwą miną i zamykała pochód. Postępowała powoli; oczy miała wzniesione ku niebu; spokojne i pogodne oblicze dominy zdało się nie podlegać żadnym ziemskim troskom i żaden z jej rysów nie zdradzał skrytej pychy z popisywania się wystawnością i dostatkiem swego klasztoru. Przechodziła mimo z towarzyszeniem modłów i błogosławieństw pospółstwa; jakież więc było powszechne zdumienie i konfuzja, gdy don Ramirez wystąpił z tłumu i oznajmił, iż domina jest jego więźniem.

Zdumienie odebrało na chwilę dominie mowę i władzę w członkach; lecz gdy się tylko trochę zreflektowała, jęła protestować przeciw owemu bluźnierczemu i świętokradczemu czynowi i wezwała lud do przyścia na odsiecz córce Kościoła. Wszyscy ochoczo gotowali się do wypełnienia jej żądania, gdy don Ramirez, którego łucznicy osłaniali przed gniewem ludu, nakazał spokój i zagroził ciżbie najsurowszą pomstą inkwizycji. Na to strasliwe słowo wszystkie ręce i wszystkie miecze wsunęły się do pochew. Przeorysza zbladła i zadrżała. Powszechne milczenie przekonało ją, iż mogła liczyć tylko na swoją niewinność; łamiącym się głosem błagała don Ramireza, by wyjaśnił jej, o jaką zbrodnię ją oskarżano.

– Dowiesz się o tym w swoim czasie – rzekł on – lecz najpierw muszę dostać w swoje ręce matkę Urszulę.

– Matkę Urszulę! – powtórzyła słabym głosem domina.

Tu, rozglądając się dookoła, postrzegła Lorenza oraz księcia, którzy stali za don Ramirezem.

– Ach, wielki Boże! – zawołała załamując rozpaczliwie ręce -jestem zdradzona!

– Zdradzona? – odrzekła matka Urszula, która właśnie nadeszła, prowadzona przez kilku łuczników i w towarzystwie mniszki postępującej koło niej w czasie procesji. – Nie zdradzono cię, lecz odkryto twoje nieprawości. Ja jestem twoją oskarżycielką; nie wiesz, jak dobrze znam twoją przewinę... *Señor* – ciągnęła dalej, zwracając się do don Ramireza – oddaję się w twoje ręce. Oskarżam przeoryszę klarysek o morderstwo i życiem rękę za prawdziwość mojego oskarżenia.

Powszechny okrzyk zdziwienia wydarł się z piersi wszystkich słuchaczy; ludzie jęli głośno domagać się wyjaśnienia. Spłoszone mniszki, przestraszone hałasem powstałym na skutek ogólnego zamieszania, rozproszyły się i rozbiegły w różnych kierunkach. Niektóre powróciły do klasztoru; inne szukały schronienia u swoich krewnych, a wiele z nich, pomnych jedynie na niebezpieczeństwo owej chwili i chcących umknąć od tego całego zamętu, biegało po ulicach i błąkało się tam i sam bez celu. Nadobna Wirginia umknęła jedna z pierwszych. Lud zaś, pragnąc lepiej widzieć i słyszeć, zażądał, by matka Urszula przemówiła doń z opróżnionego tronu. Mniszka, zgodnie z życzeniem pospółstwa, wstąpiła na błyszczącą machinę, a potem zwróciła się do otaczającej ją ciżby w tych słowach:

– Jakkolwiek dziwaczne i niestosowne może się wam wydać moje postępowanie, gdy zważycie, iż jestem niewiastą i zakonnicą, to przecie konieczność w pełni je usprawiedliwia. Tajemnica, straszliwa tajemnica ciąży okrutnie na mojej duszy; nie zaznam spoczynku, póki nie odkryję jej przed światem i nie spłacę długu należnego tej niewinnej krwi, która z grobu woła o pomstę do nieba. Na wielem się odważyła, by zyskać tę sposobność: ulżenia memu sumieniu. Gdyby mi się nie powiodło w moich staraniach zmierzających do odkrycia zbrodni, gdyby domina powzięła choć cień podejrzenia, iż znam jej tajemnicę, zostałabym niechybnie zgubiona. Anieli, czuwający nieprzerwanie nad zasługującymi na ich opiekę, sprawili, iż zdołałam uniknąć

przechwycenia. Mogę więc swobodnie opowiedzieć wam historię, której szczegóły zmrożą przerażeniem krew każdego zacnego człowieka. Mnie przypadło w udziale zerwanie zasłony skrywającej obłudę i pokazanie nieświadomym rodzicom, na jakie niebezpieczeństwo naraża się białogłowa, która dostanie się w moc klasztornej tyrańki.

Pośród czcicielki świętej Klary żadna nie była równie nadobna i pełna słodyczy, jak Agnes de Medina. Dobrze ją znałam: zwierzała mi wszystkie sekrety swojego serca; byłam jej przyjaciółką oraz powiernicą i darzyłam ją szczerym afektem. Nie byłam odosobniona w moim przywiązaniu. Rzetelna nabożność Agnes, jej gorliwość w oddawaniu przysług i anielskie usposobienie sprawiły, iż stała się ulubienicą wszystkich znaczniejszych sióstr w naszym klasztorze. Nawet przeorysza, osoba dumna, drobiazgową i odpychającą, nie mogła odmówić Agnes należnej pochwały, której szczędziła wszystkim innym. Każdy ma jakieś błędy. Niestety! i Agnes miała swoje słabości; pogwałciła reguły naszego zgromadzenia i ściągnęła na siebie nieprzejednany gniew bezlitosnej dominy. Reguły klarysek są surowe; ponieważ przeżyły się i przestano je obserwować, wiele z nich ostatnimi czasy popadło w zapomnienie lub, za powszechną zgodą, zostało zmienionych na łagodniejsze. Pokuta, na jaką zasądzono Agnes za jej występki, była najbardziej okrutną i nieludzką. Prawo to od dawna nie było w użyciu. Niestety! Wciąż jeszcze istniało i mściwa przeorysza postawiła właśnie teraz je zastosować. Według prawa przestępca miał być wtrącony do sekretnej lochy, specjalnie wyznaczonej na wieczyste ukrycie przed światem ofiary okrucieństwa i tyrańskiego zabobonu. Ofiara miała pozostawać w tym straszliwym pomieszczeniu, skazana na wieczną samotność, pozbawiona wszelkiego towarzystwa i uważana za zmarłą przez tych wszystkich, których uczucia mogłyby zachęcić ich do podjęcia wysiłków związanych z jej ocaleniem. Miała tam obumierać powoli przez resztę swoich dni, mając za jedyne pożywienie tylko chleb i wodę, a za jedyną pociechę swobodne folgowanie łzom.

Opowieść matki Urszuli wzbudziła tak gwałtowne oburzenie, iż tłum przerwał jej na chwilę. Kiedy zamieszanie ustało i zgromadzenie znów się uciszyło, mniszka ciągnęła dalej, a z każdym jej słowem oblicze dominy zdradzało wzrastające przerażenie.

– Zwołano radę złożoną z dwunastu starszych zakonnic. Byłam jedną z nich. Przeorysza w jaskrawych kolorach odmalowała występki Agnes i bez skrępowania wysunęła propozycję, by wprowadzono w czyn owo nieomal zapomniane prawo. Mówię to ku hańbie mojej płci – może władza *dominy* w klasztorze była tak absolutna, a może też rozgoryczenie, samotność i umartwienia przemieniły serca zakonnic w kamienie i przydały złośliwości ich skłonnościom – dość na tym, iż przykłaśnięto owemu barbarzyńskiemu zamiarowi dziewięciu głosami z ogólnej liczby dwunastu. Nie byłam jedną z tych dziewięciu. Miałam nieraz sposobność przekonać się o przynajmniej Agnes, miłowałam ją i współczułam jej jak najszczerzej. Matki Berta i Kordelia przyłączyły się do mego zdania; stawiliśmy możliwie najsilniejszy opór i przełożona spostrzegła, iż musi odstąpić od swego zamiaru. Mimo iż większość mniszek opowiedziała się po jej stronie, *domina* obawiała się otwarcie nam przeciwieć. Wiedziała, że przy poparciu rodziny Medinów staniemy się zbyt silne, by mogła się z nami uporać; wiedziała również, że gdy raz Agnes zostanie uwięziona i uznana za zmarłą, jej odnalezienie doprowadziłoby dominę do niechybnej zguby. Z ociąganiem poniechała więc swego zamiaru. Zażądała kilku dni do namysłu nad sposobem ukarania Agnes, który spotkałby się z aprobatą całego zgromadzenia, i obiecała, że skoro tylko powzięmy postanowienie, zwoła na powrót tę samą radę. Upłynęły dwa dni; na trzeci dzień wieczorem oznajmiono nam, że następnego dnia Agnes poddana zostanie przesłuchaniu i że, stosownie do jej zachowania się w tej okoliczności, kara zostanie zastrzeżona lub złagodzona.

Nocy poprzedzającej owo przesłuchanie zakradłam się do celi Agnes o godzinie, w której, jak mniemałam, inne mniszki pogrążone były w głębokim śnie. Pocieszałam Agnes, jak tylko



umiałam; kazałam jej uzbroić się w odwagę; rzekłam, by polegała na wstawiennictwie swoich przyjaciółek, i objaśniłam jej pewne gesty, którymi mogłam dać jej znać, czy ma odpowiadać na pytania dominy twierdząco, czy też przecząco. Wiedziałam, iż nieprzyjaciółka Agnes będzie usiłowała zbić ją z tropu, zmieszać i nastraszyć; lękałam się, iż chytrze wyciągnie z dziewczeczki jakieś wyznanie szkodliwe dla jej sprawy. Pragnąc utrzymać te odwiedziny w tajemnicy, spędziłam u Agnes tylko krótką chwilę. Nakazałam jej, by nie upadała na duchu. Pomieszałam moje łzy ze łzami spływającymi po jej policzkach, czule ją uścisnęłam i już miałam odchodzić, gdy postyszałam jakieś kroki zbliżające się w stronę celi. Na powrót się cofnęłam. Kotara, przysłaniająca duży krucyfiks, posłużyła mi za schronienie i szybko się za nią schowałam. Otworzono drzwi. Wkroczyła przeorysza, a za nią cztery mniszki. Przybliżyły się do łoża Agnes. Przełożona w nader zjadliwych słowach wyrzucała Agnes jej grzechy. Rzekła jej, iż stała się ona zakałą całego zgromadzenia, że domina postanowiła uwolnić świat i siebie od takiego potwora, i kazała Agnes wypić zawartość pucharaka, który jej właśnie podawała jedna z zakonnicek. Nieszczęsna dziewczeczka zdawała sobie sprawę z właściwości owego fatalnego napoju i drżąc na myśl, iż znajduje się na progu wieczności, usiłowała wzbudzić litość dominy błagając ją wzruszającymi serce słowami. Prosiła o życie tak, że mogła zmiękczyć serce szatana. Obiecywała, iż cierpliwie poda się każdej karze: więzieniu i torturom, wystawi się na hańbę, byle tylko pozwolono jej żyć. O! byle tylko mogła żyć jeszcze choćby miesiąc lub tydzień, lub dzień jeden! Domina, niemiłosierny wróg Agnes, bez wzruszenia przysłuchiwała się jej rozpacz i oświadczyła, iż miała początkowo zamiar oszczędzić jej życie, a jeśli zmieniła swoje intencje, Agnes może podziękować za to sprzeciwom swoich przyjaciółek. Wciąż nastawała na Agnes, zmuszając ją do wypicia trucizny; kazała dziewczeczce zdać się na miłosierdzie boskie, a nie na łaskawość przełożonej, i zapewniła nieszczęsna, że za godzinę powiększy grono umarłych. Agnes spostrzegła, iż próżno wzywa litości owej okrutnej niewiasty, i próbowała wyskoczyć z łożka, aby zawołać o pomoc; miała nadzieję, iż jeśli nawet nie uniknie wyroku, który usłyszała z ust dominy, to będzie mieć przynajmniej świadków popełnionego gwałtu. Przeorysza przejrzała jej zamysły; chwyciła ją mocno za ramię, pchnęła na powrót na posłanie, a wyciągając jednocześnie sztylet, przyłożyła go do piersi nieszczęsnej Agnes i oświadczyła, iż jeśli ta wyda choćby jeden okrzyk lub choć sekundę ociągać się będzie z wypiciem trucizny, natychmiast przebije jej serce. Agnes była już na poły nieżywa ze strachu i nie mogła się dłużej opierać. Zbliżyła się mniszka z fatalnym pucharakiem; domina zmusiła Agnes do przyjęcia go i przełknięcia zawartości. Agnes wypiała i tak dopełnił się ów ohydny czyn. Potem mniszki usadowiły się dookoła łoża konającej; przyganą odpowiadały na jęki Agnes, szyderczymi słowami przerywały jej modlitwy, w których oddawała swą odchodzącą duszę miłosierdziu Bożemu. Groziły Agnes pomstą niebios i wiecznym zatraceniem, nakazywały jej zwątpić o przebaczeniu i usłały jeszcze ostrzejszymi cierniami jej bolesne śmiertelne łożo. Takie były cierpienia tej młodej biedaczki, póki los nie wyzwolił jej od złości dręczycielek. Skonała pełna grozy na myśl o przeszłości i w trwodze o przyszłość; tak się okrutnie męczyła, iż w pełni musiała zadośćuczynić nienawiści i chęci pomsty swoich nieprzyjaciółek. Skoro tylko ofiara dominy przestała oddychać, ta wycofała się, a za nią jej cztery współpracownicy.

Teraz dopiero odważyłam się wyjść ze swej kryjówki. Nie śmiałam przyjść z pomocą mojej nieszczęsnej przyjaciółce, wiedząc, że i tak jej nie ocalę, a tylko ściągnę na siebie podobną śmierć. Nie sposób wypowiedzieć, jakem była wstrząśnięta i przerażona tym okropnym widokiem, i ledwo miałam na tyle sił, by wrócić do swojej celi. Dochodząc do drzwi celi Agnes, odważyłam się rzucić wejrzenie w stronę pryczy, na której spoczywało jej martwe ciało, ongiś tak nadobne i pełne słodyczy. Wyszeptałam modlitwę za spokój jej duszy i poprzysięgłam sobie, iż pomszczę śmierć dziewczeczki przez zawstydzenie i ukaranie jej morderców. Z trudem

i wystawiając się na niemały hazard, dotrymałam owej przysięgi. Podczas pogrzebu Agnes nadmierny smutek sprawił, iż mniej się miałam na baczności, i wymknęło mi się kilka nieopatrnych słów, które zaniepokoiły grzeszne sumienie przeoryszy. Obserwowano każdy mój czyn, śledzono każdy krok i bez ustanku otaczali mnie szpiedzy dominy. Dopiero po dłuższym czasie znalazłam sposób, by przekazać krewnym owej dziewczeczki wieści o moim sekrecie. Ogłoszono wszem i wobec, że Agnes nagle umarła; uwierzyli w tę opowiastkę nie tylko jej przyjaciele w Madrycie, lecz nawet i mieszkanki klasztoru. Trucizna nie zostawiła żadnych śladów na jej ciele; nikt nie podejrzewał prawdziwej przyczyny jej śmierci i wiedzieli o niej tylko sami mordercy i ja.

Nie mam już nic więcej do powiedzenia; za to, com rzekła, ręczę własnym żywotem. Powtarzam: przeorysza jest morderczynią; usunęła z tego świata, a może z niebios, nieszczęsną istotę, której grzech był lekką i wybaczną przewiną; nadużyła władzy, którą z zaufaniem włożono w jej ręce, i okazała się tyranem, barbarzyńcą i obłudnicą. Oskarżam również cztery siostry: Wiolantę, Alicję, Kamilę i Mariannę jako jej współniczki i osoby równie winne, jak przeorysza.

Tu matka Urszula zakończyła swoją opowieść. Wzbudziła ona powszechną grozę i zdziwienie, a kiedy prawiała o nieludzkim mordzie dokonany na Agnes, lud tak głośno dawał wyraz swemu oburzeniu, iż trudno było usłyszeć zakończenie jej relacji. Wzburzenie tłumu wzmagало się z każdą chwilą. W końcu liczne głosy jęły wołać, iż przeorysza winna zostać wydana na pastwę zaciekłości pospólstwa. Tu don Ramirez stanowczo się sprzeciwił; nawet Lorenzo nakazał ludziom, by pamiętali, iż przeorysza nie została jeszcze osądzona, i przekonywał ich, by ukaranie jej pozostawili inkwizycji. Wszelkie perswazje okazały się bezowocne; zamęt gwałtownie przybierał na sile, a wściekłość tłumu wzrastała. Don Ramirez na próżno usiłował wyprowadzić uwięzioną z otaczającej ją ciżby. Gdziekolwiek się obrócił, bandy buntowników zastępowały mu drogę i jeszcze głośniejsze niż poprzednio żądały, aby wydać dominę w ich ręce. Ramirez rozkazał swoim ludziom, by mieczami utorowali mu drogę wśród ciżby. Napór pospólstwa tak był gwałtowny, że żołnierze w żaden sposób nie mogli wydobyć mieczy. Don Ramirez zagroził tłumowi zemstą inkwizycji, ale w owej chwili powszechnego szaleństwa nawet to straszne słowo nie odniosło żadnego skutku. Chociaż utrata siostry sprawiła, że Lorenzo spoglądał na przeoryszę z obrzydzeniem, to jednak nie mógł oprzeć się uczuciu litości dla niewiasty znajdującej się w tak okropnym położeniu. Lecz mimo jego wszystkich wysiłków jak i starań księcia, don Ramireza oraz łuczników pospólstwo wciąż parło naprzód. Ludzie siłą wywalczyli sobie przejście wśród strażników, którzy osłaniali upatrzoną przez tłum ofiarę – wyciągnęli ją z jej schronienia, chcąc wyrzucić na dominie natychmiastową i okrutną zemstę. Nędznica, opętana strachem, prawie nie wiedząc, co mówi, krzykiem błagała o litość, zaklinała się, iż nie jest winna śmierci Agnes, zapewniając, iż może całkowicie oczyścić się z wszelkich podejrzeń. Wzburzony tłum nie zważał na nic i pragnął tylko zaspokojenia swych barbarzyńskich i mściwych żądz. Ludzie nie chcieli słuchać protestów dominy, znieważali ją na wszelki sposób, obrzucając błotem i innym plugastwem, i wymyślając jej najbardziej obelżywymi słowami. Wyrwali ją sobie z rąk do rąk, a każdy nowy prześladowca był bardziej zjadły niż poprzedni. Wyciem i złorzeczeniami zagłuszyli piskliwe wołania dominy o litość; wlekli ją przez ulicę, kopiąc i poganiając, i dopuszczali się na niej wszelkich okrucieństw, jakie mogła wymyślić nienawiść lub zapalczywość. W końcu krzemień skierowany czyjąś celną dłonią uderzył ją prosto w skroń. Osunęła się na ziemię zlaną krwią i w kilka minut zakończyła swój nędzny żywot. A choć nie czuła już ludzkich zniewag, rozszalały tłum wciąż wywierał swą bezsilną wściekłość na martwym ciele przeoryszy. Tłukli ją, tratowali i masakrowali, póki nie stała się jeno kupą mięsa – bezkształtną i obmierzłą.

Nie mogąc zapobiec owym gorszącym przypadkom, Lorenzo wraz z przyjaciółmi spoglądał na nie przejęty grozą; ocknęli się jednak ze swej przymusowej bezczynności, gdy posłyszeli, iż tłum szykuje się do ataku na klasztor klarysek. Rozwścieczone pospólstwo, nie bacząc, kto winny, a kto nie, postanowiło uczynić ofiarami swego gniewu wszystkie mniszki tego zgromadzenia i sprawić, by z całego budynku nie pozostał kamień na kamieniu. Lorenzo i towarzysze, przestraszeni ową wieścią, pospieszyli do klasztoru, postanawiając obronić go, jeśli się uda, a w każdym razie ocalić jego mieszkanki przed gniewem buntowników. Większość zakonnice uciekła, lecz kilka wciąż pozostawało w swojej siedzibie. Znalazły się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Ponieważ jednak były na tyle ostrożne, iż zaryglowały wewnętrzne bramy, Lorenzo żywił nadzieję, że zdoła powstrzymać tłum, póki don Ramirez nie przyprowadzi mu dostatecznej liczby żołnierzy z odsieczą.

Ponieważ skutek zamieszek Lorenzo oddalił się od klasztoru na odległość kilku ulic, dotarcie na powrót do gmachu zabrało mu nieco czasu. Gdy przybył, ciżba oblegająca klasztor była tak liczna, iż zagradzała mu dojście do wrót. Tymczasem pospólstwo wytrwale i zaciekle oblegało budynek: ludzie walili w mury, rzucali przez okna płonące pochodnie i poprzysięgali, że do świtu żadna mniszka ze zgromadzenia świętej Klary nie pozostanie przy życiu. Lorenzowi udało się przebić przez tłum w chwili, gdy wyważano jedną z bram. Buntownicy wtargnęli do wnętrza gmachu i mścili się na wszystkim, co napotkali na drodze. Gruchotali sprzęty, zrywali obrazy, niszczyli relikwie i z nienawiści do jej służek do cna zapomnieli o szacunku dla świętych. Jedni zajęci byli szukaniem zakonnice, inni burzeniem części budynku, a jeszcze inni podkładaniem ognia pod obrazy i cenne meble, które się jeszcze w nim znajdowały. Ci dopełnili ostatecznego spustoszenia. Zaiste, skutki ich czynu były gwałtowniejsze, niżli przewidywali i pragnęli. Płomienie wzbity się w górę z zapalonych stosów i objęły część budynku, który był stary i suchy, więc pożar szybko rozchodził się z izby do izby. Wkrótce żarłoczny żywioł nadwerężył mury. Kolumny załamały się, dach zapadł się nad głowami rozszalałego tłumu i przygniótł wielu ludzi swoim ciężarem. Słychać było jeno krzyki i jęki. Klasztor spowiły płomienie i wszystko dokoła przedstawiało obraz grozy i zniszczenia.

Lorenzo przeraził się na myśl, iż, choć mimowolnie, stał się przyczyną tego strasznego zamętu: usiłował okupić swą winę osłaniając bezbronne mniszki. Wdarł się do budynku wraz z tłumem i za wszelką cenę starał się złagodzić szalejącą dokoła wściekłość, gdy nagle i groźnie rozszerzające się płomienie zmusiły go do zatroszczenia się o własne bezpieczeństwo. Ludzie równie spieszenie i gorliwie umykali teraz z budynku, jak się doń uprzednio tłoczyli, ale nieprzebrane ludzkie mrowie zatarasowało przejście. Ogień zaś przybliżał się ku nim tak raptownie, iż wielu zginęło, nim zdążyło salwować się ucieczką. Lorenzo, szczęśliwym trafem, skierował się w stronę małych drzwiczek w bocznej nawie kaplicy. Rygiel był odsunięty; otworzył drzwiczki i znalazł się tuż przy wejściu do grobowca klarysek.

Tu przystanął dla nabrania tchu. Książę i kilku jego ludzi podążyło za Lorenzem i w ten sposób znaleźli się na chwilę w bezpiecznym miejscu. Poczuli się tedy naradzać, jakie kroki przedsięwziąć, by umknąć z miejsca owego zamętu; rozważania te skutecznie przerwał widok słupów ognia, wznoszących się pośród zwalistych murów klasztoru, hałas zapadających się i rozsypujących w gruzy ciężkich sklepień i zmieszana wrzawa mniszek i ludzkiej hałastry; ta albo dusiła się w tłoku i ginęła w płomieniach, albo przygnięciona została ciężarem walącego się gmachu.

Lorenzo zapytał, dokąd prowadzi furka. Odpowiedziano mu, że do ogrodu kapucynów; postanowiono więc wybać możliwość wydostania się tą drogą z opresji. Wobec tego książę odsunął rygiel i wszedł na sąsiedni cmentarz. Słudzy bez ceremonii poszli w jego ślady. Lorenzo szedł ostatni i właśnie miał opuścić krużganek, gdy ujrzał, jak powolutku otwierają się drzwi

wiodące do grobowca. Ktoś z niego wyglądał, lecz zoczywszy obcych ludzi, wydał donośny krzyk, cofnął się z powrotem i pomknął w dół po marmurowych schodach.

– Cóż to może znaczyć? – krzyknął Lorenzo. – Kryje się w tym jakaś tajemnica. Za mną, powiadam, i to chyżo!

To mówiąc pobiegł do grobowca i ruszył w pościg za postacią, która wciąż przed nim umykała. Książę nie wiedział, co spowodowało ów okrzyk, lecz przypuszczając, iż Lorenzo miał ku temu słuszną przyczynę, natychmiast za nim podążył. Inni uczynili to samo i wkrótce wszyscy dotarli do podnóża schodów. Ponieważ drzwi wejściowe zostawiono otwarte, pobliskie płomienie rzuciły z góry dość światła, by ułatwić Lorenzowi dostrzeżenie zbiega, który pędził przez długie korytarze i odległe krypty. Kiedy jednak raptowny zakręt pozbawił ścigającego tej pomocy, ogarnęły go zupełne ciemności i mógł postępować za sprawcą swej dociekliwości tylko dzięki słabemu echu wciąż umykających kroków. Ścigający musieli teraz ostrożnie posuwać się naprzód; jeśli mogli słuszenie osądzić, to i zbieg zdawał się poruszać wolniej, bo słyszeli, iż kroki następowały po sobie z dłuższymi przerwami. W końcu zmylił ich ten labirynt korytarzy i żołnierze rozproszyli się w różnych kierunkach. Wiedziony żarliwym pragnieniem wyjaśnienia i zgłębienia owej tajemnicy, do czego zmuszał go jakiś tajemny i niewytłumaczony impuls, Lorenzo nie zważał na rozsypkę żołnierzy, póki nagle nie znalazł się zupełnie sam. Odgłosy kroków umilkły, wszędzie panowała głucha cisza i nie działo się nic, co mogłoby go naprowadzić na ślad umykającej postaci. Przystanął, by zastanowić się nad najskuteczniejszym sposobem pościgu. Był pewien, iż błaha przyczyna nie skłoniłaby zbiega do schronienia się w tym pępym miejscu o tak niezwyklej godzinie. Okrzyk, który doszedł jego uszu, zdawał się dobywać z piersi ściśniętej trwogą i Lorenzo był pewien, iż kryło się w tym coś osobliwego. Po kilku minutach wahania znowu jął posuwać się naprzód, po omacku szukając drogi wzdłuż ścian korytarza. Strawił już nieco czasu na tym pochodzie, kiedy dostrzegł migotanie odległej iskiereki światła. Wiedziony owym światełkiem i z gołą szpadą w dłoni, skierował kroki ku miejscu, z którego zdawał się dobywać ów promyk.

Światełko pochodziło z lampki płonącej przed posągiem świętej Klary. Stało przed nim kilka kobiet; ich białe szaty falowały w podmuchu wiatru, który z wyciem przeciągał wzdłuż sklepionych podziemi. Lorenzo, ciekaw, co przywiodło je wszystkie do tego ponurego miejsca, ostrożnie się ku nim przybliżał. Nieznajome zdały się całkowicie pogrążone w rozmowie. Nie dosłyszały kroków Lorenza, ten zaś wciąż ukradkiem posuwał się naprzód, póki wyraźnie nie rozróżnił ich głosów.

– Oświadczam wam – ciągnęła dalej kobieta, która przemawiała w chwili, gdy Lorenzo wszedł do kapliczki i której słowom reszta zgromadzonych przysłuchiwała się z wielką uwagą oświadczam wam, że widziałam ich na własne oczy. Zbiegłam po schodach, oni za mną i z trudem udało mi się nie wpaść w ich ręce. Gdyby nie lampka, nigdy bym was nie odnalazła.

– A cóż mogło ich tu sprowadzić – rzekła druga drżącym głosem. – Czy mniemasz, że nas szukali?

– Dałby Bóg, aby moje obawy były fałszywe – odparta pierwsza – mniemam jednak, że to mordercy! Jeśli nas odkryją, jesteśmy zgubione! Co do mnie, mój los jest już przypieczętowany. Moje pokrewieństwo z przeoryszą uznają za dostateczną winę, by mnie zgładzić, i chociaż dotąd podziemia te udzieliły mi schronienia...

Tu rozejrzała się i oczy jej padły na Lorenza, który wciąż wolno posuwał się naprzód.

– Mordercy! – zawołała.

Zerwała się z piedestału, na którym przysiadła, i usiłowała ratować się ucieczką. Jednocześnie towarzyszki dziewczyny wydały przeraźliwy pisk, gdy Lorenzo przytrzymał umykającą za ramię. Przestraszona i zdesperowana padła przed nim na kolana.

– Oszczędź mnie! – wołała. – Na rany Chrystusa, oszczędź mnie! Jestem niewinna, naprawdę niewinna!

Głos mówiącej był nieomal zdławiony strachem. Światło lampki padało wprost na jej nie osłonięte oblicze i Lorenzo rozpoznał piękną Wirginię de Yilla Franca. Spieszenie podniósł ją z ziemi i prosił, by nabrała otuchy. Obiecał osłaniać ją przed rozwścieczonym tłumem, zapewnił, że nikt jeszcze nie zna tajemniczego azylu mniszek i że gotów jest bronić jej do ostatniej kropli krwi. Podczas owej rozmowy mniszki rozpierzchnęły się i przybrały rozmaite pozy. Jedna uklękła i przyzywała pomocy niebios; druga ukryła twarz na podołku towarzyszki; pozostałe stojąc bez ruchu, przysłuchiwały się słowom domniemanego zbrojcy, jeszcze inne obejmowały posąg świętej Klary i krzycząc zapamiętałe, wzywały jej opieki. Gdy spostrzegły swoją omyłkę, stłoczyły się wokół Lorenza i zasypały go podziękowaniami.

Dowiedział się, że wiele pensjonariuszek i zakonnice schroniło się do grobowca, gdy doszły do ich uszu pogroźki tłuszczy i gdy przeraził je widok okrutnych mąk zadawanych przeoryszy, które oglądały z wieży klasztoru. Do pensjonariuszek należała piękna Wirginia, bliska krewniaczka dominy. Dziewczyna miała większe powody do obawiania się rozjuszonego tłumu niż inne mniszki i gorąco błagała Lorenza, by nie wydawał jej na pastwę wściekłości pospólstwa. Towarzyszki Wirginii, których większość pochodziła ze znacznych rodzin, prosiły o to samo, a Lorenzo ochoczo przystał na ich prośby. Obiecał, iż ich nie opuści, póki nie zobaczy każdej z nich w ramionach krewnych. Doradzał im jednak, by odłożyły jeszcze na pewien czas wyjście z grobowca, póki nie uśmierzy się trochę wzburzenie pospólstwa, a nadejście posiłków wojska nie rozproszy ciżby.

– Dałby Bóg – zawołała Wirginia – abym znalazła się już cała i zdrowa w ramionach matki! Jak mniemasz, *señor*, czy jeszcze długo nie będziemy mogły opuścić tego miejsca? Każda chwila przepędzona tutaj to tortury!

– Mam nadzieję, że już niedługo – rzekł Lorenzo – lecz dopóki nie będziecie mogły stąd bezpiecznie wyjść, grobowiec jest dla was najpewniejszym azylem. Nikt was tu nie odnajdzie i doradzałbym wam, byście tu spokojnie pozostały przez następne dwie lub trzy godziny.

– Dwie lub trzy godziny! – zawołała siostra Helena. – Jeśli jeszcze godzinę zostanę w tych podziemiach, umrę ze strachu! Żadne skarby świata nie skłonią mnie, bym raz jeszcze przeżywała to wszystko, com przeszła do tej pory. Święta Dziewico! Siedzieć w tym ponurym miejscu w ciemną noc obok zbutwiałych ciał moich zmarłych towarzyszek i w oczekiwaniu, że w każdej chwili rozedrą mnie na kawałki upiory, które krążą wokół mnie, skarżąc się, jęcząc i zawodząc takim głosem, że krew mi się mrozi w żyłach... Jezu Chryste! dość tego, by doprowadzić mnie do szaleństwa!

– Wybacz mi – odparł Lorenzo – ale dziwię się, że w chwili gdy zawisło nad tobą rzeczywiste nieszczęście, zdolna jesteś poddawać się wymagowanym strachom. Są to dziecinne i nieuzasadnione obawy; odpędź je, wielbna siostrzyczko; obiecałam, iż strzec was będę przed motłochem, ale co do ataków zabobonu, musisz polegać tylko na sobie. Samo pojęcie upiorów jest do najwyższego stopnia niedorzeczne i jeśli nadal ulegać będziesz władzy urojonych strachów...

– Urojonych? – krzyknęły mniszki zgodnym chórem. – Jakże! na własne uszy słyszałyśmy jakiś głos, *señor*. Każda z nas go słyszała. Często się odzywał, a za każdym razem brzmiał bardziej głucho i żałośnie. Nigdy nas nie przekonasz, żeśmy się wszystkie mogły mylić. Nie, zaprawdę nie; gdyby ten hałas był tylko wytworem naszej wyobraźni...

– Cicho! słuchajcie! – przerwała Wirginia trwożliwym głosem. – Boże! miej nas w swojej opiece, znowu go sływać!

Mniszki złożyły ręce i padły na kolana. Lorenzo baczenie rozejrzał się wokół i już gotów

był ulec bojaźni, która opanowała niewiasty. Zapanowała grobowa cisza. Rozejrzał się po krypcie, ale nie zoczył nic. Gotował się właśnie, aby przemówić do mniszek i wyśmiać ich dziecinne obawy, gdy uwagę jego przykuł głęboki i długi jęk.

– A to co? – zawołał cofając się.

– Właśnie, *señor!* – rzekła Helena – teraz musisz nam uwierzyć! Sam słyszałeś ów głos! Osądźże teraz, czy nasze strachy są urojone. Odkąd tu jesteśmy, jęki powtarzają się nieomal co pięć minut. To bez wątpienia jakaś cierpiąca dusza, która pragnie wybawienia od mąk czyścicowych, lecz żadna z nas nie ośmieliła się jej o to zapytać. Co do mnie, to pewna jestem, że gdybym ujrzała upiora, umarłabym na miejscu z przerażenia.

Gdy to wyrzekła, posłyszano drugi jęk i to znacznie wyraźniejszy. Mniszki przeżegnały się i spiesznie zabrały się do odmawiania pacierzy, by odpędzić złego ducha. Lorenzo uważnie nadśluchiwał. Zdawało mu się nawet, że może rozróżnić jakieś dźwięki, jak gdyby ktoś wypowiadał słowa skargi, lecz odległość czyniła je zgoła niezrozumiałymi. Szept zdawał się dobywać z pośrodku małej krypty, którą rozchodzące się w różnych kierunkach korytarze czyniły podobną do gwiazdy. Tam znajdowali się Lorenzo i zakonnice; nie ustająca ciekawość Lorenza skłoniła go do zbadania owej tajemnicy. Poprosił mniszki o zupełne milczenie. Usłuchały. Uciszyło się, po czym znowu jęki powtórzyły się kilka razy. Lorenzo postrzegł, iż brzmiały donośniej, i idąc w ślad za owym głosem, dotarł do posągu świętej Klary.

– Stąd dobywa się ów głos – rzekł Lorenzo. – Kogo przedstawia ta figura?

Helena, do której skierował pytanie, milczała przez chwilę. Potem nagle klasnęła w dłoń.

– Tak! – zawołała – nie mam już żadnych wątpliwości. Odkryłam, co znaczą te jęki.

Mniszki stłoczyły się wokół niej i błagały ją żarliwie, by się jaśniej wypowiedziała. Odrzekła z powagą, iż od niepamiętnych czasów posąg sływał cudami. Wywnioskowała z tego, iż święta, strapiona pożarem klasztoru, którego była patronką, wyrażała smutek głośnym lamentem. Lorenzo nie żywił tej wiary we wstawioną cudami świętą i dlatego nie sądził, by to wyjaśnienie tajemnicy było zadowalające, jak mniemały mniszki, które bez wahania zgodziły się z twierdzeniem siostry Heleny. Zgadzał się z nią co prawda, w jednym szczególe. Podejrzewał, że dźwięki istotnie dobywały się z posągu; im dłużej się im przysłuchiwał, tym bardziej utwierdzał się w tym mniemaniu. Zbliżył się do posągu, zamierzając dokładnie go obejrzeć; mniszki przejrzały intencje Lorenza i zaklinały go na wszystkie świętości, by odstąpił od tego zamiaru, ponieważ dotknięcie posągu grozi mu nieuniknioną śmiercią...

– A na czym polega niebezpieczeństwo? – spytał Lorenzo.

– Matko Chrystusowa! na czym polega? – odparła Helena, wciąż żądna opowiedzenia jakiejś cudownej przygody. – Gdybyś słyszał tylko setną część z owych osobliwych historii, jakie zwykła nam prawić domina o tym posągu! Niejeden raz zapewniała, że gdybyśmy tylko poważyły się choćby jednym palcem dotknąć figury, to możemy oczekiwać najokropniejszych skutków. Powiadała nam między innymi, że jeden rabuś, wszedłszy któreś nocy do tych podziemi, zoczył ten rubin o bezcennej wartości. Czy widzisz go, *señor?* Błyszczący na trzecim palcu ręki, w której święta trzyma koronę cierniową. Klejnot ten wzbudził oczywiście chciwość łotrzyka. Postanowił go zdobyć. W tym celu wspiał się na cokół; utrzymał się na nim chwytając świętą za prawe ramię i wyciągnął rękę w stronę pierścienia. Jakże się zdziwił, gdy spostrzegł, iż ręka posągu wzniosła się groźnie ku górze, i posłyszał, jak usta świętej oznajmiły mu wieczystą zgubę! Pełen lęku i zmieszania, poniechał swego czynu i gotował się do opuszczenia grobowca. Lecz to mu się także nie powiodło. Nie mógł uciec. Okazało się, że w żaden sposób nie potrafi oderwać dłoni od prawego ramienia świętej. Próżno się szamotał; został przykuty do posągu, póki nieznośny i palący ból, który przeniknął go do szpiku kości, nie zmusił go do wołania

o pomoc. Wtedy grobowiec napełnił się ludźmi. Łotr wyznał swoje świętokradztwo i został uwolniony tylko przez odrąbanie ręki od reszty ciała. Dłoń pozostała na zawsze przywarta do posągu. Rabuś został pustelnikiem i wiódł od tej pory przykładowy żywot. A jednak wyrok świętej dopełnił się; tradycja powiada, że rabuś nadal nawiedza tę kryptę i jęcząc, i lamentując błaga świętą Klarę o zmiłowanie. Teraz, gdy nad tym rozmyślam, sądzę, że jęki, któreśmy słyszeli, mógł zaprawdę wydawać duch owego grzesznika, lecz nie będę się przy tym upierać. Dodam tylko, iż od tego czasu nikt nie odważył się dotknąć posągu. Nie bądź więc nierozważnym, zacny panie. Na miłość boską, porzuć ten zamysł i nie narażaj się niepotrzebnie na pewną zgubę.

Lorenzo, nie będąc przekonany, że jego zguba jest tak niechybna, jak się to wydawało siostrze Helenie, upierał się przy swoim zamiarze. Mniszki biadając błagały młodzieńca, by od niego odstąpił, a nawet pokazywały mu rękę złodziejaszka, istotnie jeszcze widoczną na ramieniu posągu. Wyobrażały sobie, iż ten dowód musi go przekonać. Stało się wręcz przeciwnie i mniszki wielce się zgorszyły, kiedy wyjawiał im swoje podejrzenia, powiadając, że zasuszone i skurczone palce umieszczono na posągu z rozkazu przeoryszy. Mimo błagań i gróźb zakonnice Lorenzo zbliżył się do posągu. Przeskoczył przez żelazną balustradkę, broniącą dostępu do figury, i zajął się dokładnymi oględzinami świętej postaci. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że statua jest wykuta z kamienia, lecz po bliższej inspekcji odkrył, że uformowano ją ze znacznie słabszego materiału, bo tylko z malowanego drewna. Lorenzo potrząsnął posągami i usiłował go poruszyć, lecz okazało się, iż tworzy on jedną całość z cokołem. Wciąż go oglądał i wciąż żaden ślad nie naprowadzał młodzieńca na rozwiązanie tajemniczej zagadki, o które zaczęły się troszczyć na równi z nim wszystkie zakonnice, skoro tylko spostrzegły, że Lorenzo bezkarnie dotyka posągu. Zatrzymał się i nadśluchiwał; jęki powtarzały się raz po raz i młodzieniec pewien był, iż znajduje się bardzo blisko owych odgłosów. Zadumał się nad tym osobliwym przypadkiem i badawczym wzrokiem przebiegał po całym posągu. Wtem oczy Lorenza spoczęły na uschniętej dłoni. Przyszło mu nagle na myśl, iż tak osobliwy zakaz, wzbraniający dotykania ramienia posągu, nie był wydany bez przyczyny. Znowu wspiał się na cokół i odkrył małą żelazną gałkę schowaną między barkiem świętej a tym, co uważano za rękę złoczyńcy. Uradował się tym spostrzeżeniem. Przyłożył palce do gałki i silnie ją nacisnął. Wewnątrz posągu ozwał się natychmiast hałaśliwy chrobot, jak gdyby rozluźniał się i opadał jakiś silnie naprężony łańcuch. Płochliwe mniszki, zatrwożone owym dźwiękiem, cofnęły się, gotowe umknąć z krypty przy pierwszej oznace niebezpieczeństwa. Lecz ponieważ znów zapanowała cisza i spokój, zebrały się wokół Lorenza i spoglądały na jego poczynania z niespokojną ciekawością.

Ten, przekonawszy się, iż nic się nie stało po tym odkryciu, zszedł z cokołu. Kiedy odejmował rękę od posągu świętej, statua zadrżała pod jego dotknięciem. Wzbudziło to nową panikę wśród spektatorek, które mniemały, iż posąg ożył. Lorenzo pomyślał sobie coś zgoła innego. Łacno pojął, iż poprzedni hałas spowodowało rozluźnienie łańcucha, który przytrzymywał posąg na piedestale. Jeszcze raz spróbował poruszyć figurę i udało mu się to bez zbyteńnego wysiłku. Postawił posąg na ziemi; zoczył, iż piedestał był wewnątrz pusty i przykryty z wierzchu ciężką żelazną kratą.

Wzbudziło to tak powszechną ciekawość, iż siostrzyczki zapomniały zarówno o rzeczywistym, jak i urojonym niebezpieczeństwie. Lorenzo zabrał się do podnoszenia kraty, w czym w miarę sił dopomagały mniszki. Usunięcie kraty poszło dość gładko. Przed zgromadzonymi ukazał się głęboka czeluść; oczy próżno starały się przebić zalegające ją gęste mroki. Promyki padające od lampki były zbyt nikłe i nie na wiele się zdały. Nie można było dostrzec nic prócz biegnących w dół schodków, stromych i nie ogładzonych, które spadały w ziejącą przepaść i rychło gubiły się w ciemnościach. Nie słychać było żadnych jęków, chociaż wszyscy przekonani byli, iż dobywały się z tej właśnie pieczary. Kiedy Lorenzo pochylił się nad

czelusią, zdało mu się, iż dostrzegł coś jaśniejszego, migoczącego wśród mroku. Uważnie wpatrywał się w miejsce, gdzie się owa jasność ukazała, i przekonany był, że widzi nikłą iskierkę światła, która już to ukazywała się, już to znikła. Zaznajomił z tym spostrzeżeniem zakonnice; mniszki również dojrzały ową iskierkę, lecz gdy Lorenzo oznajmił im, iż ma zamiar zejść do pieczary, sprzeciwiły się temu zgodnym chórem. Żadne perswazje mniszek nie mogły odwieść Lorenza od jego postanowienia. Żadnej nie stało odwagi, by mu towarzyszyć, a nie mógł nawet dopuścić do siebie myśli o pozbawieniu ich światła. Gotował się więc do przeprowadzenia swego zamysłu sam i w ciemnościach, gdy siostrzyczki zadowolily się wzniesieniem modłów za jego całość i bezpieczeństwo.

Stopnie były tak wąskie i nierówne, iż zstępowanie z nich podobne było schodzeniu w dół przepaści; otaczające ciemności sprawiły, iż trudno było znaleźć pewne oparcie dla nóg. Lorenzo musiał posuwać się z wielką ostrożnością, by nie chybić stopnia i nie wpaść do zięjącej pod nim czeluści. Kilkakrotnie omal mu się to nie przytrafiło. Jednakowoż, wcześniej niżli przewidywał, doszedł do równej i udeptanej ziemi. Dopiero teraz spostrzegł, iż głęboki mrok i gęste opary zalegające pieczarę zmyliły go, każąc przypuszczać, że piwnica była znacznie głębsza, niżli się to okazało po jej zbadaniu. Zdrowo i cało dotarł do podnóża schodów; potem zatrzymał się i rozejrzał dookoła w poszukiwaniu owej iskierki światła, która uprzednio przyciągnęła jego uwagę. Próżno jej szukał; wszędzie zalegał posepny mrok. Natężył słuch, by postyszeć jęki, lecz do jego ucha nie dotarł żaden dźwięk prócz odległego szeptu mniszek, które cichymi głosami odmawiały na górze jedno „Ave Maria” za drugim. Przystanął wahając się, w którą stronę skierować kroki. Postanowił, że w każdym razie będzie się posuwać naprzód; tak też uczynił, lecz kroczył powoli, obawiając się, że oddali się od przedmiotu swoich poszukiwań, miast się do niego przybliżyć. Jęki zdawały się zwiastować, iż w podziemiu znajduje się ktoś cierpiący lub przynajmniej pogrążony w niedoli, i Lorenzo miał nadzieję, iż uda mu się ulżyć nieszczęściu owego biedaka. W końcu dotarł do jego uszu płynący z niezbyt wielkiej odległości żalony głos, ku któremu Lorenzo ochoczo się skierował. W miarę jak postępował naprzód, głos stawał się coraz wyraźniejszy; wkrótce młodzieniec znów dostrzegł błyski światła, które dotąd skrywał przed jego oczyma niski występ w murze.

Blask padał od małej lampki, umieszczonej na stosie kamieni; mdłe i żalony promyki kaganka służyły raczej do podkreślenia niżli do rozproszenia grozy owego posepnego i wąskiego lochu, wydrążonego w jednej ze skał pieczary. Lampka oświetlała również kilka innych podobnie ukształtowanych wnęk, których głębia spowita była w ciemności. Światelko zimnym błyskiem pełgało po wilgotnych murach, odbijając się od ich zroszonej powierzchni słabą poświatą. Gęsta i zjadliwa mgła kłębiła się w górze sklepionego lochu. W miarę jak Lorenzo posuwał się naprzód, czuł, jak przeraźliwy ziąb przenika go do szpiku kości. Wciąż powtarzające się jęki skłaniały go jednak do dalszego pochodu. Skierował się w ich stronę i przy migotliwych promykach kaganka ujrzał w rogu owego obrzydłego pomieszczenia jakieś stworzenie leżące na słomie; owa istota była tak nieszczęsna, tak wynędzniała i tak wyblakła, iż Lorenzo z trudem mógł uwierzyć, że spogląda na kobietę. Była na pół naga; długie zmierzwiłone włosy spływały w nieładzie na jej oblicze i nieomal je przysłaniały. Jedno wychudzone ramię zwisało martwo na postrzępionej derce, która okrywała drżące i pokrzywione ciało niewiasty; drugie ramię obejmowało małe zawiniątko, przytrzymując je tuż przy piersi. W pobliżu kobiety leżał duży różaniec, naprzeciw niej umieszczony był krucyfiks, w który uparcie wpatrywała się zapadniętymi oczyma, w pobliżu zaś posłania stał koszyk i mały gliniany dzbanek.

Lorenzo przystanął, nogi wrosły mu w ziemię ze zgrozy. Wpatrywał się w ową nędzną istotę z litością i obrzydzeniem. Trząśł się na ów widok; serce ścisnęło mu się z żalu, siły go odstąpiły i niezdolny był do utrzymania się na nogach. Musiał oprzeć się o niski mur, znajdujący



się w pobliżu, i nie sposób mu było postąpić naprzód lub przemówić do owej cierpiętnicy. Rzuciła wejrzenie w kierunku schodów; mur skrywał Lorenza, więc go nie dojrzała.

– Nikt nie nadchodzi – wyszeptła w końcu.

Głuchy i chrapliwy głos dobył się z jej krtani, gdy wypowiadała te słowa; gorzko westchnęła.

– Nikt nie przychodzi! – powtórzyła – nikt! Zapomnieli o mnie! Nie przyjdą więcej!

Zamilkła na chwilę, a potem ciągnęła dalej żałosnym głosem:

– Dwa dni! dwa długie, długie dni i ani pożywienia, ani nadziei, ani żadnej pociechy!

Głupia kobieto! Jakże mogę pragnąć przedłużenia tak mizernego żywota!... A przecież tak umrzeć! o Boże! umrzeć taką śmiercią! powoli konać w mękach przez tyle czasu! Aż dotąd nie wiedziałam, co to prawdziwy głód!... Cicho...! Nie! nikt nie nadchodzi, nikt nie przyjdzie.

Zamilkła. Wstrząsnął nią dreszcz i naciągnęła derkę na nagie ramiona.

– Bardzo mi zimno! wciąż nie mogę się przyzwyczaić do tego wilgotnego lochu; dziwne to, ale przecie zgoła bez znaczenia. Niedługo będzie mi jeszcze zimniej, a jednak tego nie poczuje. Stanę się tak zimna, jak ty jesteś zimniutki.

Spojrzała na zawiniątko leżące na jej piersi. Pochyliła się nad nim i ucałowała; potem spieszenie się od niego odsunęła, otrząsając się z obrzydzenia.

– A takie ongiś było słodkie! Mogło być takie powabne i takie do niego podobne!

Utraciłam je na zawsze. Jakże się w ciągu tych kilku dni zmieniło! Sama bym go teraz nie poznała. A przecież drogie jest memu sercu, Boże! jakże drogie!... Trzeba mi zapomnieć, czym jest teraz! Pomna będę tylko na to, jakim było, i miłować je będę tak gorąco jak wtedy, gdy było takie słodkie! takie przymilne! takie do niego podobne!... Zdało mi się, że wypłakała wszystkie łzy, a oto ostała mi się jeszcze jedna.

Otarła oczy puklem włosów. Wyciągnęła dłoń po dzbanek i z trudem go dosięgła.

Zajrzała doń, próżno czegoś szukając. Westchnęła i umieściła naczynie z powrotem na ziemi.

– Całkiem pusty!... ani kropelki!... nie zostało ani kropli, by ochłodzić moje wyschnięte i spalone gardło!... Oddałabym wszystkie skarby świata za jeden łyk wody!... A te, które zadają mi te cierpienia, są służkami Bożymi!... Mają się za święte, a dręczą mnie jak szatani!... Są okrutne i nieczułe; to one przecie kazały mi opłakiwać moje grzechy i one grożą mi wiecznym potępieniem! O Zbawicielu! Zbawicielu! Ty mnie tak nie osądzasz!

Znowu utkwiała wzrok w krucyfiksie, ujęła w dłonie różaniec i odmawiała go, a szybko poruszające się wargi świadczyły o żarliwości jej modlitwy.

W czasie przysłuchiwania się tym żałosnym słowom serce Lorenza ogarnęło jeszcze silniejsze wzruszenie. Pierwsze zetknięcie się z ogromem takiej niedoli boleśnie wstrząsnęło uczuciami młodzieńca, lecz gdy ochłonął nieco z tego wrażenia, jął przybliżać się ku nieznajomej. Usłyszała jego kroki i radośnie zawołała upuszczając różaniec;

– Cicho! Cicho! cicho! ktoś nadchodzi! – zawołała.

Usiłowała podnieść się, lecz próba okazała się nie na jej siły; znowu opadła na słomę, a gdy osuwała się na posłanie, Lorenzo posłyszał brzęk ciężkich łańcuchów. Wciąż zbliżał się do uwięzionej, ta zaś ciągnęła dalej:

– Czy to ty, Kamilo? A więc nareszcie przyszedłeś. Och! najwyższy czas! Myślałam, żeś mnie opuściła i że zostałam skazana na śmierć głodową. Daj mi się coś napić, Kamilo, jeśli masz litość w sercu; mdli mnie z tego długiego postu i tak osłabłam, że nie mogę podnieść się z ziemi. Zaczna Kamilo, dajże mi pić, bo inaczej skonam na twoich oczach.

Lękając się, iż zaskoczenie może okazać się fatalne dla osoby tak osłabionej, Lorenzo zachodził w głowę, jak się do niej odezwać.

– To nie Kamila – wyrzekł w końcu łagodnym i spokojnym głosem.

– A więc kto? – spytała cierpiąca. – Może Alicja albo Wiolanta? Wzrok mi się tak zaćmił i osłabł, że nie mogę odróżnić waszych rysów; ale którakolwiek to z was jest, jeśli w piersi jej żarzy się jeszcze ostatnia iskierka współczucia, jeśli nie jest bardziej okrutna niż wilki i tygrysy, niech ulituje się nad moją męką. Wiecie, że umieram z braku stawy. Już trzeci dzień upłynął, odkąd moje usta nie przyjęły pokarmu. Czy przynosicie jedzenie? A może przyszłyście tylko po to, by mi oznajmić, że umrę, i dowiedzieć się, jak długo będę jeszcze konała?

– Mylisz się co do celu mego przybycia – odparł Lorenzo. – Nie jestem wysłannikiem okrutnej przeoryszy. Użalam się nad twoimi strapieniami i przybyłem tu, by cię od nich uwolnić.

– By mnie od nich uwolnić? – powtórzyła uwięziona. – Czy rzekłś: by mnie od nich uwolnić?

Jednocześnie podniosła się nieco z ziemi i wspierając się na rękach wpatrywała się żarliwie w obcego przybysza.

– Wielki Boże! czy to nie złuda?... Mężczyzna? Mówże! Kim jesteś? co cię tu przywiodło? Czy przychodzisz, by mnie uratować? dać mi wolność, życie i światło? Och! przemów, przemów natychmiast, bo inaczej będę mieć nadzieję, a gdy ona zawiedzie, nie przeżyję tego.

– Uspokój się – odparł Lorenzo kojąco współczującym głosem. – *Domina*, na której okrucieństwo się uskarżasz, już zapłaciła haracz za swoje przewiny; nie spotka cię już z jej strony nic złego. Za kilka minut przywrócę ci wolność i oddam w ramiona przyjaciół, od których cię odłączono. Możesz polegać na mojej opiece. Podaj mi rękę i przestań się trwożyć. Pozwól, bym zawiódł cię w miejsce, w którym można cię będzie otoczyć staraniem, jakiego wymagają twoje nadwątlone siły.

– Och, tak! tak! tak! – radosny okrzyk dobył się z ust uwięzionej. – A więc istnieje Bóg, i to Bóg sprawiedliwy! Co za radość! Znowu odetchnę świeżym powietrzem i ujrzę jasne, wspaniałe światło słońca! Pójdę z tobą, nieznajomy panie! Pójdę z tobą! Och! niebo wynagrodzi ci, żeś ulitował się nad nieszczęśliwą! Ale ono także musi iść ze mną – dodała wskazując na zawiniątko, które wciąż przyciskała do łona. – Nie mogę się z nim rozstać. Wezmę je ze sobą. Niechże przekona świat, jak straszliwe są siedziby, zwane tak opacznie mieszkaniem sług Bożych. Zaczny nieznajomy panie! Podaj mi dłoń, bo chcę się podnieść; słaba jestem z głodu, strapienia i choroby i siły mnie całkiem odeszły. O, tak!

Lorenzo pochylił się, by ją podnieść, a wtedy światło kaganka padło wprost na oblicze młodzieńca.

– Wszechmogący Boże! – zawołała. – Czy to możliwe?... To wejrzenie! te rysy! Och, tak, to przecież...

Wyciągnęła ramiona, aby go objąć, lecz jej osłabione ciało nie mogło znieść wzruszeń, które wezbrały w jej piersi. Omdlała i na powrót osunęła się na słomę.

Lorenza zdumiał ten ostatni okrzyk. Pomyślał, iż już kiedyś słyszał podobne brzmienie głosu, jaki teraz dobył się ze ściśniętego gardła uwięzionej, ale gdzie – tego nie mógł sobie przypomnieć. Spostrzegł, że jej niebezpieczna słabość wymaga natychmiastowej pomocy lekarza, i postanowił jak najszybciej wyprowadzić ją z lochu. Przeszkodził mu w tym gruby łańcuch, opasujący ciało uwięzionej i przymocowany do pobliskiego muru. Jednakże dzięki swej przyrodzonej krzepkości i szczerzej chęci ulżenia tej biedaczce udało mu się rychło wyrwać hak, do którego przywiązany był jeden koniec łańcucha. Potem wziął kobietę na ręce i skierował się w stronę schodów. Zarówno błysk lampki, znajdującej się na górze, jak i szmer niewieścich głosów służyły mu za przewodników. Dotarł do schodów i w kilka minut później znalazł się przy żelaznej kracie.

Pod nieobecność Lorenza mniszki dręczyła zarówno okrutna ciekawość, jak złe

przecucia. Gdy ujrzały, jak młodzieniec wyłania się nagle z pieczary, ogarnęły je radość i zdziwienie.

Wszystkie serca wezbrały współczuciem dla nieszczęsnej istoty, którą trzymał w ramionach. Podczas gdy wszystkie zakonnice, a szczególnie Wirginia, zakrzętały się koło zemdlonej i usiłowały doprowadzić ją do przytomności, Lorenzo w kilku słowach opowiedział im, jak ją odnalazł. Potem oznajmił siostrzyczkom, że zamieszki na pewno już ustały i może je teraz bezpiecznie odprowadzić do domów ich przyjaciół. Wszystkie gorąco pragnęły opuścić grobowiec. Aby jednak uniknąć narażenia się na jakieś grubiaństwo, ubłagały Lorenza, by najpierw sam odważył się wyjść i zbadać, czy droga wolna. Młodzieniec przychylił się do owej prośby. Helena zaoferowała się odprowadzić go aż do schodów i już mieli wyruszyć, gdy jaskrawe światło padło z kilku przyległych korytarzy na ściany krypty. Jednocześnie posłyszano kroki spiesznie zbliżających się ludzi, których musiała być spora liczba. Okoliczność ta wielce zatrwożyła zakonnice; mniemały, iż odkryto ich schronienie i że zbliża się pościg zbuntowanego tłumu. Szybko odstąpiły od uwięzionej, która była nieprzytomna, skupiły się wokół Lorenza i domagały się, aby dotrzymał obietnicy i wystąpił w ich obronie. Tylko jedna Wirginia, starając się ulżyć niedoli bliźniego, zapomniała o grożącym jej samej niebezpieczeństwie. Wsparła głowę cierpiącej na swoich kolanach, obmywała jej skronie wodą różaną, rozcierała zimne dłonie i skrapiała twarz nieznajomej łzami, które współczucie wycisnęło z oczu dziewczynki. Gdy nieznajomi ludzie trochę się przybliżyli, Lorenzo mógł rozproszyć obawy proszących. Jego własne imię wypowiedziane przez liczne głosy, wśród których odróżnił głos księcia, rozeszło się donośnym echem po podziemnych sklepieniach i przekonało go, iż on sam był przedmiotem owych poszukiwań. Oznajmił ową nowinę mniszkom, które przyjęły ją z uniesieniem radości. Po kilku sekundach Lorenzo utwierdził się w swoim mniemaniu. Ukazali się don Ramirez i książę, a za nimi pachołkowie z pochodniami. Szukali Lorenza po wszystkich lochach, pragnąc go powiadomić, że tłuszcza się rozproszyła i zamieszki całkiem ustały. Lorenzo zdał krótką relację ze swoich przygód w pieczarze i wyjaśnił, że nieznajoma bardzo potrzebuje pomocy lekarza. Prosił księcia, by się zajął nią oraz zakonnicami i pensjonariuszkami klasztoru.

– Jeśli zaś o mnie idzie – rzecze Lorenzo – to wzywają mnie inne sprawy. Gdy ty, książę, wraz z połową łuczników będziesz odprowadzał te damy do ich domostw, życzę sobie, by druga połowa uzbrojonych ludzi została ze mną. Chcę zbadać pieczarę, która znajduje się pod tą kryptą, i przeniknąć do najtajniejszych zakątków grobowca. Nie spocznę, póki się nie przekonam, że ta nieszczęsna była jedyną ofiarą zabobonu uwięzioną w tych murach.

Książę przyklasnął zamiarom Lorenza. Don Ramirez ofiarował się dopomóc młodzieńcowi w jego poszukiwaniach i propozycja ta została z wdzięcznością przyjęta. Mniszki, wyraziwszy Lorenzowi słowa podziękowań, oddaliły się pod opieką jego stryja i opuściły grobowiec. Wirginia domagała się, aby nieznajomą powierzono jej pieczy, i obiecała, iż powiadomi Lorenza, gdy biedaczka na tyle wydobrzeje, że będzie mogła przyjąć jego odwiedziny. Prawdę mówiąc, uczyniła tę obietnicę bardziej ze względu na siebie niżli z uwagi na Lorenza lub uwięzioną. Wirginia spoglądała z prawdziwym wzruszeniem na uprzejmość, dobroć i nieustraszoną odwagę Lorenza. Gorąco pragnęła utrzymać tę znajomość, a oprócz uczucia litości dla uwięzionej żywiła w sercu nadzieję, że dzięki jej staraniom wokół tej nieszczęśliwej istoty wzrośnie chociaż o stopień szacunek Lorenza dla niej samej. Nie musiała się zgoła o to kłopotać. Dzięki okazanej już dobroci i czulej trosce, jaką otoczyła cierpiącą, dziewczyna zaskarbiła sobie wielce łaski Lorenza; gdy krzątała się, by ulżyć niedolom uwięzionej, to sam rodzaj tej czynności przydawał Wirginii nowych wdzięków, a piękności jej świeżych powabów. Lorenzo spoglądał na nią z podziwem i lubością; uważał ją za opiekuńczego anioła, który zstąpił z nieba dla wspomnienia

uciemnionej niewinności, i serce młodzieńca nie oparłoby się powabom Wirginii, gdyby nie strzegła go myśl o Antonii.

Księżę odprowadził mniszki zdrowo i cało do siedzib ich krewniaków. Wyrwana z lochu wciąż była nieprzytomna i nie dawała żadnych oznak życia prócz jęków, które od czasu do czasu dobywały się z jej piersi. Niesiono ją na pospiesznie skleconych noszach. Wirginia nie odstępowała od nich ani na krok, lękając się, iż wycieńczona długim postem i wstrząśnięta nagłym przejściem od więzów i ciemności do wolności i światła nie zdoła znieść tej nagłej zmiany. Lorenzo i don Ramirez nadal pozostawali w grobowcu. Naradziwszy się nad dalszym postępowaniem, postanowili, że podzielą łuczników na dwa oddziały. Don Ramirez z jednym oddziałem przeszuka pieczarę, a Lorenzo z drugim zbada dalsze podziemia. Uradziwszy to wszystko i zaopatrzywszy swoich pomocników w pochodnie, don Ramirez skierował się w stronę pieczary. Zszedł już z kilku stopni, gdy usłyszał, że jacyś ludzie spiesznie nadchodzą z dalszych zakamarków grobowca. Zdziwiło go to i nie ociągając się zawrócił ze schodów.

– Czy słyszysz kroki? – rzecze Lorenzo. – Chodźmy w ich kierunku. Zda się, że ktoś nadchodzi z tej strony.

W tej samej chwili głośny i przenikliwy krzyk skłonił go do przyspieszenia kroku.

– Pomocy! pomocy! na miłość boską! – zawołał głos, którego melodyjny dźwięk przeniknął grozą serce Lorenza.

Z chyżością błyskawicy pomknął w kierunku owego głosu, a don Ramirez równie szybko podążył w jego ślady.

[1] Wg legendy św. Łucja, która żyła na Sycylii w czasach Dioklecjana (III w. n.e.), nie chciała poślubić pewnego poganina i aby się oszpecić, wyłupiła sobie oczy. Bóg dał jej jednak oczy jeszcze piękniejsze, a odrzucony konkurent zadenuncjował dziewicę jako chrześcijankę. Miała ponieść śmierć męczeńską na stosie, lecz płomienie nie chciały jej dotknąć i kat przebił jej gardło mieczem. Św. Łucja przedstawiana bywa zazwyczaj z sztycją przesytyą mieczem, a czasem z misą, w której leżą jej oczy.

## Rozdział XI

*Wielkie nieba! jakie ułomnym stworzeniem*

*uczyniłyście człowieka!*

*Jakże nieświadomie zdradzającym przez samego siebie!*

*Nieszczęściem dla nas zbyt pewni jesteśmy własnych sił*

*Za mało czujni wobec wrogiej mocy.*

*Nieopatrznie błądzimy na skraju*

*ukwieconej przepaści Rozkoszy,*

*Wciąż przecie władni zawrócić z naszej drogi,*

*Póki nie wzbiorą potężne fale szalejącej namiętności,*

*Póki straszliwa nawałnica nie pogrąży*

*w chaosie ziemi i niebios.*

*My zaś, chyżo niesieni w głąb przepastnego oceanu,*

*Zbyt późno oplakujemy naszą beztroskę;*

*O nasze potępione głowy uderzają bałwany,*

*A sprzed niespokojnych oczu*

*umyka precz oddalający się ład.*

Matthew Prior, „Love and Reason”,  
1-4, 7-8, 15-20.



Przez cały ten czas Ambrozjo nic nie wiedział o straszliwych wydarzeniach, które rozgrywały się tak blisko niego. Myśli opata pochłonięte były bez reszty wprowadzaniem w czyn jego zamysłów wobec Antonii. Jak dotąd, zadowolony był z powodzenia swoich planów. Antonia wypijała eliksir sprowadzający sen, została pochowana w grobowcu klarysek i mógł z nią czynić, co mu się żywnie podobało. Matyllda, dobrze obznajomiona z naturą i skutkami owego usypiającego napoju, obliczyła, iż przestanie działać dopiero około pierwszej w nocy, Ambrozjo czekał więc niecierpliwie na ową godzinę. Dzięki uroczystości ku czci świętej Klary nadarzyła mu się sposobna okazja do popełnienia zamierzonego ohydneho uczynku. Był pewien, że mnisi i mniszki zajęci będą procesją, i nie miał żadnych powodów do obawiania się, iż ktoś przerwie mu sam na sam z Antonią. Zgodnie ze swym życzeniem wymówił się od wystąpienia w procesji na czele mnichów. Nie wątpił, że Antonia, pozbawiona wszelkiej pomocy, odcięta od całego świata i całkowicie zdana na jego łaskę, ulegnie jego żądaniom. W tym przeświadczeniu utwierdzał go afekt Antonii, z którym się nieraz wobec niego zdradzała; postanowił jednak, że gdyby dziewczyna okazała się upartą, żadne względy nie powstrzymają go od wzięcia jej siłą. Pewny, iż nikt go nie przydybie, nie wzdrygał się na myśl użycia przemocy, a jeśli nawet czuł do tego niejaką odrazę, to nie z poczucia wstydu czy litości, lecz z najżywszego i najszczerzego afektu, jaki żywił dla dziewczynki, i z pragnienia, by zawdzięczać względy Antonii tylko jej samej.

Mnisi wyszli z opactwa o północy. Matyllda znajdowała się pośród chórzystów i intonowała śpiewy. Ambrozjo został sam i swobodnie mógł folgować swoim zachciankom. Przekonany, iż w całym klasztorze nie ostał się nikt, kto mógłby śledzić jego ruchy lub przeszkodzić mu w uciechach, udał się spiesznie w stronę zachodniego krużganku. Z sercem wezbranym nadzieją, choć nie bez domieszki obawy, przeszedł przez ogród, otworzył furtkę wiodącą na cmentarz i w kilka minut stanął przed wejściem do podziemi. Tu zatrzymał się; podejrzliwie rozejrzał się dookoła świadom, iż jego poczynania nie były stosownym widokiem dla niczyich oczu. Gdy tak stał pełen wahania, posłyszał żalony krzyk sowy; wiatr głośno kołatał o okna sąsiedniego klasztoru, a przeciągający koło Ambrozja podmuch niósł z sobą nikłe odgłosy śpiewu chórzystów. Ostrożnie otworzył drzwi, jakby lękając się, że go ktoś usłyszy; wszedł i na powrót zawarł je za sobą. Wiedziony światłem kaganka, stąpił po długich korytarzach, obznajomiony z ich zakrętami i rozgałęzieniami dzięki uprzednim pouczeniom Matylldy, dotarł do małej, leżącej na uboczu krypty, w której spoczywała jego uspiona kochanka.

Odnalezienie wejścia do tego lochu nie było wcale łatwe, lecz nie stanowiło dla Ambrozja żadnej przeszkody, albowiem w czasie pogrzebu Antonii przyjrzał się drzewcom zbyt dokładnie, by się teraz pomylić. Odnalazł drzwi, których nie zaryglowano, pchnął je i zszedł po schodkach do lochu. Zbliżył się do skromnej krypty, w której spoczywała Antonia. Zaopatrzył się w żelazny drąg i siekierkę, lecz ta ostrożność okazała się zgoła niepotrzebna. Krata była tylko lekko przymocowana z zewnętrznej strony; podniósł ją i umieściwszy na jej brzegu kaganek, cicho pochylił się nad grobowcem. Tuż przy trzech nadgniłych i na pół zbutwiałych ciałach leżała uśpiona piękność. Żywe kolory, zwiastunki powracającego życia, już zabarwiły czerwienią policzki Antonii i gdy spowita w całun spoczywała na żałobnych marach, zdawała się jak gdyby uśmiechać do otaczających ją symboli śmierci. Spoglądając na próchniejące kości i obrzydłe postacie, które ongiś były może równie powabne i wdzięczne jak postać Antonii, Ambrozjo wspominał Elwirę, którą sam doprowadził do tego żałobnego stanu. Gdy przeniknęło mu przez myśli wspomnienie owego strasznego czynu, umysłem Ambrozja zawładnęła posępna groza, a jednak uczucie to przyczyniło się jedynie do umocnienia go w powziętym postanowieniu zhańbienia honoru Antonii.

– Dla ciebie, fatalna piękności! – wyszeptał mnich spoglądając na swoją upatrzoną ofiarę – dla ciebie dopuściłem się takiej zbrodni i zaprzedałem dusze na wieczyste męki. Teraz jesteś w mojej mocy; wreszcie nacieszę się owocami mojego grzechu. Nie łudź się, iż twoje prośby szeptane głosikiem o niezrównanej słodyczy, że twoje promienne oczy pełne łez i twoje dłonie wzniesione błagalnie, jakbyś w pokorze szukała przebaczenia Świętej Dziewicy, nie łudź się, że twoja wzruszająca niewinność, twój luby smutek i wszystkie twoje błagalne podstępki wykupią cię z moich uścisków. Zanim nadejdzie świt, musisz być i będziesz moja!

Podniósł ją, wciąż jeszcze bezwładną, z grobowego leża; przysiadł na kamiennej ławie i trzymając Antonię w ramionach, czekał na pierwsze oznaki powracającego życia. Z ledwością mógł utrzymać na wodzy płomienne swoje żądze i powstrzymać się od zaspokojenia ich w czasie nieprzytomności dziewczeczki. Wrodzona pożądliwość Ambrozja wzrosła na sile dzięki przeszkodom, jakie przeciwstawiły się jej zaspokojeniu, a także dlatego, iż od dawna nie znał niewiasty. Albowiem od chwili, gdy Matylda wyrzekła się praw do jego miłości, odsunęła go na zawsze od swego łoża.

– Nie jestem dziewczką, Ambrozjo – rzekła, gdy dopiekły mu żądze i gdy domagał się jej łask z większym niżli zazwyczaj zapalem. – Jestem teraz tylko twoim przyjacielem i nie chcę być twoją miłośnicą. Przestań więc nalegać, bym przystała na twoje życzenia, które mnie obrażają. Kiedy byłam panią twego serca, dumą i radością napawały mnie twoje uściski. Mineły jednak te szczęśliwe czasy; moja osoba zobojętniała ci i nie miłość, lecz potrzeba skłoniła cię do szukania we mnie uciechy. Nie mogę ulec żądaniom, które tak upokarzają moją dumę.

Ambrozjo, pozbawiony nagle doznawanych przedtem rozkoszy, które teraz stały się mu nieodzowne, ciężko odczuł owo ograniczenie. Z natury skłonny był do schlebiana zmysłom, a będąc gorącej krwi i w pełni sił męskich, dozwolił tak rozgorzeć namiętnościom, iż chuć przeobraziła się w szaleństwo. Z tkliwości mnicha do Antonii nie ostało się nic prócz niskich podszeptów żądz; wzdychał do jej posiadania i nawet ponurość krypty, panujące dookoła grobowe milczenie oraz opór, jakiego po dziewczeczce oczekiwał, zdały się wzmacniać jego dzikie i nieokiełznane pragnienie.

Poczuł, jak z łona spoczywającego na jego piersi zaczyna stopniowo promieniować powracające życie. Serce Antonii znowu poczęło kołatać, krew szybciej krążyła w żyłach, wargi poruszyły się. W końcu otwarła oczy, lecz ponieważ zmorzyło ją i oszołomiło działanie silnego napoju, natychmiast zamknęła je na powrót. Ambrozjo nie spuszczał z dziewczyny bacnych oczu i ani jedno poruszenie Antonii nie uszło przed jego wzrokiem. Spostrzegłszy, iż już całkiem

wróciła do życia, z uniesieniem porwał ją w ramiona i chciwie przywarł ustami do jej warg. Starczyło tego porywczego czynu, by rozproszyć opary snu zaciemniające umysł Antonii. Poderwała się raptownie i rzuciła dookoła obłądne spojrzenie. Osobliwy widok, który ze wszystkich stron przedstawiał się jej oczom, wzmógł jeszcze zmieszanie dziewczyny. Przyłożyła do czoła dłoń, jakby chcąc uspokoić wzburzoną wyobraźnię. Po niejakim czasie opuściła rękę po raz drugi, rozejrzała się po lochu. Wzrok Antonii zatrzymał się na twarzy opata.

– Gdzie jestem? – zawołała raptownie. – Jakże się tu dostałam? Gdzie mama? Zdawało mi się, że ją widziałam! O! jakiś sen, jakiś straszny sen powiedział mi... Ale gdzie ja właściwie jestem? Puść mnie! Nie mogę tu zostać!

Usiłowała powstać, ale mnich ją powstrzymał.

– Uspokój się, Antonio – odpowiedział. – Nic ci tutaj nie grozi. Zaufaj mojej opiece. Dlaczego mi się tak bacznie przyglądasz? Czy mnie nie poznajesz? Nie poznajesz swojego przyjaciela, Ambrozja?

– Ambrozja! mojego przyjaciela? Och! tak, tak, pamiętam... Ale dlaczego tu jestem? Kto mnie tu przywiódł? Dlaczego jesteś przy mnie?... Och! Flora kazała mi strzec się... Tu nie ma nic prócz grobów, trumien i szkieletów! Przeraza mnie to miejsce! Zacny Ambrozjo, weźże mnie stąd, bo wszystko przywodzi mi na myśl mój straszny sen. Zdawało mi się, że umarłam i złożono mnie w grobie! Dobry Ambrozjo, wyprowadź mnie stąd!... Czy nie chcesz tego uczynić? Och! naprawdę nie! Nie spoglądaj na mnie takim wzrokiem! Twoje płonące oczy napełniają mnie grozą!... Oszczędź mnie, ojcze! Och! oszczędź mnie, na litość boską!

– Skądże ten przestrah, Antonio? – odparł opat tuląc ją w ramionach i zasypując jej piersi pocałunkami, przed którymi na próżno starała się obronić. – Czego obawiasz się z mojej strony? ze strony człowieka, który cię tak umiłował? Czy to ważne, gdzie się znajdujesz? Ten grobowiec zda mi się siedliskiem miłości. Ten mrok – to przyjazna i tajemnicza noc, którą miłość roztoczyła nad naszymi uciechami. Tak właśnie wyobrażam to sobie i tak winna mniemać moja Antonia. Tak, moja luba dziewczeczko! tak! Twoja krew winna rozgorzeć takim samym ogniem, jaki krąży w moich żyłach, a lubość Ambrozja wzmoże się, jeśli będziesz ją z nim dzieliła.

To mówiąc ponowił uściski i pozwolił sobie na nieprzystojne poufałości. Nawet nie znająca życia Antonia zdała sobie sprawę ze swobody jego poczynań. Świadoma grożącego jej niebezpieczeństwa, siłą wyrwała się z objęć Ambrozja, a ponieważ całun stanowił jej jedyne odzienie, starannie się nim owinęła.

– Puść mnie, ojcze! – zawołała; jej szczerze oburzenie łagodził strach, płynący z jej całkowitej bezbronności. – Dlaczego przywiódłeś mnie w to miejsce? Wszystko dookoła mrozi mi ze zgrozy krew w żyłach! Wyprowadź mnie stąd, jeśli masz jeszcze w sobie iskierkę miłosierdzia i ludzkości! Pozwól mi wrócić do domu, który opuściłam, sama nie wiem, jak i kiedy, bo nie chcę i nie powinnam pozostawać tu ani chwili dłużej.

Chociaż rezolutny ton, jakim przemawiała Antonia, zbił nieco z tropu Ambrozja, to jednak słowa dziewczyny nie odniosły żadnego skutku prócz wprawienia opata w zdumienie. Złapał ją za rękę, siłą posadził na kolanach i sycąc oczy widokiem dziewczeczki odrzekł jej w te słowa:

– Uspokój się, Antonio. Opór na nic ci się nie przyda, a ja nie muszę już dłużej zapierać się mojej miłości do ciebie. Wszyscy wyobrażają sobie, że nie żyjesz; świat jest dla ciebie na zawsze stracony. Jesteś tu sama i tylko ze mną, znajdujesz się całkowicie w mojej mocy, a mnie palą żądze, które muszę zaspokoić lub pożegnać się z życiem. Ale chcę zawdzięczać szczęście tylko tobie. Moja luba dziewczeczko! moja miła Antonio! Dozwól, bym dopełnił twej edukacji i objaśnił ci owe uciechy, które są ci jeszcze nie znane, oraz nauczył cię odczuwać w moich ramionach tę lubość, której sam winienem rychło zaznać w twoich objęciach. Nie, niemądrze



czynisz, że się opierasz – ciągnął dalej widząc, że Antonia odpycha jego pieśczoćy i usiłuje wyslizgnąć się z jego uścisku. – Nikt ci nie przybieży na pomoc; ani niebo, ani ziemia nie wyzwolą cię z moich objęć. Dlaczego tedy odrzucasz uciechy, tak słodkie i błogie? Nikt na nas nie spogląda; nasze obcowanie będzie dla całego świata tajemnicą. Miłość i sposobność zapraszają cię do pofolgowania żądzom. Ulegnij im, moja Antonio, ulegnij im, moja nadobna dziewczeczko! Zarzuć mi czule ramiona na szyję, połącz twoje usta z moimi aż do utraty tchu! Ozy natura, pośród swych wszystkich darów, odmówiła ci najcenniejszego: wrażliwości na rozkosz? O! to niepodobna! Każdy twój rys, wejrzenie i ruch świadczą, że zostałaś stworzona do szczęścia i uszczęśliwiania! Nie zwracaj ku mnie tych błagalnych oczu, przyjrzyj się własnym powabom; one rzekną ci, iż będę nieczuły na twoje prośby. Czy mogę wyrzec się tych członków tak białych, tak pulchnych i tak delikatnych! tych nabrzmiałych piersi, krągłych, pełnych i jędrnych! tych usteczek obdarzonych taką niewypowiedzianą słodyczą! Czy mogę wyrzec się tych skarbów i dozwolić, aby kto inny się nimi nacieszył? Nie, Antonio, nigdy tego nie uczynię, nigdy! Przysięgam ci na ten pocałunek i na ten, i na ten jeszcze!

Z każdą chwilą żądza mnicha rozpałała się coraz żywszym płomieniem, a przerażenie Antonii wzrastało. Szamotała się, chcąc wydobyć się z jego uścisku. Próżne były jej wysiłki, a widząc, że Ambrozjo coraz śmieiej sobie poczyna, zawołała o pomoc, co sił w głosie. Sam wygląd krypty – blade migotanie kaganka, zalegające dookoła mroki, widok grobów i innych przedmiotów przywodzących na myśl śmierć, które ze wszystkich stron nasuwały się jej na oczy – wszystko to nie budziło w Antonii tych wzruszeń, które przepełniały pierś Ambrozja. Nawet jego pieśczoćy przerażały ją swoją gwałtownością i nie wzniecały w niej żadnego innego uczucia prócz trwogi. Przeciwnie, przestraszona dziewczeczka, jej widoczny wstręt i ustawiczny opór zdawały się tylko rozpałać pożądlivość mnicha i wzmacniać jego grubiaństwo. Nikt nie słyszał wołania Antonii, krzyczała jednak dalej i nie zaniechała prób ucieczki, póki wyczerpana i zdyszana nie osunęła się z ramion Ambrozja i nie padła na kolana, raz jeszcze uciekając się do próśb i błagań. I tym razem nie na wiele się jej to zdało. Przeciwnie, gwałtciciel, wykorzystując sposobną sytuację, rzucił się na Antonię. Przycisnął ją, omal nieżywą ze strachu i osłabioną walką, do łona. Zdusił krzyki Antonii pocałunkami, obszedł się z nią z grubiaństwem godnym nieokrzesanego barbarzyńcy, folgował sobie w poufałościach i w rozpasaniu lubieżnego szału poranił i poznaćzył sińcami jej delikatne ciało. Nie zważając na łzy, krzyki i błagania Antonii, posiadał dziewczeczkę i nie odstąpił swej zdobyczy, póki nie dopełnił zbrodni i nie pohańbił dziewicy.

Zaledwie dokonał tego czynu, a już zadrżał nad samym sobą i sposobami, do jakich się uciekł, by narzucić Antonii swoją wolę. Nawet sam nadmiar zapału, z jakim zdobywał Antonię, wzbudził w Ambrozju uczucie niesmaku, zaś jakiś tajemny wewnętrzny głos mówił mu, jak podłą i tchórzowską była zbrodnia, której się właśnie dopuścił. Chyżo wysunął się z ramion nieszczęśliwej. Ta, która tak niedawno była przedmiotem jego podziwu, nie wzbudzała obecnie w jego sercu żadnych uczuć prócz odrazy i wściekłości. Odsunął się od niej, a jeśli oczy jego mimowolnie spoczęły na jej postaci, to tylko po to, by rzucać na nią nienawistne wejrzenia. Nieszczęsna dziewczyna zemdlała w chwili, w której dopełniła się jej hańba; ocknęła się jedynie po to, by uświadomić sobie swoją niedolę. Wciąż leżała na ziemi w niemej rozpacz; łzy jedna po drugiej spływały wolno po jej liczku, a łonem wstrząsały ustawiczne łkania. Złamana rozpaczą, trwała czas jakiś w tym stanie odrętwienia. Na koniec z trudem podniosła się z ziemi i powlokła chwiejnym krokiem w stronę drzwi, gotując się do opuszczenia lochu.

Dźwięk jej kroków wyrwał mnicha z posepnej zadumy. Poderwał się z płyty grobowej, na której spoczywał, i wzrok jego prześlizgnął się po butwiejących i rozpadających się w trumnach ciałach; rzucił się w pogoń za ofiarą swego grubiaństwa i wnet ją zatrzymał. Złapał Antonię za

rękę i gwałtownym ruchem wciągnął na powrót w głąb lochu.

– Dokąd idziesz? – zawołał srogim głosem. – Wracaj natychmiast!

Antonia zdrząła na widok jego rozwścieczonego oblicza.

– Czegóż jeszcze chcesz ode mnie? – odrzekła nieśmiało. – Czy nie dopełniła się już moja zguba? Czy nie jestem pohańbiona na zawsze? Czy jeszcze nie zadowoliliś swego okrucieństwa i czekają mnie dalsze cierpienia? Dozwól mi odejść, dozwól mi wrócić do domu i swobodnie wypłakać mój wstyd i boleść.

– Wrócić do domu? – powtórzył mnich z gorzką i wzdrgliwą drwiną w głosie. Potem nagle oczy rozgorzały mu wściekłością. – Do domu? abyś poskarżyła się na mnie przed całym światem, abyś ogłosiła mnie obłudnikiem, gwałtciem, zdrajcą oraz potworem okrucieństwa, lubieżności i niewdzięczności? Nie, po trzykroć nie! Znam dobrze całe brzemie moich grzechów; wiem dobrze, że twoje skargi byłyby aż nazbyt słuszne, a moje zbrodnie nazbyt dobrze znane! Nie wyjdiesz stąd, aby rozgłaszać w Madrycie, że jestem łotrem, że na moim sumieniu ciążyą grzechy, które każą mi wątpić w miłosierdzie niebios. Nieszczęsna dziewczyno! musisz tu ze mną pozostać. Tutaj, pośród tych samotnych grobów, tych wyobrażeń śmierci, tych gnijących, obrzydłych i zmurszałych ciał. Tu musisz zostać i spoglądać na moje męki. Przekonaj się na własne oczy, co to znaczy pozostawać w straszliwych szponach zwątpienia i dobywać z piersi ostatnie westchnienie, pełne bluźnierstw i przekleństwa!... A przez kogo to wszystko się stało? Co przywiodło mnie do zbrodni, na których wspomnienie drzę z przerażenia? Przekłeta czarownico! czy nie była to właśnie twoja piękność? Czy nie pogrzyłaś mojej duszy w odmętach hańby? Czy nie uczyniłaś ze mnie krzywoprzysięzcy, obłudnika, gwałtciela i mordercy? Nie! Czy nawet w tej chwili to anielskie wejrzenie nie każe mi zwątpić o przebaczeniu Boga? O! gdy stanę przed Jego sędziowskim tronem, starczy tego wejrzenia, bym został potępiony! Ty rzekniesz mojemu sędziemu, że byłaś szczęśliwa, póki ja cię nie ujrzałem, żeś była niewinna, póki ja cię nie pokalałem. Przyjdiesz z tymi zażawionymi oczyma, z tym licem pokrytym śmiertelną bledością, z tymi błagalnie wzniesionymi rękami, jak wtedy, kiedy szukałaś u mnie zmiłowania, którego ci nie okazałem. A wtedy nie uniknę potępienia! Potem zjawi się duch twojej matki i zepchnie mnie precz do siedziby szatanów, płomieni, furyj i wieczystej udręki! I to ty chcesz mnie oskarżać? To ty masz stać się przyczyną moich mąk?... Ty, nędzna dziewczyno, właśnie ty!

To mówiąc grzmiącym głosem, chwycił Antonię za ramię i kopał ziemię w szaleńczym zapamiętaniu.

Antonia mniemając, że opuścił go rozum, padła w przerażeniu na kolana, wzniosła ręce ku górze, głos zaś rwał się jej i załamywał, nim wypowiedziała pierwsze słowo.

– Oszczędź mnie, oszczędź! – wyszeptowała z trudem.

– Milcz! – zawołał z pasją Ambrozjo i powalił ją na ziemię.

Odstąpił od niej i przechadzał się po lochu ze wściekłym i wzburzonym obliczem. Toczył dokoła straszliwym wzrokiem; Antonia drżała, ilekroć spotkała się z jego wejrzeniem. Ambrozjo zdawał się medytować nad czymś straszliwym, przeto Antonię odstąpiła wszelka nadzieja, że zdoła żywa ujsć z grobowca. A jednak dopuszczając do siebie tę myśl nie była wobec Ambrozja sprawiedliwa. Choć dusza mnicha wydana została na pastwę grozy i wstrętu, to przecie żarzyła się w niej jeszcze iskierka litości dla jego ofiary. Kiedy raz przewaliła się burza namiętności, Ambrozjo oddałby cały świat, gdyby go tylko posiadał, dla przywrócenia Antonii tej niewinności, której pozbawiła dziewczeczkę jego nieokielznana żądza. W sercu mnicha nie pozostało ani śladu pragnień, które pchnęły go do zbrodni. Wszystkie skarby Indii nie skusiłyby go, by po raz drugi posiadał Antonię. Cała natura Ambrozja zdawała się wzdrygać na myśl o takim postępku i chętnie wymazałby z pamięci scenę, która się odbyła. W miarę jak słabła jego

ponura zaciekłość, wzrastało współczucie dla dziewczeczki. Przystanął i chętnie zwróciłby się do niej ze słowami pocieszenia, lecz nie wiedział, skąd je wziąć, więc tylko stał spoglądając na nią smętnie i w pomieszczeniu. Położenie Antonii wydało mu się tak beznadziejne, tak żalosne, że nikt śmiertelny nie mógł w żaden sposób jej ulżyć. Cóż mógł dla niej uczynić? Utraciła spokój ducha, cześć jej była bezpowrotnie stracona. Została na zawsze odłączona od ludzi, Ambrozjo zaś nie odważyłby się na przywrócenie jej światu. Świadom był, że gdyby na powrót pokazała się wśród ludzi, wyszłoby na jaw jego przestępstwo i zawisłaby nad nim nieuchronna kara. Dla kogoś tak obciążonego grzechami jak Ambrozjo myśl o śmierci niesie ze sobą podwójną groźbę. Gdyby jednak wywiódł Antonię na światło dzienne, narażając się na to, iż dziewczyna zdradzi jego postępek, to jakaż nędza przyszłość by ją oczekiwała. Nie mogła żywić najmniejszej nadziei na szacunek i pozycję w świecie; byłaby napiętnowana hańbą i skazana na smutek i samotność do końca swoich dni. Jakie było drugie wyjście? Powzięcie postanowienia znacznie straszliwszego dla Antonii, lecz przynajmniej zapewniłoby ono opatowi całkowite bezpieczeństwo. Zdecydował, iż pozostawi świat w przekonaniu o śmierci dziewczyny i zatrzymają uwięzioną w tym posepnym lochu. Miał zamiar odwiedzać ją tu każdej nocy, przynosić jej pożywienie, wyznawać jej swoją skruchę i wspólnie z nią wylewać łzy. Mnich czuł, iż była to okrutna i niesprawiedliwa decyzja, lecz był to jedyny sposób, by przeszkodzić Antonii w rozgłoszeniu jego winy i jej niesławy. Uwalniając dziewczeczkę, nie mógłby polegać na jej milczeniu. Jego zbrodnia była zbyt wielka, by mógł spodziewać się przebaczenia swej ofiary. Co więcej, ponowne ukazanie się Antonii wzbudziłoby powszechną ciekawość, a ogrom jej zgryzoty uniemożliwiłby dziewczeczce zatajenie przyczyny smutku. Postanowił więc, że Antonia winna pozostać uwięziona w lochu.

Przybliżył się do niej ze zmieszonym obliczem. Podniósł ją z ziemi – dłoń Antonii zadrżała pod jego ręką – i wypuścił ją z uścisku z uczuciem, iż dotknął węża. Sama natura zdawała wzdrygać się przed tym dotknięciem. Miał wrażenie, iż jednocześnie coś go do niej przyciąga i odpycha, a przecież nie mógł sobie wytłumaczyć owych sentymentów. W wejrzeniu Antonii malowało się coś, co napełniało go grozą, a choć rozeznanie Ambrozja wciąż było zaciemnione, sumienie jasno wskazywało mu cały ogrom jego zbrodni. Głosem wzburzonym, choć w najłagodniejszych słowach, na jakie mógł się zdobyć, odwróciwszy od niej wzrok, ledwo słyszalnym szeptem usiłował pocieszyć ją w nieszczęściu, którego już nie sposób było odwrócić. Oświadczył, iż jest szczerze skruszony i że za każdą łzę, którą wycisnęło z jej oczu jego barbarzyństwo, chętnie przelałby kroplę własnej krwi. Udręczona i bezsilna Antonia przysłuchiwała się mu w smutnym milczeniu, lecz kiedy oświadczył jej, że zostanie zamknięta w grobowcu, ów potworny wyrok, który zdawał się jeszcze gorszy od śmierci, wyrwał ją natychmiast z odrętwienia. Wieść nędzne życie w ciasnej, obrzydłej celi, niedostępnej dla żadnej ludzkiej istoty prócz jej gwałciciela; być otoczoną butwiejącymi trupami, wdychać jadowite i zgubne opary, nigdy więcej nie oglądać światła i nie móc zachłysnąć się czystym powiewem niebios – myśl o tym była tak straszliwa, iż Antonia nie mogła jej ścierpieć. Samo wyobrażenie o tym przewyciężyło nawet odrazę dziewczeczki do mnicha. Znowu padła na kolana i natarczywie błagała jego litości w najbardziej wzruszających słowach. Obiecywała, że skoro tylko przywróci jej wolność, ukryje przed światem swoje krzywdy. Prosiła, by obmyślić racje, jakie tylko sam uzna za najważniejsze, dla wyjaśnienia, skąd znowu zjawiła się na świecie; by zaś nie dopuścić, aby padł na niego choćby cień podejrzenia, zobowiązała się natychmiast wyjechać z Madrytu. Błaganie jej były tak żarliwe, iż wywarły na mnichu niemałe wrażenie. Rozważał, że ponieważ Antonia nie wzbudza już jego pożądania, trzymanie jej w ukryciu, jak poprzednio zamierzał, nie ma dlań żadnego celu. Przyszło mu na myśl, że więzząc ją, powiększy tylko krzywdy, które już wycierpiała, i że jeśli dziewczyna dotrzyma swoich obietnic, to czy przebywać będzie

w więzieniu, czy na wolności, on, Ambrozjo, może być pewny zarówno życia, jak i dobrej sławy. Z drugiej strony, drżał, że Antonia pogrążona w rozpacz może niechętnie złamać swoje zobowiązanie lub że jej wielka prostoduszność oraz nieznanostwo wszelkich podstępów umożliwi komuś chytrzejszemu wniknąć w jej tajemnicę. Choć wszystkie te obawy opierały się na słusznych podstawach, litość i szczere pragnienie naprawienia w miarę możliwości swego błędu skłaniały Ambrozja do przychylenia się do prośb Antonii. Tylko jedno przedłużało wahanie się mnicha, a mianowicie trudność w wytłumaczeniu nieoczekiwanego powrotu dziewczyny do życia po jej mniemanej śmierci i publicznym pochówku. Wciąż dumiał nad sposobem, jak by usunąć ową przeszkodę, gdy nagle usłyszał odgłos szybko zbliżających się kroków. Drzwi krypty rozwarły się i wpadła Matyllda, wyraźnie strwożona i zmieszana.

Antonia spostrzegszy przybycie obcej osoby wydała okrzyk radości, lecz nadzieje na pomoc nieznanemu rychło się rozwiały. Domniemany nowicjusz, nie okazawszy najmniejszego zdziwienia, iż znajduje kobietę sam na sam z mnichem w tak osobliwym miejscu i o tak późnej porze, ozwał się doń nie zwlekając:

– Co począć, Ambrozjo? Jeśli nie znajdzie się jakiś szybki sposób na rozpędzenie zbuntowanej hałastry, jesteście zgubieni. Ambrozjo, klasztor klarysek stoi w płomieniach; przeorysza padła ofiarą rozwścieczonego tłumu. Opactwu już zagraża podobny los. Mnisi, przerażeni pogrozkami pospólstwa, szukają cię po wszystkich zakamarkach. Zda im się, że sama powaga twojej osoby wystarczy do uspokojenia tych zamieszek. Nikt nie wie, co się z tobą stało, zaś twoja nieobecność wzbudza powszechną rozpacz i zdumienie. Skorzystałam z zamętu i przybiegłam tu, by ostrzec cię przed niebezpieczeństwem.

– Rychło znajdzie się na to rada – odrzekł opat. – Pospieszę na powrót do celi i znajdę błahą przyczynę do wytłumaczenia mojej nieobecności.

– To niemożliwe – odparła Matyllda. – Grobowiec jest pełen łuczników. Lorenzo de Medina wraz z kilkoma urzędnikami inkwizycji przeszukują wszystkie podziemia i przepatrują wszystkie korytarze. Uciekając stąd, zostaniesz przychwycony; zaczną wglądać w przyczyny, dla których znajdujesz się w grobowcu o tej późnej godzinie; odnajdą Antonię, a wtedy jesteś na zawsze zgubiony!

– Lorenzo de Medina? Urzędnicy inkwizycji? A cóż ich tu sprowadza? Czy mnie szukają? Mają mnie więc w podejrzeniu? Och! przemów, Matylldo, rzeknij mi coś, na litość boską!

– Jak dotychczas, nie o ciebie im chodzi, lecz obawiam się, że niedługo i do tego dojdzie. Istnieje tylko jedna możliwość, że cię nie odnajdą: trudność dotarcia do tej właśnie krypty. Drzwi są przemyślnie schowane, może szczęśliwie ich nie zauważą i będziemy mogli zostać w ukryciu, póki nie skończą poszukiwań.

– A co z Antonią?... Jeśli inkwizytorzy znajdą się w pobliżu i usłyszą jej krzyki...

– Tak oto usunę owo niebezpieczeństwo – przerwała mu Matyllda. Jednocześnie wyciągnęła sztylet i rzuciła się na upatrzoną ofiarę.

– Wstrzymaj się! wstrzymaj się! – zawołał Ambrozjo chwytając ją za rękę i wyrwijając jej wzniesione już ku górze narzędzie śmierci. – Cóż chcesz uczynić, okrutna niewiasto? Ta nieszczęśliwa aż nadto się już wycierpiała dzięki twoim zgubnym podszeptom! Że też Bóg nie sprawił, bym nigdy był nie oglądał twojego oblicza! Że też Bóg nie ustrzegł mnie od pójścia za twoimi radami!

Matyllda rzuciła mu wzgardliwe wejrzenie.

– Głupiec z ciebie! – wykrzyknęła z gniewną i wyniosłą miną, która napełniła mnicha czcią i zgrozą zarazem. – Czy lękasz się pozbawić Antonii tego nędznego żywota, obrabowawszy ją ze wszystkiego, co czyniło go jej drogim? Niech więc żyje i przekona cię o twojej głupocie.

Porzucam cię na pastwę twego złego przeznaczenia. Wyrzekam się naszego przymierza! Ten, kto wzdryga się przed popełnieniem tak błahej zbrodni, nie zasługuje na moją opiekę. Cicho! cicho! Ambrozjo! czy słyszysz kroki łuczników? Nadchodzą i zguba twoja jest nieunikniona.

W tej właśnie chwili opat usłyszał szmer odległych głosów. Pospieszył, by zamknąć drzwi, od których zawisło jego bezpieczeństwo, a które Matylda zapomniała zaryglować od wewnątrz. Nim jednak zdołał dotrzeć do drzwi, zoczył, jak Antonia nagle prześlizgnęła się koło niego, wypadła na korytarz i jak strzała pomknęła w kierunku zbliżającego się hałasu. Antonia przysłuchiwała się uważnie słowom Matyldy; doszło do jej uszu imię Lorenza i postanowiła wszystko wystawić na hazard, byle znaleźć bezpieczną przystań w jego ramionach. Drzwi były otwarte. Odgłos kroków przekonał ją, że łucznicy muszą znajdować się w pobliżu. Zebrała w sobie resztkę sił, przemknęła koło mnicha, nim ten spostrzegł jej zamiar, i chyżo pobiegła w stronę dochodzących ją głosów. Opat, ochłonawszy nieco z pierwszego zaskoczenia, nie omieszkał rzucić się za nią w pogoń. Próżno Antonia przyspieszała kroku i wyteżała wszystkie siły. Wróg z każdą chwilą zyskiwał nad nią przewagę; słyszała tuż za sobą jego stapanie i czuła, jak jego gorący oddech owiewa jej kark i szyję. Dogonił ją; wczepił dłonie w kędziory rozpuszczonych włosów dziewczyny i usiłował wciągnąć ją na powrót do lochu. Antonia opierała się z całej mocy. Objęła ramionami jedną z kolumn podpierających strop i głośno wołała o pomoc. Mnich próżno starał się zmusić ją do milczenia.

– Na pomoc! – wołała raz za razem dziewczyna – na pomoc! na pomoc, na litość boską!

Słysząc już było nadchodzących ludzi, którzy na krzyk Antonii przyspieszyli kroku. Opat oczekiwał, iż w każdej chwili ukażą się inkwizytorzy. Antonia wciąż stawiała opór; zmusił ją tedy do milczenia najokropniejszym i najbardziej nieludzkim sposobem. Dzierzył jeszcze w dłoni sztylet Matyldy; bez chwili wahania podniósł go i dwukrotnie zatopił w piersi Antonii! Krzyknęła i osunęła się na ziemię. Mnich usiłował unieść ją ze sobą, ale dziewczeczka wciąż kurczowo ścisnęła kolumnę. W tej samej chwili światło zbliżających się pochodni rozblęsnęło na ścianach. W obawie przychwycenia na gorącym uczynku Ambrozjo musiał porzucić swoją ofiarę i spieszenie umknął z powrotem do krypty, w której zostawił Matyldę.

Dostrzeżono jego ucieczkę. Don Ramirez, który szedł pierwszy, zoczył na ziemi skrwawioną kobiecą postać oraz mężczyznę, który w popłochu umykał z owego miejsca, co zdradzało, iż to właśnie on był mordercą. Z kilkoma łucznikami puścił się natychmiast w pościg za zbiegiem, gdy inni żołnierze zatrzymali się wraz z Lorenzem, by zaopiekować się raną nieznaną. Podnieśli ją z ziemi i podtrzymali w ramionach. Niewiasta omdlała z nadmiaru bólu, lecz rychło jęła dawać oznaki życia. Otworzyła oczy, a gdy podniosła głowę, opadły w tył obfite złote włosy, które przesłaniały jej twarz.

– Wszechmogący Boże! to Antonia.

Tak zawołał Lorenzo, wrywając dziewczynę z ramion jednego z łuczników i tuląc ją do łona. Chociaż cios zadała niewprawna ręka, sztylet aż nazbyt dobrze dopełnił zamierzenia mordercy. Antonia odniosła śmiertelne rany i wiedziała, że już nie ozdowieje. A jednak owe kilka minut, jakie jej pozostawały, były chwilami szczęścia. Głęboka troska, jaka malowała się na obliczu Lorenza, gorące i tklive słowa, w jakich się nad nią użalał, i żarliwe dopytywanie się o jej rany całkowicie przekonały dziewczeczkę, że młodzieniec odwzajemniał jej uczucie. Nie chciała, by wyniesiono ją z krypty, obawiając się, że najmniejsze poruszenie mogłoby tylko przyspieszyć jej zgon: nie chciała utracić owych chwil, które mogła spędzić z Lorenzem, przyjmując dowody jego miłości i zapewniając go z kolei o swoim afekcie. Wyznała mu, że gdyby dziewictwo jej pozostało nieskalane, mogłaby ubolewać nad utratą życia, ale ponieważ została pozbawiona czci i napiętnowana hańbą, śmierć była dla niej błogosławieństwem. Powiedziała, iż nie mogłaby zostać żoną Lorenza, a skoro odebrano jej tę nadzieję, bez jednego westchnienia żalu schodzi do

grobu. Prosiła, by nie upadał na duchu, zaklinała go, by nie pogrążał się w jałowym smutku, i oświadczyła, iż niczego i nikogo nie opłakuje odchodząc z tego świata, prócz jego jedyne. Tkliwe słowa Antonii pomnażały raczej, niżli kołły boleść Lorenza; dziewczeczka szeptała jeszcze, póki śmierć nie zamknęła jej oczu. Głos Antonii stawał się coraz słabszy i ledwo dosłyszalny, gęsta mgła roztoczyła się przed jej oczyma, serce biło wolno i nierówno i każda minuta zdała się zwiastować, że los jej już się miał dopełnić.

Leżała z głową wspartą na piersi Lorenza, a wargi jej wciąż szeptały słowa pocieszenia. Rozmowę kochanków przerwał klasztorny dzwon, który gdzieś w oddali wybił godzinę. Oczy Antonii rozblęły nagle niebiańską jasnością, całe ciało zdało się nabierać nowych sił i ożywienia. Uniosła się z ramion kochanka wołając:

– Trzecia godzina! Już idę, matko!

Złożyła dłonie i padła martwa. Lorenzo, oszalały z rozpacz, rzucił się przy niej na ziemię. Rwał włosy na głowie, bił się w piersi i w żaden sposób nie dał się odciągnąć od zmarłej. W końcu siły młodzieńca wyczerpały się; pozwolił, by go wyprowadzono z krypty i przeniesiono do pałacu Medinów, prawie tak samo martwego jak nieszczęśliwa Antonia.

Tymczasem mnichowi udało się dotrzeć do krypty, choć pogoń wciąż następowała mu na pięty. Kiedy nadszedł don Ramirez, drzwiczki lochu już zaryglowano i upłynęło sporo czasu, nim odkryto schronienie zbiega. Nic jednak nie ostoi się przed wytrwałością. Chociaż drzwiczki były zmyślnie zamaskowane, nie uszły czujności łuczników. Wyważyli je i wkroczyli do krypty ku niewypowiedzianej trwodze Ambrozja i jego towarzyszki. Zmieszanie mnicha, próby ukrycia się, szybka ucieczka i odzienie splamione krwią nie pozostawiały żadnej wątpliwości, iż właśnie on był mordercą Antonii. Lecz gdy rozpoznano w nim nieskalanego grzechem Ambrozja, „Męza Świątobliwego” i bożyszcze Madrytu, zdumienie sparaliżowało mózgi i serca obecnych i z trudem zdolali przekonać siebie, że to, co widzą, nie jest urojeniem. Opat nie próbował się usprawiedliwiać i trwał w ponurym milczeniu. Pochwycono go i skrupowano. Te same środki ostrożności zastosowano wobec Matyldy. Zsunięto jej kaptur z głowy, a wtedy delikatność jej rysów i obfitość złotych włosów zdradziły jej pleć, co wzbudziło nowe zdziwienie. W grobowcu odnaleziono również sztylet porzucony ręką Ambrozja; po dokładnym przeszukaniu całego lochu przez łuczników dwoje winowajców odprowadzono do więzienia inkwizycji.

Don Ramirez dopilnował, by pospólstwo nie dowiedziało się ani o zbrodni, ani o profesji obu więźniów. Obawiał się, że znowu powtórzą się zamieszki, które nastąpiły po oskarżeniu przeoryszy i lękając się wściekłości pospólstwa, przed którą już raz z wielkim trudem ocalili klasztor, chętnie zgodzili się, by inkwizytorzy po cichu przetrząsnęli ich siedzibę. Nie odkryto nic nowego. Przedmioty znalezione w celach opata i Matyldy zostały zabrane i przekazane inkwizycji jako jeden z dowodów. Wszystko inne pozostało po staremu i porządek i spokój znowu zapanowały w Madrycie.

Klasztor klarysek uległ zupełnemu zniszczeniu; spustoszenia dopełniła zarówno zbuntowana tłuszcza, jak i pożoga. Z budowli pozostały tylko zewnętrzne mury, których grubość i masywność uratowała je przed działaniem ognia. Skutkiem tego mniszki zamieszkałe w klasztorze musiały rozproszyć się i szukać schronienia w innych zgromadzeniach zakonnych. Żywiono jednak do owych niewiast takie uprzedzenie, że przełożeni nie kwapili się do ich przyjęcia. Ponieważ jednak większość zakonnic spokrewniona była z najznakomitszymi rodami Madrytu, sławnymi z bogactw, urodzenia i władzy, wiele klasztorów musiało przyjąć bezdomne mniszki, choć zgromadzenia były z tego wielce niekontente. Owo uprzedzenie było zgola niesłuszne i nie poparte żadnym dowodem. Po ścisłym badaniu okazało się, że wszyscy w klasztorze przekonani byli o śmierci Agnes – z wyjątkiem czterech zakonnic, które wskazała matka Urszula. Przystępczyni padły ofiarą rozbestwionego tłumu, podobnie jak i kilka innych

klarysek, które w niczym nie zawiniły i nic nie wiedziały o całej sprawie. Zaślepiona wściekłością hałastra mordowała każdą mniszkę, która wpadła jej w ręce; te zakonnice, które się uratowały, zawdzięczały ocalenie jedynie roztropności i umiarkowaniu księcia Medyny. Świadome tego, żywiły dla owego szlachcica należne uczucie wdzięczności.

Wirginia nie należała do tych, które szczędziły słów podziękowań; pragnęła zarówno odwzajemnić się księciu jak należy za jego starania, jak i wkraść się w łaski stryja Lorenza. Łatwo jej się to powiodło. Księżę spoglądał na piękność Wirginii z podziwem i admiracją; jego oczy zachwyciły się postacią dziewczyny, a jej pełne słodczy łożenie i czuła troskliwość, jaką okazywała cierpiącej mniszce – łaskawie usposobiły dla Wirginii serce księcia. Wirginia była na tyle bystra, że to dostrzegła, i podwoiła starania koło chorej. Gdy księżę rozstawał się z Wirginią przed bramą ojcowskiego pałacu, poprosił ją, by pozwoliła mu dowiedzieć się od czasu do czasu o jej zdrowie. Skwapliwie na to przystała; zapewniła go również, iż markiz de Yilla Franca dumny będzie, mogąc księciu wyrazić osobiście podziękowanie za opiekę nad córką. Rozstali się; on oczarowany pięknnością i słodczyą Wirginii, a ta kontenta z niego, a jeszcze więcej z jego bratanka.

Po wejściu do pałacu Wirginia natychmiast zatroszczyła się, by wezwano domowego cyrulika, i zleciła mu opiekę nad nieznana pupilką. Matka Wirginii pospieszyła, by razem z córką spełniać miłosierdzie usługi. Markiz, przerażony tumultem i drżący o całość jedynaczki, pobiegł do klasztoru i wciąż jej szukał. Rozesłano więc na wszystkie strony gońców, by go powiadomili, iż znajdzie córkę zdrową i całą w swoim pałacu, i proszono go, aby tam natychmiast pospieszył. Nieobecność ojca pozwoliła Wirginii na zajęcie się bez reszty swoją pacjentką, a chociaż ją samą nieomnię wzburzyły owe nocne przypadki, żadne perswazyje nie mogły nakłonić jej do odstąpienia od łoża cierpiącej. Nieznajoma była tak osłabiona głodem i zgryzotą, że sporo czasu upłynęło, nim przywrócono ją do przytomności. Z wysiłkiem łykała przepisane jej medykamenty, lecz gdy ta trudność minęła, rychło otrząsnęła się z niemocy, pochodzącej tylko z wycieńczenia. Troskliwość, jaką ją otoczono, zdrowe pokarmy, których tak długo nie smakowała, radość z przywrócenia jej wolności, towarzystwa ludzi (i, jak ośmielała się mniemać, również i miłości) – wszystko to przyczyniło się do jej szybkiego ozdrowienia. Żalotne położenie nieznajomej i jej bezprzykładne cierpienia sprawiły, iż jej miła gospodyni od pierwszego wejrzenia obdarzyła ją uczuciem. Wirginia czule troszczyła się o chorą i jakże była kontenta, gdy jej gość na tyle się pokrzepił, że mógł opowiedzieć jej swoje dzieje, i gdy w uwięzionej mniszce rozpoznała siostrę Lorenza!

Ofiarą klasztornej okrucieństwa była nieszczęsna Agnes. Wirginia dobrze ją znała z czasów jej pobytu w klasztorze, lecz wychudzona postać dawnej mniszki, zmienione cierpieniem rysy, powszechne przekonanie, że Agnes umarła, i nadmiernie długie, zwichrzone włosy, spływające w nieładzie na twarz i piersi, nie pozwoliły Wirginii na natychmiastowe rozpoznanie dawnej towarzyszki. Przełożona uciekała się do wszelkich podstępów, by skłonić Wirginię do złożenia ślubów zakonnych, albowiem dziedziczka de Villa Franca była dla klasztoru nabytkiem nie do pogardzenia. Pozorna łagodność przeorowskiej i jej troska o Wirginię osiągnęły tak pomyślny skutek, że młoda krewniczka dominy ją poważnie zastanawiała się, czy nie ulec owym namowom. Agnes, lepiej obznajomiona z obrzydliwością i nudą klasztornej żywej, przejrzała zamiary dominy. Drżała o tę niewinną dziewczynkę i starała się uświadomić Wirginii jej omyłkę. Przedstawiała jej w prawdziwych barwach liczne niedogodności związane z klasztorzem, prawiała o ustawicznym przymusie, o niskich zawiściach, drobnych intrygach oraz o służalczym płaszczeniu się i grubych pochlebstwach, których oczekiwała od mniszek ich przełożona. Potem kazała Wirginii zastanowić się nad wspaniałymi perspektywami na przyszłość, jakie się przed nią otwierały. Jako ulubienica rodziców, przedmiot podziwu całego

Madrytu, osoba wyposażona przez naturę i edukację we wszystkie doskonałości ciała i umysłu, mogła oczekiwać najszcześniejszego losu. Bogactwo dostarczało jej środków do swobodnego i hojnego praktykowania cnót miłosierdzia i dobroczynności, które były tak drogie jej sercu, życie zaś na szerokim świecie dozwoliłoby Wirginii znaleźć przedmioty godne jej troski, czego nie mogła uczynić pozostając w klasztornej zamknięciu.

Perswazje Agnes skłoniły Wirginię do poniechania myśli o ślubach zakonnych, lecz doszedł do tego i inny argument, który był dla dziewczynki ważniejszy niżli wszystkie inne zebrane razem. Wirginia ujrzała Lorenza, gdy ten odwiedził siostrę w rozmównicy; młodzieniec spodobał się jej i każda rozmowa Wirginii z Agnes kończyła się zazwyczaj jakimś zapytaniem o brata. Agnes gorąco miłowała Lorenza i niczego tak nie pragnęła jak sposobności, by wszem i wobec głosić jego pochwały. Mówiła o nim w słowach pełnych zachwytu, a chcąc przekonać swą słuchaczkę, jak słuszne były jego mniemania, jak ukształcony umysł i jak wytworny dobór słów, co jakiś czas pokazywała jej listy, które otrzymywała od brata. Rychło zoczyła, że serce przyjaciółki chłoneło z owych pism wrażenia, których Agnes nie miała zamiaru w nie wpajać, choć była szczerze z ich odkrycia kontenta. Nie mogła wieszować sobie dla brata bardziej upragnionego związku: Wirginia jako dziedziczka rodziny de Villa Franca, panna cnotliwa, kochająca, piękna i starannie wykształcona, zdawała się stworzona dla uszczęśliwienia Lorenza. Agnes wybadała brata w tym przedmiocie, nie wspominając jednak o imieniu i innych okolicznościach dotyczących Wirginii. Lorenzo zapewniał siostrę, iż zarówno jego serce, jak ręka są zupełnie wolne, i Agnes mniemała, że na tej podstawie może spokojnie zmierzać do urzeczywistnienia swoich zamiarów. Starła się więc podsycać budzące się uczucia przyjaciółki. Lorenzo stał się ustawicznym przedmiotem ich rozmów; zapał, z jakim Wirginia przysłuchiwała się słowom Agnes, częste westchnienia, które wyrwały się jej z piersi, i gorliwość, z jaką po każdej dygresji sprowadzała rozmowę na temat, od którego odbiegła, starczyły, by przekonać Agnes, iż konkury Lorenza nie byłyby Wirginii niemiłe. Odważyła się w końcu napomknąć księżciu o swoich życzeniach. Książę nie znał co prawda dziewczyny, ale znał na tyle jej pozycję w świecie, by uznać ją za godną ręki bratanek. Stryj i bratanica uradzili między sobą, że Agnes podsunie tę myśl Lorenzowi, przeto siostra czekała tylko na powrót brata do Madrytu, aby zaproponować mu swoją przyjaciółkę za żonę. Niefortunne wypadki, które tymczasem nastąpiły, przeszkodziły Agnes w wykonaniu planu. Wirginia szczerze opłakiwała stratę Agnes zarówno jako towarzyszkę, jak i jedynej osoby, z którą mogła rozmawiać o Lorenzu. Uczucie do niego wciąż potajemnie drażyło jej serce i już prawie postanowiła zwierzyć się matce ze swoich sentymentów, gdy przypadek raz jeszcze zbliżył Wirginię do przedmiotu jej uczuć. Kiedy ujrzała z bliska młodzieńca, pełnego uprzejmości, współczucia i nieustraszonej odwagi, przydało to nowego ognia jej zapałom. A kiedy teraz spostrzegła, iż odnalazła swą przyjaciółkę i orędowniczkę, spoglądała na nią jak na dar niebios. Odważyła się pieścić w sercu nadzieję na swój związek z Lorenzem i postanowiła skorzystać w tej sprawie z pośrednictwa jego siostry.

Książę przypuszczając, że Agnes przed śmiercią mogła napomknąć bratu o owym związku, mniemał, iż wszystkie wzmianki Lorenza o małżeństwie odnoszą się właśnie do Wirginii; skutkiem tego przyjmował je z wielką łaskawością. Kiedy wrócił do pałacu, relacja o śmierci Antonii i zachowaniu się Lorenza niezbitnie przekonała go o pomyłce. Ubolewał nad tym, co się wydarzyło, lecz ponieważ nieszczęśliwa dziewczyna była już i tak na tamtym świecie, żywił nadzieję, iż jego stryjowskie plany mogą się jeszcze urzeczywistnić. Prawdę mówiąc, obecne położenie Lorenza nie czyniło go zbyt stosownym na pana młodego. Nadzieje młodzieńca rozwiały się w chwili, w której spodziewał się ich spełnienia, a straszliwa i nagła śmierć kochanki niezmiernie boleśnie go dotknęła. Książę zastał go złożonego niemocą. Słudzy wyrażali poważne obawy o jego życie, lecz stryj nie podzielał ich lęku. Hołdował słusznemu mniemaniu,



że „od czasu do czasu umierali ludzie i zjadali ich robaki, ale to nie z miłości”. Pocieszał się tedy, że jakkolwiek śmierć Antonii wywarła na sercu Lorenza głębokie wrażenie, czas i Wirginia zdołają go pocieszyć; współczuł jego zgryzocie, lecz zachęcał do opierania się zakusom rozpacz. Przyznawał, iż Lorenzo musiał doznać wstrząsu z racji tak okropnego przypadku, i nie mógł łączyć młodzieńca za tkliwość uczuć. Błagał jednakże bratanka, by się nie dręczył próżnymi żałami, by raczej zwalczał swą boleść i zachował życie, jeśli już nie dla siebie, to przynajmniej dla tych, którzy serdecznie byli doń przywiązani. Gdy tak pracował nad wymazaniem z pamięci Lorenza Antonii, jednocześnie wytrwale otaczał Wirginię swymi względami i chwycił się każdej sposobności, by popierać interesy Lorenza w jej sercu.

Można się łatwo domyślić, iż Agnes niedługo zwlekała z zapytaniem o don Rajmonda. Wstrząsnęła nią wieść o żalonym stanie, do jakiego doprowadziła kochanka jego boleść, lecz gdy pomyślała, iż niemoc don Rajmonda świadczyła o szczerości jego uczuć, musiała radować się tym w głębi serca. Księżę podjął się sam powiadomić chorego o oczekującym go szczęściu. Chociaż nie zaniedbał żadnego środka ostrożności, by przygotować don Rajmonda na taką niespodziankę, ten, postyszawszy o owej nagłej i pomyślnej odmianie losu, popadł w tak gwałtowne uniesienie, iż nieomal nie przyplacił go życiem. Wszystko to jednak przeminęło, a spokój umysłu, pewność przyszłego szczęścia, a nade wszystko obecność Agnes, która ozdrowiawszy dzięki staraniom Wirginii i markizy, natychmiast pospieszyła pielęgnować kochanka, rychło dopomogły mu zwalczyć skutki ostatniej groźnej choroby. Pogoda ducha pokrzepiła ciało don Rajmonda tak, iż rychło wyzdrowiał, wzbudziwszy tym powszechne zdumienie.

Inaczej z Lorenzem. Utrata Antonii, wraz z towarzyszącymi jej śmierci straszliwymi okolicznościami, legła na jego umyśle. Wysechł na wiór; życie straciło dlań wszelkie powaby. Z trudem przymuszano go do przełknięcia pożywienia, starczającego jedynie do podtrzymania życia, i lękano się, że młodzieniec popadnie w suchoty. Obecność Agnes stanowiła jego jedyną pociechę. Chociaż przypadek nie dozwolił rodzeństwu na dłuższe przestawanie ze sobą, żywił on dla siostry szczerą przyjaźń i przywiązanie. Agnes spostrzegła, jak bardzo potrzebna jest Lorenzowi, i rzadko opuszczała jego komnatę. Wysłuchiwała żalów brata z niestrudzoną cierpliwością, zaś jej łagodne obejście i współczucie dla jego niedoli sprowadziło nań ukojenie. Wciąż jeszcze mieszkała w pałacu Villa Franca, którego właściciele darzyli ją wyraźnym afektem. Księżę wyjawiał markizowi swe życzenia dotyczące Wirginii. Stanowiliby nienaganny związek: Lorenzo był dziedzicem ogromnych stryjowskich włości i znano go w Madrycie z powabnej postaci, rozległej wiedzy i zacnych obyczajów. Dodajmy jeszcze, iż markiza odkryła, jak przychylnie usposobiona była do młodzieńca jej jedynaczka.

Przyjęto więc bez wahania propozycję księcia; zastosowano wszelkie sposoby, by skłonić Lorenza do powzięcia dla panny takich uczuć, na jakie tak bardzo zasługiwała. W czasie odwiedzin Agnes u brata często towarzyszyła jej markiza, a skoro tylko Lorenzo zdolny był do opuszczenia sypialni, dozwolono Wirginii, pod czujnym matczynym okiem, zapewniać od czasu do czasu młodzieńca, iż życzy mu rychłego powrotu do zdrowia. Czyniła to z tak wielką delikatnością, napomykała o Antonii tak czule i tkliwie, a gdy użalała się nad smutnym losem rywalki, jej promienne oczy świeciły przez łzy takim blaskiem, że Lorenzo nie mógł spoglądać na dziewczętkę i przysłuchiwać się jej bez wzruszenia. Krewniacy Lorenza, jak również i sama panna, spostrzegli, iż towarzystwo dziewczyny zdaje się z każdym dniem przysparzać mu nowych radości i że młodzieniec mówi o niej w słowach zdradzających wciąż wzrastający podziw. Jednakże roztropnie chowali te spostrzeżenia dla siebie. Nie wymknęło się im ani słówko, które mogłoby skłonić go do przejrzenia ich rodzinnych planów. Odnosili się doń i dbali o niego tak jak uprzednio, pozwalając, by przyjazne uczucia Lorenza do Wirginii dojrzały

i przemieniły się z czasem w gorętszy sentyment.

Tymczasem dziewczeczka odwiedzała Lorenza coraz częściej, a w końcu rzadko kiedy nie spędzała części dnia przy jego wezgielcu. Młodzieniec stopniowo odzyskiwał siły, lecz choroba ustępowała powoli, a wyzdrowienie wciąż było wątpliwe. Pewnego wieczoru Lorenzo zdawał się być w lepszym humorze niżli zazwyczaj; Agnes, jej kochanek, księżę, Wirginia oraz jej rodzice zebrali się koło niego. Dopiero teraz, po raz pierwszy, zwrócił się do siostry z prośbą wyjaśnienia mu, jak uniknęła działania trucizny, którą wypijała na oczach matki Urszuli. Agnes lękając się, iż przywiedzie bratu na myśl wydarzenia, podczas których zginęła Antonia, skrywała dotąd przed Lorenzem dzieje swoich niedoli. Ponieważ jednak sam podjął ten temat i mniemając, że opowieść o jej strapieniach może odciągnąć go od zatapiania się we własnych frasunkach, wokół których wciąż krążyły jego myśli, natychmiast przystała na życzenie Lorenza. Reszta kompanii słyszała już tę opowieść, lecz ciepłe uczucia, jakie wszyscy żywili dla bohaterki owych przypadków, sprawiły, iż skorzy byli do ponownego wysłuchania historii Agnes. Ponieważ wszyscy zgromadzeni poparli prośbę Lorenza, Agnes usłuchała jej. Najpierw wyjawiała, jak ją przychwycono w kaplicy opactwa, opowiedziała o złości dominy oraz o nocnej scenie, której matka Urszula była ukrytym świadkiem. Chociaż zakonnica przedstawiła już owo wydarzenie, Agnes opowiedziała je dokładniej i ze szczegółami. Potem tak ciągnęła swoją opowieść.

#### Zakończenie historii Agnes de Medina

– Mojej domniemanej śmierci towarzyszyły najstraszliwsze męki. Chwile, które uważałam za ostatnie, zatrwały mi zapewnienia *dominy*, iż nie uniknę wiecznego potępienia, a gdy zamykałam oczy, słyszałam, jak przeorysza dawała upust wściekłości, przeklinając mój występki. Spoczywałam na łożu śmierci, od którego odpędzono precz wszelką nadzieję, i zasypiałam wiedząc, iż obudzę się tylko po to, by stać się łupem piekielnych płomieni i piekielnych furii – groza mego położenia była tak straszliwa, iż nie sposób mi jej opisać. Kiedy się znowu ocknęłam, na duszy wciąż ciążyły mi owe okropne wyobrażenia. Ze strachem rozejrzałam się dookoła, oczekując, że oczy moje padną na egzekutorów boskiej pomsty. Przez pierwszą godzinę zmysły miałam tak zmałowane, a umysł tak oszołomiony, iż próżno usiłowałam uporządkować dziwaczne obrazy, które wirowały koło mnie w dzikim zamęciu. Gdy próbowałam się podnieść, dostawałam zawrotu głowy, wszystko dookoła zdawało się kołysać, przeto znów opadałam na ziemię. Moje osłabłe i zamglone oczy nie mogły znieść zbliżenia błysku światła, które migotało nade mną. Musiałam znowu przymknąć powieki i pozostać bez ruchu jak przedtem.

Ułynęła cała godzina, nim na tyle przysłam do siebie, by przyjrzeć się otaczającym mnie przedmiotom. A gdy się im przyjrzałam –jakaż groza napełniła moje serce! Ujrzałam, iż spoczywam na pryczy z wikliny. Leże miało sześć drążków, które zapewne posłużyły zakonnicom do przeniesienia mnie do grobu. Przykryta byłam białym płótnem, na moje postanie rzucono kilka zwiędłych kwiatków. Po jednej stronie leżał mały drewniany krucyfiks, a po drugiej różaniec o grubych ziarnach. Otaczały mnie cztery niskie i wąskie ściany. Górna część lochu była zamurowana; umieszczono w niej małe drzwiczki z żelaznej kraty, przez które wchodziła odrobina powietrza, jakie docierało do owej nędznej piwniczki. Mdłe migotanie światła przesianego przez kratę ułatwiło mi obejrzenie wszystkich otaczających mnie okropności. Dusza mnie jakaś przykra i mdląca woń; spostrzegłszy, że drzwiczki z kraty nie miały rygła, pomyślałam, iż może uda mi salwować się ucieczką. Kiedy podniosłam się z ziemi, aby wykonać ten zamiar, dłoń spoczęła na czymś miękkim; pochwyliłam to i przybliżyłam do światła! Wszzechmogący Boże! Jakież było moje obrzydzenie i pomieszanie! Mimo zgnilizny i robaków, które ją toczyły, zoczyłam, że jest to rozkładająca się ludzka głowa, i rozpoznałam w niej rysy

pewnej mniszki, która umarła parę miesięcy wcześniej. Odrzuciłam ją od siebie precz i niemal bez ducha opadłam na mary.

Gdy powróciły mi siły, okoliczność ta, jak i świadomość, iż otaczają mnie wstrętne, butwiejące ciała moich towarzyszek, zwiększyły moje pragnienie wydostania się z okropnego więzienia. Ponownie zbliżyłam się do światła. Krata znajdowała się w zasięgu mojej ręki. Uniosłam ją bez trudu; pozostawiono ją chyba otwartą dla ułatwienia mi wyjścia z lochu. Pomagając sobie nierównością muru, z którego tu i ówdzie występował jakiś kamień, zdołałam się wspiąć w górę i wywlec z mojego więzienia. Znalazłam się teraz w dość obszernej krypcie. Wzdłuż krypty ciągnęły się szeregiem grobowce podobne temu, z którego się właśnie wydostałam, i wydawały się dość głęboko zapadnięte w ziemię. Z sufitu zwisała na żelaznym łańcuchu nagrobna lampka i rzucała na loch ponure światło. Wszędzie dookoła widać było emblematy śmierci; czaszki, piszczele i inne śmiertelne szczątki rozrzucone były tam i sam po wilgotnej polepie. Każdą tumbę zdobił duży krucyfiks, w jednym rogu zaś krypty stał posąg świętej Klary. W pierwszej chwili nie zwróciłam na to wszystko uwagi; drzwi, jedyne wyjście z krypty, przyciągnęły mój wzrok. Pospieszyłam ku nim, owinąwszy się najpierw szczelnie całunem. Pchnęłam drzwi i ku memu niewypowiedzianemu przerażeniu spostrzegłam, iż były zaryglowane od zewnątrz.

Natychmiast domyśliłam się, że przeorysza pomyliła się co do natury napoju, który kazała mi przełknąć, i miast trucizny podała mi jakiś silny środek usypiający. Z tego wywnioskowałam, że ponieważ wszystko wskazywało na moją śmierć, pochowano mnie z całym żałobnym ceremoniałem, że więc nie będę mogła w żaden sposób powiadomić ludzi o moim istnieniu i przyjdzie mi zemrzeć głodową śmiercią. Myśl ta przeniknęła mnie grozą nie tylko ze względu na siebie, lecz także na ową niewinną istotkę, która jeszcze żyła w moim łonie. Znowu próbowałam otworzyć drzwi, lecz oparły się wszystkim moim wysiłkom. Wyteżyłam głos i co sił w piersiach zaczęłam wołać o pomoc. Znajdowałam się w zbyt odludnym miejscu, by mnie ktoś mógł postyszeć. Żaden przyjazny głos nie odpowiedział na moje wołania. Głęboka i melancholijna cisza zalegała kryptę i zwątpiłam o wolności. Jał mi teraz dokuczać długi post. Tortury, jakie zadawał mi głód, były dotkliwe i wprost nie do zniesienia, a przecie zdały się jeszcze wzmacniać wraz z każdą upływającą godziną. Niekiedy rzucałam się na ziemię i tarzałam po niej, oszalała z rozpacz; niekiedy podnosiłam się, wracałam do drzwi, znów próbowałam je wyważyć i bezskutecznie ponawiałam wołania o pomoc. Często już miałam uderzyć skronią o ostry kant jakiegoś nagrobka, rozplątać sobie czaszkę i natychmiast zakończyć swoje niedole. Lecz wspomnienie o moim dzieciątku wciąż brało górę nad moim postanowieniem. Drżałam na myśl o uczynku, który zagroziłby życiu mojego dziecka i memu własnemu. Potem dawałam folgę męce głośnymi okrzykami i namiętą skargą; a potem znów zawodziły mnie siły i siadałam milcząca i bezradna na cokole posągu świętej Klary, składając ręce i zatapiając się w ponurej rozpacz. Tak upłynęło kilka okropnych godzin. Śmierć zbliżała się ku mnie chyżymi krokami i oczekiwałam, że każda następna chwila stanie się chwilą mego zgonu. Nagle wzrok mój padł na pobliski grób; stał na nim koszyczek, którego dotąd nie spostrzegłam. Porwałam się z cokołu, skierowałam ku niemu tak spieszenie, jak tylko dozwoliły mi na to nadwątłone siły. Jakże skwapliwie pochwyliłam koszyk, kiedy odkryłam, iż znajduje się w nim bochenek razowego chleba i mała butelka wody.

Chciwie rzuciłam się na ową mamą strawę. Wszystko wskazywało na to, iż umieszczono ją w krypcie przed kilkoma dniami. Chleb był czerstwy, a woda stęchła; a przecież nigdy nie zakosztowałam równie wybornego pokarmu. Zaspokoiwszy dręczący mnie głód, jęłam snuć przypuszczenia dotyczące tej nowej okoliczności. Zastanawiałam się, czy koszyczek umieszczono na grobie z myślą o moich potrzebach. Nadzieja odpowiedziała twierdząco na moje wątpliwości.

Ale któż mógł przewidzieć, iż będzie mi potrzeba owego wsparcia? Jeśli wiadano, że żyję, dlaczego trzymano mnie w tej posępnej krypcie? Jeśli mnie uwięziono, co oznaczała ta cała ceremonia złożenia mnie do grobu? A jeśli zostałam skazana na śmierć głodową, czyjej litości zawdzięczam prowiant, umieszczony tak, bym mogła po niego sięgnąć? Przyjacieli nie trzymałby w tajemnicy wieści o mej straszliwej pokucie; z drugiej strony wydawało mi się mało prawdopodobne, by wróg zadał sobie trud zaopatrzenia mnie w środki do życia. Rozważywszy wszystko, skłonna byłam mniemać, że jedna z przyjaznych mi mniszek odkryła zakusy dominy na moje życie. Nieznana przyjaciółka znalazła sposób zastąpienia trucizny napojem nasennym, zaopatrzyła mnie w strawę, by podtrzymać na siłach, póki nie uda się jej dokonać mojego oswobodzenia, i zajęła się potem zawiadomieniem mojej rodziny o grożącym mi niebezpieczeństwie oraz wskazaniem sposobu wyrwania mnie z niewoli. Lecz jeśli tak było, dlaczego zaopatrzyła mnie w tak mamą strawę? W jaki sposób mogła przyjazna mi dusza wejść do krypty bez wiedzy dominy? A jeśli weszła, to dlaczego drzwi były tak starannie zaryglowane? Rozmyślenia te wprawiły mnie w rozterkę, lecz myśl o sprzymierzeńcu wciąż najbardziej podsyciała moje nadzieje i chętnie się jej chwyciłam.

Medytacje przerwał mi odgłos dalekich kroków. Zbliżyły się bardzo powoli. Smugi światła błysnęły przez szpary w drzwiach. Nie będąc pewna, czy zbliżające się osoby przychodzą, by mnie uwolnić, czy też przywiodły je do podziemi jakieś inne przyczyny, nie omieszkalam przyciągnąć uwagi nadchodzących głośnym wołaniem o pomoc. Kroki wciąż się przybliżały. Poświata wciąż rosła. W końcu, ku mojej niewypowiedzianej radości, usłyszałam, jak ktoś przekręca klucz w zamku. Pewna, iż już mnie mają oswobodzić, pomknęłam ku drzwiom z okrzykiem radości. Drzwi rozwarły się, lecz gdy ukazała się w nich przeorysza, a za nią te same cztery mniszki, które były świadkami mojej śmierci, opuściła mnie nadzieja wydostania się na wolność. Zakonnice dzierżyły w rękach pochodnie i spoglądały na mnie w groźnym milczeniu.

Przerażona, cofnęłam się. Domina weszła do krypty, a za nią jej towarzyszki. Zajęły miejsce, z którego przed chwilą powstałam. Drzwi zostały na powrót zamknięte, mniszki zaś ustawiły się za przełożoną, a blask ich pochodni, przymglony wilgotnymi oparami krypty, ozłocił swymi zimnymi promieniami otaczające nas posągi. Przez pewien czas wszystkie zachowywały grobowe i uroczyste milczenie. Stałam w pewnej odległości od przeoryszy. Po chwili domina skinęła, każąc mi się przybliżyć. Drżąc ze strachu przed jej srogim wyglądem, ledwo miałam na tyle sił, aby jej usłuchać. Podeszłam bliżej, lecz niezdolna byłam utrzymać się na nogach. Osunęłam się na kolana, złożyłam dłonie, wyciągnęłam je ku *dominie* błagalnym ruchem, ale nie sposób mi było wyrzec ani jednego słowa.

Przyglądała mi się złymi oczyma.

– Czy mam przed sobą pokutnicę, czy też zbrodniarkę? – wyrzekła na koniec. – Czy owe wzniesione ku górze dłonie świadczą o skruszności za twoje przewiny, czy o strachu przed oczekującą cię karą? Czy te łzy przyznają, iż osiągnął cię sprawiedliwy wyrok, czy też błagają o złagodzenie twoich cierpień? Obawiam się, że o to ci chodzi.

Umilkła, lecz wciąż uparcie wpatrywała się we mnie.

– Nie bój się – ciągnęła dalej – nie pragnę twojej śmierci, a tylko skruchy. Lek, który ci podałam, nie był żadną trucizną, lecz napojem nasennym. Zwiodłam cię chcąc, byś odczuła mękę grzesznego sumienia, gdyby śmierć zaskoczyła cię zniemacka, przed odpokutowaniem za twoje zbrodnie. Wycierpiałas owe męki; przywiodłam cię do tego, iż twoja chwilowa udręka przyniesie ci wiecznotrwałe korzyści. Nie mam zamiaru gubić twojej nieśmiertelnej duszy lub kazać ci zejść do grobu z brzemieniem nie odpokutowanych grzechów. Nie, moja córko, daleka jestem od tego. Chcę oczyścić cię przez rzetelną karę i pragnę dostarczyć ci wiele wolnego czasu na skruchę i żal za grzechy. Wysłuchaj więc mojego wyroku; źle pojęta gorliwość twoich przyjaciółek odwlokła

jego wykonanie, lecz nie może mu zapobiec. Cały Madryt mniema, żeś umarła, twoi krewniacy są święcie przekonani o twojej śmierci, a mniszki, twoje zwolenniczki, wzięły udział w pogrzebie. Nikt nie może podejrzewać, iż jeszcze żyjesz. Zachowałam takie środki ostrożności, iż musi to pozostać dla wszystkich nieprzeniknioną tajemnicą. Porzuć więc wszystkie myśli o świecie, od którego jesteś na zawsze odłączona, i użyj tych nielicznych godzin, jakie ci jeszcze pozostają, na przygotowanie się do przyszłego żywota.

Ów wstęp kazał mi oczekiwać czegoś strasznego. Trzęsłam się jak osika i chciałam coś rzec, by złagodzić gniew dominy, lecz jednym skinieniem nakazała mi milczenie. Ciągnęła dalej:

– Chociaż ostatnimi czasy prawa rządzące naszym zgromadzeniem były niesłusznie zanedbywane i chociaż obecnie sprzeciwia się ich kultuwowaniu wiele naszych błędnie myślących siostrzyczek (niechże je Bóg oświeci), postanowiłam przywrócić owe reguły i wypełnić je co do litery. Prawo wydane dla pokarania niewstrzemięźliwości cielesnej jest surowe, lecz nie surowsze, niżli tego wymaga tak potworny występki. Poddaj mu się, moja córko, bez oporu; dobrodziejstwa płynące z cierpliwości i pokory ocenisz na lepszym świecie niżli ten ziemski padół. Posłuchaj więc wyroku świętej Klary: pod tymi kryptami znajduje się więzienie, przygotowane na przyjęcie takich jak ty zbrodniarek. Wejście do owych lochów jest zmyślnie ukryte, a ta, która w nie wstąpi, musi porzucić wszelkie nadzieje na odzyskanie wolności. Tam właśnie musimy cię wtrącić. Dostarczymy ci pożywienia, lecz nie na tyle, byś folgowała swemu apetytowi; dostaniesz tylko tyle strawy, ile potrzeba, abyś się utrzymała przy życiu, i będzie to najprostsze i najniebezpieczniejsze jedło. Płacz więc, córko, płacz i skrapiaj łzami swój chleb. Sam Pan Bóg wie, iż masz ważkie przyczyny do smutku. Skuta łańcuchem w jednym z owych tajemnych lochów, na zawsze odcięta od świata i światła, bez żadnej pociechy prócz pokrzepienia religii, bez żadnego towarzystwa prócz żalu za grzechy, musisz przepędzić na jękach i wzdychaniach resztę dni twoich. Takie są reguły klarysek; poddaj się im bez zżymania. Chodź za mną!

Ten barbarzyński wyrok poraził mnie niczym grom; opuściła mnie resztką sił. Miast odpowiedzieć, padłam przeoryszy do stóp i skrapiałam je łzami. Domina, zgoła niewzruszona moją boleścią, powstała uroczyście ze swego miejsca; głosem nie znoszącym żadnego sprzeciwu powtórzyła rozkaz, ale tak bardzo osłabłam, że niezdolna byłam jej słuchać. Marianna i Alicja podniosły mnie z ziemi i na rękach wyniosły z krypty. Na czele kroczyła przeorysza, wspierając się na Wiolancie, a przed nimi postępowała Kamila z pochodnią w dłoni. Nasza żałosna procesja kroczyła przez rozliczne korytarze, a milczenie przerywały tylko moje jęki i wzdychania. Zatrzymałyśmy się przed główną kapliczką świętej Klary. Posąg zdjęty był z cokołu, choć nie wiem, jak tego dokonano. Mniszki podniosły żelazną kratę, którą przysłaniała dotąd figura świętej, i z hukiem opuściły ją ku dołowi. Straszliwy dźwięk odbił się echem po górnych kryptach oraz podziemnych pieczarach i wyrwał mnie z przygnębienia i nieczułości, w jakich byłam pogrążona. Spojrzałam w dół; przed mymi przerażonymi oczyma ukazała się czeluść oraz strome i wąskie schodki, ku którym wiodły mnie moje przewodniczki. Krzyknęłam i rzuciłam się do tyłu. Wołałam o litość, przeraźliwie krzyczałam i przyzywałam na pomoc zarówno ziemię, jak i niebiosy. Wszystko na próżno! Zawleczono mnie na dół i wepchnięto do jednej z cel, które ciągnęły się wzdłuż pieczary.

Krew mi zakrzepła w żyłach, gdy spoglądałam na tę żałosną siedzibę. Zimne opary unoszące się w powietrzu, ściany zzieleniałe od wilgoci, posłanie ze słomy, tak nędzne i tak marne, łańcuch, który miał mnie przykuć na zawsze do mojego więzienia i rozmaite płazy, które w miarę jak się do nich zbliżały pochodnie, rozbiegały się spiesźnie do swoich kryjówek – wszystko to poraziło mi serce grozą zbyt straszną, by ją mogła ścierpieć natura człowieka. Rozpacz przywiodła mnie do szaleństwa, wyrwałam się nagle z rąk trzymających mnie zakonnice,

rzuciłam się na kolana przed przeoryszą i błagałam ją o zmiłowanie z zapamiętaniem, w najżarliwszych słowach.

– Jeśli nie na mnie – rzekłam – to spojrzysz przynajmniej z litością na tę niewinną istotkę, której życie związane jest z moim żywotem! Wielka jest moja zbrodnia, lecz nie dozwól, by moje dziecko przez nią ucierpiało! Ono przecie nic nie zawiniło! Och! oszczędź mnie przez wzgląd na nie narodzony owoc mojego żywota, który twoja srogość skazuje na zatracenie, nim zdoła zakosztować życia.

Przeorysza spiesznie cofnęła się; wyrwała brzeg habitu z mej dłoni, jak gdyby dotyk mój niósł z sobą zarazę.

– Jak to? – zawołała z wściekłością. – Jak to? ośmielasz się wstawiać za owocem twojej hańby? Czy winno dozwolić się na istnienie stworzenia spłodzonego w tak okropnym grzechu? Wszeteczna niewiasto! nigdy więcej się za nim nie wstawiaj! Lepiej, by owa nędzna istota umarła; spłodzona w krzywoprzysięstwie, niewstrzeźliwości i zbezczeszczeniu wszystkiego, co święte, musi wyrosnąć na potwora wszelkich występków. Posłuchaj mnie, ty grzesznico! Nie oczekuj ode mnie litości ani dla siebie, ani dla twojego bękarta. Módl się raczej, aby śmierć pochwyliła cię, zanim porodzisz to dziecko; a jeśli musi ujrzeć światło dzienne, niechże jego oczy zamkną się z powrotem natychmiast i na zawsze! Nikt nie przyjdzie ci z pomocą w czasie połogu; sama wydaj na świat swego potomka, sama go wykarm, sama pielęgnuj i sama pochowaj! Dałby Bóg, aby to nastąpiło jak najszybciej, nim doczekasz się pociechy z owocu twojej nieprawości.

Owe okrutne słowa i zawarte w nich pogroźki, straszliwe cierpienia przepowiedziane mi przez dominę oraz jej życzenie, by moje dzieciątko umarło (to dzieciątko, które chociaż nie narodzone, już miłowałam) – zbyt wiele było tego na moje nadwątlone siły. Z głębokim jękiem padłam bez zmysłów u stóp mojego nieprzejednanego wroga. Nie wiem, jak długo tak pozostawałam; wystawiam sobie, że musiało upłynąć nieco czasu, zanim się ocknęłam, bo przeorysza i mniszki zdążyły już opuścić pieczarę. Gdy wróciłam do przytomności, znalazłam się w ciszy i samotności. Nie słyszałam nawet oddalających się kroków moich oprawczyń. Wszędzie było głucho i wszystko było straszne! Rzucono mnie na słomę; ciężki łańcuch, na który już poprzednio spoglądałam ze zgrozą, otaczał moją kibic i przykuwał mnie do ściany. Mdłe i żałosne promyki lampki pełgały po moim więzieniu i pozwalały mi dostrzec wszystkie jego okropności. Loch oddzielony był niskim i nierównym murem z kamienia. Pozostawiono w nim szeroką lukę, która tworzyła wejście, bo drzwi nie było. Naprzeciw słomianej ściółki umieszczono krucyfiks z ołowiu. Obok mnie leżała potargana derka i różaniec; trochę dalej stał dzbanek z wodą i wiklinowy koszyk, a w nim mały bochenek chleba i butelka oliwy do lampki.

Oczyrna pełnymi zwątpienia oglądałam owo miejsce kaźni; gdy pomyślałam, iż skazana jestem na spędzenie w nim resztki moich dni, serce rozdzierało mi się z gorzkiej udreki. Przyzwyczajono mnie ongiś do oczekiwania zgoła odmiennej doli! Był czas, w którym moje widoki na przyszłość zdały się tak promienne i tak obiecujące! Teraz wszystko zostało dla mnie stracone. Przyjaciele, dostatki, ludzie, szczęście – jedna chwila pozbawiła mnie tego wszystkiego! Umarłam dla świata, umarłam dla rozkoszy, żyłam tylko, by odczuwać moją niedolę. Jakże pięknym wydawał mi się ów świat, od którego zostałam na zawsze odcięta! Ileż w nim było lubych przedmiotów, których nigdy nie będę oglądać! Kiedy rzucałam lękliwe wejrzenia po moim więzieniu, kiedy kuliłam się przed podmuchem ostrego wiatru, który hulał po moim podziemnym mieszkaniu, odmiana losu zdawała mi się tak zaskakująca i tak raptowna, iż jęłam powątpiewać, czy mi się to wszystko istotnie przydarzyło. To, iż bratanica księcia Medyny, przyszła żona markiza de Las Cisternas, osoba wychowana w dostatku, spokrewniona z najznakomitszymi rodami Hiszpanii i obdarzona mnogimi i oddanymi przyjaciółmi, że to

właśnie ona miała stać się w jednym momencie więźniem odciętym na zawsze od świata, uginającym się pod ciężarem łańcuchów i zmuszonym krzepić swe siły najlichszą strawą, zdało mi się zmianą tak nagłą i tak niewiarygodną, iż sama sobie wydałam się igraszką jakiegoś obrzydłego przywidzenia. Trwałość owego przywidzenia przekonała mnie aż nazbyt pewnie o mojej omyłce. Każdego ranka wyglądałam ulgi w moich cierpieniach i każdego ranka nadzieje moje zawodziły. W końcu porzuciłam wszelkie myśli o ucieczce; poddałam się losowi i oczekiwałam tylko tej wolności, która przychodzi w towarzystwie śmierci.

Udręka umysłu i straszliwe przypadki, w których odegrałam główną rolę, przyspieszyły mój połóg. W samotności i smutku, opuszczona przez wszystkich, bez pomocy doświadczonej niewiasty, bez przyjacielskiego wsparcia, w bólach, które wzruszyłyby najtwardsze serce, gdyby ktoś je oglądał, wydałam na świat moje nieszczęsne dziecko. Dzieciątko urodziło się żywe, ale nie wiedziałam, jak mam je pielęgnować i jak utrzymać przy życiu. Mogłam tylko obmywać je łzami, ogrzewać na łonie i wznosić modły za jego zdrowie i życie. Rychło odjęto mi ten żałosny trud: brak godziwej opieki, moja nieumiejętność pielęgnowania go, przenikliwe zimno lochu i zgniłe powietrze, które rozdęło jego małe płuca, zakończyły krótki i bolesny żywot mojego słodkiego dzieciątka. W kilka godzin po urodzeniu wydało ostatnie tchnienie, a ja spoglądałam na jego śmierć w straszliwych mękach, których nie sposób opisać.

Ale na nic się zdała cała moja zgryzota; moje maleństwo odeszło; wszystkie moje westchnienia nie mogły przelać w jego drobne i wątłe ciało iskierki życia. Podarłam całun i owinęłam weń moje miłe dzieciątko. Złożyłam je na piersiach, zarzuciłam sobie jego delikatne rączki na szyję, a bledziutkie i zimne liczko przytuliłam do mojej twarzy. Tak spoczywało jego martwe ciało, ja zaś obsypywałam je pocałunkami, czule do niego przemawiałam, opłakiwałam je i zawodziłam nad nim bez przestanku przez całe dni i noc. Kamila przychodziła do mego więzienia regularnie raz na dobę, by przynieść mi jadło. Mimo iż twarda była z natury, nie mogła spoglądać bez wzruszenia na ów widok. Obawiała się, że nadmierna rozpacz odbierze mi w końcu rozum, a prawdę mówiąc, nie zawsze byłam przy zdrowych zmysłach. Z litości nalegała, bym pozwoliła jej pogrzebać trupka, lecz na to żadną miarą bym się nie zgodziła. Poprzysięgłam sobie, iż się z nim nie rozstanę aż do śmierci; ono stanowiło moją jedyną pociechę i żadne perswazje nie mogły skłonić mnie, bym się go wyrzekła. Dzieciątko rychło przemieniło się w kupkę zgnilizny i dla każdego oczu prócz matczynych stało się wstrętnym i obrzydłym przedmiotem. Na próżno zwyczajne ludzkie uczucia kazały mi odsuwać się z odrazą od tego emblematu śmierci. Ścierpiałam i przemogłam w sobie odrazę. Wciąż trzymałam dziecko przy piersi, opłakując je z miłością i uwielbieniem. Przepędziłam na moim nędznym posłaniu godzinę za godziną, wpatrując się w to, co ongiś było moim dzieciątkiem. Staralam się dopatrzeć jego rysów w zsiniałym liczku, które się rozkładało. W czasie mego uwięzienia owo smutne zajęcie było moją jedyną radością i żadne skarby świata nie skusiłyby mnie, bym się go wyrzekła. Nawet gdy mnie uwolniono z lochu, wyniosłam zeń dzieciątko w ramionach. Perswazje moich dwóch miłych przyjaciółek (tu ujęła dłonie markizy i Wirginii i przycisnęła je do ust) przekonały mnie w końcu, bym pogrzebała moje nieszczęsne dziecko. A jednak niechętnie się z nim rozstałam. Przeważył w końcu rozsądek; dozwoliłam, by mi je odebrano, i spoczywa teraz w poświęconej ziemi.

Wspomniałam już, iż Kamila regularnie raz na dzień przynosiła mi strawę. Nie próbowała łajaniem przydawać goryczy moim frasunkom. To prawda, iż nakazywała mi porzucić wszelkie nadzieje odzyskania wolności i osiągnięcia ziemskiego szczęścia; zachęcała mnie przecie do cierpliwego znoszenia mojej tymczasowej niedoli i radziła, bym szukała pociechy w religii. Moje położenie wzruszało ją bardziej, niżli miała odwagę wypowiedzieć, mniemała jednak, że umniejszanie mojej winy skłoni mnie do opieszałości w pokucie. Nieraz, gdy usta Kamili

w jaskrawych barwach malowały przede mną ogrom mojej zbrodni, oczy zdradzały, jak świadoma była mojego cierpienia. Prawdę mówiąc, jestem pewna, że żadną z moich prześladowczyń (bo trzy inne mniszki przychodziły do mojego więzienia jeno od czasu do czasu) nie kierował tak bardzo duch okrucieństwa i chęć uciemiężenia, co mniemanie, że udręka ciała była jedynym sposobem ocalenia mojej duszy. Co więcej, nawet to przeświadczenie nie miałyby dla nich takiego znaczenia i skłonne byłyby uznać moją karę za zbyt surową, gdyby ich dobrych skłonności nie tłumilo ślepe posłuszeństwo dla przełożonej. Domina wciąż żywiła do mnie zacieklą urazę. Mój zamysł ucieczki z klasztoru został odkryty przez opata kapucynów i domina sądząc, iż moja hańba sprawiła ujmę przełożonej klarysek w mniemaniu opata, gorzała nieprzejednaną nienawiścią. Mniszkom, którym zleciła nade mną dozór, oświadczyła, iż moja przewina była najpotworniejszą zbrodnią, że żadne cierpienia nie mogły jej zadośćuczynić i że nic nie uratuje mnie od wieczystego zatracenia prócz najsurowszej kary. Słowo przełożonej jest wyrocznią dla nazbyt wielu mieszkańek klasztorów. Mniszki uwierzyły we wszystko, co chciała im podać do wierzenia przełożona, choć przeciwstawiały się temu zarówno rozum, jak i miłosierdzie. Zakonnice bez wahania uznały słuszność argumentów dominy. Wypełniały wszystkie jej polecenia co do litery i były święcie przekonane, że gdyby traktowały mnie łagodnie i okazały choć iskierkę litości dla mojej niedoli, tym samym zniszczyłyby wszelkie nadzieje na moje zbawienie.

Kamila, która się najwięcej koło mnie krzątała, dostała od przeoryszy specjalne polecenie, by mnie srogo traktować. Powolna owym rozkazom, nieraz usiłowała przekonać mnie o słuszności kary i straszliwości mojej zbrodni. Powiadała mi, iż winnam uważać się za szczęśliwą mogąc zbawić duszę umartwieniem ciała, a czasem groziła mi nawet wiecznym potępieniem. Jednak, jak już wspomniałam, zawsze kończyła przemówienie słowami zachęty i pokrzepienia; choć usta Kamili często wypowiadały okrutne słowa, łacno odnajdowałam w nich wyrazy, których wyuczyła ją przeorysza. Raz, tylko raz odwiedziła mnie w lochu sama domina. Zasypała mnie wymówkami, urągała mojej słabości – a gdy wzywałam jej zmiłowania, nakazała, bym prosiła o łaskę niebios, bo na tym padole nie zasłużyłam na litość. Spojrzała nawet bez wzruszenia na moje martwe dzieciątko; kiedy odchodziła, usłyszałam, jak zaleciła Kamili, by zwiększyła jeszcze trudy mojej niewoli. Niewiasta bez serca! Niechże jednak powstrzymam moją urazę. Odkupiła swoje błędy przez żalosną i nagłą śmierć. Niech spoczywa w pokoju i niechże jej zbrodnie zostaną odpuszczone w niebie, tak jak ja odpuszczam jej moje cierpienia tu na ziemi.

Tak włócił się mój nędzny żywot. Nie tylko nie przywykłam do mego więzienia, lecz spoglądałam na nie z wciąż rosnącą grozą. Zimno zdało mi się dotkliwsze i bardziej przenikliwe – powietrze bardziej duszne i zjadliwe. Ciało mi osłabło, wychudło i trawiła mnie gorączka. Nie mogłam powstać ze słomy i rozprostować kości, bo łańcuch pozwalał mi się poruszać tylko na małej przestrzeni. Chociaż byłam tak słaba, wyczerpana i znużona, lękałam się szukać pokrzepienia we śnie. Drzemkę przerywał mi ustawicznie jakiś obrzydły gad, który po mnie pełzał. Niekiedy czułam, jak rozdęta ropucha, ohydna i wypasiona na trujących oparach lochu, sunie swym wstrętnym cielskiem wzdłuż mojej piersi. Niekiedy budziła mnie zwinna i zimna jaszczurka, zostawiając oślizły ślad na moim licu i zaplåtując się w kędziory moich zmierzwionych i skołtuniałych włosów. Często budząc się spostrzegałam, że palce otaczały mi, na podobieństwo pierścieni, długie robaki, które leżyły się w zgniłym cieple mojego dziecka. Wtedy kurczyłam się ze zgrozy i obrzydzenia, a otrząsając z siebie owo plugastwo, drżałam z lęku przyrodzonego każdej niewieście.

Takie było moje położenie, gdy Kamila nagle zachorowała. Niebezpieczna gorączka, jak podejrzewano, zaraźliwa, przykuła ją do łóża. Wszyscy prócz świeckiej siostrzyczki, której zlecono pielęgnowanie Kamili, troskliwie unikali chorej i lękali się zarażenia. Kamila leżała bez



przytomności i nie sposób jej było mnie doglądać. Ostatnimi czasy zarówno domina, jak i dopuszczone do sekretu mniszki zrzuciły całą opiekę nade mną na Kamilę. Przystały się więc o mnie kłopotać; krzątały się koło przygotowań do zbliżającego się odpustu, i jest więcej niż pewne, że myśl o mnie ani razu nie przeszła im przez głowę. O przyczynie opieszałości Kamili powiadomiła mnie matka Urszula już po moim uwolnieniu. Wtedy daleka byłam jednak od domyślenia się powodów, dla których mnie zaniechano. Przeciwnie, czekałam na pojawienie się mojej dozorczyńi najpierw z niecierpliwością, a potem z rozpaczą. Upłynął jeden dzień, przeminął drugi, nadszedł trzeci. Wciąż ani śladu Kamili! Wciąż ani krztyny pożywienia! Upływ czasu mierzyłam wypalaniem się lampki; na szczęście pozostawiono mi na zasilenie płomienia tygodniową porcję oliwy. Mniemałam, że albo zakonnice o mnie zapomniały, albo domina rozkazała im, by pozwoliły mi zginąć. Ostatnia myśl zdała mi się najbardziej prawdopodobna; jednakże umiłowanie życia jest tak przyrodzone człowiekowi, iż drżałam na myśl o słuszności tego domysłu. Chociaż życie zatruwały mi wszelkie niedole, to jednak było mi ono wciąż drogie i bałam się je utracić. Każda upływająca minuta utwierdzała mnie w przekonaniu, iż muszę porzucić wszelkie nadzieje na pomoc. Wyszłam na szkielet; już mnie zawodził wzrok, a członki powoli sztywniały. Mogłam wyrazić udękę i ból, z jakim głód kąsał mi kiszkę, tylko przez częste jęki, a ich żalosny dźwięk odbijał się echem od piwnicznych sklepień. Poddałam się memu losowi; już spodziewałam się, iż nadeszła godzina śmierci, gdy mój Anioł Stróż – gdy mój umiłowany brat przybył w sam czas, aby mnie ocalić. Wzrok miałam zaćmiony i osłabły, co w pierwszej chwili nie dozwoliło rozpoznać brata; lecz gdy odróżniłam jego rysy, raptowna błogość większa była niż moje siły. Zmógł mnie przyływ radości z ponownego oglądania przyjaciela, i to przyjaciela tak umiłowanego. Natura niezdolna była znieść takiego wzruszenia i zmysły mnie odstąpiły.

Wicie już, jakie są moje powinności wobec rodziny Villa Franca. Lecz nie możecie wiedzieć o ogromnej mojej wdzięczności; jest ona równie bezgraniczna jak wielkoduszność moich dobrodziejów. Lorenzo! Rajmondzie! najmilsze sercu mojemu imiona! Nauczcie mnie, bym mężnie zniosła owo nagłe przejście z niedoli do błogości. Tak niedawno byłam uwięziona, obciążona łańcuchami, konająca z głodu, cierpiąca wszelkie niedostatki, jakie niesie z sobą zimno i brak pożywienia. Byłam ukryta przed światłem, odłączona od ludzi, pozbawiona nadziei, porzucona i, czego się obawiałam, przez wszystkich zapomniana. Teraz przywrócona zostałam życiu i wolności, korzystam z wszelkich wygod, jakie daje dostatek i swoboda, jestem otoczona tymi, których najbardziej miłuję, i mam w najbliższym czasie poślubić tego, którego już dawno zaślubiło moje serce. Moje szczęście jest tak pełne i doskonałe, iż rozum mój z ledwością może je pojąć. Jedno życzenie pozostało jeszcze nie spełnione. Pragnę ujrzeć mego brata w dawnym zdrowiu i mieć przekonanie, iż wspomnienie o Antonii zeszło za nią do grobu. Gdy to się ziści, nie pragnę niczego więcej. Ufam, że moje przeszłe cierpienia zyskały mi przebaczenie niebios za chwilę słabości. W pełni świadoma jestem, że zgrzeszyłam, że zgrzeszyłam bardzo ciężko. Lecz niechże mój małżonek nie powątpiewa o zacności moich przyszłych postępów dlatego, iż raz uległa mu moja cnota. Byłam ułomna i ciężko pobłądziłam; nie poszłam przecie za głosem namiętności. Zdradził mnie jeno afekt dla ciebie, mój Rajmondzie. Zbytньо zaufałam swoim siłom, lecz moja cnota w nie mniejszym stopniu zawisła od twego honoru, co od mego poczucia przystojności. Poprzysięgam sobie, że cię więcej nie ujrę. Gdyby nie skutki owej jednej niebaczonej chwili, dotrzymałabym postanowienia. Los zrządził inaczej i mogę się tylko radować z jego dekretu. Postępek mój jednak zasługuje na największą przyganę i kiedy próbuję się usprawiedliwić, jednocześnie rumienię się na myśl o mej nieroztropności.

Dozwólcie więc, bym porzuciła ten niewdzięczny temat solennie zapewniwszy cię, mój Rajmondzie, iż nie dam ci powodów do uzalania się nad naszym związkiem i że im bardziej

karygodne były przewiny twojej kochanki, tym przykładniejsze będą postęпки twojej małżonki.

Tu Agnes zamilkła, markiz zaś odpowiedział jej równie szczerymi i czułymi słowy. Lorenzo wyraził zadowolenie z perspektywy bliskiego spowinowacenia się z człowiekiem, do którego zawsze żywił największy szacunek. Bulla papieska całkowicie i w pełni zwolniła Agnes z jej zakonnych więzów. Nie zwlekano więc z uroczystościami ślubnymi, do których przystąpiono natychmiast po zakończeniu stosownych przygotowań, albowiem markiz życzył sobie, by ceremonia odbyła się z całym splendorem i rozgłosem. Gdy to się stało i Madryt złożył hołd pannie młodej, Agnes odjechała z don Rajmondem do jego zamku w Andaluzji. Towarzyszył im Lorenzo, a także markiza de Yilla Franca i jej nadobna córka. Nie trzeba chyba dodawać, że Teodor należał również do tej kompanii, i nie sposób opisać jego wesela z racji ożenku pana. Przed odjazdem markiz, pragnąc choć w pewnym stopniu okupić swą poprzednią opieszałość, jął dopytywać się o sprawy Elwiry. Dowiedziawszy się, że zarówno Elwira, jak i jej córka doświadczyły niejednej przysługi od Leonelli i Jacynthy, okazał szacunek dla pamięci bratowej przez hojne obdarowanie obu niewiast. Lorenzo poszedł za jego przykładem. Leonella czuła się wielce pochlebiona względami okazywanymi jej przez tak znamienitych szlachciców, a Jacyntha błogosławiła godzinę, w której dom jej został zaczarowany.

Agnes, ze swej strony, nie omieszkła nagrodzić swych klasztornych przyjaciółek. Zaczna matka Urszula, której Agnes zawdzięczała wolność, została mianowana na żądanie Agnes przełożoną Dam Miłosierdzia. Był to jeden z najświetniejszych i najbardziej majątnych klasztorów w całej Hiszpanii. Berta i Kordelia, nie chcąc opuścić swej przyjaciółki, objęły główne funkcje w tymże samym zgromadzeniu. Co zaś do mniszek, które pomagały dominie w prześladowaniu Agnes; Kamila, przykuta do łoża chorobą, zginęła w płomieniach, które strawiły klasztor; Marianna, Alicja i Wiolanta, a także dwie inne, padły ofiarą zaciekłości pospółstwa. Pozostałe trzy, które w czasie narady opowiedziały się za wyrokiem dominy, zostały surowo napomniane i zesłane do innych klasztorów, położonych w odległych i marnych prowincjach. Tu przeżyły parę lat, wstydząc się uprzedniej słabości, towarzyszki zaś unikały ich, darząc je wstrętem i wzgardą.

Nie dopuszczono również, by wierność Flory nie otrzymała stosownej nagrody. Spytano ją, czego pragnie, a ta oświadczyła, iż pilno jej odwiedzić rodzinny kraj. Zapewniono jej więc przejazd okrętem na Kubę, gdzie dopłynęła zdrowo i cało, wioząc ze sobą liczne podarki od Rajmonda i Lorenza.

Spląciwszy długi wdzięczności, Agnes mogła nareszcie zabrać się do przeprowadzenia drogiego jej sercu zamysłu. Lorenzo i Wirginia mieszkali w jednym domostwie i wciąż przebywali razem. Im częściej się spotykali, tym bardziej Lorenzo przekonywał się o zaletach dziewczeczki. Ona ze swej strony robiła wszystko, by mu się przypodobać, i musiała się spotkać z aprobatą. Lorenzo spoglądał z podziwem na jej powabną postać, wytworne obyczaje, mnogość talentów i łagodne usposobienie. Niemało pochlebiała mu również przychylność Wirginii, która nie była na tyle biegła, by ją ukrywać. Jednakże w sentymentach Lorenza nie żarzył się ów ogień, który płonął w afekcie ku Antonii. Obraz owej wdzięcznej i nieszczęśliwej dziewczeczki wciąż żył w jego sercu i udaremniał wszelkie starania Wirginii, aby go zeń usunąć. Lecz gdy książe zaproponował Lorenzowi związek, którego zawarcie tak bardzo leżało stryjowi na sercu, bratanek nie odrzucił oferty. Gorące prośby przyjaciół i zalety damy przewyciężyły niechęć młodzieńca do nowego związku. Poprosił o jej rękę markiza de Villa Franca i został przyjęty z wdzięcznością i weselem. Wirginia została małżonką Lorenza i nigdy nie dała mu powodu do użalania się nad jego wyborem. Szacunek Lorenza dla małżonki wzrastał z każdym dniem. Jej niestrudzone starania, aby mu się przypodobać, musiały zostać uwieńczone powodzeniem. Uczucie Lorenza przybierało mocniejsze i cieplejsze zabarwienia. Obraz Antonii stopniowo

zacierał się w umyśle młodzieńca i Wirginia stała się jedyną panią jego serca, na którego wyłączone posiadanie tak wielce zasługiwała.

Pozostałe lata życia Rajmonda i Agnes, Lorenza i Wirginii były tak szczęśliwe, jak tylko mogą być dni będące udziałem śmiertelnych, zrodzonych, by stać się łupem niedoli oraz igraszką zwodnych nadziei. Dzięki dotkliwym cierpieniom, jakie ich nawiedziły, lekce sobie wazyli każdą nachodzącą ich troskę. Poraziły ich najostrzejsze strzały, jakie niedola nosi w swoim kołczanie. Te, które pozostały, wydawały się stępione w porównaniu z poprzednimi. Stawiwszy czoło najcięższym nawałnicom losu, ze spokojem spoglądali na jego grozę, a jeśli nawet od czasu do czasu zrywał się nad ich głowami huragan utrapień, zdawał im się równie łagodny jak zefirek, który owiewa swym tchnieniem południe morza.

## Rozdział XII

*...Był to okrutny, złośliwy demon;*

*Podziemne, straszliwe piekielne moce nie miały odeń gorszego.*

*Za poduszczeniem dumy, sprytu, wściekłości i uraz*

*Był wrogiem zarówno złego, jak i zacnego człeka.*

James Thompson,  
„The Castle of Indolence”, canto II, 694-97.



Na drugi dzień po śmierci Antonii cały Madryt ogarnęło zdumienie i przerażenie. Pewien łucznik, który był świadkiem przygody w grobowcu, nieopatrnie opowiedział o szczegółach morderstwa; wspominał także o imieniu przestępcy. Wieść ta wzbudziła niespotykany zamęt wśród ludzi nabożnych. Większość z nich nie dała wiary plotce i niektórzy osobiście udali się do opactwa, by utwierdzić się w swoim mniemaniu. Mnisi, pragnąc uniknąć sromoty, którą postępek przełożonego ściągnął na całe zgromadzenie, zapewniali odwiedzających, iż Ambrozjo nie może ich przyjąć jak zazwyczaj tylko z przyczyny choroby. Lecz gdy dzień po dniu używali tej samej wymówki, ludzie poczęli stopniowo dawać wiarę opowieści łucznika. Zwolennicy Ambrozja odstępili go; nikt już nie żywił wątpliwości co do jego winy, a ci, którzy najżarliwiej go wychwalali, teraz najgłośniejszemu rzucał na opata słowa potępienia.

Gdy cały Madryt gorzko debatował nad niewinnością lub winą Ambrozja, on sam wydany został na pastwę udreki, jaką niesie ze sobą świadomość łajdackiego czynu i na mękę strachu przed zagrażającą mu karą. Kiedy spoglądał wstecz na dostojne stanowisko, jakie ostatnio zajmował, czczony i szanowany przez wszystkich, w zgodzie ze światem i samym sobą, z ledwością mógł uwierzyć, iż naprawdę był winowajcą, o którego zbrodniach i losie nie mógł myśleć bez drżenia. Upłynęło tylko kilka tygodni, odkąd przestał być człowiekiem cnotliwym i czystych obyczajów, któremu nadszkwili najmądrzejsi i najlepiej urodzeni obywatele Madrytu i na którego lud spoglądał ze czcią równającą się nieomal bałwochwalstwu. Teraz ujrzał, iż spalony jest najwstrętniejszym i najpotworniejszym z grzechów, iż stał się przedmiotem powszechnego obrzydzenia, więźniem Świętego Oficjum i że prawdopodobnie skazany zostanie

na śmierć w najokrutniejszych mękach. Nie mógł liczyć na oszukanie sędziów; zbyt pewne były dowody jego przewiny. To, iż znalazł się w grobowcu o tak późnej godzinie, jego zmieszanie, gdy go przychwycono, sztylet, który – jak sam to wyznał w pierwszym zaskoczeniu – został przez niego ukryty, i krew, która trysnęła z rany Antonii na jego habit – wszystko niezbicie wskazywało na Ambrozja jako na mordercę. Czekał w udręce na dzień przesłuchania i nic nie mogło ukoić jego zgryzoty. Religia niezdolna była tchnąć męstwa w jego dusze. Jeśli czytał księgi traktujące o moralności, jakie wkładano mu do ręki, widział tylko ogrom swoich grzechów. Jeśli próbował się modlić, przychodziło mu na myśl, iż nie zasługuje na opiekę niebios, i uważał swe zbrodnie za tak potworne, iż nie mogło ich nawet zrównoważyć nieskończone miłosierdzie boskie. Rozmyślał, iż dla każdego innego grzesznika mogła istnieć jeszcze jakaś nadzieja, lecz on nie mógł zgoła na nią liczyć. Wzdrygał się przed przeszłością, dręczyła go chwila obecna, lękał się przyszłości i tak trawił nieliczne godziny poprzedzające dzień, w którym miał stanąć przed sądem.

Nadszedł ów dzień. O dziesiątej rano odsunięto rygle więzienia, a wchodzący strażnik rozkazał mnichowi, aby za nim podążył, usłuchał go z drżeniem. Zaprowadzono go do obszernej sali, obitej czarną oponą. Przy stole siedziało trzech poważnych i srogo wyglądających mężów, także w czarnym odzieniu; jednym z nich był sam wielki inkwizytor, którego ważność sądzonej sprawy skłoniła do zbadania jej osobiście. Skinęto na Ambrozja, by się przybliżył i zajął miejsce u końca stołu. Kiedy więzień spuścił wzrok, zoczył rozmaite żelazne przyrządy, leżące w nieładzie na podłodze. Obcy mu był ich kształt, lecz złe przeczucie natychmiast podszeptło mu, iż są to narzędzia tortur. Zbladł i z trudem powstrzymał się od osunięcia się na ziemię.

Panowała głęboka cisza, przerywana jedynie szeptem inkwizytorów, którzy wymieniali między sobą jakieś sekretne uwagi. Upłynęła prawie godzina, z każdą minutą zaś strach Ambrozja stawał się bardziej dojmujący. W końcu małe drzwiczki, znajdujące się naprzeciw tych, przez które wkroczył Ambrozjo, ciężko i ze skrzypieniem obróciły się w zawiasach. Ukazał się urzędnik inkwizycji, a za nim piękna Matylda. Włosy zwisały jej w nieładzie wokół twarzy, lica miała wybladłe, oczy zaś wpadnięte i podsiniałe. Rzuciła na Ambrozja żałosne wejrzenie; odpowiedział jej wzrokiem pełnym wyrzutu i obrzydzenia. Usiadła naprzeciw niego. Trzykrotnie uderzono w dzwon. Był to znak, iż trybunał rozpoczyna przesłuchanie; inkwizytorzy objęli swoje funkcje sędziowskie.

W sądach sprawowanych przez inkwizycję nie wymienia się ani popełnionego przestępstwa, ani imienia oskarżyciela. Pyta się tylko więźniów, czy chcą się przyznać. Jeśli odrzekną, że nie mając żadnej zbrodni na sumieniu, nie mogą złożyć żadnych zeznań, bez zwłoki posyła się ich na tortury. Proceder ten powtarza się kilkakrotnie, dopóki podejrzany nie przyzna się do winy lub nie wyczerpie się do cna wytrwałość inkwizytorów; jednakże bez wyraźnego oświadczenia oskarżonego, iż czuje się winnym, inkwizycja nigdy nie wydaje na swoich więźniów ostatecznego i potępiającego wyroku. Zazwyczaj dozwala się, by upłynęło sporo czasu, nim się więźnia weźmie na spytki, lecz sąd nad Ambrozjem przyspieszono z racji uroczystego autodafe<sup>[1]</sup>, które miało się odbyć za parę dni; inkwizytorzy pragnęli, by ów znamienity winowajca wziął w nim udział i dał dobitne świadectwo ich czujności.

Opat oskarżony został nie tylko o gwałt i morderstwo; zarówno jemu, jak i Matyldzie zarzucono zbrodnię czamoksięstwa. Matyldę przychwycono jako współniczkę Ambrozja w morderstwie Antonii. Przeszukując jej celę, znaleziono rozmaite podejrzane księgi i utensylia, które w pełni usprawiedliwiały wniesione przeciw niej oskarżenie. Aby obwinić Ambrozja, pokazano trybunałowi magiczne lustro, które Matylda przypadkiem zostawiła w komnacie. Dziwaczne znaki wyryte na zwierciadleku przyciągnęły uwagę don Ramireza w czasie przeszukiwania celi opata i dlatego zabrał je ze sobą. Pokazano je wielkiemu inkwizytorowi,

który przez chwilę bacznie się mu przyglądał; potem wziął do ręki mały złoty krzyżyk wiszący mu u pasa i położył go na zwierciadélku. Natychmiast posłyszano donośny huk, podobny uderzeniu gromu, i stał rozprysnęła się na tysiące kawałków. Owo zdarzenie potwierdziło podejrzenia inkwizytorów co do czarodziejskich praktyk Ambrozja. Mniemali nawet, iż jego uprzedni wpływ na umysły ludzkie można było przypisać sztuce czarnoksięskiej.

Sędziowie, postanawiając zmusić Ambrozja do wyznania nie tylko popełnionych zbrodni, ale i tych, które nie ciążyły na jego sumieniu, rozpoczęli przesłuchanie. Chociaż opat lękał się tortur tak, jak lękał się śmierci, która skazałaby go na wieczne męki, to przecie śmiałym i zdecydowanym głosem obstawał przy swojej niewinności. Matyllda poszła za jego przykładem, lecz przemawiała trwożnie i z drżeniem. Inkwizytorzy, wpieryw na próżno nakłaniając mnicha do przyznania się, polecili, by wzięto go na tortury. Rozkaz bezzwłocznie wykonano. Ambrozjo wycierpiał najdotkliwsze męki, jakie kiedykolwiek wymyśliło okrucieństwo człowieka. A jednak śmierć, której towarzyszy wina, jest rzeczą tak straszliwą, iż miał w sobie na tyle męstwa, by obstawać przy swoim poprzednim twierdzeniu. Podwojono więc jego udrękę i nie pofolgowano mu, dopóki nie omdlał z bólu i brak przytomności nie wybawił go z rąk prześladowców.

Następnie wzięto na tortury Matyldę, lecz tę, przerażoną widokiem cierpień zakonnika, odstąpiła cała odwaga. Upadła na kolana, przyznała się do konszachtów ze Złym i do naocznego oglądania morderstwa dokonanego na Antonii. Co zaś do czarodziejskich praktyk, to oświadczyła, iż tylko ona jest tu przestępczynią, Ambrozjo zaś człkiem niewinnym. Nie dano wiary jej twierdzeniu. Opat ocknął się w sam czas, by usłyszeć spowiedź swojej współniczki, lecz zbyt słabł od tego, co już wycierpiał, by zdołał znieść nowe tortury. Kazano mu wrócić do celi wpieryw oznajmiwszy, że skoro tylko odzyska dostateczne siły, musi przygotować się na drugie przesłuchanie. Inkwizytorzy wyrazili nadzieję, iż stanie się wtedy mniej zatwardziały i uparty. Matyldzie oznajmiono, iż musi odkupić swą winę w ogniu zbliżającego się autodafe. Jej wszystkie łzy i błagania nie mogły przyczynić się do złagodzenia wyroku i siłą wyciągnięto ją z sali sądowej.

Kiedy Ambrozjo wrócił do swego lochu, łatwiej mu przyszło znieść cierpienia ciała niżli męczarnie ducha. Wywichnięte członki, paznokcie zdarte z palców rąk i nóg, zgniecione i pogruchothane ściskaniem obcęgów kończyny sprawiały mu znacznie mniejszy ból niżli wzburzenie ducha i okrutna obawa. Spostrzegł, iż sędziowie zamierzali wydać nań skazujący wyrok niezależnie od tego, czy jest winny, czy nie. Przerazało go wspomnienie wszystkiego, co już wycierpiał za wyparcie się winy i na myśl, iż znowu go wezmą na tortury, skłonny był nieomal przyznać się do zbrodni. Potem znowu nachodziły go refleksje o skutkach, jakie wywołało jego wyznanie, i znowu ogarniała go rozterka. Nie uniknie śmierci, i to śmierci najokropniejszej. Wysłuchał straszliwego wyroku, który padł na Matyldę, i nie wątpił, że czeka go podobny koniec. Drżał przed zbliżającym się autodafe i na myśl o śmierci w płomieniach i wyzwoleniu się z doczesnej męczarni tylko po to, by popaść w wymyślniejsze i wiecznotrwałe udręki. Trwożnie kierował oczy duszy ku chwilom czekającym go na tamtym świecie i nie mógł zataić przed sobą, jak słusznie winien obawiać się pomsty niebios. W owym labiryncie lęków chętnie szukałby ucieczki w ponurej pociesze, jaką daje niewiara; chętnie zaprzeczyłby nieśmiertelności duszy i wmówił w siebie, iż skoro raz zamknie oczy, nigdy ich już nie otworzy i jeden i ten sam moment unicestwi jego ciało i duszę. Odmówiono mu jednak nawet tej pociechy. Wiedza Ambrozja była zbyt rozległa, a rozum zbyt rzetelny i głęboki, by dozwoliły mu zamknąć oczy na fałszywość owego mniemania. Nie mógł mimo wszystko nie zdawać sobie sprawy z istnienia Boga. Dostrzegał teraz w najjaśniejszym świetle owe prawdy, które ongiś były jego pokrzepieniem, a teraz służyły tylko do tego, by doprowadzić go do szaleństwa. Wiara w Boga niszczyła jego nie oparte na niczym nadzieje uniknięcia kary, a zwodnicze opary filozofii

rozwiewały się na podobieństwo snu, rozpraszane przez nieodparty blask prawdy i przekonania.

W mękach aż nazbyt straszliwych, by mogło je znieść śmiertelne ciało, oczekiwał Ambrozjo chwili, w której znów miano go poddać badaniu. Trudził się obmyślaniami mało skutecznych podstępów dla uniknięcia kary zarówno doczesnej, jak i pośmiertnej. Na umknienie przed pierwszą nie było żadnego sposobu; co zaś do drugiej, to za podszeptem rozpaczy zapomniał o jedynym środku ratunku, jaki mu pozostawał. Gdy rozum zmuszał go do uznania istnienia Boga, sumienie kazało mu powątpiewać w nieskończoną dobroć Boskiej Istoty. Nie wierzył, by taki grzesznik jak on mógł znaleźć zmiłowanie. Nie został podstępnie pochwycony w sidła grzechu; w żaden sposób nie mógł wymówić się nieświadomością. Widział występki w prawdziwych barwach. Zanim popełnił swe zbrodnie, dostrzegł ich ciężar i obliczył w nich każdziutki gram, a przecie się ich dopuścił.

– Przebaczenie? – zwykł był wołać w napadzie szaleństwa. – O! nie może być dla mnie przebaczenia!

Przekonany o tym miast ukorzyć się w żalu za grzechy, opłakiwać swą winę i obrócić resztę nielicznych swych dni na przebłaganie gniewu niebios, oddał się porywom desperackiej wściekłości. Trapił się karą za grzechy, a nie ich popełnieniem, i folgował udręce ducha przez bezpożyteczne westchnienia, próżne lamenty, bluźnierstwa i zapamiętanie się w rozpaczy. A kiedy nikły powoli skąpe pobłyski dnia, które przedzierały się przez kraty jego więzienia, miejsce ich zaś zajmowało mdłe migotanie kaganka, czuł, jak wzrasta jego przerażenie, a myśli stają się coraz cięższe, posepniejsze i bardziej zwątpiałe. Lękał się nadejścia snu. Skoro tylko zamykał oczy, znużone łzami i czuwaniem, już zdawało mu się, iż prawdą stają się owe straszliwe wizje, o których ustawicznie rozmyślał za dnia. Znajdował się w podziemnych krainach i płonących pieczarach, otoczony złymi duchami wyznaczonymi na jego dręczycieli, którzy poddawali go kolejno rozmaitym torturom, każda zaś była straszniejsza od poprzedniej. Wśród owej ponurej scenerii błąkały się duchy Elwiry i jej córki. Obwinały go o swoją śmierć, rozpowiadały szatanom o jego zbrodni i namawiały ich, by zadawali mnichowi jeszcze wymyślniejsze męki. Takie to obrazy przepływały przed jego oczami i nie znikwały, dopóki spoczynku nie zakłócił mu nadmiar udręki. Wtedy podrywał się z ziemi, na której leżał rozciągnięty; z czoła spływał mu zimny pot, w oczach miał dzikość i obłąkanie, a przebudzenie dawało mu tylko okrutne potwierdzenie domysłów, co było równie nie do zniesienia. Przechadzał się po lochu niespokojnym krokiem, ze zgrozą spoglądał na otaczające go ciemności i często wołał:

– O! jakże pełna trwogi jest noc grzesznika!

Zbliżał się dzień drugiego przesłuchania. Zmuszono go, aby przełknął jakieś kordiały, których składniki były tak dobrze dobrane, by przywrócić jego ciału nieco siły i umożliwić dłuższe znoszenie tortur. W nocy poprzedzającej ów fatalny dzień strach przed jutrem spędził mnichowi sen z powiek. Lęk Ambrozja był tak straszliwy, iż nieomal unicestwił wszelkie władze jego umysłu. Siedział jak osłupiały w pobliżu stołu, na którym płonęła lampka. Rozpacz spętała mu rozum, czyniąc zeń zupełnego głupca, i trwał tak przez kilka godzin, nie mogąc się poruszyć, przemówić ani nawet rozmyślać.

– Ocknij się, Ambrozjo – ozwał się jakiś dobrze mu znany głos.

Mnich drgnął i podniósł w górę melancholijne spojrzenie. Stała przed nim Matylda. Zrzuciła z siebie habit zakonny. Przybrana była w niewieści strój, wytworny i wspaniały zarazem; szaty lśniły obfitością diamentów, a włosy przytrzymał różany wieniec.

W prawej ręce trzymała jakąś małą książeczkę; lica Matyldy promieniały radosnym ożywieniem, lecz w wyrazie jej twarzy był jakiś odcień okrutnego i władczego majestatu, który napełnił Ambrozja grozą i stłumił nieco uniesienia wywołane jej widokiem.

– Ty tutaj, Matyldo? – zawołał w końcu. – Jakżeś się tu dostała? Gdzie twoje więzy? Cóż

znaczy ten cały splendor i wesele, które błyszczą w twoich oczach? Czy miękkie serca twoich sędziów? Czy są jakieś widoki na moje ocalenie? Odpowiedz mi, na litość boską, i rzeknij mi, czym się mam łudzić, a czego lękać?

– Ambrozjo – odparła z godnym i władczym wejrzeniem – umknęłam zaciekłości inkwizytorów. Jestem wolna; jeszcze kilka minut, a całe królestwa będą mnie dzielić od tego więzienia. A jednak zapłaciłam za moją wolność okazałą i przerażającą cenę! Czy odważysz się ofiarować taką samą zapłatę? Czy odważysz się bez lęku przekroczyć granicę, która dzieli ludzi od aniołów? Milczysz... Spoglądasz na mnie oczyma pełnymi trwogi i podejrzeń... Czytam w twoich myślach i uznaję ich słuszność. Tak, Ambrozjo, poświęciłam wszystko dla życia i dla wolności. Nie jestem już przyszłą dziedziczką niebios. Wyrzekłam się służby Bogu i zaciągnęłam się pod chorągwie Jego nieprzyjaciół. Czyn mój jest nieodwołalny, a przecież gdyby cofnięcie go leżało w mojej mocy, nigdy bym tego nie uczyniła. Och! mój przyjacielu, konać w takich mękach! umierać wśród przekleństw i złorzeczeń! znosić obelgi rozjuszonych tłuszczy! być wystawioną na wszystkie upokorzenia wstydu i hańby! Któż bez zgrozy może rozmyślać o takim losie? Dozwól więc, bym radowała się z mojej zamiany. Sprzedałam odległą i niepewną szczęśliwość za terażniejszą i pewną pomyślność. Zachowałam życie, które utraciłabym w straszliwych mękach, i otrzymałam moc zapewnienia sobie wszelkiej rozkoszy, która może przydać życiu powabów. Duchy piekielne podlegają mi jako swojej władczyni; z ich pomocą przepędzę dni pośród wyszukanych dostatków i cielesnych uciech. Bez skrępowania radować się będę zadowalaniem moich zmysłów; folgować będę, choćby do przesytu, każdej namiętności; potem każę moim sługom obmyślić nowe przyjemności dla ożywienia i zaostrenia moich przytępionych żądz. Odchodzę, gdyż pilno mi sprawować nowo nabytą władzę. Wzdycham do wolności! Nic nie zatrzymałoby mnie ani minuty dłużej w tym obrzydłym miejscu prócz nadziei przekonania cię, byś poszedł za moim przykładem. Ambrozjo, wciąż cię jeszcze miłuję; nasza wspólna wina i niebezpieczeństwa sprawiły, iż stałeś mi się jeszcze droższy, i chętnie uratowałabym cię przed wiszącą nad tobą zagładą. Przyzwij na pomoc swoje męstwo i dla natychmiastowych i pewnych korzyści wyrzeknij się nadziei na zbawienie, które i trudno zyskać, i które może jest tylko mamidłem. Otrząśnij się z zabobonów, którym podlegają dusze pospółstwa, porzuć Boga, który porzucił cię, i wznies się na wyżyny istot wybranych.

Zamilkła czekając na odpowiedź mnicha, ten zaś odpowiadając jej zadrżał.

– Matyldo! – odrzekł po dłuższym milczeniu głosem cichym i zająkliwym – jaką cenę ofiarowałaś za swoją wolność?

Odpowiedziała mu stanowczo i nieustraszenie:

– Moją duszę, Ambrozjo.

– Cóżże uczyniła, nieszczęsna niewiasto? Niechże upłynie kilka lat i jakże straszliwe staną się twoje cierpienia!

– Słaby człowiecze, niechże upłynie ta noc i jakże straszliwe będą twoje męki! Czy pamiętasz, co już wycierpiałeś? Jutro zaś musisz znieść podwójnie dotkliwe udręki. Czy pamiętasz okropności, jakie niesie ze sobą przypiekanie ogniem? Za dwa dni powiodą cię jako ofiarę na stos! Cóż się wtedy z tobą stanie? Czy wciąż ośmielasz się żywić nadzieję, iż zyskasz przebaczenie? Wciąż jeszcze mamia cię widoki wiecznego zbawienia? Pomyśl o swoich zbrodniach! Pomyśl o swojej rozwiązłości, krzywoprzysięstwie, nieludzkości i obłudzie! Pomyśl o niewinnej krwi, która woła o pomstę do tronu Boga! A potem łudź się nadzieją boskiego miłosierdzia, snuj marzenia o niebie, wzdychaj za światami pełnymi blasku, za krainami pokoju i błogości! Co za niedorzeczność! Otwórz oczy, Ambrozjo, i bądź roztropany. Piekło jest twoim udziałem: zostałeś skazany na wieczyste zatracenie. Po tamtej stronie mogiły nie ma nic prócz otchłani i żarłocznych płomieni.



Czy ci tak spieszno do tego piekła? Czy pragniesz przed czasem pograżyć się w owym zatraceniu? Czy pragniesz wskoczyć w te płomienie, mając jeszcze możliwość ich uniknięcia? To czyn godny szaleńca. Nie, nie, Ambrozjo, umknijmy choć na chwilę przed pomstą niebios. Usłuchaj mojej rady; nabądź za jeden moment odwagi szczęście wielu lat, wesel się obecną chwilą i zapomnij, iż czyha na ciebie przyszłość.

– Matyldo, niebezpieczne są twoje namowy. Nie śmiem i nie chcę im ulec. Nie wolno mi wyrzec się prawa do zbawienia. Moje zbrodnie są potworne, lecz Bóg jest miłosierny i nie chcę zwątpić o Jego przebaczeniu.

– A więc tak postanowiłeś. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Spieszę ku weselu i wolności i pozostawiam cię na pastwę śmierci i wieczystych męczarni.

– Poczekaj jeszcze chwilę, Matyldo! Rozkazujesz duchom piekielnym; możesz wyważyć drzwi tego więzienia, możesz uwolnić mnie od tych łańcuchów, które mnie obciążają. Ocal mnie, Matyldo, zaklinam cię, i wywiedź mnie z tej straszliwej siedziby.

– Prosisz o jedyną łaskę, której nie mogę ci udzielić. Nie wolno mi wesprzeć kapłana i człowieka, który opowiada się po stronie Boga. Wyrzeknij się tego miana, a potem mi rozkazuj.

– Nie zaprzędam duszy na zatracenie.

– Trwaj więc w swoim uporze, a rychło znajdziesz się na stosie; będziesz żałować swego błędu i wdychać do wolności wtedy, kiedy okazja jej zyskania bezpowrotnie minęła.

Odchodzę... lecz nim nadejdzie godzina śmierci, gdyby cię oświecił rozsądek, słuchaj, jakimi sposobami możesz naprawić obecny błąd. Zostawiam ci tę książeczkę. Odczytaj wspaniałe cztery wiersze na siódmej stronie. Duch, którego już raz ujrzałeś, natychmiast się przed tobą pojawi. Jeśliś mądry, znowu się spotkamy, a jeśli nie, żegnaj na zawsze!

Upuściła książkę na podłogę. Postać Matyldy spowiła chmura błękitnego ognia. Skinęła dłonią w stronę Ambrozja i zniknęła. Nagła łuna, jaką płomienie rzuciły na cały loch, raptownie przygasła i zdawało się, iż jeszcze powiększyła panujące zazwyczaj mroki. Samotna lampka dawała jedynie tyle światła, by mnich zdołał dotrzeć do krzesła. Rzucił się na zydel, skrzyżował ramiona i oparłszy głowę na stole, pograżył się w zawiłych i chaotycznych rozmyśleniach.

Wciąż pozostawał w tej pozycji, gdy otwarcie więziennych drzwi wyrwało go z odretwienia. Zawezwano go, by stanął przed wielkim inkwizytorem. Wstał i podążył za dozorcą utrudzonym krokiem. Wprowadzono go do tej samej sali, postawiono przed tymi samymi sędziami i znowu pytano, czy chce się przyznać. Odrzekł, jak poprzednio, iż nie mając żadnych zbrodni na sumieniu nie może nic wyznać. Lecz gdy oprawcy gotowali się do wzięcia go na mękę, gdy spostrzegł narzędzia tortur i wspomniawszy na dotkliwy ból, który mu już raz zadali, postanowienie Ambrozja całkowicie zawiodło. Zapominając o skutkach, a pragnąc jedynie uniknąć terażniejszej udręki, złożył obszerny i dokładny zeznanie. Odsłonił każdą okoliczność towarzyszącą swojej przewinie i przyznał się nie tylko do zbrodni, którymi go obarczono, ale i do tych, o które go nigdy nie podejrzewano. Gdy spytano go o ucieczkę Matyldy, której zniknięcie wzniciło niemałe zamieszanie, wyznał, iż zaprzędała się szatanowi i zawdzięczała ocalenie czarodziejskim praktykom. Wciąż zapewniał sędziów, iż on sam nigdy nie wchodził w żadne układy ze złymi duchami, lecz groźba tortury skłoniła go do ogłoszenia się czarodziejem i heretykiem i przystania na każde miano, jakim zechcieli obdarzyć go inkwizytorzy. Ponieważ się przyznał, natychmiast ogłoszono wyrok. Kazano mu gotować się na śmierć w autodafe, które miało być uroczyste obchodzone tegoż dnia o północy. Godzinę tę wybrano, zważywszy, iż groza płomieni wyda się wśród nocnych mroków jeszcze straszliwsza, przez co egzekucja wyrze większe wrażenie na ludzkich umysłach.

Ambrozjo, już na pół martwy, pozostał samotnie w celi. Chwila, w której ogłoszono mu ten okropny wyrok, stała się niemal godziną jego zgonu. Cekał z rozpaczą nadchodzącego dnia,

a w miarę zbliżania się północy wzmagala się jego trwoga. Czasem pograżał się w ponurym milczeniu, niekiedy bredził w szaleńczym zapamiętaniu; załamywał ręce i przeklinał godzinę, w której po raz pierwszy ujrzał światło dzienne. W jednym z takich momentów oczy jego spoczęły na tajemniczym podarku Matyldy. Porywy wściekłości Ambrozja natychmiast ustały. Chciwie spojrział na książeczkę, wziął ją do ręki i natychmiast odrzucił od siebie precz ze zgrozą. Jął przemierzać celę szybkim krokiem... zatrzymał się i znowu wbił oczy w miejsce, gdzie padła książka. Zmiarkował, że tu przynajmniej znajdował się jakiś sposób uniknięcia losu, którego się obawiał. Schylił się i po raz drugi wziął książeczkę do ręki. Stał tak przez pewien czas, drżący i pełen wahania; wzdychał do popróbowania czaru, lecz bał się jego skutków. Przypomnienie o wydanym nań wyroku przemogło w końcu jego niezdecydowanie. Otworzył tomik, lecz tak wielce był wzburzony, iż z początku próżno szukał stronicy wskazanej mu przez Matyldę. Zawstydił się swojej słabości i przyzwał na pomoc całą odwagę. Odwrócił siódmą kartę, począł ją głośno odczytywać, lecz wciąż odrywał oczy od książki i rzucał dookoła niespokojne wejrzenia, szukając ducha, którego pragnął, a przecie lękał się zobaczyć. Wytrwał jednak w swoim zamiarze: głosem niepewnym i z częstymi przestankami udało mu się doczytać do końca pierwsze cztery wiersze na siódmej stronie.

Pisane były w zgoła nie znanym mu języku. Ledwo wypowiedział ostatnie słowo, a już okazały się skutki zaklęcia. Rozległ się donośny huk gromu, więzienie zatrzęsło się w posadach, łuna błyskawicy rozdarła mroki celi i w mgnieniu oka w siarczanych oparach stanął przed nim po raz drugi sam Lucyfer. Nie przybył jednak w tej postaci, w jakiej ukazał się ongiś na wezwanie Matyldy, kiedy to, chcąc zwieść Ambrozja, zapożyczył kształty u serafina. Ukazał się w całej szpetocie, która stała się jego udziałem od chwili upadku i wygnania z raju. Jego przekłete członki wciąż jeszcze nosiły ślady gromu, którym poraził go Wszechmogący. Gigantyczne kształty okrywała śniada i szerniała skóra; ręce i nogi uzbrojone miał w długie szpony. W oczach łyskała furia, która mogła porazić grozą najtęższe serce. Na ogromnych ramionach chwiały się dwa olbrzymie, czarne skrzydła, a miast włosów roiły mu się na głowie węże, owijając się dookoła czoła z przeraźliwym sykiem. W jednej dłoni dzierżył zwój pergaminu, w drugiej zaś żelazny rysik. Wciąż łyskało się wokół niego, a powtarzające się uderzenia piorunu zdawały się oznajmiać koniec wszechrzeczy.

Ambrozjo, przerażony zjawiskiem tak różnym od widoku, jakiego oczekiwał, wciąż wpatrywał się w szatana, niezdolny do przemówienia słowa. Pomruki grzmotu ustały i w lochu zapanowała głucha cisza.

– Po co mnie tu wezwano? – ozwał się szatan głosem schrypłym i przytłumionym piekielnym oparem.

Zdało się, iż na ów dźwięk zadrżała cała natura. Gwałtowny wstrząs zakołysał ziemią i towarzyszyło mu nowe uderzenie gromu, głośniejsze i bardziej przerażające niżli poprzednie.

Ambrozjo przez dłuższy czas niezdolny był odpowiedzieć na pytanie szatana.

– Jestem skazany na śmierć – rzekł słabym głosem, a krew zastygła mu w żyłach na widok owego straszliwego gościa. – Ocal mnie! Wywiedź mnie stąd!

– Czy wypłacisz mi się za moją przysługę? Czy odważysz się zostać poplecznikiem mojej sprawy? Czy będziesz mój ciałem i duchem? Czy gotów jesteś wyrzec się Tego, który cię stworzył i Tego, który za ciebie umarł? Odrzeknij „tak”, a Lucyfer stanie się twoim niewolnikiem.

– Czy nie zadowolisz się niższą ceną? Czy nic nie zdoła cię zadowolić prócz mojej wieczystej zguby? Duchu! za wiele żadasz. Wyprowadź mnie przecie z tego lochu. Bądź moim sługą przez godzinę, a ja będę twoim przez tysiąc lat. Czy ci to nie wystarczy?

– Nie, muszę mieć twoją duszę; musi być moją, i to moją na zawsze.

– Nienasycony szatanie! nie skażę się na wieczne męki. Nie wyrzeknę się nadziei, iż pewnego dnia uzyskam przebaczenie moich win.

– Nie wyrzekniesz się? A na jakich to urojeniach opierasz owe nadzieje?

Krótkowzroczny śmiertelniku! Nędzny ludzki łachmanie! Czy nie jesteś winny? Czy nie jesteś pohańbiony w oczach ludzi i aniołów? Czy tak straszliwe grzechy mogą zostać odpuszczone? Czy żywisz nadzieję, że uda ci się wyrwać z mojej mocy? Twój los już jest przypieczętowany. Wszechwieczny cię opuścił. Naznaczony jesteś moim piętnem w księdze przeznaczenia; moim być musisz i moim będziesz.

– To kłamstwo, szatanie! Nieskończone jest miłosierdzie Wszechmogącego, i skruszony grzesznik spotka się z Jego przebaczeniem. Moje zbrodnie są potworne, lecz nie wątpię o ich odpuszczeniu. Może gdy odbędę za nie stosowną pokutę...

– Pokutę? Czy męki czyścicowe zostały stworzone dla takich grzechów jak twoje? Czy łudzisz się, że twoje wykroczenie okupione zostanie modlitwami zabobonnych starców i próżniaczych mnichów? Ambrozjo, miejże rozum! Musisz być moim. Skazany jesteś na ogień piekielny, lecz możesz go jeszcze uniknąć. Podpisz ten pergamin; wywiode cię stąd i będziesz mógł spędzić resztę swych dni w szczęściu i na swobodzie. Wesel się życiem. Folguj sobie z każdej rozkoszy, do której nakłaniać cię będzie twoja pożądlivość. Ale pamiętaj, że z chwilą gdy twoja dusza opuści ciało, należy ona do mnie i nie dam się wyzuc z tego, co mi się słusznie należy.

Mnich milczał, lecz wygląd jego wskazywał, iż słowa kusiciela trafiły na podatną glebę. Ze zgrozą myślał o wyłożonych mu przez czarta warunkach. Z drugiej strony, mniemał, że i tak skazany jest na potępienie – przez odrzucenie zaś pomocy szatana tylko przyspieszy męki, których nie będzie mógł żadną miarą uniknąć. Zły duch postrzegł, iż Ambrozjo zachwiał się w swym postanowieniu. Ponowił nalegania i usiłował przełamać niezdecydowanie mnicha. Opisywał mu w najstraszliwszych barwach męki konania i tak skutecznie podżegał jego rozpacz i obawy, iż w końcu zmusił go do przyjęcia pergaminu. Potem wbił żelazny rysik, który trzymał w dłoni, w żyłę na lewej ręce Ambrozja. Było to głębokie ukłucie i rysik natychmiast spłynął krwią, a przecież Ambrozjo nie odczuł żadnego bólu. Czart włożył mu rysik do drżącej dłoni. Nieszczęśnik położył pergamin przed sobą na stole i gotował się do złożenia na nim podpisu. Nagle wstrzymał dłoń; cofnął się raptownie i rzucił rysik na stół.

– Cóż czynię! – zwołał. – Potem, zwracając się do szatana ze zrozpaczonym obliczem, rzekł: – Zostaw mnie! Odejdź! Nie podpiszę tego pergaminu.

– Głupcze! – krzyknął zawiedziony szatan, rzucając nań tak rozwścieczone spojrzenie, iż groza przeniknęła duszę mnicha. – A więc tak sobie ze mną igrasz? Idź tedy precz! Szalej w męczarniach, konaj na torturach, a potem dowiedz się, jak daleko sięga wieczyste miłosierdzie! Lecz strzeż się, byś mnie drugi raz nie okpił! Nie wzywaj mnie więcej, chyba że postanowisz przyjąć moje usługi. Przywołaj mnie raz jeszcze tylko po to, by mnie znów kapryśnie odprawić, a te oto szpony rozedrą cię na tysiące kawałków. Rzeknij raz jeszcze, czy podpiszesz cyrograf?

– Nie podpiszę. Zostaw mnie. Idź precz!

Natychmiast posłyszano straszliwy huk gromu, ziemia znów gwałtownie zadrżała, lochy rozbrzmiały przeraźliwym wrzaskiem i czart umknął wśród błuźnierstw i złorzeczeń.

Z początku mnich radował się, iż oparł się fortelom kusiciela i zatriumfował nad wrogiem ludzkości, lecz w miarę jak nadciągała godzina kary, znów ożyła w sercu Ambrozja dawna trwoga. Chwilowe przyciszenie lęku dodało mu tylko nowej mocy. Im bardziej zbliżał się oznaczony czas, tym bardziej trwożył się stanąć przed tronem Boga. Wzdrygał się na myśl, jak rychło musi pograć się w nieskończoności, jak rychło spotka się twarzą w twarz ze swoim Stworzycielem, którego tak ciężko obraził. Dzwon oznajmił północ. Był to znak, iż wnet powiodą Ambrozja na stos. Kiedy przysłuchiwał się pierwszemu uderzeniu zegara, krew

zmroziła mu się w żyłach. Słyszał, jak każde następne uderzenie zapowiada śmierć i tortury. Już się spodziewał, iż ujrzy łuczników wkraczających do celi, i w chwili gdy ustały uderzenia dzwonu, chwycił w porywie rozpaczony czarnoksiężską książeczkę. Szybko ją otworzył, odszukał siódmą stronicę i jakby obawiając się jakiegoś momentu zastanowienia, spieszenie odczytał owe fatalne wiersze.

I znowu przed drżącym Ambrozjem stanął Lucyfer, a pojawieniu się jego towarzyszyły poprzednie okropności.

– Przyzwałeś mnie – rzekł Zły. – Czy zdecydowałeś się, iż będziesz roztropny? Czy przyjmujesz moje warunki? Jesteś z nimi już obznajomiony. Wyrzeknij się prawa do zbawienia, zaprzędam ci duszę, a natychmiast wywiodę cię z tego lochu. To już ostatni czas. Decyduj się albo będzie za późno. Czy podpiszesz cyrograf?

– Muszę... Los mnie do tego popycha... Przyjmuję twoje warunki.

– Podpisz pergamin – odpowiedział szatan triumfującym głosem.

Cyrograf i skrwawiony rysik leżały na stole. Ambrozjo przybliżył się doń i gotował do położenia na pergaminie swego podpisu. Lecz chwila namysłu znów zachwiała jego postanowieniem.

– Słuchaj! – zawołał kusiciel – nadchodzą! Spiesz się! Podpisz cyrograf, a wywiodę cię stąd w mgnieniu oka.

Istotnie słyhać było kroki łuczników, wyznaczonych dla poprowadzenia Ambrozja na stos. Dźwięk kroków utwierdził mnicha w poprzednim postanowieniu.

– Co zawiera to pismo? – zapytał.

– Oddajesz mi w nim na zawsze swoją duszę, i to bez żadnych ograniczeń.

– A co mam zyskać w zamian?

– Moją opiekę i uwolnienie z więzienia. Podpisz, a już cię stąd zabieram.

Ambrozjo ujął pióro. Przyłożył je do pergaminu. Znowu opuściła go odwaga. Poczuł, jak kleszcze strachu ścisną mu serce, i raz jeszcze cisnął pióro na stół.

– Słaby i tchórzliwy człowiecze! – zawołał rozwścieczony szatan. – Dość tych głupich ceregieli! Podpisz mi natychmiast to pismo albo padniesz ofiarą mojego gniewu.

W tej właśnie chwili odsunięto rygiel zewnętrznych drzwi. Więzień postyszał brzęk łańcuchów, opadła ciężka sztaba i łucznicy już mieli wkroczyć do celi. Nieszczęsny mnich, doprowadzony do obłędu zawieszony nad jego głową niebezpieczeństwem, wzdrygając się przed nadchodzącą śmiercią, przerażony groźbami czarta i nie widząc żadnych innych sposobów uniknięcia grożącej mu zagłady, ustąpił. Podpisał fatalny cyrograf i szybko oddał go w ręce złego ducha, którego oczy w chwili przyjmowania podarunku zabłyśły złośliwym rozradowaniem.

– Weźże ten papier! – rzekł człek opuszczony przez Boga. – A teraz ocal mnie! Wyrwij mnie z tego lochu!

– Wstrzymaj się! Czy dobrowolnie i całkowicie wyrzekasz się swego Stwórcy i Jego Syna?

– Wyrzekam się! Wyrzekam!

– Czy zaprzędam ci na zawsze swą duszę?

– Na zawsze!

– Bez żadnych ograniczeń i wybiegów? Bez odwoływania się w przyszłości do boskiego miłosierdzia?

Z drzwi więzienia opadł ostatni łańcuch. Posłyszano zgrzyt klucza w zamku. Już ozwało się skrzypienie drzwi, które z trudem obracały się w zardzewiałych zawiasach...

– Jestem twój na zawsze i nieodwołalnie! – zawołał mnich, obłąkany z przerażenia. – Wyrzekam się wszelkich roszczeń do zbawienia! Nie uznaję innej potęgi prócz twojej mocy!

Słuchaj! nadchodzą! Och! ocal mnie! wywiedź mnie stąd!

– Zwyciężyłem! Należysz do mnie nieodwołalnie, ja zaś dopełniam mojej obietnicy.

Kiedy wypowiadał te słowa, klucz zazgrzytał w zamku. Szatan natychmiast schwycił jedną rękę Ambrozja, rozpostarł szerokie skrzydła i raptownie uniósł się wraz z mnichem w powietrze. Gdy szybowali ku górze, rozwarł się dach więzienia, a gdy je opuścili, znowu się za nimi zawarł.

Tymczasem zniknięcie więźnia wprawiło dozorcę w zupełne osłupienie. Chociaż ani on, ani łucznicy nie przybyli na czas, by stać się świadkami ucieczki mnicha, to jednak zapach siarki, który nappełnił cały loch, wyjaśnił im dostatecznie, dzięki czyjej pomocy więzień odzyskał wolność. Pospieszyli złożyć raport wielkiemu inkwizytorowi. Wieść, jak to pewien czarnoksiężnik został porwany przez diabła, rozeszła się po Madrycie i przez kilka dni całe miasto zajęte było rozprawianiem o owym przypadku. Stopniowo owa historia przestała być tematem rozmów. Wydarzyły się inne przygody, których nowość przyciągnęła powszechną uwagę, i Ambrozjo został rychło tak doszczętnie zapomniany, jak gdyby nigdy nie istniał. Tymczasem mnich w objęciach swego czarciego przewodnika przemierzał przestworza z chyżością strzały i w mgnieniu oka znalazł się na brzegu przepaści, najbardziej urwistej w całych Sierra Morena<sup>[2]</sup>.

Chociaż Ambrozjo wyrwany został spod władzy inkwizycji, jak dotąd nie odczuwał błogosławieństw płynących z wolności. Wspomnienie fatalnego cyrografu zbyt ciężko na jego umyśle, a sceny, w których odegrał główną rolę, pozostawiły na nim takie wrażenie, iż serce jego stało się siedliskiem chaosu i zamętu. Obrazy, które miał teraz przed oczyma i którym się mógł dokładnie przyjrzeć, dzięki księżycowi w pełni żeglującemu wśród chmur, nie nazbyt były sposobne do natchnięcia go spokojem, tak wielce mu w tej chwili potrzebnym. Bezład wyobraźni powiększała dzikość otaczających go widoków – posępne pieczary, strome skały, piętrzące się jedna nad drugą i rozrywające iglicami przelatujące chmury. Widział rozrzucone tu i tam samotne kępy drzew, w których grubych i pokręconych konarach nocny wiatr ochryple zawodził żalosne melodie. Słyszał ostry krzyk górskich orłów, które uwiły sobie gniazda wśród tych niedostępnych pustkowi, ogłuszający huk rwących potoków, wezbranych przez ostatnie deszcze i pędzących w dół straszliwych przepaści. Oglądał mroczne wody cichego, leniwego strumyka, słabo odbijające księżycowe promienie i opływające podnóże skały, na której się znajdował. Opat rzucił dookoła przerażone wejrzenie. Jego przewodnik, z piekieł rodem, wciąż stał u jego boku i spoglądał nań wzrokiem, w którym złośliwość mieszała się ze wzgardą i rozweseleniem.

– Gdzie żeś mnie przywiódł? – rzekł w końcu mnich głuchym i drżącym głosem. – Dlaczego znajduję się w tym melancholijnym miejscu? Wywiedź mnie stąd, i to chyżo! Zanieś mnie do Matyldy!

Szatan nie odrzekł ani słowa, lecz wciąż przyglądał mu się milcząco. Ambrozjo nie mógł znieść tego wejrzenia; odwrócił oczy, a czart przemówił w te słowa:

– A więc mam go w mojej mocy! Ten wzór nabożności! Tę istotę bez skazy i zmazy! Tego śmiertelnika, który chciał przyrównać swe marne cnoty do cnotliwości aniołów! Jest mój! nieodwołalnie i na zawsze mój! Towarzysze mojej udreki! mieszkańcy piekieł! jakże wdzięczni mi będziecie za ten podarek.

Przerwał, a potem zwrócił się do mnicha:

– Mam zanieś cię do Matyldy – ciągnął dalej, powtarzając słowa Ambrozja. – Nędzniku! rychło się z nią spotkasz! Słusznie zasługujesz na miejsce w jej bliskości, albowiem całe piekło nie chełpi się posiadaniem bardziej występnego od ciebie łajdaka. Słuchaj pilnie, Ambrozjo, gdy odsłaniam ci twoje zbrodnie. Przelałeś krew dwóch niewinnych istot: Antonia i Elwira zginęły z twojej ręki. Ta Antonia, którą zniewoliłeś, była twoją siostrą! Ta Elwira, którą

zamordowałeś, dała ci życie! Drzyj, rozpustny obłudniku! nieludzki matkobójco! kazirodczy gwałcicielu! drzyj przed ogromem twoich nieprawości! I to właśnie ty mniemałeś, żeś zbrojny przeciw pokusie, wyzuty z ludzkich słabości i wolny od błędów i grzechu! Czy pycha znaczy to samo co cnota? Czy niedostatek ludzkich uczuć nie jest przewiną? Wiedźże, próżny człowiecze, iż już dawno upatrzyłem cię na moją ofiarę. Czuwałem nad poruszeniami twego serca, widziałem, żeś cnotliwy tylko przez próżność, a nie z potrzeby serca, i skorzystałem ze sposobnej chwili, aby cię skusić. Spostrzegłem twój ślepy i bałwochwalczy kult dla wizerunku Madonny. Rozkazałem niższemu, lecz przemyślnemu duchowi, by przybrał podobną postać, ty zaś skwapliwie uległeś przymilnościom Matyldy. Jej pochlebstwa zadowolili twoją próżność; twoja pożądliwość czekała tylko na sposobność, aby się rozpalić; na ślepo wpadłeś w zastawione sidła i nie zawahałeś się przed popełnieniem zbrodni, którą ganiłeś u innych z tak okrutną surowością. To ja postawiłem Matyldę na twojej drodze; to ja dałem ci dostęp do komnatki Antonii; to ja sprawiłem, iż dano ci do ręki sztylet, który przeszył pierś twojej siostry; to ja ostrzegłem we śnie matkę o twoich zamysłach względem jej córki i zaszkoziwszy ci w wyciągnięciu korzyści ze spoczynku Elwiry, zmusiłem, byś przydał gwałt i kazirodztwo do rejestru twych zbrodni. Słuchaj, słuchaj uważnie, Ambrozjo; gdybyś mi się oparł jeszcze przez jedną minutę, ocaliłbyś zarówno ciało, jak i duszę. Strażnicy, których kroki słyszałeś pod drzwiami twego więzienia, przyszli, by powiadomić cię o ułaskawieniu. Lecz ja już odniosłem zwycięstwo; moje knowania już się powiodły. Ledwo zdołałem podsunąć ci myśl o występku, a tyś już go popełniał. Należysz do mnie i samo niebo nie może wybawić cię z mojej mocy. Nie łudź się, że twoja skrucha unieważni nasz pakt. Tu jest zobowiązanie, podpisane twoją własną krwią; wyrzekłeś się roszczeń do miłosierdzia boskiego i nic nie zdoła ci przywrócić praw, których się lekkomyślnie wyzbyłeś. Czy mniemasz, że twoje sekretne myśli uszły mojej uwagi? O, nie; czytałem w nich jak w otwartej księdze. Ufałeś, że jeszcze starczy ci czasu na pokutę. Przejrzałem ten podstęp, wiedziałem o nieszczerości twoich obietnic i radowałem się mogąc oszukać oszusta! Należysz do mnie nieodwołalnie. Pilno mi wejść w moje prawa i nie wyjdiesz żywy z tych górskich pustkowi.

W czasie przemowy czarta Ambrozjo osłupiał ze strachu i zdumienia. Ocknął się jednakże usłyszawszy ostatnie oświadczenie szatana.

– Nie wyjdę żywy z tych górskich pustkowi? – zawołał. – Cóż znaczą te słowa, ty wiarołomny? Czy zapomniałeś o naszym kontrakcie?

Szatan odpowiedział zjadliwym śmiechem.

– O naszym kontrakcie? A czy nie dokazałem tego, com miał dokazać? Cóż więcej obiecywałem prócz wyrwania cię z więzienia? Czy tego nie uczyniłem? Czy zagraża ci jeszcze inkwizycja? Czy zagraża ci cokolwiek prócz mnie? Głupcze, któryś powierzył się szatanowi! Dlaczego nie zawarowałeś sobie praw do życia, władzy i rozkoszy? Wszystko to zostałooby ci udzielone, lecz zbyt późno o tym pomyślałeś. Łotrze, gotuj się na śmierć, bo niewiele ci pozostało godzin życia.

Straszliwe uczucia miotają nieszczęsnym skazańcem, gdy posłyszał ten wyrok. Upadł na kolana i wznosił ręce ku niebu. Zły przejrzał jego zamiary i udaremnił je...

– Jak to? – zawołał, rzucając mu rozwścieczone wejrzenie – jeszcze ośmielasz się błagać boskie miłosierdzie? Chcesz udawać skruchę i znowu odgrywać rolę obłudnika? Łotrze! porzuć wszelkie nadzieje na zyskanie przebaczenia. Oto jak zapewniam sobie moją zdobycz!

Rzekłszy to, wbił szpony w tonsurę mnicha i uniósł się z nim ze skały. Góry i pieczary rozbrzmiały strasznym krzykiem Ambrozja. Szatan wciąż unosił się w górę, aż osiągnąwszy zawrotną wysokość, wypuścił ze szponów swoją udręczoną ofiarę. Mnich runął głową na dół w powietrzne bezmiary; spadł na ostry szczyt skalny, a potem toczył się z przepaści w przepaść,

dopóki pokaleczony i pogruchotany nie spoczął nad brzegiem rzeki. Życie wciąż tliło się w jego nieszczęsnym ciele; próżno usiłował podnieść się z ziemi: jego połamane i wywichnięte członki odmówiły mu posłuszeństwa i niezdolny był do opuszczenia miejsca, na które runął. Spoza horyzontu rychło wyrzało słońce, a jego palące promienie padały wprost na głowę konającego grzesznika. W ciepłe wyroiły się miriady insektów; spijały krew sączącą się z ran Ambrozja, ten zaś nie miał sił, by je od siebie odpędzić. Przywierały do jego otwartych ran, żądliły jego ciało, pokrywały go całego nieprzebrany rojem i zadawały mu straszliwe i nieznośne męki. Skalne orły szarpały jego ciało na sztuki i wydłubały mu oczy zakrzywionymi dziobami. Paliło go i udęczało pragnienie; słyszał szum rzeki, która tuż obok toczyła swe wody, lecz próżno usiłował powlec się w kierunku owego odgłosu. Ślepy, okaleczony, bezsilny i rozpaczony dawał folgę wściekłości, bluźniąc i złorzecząc; przeklinał swój żywot, lękając się przecie nadejścia śmierci, która miała wydać go na jeszcze większe męki – tak trwał i zamierał przez sześć nieszczęsnych dni. Na siódmy dzień zerwała się gwałtowna burza. Rozszalały huragan wyrwał drzewa i kruszył skały; niebo czarne było od chmur, to znów rozświetlało się łunami błyskawic. Deszcz padał strumieniami i wody pot ku wezbrały; fale przelały się przez brzegi, dosięgły miejsca, na którym leżał Ambrozjo, a gdy wody opadły, uniosły ze sobą i do rzeki ciało udęczonego mnicha.

Wyniosła pani, dlaczego wzdrygasz się, gdy jakaś biedna grzesznica zbliża się ku tobie? Czy powietrze zarażone zostało jej występkiem? Czy twoja niewinność zbrukana została jej oddechem? Ach, pani, rozchmurz to gniewne czoło; zduś wyrzut, który już dobywa się z twoich wzgardliwych ust, i nie rań duszy, która i tak już krwawi! Niewiasta ta cierpiała i jeszcze cierpi. Lica ma wesołe, lecz serce złamane; szaty jej lśnią, ale jęk dobywa się z piersi. Pani! spoglądanie z litością na uczynki innych jest nie mniejszą cnotą niżli spoglądanie z surowością na postęпки własne.

<sup>[1]</sup> autodafe – dosłownie w portugalskim: akt wiary. Tak określano ceremonię stosowaną przez inkwizycję hiszpańską. Po uroczystej procesji i nabożeństwie odczytywano wyroki na heretyków. Skazani na śmierć byli wydawani władzom świeckim i paleni publicznie na stosie.

<sup>[2]</sup> Siena Morena – pasmo górskie w południowej Hiszpanii. Dosłownie: Ciemne Góry.

## Posłowie



„Mnich” ukazał się w marcu 1796 roku i jego młody, zaledwie dwudziestoletni autor stał się w ciągu kilku miesięcy znany i sławny. Początkowo był to przede wszystkim succes de scandale: o powodzeniu świadczyły zacytane egzemplarze powieści, powtórne wydania i trwająca po dziś dzień jej poczytność, zaś o skandalu – wypowiedzi ówczesnej krytyki, oburzenie moralistów, niepokój oraz głosy sprzeciwu licznych czytelników wychowanych jeszcze na „zacnych” powieściach obyczajowo-sentymentalnych XVIII wieku. Lewis, potomek dobrej i zamożnej rodziny, kształcony w elitarnym Christ College w Oksfordzie i przeznaczony przez ojca do kariery dyplomatycznej, pozostał w historii literatury autorem tej właśnie jednej młodzieńczej powieści, mimo że w ciągu swego czterdziestoparoletniego życia napisał około setki wierszy oraz kilka dram romantycznych i fantastycznych. Przełożył ponadto z języka niemieckiego i francuskiego sporo utworów, głównie scenicznych, adaptując je i przerabiając, jak to było ówczasnie we zwyczaju.

Czym więc zadziwił i zaskoczył publiczność londyńską młody człowiek, którego rychło obdarzono przydomkiem „Monk– Lewis”, i dlaczego ta właśnie powieść zachwycała romantyków, a w naszych czasach została w sposób szczególny przywrócona do łask przez surrealistów?

Czytelnicy końca wieku XVIII byli już oswojeni z cudownością i grozą, jakie wprowadziła do literatury przywoływana z przeszłości twórczość balladowa, drama przedromantyczna i powieść gotycka zwana też romanssem grozy. „Mnich” w wielu ze swych elementów, a szczególnie w scenerii, nawiązywał do tego gatunku powieściowego. Jego rozwój zapoczątkował Horace Walpole swoim „Zamczyskiem w Otranto” (1764), a rozpowszechnił się on w latach dziewięćdziesiątych XVIII wieku dzięki powieściom pani Ann Radcliffe i jej licznych, choć znacznie mniej uzdolnionych naśladowców. Powieści te, zwane wzorem podtytułu „Zamczyska w Otranto” powieściami gotyckimi, działy się w średniowieczu, a w każdym razie w bliżej nie określonej przeszłości – czasach surowych, krwawych i barbarzyńskich. Słowo „gotycki” było w pierwszej połowie wieku XVIII synonimem tej „barbarzyńskiej” epoki, jednak w drugiej połowie stulecia stało się terminem prawie jednoznacznym z tym, co odległe, nastrojowe, nadprzyrodzone i cudowne, a zmiana dokonała się głównie z inspiracji powieści gotyckiej. Wyróżniła się ona sensacyjną fabułą oraz wprowadzeniem do niej wątków i motywów nadprzyrodzonych, które miały wzbudzać w czytelnikach uczucie przyjemnej grozy.

Wśród bohaterów wysuwał się na czoło demoniczny czarny charakter i prześladowana przez niego niewinna heroina oraz dzielny i szlachetny młodzieniec – wybawiciel z opresji. Główną rolę w perypetiach odgrywał jeszcze jeden „bohater” powieści gotyckiej – zamek. Jego zazwyczaj nadszarpnięte zębem czasu mury i baszty były stosownym miejscem dla ukazania się ducha, jego podziemne korytarze i lochy stanowiły siedziby grozy i cierpienia, a jego oświetlone



księżycem mury stawały się malowniczą dekoracją, której przydawano jeszcze dla spotęgowania nastroju chmury kłębiące się na niebie i raz po raz przysłaniające księżyc, podmuchy wiatru, huk pioruna i przeraźliwy krzyk sowy. Zamek mógł być zastąpiony przez stare opactwo, zazwyczaj w ruinie, przez obrośniętą bluszczem cmentarną kaplicę lub zatęchłą kryptę, w której poniewierały się czaszki i piszczele.

Sceneria powieści gotyckiej to jej nieodłączny atrybut, a jednocześnie dowód głębokiej przemiany w upodobaniach estetycznych wieku XVIII, w których coraz pocześniejsze miejsce zajmowało zainteresowanie architekturą gotycką i łączącymi się z nią kategoriami wzniosłości i grozy.

Lewis wykorzystał w „Mnichu” owe nastrojowe dekoracje: powieść zaczyna się w gotyckiej katedrze, toczy częściowo w zamku lindenberskim, kryptach cmentarnych i podziemnych lochach klasztornych, które stają się miejscem zbrodni tytułowego bohatera – Ambrozja i sceną najokrutniejszych cierpień obu bohaterek – Agnes i Antonii.

Nie tło wszakże ani schematy kompozycyjne świadczyły o nowości i oryginalności „Mnicha”. Nowatorskie było w Anglii wykorzystanie w powieści motywów folkloru niemieckiego, który inspirował jego odkrywców – poetów „burzy i naporu” – oraz późniejszych romantyków, a z którymi zapoznał się Lewis w czasie swego pobytu w Weimarze. Siedemnastoletni adept dyplomacji został tam wysłany przez ojca w celu nauki języka niemieckiego oraz przetarcia się na małym, ale jak głosiły wieści, kulturalnym i oświeconym dworze weimarskim i nie stracił czasu, chociaż należy wątpić, czy wszystkie jego lektury zostałyby zaaprobowane przez troskliwych rodziców. Przede wszystkim zaznajomił się ze słynnym „Werterem” osobiście poznanego pana Goethe, o czym donosił matce, nadmieniając, żartobliwie: „Nie powinnaś się więc dziwić, gdy pewnego pięknego poranka palnę sobie w łeb”. Poza tym towarzyszyły Lewisowi lektury starych ballad i piosenek, odkrytych przez Herdera w bogatej twórczości ludowej, oraz dawnych legend i podań wchodzących do ukazujących się właśnie w Niemczech tomików opowiadań, zbiorów baśni, powieści i dram rycerskich. Roifo się w nich od romantyki grozy: wampirów, widm powstających z grobów i przybywających po niewierne narzeczone, czarnoksięskich praktyk, magicznych zaklęć, tajemnych rytuałów. Kolebkę i pożywkę tych krwawych i ponurych wizji stanowił zarówno folklor germański, jak i działalność licznych niemieckich towarzystw sekretnych, w których żyła tradycja magii zawartej w doktrynach teozoficznych i kabalistycznych.

O upiornym nurcie fantastyki niemieckiej, która zresztą od czasów, gdy zapoznał się z nią Lewis, znacznie się jeszcze rozwinęła, pisał później Heine zwracając się do Francuzów: „Choćbyście splądrowali trupiarnie, cmentarze, cour de miracle, zbiorowe mogiły po dżumie średniowiecznej, nie zebralibyście tak dobrego towarzystwa (...) Zostawcie nam, Niemcom, wszystkie okropności i szaleństwa, sny gorączkowe i świat duchów”.

Lewis w Weimarze „plądruje” właśnie ów świat irracjonalny, a zarazem realny w swojej makabrze i przyswaja jego wizję literaturze angielskiej. Czyta wszystko, co mu wpadnie w ręce; ćwiczy się w sztuce przekładu na starych balladach, a przede wszystkim notuje w pamięci legendę o broczącej krwią mniszce, popularne w Niemczech podanie o Żydzie Wiecznym Tułaczem, ceremoniał związane z przywoływaniem szatana oraz dziesiątki motywów, które znajdują się w jego przyszłej powieści.

Jeśli wierzyć korespondencji Lewisa z matką, przywiózł on po ośmiu miesiącach pobytu w Weimarze pierwszy szkic początkowych rozdziałów utworu pisanego „na wzór Zamczyska w Otranto”. Dalsze partie „Mnicha” skreślił prawdopodobnie w czasie pobytu w Hadze w roku 1794, gdzie znowu wysłano go na praktykę dyplomatyczną, do czasu wszakże wydania książki w roku 1796 musiał w niej najpewniej jeszcze niejedno uzupełnić i poprawić.

Nowością powieści o znaczeniu wykraczającym poza przeniesienie do Anglii fantastyki niemieckiej było jej połączenie z naturalistycznymi opisami okrucieństwa, konania i rozkładu cielesnego. Jeśli panią Radcliffe można by nazwać „romantyczką” powieści grozy ze względu na przewagę nastrojowości i sentymentalizmu w jej utworach, to Lewisa można nazwać „realistą” tego gatunku. Bohaterki powieści „czarodziejki Zamku Udolfo” – trafnie nazwanej tak przez ówczesną krytykę, przeżywały straszne przygody: bywały porywane, więzione, błądziły po omszałych lochach, penetrowały tajemne przejścia i schowki, ale wychodziły z tych wszystkich tarapatów zawsze w pełni urody i w niepokalanych szatach. Natomiast Agnes, jedna z bohaterek Lewisa, więziona jest w lochu, gdzie powietrze po prostu cuchnie, woda jest stęchła, a nieszczęśliwa ofiara cierpi męki głodowe. Jej nowo narodzone dziecko przeobraża się w jej ramionach w rozkładającego się trupka, który napętnia obrzydzeniem nawet zrozpaczoną matkę, a widok ten wzbudza w nadchodzących wybawicielach litość na równi ze wstrętem.

Obrazy takie musiały gorszyć tkliwe czytelniczki, przyzwyczajone w literaturze do pewnego decorum zgodnego z wymaganiami delikatności i dobrego gustu. Lewis używając wielu środków powieści gotyckiej, przeciwstawia się wyraźnie jej estetyce wzbudzania uczuć przyjemnej grozy.

Nowość Lewisa stanowił wreszcie sposób, w jaki to, co niewidzialne, nadprzyrodzone i cudowne pojawiło się w jego powieści. Rozpoczyna się ona od spotkania w katedrze pięknej dziewczyny, jej ciotki, a zarazem duenny oraz dwóch wytwornych kawalerów; początkowe sceny i dialog zapowiadają więc wątki konwencjonalnej powieści obyczajowej. Ale po świadczeniu sobie wzajemnych uprzejmości, opowiadaniu o małżeństwie z przeszkodami, jakie zawarła matka Antonii Elwira, oraz po epizodzie wymiany listów między mniszką a jej adoratorem – w rozdziałach następnych narasta groza i koszmar. Zapowiada je już proroczy sen Lorenza w opustoszałej katedrze: okrutna i nacechowana erotyzmem wizja losu, jaki czeka poznaną właśnie przez niego Antonię. Także w historii Agnes, dziewczyny, której małżeństwo z wybrańcem serca natrafia na liczne przeszkody, a więc w banalnym wątku licznych powieści sentymentalnych okresu, to, co tajemnicze, irracjonalne i straszliwe, wdzierą się w sposób brutalny i zaskakujący. Agnes śmiejąc się opowiada Rajmondowi historię broczącej krwią mniszki – legendę, która ułatwić ma ich wspólny plan ucieczki z zamku w Lindenbergu. Ale to nie Anges w przebraniu mniszki opuszcza zamek; Rajmondowi towarzyszy „prawdziwe” widmo, które go prześladowuje i przyprawia niemal o śmierć, wysysając jego siły. By zwalczyć upiora, nie wystarczą usiłowania ludzkie. Nad mniszką-wampirem zatriumfuje dopiero okultystyczna wiedza tajemniczego Żyda Wiecznego Tułacza, napiętnowanego znakiem, którego się ongiś zaparł. Do pomocy sił nadprzyrodzonych ucieka się również Rosario-Matylda; skromny braciszek w klasztorze Ambrozja ujawnia się jako piękna kobieta, a później jako szatan – co prawda jeden z pomniejszych w hierarchii piekieł. Ambrozjo staje się jej współnikiem nie tylko w grzechu nieczystości, ale w bezbożnej praktyce przywoływania szatana, którego dotąd odważyła się pokazać czytelnikom angielskim tylko wzniosła poezja Milтона.

Siły zła w powieści Lewisa nie są przedstawione w sposób abstrakcyjny czy alegoryczny. Matylda to „prawdziwy” duch nieczysty, sukub wyłoniony z mroków, wzbudzający pożądanie Ambrozja i wiodący go do najstraszliwszych zbrodni. Nie mniej rzeczywisty jest w powieści Lucyfer, relegowany dotąd do kręgu spekulacji teologicznych czy groźnej legendy.

Wszystko to rozbija ramy dotychczasowych romansów grozy, gdzie wprawdzie realność przeplatała się z fantastyką, ale ta nie stawała się, jak u Lewisa, bardziej realna od rzeczywistości. To, co irracjonalne, staje się w „Mnichu” czymś obiektywnym, „prawdziwym”, całkowicie niezależnym od postaci, które się z nim stykają i je przeżywają. U pani Radcliffe to nadprzyrodzone i cudowne istniało tylko w świadomości jej bohaterów, było majakami ich

rozgorączkowanej wyobraźni zrodzonymi ze snów i niepokojów, które czytelnik przeżywał wraz z nimi. Natomiast u Lewisa mamy do czynienia z grozą nadprzyrodzoną, a zarazem bardzo rzeczywistą: Rajmond spogląda upiorowi w twarz, Ambrozjo i Matylda obcuja z księżciem piekieł; wykonaniem wyroku na występny Ambrozju trudni się sam Lucyfer. Wkroczenie pierwiastka nadprzyrodzonego odbywa się bez żadnej mediacji; fantastyce kompromisu w romansie opartym na wzorach pani Radcliffe przeciwstawiona jest fantastyka „rzeczywistej” grozy.

W powieści, w której zarysowane są dwa paralelne wątki sentymentalne – Lorenza i Antonii oraz Rajmonda i Agnes – dominuje jednak postać mnicha Ambrozja i jego kusicielki Matyldy.

W dzieje uwiedzenia zadufanego w swej surowej cnotie mnicha i w jego dalsze posuwanie się na drodze występku, aż do zbrodni i ostatecznej zguby, wpleciona jest historia jego ofiary Antonii oraz opowiadanie o miłości Rajmonda i Agnes żywcem pochowanej w podziemiach klasztoru i dzięki zbiegowi okoliczności przywróconej do życia i szczęścia. Wątki te łączą się w powieści Lewisa tylko dwa razy. Jest to moment, gdy Ambrozjo odkrywa przypadkiem „grzeszną” korespondencję Agnes z kochankiem, i chwila, w której on sam zostaje przychwycony na zbrodni przez wybawiciela Agnes. Ponadto wątki romansu spaja postać Lorenza – brata Agnes i przyjaciela Rajmonda, a zarazem starającego się o rękę Antonii.

W tak umiejętnym zarysowaniu fabuły powieściowej ujawnia się Lewis jako przyszły wzięty autor sztuk teatralnych, doceniający walor spięć dramatycznych, szybkich oraz niespodziewanych kulminacji, biegły w kreśleniu pełnych napięcia scen i epizodów, w które raz po raz ingerują siły nadprzyrodzone.

Wkraczają one również w losy Ambrozja, bohatera, który reprezentuje, a zarazem przekracza typowe cechy „gotyckiego łotra”, postaci nieodzownej w każdym romansie grozy. Początkowo do zguby wiedzie go tylko „grzech aniołów” – pycha płynąca z jego wciąż rosnącej sławy kaznodziejskiej oraz z nieskazitelnej cnoty. Rychło wszakże dzięki Matyldzie odkrywa on w sobie pożądania zmysłów, które stają się dla niego, nawet po ich zaspokojeniu, źródłem udręki sumienia, niepokojów i cierpień. Chcąc zachować swą partnerkę, musi zezwolić, by poddała się straszliwemu rytuałowi odbytemu w podziemnej krypcie cmentarza; chcąc posiadać Antonię, musi znowu uciec się do czarnej magii i czarnoksięskich praktyk, a zdobędzie ją dzięki pomocy demonów i pośród grobów. Dochodzi do rozkoszy dzięki ingerencji ciemnych sił, przez okrucieństwo, śmierć i cudzą oraz własną mękę.

Ten ponury erotyzm „Mnicha” stawia powieść poza tradycją osiemnastowiecznej powiastki swawolnej, zbliżając ją do utworów markiza de Sade, a w każdym razie podejmując niektóre z ich wątków. W czasie swego pobytu w Paryżu w roku 1791 Lewis mógł czytać i zapewne czytał pierwsze wydanie „Justyny albo Niedoli cnoty” i ukształtował w kilka lat później losy swej bohaterki Antonii na wzór heroiny Sade’a, jej prześladowcę zaś wyposażył w rysy osławionych bohaterów sławnego markiza. Antonię, podobnie jak zasnę Justynę, prześladują nieprzerwane nieszczęścia, cnota jej nie spotka się nie tylko z żadną nagrodą, ale zostaje zbezczeszczona i splugawiona, a sama bohaterka zamordowana w straszny sposób, przy czym okrucieństwo, które stosuje Ambrozjo wobec Antonii, wzmaga jego pożądanie i ujawnia kierujące nim ciemne i złowrogie instynkty.

Wszystko to świadczy na pewno o powinowactwach między wątkami występującymi w utworach Sade’a i Lewisa, ale trudno byłoby budować tu dalsze paralele. Nie wydaje się, by autor „Mnicha”, przejmując niektóre elementy z dzieł francuskiego markiza, stawał się jednocześnie wyrazicielem jego filozofii – przekonania, że to sama natura amoralna w swojej istocie inspiruje do okrucieństwa i zbrodni, i że wszelkie zło należy właśnie do porządku owej

natury. Lewis dał na pewno w „Mnachu” wyraz marzeniom erotycznym, niepokojom i dewiacjom swej młodzieńczej wyobraźni, ale nie przepełnił książki refleksją, że człowiek z natury jest zły, pojęcia zła i dobra czysto relatywne, a zbrodnia koniecznością, w której istota ludzka najpełniej realizuje samą siebie. Nie negował on w swej książce ani istnienia Boga, ani wartości zasad moralnych i choć końcowa kara, jaka spotyka Ambrozja, mogłaby być uznana za konwencjonalne dydaktyczne zakończenie i rozgrzeszenie bądź co bądź śmiałego, jak na ówczesne czasy romansu, to jednak w świetle pozostałych wątków można ją traktować jako ostateczną sekwencję zwiastującą powrót do właściwego porządku we wszechświecie, w którym siły szatańskie wprowadziły tyle zamętu. Powrotem do ładu i harmonii kończy się bowiem również historia Rajmonda i Agnes, a nawet dzieje Lorenza, który znajduje godną następczynię opłakiwanej Antonii w osobie pięknej Wirginii.

Losy Ambrozja odślaniają ślepotę i gwałtowność popędów erotycznych, ale nie wydaje się, by autor chciał owe popędy apoteozować i by należało w nich odczytywać postulat absolutnej wolności instynktów zgodnych z naturą równie zbrodniczą i okrutną, jak one same. Demony rozbudziły złe instynkty w sercu Ambrozja, a choć ich szatańskie sztuczki można odczytać jako parabolę zła tkwiącego w każdej naturze ludzkiej, to jednak brak jest tezy, że tylko zło jest z nią nieodzownie związane. Perswazyjny czy kusicielski, a nie kategoryczny charakter podszeptów zła ujawnia się w powieści w postaci ich nadzwyczaj atrakcyjnego uosobienia. Jeden z bardziej liberalnych osiemnastowiecznych krytyków pisał: „Pokusa jest tak zręcznie przedstawiona, iż wydaje się, że każdy mężczyzna z krwi i kości zasłużyłby na potępienie, gdyby oparł się owemu szatańskiemu urokowi, zadawanemu tak przemyślnie i poprzez tak nadobną postać”.

Życie Lewisa nie wykazuje zresztą żadnych analogii z biografią Sade’a, tak ściśle związaną z jego teoriami i dorobkiem literackim. Słynny „Monk-Lewis” prowadził życie spokojne i wytworne, obracając się w wielkim świecie, zasiadając w parlamencie, podróżując. Uważano go trochę za snoba, lecz gdy w wieku lat dwudziestu osiągnęło się sławę, odrobina snobizmu jest wybaczalna. We wspomnieniach współczesnych utrwaliła się jego uczynność i hojność. Byron wspominał go jako uroczego towarzysza, który duchem i sposobem bycia przypominał małego chłopca i świetnie opowiadał historyjki o duchach. Dla Waltera Scotta z kolei Lewis był w towarzystwie nudny do najwyższego stopnia i zawsze miał wygląd i minę uczniaka. Skoro już jesteśmy przy biografii Lewisa, dodajmy, iż ujawnił się on również jako „pan dobry” dla swoich czarnych niewolników z Jamajki, na której odziedziczył plantacje trzciny cukrowej. Jego wydany pośmiertnie „Journal of a West Indian Proprietor” zdradza zainteresowanie losem Murzynów, troskę o ich humanitarne traktowanie i szczerą sympatię dla „dobrych dzikusów”. Lewis odwiedził Jamajkę dwa razy – po raz ostatni w roku 1818; w drodze powrotnej osłabiony żółtą febrą i morską chorobą zmarł we śnie w ramionach ulubionego służącego Tito.

„Mnich”, naśladowany, przerabiany na scenę – nie tylko zresztą angielską – i tłumaczony na wiele języków europejskich, stał się ulubioną lekturą romantyków. Tytułowy bohater Lewisa, podobnie jak „gotyccy łotrowie” z utworów pani Radcliffe oraz z produkcji coraz liczniejszych autorów romansów i dram grozy zapowiadał kreacje wielkich i wzniosłych buntowników literatury romantycznej – byronowskich Manfredów i Kainów. Nadprzyrodzona groza powieści, jej brutalne i krwawe epizody pociągały młodych pisarzy francuskich – twórców tzw. genre frenetique, który rozwinął się w epoce ponapoleońskiej.

Satanizm i frenezja „Mnicha” przemówiły wszakże najsilniej do surrealistów i zapewniły poczytność książce Lewisa, jak i innym wybitniejszym powieściom grozy, m.in. „Zamczysku w Otranto” Walpole’a, jako dziełom szczególnie bliskim refleksji i estetyce nowego prądu.

Surrealizm ze swą etyką buntu i niekonformizmu, z hałasem wokół wyzwolenia wyobraźni od rygorów myślenia racjonalistycznego i ciekawością utajonych motorów rządzących psychiką człowieka, dostrzegł wedle słów Andre Bretona „podmuch nieskończoności ożywiający romans” Lewisa. Nowy prąd spowodował przede wszystkim zwrócenie uwagi na specyficzny sposób traktowania fantastyki w „Mnichu”, o czym już wspomniano. Dla surrealistów powieść była przykładem rozerwania łańcuchów krępujących wyobraźnię – czyniła z tego, co poza przyrodzone, rzeczywistość równie dobrą, jak każda inna.

Z kolei zainteresowania psychologiczne surrealizmu doprowadziły do tezy, iż Lewis w zgłębianiu tajnych zakamarków psychiki ludzkiej pozwolił dojść do głosu „nieznanemu gościowi”, który zamieszkuje w każdym z nas. Antonin Artaud widział w postaci Ambrozja wyzwolenie człowieka z wszelkich pęt i przymusów, które go krępowały, oraz przedstawienie go w odniesieniu do spraw tak fundamentalnych, jak seks w życiu człowieka. Fascynowała i nadal fascynuje zresztą postać tytułowego bohatera – rzecznika negacji i buntu, wyzwania rzuconego światu w imię skrytych i skrywanych możliwości tkwiących w naturze ludzkiej. Równie zainteresowanie budzi osoba kusicielki Matyldy, o której pięknie napisał Breton, iż jest nie tyle postacią, co nieustanną pokusą.

Odczytanie „Mnicha” przez surrealistów nie było oczywiście interpretacją jedyną, podobnie jak nie były nią w swoim czasie głosy krytyki osiemnastowiecznej, a dzisiaj próby tłumaczenia rozwoju całego gatunku powieści gotyckiej w kategoriach socjologii czy psychologii głębi z jej teorią podświadomości zbiorowej.

Niezależnie jednak od ciągu rozwojowego angielskiej powieści gotyckiej i niezależnie od badań nad obsesyjnym typem wyobraźni młodego autora „Mnicha”, o znaczeniu tej powieści dla czytelnika przesądzić może tkwiące w niej zagadnienie, stale pobudzające do przemyśleń oraz dyskusji. Można się mianowicie dopatrzeć w dziele Lewisa parabolę egzystencji ludzkiej z jej zaangażowaniem się w sprawy ducha i ciała oraz z całym wynikającym stąd ryzykiem. Uznać by wtedy trzeba „Mnicha” za próbę ukazania „udziału szatana” czy ogólniej udziału zła w człowieczym losie.

*Zofia Sinko*

